

Piękne dziewczę z Perth

Walter Scott



calibre 0.9.27

Walter Scott

Piękne dziewczę z Perth

ROZDZIAŁ I

- Oto Tybr! - raz Rzymianin chełpliwy zawołał

Widząc rozlewną Tay od Baigle brzegu;

Gdzie Szkot, co by odpłacił za chełpliwość jego

I jako wielką Tay lichy Tybr obwołał?

ANONIM

Należy przypuszczać, że na pytanie, która z dzielnic Szkocji jest najpiękniejsza i pod względem krajobrazu najbardziej urozmaicona, inteligentny obcy przybysz wymieni hrabstwo Perth. Również mieszkaniec innych prowincji Kaledonii* - nawet gdyby patriotyzm lokalny przykazał mu postawić rodzinne strony na pierwszym miejscu - zaraz na drugim umieści Perth, co już samo dałoby mieszkańcom tego hrabstwa podstawy do twierdzenia, że - pomijając stronniczość - ich dzielnica jest najpiękniejsza w całym północnym królestwie. Przed wielu laty lady Mary Wortley Montague*, pisarka znana z nieomylnego smaku, wyraziła opinię, że najbardziej interesującą dzielnicą każdego kraju, dzielnicą, w której różnorodne piękno osiąga swój kształt najdoskonalszy, jest ta jego część, w której góry schodzą ku równinom. A góry w Perthshire, choć może nie najwyższe, są z pewnością nader malownicze. Rzeki wytryskują z nich najdzikszyimi wodospadami i spływają w dół romantycznych przełęczy między szkockim Pogórzem a Niziną*. W wyższych rejonach roślinność łagodniejszego klimatu i żyzniejszej gleby miesza się ze wspaniałością górskiej scenerii, gaje i zarośla u podnóża wchodzą na stoki jarami i parowami aż pod same skalne przepaście. W takiej to bogato obdarzonej przez naturę krainie podróźny znajduje to, co poeta Gray*, czy może ktoś inny, określił mianem Piękna spoczywającego na podółku Grozy.

Co więcej, dzięki temu korzystnemu usytuowaniu szczęśliwe Perth odznacza się niezwykle miłą sercu różnorodnością krajobrazu. Jego lasy, jeziora i góry pod względem piękna nie ustępują naj słynniejszym zakątkom Pogórza; z drugiej zaś strony, pośród romantycznej scenerii Perthshire, a niekiedy w najściślejszym z nią związku, znaleźć można rozległe połacie ziemi żyznej i przychylnej człowiekowi, które śmiało mogą rywalizować z bogactwem samej Anglii. Kraina ta była też

widownią wielu niezwykłych czynów i zdarzeń; niektóre z nich zapisały się w historii kraju, inne znów interesują poetę i powieściopisarza, chociaż zachowała je w pamięci jedynie tradycja ludu. W tych

to

dolinach Saksonowie z Niziny rozegrali z Celtami z Pogórza niejedną krwawą i zaciekłą bitwę, w której często nie sposób było rozstrzygnąć, czy palma zwycięstwa należy się opiętemu w kolczugi rycerstwu z równin, czy też odzianym w kraciaste sukno klanom z gór.

Miasto Perth, tak słynne z pięknego położenia, jest grodem bardzo starożytnym; pradawna tradycja przypisuje mu honor miasta założonego przez Rzymian. Ponoć zwycięski ten naród dopatrywał się podobieństwa między Tybrem a znacznie wspanialszą i lepiej spławną rzeką Tay, rozległa zaś równina, znana pod nazwą North Inch, przypominała jakoby Rzymianom Pole Marsowe. Miasto gościło często szkockich monarchów, którzy nie posiadali tu wprawdzie stałej rezydencji, jednakże w

klasztorze Cystersów znajdowali bardzo wygodne i dostatnie pomieszczenie dla swojego dworu. Tu właśnie Jakub I, jeden z najmądrzejszych i najlepszych królów Szkocji, padł ofiarą zawiści mściwej arystokracji*. Tu również zawiązano złowrogi spisek Gowrie*, którego dramat rozegrał się w starożytnym pałacu zburzonym przed kilku zaledwie laty. Zapalone w swoich poszukiwaniach

Towarzystwo Miłośników Historii w Perth opublikowało dokładny plan tego słynnego dworzyszczka, opatrując ów plan garścią uwag na temat roli, jaką pałac odegrał w samym spisku, uwag dowodzących

niezwykłej przenikliwości i doprawdy bezstronnych.

Jednym z najpiękniejszych widoków, jakie Wielka Brytania - a może nawet świat - ofiarowuje podróżnemu, jest, czy raczej był, widok roztaczający się z miejsca zwanego Wicks of Baiglie, czyli zakątka, do którego podróżny przybywał po długim etapie z Kinross, wiodącym przez jałową i nieciekawą okolicę, i z którego (jest to bowiem przełęcz na krawędzi wysokiej góry) widział rozpostartą u swoich stóp dolinę Tay i płynącą jej dnem majestatyczną, wspaniałą rzekę; miasto Perth z jego dwiema rozległymi podmiejskimi łąkami, z jego dzwonicami i wieżami; wzgórze Moncrieff i Kinnoul częściowo porośnięte lasem i malownicze skały na ich szczycie; brzeg rzeki jak okazały pas

wysadzany klejnotami wytwornych pałaców; i daleko kontury potężnych gór Grampian, zamykających od północy ten przepiękny widok. Trasę zmieniono, co ogromnie, trzeba przyznać, ułatwiło podróż, i teraz droga omija ten wspaniały punkt obserwacyjny, a krajobraz wyłania się przed podróżnym stopniowo, chociaż droga jest nadal niezwykle piękna. Jeśli się nie mylę, istnieje jeszcze ścieżka prowadząca do dawnej stacji Wicks of Baigle; podróżny, który zejdzie z konia lub opuści dyliżans i zechce wspiąć się kilkaset jardów na stok, będzie mógł porównać autentyczny widok z opisem podanym wyżej. Ale ani ja nie potrafię przekazać słowami, ani on nie zdoła pojąć, jak niezwykle jest czar niespodzianki, gdy widok tak doskonały wyłoni się przed patrzącym w chwili, kiedy najmniej się on tego spodziewa; podobnego uczucia ja doznałem patrząc po raz pierwszy na ten przepiękny krajobraz.

Z bezgranicznym zachwytem mieszało się wtedy dziecięce zdumienie, miałem bowiem lat zaledwie piętnaście, a że była to moja pierwsza samodzielna wyprawa na grzbiecie konia, rozpierało mnie też rozkoszne uczucie niezależności, zmieszane z pewnym lękiem, jaki nurtuje najbardziej nawet zarozumiałego chłopca, kiedy po raz pierwszy zdany jest na własne siły. Pamiętam, iż ściągnąłem cugle zgoła tego nieświadomy i chłonałem widok rozpościerający się u moich stóp, jak gdyby w obawie, że zniknie niczym dekoracja zmieniana w teatrze, zanim zdążę dokładnie mu się przyjrzeć albo zyskać pewność, że jest prawdziwy. Chociaż minęło od tamtej chwili lat ponad pięćdziesiąt, wspomnienie tego niezrównanego piękna wciąż ma nade mną władzę, mimo że wiele innych doznań i wrażeń, które wywarły wpływ na moje losy, zatarło się już w mej pamięci. Jest przeto rzeczą naturalną, że poszukując tematu interesującego moich czytelników, wybrałem opowieść związaną ze scenarią, która tak silnie oddziaływała na moją młodzieńczą wyobraźnię i która złagodzi być może niedoskonałości samej kompozycji; słowem, podziała tak, jak według niewiast działają piękne filiżanki udoskonalające podobno smak kiepskiej herbaty.

Ale sięgam do epoki bardzo odległej, gdyż wypadki zawarte w niniejszej opowieści rozegrały się w

ostatnich latach czternastego wieku, kiedy berło królestwa Szkocji niepewnie dzierżyła łagodna, acz słaba dłoń Jana, który wstąpiwszy na tron przybrał imię Roberta III.

ROZDZIAŁ II

Bywają na wsi usta miękkie niby aksamit:

Choć nie należą do lady, tak samo cieszą czasami.

DRYDEN

Perth, chlubiące się - o czym wspominaliśmy już - tak licznymi urokami natury, posiadało też szczodry udział w tych powabach, które są jednocześnie bardziej interesujące i szybciej przemijają. Miano Pięknego Dziewczęcia z Perth stanowiło w każdej epoce niezwykle wyróżnienie i dowodziło, że właścicielka tego tytułu odznacza się niepospolitą pięknnością - i to w okolicach, w których większość niewiast szczyliła się tym godnym pożądaną atrybutem. Ale w epoce feudalnej, ku której kierujemy teraz uwagę czytelnika, uroda niewieścia była przymiotem znacznie ważniejszym niż w czasach późniejszych, gdy ideały rycerskie poszły w zapomnienie. Miłość starodawnych rycerzy była czymś w rodzaju zalegalizowanego bałwochwalstwa tak żarliwego, że teoretycznie równała się z nią tylko miłość do Boga, która jednak w praktyce rzadko ją przewyższała. Rycerz jednym tchem wypowiadał imię Boga i swojej bogdanki; a okazywanie względów płci pięknej stanowiło dla ubiegającego się o pas rycerza taki sam nakaz, jak miłość należna Bogu. W takiej epoce potęga piękna była bezgraniczna. Zwaląca bariery między tymi, którzy stali na samym szczycie, a tymi, którzy znajdowali się znacznie poniżej.

Za panowania poprzednika Roberta III uroda - i tylko uroda wyniosła na tron Szkocji kobietę niskiego pochodzenia i wątpliwej moralności*; wiele zaś niewiast mniej przebiegłych lub może mniej fortunnych pięło się na same szczyty z konkubinatu, któremu obyczajem tamtych czasów okazywały pobjazanie. Tego rodzaju fakty mogły przyprawić o zawrót głowy dziewczynę wyżej urodzoną niż Katarzyna czy Katie Glover, którą uważano powszechnie za najpiękniejszą młodą niewiastę hrabstwa Perth; jej sława Pięknego Dziewczęcia z Perth ściągnęła na nią uwagę wielu młodych galantów dworu królewskiego, gdy monarcha ze swoją świtą rezydował w mieście lub okolicy; niejednemu też szlachcicowi najwyższego rodu, wsławionemu czynami rycerskimi, bardziej zależało na popisaniu się

dziarską jazdą konną przed drzwiami domu starego Szymona Glovera na Curfew Street niż na zdobyciu laurów w szrankach, gdy przyglądały się grom rycerskim najdumniejsze damy Szkocji.

Ale córka Glovera* - bo Szymon, jak większość mieszczan i rzemieślników w tamtej odległej epoce, przybrał nazwisko od wykonywanego rzemiosła - nie była bynajmniej skora słuchać miłosnych słówek wypowiedzianych przez młodzieńców wyżej niż ona urodzonych; a chociaż zdawała sobie zapewne sprawę z własnych wdzięków i powabów, najwyraźniej pragnęła ograniczyć swoje podboje

do tych, którzy należeli do jej stanu. Co więcej, to dziewczę o urodzie nasuwającej nam bardziej myśl

o duchu niż ciele, było - mimo wrodzonej łagodności i słodczy usposobienia - raczej powściągliwe niż płóche nawet w towarzystwie równych sobie osób; gorliwość zaś, z jaką oddawała się praktykom religijnym, skłaniała wielu do myślenia, że Katarzyna Glover pragnie skrycie porzucić ten świat i szukać samotności w murach klasztoru. Należało się jednak spodziewać, że taka ofiara - jeżeli istotnie

była brana pod uwagę spotka się ze sprzeciwem ojca dziewczyny, człowieka bogatego, którego Katie była jedynym dzieckiem.

Stanowisko ojca utwierdzało panującą Królową Piękności Perth w jej postanowieniu, że będzie unikała hołdów składanych jej przez rycerskich dworzan.

- Nic ci po nich - mówił - nic ci po nich. Katarzyno, po tych galantach dosiadających dzielnych rumaków, po tych rycerzach popisujących się brzękiem ostróg, którzy noszą kołpaki ozdobione piórami i modnie przystrzyżone wąsy. Nic należą oni do naszego stanu, a my nie mamy zamiaru ustawiać się z nimi w pary. Jutro jest Dzień świętego Walentego*, kiedy to każdy ptak szuka sobie towarzyski. Ale nie zobaczysz makolągwy zakładającej gniazdko z sokołem ani turkawki szukającej sobie na towarzysza orła. Mój ojciec był zacnym obywatelem miasta Perth i wywijał igłą nie gorzej ode mnie. Ale kiedy wojna podchodziła pod bramy naszego pięknego miasta, w kąś szły igły, nici i koźle skóry, a na ich miejsce pojawiał się hełm i tarcza wyciągana z ciemnego schowka, i długa

dzida

zdejmowana ze ściany. Wymień mi dzień, w którym zabrakło mnie albo mojego ojca, gdy burmistrz zwoływał mieszczan pod broń! I tak żyliśmy, moje dziecko - własną pracą zdobywając chleb i walcząc w jego obronie. Nie chcę zięcia, który uważałby się za coś lepszego ode mnie. Ufam, dziewczyno, że jeśli idzie o tych wielkich panów i rycerzy, zapamiętasz jedno: jesteś zbyt nisko urodzona na ich ślubną żonę i jednocześnie zbyt dumna, żeby stać się ich nieprawą miłostką. A teraz, Katie, rzuć pracę. Mamy dzisiaj wigilię święta, przystoi nam więc pójść do kościoła i prosić Niebiosa,

żeby ci dały jutro zanego Walentyna.

Posłuszna słowom ojca, piękna dziewczyna odłożyła wspaniałą rękawicę do polowania z sokołem, którą haftowała dla lady Drummond, i przyodziawszy się w odświętne suknie poszła z ojcem do kościoła klasztoru Dominikanów, przylegającego do Curfew Street, na której mieszkali. W drodze Szymon Glover, szacowny obywatel królewskiego miasta Perth, człowiek zarówno wiekowy jak majętny, spotykał się ze strony przechodniów, tak starych jak młodych, z objawami czci należnej jego aksamitnemu kaftanowi i złotemu łańcuchowi na szyi, podczas gdy słynna piękność Katarzyny, choć ukryta pod zasłoną przypominającą mantyle do dziś noszone we Flandrii, skłaniała zarówno starych jak młodych do odkrywania głowy i głębokich ukłonów.

Za Szymonem i córką, którzy szli obok siebie, podążał wysoki, urodziwy młodzieniec w odzieniu yeomana*, niezwykle skromnym, lecz uwydatniającym jego piękne członki, podobnie jak mały, szkarłatny kołpak na głowie* chłopca podkreślał jeszcze urok przystojnej twarzy okolonej gęstymi kędziorami. Młodzieniec niósł w ręce wysoką, drewnianą laskę i nie posiadał innej broni, jako że nie uchodziło wtedy ludziom jego stanu (był czeladnikiem starego Glovera) pokazywać się z mieczem lub

sztyletem u boku; przywileju tego strzegli dla siebie zazdrośnie pachołkowie i członkowie zbrojnych świt wielkich panów. Młodzieniec towarzyszył teraz swojemu majstrowi częściowo w charakterze

sługi czy też opiekuna, gdyby okoliczności wymagały jego interwencji; patrząc jednak na czujną uwagę, z jaką obserwował Katarzynę Glover, nietrudno było dostrzec, że to raczej jej, a nie ojcu pragnąłby służyć. Ale ogólnie rzecz biorąc, młodzieniec niewiele miał okazji do popisania się swą gorliwością, bo powszechny szacunek nakazywał przechodniom ustępować z drogi ojcu i córce.

Ale gdy w tłumie zaczęły się pojawiać hełmy, kołpaki i pióropusze szlachty, a także łucznicy i zbrojna

służba, okazało się, że nosiciele tych wojennych dystynkcji są mniej okrziesani od spokojnych mieszczan. I więcej niż raz - gdy taka osobistość przypadkiem, lub może w poczuciu własnej domniemanej wyższości, zmusiła Szymona do zejścia z drogi jego młody towarzysz jeżył się z wyrazem buntu w oczach i miną człowieka, który pragnie wyróżnić się w służbie swojej pani. Ale za każdym razem stary Szymon powstrzymywał Conachara, bo takie było imię chłopca, dając mu do zrozumienia, że nie życzy sobie, aby młodzieniec interweniował, dopóki sam o to nie poprosi.

- Niemądry żółtodzióbie - mówił - dość chyba długo u mnie służysz, żeby wiedzieć, iż jeden cios prowokuje bójkę, że sztylet przedziurawia skórę z nie mniejszą łatwością niż igła i że cenię sobie spokój, chociaż nigdy nie lękam się wojny; i wreszcie, że jest mi obojętne, po której stronie chodnika idę z moją córką - bylebym mógł nie molestowany zajść na miejsce.

Conachar tłumaczył, że chodzi mu o honor jego pana, ale nie zdołał udobruchać starca.

- A cóż nam po honorze? - spytał Szymon Glover. - Jeżeli chcesz zostać w mojej służbie, myśl o uczciwości, a honor zostaw chełpliwym głupcom, którzy noszą stal przy obcasach i żelazo na ramionach. Jeżeli chcesz nosić taki ekwipunek, wolna wola. Ale nie będzie to ani w moim domu, ani w mojej obecności.

Ta wymówka bardziej chyba rozjątrzyła Conachara, niż go utemperowała; ale jeden znak dany mu przez Katarzynę - jeżeli ledwie dostrzegalne podniesienie małego palca było istotnie znakiem - silniej

na niego podziałał niż gniewne słowa jego pana. Przyrodzony zda się wojowniczy wyraz zniknął z

twarzą chłopca, który na powrót stał się pokornym sługą spokojnego mieszczanina.

Tymczasem z małą grupką zrównał się wysoki młody mężczyzna szczelnie otulony w opończę, która osłaniała mu czy też maskowała część twarzy; był to zwyczaj często stosowany przez młodych galantów tej epoki, gdy chcieli zataić swoją tożsamość lub wyruszali w poszukiwaniu przygód.

Słowem, młodzieniec sprawiał wrażenie kogoś, kto pragnie obwieścić światu: „Życzę sobie chwilowo,

żeby mnie nie poznano i nie tytułowano w rozmowie. Ponieważ jednak za moje czyny odpowiadam li tylko przed sobą, zachowuję incognito jedynie dla formy i jest mi obojętne, czy je przejrzyście, czy nie". Młody mężczyzna przeszedł na prawą stronę Katarzyny, która trzymała ojca pod ramię, i zwołał

kroku jak gdyby pragnąc dotrzymać towarzystwa idącym.

- Dobrego wieczoru, kmotrze - rzekł nieznajomy.

- Dziękuję i tego samego życzę waszej łaskawości. Czy zechcielibyście nas, panie, wyminąć? Krok nasz jest dla was zbyt powolny, a nasze towarzystwo zbyt skromne dla syna waszego ojca.

- Syn mojego ojca jest w tej sprawie najlepszym sędzią. Mam pewien interes do załatwienia z tobą, mój pocziwcze, i z piękną świętą Katarzyną, najpowabniejszą i najbardziej zatwardziałą świętą w chrześcijańskim kalendarzu.

- Racz mi wybaczyć, mój lordzie - powiedział starzec - ale chciałbym wam przypomnieć, że jest to wigilia świętego Walentego, więc nie czas na załatwianie interesów. Zechciejcie jednak przysłać mi swoje zamówienie przez sługę, a jak najspieszniej je wykonam.

- Nie ma pory tak sposobnej jak dzień dzisiejszy - odparł uparty młodzieniec, który mniemał snadź, że

znakomite pochodzenie stawia go ponad wszelkimi ceremoniami. - Chciałbym wiedzieć, czy jest już gotowy skórzany kubrak, który zamówiłem przed niejakim czasem. A ty, nadobna Katarzyno (tu mężczyzna zniżył głos), powiedz mi, czy twoje piękne palce trudziły się nad jego ozdobieniem, jakieś mi to przyrzekła. Ach, niepotrzebnie pytam, bo moje biedne serce czuło każde ukłucie igły

przebijającej skórę, która ma je okryć! Zdrajczyń, jak możesz dręczyć serce, które miłuje cię tak gorąco?

- Proszę was pokornie, mój lordzie - odparła Katarzyna - abyście poniechali tych szaleństw... ani wam

nie przystoi tak mówić, ani mnie nie przystoi słuchać. Jesteśmy ludźmi niskiego urodzenia, ale poczciwych obyczajów. A obecność ojca powinna chronić dziecko przed bałamutnymi słowami, nawet jeżeli padają z ust wielkiego pana.

Mówiła tak cicho, że ani ojciec, ani Conachar jej nie słyszeli.

- A więc dobrze, tyranko - powiedział uparty galant nie będę ci się teraz więcej narzucał, pod warunkiem wszelako, że pokażesz mi się jutro w oknie, gdy pierwsze promienie słońca wyjrzą zza wzgórz na wschodzie, i pozwolisz mi być swoim rycerzem przez następny rok.

- To niemożliwe, mój lordzie. Ojciec przed chwilą mi powiedział, że sokół, a już tym bardziej orzeł, nie wybiera na towarzyszkę makolągwy. Poszukajcie, panie, jakiejś damy dworskiej, dla której wasze

względy będą zaszczytem; mnie mogą one przynieść... wybac mi, wasza łaskawość, te szczere słowa... jedynie hańbę.

Tymczasem cała gromadka dotarła do drzwi kościoła.

- Pozwólcie, mój lordzie, że was tu pożegnamy powiedział Szymon. - Wiem doskonale, że wasza miłość nie poniecha swojej rozrywki przez wzgląd na przykrość i ból, jaki może zadać osobom naszego niskiego stanu. Ale liczny tłum sług przed drzwiami dowodzi, że w kościele są być może inne, znaczniejsze osoby, którym nawet wy, panie, musicie okazać szacunek.

- Tak, szacunek! A czyż wy okazujecie mi należny szacunek? - wybuchnął dumny młodzieniec. -

Nędzny rzemieślnik i jego córka, których raczę zaszczycać rozmową, mają czelność mówić mi, że moje towarzystwo przynosi im ujmę! Pożałujesz jeszcze tego, moja ty księżniczko białej kozłej skórki i niebieskich nici!

Gdy dopowiadał te słowa, Szymon Glover i jego córka weszli we wrota kościoła Dominikanów, a ich

sługa, Conachar, usiłując wcisnąć się tuż za nimi, potrącił - być może nie przypadkiem - młodego arystokratę. Galant ocknął się z ponurej zadumy, a uznawszy zapewne, że była to umyślna zniewaga, chwycił młodzieńca za kaftan na piersiach, uderzył go i pchnął z całej siły. Rozwścieczony Conachar zatoczył się, z trudem odzyskał równowagę i sięgnął do boku, jak gdyby szukając noszonego zwykle w tym miejscu miecza lub sztyletu; że jednak nie miał broni, machnął tylko ręką w bezsilnej wściekłości i wszedł do kościoła. Ale w ciągu tych kilku sekund, zanim obrócił się i zniknął we drzwiach, młody arystokrata stał nieruchomo, z założonymi rękami i dumnym uśmieszkiem na wargach, jak gdyby wyzywając młodzieniaszka, żeby się ważył na najgorsze. Gdy Conachar odszedł, młody lord otulił się szczerzej opończę, a potem dał sygnał podnosząc do góry jedną ze swoich rękawic. Natychmiast przyłączyli się do niego dwaj mężczyźni, którzy, zamaskowani jak on, czekali w pobliżu na ten znak. Rozmawiali przez chwilę z ożywieniem, po czym młody pan oddalił się w jednym kierunku, jego zaś przyjaciele czy też słudzy podążyli w przeciwną stronę.

Jeszcze z progu kościoła Szymon Glover obrzucił spojrzeniem trzech pochłoniętych rozmową mężczyzn, zajął jednak swoje miejsce pośród wiernych, zanim się spiskowcy rozeszli. Ukląkł z miną człowieka obarczonego ciężkimi troskami; ale po skończonym nabożeństwie wydawał się wolny od wszelkich strapień, jak człowiek, który Bogu polecił swój los. Suma była odprawiona bardzo uroczyście, w kościele znajdowało się bowiem kilku dworskich panów i kilka dam wysokiego rodu. W rzeczy samej spodziewano się, że przybędzie zacyzny stary król, i poczyniono nawet odpowiednie przygotowania, lecz któraś z licznych chorób nękających Roberta III nie pozwoliła mu uczestniczyć w nabożeństwie. Kościół opustoszał, ale Glover i jego piękna córka zostali i uklękawszy przed konfesjonałami, w których zasiedli teraz księża, odbyli spowiedź. Gdy więc puścili się w drogę powrotną przez wyludnione ulice, na dworze panował już gęsty mrok. Większość mieszczan udała się

do domów na wieczorny spoczynek. Po ulicach kręcili się jeszcze tylko hultaje i zabijacy,

rozpróżniaczeni i chełpliwi członkowie dworskich świt, którzy ośmielani bezkarnością gwarantowaną

im przez łaskę pańską, napastowali i znieważali spokojnych przechodniów.

Zapewne w obawie przed zaczepką tego rodzaju zbira Conachar zrównał się z majstrem i powiedział:

- Panie, przyspieszcie kroku... ścigają nas.

- Ścigają nas, powiadasz? Kto i w jakiej sile?

- Jeden człowiek, cały owinięty opończą, który pomyka za nami jak cień.

- O, dla jednego najtęższego choćby zabijaki paradującego po naszej Curfew Street ani myślę przyspieszać kroku.

- Kiedy on ma broń - upierał się Conachar.

- My też mamy... a poza tym mamy ręce i nogi. Na Boga, Conachar, nie boisz się chyba idącego samotnie zbira?

- Miałbym się bać! - zachnął się Conachar. - Zaraz zobaczycie, czy się boję!

- Teraz, młody głupcze, wpadasz w drugą ostateczność... twojej naturze nie znany jest złoty środek.

Nie ma powodu ani do wszczynania burdy, ani do ucieczki. Idź naprzód z Katarzyną, a ja zajmę twoje miejsce. W takiej bliskości domu nie grozi nam nic złego.

Idąc teraz z tym, Szymon Glover istotnie zauważył człowieka, który - zważywszy czas i miejsce -

trzymał się podejrzanie blisko ich małej gromadki. Gdy przeszli na drugą stronę ulicy, człowiek ów podążył za nimi, a gdy zwalniali lub przyspieszali kroku, nieznajomy wykonywał ten sam manewr.

Sprawa nie miałaby większego znaczenia, gdyby Szymon Glover szedł sam; ale w kraju, w którym

prawo dawało tak niedostateczną ochronę tym, którzy nie mieli własnych środków obrony,

niepospolita uroda jego córki mogła uczynić z niej cel niecnego spisku. Gdy Conachar i piękne

dziewczę stanęli na progu domu i gdy stara sługa otworzyła im drzwi, Szymon odetchnął z ulgą.

Postanowiwszy jednak zbadać, czy jego niepokój miał jakiegokolwiek podstawy, zwrócił się do nieznanego, który stał teraz bez ruchu, chociaż wyraźnie unikał światła.

- Wystąp, przyjacielu - powiedział - i nie baw się ze mną w chowanego. Czyżbyś nie wiedział, że tych,

co snują się w ciemności jak zjawy, łatwo można odczarować przy pomocy kija? Dalej, człeku, pokażże nam swoje kształty.

Chętnie to zrobię, majstrze Glover - zadudnił najgłębszy głos, jaki kiedykolwiek odpowiadał na pytania. - Bez trudu mogę wam pokazać moje kształty, chociaż wolałbym, żeby się przedstawiały trochę korzystniej w jaskrawym świetle.

- Dalibóg! - zawołał stary Szymon. - Poznałbym ten głos choćby na końcu świata! Czy to jest Harry Gow w swojej ziemskiej postaci? Niech mnie pioruny biją, jeżeli przejdiesz mimo tych drzwi nie zwilżywszy gardła! Nie wydzwoniono jeszcze pory gaszenia ogni, ale nawet gdyby dzwon już dzwonił, żaden to powód, aby ojciec rozstawał się z synem. Wejdźże, człeku. Dorota poda nam jadło i

opróżnisz ze mną dzban, zanim cię puszcze w dalszą drogę. Wejdź, powiadam, moja córka rada cię przywita.

Mówiąc te słowa, wciągnął mężczyznę, któremu zgotował tak serdeczne powitanie, do czegoś w rodzaju kuchni zastępującej przy mniej uroczystych okazjach bawialnię. Zdobiły tę izbę misy cynowe i srebrne kubki, błyszczące nieskazitelnym połyskiem, ustawione rzędami na długich półkach.

Buchający ogień na kominie i jarząca się lampa roztaczały miły blask, smakowite zaś zapachy potraw przygotowanych przez Dorotę bynajmniej nie były przykre niewybrednym nosom tych, których apetyty miały zaspokoić.

Nowy przybysz stał teraz w jasnym świetle pośród domowników, a chociaż nie można by go nazwać człowiekiem ani dostojnym, ani urodziwym, jego twarz i postać nie tylko zwracały na siebie uwagę, lecz w pewnym sensie ją do siebie przykuwały. Był wzrostu średniego, ale szerokość barów, długość i

widoczna siła ramion i muskularność całej postaci zdradzały niepospolitą moc i sprawność fizyczną utrzymywaną bezustannymi ćwiczeniami. Nogi miał odrobinę krzywe, ale nie była to bynajmniej krzywizna przywodząca na myśl ułomność; przeciwnie, niejako harmonizowała z potężną siłą całej postaci, chociaż może naruszała jej proporcje. Mężczyzna ubrany był w kubrak z łosiowej skóry, a u pasa miał ciężki mieczyk i nóż czy też sztylet, które jak gdyby broniły kieski, zwyczajem mieszczan zawieszanej u tego samego pasa. Głowę mężczyzna miał kształtną, małą, okoloną gęstymi, czarnymi, krótko przyciętymi puklami. Z ciemnych oczu wyzierała odwaga i stanowczość, jednakże na twarzy gościł wyraz nieśmiałości i wstydlivosti, a także radość ze spotkania ze starym przyjacielem. Jeśli pominąć to onieśmienie, najwyraźniej chwilowe, czoło Harry'ego Gowa czy też Smitha*, określano go bowiem oboma przezwiskami, było wysokie i w rysunku szlachetne, lecz dolna część twarzy odznaczała się mniejszą regularnością rysów. Usta miał szerokie, zęby zaś mocne i piękne, harmonizujące z atmosferą zdrowia i muskularnej siły, jaka biła od całej jego postaci. Krótka, gęsta broda i wąsy, przycięte niedawno z widoczną starannością, uzupełniały obraz. Harry Smith lat miał chyba nie więcej niż dwadzieścia osiem.

Cała rodzina wydawała się rada jego niespodziewanemu przybyciu. Szymon Glover jeszcze raz go uścisnął, Dorota powitała go serdecznymi słowami, a Katarzyna bez ociągania podała mu rękę, którą Harry trzymał w swoim potężnym uścisku, jak gdyby zamierzał podnieść ją do ust; ale po krótkiej chwili wahania zrezygnował, zapewne w obawie, że taka śmiałość mogłaby być przez dziewczynę źle przyjęta. Zresztą nie można powiedzieć, żeby maleńka dłoń stawiała jakikolwiek opór; ale uśmiech dziewczyny, a także rumieniec na jej policzkach zdawały się pogłębiać nieśmiałość galanta. Widząc jego wahanie, stary Szymon zawołał dobrotliwie:

- Pocałuj ją w usta, człowieku, w usta! A nie proponowałbym tego każdemu, kto przekracza mój próg!

Ale na zacnego świętego Walentego, którego dzień przypada jutro! Tak cię rad widzę znów w naszym

nadobnym mieście Perth, że niewielu rzeczy bym ci odmówił.

Ośmielony tymi słowy Smith - krzepki ów rzemieślnik wykonywał bowiem zawód kowala-płatnerza

-

skłonił się skromnie przed piękną dziewczyną, która uśmiechając się do niego z siostrzaną czułością, powiedziała:

- Mam nadzieję, że witam w Perth człowieka skruszonego i nawróconego.

Trzymał nadal jej dłoń i zdawało się, że coś dziewczynie odpowie, lecz nagle, jak gdyby tracąc odwagę, zwolnił uścisk; potem przestraszony snadź tym, co uczynił, cofnął się kilka kroków i z twarzą

zarumienioną z onieśmienia i radości usiadł przy kominie naprzeciwko Katarzyny.

- Dalej, Doroto, szykujże nam prędeż jadło. A Conachar niech... gdzie jest Conachar?

- Położył się spać, ojczu. Narzekał na ból w głowie - odparła Katarzyna z wahaniem.

- Przywołaj go, Doroto - zwrócił się Szymon do starej kobiety. - Nie pozwolę temu młokosowi na takie fanaberie. Dalibóg, jego pańska góralska krew burzy się, kiedy smarkacz ma rozłożyć obrus na stole albo rozstawić misy. Wyobraża sobie, że zdoła wejść do naszego starożytnego i zacnego cechu, chociaż odmawia posłuszeństwa swojemu nauczycielowi i mistrzowi i uchyla się od wykonywania należnych posług. Idź, Doroto, i sprowadź go tu. Nie pozwolę, żeby mnie tak niecznie traktował.

Po chwili Dorota wołała imię chłopca u stóp schodów czy - co prawdopodobniejsze - drabiny prowadzącej na strych, gdzie krnąbrny czeladnik tak niewczesnie znalazł schronienie; odpowiedział jej stłumiony głos Conachara, a niebawem sam młodzieniec zjawił się w izbie jadalnej. Jego dumna, choć urodziwa twarz była chmurna i ponura, a gdy nakrywał stół, rozstawiał na nim misy i przyprawy,

słowem, wypełniał obowiązki dzisiejszej służby domowej, które zgodnie z obyczajem tamtych czasów

spoczywały na czeladniku, buntował się najwyraźniej przeciwko tym niegodnym usługom. Piękna dziewczyna z Perth przyglądała mu się z niepokojem, jak gdyby w obawie, że ta nie ukrywana odraza

zwiększy jeszcze gniew jej ojca, ale dopiero gdy po raz drugi pochwyciła jego wzrok, Canachar zgodził się ukryć niezadowolenie i wykonywać narzucone mu zadania z większą chęcią i uległością. W tym miejscu należy chyba wspomnieć, że chociaż ta sekretna wymiana spojrzeń między Katarzyną Glover i młodym góralem wskazywała na pewną troskę dziewczyny o to, jak zachowuje się młodzieniec, najbystrzejszy nawet obserwator nie umiałby rozstrzygnąć, czy owo uczucie przekracza w najmniejszej choć mierze siostrzaną sympatię, jaką młoda dziewczyna darzyć mogła przyjaciela i rówieśnika żyjącego z nią na stopie poufałości.

- Dalekąś odbył podróż, synu - powiedział Glover, który miał zwyczaj używać tego serdecznego zwrotu, chociaż młody płatnerz nie był z nim spokrewniony - widziałeś wiele rzek innych niż nasza Tay, a także wiele pięknych budowli prócz naszego Świętego Jana.

- Nie widziałem ani jednego widoku, który by mi się w połowie tak podobał czy w połowie był wart mojego lubienia - odparł Smith. - Zapewniam cię, ojcze, że kiedy stanąłem na przełęczy Wicks of Baigle i zobaczyłem leżące w dole u moich stóp nasze piękne miasto - jak zaczarowana królowna z pieśni, którą rycerz spotyka uśpioną pośród gęstwiny kwiecia - czułem się niczym ptak składający znużone skrzydła na gnieździe.

- Ach! Toć widzę, drzemie jeszcze w tobie minstrel*! - zawołał Szymon. - Powiedz, będziemy mieli nasze ballady i tańce? Nasze wesołe kolędy na Boże Narodzenie i żartobliwe przyśpiewki śpiewane wokół Słupa Majowego*?

- Jak zajdzie potrzeba, ojcze, chwycę lutnię i zaśpiewam - odparł Harry - chociaż dudnienie miechów w kuźni i łoskot kowadła kiepsko wtórują minstrelskim pieśniom. Ale inaczej wtórować im nie mogą, bo pracować na chleb trzeba, choć pieśni na tym cierpią.

- Słusznie, słusznie, synu - przyznał Glover. - No, a jakże tam, zaoszczędziłeś co nieco w podróży?

- Nie tylko co nieco, ojcze, ale bardzo dużo. Sprzedałem stalową kolczugę, wiesz którą, za czterysta marek. Kupił ją sir Magnus Redman*, angielski zarządca East Marches*. A ten kutwa i złodziejaszek

z Pogórza, który zamówił kolczugę, nie chciał zapłacić nawet połowy, chociaż cały rok nad nią pracowałem w kuźni.

- Czemuś tak podskoczył, Conachar? - spytał Szymon swojego czeladnika z gór. - Czy mało razy ci mówiłem, żebyś patrzył własnego nosa i nie nastawiał uszu na to, o czym się tutaj mówi? Co cię obchodzi, że jakaś rzecz, która dla Anglika jest tania, Szkotowi wydaje się droga?

Conachar już miał odpowiedzieć, ale po sekundzie zastanowienia spuścił wzrok i opanował gniew wywołany pogardliwymi słowami, w jakich Smith mówił o swoim kliencie z Pogórza. Harry ciągnął dalej, nie zwracając na niego uwagi:

- W Edynburgu sprzedałem kilka mieczy i kordów. Spodziewają się tam wojny, więc jeśli Bóg łaskawie ją zdarzy, moje wyroby pójdą w cenę. Mam za co dziękować świętemu Dunstanowi, który jest patronem naszego rzemiosła. Słowem, ten pachołek (tu położył dłoń na skórzanym trzosie), który dość był chudy i mizerny, kiedy wyruszał w drogę przed czterema miesiącami, teraz przytył i zaokrąglił się jak sześćofuntowe prosię.

- A co mi rzekniesz o tym drugim pachołku, który wisi obok tamtego, całym ze stali i w skórzanej pochwie? - spytał Glover. - Czyżby cały czas był beczynny? Dalejże, dziarski płatnerzu, wyznaj prawdę... w iluś bitkach brał udział, odkąd przeprawiłeś się na drugi brzeg Tay?

- Krzywdzisz mnie, ojcze, że mi zadajesz takie pytanie (tu zerknął na Katarzynę) w takiej obecności - odparł płatnerz. - Robię miecze, to prawda, ale innym pozostawiam korzystanie z moich płatnerskich wyrobów. Nie, doprawdy... rzadko zdarza mi się trzymać w dłoni obnażony miecz, chyba wtedy, kiedy go obracam na kowadle albo kamieniu szlifierskim. I skrzywdzili mnie ci potwarcy, którym twoja córka Katarzyna dała wiarę i teraz uważa mnie - mnie! najspokojniejszego obywatela Perth - za

hałaburdę i awanturnika. Chciałbym, żeby najbitniejszy z nich powtórzył to oszczerstwo na Wzgórzu Kinnoul... i żebyśmy się tam mogli spotkać sami na ubitej ziemi.

- A jakże - przytaknął Glover ze śmiechem. - Mielibyśmy wtedy dobrą próbkę twojej cierpliwej

ustępliwości! Wstydu nie masz, mój synu, że opowiadasz takie łągarstwa komuś, kto zna cię tak dobrze! A na Katie spoglądasz takim wzrokiem, jakby dziewczyna nie wiedziała, że nie zazna w naszym kraju bezpieczeństwa ten, kto zbrojną ręką nie broni swojej głowy. Śmiało, chłopcze! Niech mnie piorun strzeli, jeżeliś nie napsuł tyluż zbroi, ileś ich wykuł.

- A bo pewnie. Zły byłby to płatnerz, który ciosem własnego miecza nie dowiódłby zacności swoich wyrobów. Gdybym nie rozłupał czasem hełmu albo nie przedziurawił kolczugi, nie wiedziałbym, czy dobra jest stal w moim brzeszczocie, i nie miałbym okazji zewrzeć miecza z owymi nędznymi blaszkami, których edynburscy płatnerze nie wstydzą się wypuszczać ze swoich kuźni.

- Cha, cha! Założę się o złotą koronę, że to właśnie dało ci powód do sprzeczki z jakimś edynburskim kowalem!

- Nie do sprzeczki, ojcze! - bronił się Harry. - Ale przyznaję, że walczyłem na miecze z takim właśnie

jegomościem, i to w obronie honoru mojego rodzinnego miasta. Nie wyobrażasz sobie chyba, ojcze, że mógłbym się kłócić z bratem-płatnerzem?

- Ale skąd, uchowaj Boże! - zaśmiał się Glover. - No i jakże twój brat-płatnerz wyszedł z tego spotkania?

- Jak mógł wyjść ktoś, komu przebito włócznią arkusz papieru chroniący mu piersi... a prawdę mówiąc, wcale nie wyszedł. Bo kiedy odjeżdżałem, leżał w chacie pustelnika, lada chwilę spodziewając się śmierci, do której, jak mi powiedział ojciec Gervis, pod względem duchowym był dobrze przygotowany.

- Hm, hm. Zdarzyło ci się jeszcze stawać z kim do walki? - spytał Glover.

- Z ręką na sercu, biłem się jeszcze z jednym Anglikiem w Berwick, żeby rozstrzygnąć odwieczną kwestię supremacji*, jak oni to nazywają. Czyżbyś chciał, ojcze, żebym nie zabierał głosu w takiej dyspacie? Poszczyściło mi się, bom go zranił w lewe kolano.

- Na świętego Andrzeja, zacnieś się spisał! Ale wróćmy do rzeczy. Kto jeszcze stanął ci na drodze? -

pytał Szymon śmiejąc się z czynów swojego „miłującego pokój” przyjaciela.

- W Torwood potykałem się z jednym Szkotem - odparł Harry Smith - bośmy nie mieli pewności, który z nas lepiej włada bronią. Sam rozumiesz, ojcze, że takiego sporu nie można rozstrzygnąć na gębę. Biedaczysko stracił dwa palce.

- Ha, niezłe, jak na najpotulniejszego baranka w całym Perth, który miecza dotyka tylko przez imadło w kuźni. Co masz jeszcze do powiedzenia, chłopcze?

- Niewiele już... bo wyłojenie skóry góralowi z Pogórza niewarte jest chyba wzmianki.

- A za coś mu wyłoił skórę, o mężu miłujący pokój? - spytał Glover.

- Sam nie bardzo pamiętam za co - odparł Smith. - Ale chyba za to, że pokazał nos na południowej stronie mostu Stirling.

- No to twoje zdrowie, synu, bom ci jest rad po tych wszystkich rycerskich czynach. Ruszże się, Conachar. Niech zabrzęczą kubki, chłopcze, a i ty sam poczęstuj się miarką piwa.

Conachar z należą dbałością napełnił kubek swojego pana i Katarzyny. Co uczyniwszy postawił dzban na stole i usiadł.

- Jakże to, mój panie... takich cię nauczyli obyczajów? - obruszył się Szymon. - Napełnij kubek imci pana majstra Smitha.

- Jeżeli majster Smith jest spragniony, sam sięgnie po dzban - odparł młody Celt. - Syna mojego ojca dość już spotkało upokorzeń dzisiejszego wieczoru.

- Głośno piejesz, jak na nieopierzonego kogucika - zauważył Harry. - Masz jednak rację, że mężczyzna, który nie potrafi sam napełnić sobie pucharu, zasługuje na śmierć z pragnienia.

Ale jego gospodarz mniej cierpliwie potraktował wybuch młodzieńca.

- Klnę się na słowo uczciwego rękawicznika i na najpiękniejszą rękawiczkę, jaka wyszła z moich rąk,

że albo natychmiast napełnisz mu kubek z tego dzbana, albo jeszcze dzisiaj opuścisz mój dom.

Słyszac tę pogroźkę, Conachar wstał z posępną miną i zbliżywszy się do Smitha, który podnosił

właśnie kubek do ust, potknął się z rozmysłem i potracił pijącego tak niezręcznie, że pienne piwo chlusnęło Smithowi na twarz i odzienie. Taka jawna prowokacja wyczerpała cierpliwość płatnerza, który mimo swych wojowniczych skłonności był w głębi serca człowiekiem naprawdę łagodnym. Żelazną dłonią chwycił młodzieńca za gardło, gdy Conachar prostował się z udawanego potknięcia, i odepchnął go od siebie.

- Gdybyśmy nie byli w tym domu, młody wisielcze - powiedział - wyrwałbym ci uszy z głowy, jakem to zrobił już kilku łotrom z twojego klanu.

Conachar odzyskał równowagę ze zręcznością tygrysa, wrzasnął:

- Zginiesz, zanim powtórzysz te przechwałki! - i wyszarpnąwszy jednocześnie zza pazuchy krótki, ostry nóż, przyskoczył do Harry'ego Smitha i usiłował wbić mu ostrze w szyję tuż nad obojczykiem, co zapewne okazałoby się śmiertelnym ciosem. Ale niedoszła ofiara tak błyskawicznie podbiła rękę napastnika, że nóż musnął tylko kość, pozostawiając na skórze prawie bezkrwawe draśnięcie.
Silnemu

jak tur płatnerzowi wystarczyło kilka sekund, żeby wyrwać sztylet z ręki chłopca i unieruchomić go w

uścisku tak mocnym, jak jego żelazne kowalskie imadło. Bezsilny Conachar poczuł się teraz we władzy swojego groźnego antagonisty, którego gniew na siebie ściągnął, pobladł więc straszliwie, chociaż zaledwie przed chwilą jego twarz pałała, i stał oniemiały wstydem i lękiem. Ale wypuściwszy

młokosa z żelaznego uścisku, Smith powiedział spokojnie:

- Masz szczęście, żeś mnie prawdziwie nie rozgniewał... niedorostek z ciebie, a ja, dojrzały mężczyzna, nie powinienem był cię prowokować. Ale niech ci ta przygoda będzie przestrogą.

Zdawało się przez krótką chwilę, że Conachar odpowie, ale wypadł z izby, zanim Szymon zdążył oprzytomnieć i otworzyć usta. Dorota biegła tu i tam, znosząc maści i lecznicze zioła. Katarzyna zaś na widok krwi zapadła w omdlenie.

- Pozwól mi odejść, ojczy Szymonie - rzekł Harry ze smutkiem w głosie. - Takie już jest moje

szczęście, iż powinienem był wiedzieć, że doprowadzę do bójki i przelewu krwi w domu, do którego rad byłbym wnieść sam jeno spokój i radość. Nie trap się mną... biednej Katarzynie potrzebna jest twoja pomoc. Przełękła się zwady i omdlała, a wszystko to moja wina!

- Co też mówisz, synu! To wina tego góralskiego rozbójnika, którym mnie los pokarał. Ale jutro albo wróci na swoje Pogórze, albo zakosztuje smaku miejskich lochów! Targnąć się na życie gościa swego

majstra w domu swego majstra! To zrywa wszelkie między nami umowy. Ale niech zobaczę twoją ranę.

- Katarzyna, ojcze! - powtórzył Harry. - Zobacz, co jej dolega.

- Zajmie się nią Dorota - odparł Szymon. - Przestрах i zaskoczenie nie zabija, ale od noża i sztyletu łącno można umrzeć. A chociaż Katie jest moją ukochaną rodzoną córką, ty, drogi chłopcze, jesteś z wyboru moim umiłowanym synem. Pokaż ranę. Sztylet jest niebezpieczną bronią w ręce górala.

- E, tyle sobie z tego robię, co gdyby mnie ryś drapnął pazurem - odparł płatnerz. - A ponieważ rumieńce wracają na policzki Katarzyny, postaram się być za chwilę cały i zdrowy.

Przeszedłszy do kąta, w którym wisiało małe zwierciadło, Harry wyjął spieszenie z sakwy kłębek szarpi, które miały posłużyć do zatamowania krwi z dość powierzchownej zresztą rany. Gdy roztworzył skórzany kubrak i odsłonił szyję i ramiona, ukazały się jego męskie, muskularne kształty i skóra uderzająco biała w tych miejscach, które nie były jak dłonie i twarz wystawione na wpływy pogody i pracowitego kowalskiego rzemiosła. W pośpiechu zatamował krew szarpami; a gdy odrobina wody usunęła wszelkie inne ślady starcia, zapiął kubrak i wrócił do stołu. Katarzyna, choć wciąż blada i drżąca, ocknęła się już ze swego omdlenia.

- Czy zechcesz mi darować, Katarzyno, że cię obraziłem w pierwszej godzinie po moim powrocie?

Głupio zrobił młody Conachar, że mnie sprowokował, ale ja postąpiłem jeszcze mniej rozsądnie, że dałem się sprowokować takiemu młokosowi. Twój ojciec mnie nie wini, więc może i ty, Katarzyno, zechcesz mi przebaczyć?

- Nie mogę przebaczać czegoś - odparła Katarzyna - o co nie mam prawa czuć urazy. Jeżeli mój ojciec

życzy sobie czynić ze swego domu miejsce nocnych bijatyk, muszę być ich świadkiem. Na to nie mam rady. Pewnie źle zrobiłam, że niewczesnym omdleniem przerwałam dalszy rozwój uczciwej być może

walki. Moje jedyne usprawiedliwienie to, że nic mogę ścierpieć widoku krwi.

- Tak to przyjmujesz mojego przyjaciela, kiedy wraca do domu po wielu miesiącach? - wybuchnął stary Szymon. - Powiedziałem - przyjaciela? Nie, mojego drogiego syna. Cudem uniknął śmierci z rąk

hultaja, którego wygnam jutro z domu, a ty go traktujesz tak, jak gdyby zawinił odrzucając od siebie kłającą jadowitą żmiję!

- Nie moją rzeczą jest wyrokować, ojczy - odparło Piękne Dziewczę z Perth - kto w tej sprzeczce miał

słuszność, a kto jej nie miał. Nie dość też wyraźnie widziałam jej przebieg i nie wiem, kto był napastnikiem, a kto się bronił. Ale z pewnością nasz przyjaciel majster Harry nie zaprzeczy, że życie upływa mu w atmosferze walki, krwi i zwady. Wystarczy, żeby usłyszał o jakimś rębaczku, a już mu zazdrości sławy i już stara się dowieść swojej nad nim przewagi. Wystarczy, żeby zobaczył bijatykę, a

już rzuca się w sam jej środek. Z przyjaciółmi walczy z miłości i dla honoru; z wrogami walczy z nienawiści i zemsty. A z ludźmi, którzy nie są mu ani przyjaciółmi, ani wrogami, walczy, ponieważ znajdują się po tej czy tamtej stronie rzeki. Szczęk broni wypełnia mu całe dnie i zapewne śni mu się również w nocy.

- Córkó - przemówił Glover - nazbyt swobodnie obracasz językiem. Bitki i swary są sprawą mężczyzn, nie kobiet. Dziewczynie nie przystoi mówić o nich ani nawet myśleć.

- Ale gdy rozgrywają się tak krwawo w naszej obecności – odparła Katarzyna - trudno doprawdy żądać, żebyśmy o nich nie myślały czy nie mówiły. Zgadza się z tobą, ojczy, że ten bitny mieszczanin jest najzaciejszym człowiekiem, jaki żyje w murach naszego wolnego królewskiego

miasta Perth... że woli nadłożyć sto jardów drogi niż nadepnąć na marnego robaka... że bez potrzeby za nic nie zabiłby pająka... że w ostatnim starciu przed wyjazdem bił się z czterema rzeźnikami w obronie nieszczęsnego brytana, którego chcieli zabić, bo psisko nie zachowało się jak należy podczas psich zapasów, i o mało co sam nie podzielił losu brytana. Przyznaję też, ojcze, że żaden biedak nie wyjdzie głodny z domu bogatego płatnerza, bo nakarmią go tam i opatrzą jałmużną. Ale jaki stąd pożytek, jeżeli jego miecz czyni tyleż nowych wdów i sierot, ile jego kieska wspomaga?

- Hola, dziewczyno, pozwól mi powiedzieć choć słowo, zanim podejmiesz tę litanię zarzutów stawianych mojemu przyjacielowi, które to zarzuty brzmią nawet sensownie, chociaż w rzeczywistości

nie są w zgodzie z tym wszystkim, co widzimy wokół nas i o czym słyszemy. Czemu przyglądają się tak gorliwie - ciągnął stary Szymon - nasi królowie i dwór, nasi rycerze i damy, nasi opaci klasztorów

i zakonnicy, a nawet nasi księża? Czyż nie ściągają tłumnie, żeby patrzeć na turnieje rycerskie, na śmiałe popisy naszych dzielnych rycerzy w szrankach, żeby spoglądać na czyny odwagi i honoru dokonywane krwawo pośród szczęku oręża? Czymże różnią się postęпки tych dumnych panów od tego, co Harry robi w swojej własnej sferze działania? Czy słyszał kto kiedy, żeby on źle używał swoich sił i umiejętności dla czynienia krzywdy i ciemnienia? Czy znajdzie się choć jeden człowiek, który nie wie, jak często Harry bronił mieczem dobrej sprawy naszego miasta? I czy właśnie ty, dziewczyno, nie powinnaś się czuć dumna i szczęśliwa, że mężczyzna o tak szlachetnym sercu i tak silnym ramieniu uważa się za twego kawalera? Czym chlubią się damy znakomitych rodów, jeżeli nie dzielnością swoich rycerzy? A czyż najwaleczniejsi rycerze Szkocji dokonali może czynów mężniejszych niż mój nieustraszony syn Harry, choć jest tak niskiego stanu? Czyż nie zna go całe Pogórze i cała Nizina jako najlepszego płatnerza i najdzielniejszego wojaka?

Drogi ojcze - powiedziała Katarzyna - wybac, że powie ci to twoja córka, ale sam zadajesz kłam swoim słowom. Bogu i świętym niech będą dzięki, że należymy do miłującego pokój stanu i że nie

raczą nas zauważać ludzie rozmiłowani z racji swego świętego urodzenia i nienasyconej dumy w krwawych i okrutnych czynach, które wyniosli panowie zwą czynami rycerskimi. Jako człowiek wielkiego rozumu, przyznasz mi, ojcze, że byłoby dla nas niedorzecznością przystrajać się w ich pyszne pióra i wspaniałe szaty. Czemu więc mielibyśmy naśladować najgorsze wady tych ludzi? Czemu mielibyśmy zapożyczać od nich ich nieczułą dumę i bezlitosne okrucieństwo, dla którego mord jest nie tylko rozrywką, lecz także pretekstem do próżnych przechwałek? Niechże ci, którzy widzą w tych krwawych ofiarach przywilej swojego świętego urodzenia, szczycą się nimi, niech się w nich lubują. Od nas nikt nie żąda tego rodzaju poświęceń, możemy więc tym serdeczniej litować się nad cierpieniem ofiar. Błogosławmy nasze niskie urodzenie, gdyż zabezpiecza nas ono przed pokusą. Ale wybacz mi, ojcze, jeżeli naruszyła zasady posłuszeństwa córki wobec ojca, sprzeciwiając się twoim poglądom na tę sprawę.

- Powiem ci, dziewczyno, że jak na mój smak mówisz za dużo i za uczenie. Jestem tylko prostym rzemieślnikiem i cała moja wiedza ogranicza się do umiejętności odróżnienia prawej rękawiczki od lewej. Ale jeśli chcesz, żebym ci przebaczył, powiedz na pociechę mojemu Harry'emu kilka dobrych słów. Spójrz - siedzi tam przybity i porażony tymi wszystkimi gromami, któreś mu ciskała na głowę. Że też człowiek, dla którego dźwięk trąbki wojennej jest jak zaproszenie na biesiadę, kuli się na dźwięk dziecięcej świstawki!

Prawda to, bo słysząc, jak z najdroższych mu na świecie warg padają słowa malujące jego charakter w niekorzystnych barwach, płatnerz oparł czoło o złożone ramiona i siedział w pozie wyrażającej przygnębienie, a nawet może rozpacz.

- Bóg mi świadkiem, ojcze - odparła Katarzyna - że pragnęłabym móc pocieszyć Harry'ego nie zdradzając jednocześnie świętych ideałów prawdy, o której wspominałam przed chwilą. Lecz wolno mi... nie, taka misja jest moim obowiązkiem - ciągnęła dziewczyna w taki sposób, że powaga jej głosu

i niezwykle piękno rysów twarzy czyniły z tego momentu chwilę jakby natchnienia. - Prawda niebios

-
rzekła uroczyście - nie została nigdy powierzona ludzkiemu językowi, dawała mu jednak prawo osądzania i jednoczesnego przebaczenia. Wstań, Harry... wstań, szlachetny, zacny, szczodry i tak bardzo zwiedziony na manowce człowieka. Twoje wady są wadami bezlitosnych i okrutnych czasów

-
twoje cnoty są twoją własną zasługą.

Przy tych słowach położyła dłoń na dłoni Smitha i wyciągając mu rękę spod głowy (czyniła to łagodnie, on jednak nie mógł się jej oprzeć), zmusiła go, by podniósł ku niej swą męską twarz i pokazał oczy, w których jej wymówki, a także inne szarpiące mu duszę uczucia, wycisnęły łzy.

- Nie płacz - powiedziała - a raczej płacz, ale jak człowiek z nadzieją w sercu. Wyrzeknij się grzechów

dumy i gniewu, które tak łatwy mają do ciebie dostęp... rzuć precz przeklętą broń, bo zbyt łatwo ulegasz pokusie i używasz jej na śmierć i zgubę innych.

- Na próżno się do mnie zwracasz, Katarzyno - odparł płatnerz. - Prawda to, mógłbym zostać zakonnikiem i zamknąć się w murach klasztoru, ale póki żyję na tym świecie, muszę wykonywać moje rzemiosło. A kiedy wykuwam zbroje i miecze dla innych, zbyt silna jest pokusa, żeby samemu robić z nich użytek. Nie czyniłabyś mi tych wymówek, Katarzyno, gdybyś wiedziała, jak nieodłącznie związany jest ów sposób zdobywania przeze mnie powszedniego chleba z wojowniczością natury, z której ty mi robisz zarzut, a która jest wynikiem nieuniknionej konieczności. Czyż mogę nie myśleć - gdy wzmacniam na kowadle tarczę lub pancerz, żeby chroniły przed ranami - do czego będą może kiedyś służyły? I czyż jest możliwe, żebym wykuwając i hartując miecz wojenny nie pamiętał, jakie jest jego przeznaczenie?

- Więc wyrzeknij się, drogi Harry - zawołała dziewczyna wpadając w uniesienie i zamykając w swoich smukłych dłoniach całą krzepką siłę i ciężar jednej muskularnej dłoni płatnerza, a potem podnosząc ją z trudem, za przyzwoleniem jej właściciela, ale bez chętniej pomocy z jego strony -

wyrzeknij się, powtarzam, sztuki, która jest dla ciebie pułapką! Poniechaj wytwarzania narzędzi śmierci służących tylko do tego, żeby skrócić ludzki żywot, w którym już i tak za mało jest czasu na skruchę, lub żeby dodać odwagi tym, których lęk powstrzymałby może od zbędnego ryzyka.

Wykuwanie broni, czy to obronnych, czy zaczepnych, jest grzechem dla kogoś, kto usposobienie ma tak gwałtowne i popędliwe, że sama praca płatnerza gotuje mu zasadzki. Porzuć rzemiosło służące wojnie i zasłuż sobie na miłosierdzie niebios, wyrzekając się wszystkiego, co nazbyt łatwo prowadzi cię do grzechu.

- A jak - spytał cicho Harry - mam zdobywać chleb, kiedy wyrzeknę się sztuki, z której Harry z Perth słynie od Tay aż po Tamizę?

- Samo twoje rzemiosło otwiera przed tobą niewinne i chwalebne drogi - odparła Katarzyna. - Gdy przestaniesz kuć miecze i pancerze, będziesz mógł wytwarzać pożyteczne łopaty, a także nie mniej pożyteczne i szlachetne lemiesze - wszystkie te narzędzia, które służą zachowaniu życia lub jego większej wygodzie. Będziesz mógł robić w swojej kuźni rygle i zamki, które obronią słabych przed chciwością i uciskiem silnych. Ludzie nadal będą poszukiwali twoich wyrobów i wynagrodzą ci sownie ucziwą pracę...

Ale tutaj stary Szymon przerwał Katarzynie. Gdy jego córka ganiła wojnę i zapasy rycerskie, przysłuchiwał się jej słowom nie bez zdziwienia, albowiem poglądy dziewczyny były dla niego czymś zgoła nowym, ale jednocześnie z przekonaniem, że nie są one może pozbawione słuszności. Bo po prawdzie Szymon wolałby, żeby jego ewentualny zięć nie rzucał się tak pochopnie w owe rozliczne niebezpieczeństwa, na które osobista odwaga i ogromna siła zbyt często go narażały; pragnął więc szczerze, żeby ta część argumentów Katarzyny wywarła wpływ na jej wielbiciela, który - Szymon dobrze o tym wiedział - nader łatwo ulegał, gdy odwoływano się do jego uczuć, był jednak zacięty i nieustępliwy, gdy ktoś w sposób wrogi zasypywał go wymówkami lub pogrózkami. Jednakże gdy dziewczyna zaczęła dowodzić, że Harry powinien wycofać się z rzemiosła, które było intratniejsze

od

wszelkich innych rzemiosł praktykowanych podówczas w Szkocji, zwłaszcza zaś dla Harry'ego z Perth, który zarabiał więcej niż jakikolwiek inny płatnerz w kraju, argumenty dziewczyny zirytowały Glovera. Nurtowało go niejasne przekonanie, że nie byłoby źle nakłonić ewentualnego zięcia, aby chwycił za broń z większym umiarem; z drugiej jednak strony, stary Szymon szczyił się zażyłością z kimś, kto w owych czasach krwi i żelaza tak niedościgle władał orężem i kto uchodził za mistrza w sztuce, której biegłe opanowanie było dla każdego mężczyzny powodem do dumy. Gdy jednak Katarzyna zaczęła tłumaczyć Harry'emu, że najłatwiej osiągnie ów pokojowy stan ducha porzucając intratne rzemiosło, w którym nikt mu nie dorównywał i które ze względu na bezustannie toczące się zarówno prywatne spory, jak i wojny publiczne zapewniało mu stały dochód, Glover nie mógł dłużej powściągnąć gniewu. Zaledwie Katarzyna zaczęła radzić wielbicielowi, żeby się zajął wytwarzaniem

narzędzi gospodarskich, Glover - pewien już teraz swoich racji, chociaż na początku jej wywodów miał co do tego niejakie wątpliwości - wybuchnął:

- A jakże, rygle i zamki, lemiesz i brony!... A czemu nie ruszty i pogrzebacz, i żelazne formy do wypieku ciast... a także osiołek, na którym wozilibyście te towary po wsiach... i drugi osiołek dla ciebie, żebyś go prowadziła za uzdę? Dziewczyno, czyś ty całkiem postradała zmysły... czy ci się zdaje, że w tych niepewnych i niebezpiecznych czasach ludzie będą płacili szczodłą ręką za coś, co nie służy im do obrony własnego życia lub do zadania śmierci wrogowi? Potrzebne nam są teraz, głupia dziecino, miecze do obrony, a nie lemiesz do uprawy ziemi pod ziarno, z którego plony mogą wyrosnąć już po naszej śmierci. A jeśli idzie o chleb powszedni, ci, którzy są silni, zdobywają go i żyją; słabi oddają go silnym i umierają z głodu. Szczęśliwy jest człowiek, który jak mój zacny syn

Harry potrafi zdobywać środki do życia inaczej niż mieczem własnoręcznie wykuwanym w swojej kuźni! Praw mu ile chcesz kazań, żeby poniechał swojej wojowniczości... na pewno nie będę ci w tym

przeszkadzał. Ale żądać od pierwszego płatnerza Szkocji, aby zaprzestał kuć miecze, toporki i zbroje...

takie żądanie może świętego wyprowadzić z równowagi! Zejdź mi teraz z oczu, dziewczyno! I pamiętaj, proszę, że jeśli jutro rano w Dniu świętego Walentego będziesz miała szczęście ujrzeć majstra Smitha - na co w gruncie rzeczy swoim traktowaniem go wcale nie zasłużyłaś - zobaczysz młodzieńca, który jak nikt w całej Szkocji włada mieczem i berdyszem i który własną pracą zarabia pięćset marek rocznie, chociaż nie łamie nigdy niedziel i świąt.

Słyszając te gniewne słowa ojca, dziewczyna złożyła przed nim niski ukłon i w milczeniu, nie życząc mężczyznom dobrej nocy, udała się do pomieszczenia, które służyło jej za sypialnię.

ROZDZIAŁ III

Od kogo Smith, co stał się lordem i panem, pochodzi

Jak nie od Smitha-kowala, co w kuźni swej kuje co dzień?

VERSTEGAN

Serce płatnerza wezbrało licznymi i sprzecznymi uczuciami i zdawać się mogło, że za chwilę rozsądzi

okrywający je skórzany kaftan. Harry wstał i odwróciwszy twarz, jak gdyby pragnął ukryć malujące się na niej wzruszenia, wyciągnął rękę do Szymona.

- Niedoczekanie twoje, żebyś się miał teraz ze mną żegnać! - zawołał Glover uderzając spodem dłoni o wyciągniętą do niego dłoń płatnerza. - Nie uścisknę ci na pożegnanie ręki wcześniej jak za godzinę.

Nie chciałbyś chyba, żeby kilka kropel krwi z zadrapania i kilka głupich słów wypowiedzianych przez

niemądrą sikorkę rozdzieliło ojca i syna po tak długim niewidzeniu? Zostań więc, chłopcze, jeśli ci zależy na błogosławieństwie ojca i przychylności świętego Walentego, którego dzień jutro nam

zaświta. - Wyszedł z izby, głośno przywołując Dorotę, zaraz też rozległ się brzęk kluczy i stąpanie na

schodach, a po chwili stara sługa weszła niosąc trzy wysokie puchary z zielonego szkła, które były wtedy rzadką i cenną osobliwością; za nią ukazał się Glover z ogromną flaszą pojemności najmniej trzech kwart, które to kwarty są miarą używaną w naszych zniewieściałych czasach.

- Oto puchar wina, synu, które jest o pół raza starsze ode mnie. Mój ojciec dostał je w podarku od Flamandczyka Crabbego, który ufortyfikował i dzielnie bronił murów Perth w czasach małoletności naszego króla - Dawida. My, rękawicznicy, mieliśmy zawsze okazję przysłużyć się wojnie, chociaż nie byliśmy tak z nią blisko związani jak ty, który kujesz w żelazie i stali. A mój ojciec zasłużył sobie na wdzięczność starego Crabbego... opowiem ci kiedyś, w jaki sposób, a także, jak długo te flasze spoczywały w ziemi ukryte przed chciwością Anglików. Wychylę więc puchar za duszę mojego czcigodnego rodzica. Niechaj Bóg odpuści mu grzechy! Doroto, wychyl ten toast i zmykaj zaraz na górę do swojej izdebki. Wiem, niewiasto, że umierasz z ciekawości, ale mam do powiedzenia coś, co

przeznaczone jest tylko dla uszu majstra Harry'ego, mojego syna z wyboru.

Dorota nie ośmieliła się protestować; wychyliwszy dzielnie swoją miarkę wina, uczyniła, jak jej rozkazał pan. Przyjaciele zostali sami.

- Smuci mnie to, przyjacielu Harry - zaczął Glover napełniając ponownie oba puchary - smuci mnie serdecznie to, że moja córka obstaje przy swoich niemądrych kapryсах. Sądzę jednak, że ty sam mógłbyś jakoś temu zaradzić. Czemu przychodzisz do naszego domu pobrzękując mieczem i sztyletem, skoro ta głupia dziewczyna nie może ścierpieć widoku oręża? Czyż nie pamiętasz, że przed twoim ostatnim wyjazdem z Perth doszło między wami prawie do sprzeczki, ponieważ miał nosić się jak inni zacni i spokojni mieszczanie paradujesz obwieszony bronią na podobieństwo tych zbrojnych hultajów, których wielcy panowie trzymają na służbie?

- Ależ, dobry ojcze, klnę się Bogiem, że to nie moja wina! Zaledwie zsiadłem z konia, przybiegłem tu zawiadomić cię o moim powrocie, bom myślał, że może udzielisz mi swojego pozwolenstwa i poradzisz, co robić, żeby mnie twoja córka przyjęła na ten rok na swojego Walentyna. Ale dowiedziałem się od pani Doroty, żeście poszli do kościoła Dominikanów. Postanowiłem pójść tam za wami... częściowo, żeby wysłuchać tej samej mszy, a częściowo - niechaj Najświętsza Panna i święty

Walenty wybaczą mnie grzesznemu - żeby spojrzeć na tę, która tak mało mi okazuje przychylności! A kiedy weszliście do kościoła, zdawało mi się, że zobaczyłem dwóch czy trzech uzbrojonych mężczyzn, którzy naradzali się, spoglądając na nią i na ciebie, mój ojcze... był między nimi sir John Ramorny, którego poznałem bez trudu, chociaż był się przebrał w płaszcz służącego i miał na oku aksamitną czarną przepaskę. Pomyślałem więc, ojcze Szymonie że ponieważ ty jesteś człowiekiem w latach, a znów ten twój młokos góral trochę jest za młody do walki, pójdę cicho za wami, pewny, że mając przy sobie te moje stalowe zabawki potrafię przemówić do rozumu każdemu, komu przysłaby chęć napastować was w drodze do domu. Wiesz, ojcze, żeś mnie sam wypatrzył i nie zważając na moje

protesty wciągnął do domu. Gdyby nie to, przysięgam ci, że nie pokazałbym się twojej córce, zanimbym nie włożył nowego kaftana, który mi uszyli krawcy w Berwick wedle najnowszych wzorów; ani bym nie stanął przed nią z tymi narzędziami walki, których ona tak szczerze nienawidzi. Chociaż po prawdzie tylum sobie przy tej czy innej niefortunnej okazji narobił śmiertelnych wrogów, że może bardziej niż ktokolwiek inny w Szkocji powinienem nocną porą nosić przy sobie broń.

- Tej niemądrej dziewczynie nigdy to nie przyjdzie na myśl - powiedział Szymon Glover. - Za mało ma rozumu w głowie, żeby pamiętać, iż w tym naszym błogim kraju ojczystym każdy poczytuje sobie za przywilej i obowiązek samemu mścić własne krzywdy i zniewagi. Ale, chłopcze, twoja to wina, że

tak bardzo bierzesz sobie jej słowa do serca. Nieraz widziałem, jakieś sobie śmiało poczynał z innymi

dziewczętami... Czemu więc taki jesteś potulny i cichy w jej obecności?

- Bo Katarzyna, ojciec Glover, niepodobna jest do innych panien... jest nie tylko piękniejsza, ale także mądrzejsza, lepsza, bardziej wzniosła... wydaje mi się, że ulepiono ją z lepszej gliny niż nas wszystkich, którzy z nią obcujemy. Nie zapominam języka w gębie, kiedy rozmawiam z dziewczętami koło Słupa Majowego w dniu święta wiosny; ale w obecności Katarzyny czuję się jakimś przyziemnym, prostackim, dzikim stworem, który niegodny jest podnieść na nią oczu, a już tym mniej przeczyć jej słowom.

- Kiepski z ciebie kupiec, mój synu - odparł Glover - bo za wysoko cenisz towar, który pragnąłbyś nabyć. Katarzyna jest dobrą dziewczyną i moją córką; ale jeśli nadal będziesz tak bojaźliwy i nadal będziesz pochlebstwami wbijał ją w dumę, nie spełnią się nigdy moje i twoje życzenia.

- Tego się obawiam, ojciec - odparł Smith. - Bo mam uczucie, że nie jestem godny Katarzyny.

- Dałbyś pokój takim uczuciom! - wybuchnął Glover. - Współczuj lepiej mnie, przyjacielu Harry...

mnie i Katarzynie. Pomyśl, jak to biedactwo jest molestowane od rana do wieczora... i to przez jakich

ludzi... mimo że zasuwamy okiennice i ryglujemy drzwi. Napastował nas dzisiaj na ulicy ktoś, kto jest

zbyt możny, żeby powiadać na głos jego imię... tak, i okazał jawnie swój gniew, bom mu zabronił zalecać się do mojej córki w kościele, podczas gdy ksiądz odprawiał nabożeństwo. A poza nim są inni,

niewiele ustępliwi od niego. Czasem żałuję, że Katarzyna nie jest trochę mniej piękna, bo wtedy nie wzniecałaby tych niebezpiecznych zapałów, albo że nie jest trochę mniej nabożna, bo wtedy wzięłaby sobie męża jak każda zacna białogłowa - rada, że dostał jej się dzielny Harry Smith, który potrafi obronić żonę przed najzapalczywszym nawet galantem na dworze króla Szkocji.

- Gdybym jej nie obronił - rzekł Harry wyciągając przed siebie rękę tak potężną i muskularną, że mogła być należeć do olbrzyma - niechby ta dłoń nigdy już nie dzierżyła młota! A gdyby doszło do takiej przeprawy, piękna Katarzyna zrozumiałaby może, że to nie grzech, kiedy mężczyzna nauczy się sztuki obrony. Ale ona, po mojemu, wyobraża sobie, że świat jest jednym wielkim przyklasztornym kościołem i że wszyscy ludzie na nim żyjący powinni się zachowywać tak świątobliwie, jak gdyby słuchali nieustającej mszy.

- Po prawdzie ta dziewczyna wywiera dziwny wpływ na wszystkich, którzy z nią obcują - rzekł stary Szymon. Ten młokos z Pogórza, Conachar, z którym biedzę się od kilku lat, słucha każdego jej rozkazu, chociaż ma hardą naturę swoich ziomków, co sam widziałeś, i nikt inny w domu nie może sobie z nim poradzić. Ale też dziewczyna zadaje sobie niemało trudu, żeby go odwieść od jego prostackich góralskich nawyków.

Słyszając te słowa, Harry Smith poruszył się niespokojnie na krześle, podniósł puchar, odstawił go z powrotem na stół i w końcu wybuchnął:

- Niech diabli tego chłystka z Pogórza i całe jego plemię! Katarzyna wyobraża sobie, że go czegoś nauczy? Będzie z nim dokładnie tak, jak było z tym wilczym szczeniakiem, które w mojej głupocie usiłowałem oswoić, żeby mi zastąpiło psa. Wszyscy myśleli, że go już oswoiłem, aż kiedyś, kiedy w złą godzinę zabrałem go na przechadzkę na Wzgórze Moncrieff, rzucił się na stado dziedzica i tak je przetrzebił, że gdyby dziedzicowi nie była akurat potrzebna zbroja, do dziś bym tego gorzko żałował.

dziwno mi doprawdy, ojciec Glover, że ty, człek taki mądry, godzisz się trzymać tego młodego górala

-

który gładki jest, przyznaję - tak blisko Katarzyny, jakby prócz twojej córki nie było go komu uczyć.

- Wstyd, synu, wstyd... widzę, żeś jest zazdrosny o biednego młodzika, który, jeśli mam ci rzec prawdę, mieszka tu u mnie, ponieważ z tamtej strony gór miałby cięższe życie.

- Wiem, ojciec Szymonie, wiem! - wybuchnął Harry, który był obarczony wszystkimi przesądami mieszczan swojej epoki. - A gdybym się nie lękał twojego gniewu, powiedziałbym, że za dużo masz konszachtów z tymi łotrzykami z gór.

- Muszę przecież, synu, zaopatrywać się gdzieś w skóry jelenie i łosiowe, koźle i inne, a górale z Pogórza sprzedają mi je taniej niż ktokolwiek inny.

- Mogą sobie na to pozwolić - rzekł oschle Harry - bo sprzedają tylko to, co ukradną.

- Ho, ho... nie moja sprawa, skąd biorą zwierzynę, bylebym ja otrzymał skóry. Ale jak już wspominałem, pewne względy skłoniły mnie do tego, że spełniłem prośbę ojca Conachara i zgodziłem się

przyjąć młodzika pod mój dach. Zresztą chłopiec jest tylko półkrwi góralem, a co więcej, nigdy go nie widział w takim zapamiętaniu wściekłości jak przed chwilą.

- Jak go następnym razem zobaczysz, ojciec, będzie to znaczyło, że zaraz zabije człowieka - odparł Harry Smith tym samym oschłym tonem.

- Niemniej jeżeli życzysz sobie, synu, odrzucę wszelkie inne względy i jutro rano każę poszukać hultajowi nowej kwatery.

- Nie, ojciec odparł płatnerz. - Nie sądzisz chyba, że Harry Smith więcej sobie robi z tego góralskiego chłystka niż, powiedzmy, z osełki w kuźni? Nie obejdzie mnie to nawet, jeżeli cały jego klan pojawi się nagle na Shoegate* i runie na mnie wśród okrzyków wojennych i świstu piszczałek.

Wystarczyłoby, żebym zwołał pięćdziesiąt mieczy i puklerzy, a uciekliby prędzej, niżli tu przyszli.

Ale prawdę mówiąc - chociaż to też jest próżne gadanie - nierad widzę, że ten młokos przebywa wciąż

w towarzystwie Katarzyny. Pamiętaj, ojcze Glover, że oczy i ręce masz zajęte pracą i że musiałbyś poświęcać swojemu rzemiosłu pilną uwagę, nawet gdyby ten nicpoń przykładowie ci pomagał... a wiadomo przecie, że ci nie pomaga.

- To prawda - westchnął Szymon. - Kroj zawsze skórę na rękawiczki z prawej ręki i chyba nigdy w życiu nie uszyje porządnej pary.

- Cóż, myśli ma zajęte całkiem innymi sposobami krajania skóry - rzucił uszczypliwie Harry. - Ale za twoim pozwoleniem, ojcze, powiem tylko jedno: czy ten młokos pracuje, czy się próżniaczy, nie ma on oczu zmaconych od żaru, nie ma na rękach blizn od rozpalonego żelaza i odcisków od młota, nie ma włosów uwędzonych w dymie i tak osmalonych od płomieni, że w końcu bardziej przypominają szczecinę borsuczą niżli włosy godne ludzkiego nakrycia głowy. Choćby Katarzyna była najlepszą dziewczyną na świecie - a według mnie jest z pewnością najlepsza w całym Perth - widzi przecież i rozumie, że wszystko to stanowi o różnicy między jednym mężczyzną a drugim i że ta różnica nie przemawia na moją korzyść.

- Za twoją pomyślność, chłopcze, z całego serca - rzekł Glover, ponownie napełniając oba puchary. -

Ale widzę, że chociaż taki znamienity z ciebie płatnerz, nie wiesz, z jakiego kruszcu wykute są niewiasty. Potrzeba ci więcej śmiałości, synu. Zachowujesz się tak, jakby cię za chwilę czekała szubienica, a tymczasem powinienes mieć obejście młodego i wesołego junaka, który wie dobrze, ile jest wart, i nie pozwoli wodzić się za nos najpiękniejszej choćby prawnuczce Ewy. Katarzyna z natury

bardzo jest podobna do swojej matki. A tobie się zdaje, pusta głowo, że niewiasty najbardziej sobie cenią to, co jest miłe dla oka. Ich ucho też się dopomina o swoje; chcą wiedzieć, że ten, którego darzą

względami, jest człowiekiem śmiałym i chwackim i chociaż zabiega o ich miłość, mógłby zdobyć dwadzieścia innych białogłów. Uwierz starcowi: niewiasta większą wagę przykładą do cudzych

opinii

niż do swoich własnych. A niech Katarzyna spyta o najmężniejszego człowieka w Perth, czyje nazwisko usłyszy, jeśli nie Harry'ego-płatnerza? Kto wykuwa najpiękniejsze miecze na kowadle? Jakże... Harry Smith. Kto jest najdzielniejszym tancerzem w dniu święta wiosny? Też pytanie... krzepki Harry-płatnerz! Kto najweselej śpiewa ballady? Wiadomo, Harry. Kto jest najtęższym zapaśnikiem... kto najlepiej włada mieczem i puklerzem... kto najpiękniej popisuje się w szrankach... kto kielzna dzikie konie... ujarzmia jeszcze dzikszych górali... ty, drogi Harry, nikt inny tylko ty! I miałaby Katarzyna przekładać tego młokosa z gór nad ciebie? Bzdury! Z równym powodzeniem udałoby jej się zrobić żelazną rycerską rękawicę z kozłej skórki. Powiadam ci, Conachar nic dla niej nie znaczy, tyle tylko, że rada byłaby uchronić od sideł diabelskich zarówno jego, jak i wszystkich innych górali z Pogórza. Biedactwo, niechże ją Bóg ma w swojej opiece! Gdyby mogła, nawróciłaby całą ludzkość ku lepszym i szlachetniejszym myślom!

- Co jej się z całą pewnością nie uda - oświadczył Harry Smith; czytelnik zauważył już z pewnością, że płatnerz nie żywił serdecznych uczuć względem górali. - W tym sporze postawię na wygraną starego kuternogi z ogonem i rogami, o którym powinienem wiedzieć coś niecoś, jako że obaj pracujemy w tym samym ognistym żywiole, przeciwko naszej Katarzynie; diabeł zwycięży w duszy górala i sam się przebierze w jego tartany*. To pewne jak amen w pacierzu.

- Słusznie, tylko że Katarzyna ma pomocnika - wtrącił stary Szymon — o którym nic jeszcze nie słyszałeś... Ojciec Klemens wziął młodego niecnotę mocno w garść, a on tyleż się boi setki diabłów, co ja stada gęsi.

- Ojciec Klemens? - zdziwił się Harry. - Co rusz znajdujecie sobie w tym naszym bogobojnym mieście

jakiegoś świętego. Kimże jest, jeśli łaska, ów nowy pogromca diabła? Pewnie pustelnikiem, którego wyćwiczono w księżym rzemiośle, jak zapaśnika ćwiczy się do walki, a który utrzymuje się w dobrej kondycji dzięki postom i pokucie? Mam rację?

- Nie. I to jest w tym najdziwniejsze - odparł Glover. - Ojciec Klemens je, pije i żyje na podobieństwo

zwykłych ludzi... chociaż przestrzega ściśle wszystkich reguł Kościoła.

- Och, rozumiem! Krzepki księżulo, który więcej myśli o życiu doczesnym niż przyszłym... w wilię suchych dni wypija antałek wina, bo inaczej nie zdzierzyłby postu... ma wygodne in principio* i spowiada najpiękniejsze niewiasty w mieście?

- Strzelasz na oślep, synu. Zapewniam cię, że oboje z córką potrafimy wyniuchać poszczonego obłudnika. Ale ojciec Klemens nim nie jest.

- Kimże więc jest, na Boga?

- Albo człowiekiem znacznie lepszym od wszystkich razem wziętych jego braci z klasztoru Świętego Johnstona, albo o tyle gorszym od najgorszego z nich, że wstyd to i hańba, iż mieszka w naszym kraju.

- Mnie się zdaje, że nietrudno chyba rozstrzygnąć, czy jest jednym, czy drugim - zauważył Harry Smith.

- Wystarczy ci, synu, powiedzieć - rzeki Glover - że gdybyś sądził ojca Klemensa wedle tego, co czyni

i mówi, uznałbyś, że to najzaczniejszy i najświętobliwszy człowiek na świecie... który znajdzie słowa pociechy dla każdego zbolełego, służy radą każdemu strapionemu... jest najpewniejszym doradcą bogaczy i najlepszym przyjacielem biedaków. Ale jak posłuchasz, co mówią o nim dominikanie, zaraz

dojdiesz do wniosku, że to... Benedicite*! - tu stary Szymon przeżegnał się znakiem krzyża -

plugawy heretyk, którego należałoby spalić na stosie i w ten sposób wysłać do potępieńców, co smażą

się w wiecznym ogniu.

Teraz Smith zrobił znak krzyża.

- Na Matkę Najświętszą, ojczy Szymonie! - wybuchnął. - I ty, któryś tak jest rozumny i przezorny, że ludzie nazywają cię Mądrym Rękawicznikiem z Perth, pozwalasz, żeby duszpasterzem twojej córki

był ktoś, kto - święci, ratujcie nas! - jest być może sługą samego Lucyfera? Słuchaj, ojcze... czy to nie ksiądz przywołał diabła w Meal Vennel, kiedy wielka wichura zwała chatę kmiecia Jacksona? Czy tego ranka, kiedy woda zniosła nasz piękny most, nie pokazał się na środku Tay diabeł w księżym ornacie, fikający koziołki na grzbietach fal?

- Nie wiem, czy się pokazał, czy nie pokazał - rzekł Glover. - Wiem tylko, że ja go nie widziałem. A jeśli idzie o Katarzynę, nie mogę nawet rzec, że ojciec Klemens jest jej duszpasterzem, bo spowiada ją nadal ojciec Franciszek od dominikanów, który dzisiaj czekał na nią w konfesjonale. Ale niewiasty bywają czasem samowolne, a Katarzyna częściej zasięga rad ojca Klemensa, niżlibym ja sobie tego życzył. Swoją drogą, kiedym sam z nim porozmawiał, wydał mi się on człowiekiem tak zacnym i świątobliwym, że bez lęku powierzyłbym mu własne zbawienie. Jedno jest pewne: dominikanie źle o nim mówią. Ale co to obchodzi nas, ludzi świeckich? Oddawajmy matce Kościołowi to, co jej się słusnie należy, rozdzielajmy jałmużnę, spowiadajmy się z naszych grzechów i odprawiajmy pokutę, a święci nam dopomogą.

- Słuszenie, słuszenie - przyznał Harry. - I okażą wyrozumienie dla każdego popędliwego a niefortunnego ciosu, który zdarzy nam się zadać w walce, kiedy nasz przeciwnik był w pozycji obronnej i stawiał nam otwarcie czoła. Niech sobie Katarzyna myśli, co chce - to jest jedyne credo*, jakim człowiek winien się kierować w Szkocji. Zważ, ojcze, że w kraju, w którym nie milknie szcęk mieczów, mężczyzna musi umieć parować ciosy, bo inaczej krótki będzie jego żywot. Pięć srebrnych nobli* na potrzeby naszego ołtarza uwolniło mnie od winy za śmierć najlepszego zapaśnika, z jakim miałem nieszczęście potykać się na miecze.

- Zatem dopijmy wina - rzekł stary Szymon - bo słyszę, że bije północ na wieży u dominikanów. A teraz słuchaj uważnie, synu Harry: staw się pod oszklonym oknem w naszej wschodniej ścianie szczytowej o pierwszych promieniach świtu i daj mi znać, żeś już przyszedł, gwizdząc cicho

zawołanie płatnerzy. Postaram się, żeby Katarzyna wyjrzała, a zyskasz wtedy przywileje jej kawalera i

Walentyna na cały następny rok. Jeśli zaś nie potrafisz wyciągnąć z tego odpowiednich dla siebie korzyści, pomyślę, że chociaż nosisz skórę lwa, natura umieściła ci na głowie długie ośle uszy.

- Amen, ojcze! - zawołał Harry. - Życzę ci dobrej nocy. Niech Bóg błogosławi temu domowi i wszystkim, których chronią jego mury. Usłyszysz hejnał płatnerzy wraz z paniem koguta. Głowę dam, że stary kur pozazdrości mi głosu.

Po tych słowach Harry Smith opuścił dom Glovera, a choć był człowiekiem nieustraszonym, idąc przez wyludnione ulice ku swojemu domowi, który znajdował się w Mill Wynd, na zachodnim krańcu Perth, cały czas miał się na baczności.

ROZDZIAŁ LV

Cóż to za niepokoje do naszych wkradły się stron?

To wierność - chociaż młode i biedne serca drżą.

DRYDEN

Słusznie możemy przypuszczać, że krzepki płatnerz nie ościagał się z przygotowaniami do spotkania wyznaczonego mu przez Szymona. Przyodział się z większą dbałością, niż to zwykle czynił, starając się usunąć w cień te wszystkie cechy swojego wyglądu i ubioru, które przywodziły na myśl wojaczkę.

Był jednak osobistością tak dobrze znaną, że nie mógł doprawdy ryzykować wychodzenia bez broni na miasto, w którym miał wprawdzie licznych przyjaciół, ale również - w następstwie wielu dawnych

zbrojnych utarczek - kilku śmiertelnych wrogów; wiedział, że gdyby ci ludzie zaskoczyli go zniemacka, nie zaznałby od nich litości. Dlatego włożył pod odzienie kolczugę tak cienką i giętką, że nie krępowała jego ruchów bardziej niż nasza dzisiejsza podkoszulka, a jednocześnie tak wytrzymała, że mógł bezpiecznie na niej polegać; wiedział o tym, bo każde oczko wykuł i połączył własnymi rękami. Na wierzchu nosił, jak przystało na młodzieńca jego wieku i stanu, flamandzkie obcisłe spodnie i kubrak; a ponieważ było to święto, Harry wybrał na ten dzień kubrak z najprzedniejszego angielskiego sukna w kolorze jasnoniebieskim, rozszyty pasami czarnego atłasu i przyozdobiony czarnym jedwabnym haftem. Buty miał z kordybanu*, opończę z szarego szkockiego sukna, pod opończą zaś ukryty krótki mieczyk, czyli *couteau de chasse**; była to jego jedyna broń, w rękę trzymał bowiem tylko gałązkę ostrokrzewu. W czarnym aksamitnym kołpaku wszyta była pod podszewką stal bezpiecznie chroniąca głowę.

Ogólnie rzecz biorąc, Harry Smith miał wygląd - do czego był w pełni uprawniony - mieszczanina bogatego i szacownego; jego strój cechowała taka okazałość, na jaką mógł sobie pozwolić nie przekraczając barier swojego stanu i nie uzurpując sobie praw stanu szlacheckiego. Z drugiej strony, jego swobodne i męskie obejście, acz wskazujące na całkowitą obojętność wobec niebezpieczeństw, nie przypominało jednak w niczym zachowania się rębajłów i zawadiaków owej epoki, do których czasem zaliczano go niesprawiedliwie; czynili to ci, którzy wyciągając fałszywe wnioski z jego

ogromnej siły i znajomości wojennego rzemiosła, przypisywali licznie toczone przez niego walki swarliwemu i gwałtownemu usposobieniu. Ale przeciwnie, z rysów Harry'ego była swoboda i zacność

człowieka, który ani nie szuka zaczepki, ani się jej nie ulęknie.

Przyodziawszy się w swoje najokazalsze szaty, płatnerz umieścił następnie na sercu mały podarek, który dawno już przygotował dla Katarzyny Glover; gdy niebawem zostanie jej Walentynem, zyska prawo wręczenia jej tego drobiazgu, który ona będzie mogła przyjąć bez zwykłych w innym przypadku dziewczęcych skrupułów.

Był to mały rubin wycięty w kształcie serduszka przebitego złotą strzałą i umieszczony w sakiewce z siatki tak delikatnie odrobionej w stali, że mogłaby służyć za kolczugę dla króla. Na zamknięciu sakiewki wyryte były poniższe słowa:

Miłości strzały

W serca trafiały,

Żelazne zbroje przeszywały

Nad ułożeniem tej dewizy Harry nie mało się natrudził, był jednak bardzo zadowolony ze swego utworu, który dawał niejako do zrozumienia, że płatnerz biegłością swojego rzemiosła zdoła ochronić

każde serce prócz swego własnego. Harry zarzucił na ramiona opończę i szybkim krokiem puścił się przez opustoszałe ulice miasta; chciał stanąć na wskazanym miejscu jeszcze przed świtem.

Spełniając ten zamiar, szedł High Street i w miejscu, gdzie teraz stoi kościół Św. Jana, skręcił w uliczkę prowadzącą do Curfew Street; ale gdy nagle spojrzął w niebo, spostrzegł, że wyprawił się z domu najmniej o godzinę za wcześnie, i pomyślał, że lepiej zrobi przychodząc na miejsce spotkania tuż przed umówioną godziną. Było bardziej niż prawdopodobne, że prócz niego inni galanci stawią się

przed domem Pięknego Dziewczęcia z Perth; Harry tak zaś dobrze znał własne słabostki, że zdawał sobie sprawę z wielkiego prawdopodobieństwa zbrojnej utarczki. „Mam nad nimi przewagę - myślał

-
bo ojciec Szymon mnie jednemu jest przychylny. Czemu więc miałbym plamić palce krwią biedaków, którzy jako mniej ode mnie szczęśliwi nie zasługują na moją uwagę? Nie... nie... tym razem dowiodę przezorności i postaram się trzymać z daleka od wszelkich pokus walki. Będą mieli tyle tylko czasu na

zaczepki, ile potrwa danie przeze mnie sygnału i odpowiedź ojca Szymona. Swoją drogą ciekawe, co starzec wymyśli, żeby ją sprowadzić do okna. Boję się, że gdyby wiedziała, o co idzie, miałby pewne

trudności z urzeczywistnieniem swoich planów".

Snując te i podobne myśli miłosne, płatnerz szedł wolnym krokiem; a gdy szedł, zwracał często oczy ku wschodowi i wpatrywał się w firmament, na którym ani jedna smuga szarości nie zapowiadała jeszcze brzasku, choćby nie wiem jak odległego; niecierpliwemu sercu płatnerza zdawało się, że tego ranka świt jak nigdy zwleka z nadejściem i nie chce snadź objąć w posiadanie swoich wschodnich barbakanów. Szedł teraz z wolna popod murami kaplicy Św. Anny (nie omieszkawszy przeżegnać się i powiedzieć zdrowaśkę), gdy nagle zagrzmiął głos dobywający się spoza potężnej przypory murów kościoła:

- Wlecze kroki ów, który winien biec.

- Kto mówi? spytał płatnerz rozglądając się dokoła, zdumiony tym niespodziewanym odezwaniem, tak niezwykłym w tonie i treści.

- Mniejsza o to, kto mówi - odparł ten sam głos. - Jak się tego nie pośpieszysz, pośpiech twój będzie zgoła daremny. Nie dyskutuj, tylko biegnij żywo.

- Mężu świątobliwy czy grzeszny... diable czy aniele - zawołał Harry żegnając się pobożnie - twoja rada nazbyt mi jest cenna, abym miał jej nie usłuchać! Święty Walenty, dodaj mi skrzydeł!

Co powiedziawszy, Harry zaczął biec z taką prędkością, że niewiele ludzi zdołałoby go doścignąć, i już po chwili był na Curfew Street. Zaledwie przebiegł kilka kroków w kierunku domu Glovera, który

stał mniej więcej w połowie wąskiej uliczki, gdy dwaj mężczyźni oderwali się od dwóch przeciwległych ścian domostwa i zaczęli iść ku niemu, jakby w porozumieniu, aby mu przeciąć drogę.

W mrocznym świetle zdołał tylko dojrzeć, że obaj są odziani w opończe górali z Pogorza.

- Zejść mi z drogi - powiedział płatnerz głębokim, srogim głosem, który był stosowny do szerokości jego potężnej piersi.

Nie odpowiedzieli, a przynajmniej Harry nie usłyszał ich słów; zobaczył jednak, że wyciągają miecze

z zamiarem powstrzymania go siłą. Domyślając się jakichś niecznych zamiarów, choć nie wiedząc jakich, Harry natychmiast postanowił przebić się przez tę zaporę, jakakolwiek będzie tego cena, i bronić wybranki swego serca - lub przynajmniej leć u jej stóp. Przerzucił opończę przez lewe ramię, na kształt puklerza, i szybkim, pewnym krokiem zbliżył się do mężczyzn. Bliżej stojący usiłował pchnąć go mieczem, ale Harry osłonił się opończą i grzmotnąwszy mężczyznę pięścią w twarz, a jednocześnie podstawivszy mu nogę, zwałił go na bruk; niemal w tej samej sekundzie uderzył nożem w napastnika stojącego po prawej - z taką siłą, że on również zwałił się na ziemię i leżał bez zmysłów

obok swego towarzysza. Tymczasem płatnerz, targany niepokojem, który sytuacja na ulicy, strzeżonej czy też bronionej przez napastników nie cofających się przed gwałtem, w pełni uzasadniała, ruszył groźnie naprzód. Usłyszał ściszone szepty i szmery pod oknami Glovera - pod tymi samymi oknami, z których Piękne Dziewczę z Perth miało go powitać jako swego Walentyna. Harry przyczał się po drugiej stronie ulicy, chciał bowiem rozpoznać liczbę i zamiary napastników. Ale jeden z członków bandy, który stał tuż pod oknem i teraz usłyszał go lub może dojrzał, przeszedł przez ulicę i biorąc go zapewne za czuwającego na straży towarzysza, spytał szeptem:

- Co to były za hałasy, Kenneth? Czemuś nie zawołał?

- Nędzniku - powiedział Harry - schwytano cię na gorącym uczynku, więc zginiesz!

Mówiąc to, wznosił sztylet i zadał nieznajomemu cios tak potężny, że ziściłyby się natychmiast

wypowiedziane słowa, gdyby nieznajomy nie zasłonił się ręką, na którą spadło uderzenie wymierzone

w głowę. Rana była snadź straszliwa, bo mężczyzna zachwiał się, zatoczył i runął na ziemię z przeraźliwym jękiem. Nie bacząc na powalonego, Harry Smith skoczył teraz ku gromadzie mężczyzn, którzy ustawiali właśnie drabinę pod oknem w szczytowej ścianie. Harry nie tracił czasu na liczenie napastników ani też nie starał się upewnić, jakie mają zamiary; wykrzykując tylko miejskie hasło na trwogę i dając sygnał, którym zwoływano mieszczan pod broń, rzucił się na łotrów, z których jeden wstępował właśnie na szczeble drabiny. Harry ściągnął drabinę, cisnął mężczyznę, który się na nią wspinał, na bruk i postawiwszy nogę na jego ciele, unieruchomił go w pozycji leżącej. Towarzysze powalonego natarli na płatnerza z zajadłą wściekłością, usiłując uwolnić swego współnika. Ale kolczuga broniła Harry'ego przed razami, parował też ich ciosy z nawiązką, wołając jednocześnie ile sił w płucach:

- Na pomoc! Na pomoc, w imię zacnego świętego Johnstona! Dzielni mieszczanie, sięgnijcie po łuki i miecze! Łuki i miecze! Napadli nas, wdzierają się do naszych domów pod osłoną nocy!

Słowom tym, które niosły się daleko po wyludnionych ulicach, towarzyszyły potężne ciosy i razy, rozdzielane skutecznie między napastników. A tymczasem mieszkańcy dzielnicy zaczęli budzić się ze snu i wybiegali na ulicę w koszulach, ale z mieczami i puklerzami, niektórzy zaś niosąc pochodnie. Napastnicy rzucili się teraz do ucieczki; udało się też zbiec wszystkim, prócz mężczyzny, którego Smith zrzucił na ziemię wraz z drabiną. Szamocąc się z nim, nieustraszony płatnerz chwycił go za gardło i trzymał tak mocno, jak chart trzyma zająca. Pozostałych rannych towarzysze unieśli z pola walki.

- Oto łotry, które burzą pokój w obrębie murów naszego miasta - rzekł Harry do sąsiadów, którzy zebrali się wokół niego. - Biegnijcie za tamtymi. Nie mogli ujść daleko, bom kilku z nich okaleczył. Krew zaprowadzi was na ślad.

- Jakieś psubraty z Pogórza - powiedział jeden z mieszczan. - Dalej, sąsiedzi, trzeba nam ich ścigać!

- Słusznie... ścigajcie ich... a ja już zajmę się tym łotrzykiem - oznajmił Harry.

Mieszczanie rozbiegli się na wszystkie strony; światła ich pochodni migotały tu i tam, a okrzyki niesły

się po całej okolicy.

Tymczasem jeńiec pojmany przez płatnerza domagał się wolności, używając dla osiągnięcia tego celu

zarówno próśb, jak grózb.

- Jesteś szlachcicem, więc puść mnie, a wszystko zostanie ci wybaczone.

- Nie jestem szlachcicem - odparł Harry. - Nazywam się Hany Smith i jestem płatnerzem, obywatelem

królewskiego miasta Perth. A przebaczenie nie jest mi potrzebne, bom w niczym nie zawinił.

- Nędzniku, sam nie wiesz, na co się ważyłeś! - wybuchnął nieznajomy. - Ale puść mnie, a napełnię ci

kołpak sztukami złota.

- A ja za chwilę napełnię ci kołpak rozłupanym na dwoje czerepem - odparł płatnerz. - Chyba że się uspokoisz i będziesz stał bez ruchu, jak przystoi jeńcowi.

- Co się tu dzieje, mój synu? - spytał stary Szymon wychylając się z okna. - Słyszę twój głos, ale ma on zgoła inne brzmienie, niżem się tego spodziewał. Co to za harmider? I czemu sąsiedzi chwycili za broń?

- Ano, ojcie Glover, dobierała się do twoich okien zgrabna gromadka łotrzyków. Coś mi się widzi, że

jednemu z nich posłużę za ojca chrzestnego. Trzymam go tak mocno, jak imadło w kuźni trzyma sztabę żelaza.

- Posłuchaj mnie, Szymonie Glover - przemówił jeńiec. - Pozwól mi zamienić z sobą kilka słów na osobności i uwolnij mnie z uścisku tego błazna o żelaznych pięściach i ołowianych łapach, a przekonam cię, że nikt nie miał złych zamiarów względem ciebie i twoich bliskich. A ponadto powiem

ci coś, co będzie z wielką dla ciebie korzyścią.

- Poznaję ten głos - rzekł Szymon Glover podchodząc teraz do drzwi z latarnią, która słabo tylko rozświetlała mrok. - Synu Harry, pozwól, żeby ten młodzieniec ze mną porozmawiał. Zapewniam cię, że nic mi z jego strony nie grozi. Poczekaj chwilę przed drzwiami i pilnuj, żeby nikt nie wchodził do domu - czy to w dobrych, czy w złych zamiarach. Ręczę, że intencją tego młodego junaka był tylko jakiś niewinny figiel w Dniu świętego Walentego.

Mówiąc to, Szymon wciągnął jeńca do środka i zamknął drzwi; Harry został sam, mocno zdziwiony, że jego stary przyjaciel w tak niezwykły sposób potraktował krwawą napaść. „Figiel! - powiedział sobie w duchu. - Ładny byłby to figiel, gdyby ci hultaje dostali się do sypialni Katarzyny! A dostaliby się na pewno, gdyby nie ten przyjazny, szczerzy głos, który zagadał do mnie spomiędzy murów, a który, jeśli nie był głosem samej świętej Anny (choć kim ja jestem, żeby taka świątobliwa osoba chciała do mnie przemawiać), nie odezwałby się w tym miejscu bez jej przyzwolenia i zgody, za co przyrzekam zacnej świętej niewieście woskową świecę na ołtarz, tak długą jak mój sztylet... Ale swoją

drogą szkoda, że zamiast sztyletu nie miał przy sobie mojego obosiecznego mieczyka, tak przez wzgląd na świętego Johnstona jak i tych łotrów... bo te sztylety to nawet miłe zabawki, ale według mnie bardziej odpowiednie dla dłoni gołowąsa niż mężczyzny. Och, mój wierny obosieczny towarzyszu, który wiesz u wezglowia mego łóżka... gdybym cię trzymał w rękach, ci hultaje nie czmychnęliby tak łatwo z pola walki! Ale co to widzę... pochodnie i błysk obnażonej stali!" Stój! Kto zacz? Jeśliście przyjaciółmi tego królewskiego miasta witajcie.

- Nie powiodły nam się łowy - odparli mieszczanie. - Poszliśmy śladem krwi aż na cmentarz dominikański i spłoszyliśmy spomiędzy grobowców dwóch mężczyzn podpierających trzeciego, któregoś, chłopcze, mocno musiał poznać. Zanim zdążyliśmy ich dogonić, dopadli bocznej furtki i pociągnęli za dzwon azylum... furтка otworzyła się, weszli do środka. Siedzą więc sobie bezpiecznie w

schronieniu świętego miejsca, a my możemy wrócić do naszych wystygłych łoży.

- A jakże - odezwał się inny mężczyzna - jeden z zacnych braciszków świątobliwego zakonu

Dominikanów czuwa całą noc i otwiera bramę azylum każdemu skłopotanemu nieszczęśnikowi, który pragnie się schronić w kościele.

- Ale tylko takiemu, który może za to zapłacić – dorzucił inny. – Bo prawdę mówiąc, jeśli trzos ma pusty, będzie stał przed furtką, dopóki go mpsi nie rozszrpią.

Trzeci z mężczyzn, który od kilku minut szukał na ziemi śladów w blasku pochodni, wyprostował się teraz i zbliżył do rozmawiających. Nazywał się Oliver Proudful i był energicznym, pewnym siebie, korpulentnym mężczyzną niskiego wzrostu, człowiekiem dość zamożnym i wybitnym członkiem cechu czapników; dlatego też przemawiał jak człowiek nawykły do wykonywania władzy.

- Czy zechciałbyś nam powiedzieć, bracie Smith - poznali się bowiem w świetle pochodni wyniesionych na ulicę - co to byli za ludzie, którzy wszczęli tę bijatykę w murach miasta?

- O ile mogłem się zorientować - odparł płatnerz - dwaj pierwsi przyodziani byli w kraciaste sukno górali z Pogórza.

- Bardzo to prawdopodobne... bardzo - rzucił inny mieszczanin. - Wstyd to prawdziwy, że wylomy w murach dotąd nie są naprawione i że każdej ciemnej nocy te góralskie psubraty mogą, jak chcą, wyrywać ze snu ucziwych mężów i niewiasty.

- Ale powiedzcie mi, sąsiedzi - rzekł Oliver Proudful pokazując im zakrwawioną, odrąbaną dłoń, którą podniósł z ziemi - kiedy to taka dłoń zawiązywała góralskie kierpce? Duża jest, przyznaję, i koścista, ale biała jak rączka niewieścia i ozdobiona pierścieniem, który rzuca ogień niczym zapalona

świeca. Chyba się nie omylę, jeśli powiem, że Szymon Glover szył rękawiczki na tę rękę, bo zaopatruje w swoje wyroby wszystkich dworskich panów.

Mieszczanie zaczęli teraz oglądać krwawą pamiątkę, wygłaszając przy tym rozmaite uwagi.

- Skoro rzeczy tak się mają - powiedział jeden z mężczyzn - Harry Smith dobrze zrobi, jeżeli weźmie

nogi za pas, bo coś mi się nie widzi, żeby Główny Sędzia uznał obronę domu mieszczanina za dostateczny powód do odrąbywania ręki szlachcicowi.

- Hańba ci za takie słowa, kmotrze Webster - obruszył się czapnik. - Czyż nie jesteśmy przedstawicielami i spadkobiercami dzielnych Rzymian, którzy zbudowali Perth na podobieństwo swojego miasta? I czyż nasi szlachetni królowie i przodkowie nie nadawali nam statutów jako swoim wiernym lennikom? I chcielibyście, żebyśmy się teraz wyrzekli naszych praw, przywilejów i immunitetów* i zaprzepaściliśmy nasze swobody, nie szukali zadośćuczynienia, gdy dokonano napadu na dom jednego z zacnych mieszczan? Nie... mężni obywatele naszego królewskiego grodu, kupcy i rzemieślnicy, prędzej rzeka Tay popłynie z powrotem do swoich źródeł, niż my się zgodzimy na taką niesprawiedliwość!

- A jakaż jest rada? - spytał starzec o dostojnym wyglądzie, wsparty na obosiecznym mieczu. - Co chcesz, żebyśmy učinili?

- Dalibóg, rajco Craigdallie, że też właśnie ty o to pytasz! Chciałbym, żebyśmy jak uczciwi ludzie poszli stąd prosto do Króla Jegomości, przerwali mu królewski sen i przedstawili naszą krzywdę - jak

to musimy się zrywać z łóżek o tej nocnej porze w samych koszulach i chwytać za broń. Ponadto pokazałbym mu tę krwawą pamiątkę i powiedziałbym, że chcę usłyszeć z królewskich ust naszego monarchy, czy jest to uczciwe i sprawiedliwe, że rycerze i szlachta jego rozwiązłego dworu traktują tak niecznie wiernych lenników Korony. Uważam, że w ten sposób gorąco przedstawilibyśmy naszą sprawę.

- Gorąco, powiadasz? - zachnął się stary rajca. - Ho, ho, tak gorąco, że pomarlibyśmy wszyscy z zimna, zanim majordomus* przekręciłby klucz w zamku i wpuścił nas przed oblicze króla. Chodźcie, przyjaciele, noc jest zimna... spełniliśmy mężnie naszą powinność strażników i obrońców miasta, a krzepki płatnerz Harry dał naszym krzywdzicielom przestrożę, która warta jest dwudziestu królewskich proklamacji. Jutro wstanie nowy dzień. Odbędziemy na tym samym miejscu naradę i

zastanowimy się, co uczynić, żeby trafić na ślad zbiegów i ukarać winnych. Rozejdźmy się więc, zanim mróz zetnie nam krew w żyłach.

- Mądre słowa, słusznie mówi sąsiad Craigdallie... Święty Johnston nam pomoże! - wołali mieszczanie.

Oliver Proudfoot miał ochotę dalej mówić, był bowiem jednym z tych bezlitosnych oratorów, według których elokwencja działa cuda niezależnie od czasu, miejsca i okoliczności. Ale nie znalazł chętnych do słuchania. W szarym świetle brzasku, który rysował teraz smugi nad horyzontem, mieszczanie rozeszli się do swoich domów.

Zaledwie odeszli, otworzyły się drzwi domu Glovera; stary Szymon chwycił Harry'ego za rękę i wciągnął go do sieni.

- Gdzie jeniec? - spytał płatnerz.

- Poszedł sobie... uciekł... czmychnął... skądże ja mogę wiedzieć? - odparł Glover. - Wymknął się bocznymi drzwiami na dwór i dalej przez ogród na ulicę. Nie myśl o nim... chodź lepiej i porozmawiaj

z Katarzyną, której honor i życie ocaliłeś dzisiaj rano.

- Pozwól mi, ojczy, włożyć bodaj nóż do pochwy - prosił Smith. - Pozwól mi chociaż obmyć ręce...

- Nie ma chwili do stracenia, Katarzyna wstała i kończy się ubierać. Żywo, człowieku! Niech cię dziewczyna zobaczy z zacnym nożem w ręku i krwią łotra na palcach, niech wreszcie pojmie, jak cenna jest taka przysługa oddana przez wiernego człowieka. Nazbyt już długo zamykała mi usta swoją świętoszkowatością i swoimi skrupułami. Chcę, żeby zrozumiała, ile jest warta miłość dzielnego mężczyzny i na dodatek nieustraszonego mieszczanina.

ROZDZIAŁ V

Wstań, piękna pani, włosy spleć

I wraz z powiewem wiatru wzleć!

Wyjdź z alkierzyka, dzień już umyka,

Już wokół wieży kruków muzyka.

JOANNA BAILLIE

Gdy zgiełk walki wyrwał ją ze snu, piękna dziewczyna przysłuchiwała się w przerażeniu, z zapartym tchem, odgłosom gwałtownej przeprawy i pościgu, napływającym ku niej z ulicy. Padła na kolana i prosiła Boga o pomoc, a gdy w ogólnym tumultie rozróżniła głosy sąsiadów i przyjaciół, którzy zbiegli się, by jej bronić, w tej samej pozie zaczęła odmawiać modlitwy dziękczynne. Wciąż klęczała,

gdy stary Szymon niemal siłą wepchnął do izby jej obrońcę, Harry'ego Smitha. Onieśmielony zalotnik ociągał się, wpierw jak gdyby z lęku, że ją urazi, a zobaczywszy, że dziewczyna klęczy, z szacunku dla jej pobożności.

- Ojczy - powiedział - Katarzyna się modli. Nie mam śmiałości do niej przemówić, zupełnie jak gdyby

była biskupem odprawiającym mszę.

- Widział kto kiedy takiego! W dzielności i odwadze nikt mu nie dorówna, ale tępą pałą! - powiedział

stary Szymon. A potem zwrócił się do Katarzyny: - Niebu najlepiej wyraża podziękę ten, kto okazuje wdzięczność swoim bliźnim. Oto narzędzie, za pośrednictwem którego Bóg ocalił cię od śmierci, a może od hańby straszliwszej niż śmierć. Powitaj go, Katarzyno, jako twój wierny Walentyna... jako człowieka, którego gorąco pragnąłbym widzieć moim umiłowanym synem.

- Nie teraz - odparła Katarzyna. - Nie mogę widzieć... nie mogę mówić teraz z nikim. Nie jest to niewdzięczność... mam może w sercu aż nazbyt wiele wdzięczności dla tego, któremu winni jesteśmy nasze bezpieczeństwo. Ale pozwól, że podziękuję wpierw mojemu świętemu patronowi i przyodzieję się należycie.

- Boże miłosierny! Jakże mógłbym ci, dziewczyno, pożalować czasu na przystrojenie się, skoro w tej prośbie słyszę pierwsze niewieście słowa, jakie wypowiedziałaś od najmniej dziesięciu dni. Bo prawdę mówiąc, synu Harry, wolałbym, żeby moja córka nie była taką wskroś świętą, dopóki nie

nadejdzie pora jej kanonizacji na świętą Katarzynę Drugą.

- Daj pokój, ojcze, nie żartuj. Bo przysięgam ci, że ma ona już przynajmniej jednego szczerego wyznawcę, który spełni każdą jej wolę o tyle, o ile jest to w mocy zwykłego grzesznika. Żegnaj więc, piękne dziewczę - dodał głośniejszym głosem - a niebiosy niech ci zesłają sny tak błogie, jak błogie będą twoje myśli

po obudzeniu. Odchodzę, ale będę strzegł twojego snu i biada temu, kto się go ośmieli naruszyć!

- Nie, mój dobry i mężny Harry, którego dobrotliwe serce w takiej jest niezgodzie z popędliwą ręką, powstrzymaj się dzisiejszej nocy od dalszych utarczek. Ale przyjmij ode mnie najgorętsze podziękowania, a wraz z nimi cząstkę owego błogiego spokoju ducha, który mnie przypisujesz. Zobaczymy się jutro, abym ci mogła prawdziwie podziękować. Żegnaj!

- I ty mi żegnaj, królowo i radości mojego serca! - rzekł płatnerz, a zszedłszy ze schodów prowadzących do izby Katarzyny, miał już otworzyć drzwi i wyjść na ulicę, gdy stary Szymon chwycił go za ramię.

Będę błogosławił tę dzisiejszą awanturę - powiedział - chociaż nigdy nie żywiłem takich uczuć względem zbrojnych utarczek, jeżeli nauczy ona moją córkę rozumu i pokaże jej, ile jesteś wart. Na świętego Macgridera! Kocham nawet tych hultajów i żal mi tego biednego zalotnika, który nigdy już nie będzie nosił rękawiczki na prawej ręce. A jakże! Stracił coś, czego brak będzie odczuwał całe życie... a już zwłaszcza, kiedy zechce włożyć rękawiczki... Ha, w przyszłości będzie płacił braciom z mojego cechu tylko połowę ceny. Nie, na krok mi się nie ruszysz dzisiaj z tego domu - dodał. - Zapewniam cię, synu, że nas dzisiaj nie opuścisz.

- Bo też ani myślę. Ale za twoim pozwoleniem, ojcze Szymonie, wyjdę na ulicę i tam będę trzymał straż. Łotry mogą ponowić atak.

- W takim przypadku - rzekł Szymon - łatwiej będzie ci ich odeprzeć z domu. Jest to sposób prowadzenia walki, który dla nas mieszczan wydaje się najodpowiedniejszy - opór i obrona spoza murów. Nasza powinność stróży i obrońców miasta nauczyła nas tego fortelu. A zresztą tak wielu

sąsiadów zbudziło się i czuwa, że powinniśmy mieć spokój przez resztę nocy. Wejź więc, synu.

Mówiąc te słowa, wciągnął Harry'ego, bynajmniej nie wbrew jego chęciom, do tego samego

pomieszczenia, w którym jedli wieczerzę; stara Dorota, zbudzona jak wszyscy inni, krzątała się już po

izbie i niebawem rozpałała ogień.

- A teraz, mój dzielny synu - powiedział Glover - jakim trunkiem wypijesz zdrowie swego ojca?

Harry Smith usiadł machinalnie na poczerniałej dębowej ławie i wpatrzył się w płomienie, które rzucały czerwony blask na jego męską twarz. Mruczał półgłosem do siebie:

- Dobry Harry... mężny Harry! Ach, gdybyż powiedziała: kochany Harry!

- A cóż to za nowe trunki? - zaśmiał się Glover. - Nie znajdę takich w mojej piwniczce. Ale jeśli wystarczy ci wino białe hiszpańskie albo reńskie, albo czerwone gaskońskie, powiedz słowo, a

flasza

pojawi się na stole.

- Najgorętsze podziękowania - szeptał Harry w zadumie - tak serdecznie nigdy się do mnie nie zwracała... najgorętsze podziękowania... kto wie, co się za tym kryje?

- Będzie się kryło najlepsze, jeżeli oprzytomniejesz i powiesz, co mam ci przynieść z piwniczki.

- Cokolwiek sobie życzysz, ojcze - odparł obojętnie Harry i natychmiast znów zaczął rozpatrywać drobniaczko słowa Katarzyny. - Mówiła o moim dobrotliwym sercu, ale wspomniała też o mojej popędliwej ręce. Co ja mam, na Boga, zrobić, żeby zdusić tę chętkę do walki? Najlepiej będzie, jak odrąbię sobie prawą rękę i przybiję ją do wrót jakiegoś kościoła, żeby nie ściągała na mnie hańby.

- Jak na jeden wieczór dość już się naodrąbywałeś rąk - powiedział jego przyjaciel stawiając flaszę wina na stole. - Czego ty się gryziesz, człowieku? Kochałaby cię dwa razy więcej, niż cię kocha, gdyby nie wiedziała, jak za nią szalejesz. Ale teraz mówię poważnie. Ani myślę ryzykować, żeby mi

hultajscy poplecznicy wielkich panów szlachciców roznieśli warsztat i splądrowali dom tylko dlatego,

że miasto okrzyknęło moją Katarzynę Pięknym Dziewczęciem z Perth. Nie. Pokażę dziewczynie, że

jestem jej ojcem, i będę się domagał posłuszeństwa należnego mi wedle prawa i wedle Ewangelii.

Zostanie twoją żoną, Harry, mój chłopcze o sercu ze złota, twoją żoną, mój dzielny płatnerzu, i to w ciągu najbliższych tygodni. Dalej, Harry, wychylimy toasty za twoje zaślubiny.

Ojciec wypił duszkiem ogromny puchar, a potem napełnił go po brzegi i podał przybranemu synowi.

Harry podniósł szklanicę, ale zanim przytknął ją do ust, odstawił z powrotem na stół i potrząsnął głową.

- Dalibóg, Harry, jeżeli ty nie spełnisz ze mną tego toastu, nie wiem, kto by go mógł spełnić! - zawołał

Szymon. - Co za głupstwa chodzą ci znów po głowie, chłopcze? Zdarzyło się niespodzianie coś, co niejako stawia dziewczynę w położeniu bez wyjścia, bo jeżeli po tej nocnej utarczce odmówi ci ręki, będzie miała przeciwko sobie całe miasto. A z drugiej strony, jestem ja, jej ojciec, który nie tylko wyraża zgodę na małżeństwo, ale pragnie was widzieć tak ściśle ze sobą złączonymi, jak dwa kawałki

łosiowej skóry zeszyte najmocniejszym szpagatem. A chociaż wszyscy i wszystko opowiada się po twojej stronie - los, ojciec i tak dalej - wyglądasz niczym zrozpaczony kochanek z ballady.

Pomyślałby kto, że masz większą chęć skoczyć i zginąć w nurtach Tay niż zalecać się do dziewczyny, która bez wahania powie ci „tak”, jeżeli tylko wybierzesz odpowiednią chwilę.

- A właśnie, ojcze, chodzi o tę odpowiednią chwilę! Wcale nie jestem pewien, czy w życiu Katarzyny

bywają chwile, w których spogląda na ziemię i jej mieszkańców i gotowa jest wysłuchać takiego nieuczzonego, przyziemnego prostaka jak ja. Nie umiem ci powiedzieć, dlaczego tak się dzieje. Z innymi ludźmi nie zapominam języka w gębie, ale w obecności twojej świątobliwej córki tracę cały animusz i odwagę i nie umiem wyzbyć się uczucia, że gdybym zdobył niespodzianie jej afekt, byłoby to czymś w rodzaju obrabowania świętego przybytku. Jej myśli za bardzo zespolone są z niebem, żeby

je miała marnotrawić na takich jak ja.

- Jak sobie życzysz, Harry - odparł Glover. - Ani moja córka, ani ja nie zamierzamy cię do niczego nakłaniać, a przyjacielska propozycja nie może być powodem wzajemnych niechęci. Tylko jeśli ci się zdaje, że ja dam przyzwolenie na jej szalony pomysł pójścia do klasztoru, grubo się mylisz. Szczerze miłuję i darzę szacunkiem kościół - dodał robiąc znak krzyża. -. Spełniam moje powinności względem niego należycie i ochotnie... płacę dziesięciny, podatki na wino i wosk, płacę, powiadam, wszystko, co się ode mnie należy, może nawet hojniej niż ludzie, którzy mi dorównują majątkiem. Ale nie stać mnie na ofiarowanie kościołowi mojego jedyne skarbu na świecie. Katarzyna jest wszystkim, co mi pozostało po tej, którą straciłem. Jeżeli chce zostać mniszką, pójdzie do klasztoru dopiero wtedy, kiedy zamkną się na wieczność te moje stare oczy, ani dnia wcześniej. A co do ciebie, przyjacielu Smith, wolna wola. Rób, jak ci się podoba. Ani myślę narzucać ci żony.

- Dalibóg, ojcze, za mocno uderzył młotem w kowadło! - zawołał Harry. - Tak się to zawsze kończy... zżymasz się na mnie, ojcze, że nie czynię tej jednej rzeczy, która by mnie uszczęśliwiła, ale której uczynić nie jestem w mocy. Niechaj najostrzejszy nóż, jaki kiedykolwiek wykuwałem w mojej kuźni, utkwi mi teraz w sercu, jeżeli chociaż cząstka tego serca nie jest wyłączną własnością twojej córki. Ale czyż mam na to jakąś radę? Nie mogę być gorszego mniemania o niej, a lepszego o sobie, niżli oboje na to zasługujemy. A to, co tobie wydaje się takie łatwe i pewne, dla mnie jest czymś tak trudnym, jak sporządzenie stalowej kolczugi z pakuł lnianych. Ale piję twoje zdrowie, ojcze - dodał tonem nieco pogodniejszym - a także mojej Walentyny, którą, mam nadzieję, Katarzyna będzie przez cały przyszły rok. Lecz niech ci więcej nie przeszkadzam. Złóż siwą głowę na poduszce, ojcze, i prześpij się pod ciepłą pierzynką do świtu, kiedy to poproszę cię, żebyś mnie zaprowadził do drzwi komnaty twojej córki, abym mógł życzyć dobrego dnia tej, która jest najpiękniejszą w całym naszym mieście i w obrębie wielu mil dokoła.

- Nie jest to zła rada, synu - rzekł zacny rękawicznik. - Ale co z tobą! Położysz się koło mnie czy może wolisz zająć część łóżka Conachara?

- Ani jedno, ani drugie. Przyczyniłbym ci tylko niewygody. To tu krzesło wyściełane lepsze jest dla mnie od puchowego łoża, będę zaś spał jak wojak na warcie, z bronią u boku.

Co mówiąc, położył dłoń na rękojeści sztyletu.

- Oby Bóg zdarzył, żeby nam broń nie była już dziś potrzebna. Dobrej nocy albo raczej dobrego dnia, synu. Śpij, póki dzień nie nastanie na dworze. Który z nas pierwszy się ocknie, obudzi drugiego.

Na tym rozstali się dwaj mieszczanie. Glover poszedł do swojej izby i, jak się należy spodziewać, zapadł w sen. Zakochany płatnerz nie miał tego szczęścia. Jego ciało zniosło łatwo wielorakie trudy nocy, ale jego duch był z innej i delikatniejszej materii. Pod pewnymi względami Harry był typowym, krzepkim mieszczaninem swojej epoki, dumnym zarówno z mistrzostwa w wytwarzaniu broni, jak we władaniu bronią; duma zawodowa, siła fizyczna i umiejętność posługiwania się mieczem pchały go w

liczne popędliwe zwady i walki, co sprawiało, że budził w większości ludzi lęk, a niekiedy wręcz niechęć. Ale w parze z tymi cechami szła dobrotliwość dziecka, a także natura zapalna i obdarzona bujną wyobraźnią, co stało w dziwacznej sprzeczności z rzemiosłem płatnerza i zamiłowaniem do walki. Może część owej porywczosci i żarliwości uczuć, którymi zaraziły go stare ballady i średniowieczne romance, będące jedynym źródłem jego wiedzy i wiadomości o świecie, natchnęły go

do niektórych bitnych czynów, bo czyny te zawsze miały w sobie jakąś pierwotną rycerskość.

W każdym razie jedno jest pewne: miłość Harry'ego do Katarzyny odznaczała się delikatnością równającą się może subtelności uczuć owego drobnego szlachcica, którego - jeśli pieśń prawdę mówi -

sama córka króla Węgier zaszczyciła uśmiechem. Jego uczucia do pięknej dziewczyny były doprawdy tak wzniosłe, jak gdyby wielbił prawdziwego anioła, co zresztą skłoniło ojca Katarzyny oraz innych obserwatorów do mniemania, że miłość płatnerza jest zbyt uduchowiona i nabożna, aby mogła

znaleźć

oddźwięk u zwykłej śmiertelniczki. Mylili się jednak. Serce Katarzyny, choć tak była powściągliwa i skromna, umiało jednak odczuć i zrozumieć głębię i naturę miłości płatnerza; i obojętne, czy mogła mu tę miłość odwzajemnić, czy nie, uwielbienie słynnego Harry'ego Smitha napawało ją taką sekretną

dumą, jaką bohaterka romancy odczuwała na widok lwa, który chodził za nią krok w krok, aby bronić jej i aby się nią opiekować. Gdy więc zbudziła się o świcie i gdy wspomniała, jak wielkie usługi oddał

jej Harry tej brzemiennej w wydarzenia nocy, serce wypełniło jej uczucie najszczerzej wdzięczności;

zaraz też zaczęła szukać w myślach sposobu jak najlepszego okazania mu swoich uczuć.

Zerwała się z łóżka i sploniona na myśl o tym, co zamierza uczynić, powiedziała sobie w duchu:

„Byłam dla niego oziębła i może niesprawiedliwa, nawet jeśli nie mogę ulec jego prośbom. Nie będę czekała, aż ojciec zmusi mnie do przyjęcia Harry'ego jako mojego Walentyna. Pójdę i sama go sobie wybiorę. Ganiłam dawniej dziewczęta, które tak postępują. Ale w ten sposób ukontentuję mojego ojca

i okazując wdzięczność względem tego dzielnego człowieka, dopełnię tylko ceremoniału należnego świętemu Walentemu”.

Odziawszy się pośpiesznie w suknie, ale nie zatarłszy śladów porannego nieładu, zeszła cichutko na dół i otworzyła drzwi izby, w której - jak się tego domyślała - jej zalotnik spędził ostatnie godziny nocy. Katarzyna zatrzymała się jednak we drzwiach, bo nagle przestraszyła ją myśl o dopełnieniu ceremoniału, który nie tylko pozwalał, ale wręcz domagał się od dziewczyny i młodzieńca, złączonych

na rok przez św. Walentego, aby zapoczątkowali swój związek pocałunkiem. Za szczególnie zaś szczęśliwy omen uważano, gdy jedna strona zdołała zaskoczyć drugą we śnie i zbudzić ją dopełnieniem tego interesującego rytuału.

Trudno doprawdy było znaleźć lepszą sposobność do zadzierzgnięcia owych mistycznych

walentynowych więzów! Znużony licznymi i różnorodnymi myślami, dzielny płatnerz zasnął w końcu tam, gdzie usiadł. We śnie jego rysy wydawały się bardziej męskie i stanowcze; zaskoczyło to Katarzynę, która najczęściej widywała na twarzy Harry'ego zawstydzenie lub lęk przed urażeniem jej jakimś czynem lub słowem i przywykła łączyć ten wyraz na jego obliczu z niejasnym pojęciem głupkowatości.

„Wygląda bardzo groźnie - pomyślała. - Może będzie zły... a jak się obudzi... jesteśmy tu sami... mogłabym przywołać Dorotę... mogłabym zbudzić ojca... nie! To przecież jest powszechny obyczaj, dopełniany z całą siostrzaną miłością i szacunkiem. Harry na pewno nie zrozumie go źle... to śmieszne, żeby dziecięca wstydlivość miała mnie powstrzymać od wyrażenia mu mojej wdzięczności”.

Snując te myśli, szła przez izbę krokiem lekkim, lecz pełnym wahania, z twarzą spłonioną na myśl o tym, czego ma dokonać; a stanąwszy przy uśpionym, złożyła na jego wargach pocałunek tak lekki, jak muśnięcie spadającego płatka róży. Nie był to snadź głęboki sen, skoro przerwało go owo delikatne dotknięcie, marzenia zaś senne uśpionego miały zapewne jakiś związek ścisły z przyczyną obudzenia, skoro Harry natychmiast się ocknął, porwał dziewczę w ramiona i w najwyższej ekstazie usiłował odwzajemnić się podobnym powitaniem. Ale Katarzyna wyrwała mu się z objęć; a ponieważ jej opór zdawał się wskazywać raczej na zaniepokojoną niewinność niż na udawaną wstydlivość, nieśmiały wielbiciel pozwolił ukochanej wyrwać się z uścisku, z którego nie uwolniłaby jej siła nawet dwudziestokrotnie większa.

- Proszę, drogi Harry... nie gniewaj się na mnie - powiedziała Katarzyna głosem słodkim do swego zdumionego wielbiciela. - Ślubowałam przed świętym Walentym, że okażę mu wdzięczność za kawalera, którym mnie obdarzył na ten rok... i teraz dopełniłam ślubu. Jak tylko przyjdzie mój ojciec, nie odmówię ci prawa do zemsty, bo pewnie będziesz chciał wziąć na mnie odwet za przerwanie snu.

- Ta przeszkoda już jest usunięta - zawołał rozpromieniony ojciec wpadając do izby - dalejże, synu,

ruszaj do niej! Kuj żelazo póki gorące i pokaż dziewczynie, jak to jest, kiedy się zbudzi śpiące licho!

Zachęcony tymi słowy, Harry znowu porwał spłonioną dziewczynę w ramiona, choć impet tego gestu mniej był niepokojący niż za pierwszym razem; a Katarzyna dość nawet chętnie przyjęła odpłatę za swój dziewczęcy pocałunek, powtórzoną dziesięćkroć i ze znacznie większym zapalem niż ów zapal, który sprowokował tak srogi odwet. W końcu dziewczyna powtórnie wyrwała się z objęć wielbiciela i

jak gdyby żałując tego, co uczyniła, rzuciła się na krzesło i ukryła twarz w dłonie.

- Rozchmurz się, głuptasku - rzekł jej ojciec - i nie wstydz się, żeś uczyniła dwóch mężczyzn w Perth najszczęśliwymi ludźmi na świecie, bo twój stary ojciec jest jednym z nich. Nigdy chyba pocałunek nie był tak słusznie ofiarowany i w tak właściwy sposób odwzajemniony. Spójrz na mnie, kochaneczko! Spójrz na mnie i choć raz się do mnie uśmiechnij. Na mój honor, słońce, które świeci teraz nad naszym miastem, nie mogło mi ukazać miłszego widoku. A cożeś ty, dziewczyno, myślała - ciągnął żartobliwym tonem - że masz na palcu pierścień, który cię czyni niewidzialną? O nie, moja wróżko wczesnego poranku! Właśnie wstawałem z łoża, kiedym usłyszał, że otwierają się drzwi twojej sypialni, a po chwili patrzyłem, jak schodzisz na dół - nie żeby cię bronić przed tym naszym śpiochem, lecz żeby ujrzeć na własne oczy, jak moja córuś robi to, co było najgorętszym życzeniem jej ojca. Dalejże, głuptasku, odejmij rączyny od twarzy... a że policzki ci pałają, tym lepiej uczcisz Dzień świętego Walentego, bo w tym dniu dziewczęciu przystoi się rumienić.

Wypowiadając te słowa, Szymon Glover odciągnął łagodnie, lecz z siłą dłonie, za którymi Katarzyna ukryła twarz. Policzki istotnie miała obleczone głębokim rumieńcem, ale na jej twarzy było coś więcej

niż zwykłe dziewczęce zawstydzenie, błękitne zaś oczy szybko napełniły się łzami.

- Jakże to! Płaczesz, gołąbeczko? - zawołał jej ojciec. - Do tego z pewnością nie masz powodu. Harry,

pomóż mi pocieszyć tego małego głuptaska.

Katarzyna opanowała się i zdobyła na uśmiech, lecz był to uśmiech pełen melancholii i powagi.

- Chciałam tylko powiedzieć, ojciec - odezwało się Piękne Dziewczę z Perth - że wybierając Harry'ego

Smitha na mojego Walentyna i witając go zgodnie z panującym w tym dniu obyczajem, pragnęłam jedynie okazać mu wdzięczność za rycerski i wierny uczynek, a także tobie, ojciec, okazać posłuszeństwo. Ale nie naprowadzaj go na myśl... i sam, drogi ojciec, nie wysnuwaj takich wniosków...

że za moimi intencjami kryło się coś więcej niż to, do czego zobowiązuje mnie obietnica, iż zostanę wierną i czułą Walentyną na ten rok!

- Ależ tak... tak... tak... rozumiemy to wszystko - odparł stary Szymon kojącym tonem, jakim piastunki przemawiają do dzieci. - Doskonale rozumiemy twoje intencje. Jak na początek w zupełności to wystarczy... w zupełności. Nikt nie myśli cię przynaglać ani straszyć namowami do pośpiechu. Jesteście od dziś miłującymi się, szczerymi i wiernymi Walentynami, a reszta w rękę Boga, Dajże już pokój, dziewczyno... nie wykręcaj drobnych rączek i nie obawiaj się prześladowań ze strony starego ojca. Spisałeś się dzielnie, trudno było lepiej... a teraz zmykaj do Doroty, niech zbudzi tego próżniaka Conachara. Po nocy pełnej zamieszania i ranku tak radosnym należy nam się obfite śniadanie. Upiecz nam, proszę, te delikatne ciasteczka, które ty jedna potrafisz robić. I nie dziwota, żeś posiadała ten sekret, skoro wiemy, kto cię go nauczył. Ach, świeć Panie nad duszą twojej drogiej matki! - dodał z westchnieniem. - Jakżeby się ona radowała tym szczęśliwym porankiem w Dniu świętego Walentego!

Katarzyna skorzystała z okazji i uciekła z izby. Harry'emu wydało się nagle, że to słońce zaszło w samo południe, topiąc świat w posępnym mroku. Nawet rozbujane nadzieje, które wzniecił w jego sercu ów niedawny incydent, zgasły na myśl o dziwnie odmienionym zachowaniu się dziewczyny... o łzach płynących z jej oczu... o jawnym lęku na twarzy... o nacisku, z jakim podkreślała, że czynione mu awanse nie przekraczają granic przywileju, którym obdarzył go rytuał dzisiejszego dnia. Stary Szymon wpatrywał się w sępniałe nagle oblicze Harry'ego ze zdziwieniem i niezadowoleniem.

- Na zacnego świętego Jana! Co cię znowu napadło, że masz minę ponurą jak sowa? Przecież

młodzieniec jak ty pełen animuszu, gdyby naprawdę miłował tę biedną dziewczynę, byłby wesoły niczym szczygieł!

- Biada mi, ojciec - odparł zgnębiony wielbiciel - ale odczytuję z rysów Katarzyny, że jest jej dość miły, aby mnie chciała na swego Walentyna... zwłaszcza że jest to w zgodzie z twoim życzeniem... ale nie dość miły, aby zgodziła się zostać moją żoną.

- Dalibóg, hańba ci, żeś jest takim zimnokrwistym, łatwo zniechęcającym się głupcem! - odparł zrzędlawie ojciec. - Umiem czytać z twarzy niewieścich nie gorzej niż ty, a może nawet lepiej, ale z jej twarzy nie wyczytał niczego podobnego. Niech to wszyscy diabli, człowieku! Zamiast wpatrywać się w niebo i oczekiwać pierwszych oznak świtu, co by zrobił zalotnik z krwią, a nie wodą w żyłach, leżałeś tu na tym wyściełanym krześle i spałeś niczym król! Spałeś... i głowę dam, żeś chrapał!... nie myśląc ani o niej, ani w ogóle o niczym. A biedna dziewczyna wstała o pierwszym brzasku, w obawie,

że ją ktoś ubiegnie i wybierze sobie ciebie na Walentyna, i zbudziła cię powitaniem, które - na świętego Macgridera! - tchnęłoby życie w najtwardsze stalowe kowadło! A ty się budzisz i zgrzytasz zębami, i robisz nieszczęśliwe miny, i jęczysz, jakby ci przeciągnęła po wargach rozpalonym żelazem!

Święty Janie, ratuj mnie - żałuję, że moja córka nie przysłała tu do ciebie Doroty i nie związała cię węzłami Walentyna z tym bezzębnym workiem starych kości! Byłaby to najodpowiedniejsza Walentyna dla tak tchórzliwego zalotnika!

- Co do tego, czy jestem tchórzliwy, ojciec - odparł Smith - to znalazłoby się najmniej dwudziestu zadzierzystych kogucików, którym pióra wyskubałem, a którzy ci powiedzą, czy jestem tchórzliwy! A nieba mi świadkiem, że oddałbym mój grunt dzierżawiony od miasta na prawach wiecznej tenuty wraz

z kuźnią, miechami, obcęgami, kowadłem i wszystkim innym, żeby twój pogląd na tę sprawę okazał się słuszny. Ale nie mówię o jej zawstydzeniu czy też jej rumieńcach; mam na myśli bladość, która tak

prędko wygnała rumieńce, i łzy, które trysnęły z oczu. Było to jak kwietniowa ulewa, co zaciemnia nagle najpiękniejszy świt nad rzeką Tay.

- Koszałki opałki, drogi synu - obruszył się Glover. - Nie od razu Rzym i Perth zbudowano. Łowiłeś łososie najmniej tysiąc razy i powinieneś być wyciągnąć z tego odpowiednią naukę. Kiedy ryba połknie haczyk, nie wolno ciągnąć linki, bo się zerwie - zerwałaby się, choćby była ze stalowego drutu. Trzeba popuścić linki, niech sobie ryba pływa; jak się rybak nie śpieszy i zachowa spokój, za pół godziny będzie miał ją na piasku. Początek został zrobiony i doprawdy trudno sobie życzyć lepszego - chyba żeby dziewczyna podeszła do twojego łóżka, jak podeszła do krzesła, a skromne dziewczęta tak nie postępują. Ale słuchaj, co ci rzeknę: po śniadaniu postaram się, żebyś został z nią sam i powiedział jej, co ci leży na sercu. Tylko nie bądź ani zbyt strachliwy, ani zanadto obcesowy. Zostaw jej dość linki, byle nie za dużo, a założę się o własną głowę, że ci się powiedzie.

- Żebym dokładał nie wiem jakich starań - odparł Harry - ty, ojczu, i tak mnie przypiszesz winę.

Powiesz, że albo robię za dużo ceregieli, albo zbyt przynaglam. Oddałbym najlepszą kolczugę, jaką

zrobiłem kiedykolwiek w mojej kuźni, żebym to ja był winien, bo wtedy miałbym większe widoki na usunięcie trudności. Ale przyznaję, że w tych sprawach brak mi rozumu i nie potrafię rozpocząć zgrabnego dyskursu, który byłby przydatny na tę okazję.

- Chodź ze mną do warsztatu, a zaopatrzę cię w odpowiedni temat do rozmowy. Wiesz, że dziewczyna, która odważy się pocałować śpiącego mężczyznę, wygrywa od niego parę rękawiczek. Chodź, synu, dam ci parę z najdelikatniejszej skóry kozłej, które są w sam raz na jej rękę i przedramię.

Kiedym je ciął i zeszywał, myślałem o jej biednej matce - dodał stary Szymon z westchnieniem - i powiem ci, że prócz Katarzyny nie znam w całej Szkocji niewiasty, na którą by pasowały, choć brałem

miarę z najsłynniejszych piękności dworu. Chodź więc, powiadam, a dostarczę ci dobrego tematu do rozmowy, byle cię odwaga i rozum nie opuściły w czasie zalotów.

ROZDZIAŁ VI

Katarzyna nigdy ręki nie odda mężczyźnie.

SZEKSPIR: Poskromienie złoŃnicy

Podano śniadanie i zarówno ojciec, jak zalotnik chwalili delikatne placuszki zrobione z mąki i miodu według przechowywanej w rodzinie recepty - chwalili nie tylko w słowach być może stroniczych, lecz również oddali im sprawiedliwość w ów jedyny sposób, który najlepiej świadczy o dobroci ciast i

budyniów. Również Katarzyna odzyskała spokój ducha - i to tam, gdzie większość dziewcząt i niewiast owej epoki z pewnością by go straciło - mianowicie w kuchni i przy doglądaniu gospodarstwa, w czym była prawdziwą mistrzynią. Nie sądzę, aby czytanie Seneki* mogło wpłynąć równie kojąco na jej umysł.

Jak nakazywały proste domowe obyczaje tamtych czasów, stara Dorota zajęła miejsce na końcu stołu.

Obaj mężczyźni tak byli zajęci rozmową, Katarzyna zaś tak pochłonięta obsługiwaniem ich i własnymi myślami, że staruszka pierwsza zwróciła uwagę na nieobecność Conachara.

- Prawda to - rzeki majster Glover. - Idź, Doroto, i przywołaj tego rozpróźnionego góralczyka. Nie

raczył się też pokazać w czasie wczorajszej bijatyki nocnej, przynajmniej ja go nie zauważyłem. Czy które z was widziało Conachara?

Odpowiedź była przecząca, Harry Smith zaś dorzucił uszczypliwie:

- Góral z Pogórza tak się niekiedy potrafi zaszyć w gęstwinie legowiska, jak nie przymierzając sam jeleń z górskich lasów... i równie szybko uciec przed niebezpieczeństwem. Nieraz widziałem, jak to robią.

- Ale bywały też czasy, w których sam król Artur wraz z rycerzami Okrągłego Stołu nie mógł nic wskórać przeciwko góralom. Jako żywo, Harry, wolałbym, żebyś się wyrażał o mieszkańcach z Pogórza z większym szacunkiem. Często zaglądają do Perth, tak w pojedynkę, jak i gromadnie.

Powinieneś, synu, żyć z nimi w zgodzie, dopóki oni nie mają względem ciebie złych zamiarów.

Harry miał już na końcu języka butną odpowiedź, ale powstrzymał się roztropnie.

- Ach, wiesz przecież, ojcze - rzekł z uśmiechem - że nam, rękodzielnikom, najmiłsi są ludzie, którzy dają nam zarobić. Otóż mój cech dostarcza wyrobów mężnym i szlachetnym rycerzom, wysoko urodzonym szlachcicom i paziom, krzepkim pachołkom z pańskich świt i innym takim, którzy noszą broń przez nas wytwarzaną. Nie dziwota więc, że wolę Ruthvenów i Lindsayów, Ogilvych i Oliphantów oraz wielu innych naszych dzielnych i szlachetnych sąsiadów, którzy chodzą zakuci w zbroje mojego wyrobu, od tych półnagich złodziejasków z gór, którzy bezustannie nas krzywdzą, zwłaszcza odkąd najwyżej pięciu mężczyzn w całym klanie może się poszczycić zardzewiałą kolczugą, tak wiekową jak ich rodowy sztandar. A i ona jest dziełem klanowego kowala, który nie należy do naszego zacnego cechu, tylko pracuje przy wiejskim kowadle dziedzicznym z ojca na syna.

Powtarzam, że tacy ludzie nie mogą znajdować łaski w oczach uczciwego rzemieślnika.

- Ho, ho! - odparł stary Szymon. - Ale proszę, synu, żebyś nie mówił więcej o tej sprawie, bo oto nadchodzi spóźniony młokos, a ponieważ jest to świąteczny poranek, nie mam chęci na krwawe jatki.

Do izby wszedł Conachar. Twarz miał bladą, oczy zaczerwienione, w całej jego postaci uderzał dziwny nieład i jakby wzburzenie. Usiadł na końcu stołu, naprzeciwko Doroty, i zrobił znak krzyża, jak gdyby w przygotowaniu do porannego posiłku. A ponieważ nie sięgał po jedzenie, Katarzyna podała mu półmisek z ciasteczkami, które zyskały tak ogólną aprobatę. W pierwszej chwili spojrzał na

nią ponuro i odmówił; gdy jednak powtórzyła miłe zaproszenie i uśmiechnęła się do niego dobrotliwie, wziął ciasteczko, przełamał je i zjadł okruszynę, jednakże wysiłek związany z przełknięciem zdawał się przekraczać jego siły.

- Jakoś, chłopcze, nie dopisuje ci apetyt w Dniu świętego Walentego - rzekł przyjaźnie majster. - Ale sen miałeś chyba dobry, skoro cię nie obudził rwetes walki. Zdawałoby się, że taki dzielny góral z

Pogórza chwyci za szytlet i stanie u boku swego pana na pierwszy odgłos niebezpieczeństwa grożącego domowi.

- Słyszałem niewyraźnie jakiś harmider - odparł Conachar, któremu twarz rozpromieniła się nagle barwą żaru na kominie - alem myślał, że są to wrzaski podochoconych biesiadników. Ostrzegaliście mnie, panie, żebym nie otwierał drzwi i okien i nie alarmowałem domu takimi głupstwami.

- Zdziwiasz mnie, chłopcze - rzekł stary Szymon. - Myślałem, że góral zna się lepiej na różnicy między szczękiem broni a dźwiękami lutni i wesołą wrzawą hulanki. Ale mniejsza o to. Rad jestem, żeś się wyzbył swojej wczorajszej swarliwości. A teraz pozyw się, jako że mam dla ciebie polecenia, które wymagają pośpiechu.

- Jadłem już i sam się śpieszę. Idę w góry. Czy macie, panie, jakieś polecenie dla mojego ojca?

- Nie mam żadnego - odparł Glover nie tając zdziwienia. - Ale czyś ty zmysły postradał, chłopcze? Czy też zwykła mściwość każe ci opuścić miasto z nagłością huraganu?

- Moje wypowiedzenie jest niespodziane - rzekł Conachar, z trudem dobywając słów; nie sposób byłoby rozstrzygnąć, czy wynikało to z nieumiejętności wysławiania się w obcym języku, czy też z jakiegokolwiek innej przyczyny. - Ma być wielki zjazd... wielkie łowy... - Umilkł.

- A kiedyż to zamierzasz wrócić z tych wielkich łowów? Naturalnie jeśli wolno mi zadać tak śmiałe pytanie - zwrócił się Glover do czeladnika.

- Jeszcze nie wiem - odparł Conachar. - Może nigdy... jeśli taka będzie wola mego ojca - dodał z udaną obojętnością.

- Zdawało mi się - powiedział Szymon głosem poważnym - że kiedy po wielu gorących prośbach i wstawiennictwach zgodziłem się przyjąć cię pod mój dach, wszystko tamto miało na jakiś czas pójść w zapomnienie. Zdawało mi się, że kiedym się zgodził, bardzo niechętnie, na przyuczenie cię do zacnego rzemiosła, warunkiem mojej zgody było poniechanie wszelkich łowów, wypraw i zgromadzeń klanowych.

- Kiedy mnie tu przysyłano - odparł wyniosłe młodzieniec nikt mnie nie pytał o zdanie. Nie mogę zatem powiedzieć, jakie są warunki umowy.

- Ale ja ci mogę powiedzieć, lordzie Conachar - rzekł gniewnie Szymon - iż nie jest to uczciwy postępek, żeś wstąpił do terminu u godnego majstra i napsuł więcej skór, niżli twoja własna jest warta;

i że teraz, kiedy mógłbyś się już przydać na coś w warsztacie, rozporządzasz swoim czasem, jakby należał do ciebie, a nie do twojego majstra.

- Wystawcie, panie, odpowiedni rachunek memu ojcu - odparł Conachar. - Zapłaci wam on hojnie - sztukę złota za każdą skórę, którą zepsułem w krajaniu, i tłustą krowę albo wołu za każdy dzień mojej nieobecności.

- Zgódź się na te warunki, przyjacielu Glover, zgódź się na te warunki - rzucił oschle płatnerz. - Zapłata będzie hojna, choć może nie bardzo uczciwa. Dalibóg, chciałbym wiedzieć, ile cudzych trzosów zostanie opróżnionych, żeby napełnić góralską kabzę, z której masz otrzymać tak hojną zapłatę w złocie, i z czyich pastwisk skradzione zostaną woły, które ci obiecano przysłać z przełęczą gór Grampian.

- Przypomniałeś mi, imci płatnerzu - rzekł młody góral zwracając się wyniosłe do Smitha - że mam jeszcze do załatwienia porachunki z tobą.

- W takim razie trzymaj się ode mnie na odległość ramienia - odparł Harry wyciągając muskularne ramię. - Zbrzydły mi już te twoje poufałe uściski i dziecinne robótki nożykiem, jak wczorajszego wieczoru. Nie powiem, żebym się bał żądła osy, ale wolę nie dopuszczać owada nazbyt blisko siebie.

Conachar roześmiał się szyderczo.

- Nie mam zamiaru robić ci krzywdy. Syn mojego ojca i tak zanadto się poniżył, że rozlał krew takiego prostaka. Zapłacę ci za każdą jej kroplę, aby jak najprędzej obeschła i nie plugawiła mi więcej palców.

- Milcz, chełpliwy gołowąsie! - wybuchnął Smith. - Krew uczciwego człowieka to nie towar, za który

płaci się w złocie. Jedyne dla ciebie okupienie, to żebyś przyszedł tu ze swojego Pogórza z dwoma największymi siłaczami w klanie, a podczas gdy ja będę się z nimi załatwiał, mój czeladnik, mały Jenkins, rozprawi się z tobą.

Tu Katarzyna przerwała kłótnię.

- Opamiętaj się, mój cny Walentyńie, któremu mam prawo rozkazywać... i ty, Conachar, który winien mi jesteś posłuszeństwo jako córce swego majstra. Źle to, kiedy ktoś budzi rankiem lichy, które usnęło z wieczora.

- Żegnajcie więc, majstrze - powiedział Conachar, rzuciwszy wpierw wzgardliwe spojrzenie na Smitha, który w odpowiedzi tylko się roześmiał. - I dziękuję wam za waszą życzliwość, na którą częstokroć nie zasługiwałem. Jeślim czasami sprawiał na was wrażenie niewdzięcznika, nie była to moja wina, tylko okoliczności. Katarzyno... - wpił w dziewczynę spojrzenie, w którym walczyły ze sobą silne i różnorodne uczucia. Wahał się chwilę, jak gdyby zapragnął coś powiedzieć, a potem odwrócił się i wykrztusiwszy tylko: - Żegnaj! - wyszedł z izby. W pięć minut później opuścił Perth przez Północną Bramę i w góralskich kierpcach na nogach, z małym węzełkiem w ręku, skierował się w stronę Pogórza.

- Tyle w nim dziadostwa i tyle dumy, że można by obdzielić cały górski klan - powiedział Harry. - Mówi tak lekko o sztukach złota, jak bym ja mówił o srebrnej monecie. Ale mógłbym przysiąc, że w małym palcu szmacianej rękawiczki jego matki zmieściłby się cały skarb klanu.

- Całkiem prawdopodobne - zaśmiał się Glover, którego ta myśl serdecznie ubawiła - bo jego matka była niewiastą kościstą, zwłaszcza w palcach i dłoniach.

- A jeśli idzie o trzodę, to głowę dam ciągnął Harry - że jego ojciec i bracia wykradają sąsiadom barany po jednej sztuce naraz.

- Im mniej będziemy o nich mówili, tym dla nas lepiej - rzekł Glover poważnym tonem. - Braci Conachar nie ma, a jego ojciec jest u siebie człowiekiem moźnym i ma długie ręce... sięga tak daleko, jak tylko zdoła, słyszy zaś na tak dużą odległość, że lepiej jak najmniej o nim wspominać.

- I mimo to oddał swojego jedynego syna do terminu u rękawicznika w Perth? - zdziwił się Harry. - Sądziłbym raczej, że Szlachetne Rzemiosło świętego Kryspina*, jak je zwa ludzie, bardziej by mu odpowiadało i że jeśli jakiś O czy Mac* oddaje syna do terminu, kształci go jedynie w tym rzemiośle, którym parali się ongiś książęta.

Chociaż ironia tej uwagi skierowana była przeciwko Conacharowi, podrażniła jednak dumę zawodową

starego Szymona, które to uczucie było charakterystyczne dla stosunków między rzemieślnikami tamtej epoki.

- Mylisz się, synu - rzekł uroczyście. - Z tych dwóch rzemiośł, rzemiosło rękawiczników jest szlachetniejsze, jako że przyodziwewa dłonie człowieka, podczas gdy szewcy i cholewkarze przyodziwają tylko nogi.

- Obie te pary kończyn są ciału ludzkiemu jednako potrzebne - zauważył Harry, którego ojciec był szewcem.

- Może jednako potrzebne, synu, ale nie jednako czcigodne. Pomyśl, że rękami ślubujemy przyjaźń i dobrą wiarę. Nogi nie mają takiego przywileju. Mężni ludzie walczą rękami... tchórzom nogi potrzebne są do ucieczki. Ręce w rękawiczkach trzymamy wysoko, butami chodzimy po błocie. Człowiek wita przyjaciela otwartą dłonią; nogą zaś odtrąca pogardliwie psa lub istotę nędzną jak pies.

Rękawiczka zatknięta na ostrzu włóczni jest w całym świecie chrześcijańskim uważana za przyrzeczenie wierności, podobnie jak rękawica ciśnięta na ziemię jest wyzwaniem do rycerskiej walki. A jeśli idzie o buty, znam tylko jeden zwyczaj z nimi związany, ten mianowicie, że stare baby rzucają trzewikiem za mężczyzną, co ma mu przynieść szczęście, a w czego moc ja osobiście nie

wierzę.

- Nie, doprawdy, ojcze - rzekł Smith, rozbawiony elokwencją, z jaką Glover bronił godności swojego

cechu - ani mi w głowie pomniejszać honor zacnego rzemiosła rękawiczników. Zważ, że ja sam wyrabiam w mojej kuźni stalowe rękawice rycerskie. Ale choć pamiętam o szlachetności twojego starożytnego rękodziela, to jednak nie przestaję się dziwić, czemu ojciec tego młokosa oddał go na naukę do rzemieślnika z Niziny, skoro wszyscy ci Pogórzanie uważają nas za istoty niższego rzędu, za rasę godnych wzgardy wyrobników, którzy niewarci są lepszemu losu i zdadni tylko do tego, żeby ich te gołysze z gór grabiły i mordowały o każdej sposobnej dla nich i bezpiecznej porze.

- Słusznie, synu - odparł Glover - tylko widzisz, istniały pewne... pewne... - powstrzymał słowa, które

mu się cisnęły na wargi, i dodał: - ...słuszne powody, że ojciec Conachara podjął taką decyzję. No cóż,

postąpiłem z nim rzetelnie i nie wątpię, że on potraktuje mnie nie mniej honorowo. Ale to nagłe odejście Conachara trochę mi jest nie na rękę. Chłopak miał rozmaite rzeczy pod swoją pieczęcią. Muszę

zajrzeć do warsztatu.

- Może mógłbym ci w czymś pomóc, ojcze? - spytał Harry, którego zwiódła powaga tonu Glovera.

- Ty? Ależ nie! - odparł Glover z oschłością, która w tak jaskrawy sposób uprzytomniła Harry'emu naiwność jego propozycji, że zawstydził się własnej tępoty i oblał ciemnym rumieńcem. Przecież w tej

sprawie miłość powinna była dodać lotności jego myślom! - Ty zaś, Katarzyno - dodał Glover wychodząc z izby - zabaw swego Walentyna przez pięć minut i nie pozwól mu odejść, zanim ja nie wrócę. Chodź ze mną, Doroto... ruszaj się trochę żywiej, jeśli łaska.

Wyszedł, za nim podążyła Dorota i Harry Smith bodaj po raz pierwszy w życiu został sam na sam z Katarzyną. Dziewczyna była zakłopotana, jej zalotnik wyraźnie zmieszany; milczeli przez chwilę, aż w końcu Harry zebrał odwagę, wyjął z kieszeni rękawiczki dostarczone mu przez starego Szymona i

poprosił, aby dziewczyna zezwoliła mu, który o świecie tak został uhonorowany, zapłacić przyjętym zwyczajem karę za to, iż spał w owej chwili, chociaż rad byłby wyrzec się całorocznego snu za jedną sekundę czuwania.

- Kiedy ja oddałam tylko hołd świętemu Walentemu - rzekła Katarzyna - co bynajmniej nie pociąga za

sobą takiej kary, jaką pragniesz zapłacić.

- Te rękawiczki - tłumaczył młodzieniec przysuwając się nieznacznie do Katarzyny - wykonały ręce najdroższe ci na świecie. I spójrz... są uszyte na twoją miarę. - Mówiąc te słowa, rozprostował rękawiczki i ująwszy rączkę dziewczyny w swoją krzepką dłoń, przyłożył do niej rękawiczki, żeby pokazać, jak dobrze pasują. - Spójrz na ten zwężający się mankiet... na te maleńkie palce. Pomyśl, kto obrabiał te szwy jedwabną i złotą nicią, i zastanów się, czy to słuszenie, żeby rękawiczka i ręka, na której miarę została uszyta, nie połączyły się tylko dlatego, że biedna rękawiczka miała nieszczęście pozostawać w przelotnym posiadaniu dłoni tak szorstkiej i poczerńiałej jak moja.

- Rada jestem, że pochodzą od mojego ojca - powiedziała Katarzyna - i z pewnością nie mniej jestem rada, że pochodzą od mojego zarówno przyjaciela (położyła nacisk na to słowo), jak i wybawcy.

- Pozwól, że ci je pomogę włożyć - rzekł Harry, jeszcze bliżej przysuwając się do dziewczyny. - W pierwszej chwili wydadzą ci się pewnie trochę ciasne i kto wie, czy nie będzie ci potrzebna pomoc.

- Ach, zacny Harry, masz zapewne dużą wprawę w tego rodzaju posługach - powiedziała dziewczyna z uśmiechem, ale jednocześnie odsunęła się od swego zalotnika.

- Źle mnie posądzasz, Katarzyno - odparł Harry potrząsając głową. - Większe mam doświadczenie w zakładaniu stalowych rękawic na ręce rycerzy w kolczugach niż haftowanych rękawiczek na panięskie dłonie.

- Nie będę cię więc trudziła... Dorota mi pomoże... chociaż pomoc będzie zapewne zbędna, bo ojciec jest prawdziwym mistrzem w swoim rzemiośle.

- Pozwól, żebyśmy się sam o tym przekonali - prosił Harry. - Pozwól sprawdzić, czy te smukłe dłonie

mieszczą się w rękawiczkach, które były robione z myślą o nich.

- Któregoś dnia, zacny Harry - odparła dziewczyna - włożę te rękawiczki na cześć świętego

Walentego i kawalera, którym mnie ów dobrotliwy święty obdarzył na najbliższy sezon. Bóg mi

świadkiem, że pragnęłabym zadowolić mego ojca również w sprawach większej wagi... chwilowo boli

mnie głowa, a zapach skóry wzmacnia jeszcze ten przykry ból, który odczuwam od rana.

- Boli cię głowa, najdroższa dziewczyno? - zawołał Harry.

- Gdybyś to nazwał bólem serca, byłbyś bliższy prawdy - rzekła Katarzyna wzdychając i dodała tonem

niezwykle poważnym: - Harry, będę mówiła ze śmiałością, o jaką masz mnie może prawo posądzać po

tym, com uczyniła dzisiaj rana. Wspomnę bowiem pierwsza o sprawie, w której nie powinnam

chyba zabierać głosu, dopóki ty mi nie zadasz pytania i nie zażadasz ode mnie odpowiedzi. Ale jeśli

po dzisiejszym rannym wydarzeniu nie wyjaśnię moich względem ciebie uczuć, zdarzyć się może, że

zostanę opacznie rozumiana. Proszę... nie przerywaj, dopóki mnie nie wysłuchasz. Jesteś

człowiekiem mężnym, Harry, mężniejszym od wielu innych, a także uczciwym i zacnym jak

najzaciejsza stal, którą kujesz...

- Przestań, Katarzyno... na miłość boską, przestań! Ilekroć wypowiadasz tyle dobrych słów o mnie,

zawsze jest to wstępem do ostrej nagany, dla której te pochwały są jeno osłodą. Jestem zacny, uczciwy

i tak dalej, powiadasz, ale strasznie ze mnie krewki awanturnik i w ogóle pospolity rębacz i zabijaka.

- Używając tych epitetów, skrzywdziłabym zarówno siebie, jak ciebie.

Nie, Harry, Katarzyna Glover nie uczyniłaby dobrowolnie swoim Walentynem pospolitego rębacza

czy zabijaki - nawet gdyby nosił szlacheckie pióro w kołpaku i złote ostrogi. Jeżeli czasem czynię ci

surowe wyrzuty, że twoja natura nazbyt jest skora do złości, twoja zaś ręka do zadawania ciosów,

robię to, ponieważ chciałam - gdybym tylko umiała cię o tym przekonać - abyś znenawidził w

sobie grzechy gniewu i pychy, które tak łatwy mają do ciebie dostęp. Mówiłam o tym nie po to, żeby wyrazić moją własną opinię, tylko żeby zaalarmować twoje sumienie. Wiem równie dobrze jak mój ojciec, że w tych ponurych i strasznych czasach obyczaje naszego narodu - nie, obyczaje wszystkich państw chrześcijańskich - zdają się przemawiać na korzyść krwawych sporów w imię błahych spraw;

na korzyść wzajemnej rzezi w obronie domniemanego honoru, a często dla zwykłej rozrywki. Ale wiem, że za wszystko to srogo kiedyś zapłacimy przed Bogiem. Dlatego pragnęłabym cię przekonać, mój mężny i szlachetny przyjacielu, żebyś częściej słuchał wskazań zacnego serca, mniej zaś szczyił się siłą i zręcznością bezlitosnej ręki.

- Już mnie przekonałaś, Katarzyno! - zawołał Harry. - Od dziś twoje słowa będą dla mnie prawem.

Uczyliście dość, a właściwie aż za dużo, żeby przekonać innych o mojej sile cielesnej i odwadze. Ale

tylko ty jedna możesz mnie nauczyć lepszego i zaniejszego życia. Pamiętaj, dziewczyno - moje ambicje, żeby się wyróżnić we władaniu bronią, i moje zamiłowanie do bitki - jeśli można je tak nazwać - prowadzą nierówną walkę z moim rozsądkiem i łagodniejszą stroną mej natury, gdyż mają własnych patronów i podżegaczy. Powiedzmy, że wybucha kłótnia i że ja, pomny na twoje rady, nie mam chęci się w nią wdawać - czy myślisz może, że mogę wedle własnej woli wybierać wojnę lub pokój? Na Matkę Najświętszą - nie! Zaraz zbiera się dokoła tłum, który mnie podjudza. „Cóż to, Smith, miecz ci zardzewiał?” - woła jeden. „Nasz dzielny Harry ogłuchł dzisiaj rana na jedno ucho” powiada drugi. „Przyjmij walkę, Harry; broń honoru Perth!” - żąda lord burmistrz. „Stawiam podwójną sztukę złota na Harry'ego przeciwko tym ciurom!” - zakrzyknie czasem twój ojciec. I cóż ja,

nieszczęśnik, poradzę, Katarzyno, kiedy wszyscy dokoła podjudzają mnie w imię piekieł do złego, a nikt nie szepnie nawet słówka w obronie tej drugiej strony?

- Tak, wiem - przyznała Katarzyna - diabeł ma wielu faktorów, którzy zachwalają jego piekielne towary, ale naszą rzeczą jest odrzucić wszelką grzeszną namowę, nawet jeżeli wypowiedana jest

wargami ludzi godnych naszej miłości i naszego szacunku.

- A poza tym są minstrele ze swoimi pieśniami i balladami sławiącymi mężczyzn w zależności od tego, ile otrzymali i odwzajemnili ciosów. Aż przykro powiedzieć, Katarzyno, za ile moich grzechów odpowiedzialność spada na pieśni Niewidomego Harry'ego* Minstrela. Kiedy biję mieczem na odlew,

to nie dlatego (święty Jan mi świadkiem!), żeby zranić przeciwnika, lecz żeby naśladować słynny cios

Williama Wallace'a*.

Imiennik Niewidomego Minstrela wypowiadał te słowa tonem tak żalonym i poważnym, że Katarzyna nie mogła powstrzymać uśmiechu; zapewniła go jednak, że dla tak płochych igraszek nie wolno mu ani przez krótką chwilę wystawiać na niebezpieczeństwo życia własnego czy przeciwników.

- To prawda - rzekł Harry, któremu uśmiech dziewczyny dodał odwagi - ale według mnie, szlachetna sprawa pokoju zyskałaby wielce, mając własnego orędownika. Powiedzmy na przykład, że coś mnie kusi i ponagla, ażebym sięgnął do broni, i nagle przypominam sobie, że w domu czeka na mnie mój dobrotliwy anioł stróż, który zdaje się do mnie szeptać: „Harry, nie zadawaj gwałtu, to moją rękę chcesz unurzać we krwi... Harry, nie ściągaj na siebie niebezpieczeństwa, to moją pierś nastawiasz na

śmiertelne razy". Takie myśli skuteczniej ostudzą moją zapalczywość, niż gdyby wszyscy mnisi w Perth wołali chórem: „Powstrzymaj rękę pod karą srogiej ekskomuniki!"

- Jeżeli przestroga wypowiedziana głosem siostrzanej tkliwości może zaważyć w duchowej debacie

- rzekła Katarzyna - miej zawsze w pamięci, że zadając cios krwawisz tę rękę... że gdy tobie ktoś zadaje

rany, to serce cierpi najsroższy ból.

Szczera tkliwość brzmiąca w głosie dziewczyny dodała Harry'emu odwagi.

- A czy nie mogłabyś, droga Katarzyno, rozszerzyć twojej życzliwości poza te oziębłe granice?

Czemu... skoro w swej dobroci i szczodrości przyznajesz, że leży ci na sercu los biednego ignoranta i grzesznika, który do ciebie przemawia... nie miałabyś jednocześnie przyjąć go na swego ucznia i towarzysza życia? Twój ojciec pragnie tego związku, całe miasto się go spodziewa, cechy rękawiczników i płatnerzy przygotowują się do wspólnych biesiad i uroczystości, a tylko ty... ty, Katarzyno, której słowa tak są serdeczne i dobrotliwe, nie chcesz wyrazić zgody.

- Harry - wyszeptała dziewczyna głosem cichym i drżącym - uwierz mi, proszę, że uczyniłabym zadość życzeniom ojca, gdyby związek, którego on pragnie, nie znajdował na drodze do swego urzeczywistnienia nieprzewyciężonej przeszkody.

- Ale pomyśl... zastanów się choć przez chwilę. Nie mam ja się czym chwalić w porównaniu z tobą, która posiadała sztukę czytania i pisania. Ale widzisz... pragnąłbym, aby mi czytano, a twojemu słodkiemu głosikowi mógłbym się przysłuchiwać bez końca. Lubisz muzykę, a mnie nauczono grać na lutni i śpiewać nie gorzej od minstrelów. Lubisz dzieło miłosierdzia, a ja mam dość dla siebie i dość do

rozdawania innym; codzienna jałmużna w wysokości jałmużny diakona nie ubiedni mojego trzosu.

Twój ojciec jest człowiekiem starym i nie na długo starczy mu sił do pracy; zamieszka z nami, a ja pragnę gorąco zastąpić mu syna. Będę tak rozważnie unikał wszelkich niepotrzebnych swarów i utarczek, jak wystrzegam się włożenia ręki do pieca w kuźni. A jeśli zagrozi nam miecz bezprawia i przemocy, jego ostrze wybierze sobie zły cel.

- Obyś zaznał, drogi Harry, wszystkich domowych radości, o jakich marzysz... ale z kimś, kto szczęśliwszy jest ode mnie!

Te słowa wypowiedziało, a raczej zaszlochało, Piękne Dziewczę z Perth, dławiąc się z trudem powstrzymywanymi łzami.

- A więc tak ci jestem nienawistny? - spytał Harry po krótkiej chwili milczenia.

- Bogiem się świadcę, że nie!

- Kochasz zatem innego?

- Okrutna to rzecz pytać o coś, czego wiedza nie zda ci się na nic. Ale twoje przypuszczenie nie ma żadnych podstaw.

- Pewnie tego górskiego żbika, Conachara? - rzucił gniewnie Harry. - Widziałem nieraz, jak na ciebie spogląda...

- Korzystasz z tej bolesnej sytuacji, Harry, aby mnie znieważać, chociaż Bogiem się świadczę, że na to

nie zasłużyłam. Conochar nic dla mnie nie znaczy, starałam się tylko naukami poskromić jego dziką naturę i rozświetlić mroki umysłu wydanego na pastwę przesądów i namiętności. Pod tym względem, Harry, dość wiernie przypominasz Conachara.

- W takim razie jest to któryś z tych strojnych jak papugi i pysznych jak pawie wielkich panów ze dworu! - wybuchnął płatnerz. Rozczarowanie i udręka rozjątrzyły przyrodzoną popędliwość jego natury. - Jeden z paniczyków, którym się zdaje, że tym pewniejsze osiągną zwycięstwo, im mają wyższe pióra na kołpakach i im głośniej brzękają ostrogami. Dużo bym dał, żeby wiedzieć, który z nich, miał dobrać sobie odpowiednią dla siebie bogdankę spośród obsypanych pudrem i barwiczką i skropionych wonnościami płochych dam dworskich, szuka zdobyczy między prostymi dziewczętami mieszczańskiego stanu! Dużo bym dał, żeby znać jego imię!

- Harry - rzekła dziewczyna otrząsając się ze słabości, która jeszcze przed chwilą zdawała się ją obezwładniać - przemawiasz do mnie językiem niewdzięcznego głupca lub raczej rozsierzonego szaleńca. Mówiłam ci już, że nie było nikogo, o kim miałabym - na początku tej rozmowy - wyższe mniemanie niż o tym, który teraz, wraz z każdym słowem wypowiedzanym w tonie niesprawiedliwej podejrzliwości i bezrozumnego gniewu, coraz niżej stacza się w moich oczach. Nie miałeś prawa nawet pytać o to, co ci sama powiedziałam; a z czego, zauważ, proszę, nie wynika, że przekładam ciebie nad innych ani że innych przekładam nad ciebie. Wystarczy, jeśli ci powiem, że na drodze do twoich pragnień istnieje przeszkoda tak niepokonalna, jak gdyby mój los był zaczarowany przez czarnoksiężnika.

- Ludzie uczciwi mają moc zdejmowania czarów - rzekł Harry Smith. - Szczerze bym chciał zyskać do

tego okazję. Duński płatnerz Thoriborn chełpił się zaklęciem, którego używał przy wyrobie pancerzy. Była to piosnka, a śpiewał ją, gdy rozgrzewało się żelazo. Powiedziałem mu, że jego skandynawskie śpiewki jakoś niewiele pomogły przeciwko mieczom wojów, którzy walczyli pod Loncarty... nie warto wspominać, jak się to skończyło. W każdym razie pancerz i jego właściciel, a także medyk, który Duńczykowi opatrywał ranę, przekonali się, czy Harry Smith potrafi, czy nie potrafi zdejmować czary.

Katarzyna spojrzała na młodzieńca takim wzrokiem, jak gdyby miała wyrazić niezbyt pochlebną uwagę o czynie, którym pochwalił się płatnerz, a który - o czym Harry w swej prostocie zapomniał - należał do najczęściej przez nią ganionych jego postępków. Ale zanim zdążyła ubrać swoją myśl w słowa, otworzyły się drzwi i stary Szymon wsunął głowę do izby.

- Harry - rzekł - muszę ci przerwać to miłe zajęcie i prosić, abys bez mieszkania przyszedł do mego warsztatu, trzeba nam się bowiem naradzić nad pewnymi sprawami nader istotnymi dla dobra naszego miasta.

Posłuszny wezwaniu Glovera, Harry skłonił się Katarzynie i opuścił izbę. Prawdę mówiąc, stało się chyba szczęśliwie dla ich późniejszych przyjaznych stosunków, że rozstali się w tym właśnie momencie, gdyż ich rozmowa przyjęłaby zapewne niepożądany obrót. Bo podczas gdy zalotnik uważał odmowę dziewczyny za zgoła kapryśną i niezrozumiałą wobec zachęty, z jaką - w swoim mniemaniu - spotkał się tego ranka, Katarzyna widziała w nim brutala, który okazaną mu łaskawość wykorzystał do dalszych żądań.

Jednakże w sercach ich obojga krył się wzajemny afekt; i było pewne, że po skończonej kłótni afekt ów odżyje i że dziewczyna zapomni o urażonej delikatności, zalotnik zaś - o zlekceważonym uczuciu.

ROZDZIAŁ VII

Ta kłótnia kiedyś krew wytoczyć może.

SZEKSPIR: Henryk IV, cz. I

Konklawe mieszczan, którego celem było zbadanie przebiegu nocnej utarczki, obradowało już i warsztat Szymona Glovera wypełnił się osobistościami niemałej wagi i znaczenia, wśród których czerniły się aksamitne płaszcze mężów w złotych łańcuchach na szyi. Byli to ojcowie miasta, w czcigodnym bowiem gronie znajdował się niejeden rajca i diakon. A gdy rozmawiali, głosami ściszonymi i nie roztrząsając szczegółowo sprawy, na ich obliczach malował się wyraz rozdrażnienia i zranionej dumy. Najruchliwszy między ruchliwymi, mały i godny w poczuciu własnej ważności uczestnik nocnego pościgu, Oliver Proudfoote - owa wybitna postać cechu czapników - uwijał się między zebranymi; przypominał w tym mewę, która bije skrzydłami, krzyczy i miota się na powitanie wichury, chociaż wyszłaby na tym lepiej, gdyby pofrunęła do gniazda i czekała w bezpiecznym schronieniu na koniec burzy.

Ale jakkolwiek bywa z mewą, majster Proudfoote krążył wśród tłumu, chwycił mężczyzn za guziki, przytykał wargi do ich uszu, obejmował za szyję tych, którym dorównywał wzrostem, aby tym ciszej i bardziej tajemniczo przekazywać im swoje uwagi; lub stawał na palcach i czepiał się kołnierzy mężczyzn wyższych od siebie, aby ich również obdzielić tymi samymi nowinami. Uważał się za bohatera wczorajszego wieczoru, szczycił się swoją sytuacją naocznego świadka i był bardziej niż skłonny przedstawiać swój udział w starciu w barwach niezbyt skromnych i niezupełnie prawdziwych.

Zresztą nie można powiedzieć, żeby jego informacje były szczególnie ciekawe czy doniosłe, gdyż składały się głównie z takich i podobnych zapewnień:

- Wszystko to prawda, na świętego Jana! Byłem tam i na własne oczy widziałem... pierwszy przybiegłem na miejsce bójki. Gdyby nie ja i jeszcze jeden z naszych krzepkich mieszczan, który pojawił się mniej więcej w tym samym czasie, ci hultaje wdarliby się do domu Szymona Glovera,

poderżnęliby mu gardło i wprowadzili jego córkę w góry. Niecne to praktyki i nie wolno nam puszczać

ich płazem, sąsiedzie Crookshank... znosić cierpliwie, sąsiedzie Glass... godzić się z nimi, sąsiedzie Balneaves, Rollock i Chrysteson. Łaska Pańska, że przybiegliśmy na czas razem z tym krzepkim zuchem... mamże słuszność, sąsiedzie i czcigodny rajco Craigdallie?

Ruchliwy czapnik szeptał lub wykrzykiwał te słowa do większości uszu. Rajca Craigdallie, dostojny członek gildii kupieckiej, ten sam, który radził w nocy, aby odłożyć obywatelską naradę do obecnej pory i miejsca - postawny, barczysty, urodziwy mężczyzna, strząsnął czapnika ze swego płaszcza takim mniej więcej ruchem, jakim koń strząsa z siebie natrętą muchę, i zawołał:

- Uciszcie się, cni obywatele! Oto nadchodzi Szymon Glover, którego usta nie skalały się nigdy kłamstwem. Niech nam opowie o doznanej zniewadze.

Szymon uczynił, jak od niego żądano, ale mówiąc był wyraźnie zakłopotany, co wyjaśnił obawą, że miasto zostanie z jego przyczyny wciągnięte w niebezpieczny spór. Był to, zaryzykował twierdzenie, wybryk maskaradowy czy też wesoła hulanka dworskich galantów; najgorsze, co z tego wyniknie, to że będzie musiał założyć żelazne kraty na oknie komnaty córki, jeśli powtórzą się jeszcze raz podobne

figle.

- Przebóg, skoro była to zwykła zabawa masek - ozwał się Craigdallie - źle zrobił nasz brat płatnerz, Harry Smith, że obciął szlachcicowi dłoń za tak niewinną igraszkę. Teraz miasto może być ukarane ogromną grzywną - chyba że wskażemy i wydamy sprawcę okaleczenia.

- Niech Bóg uchwowa! - zawołał Glover. - Gdybyście wiedzieli to wszystko, co mnie jest wiadome, tak

niechętnie dotykałibyście tej sprawy, jakby to była sztaba rozpalonego do białości żelaza. Ale skoro upieracie się, żeby pchać palce w ogień, muszę rzec prawdę. I jakiegokolwiek będą tego następstwa, powiem, że sprawa mogłaby się była skończyć źle dla mnie i dla mojej córki, gdyby nie pomoc Harry'ego Smitha, płatnerza, który wszystkim wam dobrze jest znany.

- A także moja pomoc - wtrącił Oliver Proudfoote - chociaż wyznam, że we władaniu mieczem nie jestem może tak biegły, jak nasz sąsiad Harry. Prawda, sąsiedzie Glover, żeś mnie widział od samego

początku bitki?

- Widziałem cię, sąsiedzie, po jej zakończeniu - odparł oschle Glover.

- Prawda to, prawda. Całkiem zapomniałem, żeś był w domu, kiedy padały raży, więc nie mogłeś widzieć, kto je rozdzielał.

- Spokój, sąsiedzie Proudfoote. Zechciej łaskawie zamilknąć! - zawołał Craigdallie, najwyraźniej znudzony niezmordowanym gadulstwem cnego czapnika.

- Domyślam się w tym jakiejś tajemnicy - rzekł rajca - ale sądzę, że ją odgadł. Wiemy wszyscy, że nasz przyjaciel Szymon jest człowiekiem miłującym pokój... takim, który rychlej przemilczy własną krzywdę, niż szukając pomsty narazi przyjaciela lub sąsiada na niebezpieczeństwo. Teraz ty, płatnerzu

Smith, któryś zawsze jest pierwszy, gdy miastu potrzebni są obrońcy, powiedz nam, co wiesz o sprawie.

Harry opowiedział swoją przygodę ze wszystkimi szczegółami, które znamy; a natrętny czapnik powtórzył swoje pytanie:

- Widziałeś mnie, sąsiedzie Smith... prawda, żeś mnie widział?

- Jeśli mam rzec szczerą prawdę, to cię nie widziałem - odparł Harry. - Ale takiś jest niewyrośnięty, czapniku, że mogłem cię przeoczyć.

Tę odpowiedź zebrani powitali śmiechem; Proudfoote śmiał się wraz z innymi, ale zaraz dodał z uporem:

- A swoją drogą przybiegłem na ratunek jako jeden z pierwszych.

- To gdzieś ty się, człowieku, podziewał? - spytał Harry. - Bo cię nie widziałem, a przyznaję, że dałbym najlepszą zbroję, jaka kiedykolwiek wyszła spod mojego młota, żeby mieć wtedy u boku

człowieka tak krzepkiego jak ty, sąsiedzie Proudfulu.

- Byłem niedaleko, cny płatnerzu, całkiem niedaleko. A gdy z twojej ręki padały ciosy tak potężne jak uderzenia młotem w kowadło, ja odpierałem tych hultajów, którzy atakowali cię z tyłu. I dlategoś mnie nie widział.

- Słyszałem o starożytnym płatnerzu, który miał tylko jedno oko - zaśmiał się Harry. - Ja mam dwa, ale oba są osadzone z przodu głowy, więc nie widzę, co się dzieje za moimi plecami.

- Ale prawdą jest, że ja tam byłem - upierał się majster Proudful - i zaraz zdam starszemu rajcy sprawozdanie, bośmy obaj ze Smithem pierwsi przybiegli na miejsce walki.

- Chwilowo dość mamy informacji - rzekł starszy rajca, gestem ręki nakazując czapnikowi milczenie.

- Słowa Szymona Glovera i Harry'ego Smitha wystarczyłyby nam w sprawie nawet mniej niż ta wiarygodnej. A teraz, bracia mieszczenie - co według was powinniśmy uczynić? Oto pogwałcono i zdeptano nasze prawa obywateli królewskiego miasta, a nietrudno jest się domyślić, że dokonał tego człowiek możny, gdyż nikt inny nie ważyłby się na taką jawną zniewagę. Bracia mieszczenie, krew się

burzy na samą myśl, że mielibyśmy to puścić płazem. Prawa uczyniły nas ludźmi niższego stanu niż książęta i szlachta, ale chyba nikt przy zdrowych zmysłach nie przypuszcza, że pozwolimy, aby włamywano się do naszych domów i znieważano nasze niewiasty nie szukając za te krzywdy zadośćuczynienia.

- Nie ścierpimy tego! - zawołali mieszczenie jak jeden mąż.

W tym miejscu ozwał się Szymon Glover, z twarzą zaniepokojoną i posępną.

- Wciąż łudzę się, czcigodni sąsiedzi, że zamiary napastników nie były tak nieczne, jak nam się to zdaje. Ja osobiście chętnie puszczę w niepamięć moją krzywdę, chętnie zapomnę, że mnie niepokojono w nocy i napastowano mój dom, byleby naszemu pięknemu miastu nie zagroziło niebezpieczeństwo z mego powodu. Zastanówcie się, proszę, czcigodni przyjaciele, kim będą sędziowie, którzy rozpatrzą naszą skargę i albo przyznają, albo odmówią nam zadośćuczynienia.

Przemawiam w gronie przyjaciół i sąsiadów, a zatem mówię szczerze. Król - niech go Bóg błogosławi! - tak jest słaby na ciele i umyśle, że skieruje nas do jednego z możliwych w swojej radzie, tego, który chwilowo będzie w łaskach - może do swojego brata, księcia Albany, który z petycji o naprawienie wyrządzonych nam krzywd uczyni pretekst do wyciśnięcia z nas pieniędzy.

- Albany nie będzie nas sądził! - zakrzyknęli mieszczenie z tą samą co przedtem jednomyślnością.
- Lub może - ciągnął Szymon - przykaże księciu Rothsay zająć się naszą sprawą. Rozhukany młody książę uczyni z naszej krzywdy przedmiot drwin dla siebie i swoich towarzyszy zabaw i temat do pieśni dla swych minstrelów.

- Precz z Rothsayem! Taki wesolek nie będzie naszym sędzią! - wznieśli okrzyki mieszczenie.

Gdy Szymon zobaczył, że osiąga cel, do którego zmierzał, poczuł się trochę pewniejszy; jednakże zniechęcony imięm wypowiedział szeptem:

- A może wolelibyście, żeby Czarny Douglas rozstrzygał spór?

Zaległa martwa cisza. Przez chwilę mężczyźni spoglądali na siebie w milczeniu, twarze im sponiewniały, usta pobladły. Ale Harry Smith przemówił śmiało i głosem stanowczym wypowiedział to, co czuli wszyscy, tylko że żaden z nich nie śmiał wyrazić tego słowami:

- Czarny Douglas miałby być sędzią w sporze między mieszczańcem a szlachcicem... a może magnatem, chociaż ta różnica niewiele mnie obchodzi? Prędeż czarny diabeł z czeluści piekielnych!

Chybaś zmysły postradał, ojczyste Szymonie, że wysuwasz tak obłąkaną propozycję!

Znowu zaległa cisza nabrzmiała lękiem i niepewnością. Przerwał ją starszy rajca Craigdallie, który, spojrzawszy znacząco na mówiącego, ozwał się w końcu:

- Ufasz swojej stalowej kolczudze, sąsiedzie Smith, bo inaczej byś tak nie mówił.

- Ufam mojemu uczciwemu sercu pod kolczugą, jaka tam ona jest, rajco odparł nieustraszony Harry. -

A chociaż nie mówię wiele, żaden z tych możliwych panów nie zamknie mi ust na kłódkę!

- Noś grubą kolczugę, zacny płatnerzu, albo nie mów tak głośno - odparł rajca równie znaczącym

tonem. - Widuje się w mieście ludzi z Pogranicza, którzy noszą na ramieniu krwawe serce*. Ale to wszystko nie do rzeczy. Co poczniemy?

- Kto krótko radzi, ten dobrze radzi - rzekł Smith. - Chodźmy do naszego burmistrza; niech nam pomoże i udzieli wskazówek.

Szmer aplauzu rozległ się w izbie, a Oliver Proudfoote wykrzyknął:

- Przecież o tym mówię najmniej od pół godziny, tylko że nikt mnie nie chce słuchać! Chodźmy do burmistrza, powtarzam w kółko. Sam jest szlachcicem i jego to rzecz pośredniczyć między nami a szlachtą we wszystkich spornych sprawach.

- Sza, sąsiedzi, sza. Uważajcie, co mówicie i czynicie - ozwał się jakiś cherlawy mizerak, którego nędzna postura zdawała się jeszcze chudsza i bardziej podobna cieniowi dzięki wysiłkom, jakie czynił, aby osiągnąć najwyższy stopień pokory i stać się człowiekiem jeszcze mizerniejszym i mniej znaczącym, niżli go uczyniła natura.

- Wybaczcie mi, czcigodni sąsiedzi - rzekł. - Jestem tylko nędznym aptekarzem. Ale wychowałem się w Paryżu i studiowałem tam nauki humanistyczne oraz przeszedłem mój cursus medendi* nie mniej gruntownie niżli niektórzy spośród tych, co zwą samych siebie uczonymi medykami. Sądzę, że zdołam oczyścić tę ranę i wykurować ją przy pomocy odpowiednich maści. Oto z jednej strony mamy naszego przyjaciela Szymona Glovera, który, jak wiemy, jest człowiekiem pobożnym. Czyż myślicie, że pierwszy nie opowiedziałby się na tej naszej naradzie za surowymi metodami działania, skoro to przecież idzie o honor jego rodziny? A jeśli lęka się wytoczyć oskarżenia przeciwko tym młodym hulakom, czyż nie ma może jakiegoś innego słusznego powodu, którego woli nam nie zdradzać, do puszczenia całej sprawy w niepamięć? Nie moja to sprawa rozdrapywać bolejącą ranę. Lecz - niestety!

Wiemy wszyscy, że młode dziewczęta są... jak ja to określam... materią nader niestałą. Założmy, proszę, że uczciwa, zacna dziewczyna... w całej swojej niewinności... zostawia w noc przed świętym

Walentym uchylone okiennice... aby jakiś młody galant mógł... bez żadnych złych myśli... zostać jej Walentynem na następny rok. I powiedzmy, że galanta przyłapano w jej pokoju... czyż dziewczyna nie zacznie wtedy krzyżeć, czyż nie zacznie udawać, że te odwiedziny są niespodziewane...?

Zastanówcie się, czcigodni sąsiedzi, czy dla takiej sprawy warto wikłać miasto w niebezpieczny spór?

Aptekarz wypowiedział swoją opinię w sposób obelżywie dwuznaczny. Ale jego chuderława postać skurczyła się do jeszcze mniejszych niż naturalne rozmiarów, gdy zobaczył rumieniec wypływający na

stare policzki Szymona Glovera i pociemniałą z gniewu twarz Harry'ego. Płatnerz wystąpił z tłumu i patrząc groźnie na mówcę, wybuchnął:

- Ty chodzący szkielecie! Ty astmatyczny słoiku na maście! Ty zawodowy trucicielu! Gdybym przypuszczał, że ta reszka plugawego oddechu, która ci jeszcze została w zaszuszonych piersiach, może skalać czyste imię Katarzyny Glover, wepchnąłbym cię do aptekarskiego mózdzierza i utłukł twoje obrzydliwe ścierwo wraz z siarką piekielną, która jest jedynym lekarstwem sprzedawanym w twoim kramie, i roztarłbym cię na maść do nacierania parchowatych psów!

- Zamilcz, synu! - zawołał Glover tonem nie znoszącym sprzeciwu. - W tej sprawie nikt poza mną nie ma prawa zabierać głosu. Czcigodny rajco Craigdallie, skoro moja cierpliwość została wystawiona na

tak srogą próbę, oświadczam, że gotów jestem dochodzić mojej krzywdy do końca. A chociaż wynik naszych działań przekona nas może, że lepiej byśmy zrobili zachowując cierpliwość, dowiedcie się wszyscy, że moja Katarzyna ani przez płochość, ani przez głupotę nie dała podstaw do tej uwłaczającej obmowy.

Teraz starszy rady zwrócił się do Harry'ego:

- Sąsiedzie Smith, przyszliśmy tu, aby radzić, nie zaś, aby skakać sobie do oczu. Jako jeden z ojców tego miasta nakazuję ci wyrzucić z serca wszelką złość i urazę, jaką możesz żywić do imci aptekarza Dwininga.

- Nazbyt lichą jest on istotą, rajco - rzekł Harry Smith - abym miał go traktować jako mego wroga...
przecie wystarczyłoby, żebym raz machnął lekkim młotem, a nie zostałyby nawet ślad po nim i po jego aptekarskim kramie!

- A zatem wysłuchajcie mnie, sąsiedzi! - zwrócił się rajca do zebranych. - Wszyscy tak ufamy niewinności Pięknego Dziewczęcia z Perth, jakby to chodziło o Najświętszą Panienkę. - Tu przeżegnał się pobożnie. - Ale teraz musimy rozważyć sprawę naszego odwołania się do burmistrza. Zgadza się, sąsiedzi, złożyć w ręce burmistrza skargę, która - czego się obawiamy - jest skargą przeciwko potężnemu magnatowi?

- Nasz burmistrz sam jest magnatem! - zaskrzeczał aptekarz, któremu interwencja rajcy przywróciła częściowo kontenans. - Klnę się na Boga, że nie chcę uchybiać szlachetnemu panu, który sprawuje urząd znajdujący się od wielu pokoleń w jego rodzie...

- Z woli i wyboru obywateli miasta Perth - wtrącił Harry Smith swoim głębokim i stanowczym głosem.

- A jakże... ma się rozumieć... z woli i wyboru obywateli - przyznał zmieszany mówca. - Jakżeby inaczej? Proszę cię, przyjacielu płatnerzu, abyś mi nie przerywał. Może głupio mówię, ale przemawiam do czcigodnego i najstarszego spośród rajców, imci Craigdallie. Chodzi o to, że jakkolwiek ściśle związany jest z nami nasz burmistrz, to jednak nie przestaje być sir Patrickiem Charterisem, możliwym panem... a wiadomo, że kruk krukowi oka nie wykolę. Może on nas popierać w należyty sposób w waśniach z Pogórczanami i jako nasz burmistrz i wódz wyprowadzać nas przeciwko nim w pole; ale wątpić należy, czy mąż, który sam nosi jedwabie, stanie po naszej stronie w sporze przeciwko brokatom i złotogłowiom, nie zaś zwykłym tartanom i irlandzkim suknom. Posłuchajcie rady głupca. Obroniliśmy nasze Piękne Dziewczę, o którym nie chciałem źle mówić, bo nic złego nie wiem o Katarzynie Glover. Jeden z napastników stracił dłoń dzięki waleczności Harry'ego Smitha...

- I mojej - wtrącił czapnik.

- I Olivera Proudfoote'a, jak się dowiadujemy - ciągnął aptekarz, który nie podawał w wątpliwość niczyich roszczeń do chwały, pod warunkiem, że sam nie był zmuszony stąpać po niebezpiecznej ścieżce, która do niej wiodła. - Powiadam więc, sąsiedzi, że skoro ci łotrzy zostawili na pamiątkę dłoń,

nie zjawia się więcej na Curfew Street... i powiadam, że najlepiej okażemy wdzięczność naszemu krzepkiemu płatnerzowi, za którego sprawą na miasto spłynął honor, a napastnicy ponieśli stratę, jeśli

będziemy siedzieli cicho i zapomnimy o całej sprawie.

Te pokojowe rady przekonały snadź kilku obywateli; mężowie ci kiwali teraz głowami i spoglądali ze

zrozumieniem na orędownika ugodowości, któremu - mimo doznanej przed chwilą zniewagi - nawet

Szymon Glover zdawał się przyznawać słuszność. Ale z Harrym Smithem rzecz miała się inaczej;

widząc, że narada utkwiała na martwym punkcie, Harry przemówił w swój szczerzy i bezceremonialny sposób:

- Nie jestem ja, sąsiedzi, ani najstarszy, ani najbogatszy w tym gronie, czego nie żałuję. Lat mi

przybędzie, jeżeli dożyję, a zarobić i wydać potrafię jak każdy z was, w czym mój młot i moje miechy

są mi pomocne. Ale nikt jeszcze nie widział, żebym tulił uszy po sobie, gdy ktoś słowem albo czynem

ubliża naszemu pięknemu miastu - jeżeli mój język czy moja ręka mogą naprawić krzywdę. Ani myślę

też przełykać tej zniewagi. Jeśli żaden z was nie chce, ja sam pójdę do burmistrza. Jest rycerzem, to

prawda, i najprzedniejszym szlachcicem, o czym wszyscy wiemy, od czasów Wallace'a, który osadził

tu wśród nas jego pradziada. Ale gdyby był najdumniejszym nawet panem w całym kraju, jest przecie

także burmistrem Perth i przez wzgląd na własną cześć musi chronić przywilejów i praw miasta -

wiem, że tak uczyni, bom mu robił stalowy puklerz i zaraz odgadłem, jakiego to gatunku serce ma

okrywać moja blacha. ...

- Pewne jest - rzekł rajca Craigdallie - że bez zagwarantowania sobie pośrednictwa sir Patricka Charterisa na próżno kołatalibyśmy u dworu. Usłyszeliibyśmy gotową odpowiedź: „Czemuście, miejskie prostaki, nie zwrócili się do waszego burmistrza?” A zatem, sąsiedzi i mieszczenie, jeżeli wyrazicie zgodę, udam się wraz z aptekarzem Dwiningiem do Kinfauns i w imieniu miasta przedstawię naszą sprawę sir Patrickowi Charterisowi. Towarzyszyć mi będzie Szymon Glover, krzepki Harry Smith i dzielny Oliver Proudful, wszyscy jako świadkowie napaści.

- Uchowaj Boże! - zaprotestował pokojowo usposobiony aptekarz. - Na mnie, proszę, nie liczcie. Brak

mi śmiałości i nie odważę się przemawiać przed obliczem pasowanego rycerza.

- Choćby ci brakło śmiałości, sąsiedzie, jechać musisz - odparł rajca Craigdallie. - Całe miasto wie, że

jak na człowieka w moich latach nadto jestem zapalczywy i krewki... Szymon Glover jest poszkodowanym w sporze... wszyscy wiemy, że Harry Smith więcej psuje zbroi swoim mieczem, niż ich wykuwa w kuźni... nasz zaś sąsiad Proudful, który - według własnych słów - nie opuszcza ani jednej bitki w Perth, jest ponad wszystko człowiekiem czynu. Trzeba nam choć jednego orędownika pokoju i ty, sąsiedzie Dwining, nim będziesz. Dalej, panowie mieszczenie, wżycie długie buty i osiodłajcie wierzchowce... na koń, powiadam! Spotkamy się przy Wschodniej Bramie... jeśli naturalnie wy, sąsiedzi, życzyście sobie powierzyć nam tę sprawę.

Najlepsza to rada! Popieramy, popieramy! - zakrzyknęli mieszczenie. - Jeżeli burmistrz opowie się po

naszej stronie, czego miasto ma prawo się spodziewać, zadamy bobu najmożliwszym z tych możliwych panów!

A więc zgoda, sąsiedzi - odparł starszy rajca. - Jako się rzekło, tak też będzie zrobione. Wezwałem na

tę mniej więcej porę całą radę miejską i nie wątpię - powiódł wzrokiem po sali - że skoro tak wielu rajców tu obecnych powzięło postanowienie, żeby zwrócić się do burmistrza, reszta poprze ten

wniosek. Dlatego też, sąsiedzi i zacni mieszczenie pięknego grodu Perth na koń, jak już mówiłem, i do zobaczenia przy Wschodniej Bramie!

Ogólny poklask zakończył posiedzenie tej swojego rodzaju tajnej rady przybocznej; mieszczenie rozeszli się - członkowie deputacji, aby poczynić przygotowania do drogi, reszta zaś, aby zawiadomić

niecierpliwie oczekujące żony i córki o środkach, jakie podjęto, by zabezpieczyć w przyszłości ich komnaty sypialne przed niewczesną intruzją galantów.

Gdy pachołkowie siodłają teraz konie, rada zaś miejska debatuje, a raczej sankcjonuje to, co uchwalili

już jej wybitniejsi członkowie, nie od rzeczy będzie - dla informacji czytelnika - opisać bardziej szczegółowo stan faktyczny, o którym wspomiano pobieżnie w poprzedniej dyspacie.

Było zwyczajem owych czasów, w których potęga feudalnej arystokracji strzegła praw - a często naruszała przywileje - królewskich miast Szkocji, że miasta te wybierały niekiedy burmistrza nie spośród kupców, rzemieślników czy obywateli zamieszkujących samo miasto, lecz wyносиły na ten zaszczytny urząd jakiegoś możnego pana czy barona osiadłego w okolicy, który brał na siebie obowiązek bronięcia interesów mieszczań na dworze we wszystkich tych sprawach, które dotyczyły ich wspólnego dobra, a ponadto wiodł miejską milicję obywatelską do walki czy to w bitwach ogólnokrajowych, czy w prywatnych zatargach, zasilając jej szeregi własną feudalną drużyną. Ale panowie nie zawsze udzielali tego poparcia bezinteresownie. Wykorzystując swoją sytuację w niepomiarowany i bezwzględny sposób, burmistrzowie często uzyskiwali nadanie gruntów i budynków stanowiących własność ogółu lub będących własnością publiczną miasta i drogo kazali płacić mieszczanom za opiekę. Inni zadowalali się wydatną i ważką pomocą miasta w ich własnych feudalnych sporach oraz takimi namacalnymi dowodami szacunku i dobrej woli, jakimi podległe miasto gotowe ich było nagradzać za czynną pomoc w nagłej potrzebie. Baron będący stałym opiekunem królewskiego miasta przyjmował tego rodzaju dobrowolne ofiary bez skrupułów i płacił za

nie, broniąc praw miasta, przemawiając za nim w radzie królewskiej i dokonując mężnych czynów na polu bitwy.

Obywatele miasta, czy też jak sami woleli to określać. Nadobnego Grodu Perth, od kilku już pokoleń wybierali swego protektora i burmistrza spośród członków możnego rodu Charterisów, lordów of Kinfauns, posiadających włości w okolicy Perth. Niespełna sto lat (przed panowaniem Roberta III) pierwszy Charteris osiadł w potężnym zamczysku, które było ich rodowym gniazdem, i objął w posiadanie okalające je malownicze i żyzne ziemie. Ale dzieje tego pierwszego przybysza, same w sobie nader romantyczne i bohaterskie, ułatwiły osiedlenie się cudzoziemca w kraju, do którego zagnał

go los. Powtarzamy te dzieje w takim kształcie, w jakim przekazała nam je starodawna i jednogłośnie tradycja, która posiada liczne znamiona prawdy i upoważnia być może do zamieszczenia ich na kartach ksiąg poważniejszych niż to moje dziełko.

W czasie krótkiej kariery słynnego patrioty Williama Wallace'a, gdy jego wojska wyparły na jakiś czas angielskich najeźdźców z granic ojczyznanego kraju, wyprawił się on podobno z garstką zaufanych przyjaciół do Francji. Miał nadzieję, że jego osobiste stawiennictwo (poważano go bowiem we wszystkich państwach chrześcijańskich za niezwykłą dzielność) skłoni monarchę Francji do wspomżenia Szkotów posiłkami lub udzielenia im innego poparcia w ich walce o odzyskanie niepodległości.

Szkocki bojownik o sprawę wolności znajdował się na pokładzie małego statku i płynął w kierunku portu Dieppe, gdy nagle w oddali pojawiła się fregata, której żeglarze przyglądali się najpierw podejrzliwie i niespokojnie, potem zaś w popłochu i ze zgrozą. Wallace spytał, jaki jest powód ich niepokoju. Kapitan wyjaśnił mu, że żaglowiec o wysokich masztach, który zbliżał się ku nim z wyraźnym zamiarem zaatakowania ich statku, jest fregatą osławionego rozbójnika morskiego, który słynie ze swej odwagi, niezwykłej siły i zuchwale uprawianego korsarstwa. Dowódcą korwety był szlachcic nazwiskiem Tomasz de Longueville, Francuz z urodzenia, lecz w praktyce jeden z tych

korsarzy, którzy nazywają siebie samych przyjaciółmi morza i wrogami tego, co pływa na morskich szlakach. Atakował i grabił okręty wszystkich narodowości, na podobieństwo starożytnych norweskich „królów morza”, których dominia znajdowały się na grzywach fal. Kapitan dodał, że żaden jeszcze statek nie uratował się ucieczką, tak chyba była fregata, którą dowodził rozbójnik; i żadna załoga, jakkolwiek bitna, nie mogła mu sprostać w walce, gdy swoim zwyczajem wdzierał się na pokład ściganego statku na czele zgrai korsarzy.

Na surowym obliczu Wallace'a błąkał się uśmiech, gdy kapitan, z twarzą ściągniętą niepokojem i ze łzami w oczach, mówił o losie oczekującym ich niechybnie z rąk Czerwonego Korsarza; to przezwisko Longueville'a. pochodziło od krwistoczerwonej flagi, którą, jak zwykle przed napaścią, wciągano teraz na maszt.

- Oczyszczę morze od tego rozbójnika - powiedział Wallace.

I przywoławszy garstkę wiernych towarzyszy - Boyda, Kerlie'ego, Setona i innych, dla których kurzawa najzacieklejszych bitew była jak oddech życia - rozkazał im uzbroić się i położyć na pokładzie tak płasko, aby nikt ich nie mógł dojrzeć z zewnątrz. Ten sam rozkaz wydał żeglarzom, prócz tylko tych, którzy musieli pomagać przy kierowaniu statkiem. I wreszcie rozkazał kapitanowi, pod karą śmierci, tak sterować pozorując ucieczkę, żeby jednak Czerwony Korsarz doścignął ich i mógł wdrzeć się na pokład. Następnie Wallace sam położył się na pokładzie, aby napastnicy nie dostrzegli żadnych przygotowań do obrony. Po kwadransie fregata de Longueville'a zrównała się z okrętem Wallace'a i Czerwony Korsarz, zarzuciwszy żelazne bosaki na bezbronną zda się zdobycz, skoczył w pełnej zbroi na pokład; za nim runęli jego podkomendni z wrzaskiem tak przeraźliwym, jak gdyby uważali już zwycięstwo za przesądzone. Ale zbrojni Szkoci poderwali się natychmiast z pokładu i Czerwony Korsarz wciągnięty został niespodziewanie w walkę z ludźmi, którzy podobnie jak on przywykli z góry uważać zwycięstwo za przesądzone na ich korzyść - i to nawet wtedy, gdy przeciwnik dwu- albo trzykrotnie przewyższał ich liczbą. Sam Wallace runął na kapitana korsarzy i

wywiązał się między nimi bój tak zacięły i straszliwy, że wszyscy inni przerwali walkę i patrzyli, jak

gdyby za obopólną zgodą uzależniając wynik bitwy od losu pojedynku między dwoma przywódcami. Korsarz walczył po mistrzowsku; ale siła Wallace'a przewyższała siłę zwykłych śmiertelników. Wytrącił miecz z dłoni Longueville'a, który znalazłszy się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, był zmuszony zewrzeć się ze Szkotem i podjąć walkę wręcz - w nadziei, że w zapasach zdoła go pokonać.

Ale tu również czekała go porażka. Spleceni uściskiem, padli obaj na pokład, ale Francuz znalazł się pod spodem; Wallace zamknął teraz dłonie na kołnierzu zbroi przeciwnika i choć kołnierz ten wykuty był z najprzedniejszej stali, ścisnął go z mocą tak straszliwą, że Francuzowi krew rzuciła się z oczu, nosa i ust i tylko gestem dłoni mógł prosić o pardon. Widząc, że ich przywódca znajduje się w śmiertelnych opalach, korsarze rzucili broń i błagali o łaskę. Zwycięzca darował pokonanym życie, zajął jednak korsarski statek i wziął ich do niewoli.

Gdy zbliżali się do celu wyprawy, Wallace zaalarmował port francuski, wywiesiwszy na maszcie krwawą flagę korsarza, jak gdyby sam de Longueville przybywał złupić miasto. Zagrzmiały dzwony na trwożę, huknęły trąby wzywające mieszczan do boju, gdy nagle wszystko się zmieniło. Szkocki Lew na złotej tarczy pojawił się na maszcie powyżej korsarskiej flagi i obwieścił, że oto zbliża się wielki obrońca Szkocji, jak sokół unoszący zdobycz w szponach.

Wallace wylądował ze swoim jeńcem, powiódł go na dwór i wyjednał u monarchy Francji łaskę dla korsarza; darowano mu rozboje, a król obdarzył go nawet szlachectwem i zaofiarował się przyjąć go do służby. Jednakże Longueville zapalał miłością do swego szlachetnego zwycięzcy i postanowił połączyć swój los z losem Wallace'a. Wrócił z nim do Szkocji, walczył u jego boku w licznych krwawych bojach i wkrótce cały kraj miał okazję się przekonać, że pod względem męstwa sir Tomasz

de Longueville ustępuje tylko swemu bohaterskiemu protektorowi. Ale los okazał się dla niego łaskawszy niż dla Wallace'a. Będąc mężczyzną nie tylko ogromnej siły, lecz również niepospolitej

urody, zdobył serce młodej dziedziczki starożytnego rodu Charterisów, która oddała mu swą rękę, wnosząc mężowi w wianie wspaniałą zamek baronów Kinfauns i rozległe włości. Ich potomkowie przyjęli matczyne nazwisko Charterisów, starożytnych właścicieli baronii, jednakże imię sir Tomasza de Longueville otaczali nie mniejszą czcią; wśród historycznych pamiątek rodu do dziś przechowywany jest jego oburęczny miecz, którym siał spustoszenie w szeregach wrogów. Według innej wersji nazwisko Charteris było rodowym nazwiskiem samych de Longueville'ów. Majątek przeszedł później w ręce Blairów, obecnie zaś należy do lorda Graya.

Otóż ci baronowie Kinfauns od kilku już pokoleń piastowali kolejno urząd burmistrza Perth, który to urząd przechodził z ojca na syna. Bliskość zamku od miasta sprawiała, że dla obu stron był to układ nader dogodny. Sir Patrick, występujący na kartach tej książki, nieraz już przewodził mieszkańcom w Perth w walkach i potyczkach z bandami grabieżców z Pogórza, a także w bojach z innymi wrogami, zarówno krajowymi, jak cudzoziemskimi. Prawda to, że nieraz nużyły go drobne i mało znaczące sprawy, którymi go obarczano. Stąd stawiano mu niekiedy zarzuty, że jest zbyt dumnym magnatem i zbyt rozleniwionym bogaczem, nadto rozmiłowanym w przyjemnościach łowów i gestach wielkopańskiej gościnności, aby raczył występować czynnie na każde wezwanie Nadobnego Grodu. Ale mimo to, że rozlegały się tu i ówdzie szmery niezadowolenia, w chwilach prawdziwej trwogi mieszkańcy garnęli się do swego Burmistrza i znajdowali u niego pomoc zarówno w radzie, jak w działaniu.

ROZDZIAŁ VIII

W Annandale Johnstone'ów ród

Swoje ma zasługi;

Są tam od tysiąca lat,

Będą tysiąc drugi.

Stara ballada

Opisawszy w poprzednim rozdziale charakter i pozycję sir Patricka Charterisa, wróćmy teraz do deputacji, która zebrała się tymczasem przy Wschodniej Bramie, aby podążyć do zamku Kinfauns i przedłożyć burmistrzowi swą skargę.

Pierwszy przybył na spotkanie Szymon Glover, na grzbiecie statecznego podjezdka, który dostępował niekiedy zaszczytu noszenia w siodle nadobniejszych kształtów i lżejszego ciężaru pięknej córki rękawicznika. Szymon ukrył dolną część twarzy w fałdach opończy, częściowo, żeby dać spotykanym na ulicy przyjaciółom do zrozumienia, iż nie powinni nagabywać go zbędnymi pytaniami, częściowo zaś, aby ochronić się przed zimnem. Głęboka zmarszczka troski na jego czole dowodziła, że im więcej

myśli o sprawie, tym trudniejsza i niebezpieczniejsza mu się ona wydaje. Gdy nadjechali jego przyjaciele, powitał ich milczącym gestem ręki.

Mężny płatnerz stawił się przy Wschodniej Bramie na dzielnym, czarnym wierzchowcu rasy Galloway; był to konik niewielki, ale o wysokich łopatkach, potężnych kończynach i mocnych kłębach. Baczny sędzia mógłby dostrzec w ślepiach zwierzęcia iskrę owej przekory, która często towarzyszy budowie szczególnie krzepkiej i wytrzymałej na trudy; jednakże waga jeźdźca, jego pewna ręka i sposób siedzenia w siodle, a także dyscyplina niedawno odbytej dalekiej podróży, poskromiły chwilowo hardość czarnego rumaka. Jednocześnie ze Smithem przybył na miejsce spotkania zacny czapnik, a że był człowiekiem niskim, pękatym, o krótkich nożynach, sprawiał wrażenie czerwonej poduszeczki na szpilki (odział się był bowiem w szkarłatną opończę i przerzucił przez ramię torbę myśliwską) umieszczonej na wysokim siodle; można rzec, że raczej trzymał się kurczowo tego siodła, niż na nim siedział. Siodło wraz z jeźdźcem było przymocowane do grzbietu rosłej flamandzkiej kobyły, która łeb zadzierała wysoko niczym wielbłąd, nogi zaś miała obrośnięte długą sierścią i kopyta w obwodzie nie mniejsze od patelni. Kontrast między zwierzęciem i jeźdźcem był tak uderzający, że podczas gdy przypadkowi przechodnie zastanawiali się tylko, jak czapnik zdołał

wdrapać się tak wysoko, jego przyjaciele myśleli z niepokojem i smutkiem o niebezpieczeństwach czyhających nań przy schodzeniu. Trzymał się teraz boku Smitha, cały czas obserwując i naśladowując jego ruchy, uważał bowiem, że ludzie czynu sprawiają w tłumie najkorzystniejsze wrażenie, gdy jada parami; był więc uszczęśliwiony, kiedy jakiś kpiarz z pospólstwa zakrzyknął z udaną powagą:

- Oto chluba naszego grodu! Oto nasi najbitniejsi mieszczenie... dzielny płatnerz i mężny czapnik!

Prawda to, że człeczyna wypchnął językiem policzek i zrobił komiczną minę do stojących obok urwipołciów; Oliver Proudfulite jednak tego nie widział, rzucił mu więc hojną ręką srebrnego pensa w nagrodę za szacunek okazany marsowej postawie. Ta szczodrość sprawiła, że teraz biegł za nimi roześmiany i rozwrzeszczany tłum wyrostków - dopóki Harry Smith nie obrócił się i nie zagroził, że wyłoi skórę pierwszemu, którego dosięgnie. Chłopcy woleli nie czekać na urzeczywistnienie tej groźby.

- Oto stawiliśmy się na czas, my, świadkowie napaści - oznajmił mały człowieczek na ogromnym wierzchowcu, zbliżając się do Szymona Glovera. - Ale gdzie są ci, którzy mają nam udzielić poparcia?

Ach, bracie Harry, ciężar władzy odpowiedniejszy jest dla grzbietu osła niż dzielnego konia; krępowałby tylko ruchy takich dziarskich młodzieńców jak my obaj.

- Rad byłbym, zacny majstrze Proudfulite - rzekł Harry - żeby cię przygniotła choć odrobina tego ciężaru, gdyż wtedy pewniej trzymałbyś się w siodle. Bo też wiercisz się, jakbyś tańczył jaki zwawy wiejski taniec, i ani trochę nie pomagasz sobie nogami.

- Słusznie, słusznie, unoszę się w strzemionach, żeby uniknąć trzęsienia. Okrutnie twardo siedzieć na tej mojej kobyle, ale niosła mnie ona przez lasy i bory i po różnych niebezpiecznych drogach. Dlatego też nie rozstaję się z moją Jezabelą... nazwałem ją tak na pamiątkę księżniczki kastylijskiej.

- Chciałeś pewnie powiedzieć Izabelą - zauważył Smith.

- Ach, Izabela... Jezabelą... co za różnica? Ale oto nadjeżdża rajca Craigdallie z tym tchórzliwym, obrzydłym płazem Dwiningiem! Wzięli ze sobą dwóch oficerów miejskiej straży, pewnie żeby

strzegli

ich szacownych osób. Ścierpieć nie mogę tego nędznego hultaja pigularza!

- Radzę uważać, czapniku, żeby cię imci Dwining nie usłyszał - rzekł Harry. - Uwierz mi, że czasem w takiej wyliniałej i chuderlawej anatomii więcej się kryje złości niż w dwudziestu krzepkich chwatach twojego pokroju.

- E, tam! Żartujesz sobie tylko ze mnie, sąsiedzie Harry - rzekł Oliver Proudful, zniżył jednak głos i zaczął mierzyć aptekarza takim wzrokiem, jak gdyby usiłował dopatrzeć się w członkach wynędzniałego ciała i w zmarszczkach na zapadniętej twarzy oznak owego groźnego zła. Ale to badanie uspokoiło snadź jego obawy, bo powiedział śmiało:

- Przecież to sama skóra i kości, płatnerzu! Poradziłbym sobie z dwunastoma takimi jak Dwining. Cóż

on może zrobić człowiekowi, który ma w żyłach krew, a nie wodę?

- Może mu podać truciznę - rzekł sucho Harry.

Nie mieli czasu na dalsze rozmowy, bo oto rajca Craigdallie dał sygnał i pierwszy puścił się w drogę.

Jadąc bez pośpiechu, zastanawiali się, jakie też przyjęcie zgotuje im burmistrz i czy weźmie sobie do serca ich skargę. Glover wydał się przygnębiony i jego kilkakrotne wypowiedzi nasuwały przypuszczenie, że nawet jeszcze teraz pragnąłby poniechać skargi. Wszelako nie mówił tego wyraźnie, może z obawy, że jeśli nie będzie bronił dobrej sławy Katarzyny, taka powściągliwość wywoła złośliwe komentarze. Dwining w zasadzie przyznawał mu słuszność, mówił jednak ostrożniej niż tego ranka.

- Swoją drogą - rzekł rajca Craigdallie - jak wspomnę o wszystkich licznych darach i upominkach, które zacne nasze miasto posyłało lordowi burmistrzowi, nie wyobrażam sobie, żeby mógł okazać nam teraz nieprzychylność. Ile to rzecznych barek po brzegi wypełnionych beczułkami wina z Bordeaux odbijało od Południowej Przystani i wyładowywało swój ciężar u podnóża zamku

Kinfauns!

Mam prawo o tym mówić, jako że jestem kupcem importującym to wino.

- Ja zaś - zaskrzeczał Dwining - mógłbym niejedno powiedzieć o najwyszukańszych frykasach, kandyzowanych owocach z cudzoziemskich krajów, najprzedniejszych łakociach i nawet o tej niezwyklej przyprawie zwanej przez ludzi cukrem, które miasto wysłało tamże z okazji ślubu, chrzciny czy innej podobnej uroczystości. Ale niestety, rajco Craigdallie - obdarowany wypija wino, zjada frykasy, a któż pamięta o podarunku, gdy znika smak z podniebienia? Niestety, sąsiedzi!

Wspomnienie zeszłorocznej uczty świątecznej roztapia się jak zeszłoroczny śnieg!

- Ale były też rękawice pełne sztuk złota - podsunął rajca.

- O tym najlepiej wiem ja, który je szyłem - wtrącił Szymon; jakkolwiek posępne pochłaniały go myśli, nie zapominał nigdy o sprawach rzemiosła. - Jednym razem były to rękawiczki do polowania z sokołem dla lady Charteris. Skrajałem je trochę na wyrost, ale jaśnie pani nie miała o to pretensji, z uwagi na złote nadzienie.

- Hm, gdyby taki podarek zrobiony na rękę nie był burmistrzowi na rękę - ozwał się rajca - nie nas by trzeba o to winić, tylko burmistrza. A że zjeść go ani wypić burmistrz nie mógł, więc o nim nie zapomniał.

- Hm, ja z kolei mógłbym powiedzieć coś niecoś o bardzo zacnej zbroi - rzekł Harry Smith - ale co tam! Myślę, że rycerz z Kinfauns spełni swoją powinność wobec miasta tak w czasie wojny, jak pokoju. A dobre uczynki Nadobnego Grodu warto byłoby zliczać dopiero wtedy, gdyby burmistrz okazał się niewdzięcznikiem.

- Ja też tak uważam! - zakrzyknął nasz przyjaciel Proudfoote z wysokiego grzbietu swojej kobyły. - My, młodzi hulacy i swawolnicy, nikczemne musielibyśmy mieć dusze, gdybyśmy przyjacielowi takiemu jak sir Patrick Charteris wypominali tę odrobinę wina i frykasów. Zapewniam was, sąsiedzi, że będąc człowiekiem zamiłowanym w myślistwie, sir Patrick uznaje prawo łowów na gruntach

należących do miasta za bardzo cenny przywilej, zwłaszcza że z wyłączeniem Króla Jegomości nie przyznajemy tego przywileju nikomu prócz naszego lorda burmistrza.

Gdy czapnik wypowiadał te słowa, gdzieś z lewa rozległ się okrzyk:.

A leć... leć... wuuu... wuuu! - jakim sokolnicy wyprawiają sokoły na łowy.

- Coś mi się widzi - zauważył Harry - że jakiś człeczyna korzysta z przywileju, o którym wspominałeś,

ale, sądząc z wyglądu, nie jest to ani król, ani burmistrz.

Dalibóg, widzę go! - rzekł czapnik, który uznał, że jest to przednia okazja do zdobycia lauru dzielności. - Za mną, przyjacielu płatnerzu, podjedziemy do niego i zbadamy sprawę!

- Prowadź! - zawołał Smith, co słysząc jego towarzysz spiął konia ostrogami i pogalopował naprzód w

przekonaniu, że Smith jedzie tuż za nim.

Ale Craigdallie przytrzymał wierzchowca Harry'ego za uzdę.

- Zostań - powiedział. - Zobaczymy, jak się naszemu dzielnemu rycerzowi powiedzie wyprawa wojenna. Jeżeli zarobi na niej guza, będzie przez resztę podróży mniej gadatliwy.

- Jeśli mnie oczy nie mylą - odparł Smith - bardzo to prawdopodobne, że wróci z bolesnym gościńcem. Ów dryblas, który stoi tam i patrzy na nas tak zuchwale, jak gdyby się oddawał zgoła niewinnemu zatrudnieniu... tak... sądząc z tej nędznej szkapiny, zardzewiałego hełmu z pękiem kogucich piór na czubku i długiego oburęcznego miecza, jest to członek drużyny któregoś z lordów osiadłych na naszych południowych rubieżach... mieszkają tak blisko Anglii, że rzadko im się zdarza zdjąć kolczugę z pleców. Znani są z tego, że ciosy rozdają hojnie i mają przydługie ręce.

Podczas gdy mieszczanie zastanawiali się nad prawdopodobnym wynikiem spotkania, mężny czapnik zaczął ściągać uzdę Jezabeli, aby Smith, który w jego mniemaniu galopował tuż za nim, mógł go wyprzedzić, a już chociażby zrównać się z nim i jechać u jego boku. Ale widząc, że Smith został sto jardów w tyle i stoi spokojnie obok reszty towarzyszy, nieszczęsny Oliver zaczął dygotać na myśl o

niebezpieczeństwie, na jakie naraziła go porywczosć natury. Jednakże świadomość bliskości tak wielu przyjaciół, nadzieja, że wielokrotna przewaga onieśmieli samotnego napastnika, oraz wstyd przed wycofaniem się z przedsięwzięcia, które podjął dobrowolnie - i to gdy tyłu miałyby świadków swej hańby - stłumiły w nim nieodpartą chęć zawrócenia i pogalopowania z powrotem do przyjaciół z taką prędkością, na jaką potrafiłaby się zdobyć Jezabela. Jechał zatem dalej w kierunku nieznanego, który w tym momencie spiął swoją szkapinę ostrogami i ku przerażeniu Olivera pogalopował mu na spotkanie. Widząc ten jawnie wrogi manewr, nasz bohater zaczął raz po raz oglądać się przez lewe ramię, jak gdyby badał drogę ewentualnego odwrotu, w końcu zaś stanął. Ale nieznamy był przy nim, zanim czapnik zdążył wybrać między walką a ucieczką - i to bardzo groźnie wyglądający nieznamy. Postać miał wychudłą i kościstą, twarz poznaczoną kilku brzydkimi bliznami, w sumie zaś wyglądał na osobnika przywykłego do wypowiedzania słów: „Pieniądze albo życie”.

Otóż człowiek ten rozpoczął znajomość z Oliverem od słów tak złowróżbnych, jak złowróżbny był jego wygląd.

- A niech cię diabli piekielni zadźgają widłami... czemuś wyjechał na łąkę i psujesz mi łowy?

- Czcigodny obcy przybyszu - zaczął nasz przyjaciel tonem łagodnej wymówki. - Nazywam się Oliver Proudfoot i jestem mieszczaninem z Perth, człowiekiem znacznym w tym mieście. Tam oto stoją moi towarzysze: czcigodny Adam Craigdallie, starszy rajca w radzie, obok niego mężny Smith, płatnerz, i dalej kilku zbrojnych miejskich pachołków. Pragnęlibyśmy poznać wasze imię i dowiedzieć się, czemu to szukacie rozrywki na tych gruntach należących do królewskiego grodu Perth... choć mogę was zapewnić w imieniu tych panów, że nie będą oni szukali zwady ze szlachcicem jedynie dlatego, że przypadkiem wdarł się na ich teren. Tyle tylko, że nie mają zwyczaju ani chęci udzielać pozwoleństwa dopóty, dopóki korzystający z łowów nie poprosi. Dlatego... dlatego pragnąłbym, czcigodny panie, poznać twoje imię.

Groźna i odstręczająca mina, z jaką sokolnik przyglądał się Oliverowi w czasie tej kwiecistej

przemowy, zbiła z tropu nieszczęśliwca i zmieniła cały charakter indagacji, którą z Harrym Smithem u

boku czapnik przeprowadziłby zgoła inaczej.

Jakkolwiek łagodny był jej ton, nieznamy odpowiedział na słowa Proudfula uśmiechem, który nie zapowiadał niczego dobrego, był zaś tym ohydniejszy, że zniekształcały go straszliwe blizny na twarzy.

- Chcesz wiedzieć, jak się nazywam? Nazywam się Piekielny Dick z Hellgarth i w Annandale dobrze mnie znają. Jadę w świcie męznego dziedzica Wamphraya, który udał się w drogę ze swym krewniakiem sławetnym lordem of Johnstone, który z kolei ściśle jest sprzymierzony z earlem of Douglas. A jak chcesz wiedzieć, earl i lord, i dziedzic, i ja, z jego drużyny, puszcamy nasze sokoły tam, gdzie się znajduje zwierzyna, i nie pytamy, do kogo należą ziemie.

- Przekażę twoje posłannictwo, panie - rzekł pokornie Oliver Proudful, z każdą bowiem chwilą odczuwał gorętsze pragnienie uwolnienia się od poselstwa, którego podjął się tak nieopatrnie; miał już zawrócić konia, gdy dryblas z Annandale dodał:

- A tu masz na pamiątkę coś, co ci będzie przypominało o spotkaniu z Piekielnym Dickiem, a także nauczy cię nie psuć łowów myśliwemu, który nosi na ramieniu znak uskrzydłonej podkowy.

Słowom tym towarzyszyły bolesne razy biczkiem wymierzone w głowę i plecy niefortunego Olivera. Kilka razy spadło też na Jezabelę, która poderwała się, szarpnęła i zrzuciwszy jeźdźca na trawę, pogalopowała ku grupie stojących opodal mieszczan.

Gdy Proudful znalazł się na ziemi, zaczął wzywać pomocy głosem żalnym i niezbyt męznym, a jednocześnie kwilić o litość; jego przeciwnik bowiem zeskoczył natychmiast na ziemię i przytknąwszy

długi myśliwski nóż do gardła leżącego, zaczął przetrząsać mu kieszenie, a nawet postanowił widocznie zbadać zawartość jego myśliwskiej torby, klnąc przy tym straszliwie na samą myśl, że ów, który zepsuł mu łowy, ma może torbę wypełnioną myśliwskimi trofeami. Ale snadź torba nie

zawierała niczego, co byłoby dlań godne uwagi. Cisnął ją niedbale w trawę, jednocześnie zaś zmusił spieszono jeźdźca do powstania i skoczywszy z powrotem na siodło obejrzał się na towarzyszy Olivera, którzy zbliżali się teraz do niego szybkim kłusem.

Gdy mieszczanie zobaczyli, że ich parlamentariusz spada z konia, wybuchnęli śmiechem; ubawiła ich ta przygoda chlubiącego się własną dzielnością czapnika. Ale gdy przeciwnik rzucił się Oliverowi do

gardła, traktując go w opisany powyżej sposób, Harry Smith nie mógł zdzierżyć tego widoku.

- Proszę cię, zacny rajco - wybuchnął - nie dam rady patrzeć dłużej, jak ten łotr bije i grabi naszego towarzysza... a kto wie, czy go nie utłucze na śmierć w naszej obecności. Żle by to świadczyło o mieszkańcach Nadobnego Grodu. Sąsiadowi Proudfulowi zdarzyła się tylko zła przygoda, ale my za nią będziemy połykali wstyd. Puść mnie, proszę, muszę mu iść na pomoc.

- Wszyscy pójdziemy mu na pomoc - odparł rajca Craigdallie. - Ale niech nikt nie naciera, dopóki nie

dam rozkazu. Narobiliśmy sobie więcej wrogów, niż mamy siłę się z nimi rozprawić. Przeto w imieniu

naszego grodu zobowiązuję was wszystkich, a zwłaszcza ciebie, płatnerzu, żebyście sięgali do mieczów tylko w obronie.

Jechali więc dalej gromadą, a na widok tak licznej odsieczy grabieżca odstąpił od swojej ofiary. Stał

jednak w pewnej odległości i patrzył jak wilk, który cofa się przed psami, ale ani myśli uciekać.

Widząc, co się dzieje, Harry wyprzedził towarzyszy i przed innymi dotarł do miejsca nieszczęśliwej przygody Olivera Proudfula. Pierwszą jego troską było schwytać Jezabelę za uzdę i podprowadzić ją

do nieszczęsnego właściciela, który zbliżał się teraz do niego, kuśtykając, w odzieniu wyplamionym ziemią, z oczami pełnymi łez bólu i zapewne upokorzenia; zniknęła bez śladu wymuskana i strojna

pewność siebie jego obejścia, w sumie zaś Oliver sprawiał wrażenie tak opłakane, że zacnemu

Smithowi zrobiło się żal małego człowieczka i począł nawet czynić sobie w duchu wyrzuty, że

pozwoił mu ściągnąć na siebie taką niesławę. Myślę, że nie ma człowieka, który nie znajdowałby czasem przyjemności w złośliwym żarcie. Różnica polega tylko na tym, że człowiek źle do innych usposobiony wysacza do ostatniej kropli uciechę, jakiej dostarcza mu żart cudzym kosztem, ludzie zaś poczciwszej natury szybko zapominają o śmiechu, gdyż tłumi go w nich współczucie dla bólu ofiary.

- Pozwól, sąsiedzie, że pomogę ci wejść na siodło - rzekł Harry zeskakując na ziemię i podsadzając Olivera, który wdrapał się na swoje wojenne siodło jak małpka na wysoką gałąź.

- Niech ci Bóg wybaczy, sąsiedzie Smith, żeś mnie poniechał w takim trudnym terminie. Nie uwierzyłbym, że jesteś do tego zdolny, nawet gdyby mi przysięgało pięćdziesięciu wiarygodnych świadków.

W takich to słowach, nabrzmiałych bardziej smutkiem niż gniewem, nieszczęsny Oliver dał upust swym uczuciom.

- Rajca Craigdallie przytrzymał mojego wierzchowca za uzdę - wyjaśnił Harry. - Co więcej - dodał z uśmiechem, którego nawet uczucie litości nie mogło powstrzymać - bałem się, że jeśli pójdę ci na ratunek w rozprawie z samotnym napastnikiem, oskarżysz mnie o chęć zagarnięcia części należnego ci honoru. Ale głowa do góry, sąsiedzie! Ten łotr brzydko cię podszedł, bo jak wiadomo, żaden uczciwy napastnik nie smaga narowistego wierzchowca.

- Prawda to... święta prawda! - zakrzyknął Oliver korzystając skwapliwie z tego usprawiedliwienia.

- Spójrz, stoi tam twój krzywdziciel i raduje się wyrządzoną ci szkodą, i tryumfuje, jakby był owym królem z ballady, który grał na skrzypkach i przyglądał się płonącemu miastu. Dalej, sąsiedzie, pojedź

ze mną, a zobaczysz, jak się z nim rozprawimy... nie, nie lękaj się, tym razem cię nie opuszczę.

Przy tych słowach schwycił Jezabelę za uzdę i nie czekając na protesty Olivera, pogalopował z nim w

kierunku Piekielnego Dicka, który zatrzymał się na małym wzniesieniu w niewielkiej od nich odległości. Ale szlachetny rycerz spod znaku rozboju albo pomyślał, że walka będzie nierówna, albo

też uznał, że jak na jeden dzień dokonał już zbyt wielu walecznych czynów, wznosił bowiem rękę, pogroził im zuchwale i spiąwszy konia ostrogami, runął na pobliskie moczary, przez które zdawał się frunąć jak dzika kaczka - cały czas gwizdząc na sokoła i pomachując w powietrzu przynętą - chociaż każdy inny jeździec zapadłby się natychmiast aż po sprzączki popręgów na brzuchu wierzchowca.

- Oto prawdziwy pirat z Pogranicza - rzekł Harry Smith. - Taki łotr albo walczy, albo ucieka, jak mu wygodniej, a ścigać go - to jak próbować doścignąć dziką gęś w locie. Unosi pewnie twoją sakiewkę,

bo tacy rzadko odjeżdżają z pustymi rękami.

-

O tak... tak... - westchnął melancholijnie Oliver. - Zrabował mi trzos... ale to nic, skoro zostawił torbę

myśliwską.

- Bo pewnie torba jest pamiątką jakiegoś zwycięstwa... trofeum, jak to zwą minstrele?

- Nie tylko... nie tylko, przyjacielu - rzekł znacząco czapnik.

- Hm, cieszę się, sąsiedzie. I rad jestem, że mówisz znów swym dawnym rażnym tonem. Głowa do góry, łotr nie tylko pokazał ci plecy, ale odzyskałeś ponadto trofeum, któreś stracił w momencie zaskoczenia.

- Ach, przyjacielu, biada mi, biada! - wybuchnął Oliver i umilkł z głębokim westchnieniem, które podobniejsze było do jęku.

- A to co znowu? - spytał Harry. - Czymże ty się trapisz, człowieku?

- Bo... bo mam pewne podejrzenia, drogi Harry, że ten łotr uciekł ze strachu przed tobą, nie przede mną.

- Dajże pokój! - odparł Harry. - Zobaczył dwóch zbliżających się jeźdźców i uciekł, a kto odgadnie, przed którym? Zresztą znał już z doświadczenia twoją siłę i krewkość. Wszyscyśmy widzieli, jak się szamotałeś i wierzgałeś leżąc na ziemi.

- Wierzę... naprawdę? Nie pamiętam - przyznał nieszczęsny Proudfoot - ale wiem, że to moja najmocniejsza strona... jestem bardzo silny w łydźwiach. Powiedz, sąsiedzie, czy oni wszyscy to widzieli?

- Wszyscy co do jednego - odparł Smith tłumiąc chęć do śmiechu.

- Ale ty im jeszcze przypomnisz?

- Bądź pewien, że to zrobię - obiecał Harry. - Opowiem też, jak dzielnie zebrałeś się teraz do ponownej walki. Słuchaj uważnie, co rzekną rajcy Craigdallie, i wyciągnij z tej sytuacji największe korzyści dla siebie.

- Och, kiedy to wcale nie znaczy, że potrzebne mi są jakieś dowody przemawiające na moją korzyść, bo dzielnością dorównam każdemu w Perth... tyle tylko, że... - tu zacny mieszczanin umilkł.

- Że co? - spytał płatnerz.

- Że boję się śmierci. Przykro byłoby mi osierocić żonę i drobne dzieci. Zrozumiesz mnie, kiedy sam będziesz w podobnej sytuacji, i zobaczysz, jak to hamuje odwagę.

- Być może - rzekł Harry w zadumie.

- Bo w ogóle tak jestem nawykły do władania bronią i mam tak dobry oddech, że doprawdy niewiele ludzi w Perth mogłoby mi sprostać. Wszystko mieści się tutaj - dodał mały człowieczek wypinając pierś jak tuczony indyk i uderzając w nią obiema rękami. - Starczy tu miejsca na najpotężniejsze miechy.

- Oj, bo też potężne muszą być miechy tak gadatliwych organów...

- Żartowniś z ciebie, sąsiedzie Smith. Ale posłuchaj... mam ci ja w domu maszt rufowy dużego statku, którym sprowadził rzeką z Dundee. Osadziłem go w ziemi na podwórzu, kazałem pomalować i wyrzeźbić na podobieństwo Saracena i teraz ćwiczę na nim oddech i co dzień przez godzinę próbuję mojego obosiecznego mieczyka - sztychem i na odlew.

- W ten sposób wprawiasz się w szlachetnej sztuce walki - pochwalił Smith.

- Dalibóg, jeszcze jak! A czasem wkładam kołpak (stary naturalnie) mojemu Saracenowi na głowę i rozłupuję go takim potężnym ciachnięciem z góry na dół, że niewiernemu poganinowi został już tylko kawałek czerepu.

- To niedobrze, bo nie będziesz się miał na czym ćwiczyć - zaśmiał się Harry. - Ale co powiesz na moją propozycję, czapniku? Włożę któregoś dnia mój hełm i zbroję i będziesz we mnie rąbał, ile dusza zapagnie, a mnie pozwolisz tylko parować ciosy moim krótkim mieczykiem?

- Za żadne skarby świata, drogi przyjacielu. Zbyt to było dla ciebie niebezpieczne. Zresztą, szczerze mówiąc, swobodniej się czuję wymierzając ciosy w hełm czy też kołpak osadzony na drewnianym Saracenie - wtedy trafiam za każdym razem. Ale przyznaję, że kiedy na hełmie czy kołpaku jest kita albo pióro, które podskakuje, i kiedy w cieniu pod przyłbicą jarzy się groźnie para oczu, a wszystko to razem wierci się i rusza, moja ręka traci pewność.

- To znaczy, majstrze Proudful, że gdyby przeciwnicy stali nieruchomo niczym tej twój Saracen, bawiłbyś się z nimi jak kot z myszą?

- Bardzo prawdopodobne, chociaż potrzeba mi na to jeszcze trochę czasu i praktyki - odparł Oliver. - Ale oto reszta naszych towarzyszy. Rajca Craigdallie ma zagniewaną minę... ale nie jest to gniew, którego się lękam.

Jak łaskawy czytelnik zapewne pamięta, gdy rajca Craigdallie i jego świta zobaczyli, że płatnerz rzucił

się na ratunek nieszczęsnemu czapnikowi i że nieznamy napastnik puścił Olivera, poniechali zamiaru pójścia mu z pomocą, zwłaszcza że niefortunny Oliver znajdował się teraz w pewnych rękach

Smitha. Ruszyli natomiast bez mieszkania w dalszą drogę do Kinfauns, aby uniknąć niepotrzebnej zwłoki. A ponieważ sporo czasu upłynęło, zanim płatnerz i czapnik wrócili do grupy, rajca zaczął ich lajać, zwłaszcza zaś Harry'ego, że marnotrawili cenny czas na daremny pościg w górę zbocza.

- Dalibóg, nie moja to wina. czcigodny rajco - rzekł Smith. - Gdy ktoś wystawi do pary zwykłego

charta nizinnego z górskim owczarkiem, nie dziwota, że biedny chart biegnie tam, gdzie owczarkowi zechce się go poprowadzić. Tak było, a nie inaczej z naszym sąsiadem Oliverem Proudful'em. Zaledwie zerwał się z ziemi, skoczył niczym błyskawica na siodło i rozsierdzony nierycerskim uczynkiem hultaja, który niecznie wykorzystał potknięcie się tej tu kobyły, pomknął za nim jak dromader. Nie miałem wyboru... musiałem pojechać ich śladem, zarówno żeby zapobiec drugiemu potknięciu, jak też żeby wspomóc naszego nazbyt śmiałego przyjaciela, gdyby na szczycie wzgórza czyhała na niego zasadzka. Ale hultaj, który należy do drużyny któregoś z lordów z Pogranicza i nosi na ramieniu znak uskrzydłonej podkowy, czmychnął przed naszym sąsiadem jak zajęc przed myśliwym.

Starszy rajca wysłuchał tej bajeczki, którą Harry'emu spodobało się rozpowszechniać, nie bez pewnego zdziwienia; bo choć sprawa ta ani go ziębiła, ani grzała, nie ufał dotąd zbytnio chełpliwym opowieściom czapnika o jego rycerskich czynach, którym odtąd będzie musiał dawać przynajmniej częściową wiarę. Ale przenikliwy stary rękawicznik lepiej wyznał się w sprawie.

- Zrobisz z tego biednego czapnika zupełnego obłąkańca - szepnął Harry'emu. - Będzie teraz trząskał tą swoją kołatką, jakby to był dzwon miejski w dniu dziękczynienia, chociaż ze względu na ład i przyzwoitość lepiej by było, żeby zamilkł.

- Och, na Pannę Najświętszą, ojczy! - zachnął się Harry. - Szczerze miłuję tego naszego małego chełpliwca i przykro mi było pomyśleć, że będzie siedział w sali zamkowej zboląły i milczący, podczas gdy inni, a zwłaszcza jadowity aptekarz, będą się mogli nagadać do woli.

- Za miękkie masz serce, synu - rzekł Szymon. - Ale zwróć uwagę na różnicę między tymi dwoma.

Nieszkodliwy mały czapnik udaje smoka, żeby ukryć własne przyrodzone tchórzostwo: natomiast aptekarz świadomie udaje bojaźliwego, zastraszonego i pokornego, żeby ukryć bardziej niebezpieczne

strony swej natury. Jadowita żmija nie staje się mniej jadowita przez to, że wpęłza pod kamień.

Popamiętaj moje słowa, synu Harry: mimo tych wszystkich chyłkiem rzucanych spojrzeń i drżącego

głosu - w chuderlawym ciele aptekarza więcej jest skorej chęci do czynienia zła niż strachu przed niebezpieczeństwem. Ale oto zamek burmistrza. Muszę rzec, że prawdziwie pańskie to gniazdo, a dla miasta zaszczyt, że pan tak wspaniałego zamczyska stoi na czele rady.

- Istotnie, zacna to warownia - przyznał Harry Smith spoglądając na szeroką i krętą Tay, opływającą brzeg, na którym wznosiło się zamczysko; Kinfauns królowało nad całą doliną, choć po drugiej stronie

rzeki potężne mury Elcho zdawały się wydierać mu palmę pierwszeństwa. Ale w tamtych czasach Elcho było spokojnym klasztorem i jego wały nie służyły za przedmurze zbrojnej załody, lecz były barierami odgradzającymi mniszki od świata zewnętrznego. - Tak, zacna to twierdza - odezwał się znowu Harry - i prawdziwy puklerz i tarcza naszej pięknej Tay. Niejeden miecz poszczerbił się już na

tej tarczy.

Strażnik zamku, który z daleka zauważył i rozpoznał zbliżającą się deputację, otworzył teraz bramę wiodącą na podwórzec i zawiadomił sir Patricka, że do zamku zbliża się starszy rajca Perth w towarzystwie innych zacnych mieszczan. Rycerz, który wybierał się właśnie na łowy, wysłuchał tej wieści z uczuciem bardzo podobnym do tego, z jakim współczesny przedstawiciel władz miejskich dowiaduje się o grożącej mu wizycie czcigodnych wyborców - w najmniej odpowiedniej do tego chwili. To jest, w duchu posłał intruzów na samo dno piekieł, na głos zaś wydał rozkazy, aby przyjęto

ich z całą pompą i szacunkiem; polecił krajczym wnieść do głównej sali gorącą pieczeń z jelenia i zimne mięsiwa, cześnikowi zaś - odszypuntować beczki i przygotować dzbany wina. Bo jeśli Nadobny Gród przyczyniał się czasem do napełniania piwnic zamkowych, jego mieszkańcy nie mniej ochoczo pomagali w opróżnianiu dzbanów.

Zacnych mieszczan wprowadzono teraz bardzo ceremonialnie do ogromnej sali, gdzie rycerz, odziany w strój do konnej jazdy i buty sięgające mu połowy ud, przyjął ich z mieszaniną dworności i protekcyjnalnej łaskawości, cały czas życząc im w duchu, żeby się potopili w Tay tak był

rozsierdzony, że swoim przyjazdem zepsuli mu poranną rozrywkę. Wyszedł im naprzeciw i z kołpakiem w ręku powitał na środku sali takimi mniej więcej słowy:

Witaj w mym domu, starszy rajco Craigdallie, i ty, Szymonie Glover, którzyście obaj są czcigodnymi ojcami miasta. I ty mi witaj, uczony aptekarzu, a także ty, mężny płatnerzu, i ty, waleczny czapniku, który więcej czerepów rozłupujesz, niżli ich przykrywasz swoimi kołpakami... Czemuż to zawdzięczam odwiedziny tak wielu przyjaciół o tak wczesnej porze? Zamierzałem puścić mojego sokoła na łowy, a wasza obecność uczyni mi ten sport podwójnie miłym. (Tu dodał na stronie: - Ufam

Matce Najświętszej, że połamię przy okazji nogi!) Chyba że, drodzy przyjaciele, miasto ma dla mnie jakieś rozkazy. Cześniku Gilbertcie, pchnij pachółka do piwnicy. Ale ufam, że nie przybyliście tu z żadną poważniejszą misją, a chcecie się tylko przekonać, czy małmazja nie zmieniła smaku.

Reprezentanci miasta odpowiedzieli na uprzejmości burmistrza ukłonami mniej lub więcej dla każdego z nich charakterystycznymi, przy czym ukłon aptekarza był najpokorniejszy, Harry'ego Smitha zaś najmniej ceremonialny. Zapewne płatnerz znał dobrze swoją wartość człowieka, który w razie potrzeby potrafi jak nikt inny władać mieczem. Po tych ogólnych uprzejmościach zabrał głos rajca Craigdallie.

- Sir Patricku Charteris i nasz szlachetny lordzie burmistrzu - rzekł uroczyście. - Gdyby naszym celem było skorzystanie z gościnności tego zamczyska, w którym nieraz goszczono nas po królewsku, dobre wychowanie nakazałoby nam czekać, dopóki nas wasza miłość nie zaprosi, jak bywało przy innych okazjach. A co do łowów z sokołem, mieliśmy ich dość jak na jeden ranek, jakiś bowiem zbój, który wypuszczał sokoła niedaleko zamku na łąkach, wysadził z siodła i zdzielił kilkakrotnie pałką naszego czcigodnego przyjaciela czapnika, zwanego też Proudful'em, z tej tylko przyczyny, że ów spytał go w imieniu waszej miłości i miasta Perth, kim jest i czemu na tak wiele sobie pozwala.

- I cóż on odpowiedział? - wykrzyknął burmistrz. - Na świętego Jana - nauczę ja tego zbrojaka płoszyć mi

zwierzyne!

- Za pozwoleniem waszej miłości - wtrącił czapnik- ten dryblas podszedł mnie zniemacka i wykorzystał swoją nade mną przewagę. Ale wskoczyłem z powrotem na konia i pogalopowałem za nim, nie bacząc na skutki. Powiedział mi, że się nazywa Ryszard Diabeł.

- Co też ty mówisz, człowieku? Ten sam, którego opiewają w romancach i balladach? - zdumiał się burmistrz. - Sądziłem, że ów rozbójnik ma na imię Robert.

- Myślę, że to nie ten sam, mój lordzie. Uczyniłem mu zbędny honor nazywając go pełnym imieniem, bo po prawdzie powiedział, że nazywa się Piekielny Dick*, że jest Johnstone'em i należy do drużyny lorda o tym nazwisku. Ale ja zepchnąłem go na moczary i odzyskałem z powrotem moją torbę myśliwską, którą ten hultaj mi zabrał w chwili zaskoczenia.

Sir Patrick milczał chwilę.

- Słyszeliśmy niejedno - powiedział w końcu - o lordzie Johnstonie i jego poplecznikach. Mało zyskuje ten, kto wda się z nimi w sprawę. Powiedz mi, Smith, i tyś spokojnie patrzył na tę zwadę?

- Tak, mój lordzie, bo mi starsi i mędrsi ode mnie powiedzieli, żebym się nie mieszał i nie pomagał.

- Hm, jeśliście wy siedzieli cicho - rzekł burmistrz - nie wiem, dlaczego ja bym miał wszczynać harmider. Zwłaszcza że majster Oliver Proudfoote, choć mu się w pierwszej chwili nie powiodło, potem odzyskał, jak nam sam powiada, swój honor i przywrócił miastu dobrą sławę. Ale oto wnoszą nam wino. Służba, napełnić po brzegi puchary moich przyjaciół i gości! Za pomyślność świętego Johnstone'a i was wszystkich, moi mili przyjaciele! Ale teraz siadźcie do stołu i posilcie się nieco, bo

słońce już wysoko na niebie, a wy zapewne wcześniej śniadaliście tego ranka.

- Zanim się posilimy, mój lordzie - rzekł starszy rajca - pozwól, że ci wyłuszczę pilną sprawę, z którąśmy do ciebie przybyli, a o której nie napomknąłem jeszcze ani jednym słowem.

- Ach, doprawdy, czcigodny rajco - zawołał burmistrz - najpierw zjedzmy, a potem przejdziemy do poważniejszych materii! Zapewne jest to skarga przeciwko jakimś pachołkom czy też członkom

pańskich świt, którzy ośmielili się grać w piłkę na ulicach Nadobnego Miasta?

- Nie, mój lordzie - odparł Craigdallie głosem mocnym i poważnym. - Jest to skarga nie przeciwko pachołkom, tylko przeciw panom... za to, że grają w piłkę czcąc naszych rodzin i tak bezceremonialnie

poczynają sobie z sypialnymi komnatami naszych córek, jak gdyby to były paryskie burdele. Zgrają nocnych hulaków - dworskich galantów i wysoko urodzonych młodzieńców, jak mamy wszelkie podstawy przypuszczać - usiłowała tej nocy wdrzeć się przez okno do domu Szymona Glovera. Gdy Harry Smith schwytał ich na gorącym uczynku, bronili się obnażonymi mieczami dopóty, dopóki nie wyparli ich z placu boju wezwani pod broń mieszczanie.

- Jakże to możliwe? - zakrzyknął sir Patrick odstawiając puchar, który podnosił właśnie do ust. -

Pieć i szatani! Jeśli mi tego dowiedziecie, klnę się na duszę Tomasza de Longueville'a, że nie spocznę, dopóki nie pomszczę waszych krzywd... choćby mnie to miało kosztować życie i majątek!

Kto temu przyświadczy? Szymonie Glover, cieszysz się sławą człowieka uczciwego i przezornego... czy sumienie pozwoli ci potwierdzić prawdziwość skargi?

- Zrozum, mój lordzie - rzekł Szymon - że nie jestem chętnym oskarżycielem w tej doniosłej sprawie.

Nie stała się nikomu krzywda, a stratę ponieśli li tylko sami napastnicy. Obawiam się, że jedynie

wielka siła mogła ośmielić do takiej samowoli i zuchwalstwa. A nie chciałbym, żeby z mojej przyczyny powstała wrogość między naszym Nadobnym Miastem a którymś z możliwych panów.

Powiedziano mi jednak, że jeśli nie przedłożę waszej miłości tej skargi, będzie się to równało

przyznaniu, że moja córka spodziewała się odwiedzin, co jest wierutnym kłamstwem. Dlatego, mój

lordzie, opowiem dokładnie, jak się wszystko zdarzyło, a wasza miłość w swej mądrości zdecyduje, co

należy uczynić. Stary Szymon punkt po punkcie opowiedział przebieg napaści. Sir Patrick Charteris

słuchał cały czas z wielką uwagą, szczególne jednak wrażenie zrobił na nim opis ucieczki mężczyzny,

którego pojmał Harry Smith.

- Osobliwa sprawa - powiedział. - Jak to się stało, mości Szymonie, żeś go nie zatrzymał, skoro miałeś

go już w swoich rękach? I nie przyjrzałeś mu się... nie poznałbyś go przy następnym spotkaniu?

- Paliła się tylko niewielka latarnia, lordzie burmistrzu - odparł Glover. - A że uciekł... cóż, byłem sam

i stary ze mnie człowiek. Mimo to bym go zatrzymał, gdyby nie krzyk mojej córki w komnacie na górze. Zanim od niej wróciłem, napastnik uciekł przez ogród.

- A teraz ty, płatnerzu - zwrócił się rycerz do Harry'ego - powiedz mi, jako człowiek uczciwy i wyborowy wojak, co wiesz o tej sprawie.

Harry Smith opisał w słowach zwięzłych, lecz jasnych przebieg zdarzenia. Gdy przyszła kolej na Proudfoote'a, zacnemu mieszczaninowi wróciło częściowo dawne poczucie ważności.

- Prawda to, że jeśli idzie o tę gorszącą i zadziwiającą burdę w murach naszego miasta, nie mogę wraz

z Harrym Smithem powiedzieć, że widział zajście od samego początku. Nikt mi jednak nie zaprzeczy, że byłem świadkiem całego dalszego przebiegu zdarzenia, a zwłaszcza że zabezpieczyłem dowód, który najskuteczniej przyczyni się do skazania napastników.

- Cóż to jest, człowieku? - zawołał sir Patrick. - Nie trać czasu na zbędne gadulstwo. Co to za dowód?

- Przyniosłem waszej miłości w tej torbie coś, co łotry zgubiły - odparł mały człowieczek. - Jest to trofeum, które - wyznaję z całą uczciwością - zdobyłem nie przy pomocy miecza, lecz dzięki owej przytomności umysłu, którą niewiele ludzi potrafi zachować pośród błysków pochodni i szczęku oręża. Oto ono.

Przy tych słowach Oliver Proudfoote wyciągnął z torby myśliwskiej, o której wspominaliśmy wyżej, zeszywniałą dłoń odnalezioną na miejscu walki.

No tak - rzekł burmistrz - przyznaję, zacny czapniku, że starcza ci męstwa, aby zabezpieczyć dłoń łotra po odrąbaniu jej od całości. Ale czego szukasz w torbie z takim przejęciem?

- Powinien tu być, mój lordzie... był z całą pewnością... pierścień, który hultaj miał na palcu.

Obawiam się, że zostawiłem klejnot w domu, bom go zdjął, żeby pokazać żonie, która nie chciała patrzeć na odrąbaną dłoń... wasza miłość wie, że niewiasty nie lubią takich widoków. Ale głowę bym

dał, że go włożyłem z powrotem na palec. Hm... został widocznie w domu. Nic to... pojedę i przywiozę go, może Harry Smith zechce mi towarzyszyć.

- Wszyscy będziemy ci towarzyszyć - rzekł sir Patrick Charteris - jako że ja też wybieram się do Perth.

Posłuchajcie, czcigodni mieszczanie i zacni sąsiedzi. Uważaliście, może nie bez racji, że nie jestem skory do działania, kiedy wasze deputacje przedkładały mi drobne skargi i błahe dowody łamania przywilejów, jako to, że ktoś naruszył wasze prawa łowieckie czy też że pacholkiwie barona grali na ulicach w piłkę. Ale na duszę Tomasza de Longueville - nie zarzucicie Patrickowi Charteris opieszałości w sprawie tak doniosłej! Ta dłoń ciągnął podnosząc martwą kończynę - nie należała do kogoś, kto się parał ciężką pracą. Umieścimy ją w taki sposób, aby ją rozpoznano i upomniano się o nią w imieniu właściciela, co też się stanie, jeżeli towarzysze jego nocnych igraszek są ludźmi honorowymi. Hej, Gerald, zwołaj mi na koń z dziesięciu dzielnych pacholków, niech przypaszą miecze i nie zapomną o włóczniach. A teraz, sąsiedzi, jeżeli spór ten doprowadzi do zbrojnego zatargu, będziemy się musieli wzajemnie wspierać. Ilu zbrojnych przyprowadzicie mi na odsiecz, jeżeli mój biedny dom padnie ofiarą napaści?

Mieszczanie spojrzeli na Harry'ego Smitha, do którego instynktownie zwracali się we wszelkich tego rodzaju sprawach.

- Ręczę - odparł Harry - że pięćdziesięciu dzielnych mężów będzie pod bronią w dziesięć minut po pierwszym sygnale danym przez miejski dzwon. W ciągu godziny zbierze się dalszy tysiąc.

- To dobrze - rzekł mężny burmistrz. - W razie potrzeby pośpieszę miastu na ratunek z tylu zbrojnymi, ilu zdołam zgromadzić. A teraz, przyjaciele, na koń!

ROZDZIAŁ IX

Jeżeli wiem, jak mam prowadzić sprawy,

W takim nieładzie mnie oddane w ręce

— Nie wierzcie mi —

SZEKSPIR: Ryszard II

Wczesnym popołudniem w Dniu św. Walentego przeor zakonu Dominikanów spowiadał pokutnika
niemałej rangi. Był to wiekowy już, lecz postawny i urodziwy mężczyzna o dobrotliwym wyglądzie,
czerstwych, świeżych policzkach i patriarchalnej śnieżnobiałej brodzie, która spływała mu na piersi.
Z

dużych i czystych, błękitnych oczu, osadzonych pod szerokim czołem, patrzyła godność i
dostojeństwo; ale było to dostojeństwo bardziej chyba nawykłe do przyjmowania oznak czci
dobrowolnie mu składanych niż do egzekwowania posłuszeństwa. Dobrotliwość wyrazu oblicza była
tak wielka, że graniczyła niemal z bezradną prostotą albo może słabością charakteru, niezdolną, jak
można było wnioskować, do obronienia się przed cudzą przemocą czy też złamania cudzego oporu.

Na srebrnych włosach starca błyszczał złoty krążek lub mitra, umocowana do błękitnej przepaski.
Jego

różaniec, ciężki i duży, był z bryłek złota dość prymitywnie obrobionych, lecz wysadzanych
szkockimi perłami niezwyklej wprost piękności i zadziwiających rozmiarów. Innych ozdób starzec
nie

posiadał, odziany zaś był w długą, purpurową szatę z jedwabiu, przepasaną szarfą tej samej barwy.

Odmówiwszy modlitwę pokutną, dźwignął się z haftowanej poduszki, na której klęczał podczas
spowiedzi, i wsparty na zakończonej jak kule lasce z kości słoniowej, pokuśtykał, chromy i
niezdarny,

do paradnego krzesła, które ocienione baldachimem stało dla jego wygody blisko komina tej
obszernej

i wysoko sklepionej komnaty.

Był to Robert, trzeci tego imienia, a drugi z nieszczęsnego rodu Stewartów, który zasiadał na tronie

Szkocji. Miał wiele cnót i nie był pozbawiony talentów; jego nieszczęście polegało na tym, że jak inni

z tego skazanego na zagładę rodu posiadał zalety zgoła nieprzydatne do roli, którą wyznaczył mu los.

Król, rządzący narodem tak gwałtownym i dzikim jak Szkoci tamtych czasów, powinien był być

mężem wojowniczym, energicznym i czynnym, hojnym w nagradzaniu zasług i srogim w karaniu

zbrodni; słowem, człowiekiem, którego poddani boją się i którego kochają. Robert III nie posiadał ani

jednej z tych cech. W młodości nieobce mu były bitwy; ale choć nigdy nie ściągnął na siebie niesławy,

nie objawił też jednak rycerskiego zamiłowania do boju i niebezpieczeństw ani skwapliwego

pragnienia, by odznaczyć się bohaterskimi czynami, których owa odległa epoka oczekiwała od

wszystkich ludzi wysokiego rodu i roszczących sobie prawo do władzy.

Zresztą jego kariera wojenna nie była długotrwała. Wśród rozgwaru jednego z turniejów koń sir

Jamesa Douglasa z Dalkeith kopnął zdradliwie młodego Roberta, który nosił wówczas tytuł earla of

Carrick; skończyło się to trwałym kalectwem i niezdolnością do udziału zarówno w wojnie, jak w

rycerskich grach i turniejach. A ponieważ Robert nie zdradzał nigdy predylekcji do gwałtownych

trudów i wysiłków, nie wziął sobie zbytnio do serca kalectwa, które pozwalało mu trzymać się z

daleka od scen krwawych wydarzeń. Ale jego niefortunny wypadek, a raczej następstwa wypadku

poniżyły go w oczach porywczej szlachty i wojowniczego ludu. Król był zmuszony oddawać pieczę

nad sprawami państwa raz temu, raz innemu członkowi swej rodziny, niekiedy nadając mu

rzeczywisty tytuł, zawsze zaś obdarzając pełną władzą wielkorządcy królestwa. Miłość ojcowska

skłaniałaby go zapewne do złożenia władzy w ręce najstarszego syna, młodzieńca utalentowanego i

pełnego animuszu, któremu ojciec nadał tytuł księcia Rothsay i godność ustępującą tylko godności

monarchy. Ale myśli młodego księcia były zbyt płocze, jego ręka zaś zbyt słaba, aby mógł dzierżyć z

godnością użyczone mu berło. Jakkolwiek żądny był władzy, za cel życia obrał sobie rozkosze

cielesne; nie dziwota więc, że dwór niepokoił się, kraj zaś cały gorszył licznymi przelotnymi

miłośnikami i szaleńczymi hulankami uprawianymi przez tego, który powinien być wzorem i przykładem dla wszystkich młodzieńców królestwa.

Opinia w kraju uważała swawolę i rozwiązłość życia księcia Rothsay za tym bardziej naganną, że był on człowiekiem żonatym; jednakże ludzie pozostający pod urokiem jego młodości, wesołości, wdzięku i dobroduszości wyrażali opinię, że libertynizm młodzieńca znajduje częściowe usprawiedliwienie w okolicznościach samego małżeństwa. Zwracali oni uwagę na fakt, że sprawą małżeństwa pokierował wedle swej woli książę Albany, stryj młodego księcia, którego rad słuchał w owym czasie chorowity i bojaźliwy król, a który wpływał na decyzje swego brata i monarchy w taki sposób, aby to było z największą szkodą dla interesów i przyszłości młodego dziedzica. Na skutek machinacji księcia Albany ręka następcy tronu była, aby tak rzec, wystawiona na licytację, stało się bowiem publiczną tajemnicą, że ten magnat szkocki, który da za swą córkę najwyższe wiano, może mieć nadzieję zdobycia dla niej zaszczytnego miejsca w łóżu księcia Rothsay.

W walce o pierwszeństwo, która się wywiązała, George earl of Dunbar i March, który władał sam

poprzez

swych

wasali

większością ziem Wschodniego Pogranicza, zwyciężył innych

współzawodników i jego córka została, za obopólną zgodą młodej pary, formalnie zaślubiona księciu Rothsay.

Ale istniał jeszcze trzeci kontrahent, którego rady należało zasięgnąć, był zaś nim sam potężny

Archibald earl of Douglas, groźny ze względu na bezmiar swoich ziem, na liczne posiadane urzędy i

jurysdykcje, na osobistą mądrość i waleczność, z którymi to przymiotami mieszała się nieposkromiona

duma i mściwość niezwykła nawet jak na owe feudalne czasy. Earl był również blisko spokrewniony z

tronem, wziął bowiem za żonę najstarszą córkę panującego monarchy.

Po zaślubinach księcia Rothsay z córką earla of March, Douglas - jak gdyby umyślnie opóźniwszy swój udział w negocjacjach, aby pokazać, że tylko on jest godnym w nich partnerem - postanowił zerwać małżeńską umowę. zaproponował za swą córkę Marjorie większe wiano niż zaofiarowane przez earla of March; a wtedy Albany, kierując się własną chciwością, a także z lęku przed Douglasem, dopóty nalegał na bojaźliwego króla, dopóki monarcha nie zgodził się zerwać kontraktu z earlem of March i oddać syna Marjorie Douglas, niewieście, której Rothsay nie mógł pokochać. Nie usprawiedliwiono się przed earlem of March, zawiadomiono go tylko, że stany parlamentu nie zatwierdziły małżeństwa księcia z Elżbietą Dunbar i że do czasu takiej ratyfikacji kontrakt mógł być w każdej chwili zerwany. Earl odczuł boleśnie krzywdę wyrządzoną sobie i córce i - jak ogólnie przypuszczano - obmyślał zemstę, która nietrudna była do urzeczywistnienia dla kogoś, kto posiadał tak ogromną władzę na ziemiach graniczących z Anglią.

Tymczasem książę Rothsay, rozsierdzony tymi małżeńskimi targami i własnym biernym udziałem w państwowej intrydze, na swój sposób dawał upust niezadowoleniu: zaniedbywał żonę, lekceważył możnego i niebezpiecznego teścia, okazywał mało szacunku dla władzy samego króla i nie robił sobie

absolutnie nic z upomnień księcia Albany, którego uważał za swego jawnego wroga.

Pośród tych rodzinnych niesnasek, które wywierały zgubny wpływ na same rządy w kraju, wprowadzając wszędzie szkodliwą w skutkach niepewność i niezgodę, słaby i chwiejny monarcha znajdował jakiś czas oparcie w radach królowej Annabelli, niewiasty ze szlchetnego rodu Drummondów, obdarzonej głęboką mądrością i siłą ducha; królowa nie tylko umiała powściągnąć płochość syna, który ją szanował, lecz również podtrzymywała wielokrotnie chwiejne postanowienia swego królewskiego małżonka. Ale po jej śmierci słaby król przypominał okręt zerwany z kotwicy i szarpany zmiennymi prądami. Teoretycznie można zaryzykować twierdzenie, że Robert kochał do

przesady swego syna, darzył szacunkiem i podziwiał charakter swego brata księcia Albany, człowieka

o tyle silniejszego niż on, bał się Douglasa, który budził w nim lęk niemal instynktowny, i nie ufał wierności męznego, lecz niestałego earla of March. Jednakże jego uczucia do tych ludzi tak były splecione i powikłane, że od czasu do czasu wydawały się zgoła inne, niż były w istocie; i w zależności

od wpływów, jakie aktualnie wywierano na chwiejny umysł króla, zmieniał się on z pobłażliwego na surowego, a nawet okrutnego ojca, z ufego - na pałającego zawiścią brata, z dobrotliwego zaś i szczodrobliwego króla - na monarchę chciwego i despotycznego. Podobny kameleonowi, jego słaby umysł odbijał barwy tej silniejszej osobowości, od której żądał w danym momencie rady i pomocy. A

gdy rezygnował z doradztwa jednego z członków rodziny i zwracał się do drugiego, nierzadko następowała po tym zupełna zmiana zarządzeń, zarówno źle świadcząca o charakterze króla, jak zgubna dla bezpieczeństwa kraju.

Naturalną rzeczą kolejną duchowieństwo Kościoła katolickiego posiadało i wywierało wpływ na człowieka, którego intencje były tak chwalebne, lecz który tak chwiejny był w swoich postanowieniach. Roberta prześladowała nie tylko świadomość istotnie popełnionych błędów, lecz również dręczący lęk przed owymi drobnymi grzeszkami, które miały łatwy dostęp do zabobonnego i słabego umysłu. Przeto zbędne jest dodawać na tym miejscu, że rozmaici duchowni wywierali niemały wpływ na tego łagodnego księcia, choć z drugiej strony trzeba przyznać, że w owych czasach wpływom ich ulegali wszyscy, nawet ci, którzy okazywali niezłomność i odwagę w sprawach świeckich.

Ale poniechajmy tej długiej dygresji, bez której czytelnik nie zrozumiałby może tego, co mu teraz opowiemy.

A więc król pokuśtykał niezdarnie do wyściełanego paradnego krzesła, które przykryte baldachimem stało dla jego wygody w pobliżu komina, i usiadł na nim z ulgą, jak człowiek rozleniwiony, który

przez jakiś czas pozostawał w niewygodnej i męczącej pozycji. Gdy czcigodny starzec usiadł, w jego łagodnych i dostojnych rysach pojawił się wyraz dobrotliwości. Przeor, który stał naprzeciw królewskiego stolca w postawie wyrażającej głęboki szacunek, pod którym ukrywał przyrodzoną wyniosłość obejścia, był człowiekiem w wieku lat od czterdziestu do pięćdziesięciu, o włosach kruczoczarnych i nie przyprószonych dotąd siwizną. Rysy ostre i spojrzenie przenikliwe świadczyły o licznych talentach, dzięki którym czcigodny ojciec osiągnął tak wysoką pozycję w społeczności, której

przewodziła także, możemy dodać, w licznych radach królestwa, które często korzystały z jego usług. Głównymi celami, do których dążył zakonnik tak z racji swego wychowania, jak nawyków, było powiększenie majątku kościoła i zduszenie najdrobniejszych choćby przejawów herezji; osiągnąć zaś te cele starał się przy pomocy wszelkich środków, jakimi rozporządzał z racji swego stanowiska.

Jednakże szczerłość wiary i moralność, którą kierował się we wszystkich zwykłych sytuacjach życiowych, przynosiła zaszczyt jego religii. Błędy przeora Anzelma, chociaż prowadziły go niekiedy do żalonych omyłek, a nawet okrucieństwa, były chyba błędami epoki i wykonywanego rzemiosła; cnoty były zasługą jego natury.

- Skoro to już mamy za sobą - rzekł król - i skoro ziemie, o których wspominałem, darowizną moją przeszły na własność tego klasztoru, czy uznasz, ojcze, że jestem w łaskach matki naszej, Kościoła, i mogę nazwać się jej posłusznym synem?

- Pewien jestem, miłościwy panie - odparł przeor - że matka nasza, Kościół, gorąco by pragnęła, aby wszystkie jej dzieci przystępowały do sakramentu spowiedzi z tak głębokim poczuciem winy i tak niezłomną wolą jej odkupienia. Ale kieruję te słowa pociechy nie do Roberta króla Szkotów, a tylko do mojego pokornego i nabożnego penitenta, Roberta Stewarta of Carrick.

- Zdziwiasz mnie, ojcze - odparł król. - Niewiele mam na sumieniu grzechów, które popełniłem sprawując mój królewski urząd, jako że przy sprawowaniu go mniej się kieruję własnym zdaniem, a bardziej radą najmądrzejszych moich doradców.

- Właśnie w tym kryje się najsrozsze niebezpieczeństwo - oznajmił przeor. - Ojciec Święty uznaje w tobie, panie - w każdej twojej myśli, słowie i uczynku - posłusznego wasala Kościoła. Ale wymienić mógłbym doradców, którzy idąc za głosem grzesznych serc, wykorzystują dobroć i łagodność swego monarchy i pod płaszczykiem dbałości o jego świeckie interesy podejmują kroki krzywdzące dla spraw wiecznego zbawienia.

Król Robert wyprostował się w swym fotelu z miną władczą i surową, która rzadko gościła na jego obliczu.

- Przeorze Anzelmie - rzekł - jeśliś spostrzegł w moim postępowaniu czy to jako króla, czy jako prywatnej osoby coś, co zasługuje na tak surową naganę, masz obowiązek rzec mi o tym szczerze, ja zaś rozkazuję ci to uczynić.

- Miłościwy panie, twój rozkaz zostanie spełniony - odparł ojciec

Anzelm pochylając się w głębokim ukłonie. A gdy wyprostował się i przybrał znów pełną godności postawę kościelnego dostojnika, rzekł: - Powtarzam wiernie słowa Ojca Świętego i papieża, następcy

świętego Piotra, który dzierży odziedziczone klucze, aby zarówno wiązać, jak rozwiązywać:

„Czemu to, Robercie królu Szkotów, odmówiłeś biskupiego stolca świętego Andrzeja Henrykowi of Wardlaw*, którego papież nazaczył na to biskupstwo? Czemu wargami wyznajesz wierną służbę Kościołowi, podczas gdy twoje uczynki świadczą o deprawacji i nieposłuszeństwie twej duszy? Posłuszeństwo lepsze jest niżli ofiara”.

- Wielebny przeorze - rzekł monarcha z wyniosłością licującą z jego dostojnym urzędem - możemy ci nie udzielić odpowiedzi na to pytanie, jako że jest to sprawa dotycząca nas i naszego królestwa i nie mająca nic wspólnego z naszym sumieniem.

- Niestety! - westchnął przeor. - Czyjeż sumienie obciąży ona w dniu sądu ostatecznego? Któryż to z przepasanych lordów czy bogatych mieszczan stanie między swoim królem a karą, którą król na siebie

ściągnął stosując ich świecką politykę do spraw Kościoła? Wiedz, moźny królu, że gdyby wszyscy rycerze twego kraju zebrali się, aby cię bronić przed ognistym gromem z niebios, szeźliby jak pergamin nad ogniem buchającym z komina.

- Czcigodny ojcze przeorze - powiedział król, którego bojaźliwe sumienie kulilo się zawsze na dźwięk

takiej mowy. - Przytaczasz w tej sprawie argumenty doprawdy zbyt surowe. Niefortunny fakt odmowy

przyjęcia prymasa, wyznaczonego nam przez Stolicę Apostolską, zdarzył się podczas mej ostatniej choroby, kiedy to earl of Douglas jako mój namiestnik sprawował królewską władzę w kraju. Nie gań

mnie więc za decyzję, którą podjęto, kiedy ja nie byłem zdolny rządzić Szkocją i przekazałem władzę innemu.

- Swemu poddanemu, miłościwy panie, powiedziałaś dosyć – rzekł przeor. - Lecz jeśli przeszkoda powstała w czasie regencji earla of Douglas, legat Ojca Świętego spyta, czemu nie usunięto jej, kiedy

król z powrotem objął władzę. Czarny Douglas może bardzo wiele... ma, obawiam się, władzę większą, niż powinien mieć poddany w kraju swego suwerena. Nie może jednak stać, miłościwy panie, między tobą a twoim sumieniem ani zwolnić cię z tych obowiązków względem świętego Kościoła, które wzięłaś na siebie, wstępując na tron.

- Ojcze - rzekł Robert tonem trochę zniecierpliwionym - traktujesz tę sprawę ze zbytnią bezwzględnością. Powinieneś przynajmniej odczekać jakiś czas, abyśmy mogli znaleźć sposób zaradzenia złu. Tego rodzaju dysputy zdarzały się często za rządów naszych poprzedników, a nawet nasz królewski i błogosławiony przodek, święty Dawid*, nie od razu ustąpił swoich przywilejów monarchy i walczył w ich obronie, chociaż doprowadziło to do sporu między nim a papieżem.

- Bo też w tej materii wielki i dobrotliwy król nie postąpił jako człowiek naboźny i świątobliwy - odparł przeor. - I dlatego padł pastwą i ofiarą swych nieprzyjaciół, gdy w wojnie zwanej Wojną

Sztandaru* podniósł miecz przeciwko chorągwiom świętego Piotra i świętego Pawła, a także świętego

Jana z Beverley. Miał szczęście, że jak jego biblijny imiennik, syn Jessego, za swój grzech poniósł karę na ziemi i nie będzie odpowiadał przed najwyższym sędzią w strasznym dniu obrachunku.

- Hm... czcigodny przeorze... hm... dość już na dzisiaj tej dysputy. Jeśli Bóg pozwoli, Stolica Apostolska nie będzie miała powodów skarżyć się na mnie. Klnę się na Matkę Najświętszą, że nawet dla tej korony, którą noszę, nie obciążębym mego sumienia krzywdą wyrządzoną Kościołowi.

Obawialiśmy się zawsze, że earl of Douglas nazbyt myśli o sławie i zaszczytach tego kruchego i przemijającego żywota, aby zadośćczynić powinnościom wobec życia przyszłego.

- Bardzo niedawno - rzekł przeor - earl of Douglas zajął siłą i rozłokował się w opactwie Aberbroth, wraz ze świtą liczącą tysiąc zbrojnych i służby. Opat jest zmuszony żywić zarówno ludzi, jak i konie, co earl nazywa zwykłą gościnnością, do której ma jakoby prawo, gdyż jego przodkowie ufundowali klasztor. Z pewnością korzystniej byłoby dla klasztoru zwrócić Douglasom ziemię niżli zaspokajać tego rodzaju wymagania, które bardziej przystoją łupieżcom z Pogórza niżli chrześcijańskiemu baronowi.

- Czarni Douglasowie - westchnął król - to rasa ludzi, którzy nie przyjmują odmowy. Wszelako, ojciec przeorze, ja też może jestem tego rodzaju natrętnym gościem, gdyż mój pobyt w waszym opactwie przeciągnął się ponad miarę, a utrzymanie mojej świty, choć znacznie mniej licznej od świty Douglasa, też z pewnością ponad miarę was obciąża. Wprawdzie poleciliśmy rozesłać intendentów dworskich, aby ujęli wam ciężaru, ale jednak lepiej może uczynimy, jeśli nie naprzykrzając się zbyt

klasztorowi, opuścimy w czas jego gościnne mury.

- Boże ucho! - zawołał przeor, który pożądał wprawdzie władzy, nie miał jednak w swej naturze skąpstwa, a nawet przeciwnie, bywał po pańsku szczodry i wspaniałomyślny. - Zapewniam cię, miłościwy panie, że klasztor Dominikanów stać na zaofiarowanie swemu monarsze gościny. Nie

odmawiamy jej najnędnieszemu nawet wędrowcowi, który ma prawo jej się spodziewać od biednych

sług naszego świątobliwego patrona. Nie, królu nasz i panie, przybądź do nas z dziesięciokrotnie większą świtą, a nikt nie będzie miał powodu do skargi na brak garstki owsa czy wiązki siana, kawałka chleba czy łyżki strawy, którą klasztor nasz może dostarczyć. Inna to rzecz używać dochodów kościoła, które o tylekroć powinny przewyższać potrzeby mnichów, na właściwą i należną naszemu monarsze gościnę, inna zaś, gdy wyszarpują nam je ręce ludzi brutalnych i nawykłych do przemocy, których zamiłowanie do grabieży zależne jest od stopnia posiadanej siły.

- Wdzięczni ci jesteśmy, ojcze przeorze - rzekł król. - A teraz odwróćmy na chwilę myśli od spraw państwowych. Czy zechcesz mi, wielebny ojcze, powiedzieć, jak zacni mieszczanie Perth rozpoczęli Dzień świętego Walentego? Mam nadzieję, że ochoczo, wesoło i w spokoju?

- Czy ochoczo, tego nie umiem ci powiedzieć, miłościwy panie, gdyż z doświadczenia nie było mi dane poznać, co oznacza to słowo. Jeśli zaś idzie o spokój... cóż, jeszcze przed świtem zastukało do furty i poprosiło o schronienie azylu kilku mężczyzn, w tym dwaj okrutnie zranieni. Ściagała ich gromada mieszczan w koszulach, z pałkami, drągami, toporami i obusiecznymi mieczami, wrzeszczących wniebogłosy i dyszących żądzą mordy. Nie wystarczyło im, gdy brat furtian wyjaśnił, że ci, których ścigali, znaleźli schronienie w galilei* kościoła. Stali przez jakiś czas pod bocznym wejściem, pokrzykując i kołatając do furty, i żądając wydania ludzi, którzy ich obrazili. Obawiałem się, że ta grubiańska hałaśliwość naruszy spoczynek i zadziwi miłościwego pana.

- Być może zbudziłem się nawet w nocy - odparł król. - Ale myślisz, przeorze, że w naszym kraju tumult walki może zdziwić kogokolwiek? Niestety! Jedno jest tylko miejsce w Szkocji, w którym nie słychać jęków ofiary i grózb ciemnicy - miejscem tym, ojcze, jest grób!

Przeor wysłuchał słów monarchy w pełnym szacunku milczeniu; współczuł królowi, którego łagodność serca tak go czyniła źle przystosowanym do obyczajów i warunków panujących w kraju przezeń rządzonym.

- A co się stało z uciekinierami? - spytał po krótkim milczeniu król.

- Wedle zwyczaju, miłościwy panie - odparł przeor - pozwolono im odejść przed świtem, jak sobie życzyli. Furtian sprawdził wpierw, czy nie zgotowano im w pobliżu zasadzki, po czym zbiegowie odeszli w pokoju.

- Nie orientujesz się, przeorze - spytał Robert - kto zacz byli ci ludzie i jaki był powód, że szukali u was schronienia?

- Powodem było starcie z mieszczanami, nie wiemy wszelako, co doprowadziło do tego starcia.

Obyczaj naszego zakonu nakazuje udzielić schronienia w sanktuarium kościoła każdemu, kto o to poprosi, na przeciąg dwudziestu czterech godzin, przy czym nie pytamy o nic nieszczęśników, którzy zwracają się do nas o ratunek. Jeżeli pragną pozostać dłużej, muszą wyjawić powód skłaniający ich do

szukania azylu, my zaś rzecz całą wpisujemy do ksiąg klasztornych. Dzięki tej krótkotrwałej opiece - za co chwała niech będzie naszemu świętemu patronowi - wiele osób unika okrutnej kary sądu, które to osoby, gdybyśmy znali naturę ich przestępstwa, zmuszeni byłibyśmy może wydać w ręce ich prześladowców.

Gdy przeor udzielał swych objaśnień, niejasna myśl przemknęła przez głowę monarchy, że ów przywilej sanktuarium utrudnia poważnie wymiar sprawiedliwości w jego kraju; odepchnął ją jednak natychmiast, jak gdyby była z podszeptu samego szatana, i baczył pilnie, aby ani jednym słowem nie zdradzić kapłanowi, że tak grzeszny koncept znalazł w ogóle drogę do jego świadomości. Posunął się nawet dalej i spiesznie zmienił temat.

- Słońce - powiedział - wspina się powoli na niebo. Sądzę, że członkowie mojej rady rozpatrzą niebawem ową bolesną sprawę nocnej utarczki w mieście, o której mnie powiadomiłeś, czcigodny przeorze. Ciężko pokarał mnie los powierzając mi władzę nad ludźmi, pośród których ja jeden wydaję się człowiekiem miłującym pokój.

- Kościół niezmiennie pragnie pokoju - dorzucił przeor. Nawet ta ogólna uwaga wypowiedziana przez

nieszczęsnego, zgnębnego monarchę posłużyła mu za okazję do wygłoszenia choć kilku słów na chwałę Kościoła.

- To właśnie mieliśmy na myśli - rzekł Robert. - Ale przyznasz, czcigodny przeorze, że w swym dążeniu do tłumienia niesnasek i uspokajania wzburzonych umysłów Kościół przypomina gospodynię wzbijającą w powietrze kurz, który zamierzała wymieść.

Przeor odpowiedziałby zapewne królowi, lecz w tym momencie szlachcic pilnujący komnaty zapowiedział księcia Albany.

ROZDZIAŁ X

Przyjacielu miły,

Wybacz jej radość, smutna była wczoraj,

Smutną być może jutro.

JOANNA BAILLIE

Książę Albany, podobnie jak jego królewski brat, miał na imię Robert. Król otrzymał na chrzcie imię Jan, przed samą jednak koronacją zabobon owych czasów przypomniał ludziom, że imię to wiąże się z

klęskami i nieszczęściami w życiu i panowaniu Jana Angielskiego*, Jana króla Francji* i Jana Baliola* króla Szkocji. Postanowiono zatem, że dla uniknięcia złej wróżby nowy król przybierze imię

Robert, drogie sercu Szkotów przez pamięć na Roberta Bruce'a*. Wspominamy o tym pragnąc wyjaśnić, czemu dwaj bracia mieli na imię Robert, co wówczas - podobnie jak obecnie - było zdarzeniem niezwykłym.

Albany, człowiek też już niemłody, pod względem braku wojennych zamiłowań bardzo przypominał króla. Ale jeśli zbywało mu odwagi, był na tyle mądry, że umiał ukryć tę wadę, która - gdyby ktoś zdołał go przejrzeć - zniweczyłaby wszystkie plany tego chorobliwie ambitnego człowieka. Co więcej,

wybująca duma kazała mu w momentach szczególnie trudnych zdobywać się na dzielność i panować nad roztrzęsionymi nerwami. Poza tym był to człowiek doświadczony w intrygach dworskich, spokojny, opanowany, przebiegły, koncentrujący uwagę na pożądanym celu, kiedy były jeszcze bardzo odległe, i nigdy nie tracący ich z oczu, chociaż niekiedy kręta droga, którą stapał, zdawała się prowadzić w zgoła innym kierunku. Z wyglądu przypominał króla, z jego bowiem postaci i twarzy biła zarówno szlachetność, jak dostojność. Miał jednak tę przewagę nad starszym bratem, że nie dręczyły go żadne choroby, dzięki czemu był zważszy i bardziej czynny. Ubrany był okazale i poważnie, jak przystało mężowi jego lat i pozycji, i podobnie jak król nie miał przy boku broni; mały nożyk w pochwie u pasa zastępował mu sztylet, który noszono podówczas w miejsce miecza.

Gdy książę przekroczył próg, zakonnik skłonił się nisko, przeszedł do niszy i stanął daleko od królewskiego fotela, aby bracia mogli rozmawiać swobodnie i bez świadka. Wypada w tym miejscu

zaznaczyć, że był to wykusz okienny umieszczony w wewnętrznym murze frontowym klasztoru, którą to część zabudowań zwano pałacem, jako że często rezydowali w niej królowie Szkocji, lecz która w zasadzie była rezydencją przeora zakonu. Okno mieściło się nad głównym wejściem do komnat królewskich i wychodziło na wewnętrzny podwórzec wciśnięty między boczną ścianę wspaniałego kościoła po prawej, po lewej zaś budynek mieszczący piwnice, a nad nimi refektarz, kapitułarz i inne ubikacje zakonne, zgoła niezależne od przestrzeni zajmowanej przez króla Roberta i jego orszak; czwarty rząd budynków, o szlachetnym frontonie zwróconym ku stojącemu wysoko na niebie słońcu, mieścił hospitium*, w którym znajdowali przytułek obcy wędrowcy i pielgrzymi, a także liczne kantory i składy na obfite zapasy jadalnego będącego podstawą szczodrej gościnności dominikanów. Wysoka, sklepiona brama prowadziła poprzez ten wschodni budynek frontowy na podwórzec i znajdowała się dokładnie naprzeciw okna, przy którym stał teraz przeor Anzelm. Patrząc przez ów mroczny łuk przeor widział w jego głębi światło sączące się przez otwarte wschodnie odrzwia; ponieważ jednak patrzył z dość znacznej wysokości, sklepiona zaś brama była głęboka, jego wzrok tylko niewyraźnie rozróżniał to, co znajdowało się w przeciwległym portalu. Jest rzeczą ważną, żeby czytelnik zapamiętał ten układ. Teraz wróćmy do rozmowy braci.

- Drogi Robinie - rzekł król unosząc się w fotelu, gdy książe Albany schylił się, aby ucałować jego rękę - dajże pokój tym ceremoniom! Czyż nie jesteśmy obaj synami tego samego Stewarta Szkockiego i tej samej Elżbiety Mure?

- Pamiętam o tym - odparł książe Albany prostując wysoką postać. - Ale w zażyłości braterskiej nie wolno mi zapominać o szacunku należnym królowi.

- Och, prawda to, prawda, drogi Robinie - westchnął król. - Tron jest niczym wyniosła i naga skała, na której ni kwiaty, ni krzewy nie zapuszczą nigdy korzeni. Monarcha musi się wyrzec wszelkich czułych uczuć, wszelkich tkliwych afektów. Królowi nie wolno przytulić własnego brata do piersi... król nie śmie okazać miłości własnemu synowi!

- Taka, w pewnej mierze, jest cena wielkości, miłościwy panie - odparł Albany. - Ale niebiosa, które

odgrodziły niejakim dystansem króla od członków jego własnej rodziny, uczyniły jego dziećmi cały naród.

- Niestety, Robercie! - odparł monarcha. - Ty lepiej niż ja nadajesz się do roli suwerena. Widzę z wysokości, na którą wyniósł mnie los, ową ciżbę, którą ty zowiesz moimi dziećmi - kocham ich, pragnę ich dobra - lecz jest ich wielu i tak są ode mnie daleko! Nawet najnędzniejszy z moich poddanych posiada jakąś ukochaną istotę, którą może przycisnąć do serca i którą może obsypać ojcowskimi czułościami! Ale cóż może dać król swojemu narodowi? Najwyżej uśmiech podobny do uśmiechu słońca padającego na śnieżne wierzchołki gór Grampian - równie daleki i równie bezsilny. Niestety, drogi Robinie! Nasz ojciec obsypywał nas czułościami, a jeśli nas łąjał, czynił to zawsze dobrotliwym tonem. A przecież był monarchą, jak ja nim jestem... czemu więc nie wolno mi, jak wolno było jemu, ratować mego marnotrawnego zarówno przy pomocy metod łagodnych, jak surowych?

- Gdybyś, królu mój, nie odwoływał się nigdy do uczuć miłości synowskiej - odparł Albany tonem człowieka, któremu wyrażana opinia sprawia nieznośny ból - należałoby przede wszystkim uciec się do metod łagodnych. Miłościwy pan jest najlepszym sędzią, czy owe łagodne metody nie były stosowane nazbyt już długo i czy surowość i ostre rygory nie okażą się bardziej zbawienne. Jedyne ty sam, królu - i nikt prócz ciebie - możesz sięgnąć po takie środki, jakie wydadzą ci się najskuteczniejsze dla dobra księcia Rothsay i dla dobra królestwa.

- Nie jest to zacnie z twej strony, bracie - zachnął się król. - Wskazujesz mi bolesną drogę, na którą twoim zdaniem powinienem wkroczyć, jednakże nie ofiarowujesz mi swej pomocnej dłoni.

- Możesz, miłościwy panie, żądać ode mnie pomocy - odparł Albany. - Ale czy uchodzi, żebym ja, właśnie ja, namawiał cię, panie, do zastosowania srogich metod względem twego syna i dziedzica? Ja,

który w wypadku - Boże uchwaj! - wygaśnięcia twojej linii odziedziczyłbym tę nieszczęsną koronę?

Czyż krewki March i dumny Douglas nie myśleliby i nie mówili, że Albany posiał niezgodę między swym królewskim bratem a dziedzicem tronu szkockiego... po to, żeby ułatwić sukcesję swej własnej rodzinie? Nigdy, bracie mój i królu... mogę oddać życie w twojej służbie, ale nie narażę na szwank honoru.

- Słusznie powiadasz, drogi Robinie, bardzo słusznie - przytaknął król tłumacząc sobie słowa brata na

swój własny sposób. - Niech ci możni i niebezpieczni lordowie nie dopatrują się niezgody w rodzinie

królewskiej. Tego trzeba nam unikać za wszelką cenę, sięgniemy więc jeszcze raz do pobłażliwych metod - w nadziei, że zdołamy powściągnąć szaleństwa Rothsaya. Od czasu do czasu dostrzegamy w nim, drogi bracie, płomyki nadziei, które warto doprawdy podsycać. Jest młody... bardzo jeszcze młody... i jest księciem w pełnym rozkwicie swej bujnej młodości. Okażemy mu cierpliwość, jak okazuje ją dobry jeździec zbyt ognistemu ogierowi. Pozwólmy mu się wyszumieć, a wtedy nikt nie będzie mu bardziej rad, niż ty mu będziesz, bracie. Ganisz mnie w swej braterskiej życzliwości, że jestem nazbyt łagodny, nazbyt oderwany od spraw tego świata. Rothsay nie ma tych wad.

- Gotów jestem ręczyć życiem, że ich nie ma - odparł sucho Albany.

- I nie brak mu ani rozumu, ani odwagi - ciągnął nieszczęsny król, broniąc sprawy syna przed własnym bratem. - Zawiadomiłem go, że weźmie udział w dzisiejszej radzie królewskiej, zobaczymy, jak się wywiąże ze swych książęcych powinności. Przyznasz, drogi Robinie, że książę posiada zarówno bystrość, jak umiejętność rozstrzygania spraw państwowych, kiedy przyjdzie mu ochota zastanowić się nad nimi.

- Posiada niewątpliwie, mój królu - odparł Albany - kiedy przyjdzie mu taka ochota.

- Ja też tak uważam - rzekł król - i cieszę się z całego serca, drogi Robinie, że popierasz mój zamiar, aby dać temu nieszczęsnemu chłopcu jeszcze jedną szansę. Nie ma on matki, do której mógłby się

odwołać w swym sporze z zagniewanym rodzicem. O tym należy pamiętać, mój Albany.

- Ufam - rzekł Albany - że metoda postępowania, która jest zgodna z twoimi życzeniami, miłościwy panie, okaże się też najślusniejsza i najbardziej zbawienna.

Albany przejrzał naiwny fortel, przy pomocy którego Robert usiłował uciec przed wnioskami narzucającymi się z braterskich argumentów i wybrać - pod płaszczykiem jego sankcji - metodę postępowania wręcz przeciwną tej, którą Albany z uwagi na własne korzyści rad byłby polecić. Ale chociaż rozumiał, że nie zdoła pchnąć brata na wygodną dla siebie drogę, ani myślał popuścić cugli, lecz postanowił czekać na lepszą sposobność uzyskania zbrodniczych korzyści, która to sposobność, był tego pewien, nadarzy mu się niezadługo dzięki nowym waśniom między królem a księciem.

A tymczasem król Robert, bojąc się, że brat powróci do bolesnego tematu, zawołał do przeora dominikanów:

- Słyszę stuk kopyt! Okno, przy którym stoisz, wielebny ojcze, wychodzi na podwórzec. Wyjrzyj i powiedz nam, kto przybył. Zapewne Rothsay?

- Szlachetny earl of March wraz ze swym orszakiem - odparł przeor.

- Duża ich siła? - spytał prędko król. - Czy jego konni wjeżdżają na dziedziniec?

W tym momencie Albany wyszeptał królowi do ucha:

- Nie lękaj się niczego, miłościwy panie... twoi Brandanesi* są pod bronią.

Król podziękował mu skinieniem głowy, a jednocześnie przeor odpowiedział na królewskie pytanie:

- Earlowi towarzyszą dwaj paziowie, dwaj szlachcice i czterej giermkowie. Jeden paź wstępuje za nim

na schody, niosąc miecz swego pana. Reszta została na podwórku... w imię Ducha Świętego... jakże to

możliwe! Oto wędrowna minstrelka z lutnią... ma zamiar śpiewać pod królewskim oknem... na krużgankach opactwa, jakby to było podwórko przydrożnej gospody! Natychmiast każe ją wypędzić!

- Nie czyń tego, ojcze - rzekł król. - Pozwól, że wstawię się za tą nieszczęsną wędrowczynią.

Minstrele nazywają swoje rzemiosło Swawolną Wiedzą, lecz jak żałośnie brzmi ta nazwa, gdy pomyśleć o niedoli, na którą nędza i klęski skazują tych bezdomnych wędrowców! W tym zaś przypominają króla, któremu wszyscy biją pokłony, ale który zazdrości najbiedniejszemu wolnemu chłopu czci i posłusznej miłości okazywanej mu przez rodzinę. Nie wypędzaj wędrowczyni, ojcze. Niech śpiewa strażom i pachołkom na podwórku - powstrzyma ich to może od kłótni, do których są aż nazbyt skorzy wzorem swych krnąbrnych i wrogich sobie panów.

Tak mówił dobrotliwy i słaby król, a przeor skłonił się przed nim na znak, że uczyni zadość jego życzeniu. Zanim król skończył, do komnaty wszedł earl of March odziany w strój do konnej jazdy, jaki nosili podówczas rycerze, ze sztyletem u pasa. Zostawił pazia z mieczem na królewskich przedpokojach. Earl był postawnym, urodziwym mężczyzną o jasnej cerze, bujnych, płowych włosach i jasnych, błękitnych oczach, które błyszczały jak oczy sokoła. Jego skądinąd sympatyczna twarz zdradzała naturę porywczą i gniewliwą, której jako możny i potężny lord feudalny, mógł aż nazbyt często folgować.

- Rad jestem, że przybywasz, mój lordzie of March - przywitał go król z łaskawym skinieniem głowy.

- Bardzo długo nie uczestniczyłeś w naszych radach.

- Miłościwy panie - rzekł earl of March składając głęboki ukłon przed królem i wyniośle, zimno kiwając głową księciu Albany. - Jeżeli bym był nieobecny na radach, to jedynie dlatego, że moje miejsce

zajęli miłsi ci i bez wątpienia światlejsi doradcy. A teraz przyszedłem jedynie zawiadomić mego monarchę, że nowiny znad granicy angielskiej zmuszają mnie do natychmiastowego powrotu do moich włości. Pozostaje z tobą, panie, twój mądry i obdarzony rozumem politycznym brat, książę Albany, który będzie ci służył radą, oraz możny i mężny earl of Douglas, który będzie wprowadzał w czyn

postanowienia. Moja obecność nie jest tu potrzebna, żąda jej natomiast mój kraj. Tam też za

pozwoleniem waszej miłości mam zamiar natychmiast się udać, aby przejąć obowiązki namiestnika Wschodniego Pogranicza.

- Nie czyżne nam tej przykrości, kuzynie! - zawołał dobrotliwy monarcha. - Do nas też dotarły złe nowiny. Doniesiono nam o ponownych i ogólnych zaburzeniach pośród nieszczęsnych klanów góralskich i bezpieczeństwo samego dworu żąda obecności najmądrszych doradców, którzy by podejmowali ważne decyzje i najdzielniejszych baronów, którzy by wprowadzili te decyzje w życie. Czyżby potomek Tomasza Randolpha* chciał w tak trudnej chwili opuścić wnuka Roberta Bruce'a?

- Pozostawiam z nim, miłościwy panie, potomka sławetnego Jamesa of Douglas* - odparł March. - Czcigodny ów lord zwykł się chełpić, że gdy wkłada nogę w strzemień, wraz z nim dosiada koni tysiąc zbrojnych rycerzy z jego drużyny, na co mnisi z Aberbrothock byliby gotowi przysiąc. Pewien jestem, że mężnemu Douglasowi i jego drużynie łatwiej będzie powstrzymać gromadę awanturniczych chłystków z Pogórza niż mnie przeciwstawić się angielskim łucznikom i całej potędze Henry'ego Hotspura*. Co więcej, na dworze pozostaje jego miłość książę Albany, który tak zazdrośnie strzeże bezpieczeństwa osoby naszego monarchy, że kazał chwycić Brandanesom za broń, gdy do bramy zbliżał się wierny jak ja poddany waszej miłości z nędzną garstką konnych - orszakiem nie większym od drużyny najbiedniejszego z drobnych baronów, który w całym majątku posiada warowny zameczek

i tysiąc akrów jałowych wrzosowisk. Skoro podejmuje się takie środki ostrożności, gdy nie grozi najmniejsze nawet niebezpieczeństwo - ufam bowiem, że dwór nie obawiał się mojej osoby - miłościwy pan będzie z pewnością dobrze strzeżony w chwilach prawdziwego zagrożenia.

- Mój lordzie of March - rzekł Albany - najbiedniejszy z baronów, o których wspomniałeś, każe swej drużynie chwycić za broń nawet wtedy, gdy otwiera bramę zamku przed serdecznymi przyjaciółmi. Ja zaś, z boską pomocą, będę dbał o bezpieczeństwo naszego monarchy przynajmniej tak pieczołowicie, jak ludzie ci dbają o siebie. Brandanesi są członkami przybocznej świty króla i jego osobistymi sługami, przyznasz zaś, mój lordzie, że stu Brandanesów to doprawdy niewielka straż wokół

monarchy, skoro ty, panie, a także earl of Douglas często miewacie u boku strażę dziesięciokrotnie liczniejszą.

- Wasza miłość - odparł March - gdy służba u króla tego wymaga, zbieram pod moje sztandary drużynę dziesięciokrotnie nawet liczniejszą od tej, o jakiej wspomniałeś. Nigdy jednak nie czyniłem tego w celach zdradzieckich, żeby usidlić króla, ani z chętności, żeby zastraszyć innych możnych lordów.

- Bracie Robercie - odezwał się król, jak zwykle ugodowy - nie powinieneś być nawet wspominać o jakichkolwiek podejrzeniach względem earla of March. Ty zaś, kuzynie March, źle zrozumiałeś ostrożność mego brata. Lecz dajmy pokój tej gniewnej rozmowie... oto słyszę miłe dla ucha dźwięki pieśni. Lordzie of March, jesteś znawcą Wiedzy Swawolnej i jej miłośnikiem - podejdz proszę do okna i stań przy świątobliwym przeorze, którego nie możemy przecie pytać o sprawy dotyczące świeckich rozrywek... racz nam powiedzieć, czy melodia i słowa tej pieśni warte są słuchania. Myślę,

że pieśń ta przyszła do nas z Francji, a że w sprawach tych sąd mego brata Albany nie jest wart funta

kłaków, ty, kuzynie, musisz wyrazić opinię, czy biedna minstrelka zasługuje na nagrodę. Książę Rothsay i Douglas powinni przybyć wkrótce, a gdy zbierze się rada, zwrócimy myśli ku poważniejszym sprawom.

Z ledwie dostrzegalnym uśmiechem na dumnej twarzy March skierował się do niszy okiennej i stanął w milczeniu obok przeora. Bo choć usłuchał królewskiego rozkazu, gardził jednak kryjącą się za nim bojaźliwą ostrożnością, którą podyktowała chęć niedopuszczenia do sporu między nim a księciem Albany. Początkowe akordy melodii wygrywanej na lutni były zwawe i wesołe, nie pozbawione pewnych cech dzikości muzyki trubadurów. Ale już po chwili w drżących tonach instrumentu i towarzyszącego mu niewieściego głosu dała się słyszeć żałośliwa skarga; melodia milkła, jak gdyby dławiona bólem wędrowniej śpiewaczki.

Jakkolwiek król gratulował Marchowi znawstwa tego przedmiotu, obrażony earl, rzecz oczywista, niewielką zwracał uwagę na śpiew minstrelki. W jego dumnym sercu toczyła się walka między wiernością należną suwerenowi i resztkami afektu, jaki wciąż jeszcze żywił dla swego dobrotliwego króla, a pragnieniem zemsty wyrosłym z zawiedzionych ambicji i podsyconym haniebną krzywdą wyrządzoną mu przez dwór, gdy miast jego córki oblubienicą następcy tronu została Marjorie Douglas. March posiadał zarówno wszystkie cnoty, jak wady natury porywczej i niestałej i nawet teraz, gdy przybył pożegnać króla - z zamiarem wypowiedzenia mu posłuszeństwa, gdy tylko powróci na swoje feudalne terytorium - nie umiał i bez mała nie mógł zdobyć się na krok tak występny i tak niebezpieczny.

Takim to oddawał się chmurnym rozmyślaniom, gdy dziewczyna rozpoczynała swą pieśń. Jednakże niebawem nowe zdarzenia zmąciły tok jego myśli i przykuły uwagę do tego, co działo się na podwórku klasztoru.

Minstrelka śpiewała pieśń w dialekcie prowansalskim, który jako język poezji był dobrze rozumiany na wszystkich dworach Europy, zwłaszcza zaś na dworze szkockim. Ale była to pieśń prostsza niż romance dworskich minstreli i przypominała ballady normańskich bardów.

LAMENT O BIEDNEJ LUIZIE

Biedna Luiza! W piękny czas

Z chatki do zamku poszła raz;

Dotąd jej głos ostrzega was,

Dziewczęta, ach, nie chodźcie w las,

Jak biedna szła Luiza.

Biedna Luiza! Słońca blask

W oczy jej świecił, po czym zgasł,

Gdy droga w ciemny weszła las,

Gdzie ptaszki i strumyki wraz

Śpiewały dla Luizy.

Biedna Luiza! Wielki dzik,

By jej nie straszyć, w gąszczu znikł.

Niedźwiedź nie ruszył jej ni wilk

Lecz lepiej niech nie chodzi nikt,

Gdzie biedna szła Luiza.

Biedna Luiza! W lesie wnet

W drogę jej piękny młodzian wszedł.

Złoty mu kubrak zdołał grzbiet

I wnet czarowny jego szept

Do ucha wpadł Luizy.

Biedna Luizo! Pomyśl wprzód

I wszelkich się wyrzeknij złud,

Bo choć otrzymasz bogactw w bród,

Utracić możesz skarb swych cnót,

O biedna ty Luizo!

Biedna Luizo! On już skradł –

Nie wiem, chytrą czy przez gwałt –

Twój najcenniejszy cnoty skarb.

Tylko się teraz w smutku trap,

O biedna ty Luizo!

Ale, Luizo, smutek zgub

I pociesz się wśród strasznych prób.

On straci tobie wzięty łup,

Gdyż w niebie łaska, w ziemi grób

Już czeka cię, Luizo.

Zaledwie umilkł śpiew, król - w obawie, że ożyje znów dysputa między jego bratem a earlem of

March - zawołał do zagniewanego earla:

- Co myślisz o śpiewie minstrelki, mój lordzie? Bo nawet z tej znacznej odległości pieśń wydała mi się

nader zwawa i miła dla ucha.

- Mój sąd, miłościwy panie, niewiele znaczy. Ale śpiewaczce nie jest potrzebna moja aprobata, skoro

uzyskała poklask księcia Rothsay, niezawodnie pierwszego w naszym kraju znawcy tego przedmiotu.

- Jakże to? - zawołał król z niepokojem w głosie. - Czyżby mój syn znajdował się na podwórku?

- Podjechał konno do minstrelki - odparł March uśmiechając się złośliwie - i z nie mniejszą uwagą słucha jej słów, niż przed chwilą słuchał jej śpiewu.

- Rzeknij mi, co widzisz, wielbny przeorze! - zawołał król do zakonnika. Ale przeor odstąpił od okna.

- Wolę nie patrzeć na to, o czym nie mógłbym mówić bez bólu - odparł.

- Co się tam dzieje? - spytał król. Twarz mu pociemniała w głębokim rumieńcu, zrobił taki ruch, jak gdyby chciał wstać z fotela, ale zmienił zdanie. Zdawało się, że woli nie patrzeć na jakies nieprzystojne może swawole młodego księcia, których nie miałby serca ukarać z należytą surowością.

Można by rzec, że earl of March znajdował przyjemność w informowaniu go o tym, o czym król zapewne wolałby nie wiedzieć.

- Ach, miłościwy panie - zawołał - widok staje się z każdą chwilą ciekawszy! Wędrowną pieśniarką nie tylko znalazła wdzięcznego słuchacza w księciu Szkocji oraz we wszystkich pachołkach i całej straży zebranej na podwórku, lecz co więcej, przyciągnęła do siebie uwagę Czarnego Douglasa, który nigdy dotąd nie objawił się nam jako zagorzały adept Wiedzy Swawolnej. Ale doprawdy zrozumiałe jest jego zdumienie, gdyż ksiązę zaszczycił nadobną pieśniarkę ksiązęcym pocałunkiem.

- Jakże to możliwe? - wybuchnął król. - Czyż Dawid Rothsay zabawia się z wędrowną minstrelką w obecności ojca swej żony? Idź, zacny księże przeorze, przywołaj do mnie księcia... biegnij, drogi bracie... - A gdy obaj opuścili komnatę, król dodał: - Idź, drogi kuzynie March... te swawole skończą się nieszczęściem, jestem tego pewien! Błagam cię, kuzynie, idź i poprzyj prośbę przeora moim rozkazem!

- Zapominasz, miłościwy panie - rzekł March głosem człowieka głęboko urażonego - że ojciec Elżbiety Dunbar nie może pośredniczyć w sporze między lordem of Douglas a jego królewskim zięciem.

- Przebacz mi, proszę, drogi kuzynie - wybąkał łagodny starzec. - Przyznaję, że spotkała cię krzywda...

ale mój syn zginie od morderczego ciosu... muszę sam pośpieszyć mu na ratunek!

Ale zerwawszy się z fotela, biedny król potknął się i runął ciężko na posadzkę. Padając uderzył głową

o wystającą poręcz i stracił na chwilę przytomność. Widok ten kazał Marchowi zapomnieć o wszystkich urazach i zmiękczył mu serce. Dumny magnat podbiegł do leżącego bez zmysłów

monarchy, podniósł go, usadowił na fotelu i z największą tkliwością i szacunkiem starał się przywrócić mu czucie. Robert otworzył oczy i rozejrzał się niepewnie po komnacie.

- Co się stało... czy jestem sam... kto jest ze mną?

- Twój wierny sługa March, miłościwy panie.

- Jestem sam w komnacie z earlem of March! - wyjąkał król; imię możnego feudała, którego śmiertelnie przecież obraził, posiało panikę w zmaconym umyśle starca.

- Tak, miłościwy panie. Jesteś sam z nieszczęsnym George'em of Dunbar, którego wielu pragnie zozydzić w twoich oczach, ale który w końcu okaże się wierniejszy swemu monarsze niż tamci.

- Prawda to, kuzynie, ponad miarę cię skrzywdzono. Ale wierz mi, wszelkimi siłami będziemy się starali okupić...

- Jeśli miłościwy pan nosi się z takim zamiarem, wszystko będzie można jeszcze naprawić - rzekł earl

chwytając się nadziei, którą podsunęła mu ambicja. - Księżę Rothsay i Marjorie Douglas są blisko spokrewnieni... dyspensy udzielono z Rzymu nieformalnie... ich małżeństwo jest z pewnością nieprawne... papież, który uczyni wiele dla tak bogobojnego króla, mógłby unieważnić ten niechrześcijański związek z uwagi na wcześniejszą małżeńską umowę. Zastanów się dobrze, miłościwy panie - ciągnął earl rozplómienny nowym tokiem ambitnych myśli, którym dała asumpt ta nieoczekiwana sposobność przedłożenia sprawy królowi w osobistej z nim rozmowie - zastanów się, zanim wybierzesz między mną a Douglasem. Jest on możny i silny, przyznaję. Ale George of Dunbar nosi przy pasie klucze Szkocji i może przywieść wojska angielskie pod bramy Edynburga, zanim Douglas zdąży opuścić Cairntable, żeby go spotkać w polu. Twój królewski syn, miłościwy panie, kocha moją biedną porzuconą córkę i nienawidzi wyniosłej Marjorie Douglas. Już to choćby, że

zaleca się do pospolitej minstrelki w obecności ojca swojej żony, dowodzi, jak mało ona dlań znaczy.

Król przysłuchiwał się dotąd powyższym argumentom w oszołomieniu bojaźliwego jeźdźca, który

siedząc na grzbiecie ognistego rumaka nie może ani powstrzymać jego galopu, ani go opanować. Ostatnie jednak słowa przypomniały mu o bezpośrednim niebezpieczeństwie grożącym synowi. Och... ach... słusznie... Douglas. Och, drogi kuzynie, nie dopuść do rozlewu krwi, a wszystko będzie wedle twoich pragnień. Słyszysz tę wrzawę... to szczęk mieczów!

Na mój herb i tarczę... na mój rycerski honor, prawda to! - zakrzyknął earl of March spoglądając przez

okno na wewnętrzny podwórzec klasztoru, pełen teraz zbrojnych mężczyzn, pełen błysku obnażonej stali i rozbrzmiewający szczękiem oręża. W głębi sklepionej bramy tłoczyli się wojownicy, słychać było odgłosy razów wymienianych między tymi, którzy usiłowali zamknąć ciężkie odrzwia, a tymi, którzy parli na nie od zewnątrz.

- Zejdę na dół i położę kres tej gorszącej burdzie - rzekł earl of March. - Ale proszę cię pokornie, miłościwy panie, abys się zastanowił nad tym, com ci miał śmiałość przedłożyć.

- Uczynię to, drogi mój, z całą pewnością uczynię - odparł król nie bardzo rozumiejąc, do czego się tymi słowy zobowiązuje - byleś tylko nie dopuścił do rozlewu krwi!

ROZDZIAŁ XI

Ładna jest panna przechodząca –

Z dała jej uśmiech jak promień słońca;

A zbliżysz się - już w chwili tej

Chmurka żałości w oku jej.

Ballada o Lucyndzie

Zrelacjonujmy teraz nieco akuracniej wydarzenia, widziane niezbyt dokładnie z okna komnaty królewskiej i jeszcze mniej dokładnie opisane przez tych, którzy im się przyglądali. Śpiewaczka wędrowna stanęła na szczycie szerokich i długich stopni wiodących do komnat królewskich, dzięki czemu znalazła się o półtorej stopy wyżej niż ci wszyscy obecni na podwórzu, z których miała nadzieję uczynić swoje audytorium. Odziana była w suknie swego rzemiosła, bardziej jaskrawe niż

okazałe i wyraźniej uwydatniające jej kształty, niż zwykle to czynić odzienie niewiast tej epoki. Odłożyła na ziemię płaszcz i niewielki koszyk, w którym przechowywała cały swój skromny dobytek; pilnował tych przedmiotów mały francuski spaniel siedzący tuż obok. Spod lazurowoniebieskiego obcisłego kaftana, który był haftowany srebrem i rozpięty z przodu, wyglądało kilka kolorowych jedwabnych kamizeleczek, rozpiętych pod szyją i podkreślających powab ramion i piersi dziewczyny.

Srebrny łańcuszek zawieszony na szyi ginął pośród zwojów barwnego jedwabiu - lecz po to jedynie, żeby wyłonić się nieco poniżej i ukazać medal z tegoż kruszcu, na którym w imieniu jakiegoś cechu czy też gildii minstreli wyszczególniony był stopień wtajemniczenia śpiewaczki w arkana Swawolnej czy też Wesołej Wiedzy. Przez lewe ramię dziewczyna miała przewieszony mały woreczek umocowany do błękitnej jedwabnej wstążki.

Jej złotawa cera, śnieżnobiałe zęby, błyszczące, czarne oczy i krucze pukle dowodziły, że dziewczyna

pochodzi z dalekiego południa Francji, na co zdawał się też wskazywać jej filuterny uśmiech i dołeczek na brodzie.

Bujne, krucze włosy, spięte małą złotą szpilką, przykrywała siateczka ze srebrnych i złotych nici.

Krótkie spódnice podbite zwojami srebrzystej koronki, czerwone pończochy widoczne spod spódnic niemal do wysokości łydki i wysokie trzewiczki z kordobańskiej skóry dopełniały jej stroju, który acz

nie był nowy, był jednak pieczołowicie przechowywanym strojem odświętnym, utrzymanym w dobrym stanie dzięki pilnej dbałości. Dziewczyna miała lat około dwudziestu pięciu, może jednak udręka życia tułaczego przedwcześnie starła z jej oblicza świeżość wczesnej młodości.

Wspomnieliśmy już, że dziewczyna w obejściu była wesoła i żywa, teraz zaś dodamy, że uśmiech łatwo wypływał na jej wargi, odpowiedzi zaś miała szybkie i cięte. Ale jej wesołość była wymuszona,

była cechą niezbędną w rzemiośle, którego wykonawcy często ukrywają pod wesołym uśmiechem

krwawiące serce. Tak też przedstawiała się rzecz z Luizą; czy to dlatego, że dziewczyna była bohaterką śpiewanej pieśni, czy też istniały inne jakoweś przyczyny jej smutku, wpadała ona niekiedy w melancholijne zamyślenie, które przyćmiewało naturalną wesołość nieodzowną zwłaszcza dla tych,

co praktykowali Wiedzę Swawolną. Nie posiadała też Luiza, nawet w swych najweselszych utarczkach słownych, owego wyraźnego zuchwalstwa wędrownych minstrelek, które nie tracąc kontenansu umiały odpowiedzieć na każdy śmiały dowcip i wykpić każdego, kto im przerywał lub przeszkadzał.

Wspomnimy na tym miejscu, że ta klasa niewiast, nader liczna w owych czasach, nie cieszyła się, rzecz jasna, nazbyt dobrą sławą. Chroniły je wszelako obyczaje epoki, a panująca podówczas rycerskość przyznawała im takie immunitety, iż rzadko się słyszało o krzywdach wyrządzanych wędrownym minstrelkom, które mogły poruszać się swobodnie nawet tam, gdzie zbrojni podróżni napotykaliby krwawy opór. Ale choć licencjonowani i chronieni przez wzgląd na swą melodyjną sztukę, wędrowni bardowie i minstrele obojga płci, podobnie jak wędrowni muzykanci i komedianci naszych czasów, wiedli życie zbyt nieregularne, aby ich uznano za pełnoprawnych członków społeczności. W rzeczy samej surowsi w obyczajach katolicy uważali ich rzemiosło za bezbożne i wyjęte spod prawa.

Takie było owo dziewczę, które z lutnią w ręce stanęło na podwyższeniu dziedzińca i oznajmiło zebrany, że jest mistrzynią Wiedzy Swawolnej posiadającą należyty patent zyskany na Turnieju Miłości i Muzyki, który odbył się w Aix, w Prowansji, pod egidą sławetnego galanta hrabiego Aymer,

chluby rycerstwa francuskiego; dziewczę zwracało się teraz z prośbą do rycerzy wesołej Szkocji, słynących na całym świecie z dworności i odwagi, aby pozwolili biednej cudzoziemce popisać się śpiewem, bo może sztuka jej dostarczy im niejakiej rozrywki.

Zamiłowanie do pieśni, podobnie jak zamiłowanie do walki, było w owych czasach namiętnością

powszechną, do której przyznawali się nawet ci, co nie byli jej niewolnikami; nic więc dziwnego, że propozycja Luizy spotkała się z jednomyślną zgodą. Jednocześnie stary mnich o posępnym wyglądzie, stojący pośród słuchaczy, uznał za stosowne przypomnieć wędrownej minstrelce, że skoro wpuszczono ją w mury klasztoru, co było dowodem nie byle jakiej łaskawości, jej słowa i śpiew winny być w zgodzie z świątobliwym charakterem tego miejsca.

Dziewczyna schyliła nisko głowę, potrząsnęła kruczoczarnymi puklami i przeżegnała się pobożnie, jak

gdyby przecząc wszelkiej możliwości takiego wykroczenia, potem zaś odśpiewała pieśń o biednej Luizie, której treść podaliśmy w poprzednim rozdziale.

Zaledwie jednak skończyła pierwszą strofkę, przerwały jej głośne okrzyki:

- Rozstąpić się... droga wolna, rozstąpić się! Miejsce dla księcia Rothsay!

- Nie czyńcie zamieszania z mego powodu - ozwał się rycerski młody galant siedzący na grzbiecie wspaniałego araba, którego wodził z doskonałym wprost wdziękiem, choć tak nieznacznie poruszał przy tym cugłami, tak niedostrzegalnie ścisnął rumaka udami, że wszystkim patrzącym prócz najwytrawniejszych tylko znawców zdawało się zapewne, że zwierzę kroczy dla własnej li tylko przyjemności i dźwiga na grzbiecie jeźdźca, który w swoim lenistwie nie zaprzęta sobie głowy regułami konnej jazdy.

Książę, acz ubrany z przepychem, nosił jednak swój strój niedbale. Choć niski i o nazbyt szczupłych rękach i nogach, postać miał jednak wykwinną, twarz zaś bardzo urodziwą. Ale w jego rysach widniało znużenie, będące zapewne następstwem trosk lub rozwiązłego życia, lub może obu tych przyczyn. Oczy miał zapadnięte, wzrok zaś zmacony, jak gdyby nazbyt długo oddawał się hulankom poprzedniego wieczoru; policzki pałały mu nienaturalnymi rumieńcami i zdawać się mogło, że albo młody organizm odczuwał wciąż skutki bachijskich orgii, albo też książę porannym łykiem piwa starał się usunąć skutki nocnej rozpusty.

Taki oto był książę Rothsay, dziedzic szkockiej korony - postać budząca jednocześnie zainteresowanie

i współczucie. Wszyscy odkryli głowy i rozstąpili się przed nim, on jednak powtarzał niedbale:

- Niespieszne mi... niespieszne... zdążę na czas, tam dokąd się wybieram.

A to co... adeptka Wiedzy Swawolnej? Na świętego Idziego - nie omyliłem się! A na dodatek urodziwa z niej dziewczyna. Czekaście, zacni moi druhowie. Nie przepuszczam ja nigdy takich okazji.

Piękny głos, jako żywo! Gołąbeczko, zaśpiewaj mi tę pieśń od początku.

Luiza nie знаła młodzieńca, który do niej przemówił. Ale okazywany mu przez wszystkich szacunek i swobodna niedbałość, z jaką przyjmował hołdy, kazały jej się domyślić, że jest to dziedzic któregoś z najmożniejszych w kraju rodów. Rozpoczęła pieśń od nowa, starając się śpiewać jak najpiękniej; a tymczasem młody książę słuchał w zamyśleniu, wyraźnie wzruszony ostatnimi strofkami ballady. Ale nie miał w zwyczaju długo pieścić w duszy uczuć tak melancholijnych.

- Żałośliwa to była piosenka, moja ty orzechowa piękności - rzekł ujmując dziewczynę pod brodę i przytrzymując ją za kołnierz kaftana, co nie było bynajmniej trudne, gdyż siedział na grzbiecie konia tuż obok stopni, na których stała Luiza. - Ale przyjmę każdy zakład, że znasz skoczniejsze melodie, moja ty bella tenebrosa*... i że potrafisz śpiewać zarówno w altanie, jak i w cienistym gajku, zarówno

w nocy, jak i w dzień.

- Nie jestem słowikiem śpiewającym nocą, miłościwy lordzie - odparła Luiza usiłując umknąć przed tą

wielkopańską galanterią, niestosowną na dziedzińcu klasztornym; ale młody panicz zdawał się na tę dysharmonię pogardliwie obojętny.

- Co ty tu masz, kochaneczko? - spytał zdejmując palce z kołnierza jej sukni i sięgając po mały woreczek na plecach.

Rada, że może się oswobodzić, Luiza rozwiązała supeł wstążki i pozostawiając woreczek księciu,

cofnęła się poza zasięg jego ręki.

- Tegoroczne orzechy, mój lordzie - odparła.

Książę wyjął z woreczka garść orzechów.

- Orzechy, dziecino? Połamiesz sobie na nich śliczne ząbki... zniszczysz śliczny głosik! - zawołał Rothsay, niczym swawolny żak rozgryzając orzech zębami.

- Nie są to orzechy włoskie, z których słynie moja słoneczna ojczyzna. Ale rosną nisko na krzakach leszczyny i zerwać je może najbiedniejszy nawet wędrowiec.

- Otrzymasz coś, co ci zapewni pożywniejszą strawę, moja ty biedna wędrowna małpeczko - rzekł książę ze współczuciem, które brzmiało szczerzej niż udawana i szydercza galanteria pierwszych jego

słów skierowanych do dziewczyny.

Obróciwszy się do jednego z dworzan, żeby zażądać sakiewki, książę napotkał groźne spojrzenie przenikliwych oczu wysokiego, czarniawego męża, który siedział na grzbiecie potężnego, stalowoszarego rumaka; rycerz ów wjechał na podwórze wraz ze swym orszakiem, gdy młody książę zajęty był Luizą, i teraz niemal skamieniały, osłupiały z gniewu i zdumienia, przyglądał się gorszącej scenie. Nawet ktoś, kto nigdy nie widział Archibalda earla of Douglas, zwanego też Douglasem Ponurym, poznałby go niechybnie po śniadej cerze i roslym ciele olbrzyma, po żółtawym kaftanie z wyprawnej wołowej skóry i wreszcie po odwadze, stanowczości i malującej się na jego obliczu roztropności, spod których wyzierała nieposkromiona duma. Douglas stracił w bitwie oko, a chociaż ułomność ta nie była bardzo widoczna, gdyż uszkodzona gałka nie różniła się od zdrowej, nadawało to jego spojrzeniu jakowąś srogą nieruchomość.

Spotkanie królewskiego zięcia z groźnym teściem przyciągnęło uwagę wszystkich obecnych; rycerze i pachołkowie oczekiwali rozwoju wypadków w milczeniu i z zapartym tchem, aby nie uronić ani strzępu z tego, co miało teraz nastąpić.

Gdy książę Rothsay zobaczył wyraz goszczący na surowej twarzy Douglasa i spostrzegł, że earl nie wita go z należną czcią czy choćby z udaną dwornością, postanowił dać mu nauczkę i pokazać, jak mało sobie robi z jego zgorzzonej miny. Wziął kieskę od swego szambelana.

- To dla ciebie, ślicznotko - powiedział. - Masz tu jedną sztukę złota za piosnkę, którąś dla mnie śpiewała, drugą za orzechy, które ci skradłem, a trzecią za pocałunek, który od ciebie otrzymam.

Wiedz bowiem, dziewczyno, że poprzysiągłem świętemu Walentemu całować wszystkie ładne usta (a twoje w braku piękniejszych śmiało mogą być nazwane ładnymi), które śpiewają słodkie piosenki dla

mojej przyjemności.

- Za pieśń otrzymałam hojną zapłatę - rzekła Luiza cofając się w popłochu - orzechy sprzedałam za królewską cenę... dalszy zaś handel między nami, mój lordzie, nie przystoi ani mnie, ani tobie.

- Jakże to, udajesz skromni się, moja ty nimfo szerokiego gościńca? - rzucił pogardliwie książę. -

Wiedz, dziecino, że prosi cię o pocałunek ktoś, kto nie jest przyzwyczajony do odmowy.

- To królewicz szkocki... to książę Rothsay - mówili dworzanie stojący obok zmieszanej i dygocącej z

przestrachu Luizy. - Nie powinnaś mu się sprzeciwiać!

- Kiedy wasza miłość siedzi na grzbiecie wierzchowca... - wyjąkała bojaźliwie Luiza. - Nie dosięgnę

tak wysoko.

- Jeśli będę musiał zejść z konia, kara będzie sroższa - zaśmiał się Rothsay. - Czemu drżysz,

głuptasko? Postaw nogę na czubku mojego buta... podaj mi dłoń... dzielna dziewczyna! - Pocałował ją,

gdy stała tak zawieszona między niebem a ziemią, czepiając się jego ręki. - Oto twój pocałunek... oto

moja kieska w nagrodę. Żeby zaś okazać ci większą jeszcze łaskawość, Rothsay nie rozstanie się przez

dzisiejszy dzień z tym woreczkiem napełnionym orzechami. - Pozwolił wystraszonej dziewczynie

zeskoczyć na ziemię i przeniósł pogardliwy wzrok na earla of Douglas, jak gdyby chciał powiedzieć:

„Wszystko to czynię na przekór tobie i wbrew roszczeniom twojej córki”.

- Na świętą dziewicę z rodu Douglasów - wybuchnął earl przepychając się bliżej księcia - tego już za

wiele, ty nieokrzesany młokosie, który nie posiadasz ani rozumu, ani honoru! Wiesz dobrze, jakie względy powstrzymują moją dłoń, bo inaczej nie śmiałybyś...

- Umiesz grać w orzeszki, mój lordzie? - spytał książę kładąc orzech na drugim przegubie palca wskazującego i strącając go mocnym uderzeniem kciuka. Orzech uderzył w szeroką pierś Douglasa, z którego ust wyrwał się straszliwy okrzyk gniewu, nieartykułowany, ale głębią i dzikością przypominający ryk lwa. - Ach, przebacz mi, moźny lordzie! - szydził książę, co słysząc wszyscy obecni zadrżeli. - Nie sądziłem, że mój pocisk cię zrani, zwłaszcza żeś jest cały okutany w wołową skórę. Ufam, że nie uderzyłem cię w oko?

Wysłany przez króla przeor utorował sobie tymczasem drogę przez tłum i chwyciwszy konia Douglasa

za uzdę, przypomniał rozsierzdzonemu lordowi, że książę jest synem jego suwerena i mężem jego córki.

- Nie lękaj się, wielebny przeorze - rzekł Douglas. - Nazbyt gardzę tym niedowarżonym młokosem, żebym chciał podnieść na niego rękę. Wszelako zapłacę obelgą za obelgę. Hej, niech mi któryś, co wierny jest Douglasom, wygna tę królową z dziedzińca klasztoru! I wychłostać mi dziewczkę, iżby do końca dni swoich pamiętała, że za jej przyczyną nieogłodzony młokos obraził Douglasa!

Natychmiast wystąpiło z tłumy kilku zbrojnych, żeby wykonać rozkazy, rzadko padające daremnie z tych ust, i drogo zapłaciłaby biedna Luiza za wykroczenie, którego była niewinnym, nieświadomym i mimowolnym narzędziem, gdyby nie interwencja Rothsaya.

- Wypędzić biedną minstrelkę! - zawołał z oburzeniem. - Wychłostać ją za to, że posłuchała mojego rozkazu! Przepędzaj swoich uciemieżonych wasali, dzikusie... chłoszcz własne psy myśliwskie... ale nie waż się dotknąć palcem choćby psa, którego Rothsay pogłaskał po łbie, a tym bardziej niewiasty,

której usta całował!

Zanim Dougals zdążył dać odpowiedź, co z pewnością byłoby jednoznaczne z wyzwaniem, u zewnętrznej bramy klasztoru powstał wspomniany wyżej tumult i na dziedziniec wdarła się gromada mężczyzn, zarówno konnych jak pieszych, którzy wprawdzie nie walczyli, postawy mieli jednak groźne i wojownicze.

Jedna z wrogich sobie grup składała się ze stronników Douglasa, rozpoznawalnych po znaku krwawego serca na ramieniu, w skład drugiej wchodził mieszczanie z Perth. Widać było wyraźnie, że na ulicach toczyła się między nimi zażarta walka, teraz jednak, z szacunku dla świętego miejsca, opuścili broń ograniczając się do potyczek słownych i wzajemnych obelg.

Miało to ten dobry skutek, że w ogólnym rejdachu i pod naporem tłumu ksiązę i Douglas zostali rozdzieleni w momencie, gdy lekkomyślność młodzieńca i pycha starego earla pchała ich nieuchronnie ku ostateczności.

Teraz jednak przeor i mnisi rzucili się między wzburzone szeregi, żądając pokoju w imię Boga i uszanowania świętego miejsca pod karą ekskomuniki. Niebawem zaczęto dawać posłuch ich wezwaniom. Albany, którego król wysłał na dziedziniec na samym początku bójki, dopiero teraz przybył na widownię gorszącego zajścia i odszukawszy Douglasa, błagał go na ucho, aby pohamował gniew.

- Na świętą dziewicę z rodu Douglasów - wybuchnął earl - pomszczę moją krzywdę! Kto znieważa Douglasa, temu wnet zbrzydnie życie'

- Ależ tak, weźmiesz jeszcze na nim odwet, gdy przyjdzie odpowiednia chwila. Ale niech nikt nie powie, że wielki Douglas niczym zręczliwa białogłowa nie umiał znaleźć ani stosownej pory, ani właściwego miejsca dla swojej pomsty. Zważ, że drobny przypadek może zniweczyć wszystko, nad czym pracowaliśmy z takim mozołem. George Dunbar skorzystał ze sposobności i odbył rozmowę ze

starcem. A chociaż trwała ona zaledwie pięć minut, obawiam się, że może doprowadzić do rozwiązania małżeństwa, które ziszciliśmy z takim trudem. Pamiętaj, że Rzym nie udzielił jeszcze zgody!

- Brednie, mój książę! - rzekł Douglas wyniośle. - Papież nie ośmieli się unieważnić ślubu.

- Nie ośmieli się, dopóki Douglas jest na wolności i posiada władzę - odparł Albany. - Ale chodź ze mną, szlachetny lordzie, a pokażę ci, w jak niekorzystnym znajdujesz się położeniu.

Douglas zsiadł z konia i w milczeniu towarzyszył swemu przebiegłemu współnikowi intryg. W jednej z bocznych sieni ujrzeli Brandanesów ustawionych w bojowym szyku, doskonale uzbrojonych, przyodzianych w stalowe hełmy i kolczugi. Ich przywódca skłonił się przed Albanym; widać było z jego miny, że pragnie przemówić do księcia.

- Co tam, MacLouis? - spytał królewski brat.

- Powiedziano nam, że księcia Rothsaya spotkała zniewaga i Brandanesi rwą się na podwórzec. Z trudem zdołałem ich powstrzymać.

- Zuch z ciebie, MacLouis - pochwalił Albany. - A wy, moi wierni Brandanesi, wiedzcie, że księciu Rothsay nic nie grozi. Prawda to, że wybuchła bijatyka, ale przywrócono już spokój.

Odszedł prowadząc Douglasa za sobą.

- Sam widzisz, mój lordzie - idąc szeptał mu do ucha - że gdyby raz padło słowo: „Uwięzić”, rozkaz zostałby wykonany, a drużyna twoja jest nieliczna i nie stawia skutecznego oporu.

Douglas zgodził się, że chwilowo wskazana jest cierpliwość.

- Choćbym miał zagryzać wargi do krwi - rzekł - będę milczał, dopóki nie nadejdzie chwila, w której upomnę się o moją krzywdę.

Tymczasem George earl of March miał znacznie łatwiejsze zadanie ułagodzenia młodego księcia.

- Mój lordzie of Rothsay - rzekł zbliżając się do niego uroczyście i ceremonialnie - wiesz dobrze, żeś jest mi winien wiele, boś czci mojej uwłaczył, choć nie winię ciebie osobiście za zerwanie umowy

małżeńskiej, która zniszczyła spokój mej rodziny. Zaklinam cię, miłościwy książe, abys przez szacunek, jaki żywisz może dla ciężko pokrzywdzonego człowieka, poniechał tej gorszącej kłótni.

- Winien ci jestem wiele, mój lordzie - odparł Rothsay - lecz ten pyszny i żądny władzy lord targnął się na mój honor.

- Dodać jeszcze muszę, mój książe, że twój królewski ojciec zasłabł... omdlał z niepokoju o twoje życie.

- Mój ojciec zasłabł? - zawołał Rothsay. - Ten dobrotliwy, łagodny starzec omdlał, powiadasz, mój lordzie of March? Już do niego śpieszę!

Młody Rothsay zeskoczył z konia i biegł z chyżością charta ku komnatom królewskim, gdy słaba dłoń uczepiła się jego opończy i rozległo się żałośliwe, ciche wołanie klęczącej na ziemi niewiasty:

- Błagam cię o ratunek, szlachetny książe! Bezbronna cudzoziemka zwraca się do ciebie o pomoc!

- Precz z drogi! - rozkazał earl of March odpychając nieszczęsną minstrelkę.

Ale dobrotliwy książe przystanął.

- Słusznie - westchnął. - Naraziłem to bezbronne stworzenie na mściwość pamiętliwego diabła. O

Chryste, jakże zgubny wpływ wywiera moje życie na wszystkich, którzy się do mnie zbliżają! Ale co czynić, gdy czas nagli? Nie mogę jej ukryć w moich komnatach... a moi dworzanie to ludzie rozpustni i niegodni zaufania. Hej, ty tam... zacny płatnerzu Harry Smith! Cóż tu robisz?

- Ano, wasza miłość, doszło do małej sprawy - odparł nasz przyjaciel płatnerz - między mieszczanami

a zgrają hultajów z Pogranicza, którzy noszą barwy Douglasa. Odepchnęliśmy ich aż pod bramy opactwa.

- Rad jestem to słyszeć, bardzo rad - ucieszył się książe. - Mam nadzieję, żeście uczciwie przetrzepali skórę tym łotrom?

- Czy uczciwie? Ho-ho, jeszcze jak! - odparł Smith. - Była nas większa siła, to prawda, ale trudno o lepiej uzbrojonych pachołków niż ci, co noszą na ramieniu znak krwawego serca. Więc w pewnym

sensie spuściliśmy im uczciwe lanie. Bo jak wasza miłość wie, płatnerz wyrabia zbroje i oręż, a ludzie

dobrze uzbrojeni śmiało mogą się mierzyć nawet z przeważającą siłą przeciwnika.

Gdy tak gawędzili, earl of March, który rozmawiał z kimś przy bramie pałacowej, wrócił w popłochu

do Rothsaya.

- Mój książę... mój książę! - wołał z niepokojem. - Miłociwy pan twój ojciec odzyskał przytomność, więc jeśli się nie pośpieszymy, książę Albany i Douglas zyskają u niego posłuchanie.

- Skoro miłociwy pan mój ojciec odzyskał przytomność - odparł lekkomyślny książę - i odbywa, czy też niebawem rozpocznie, naradę z moim szlachetnym stryjem i earlem of Douglas, nie przystoi ani mnie, ani tobie, panie, udawać się tam, póki nie otrzymamy wezwania na królewskie komnaty. Zdamę więc rozmówić się z tym tu zacnym płatnerzem.

- Ach, więc książę Rothsay tak zapatruje się na tę sprawę? - wybuchnął earl, którego nadzieje na

łaski u dworu tak szybko zgasły, jak szybko zostały wzniecone. - A zatem George of Dunbar nie ma tu nic do roboty.

Odszedł z miną ponurą i zagniewaną. I tak oto lekkomyślny dziedzic korony uczynił sobie wrogów w dwóch najmożniejszych w Szkocji feudałach - i to w czasach, gdy arystokracja wywierała przemożny wpływ na losy tronu; jednego obraził szyderczą zuchwałością, drugiego - lekceważącym niedbalstwem. Nie zmartwiło go raptowne odejście earla of March; przeciwnie, poczuł ulgę, że uwalnia się od jego natręctwa.

Prowadził nadal leniwą i beztroską rozmowę z płatnerzem, który jako niedościgły rzemieślnik był osobiście znany większości wielkich panów dworskich.

- Chciałem cię o coś spytać, płatnerzu. Czy mógłbyś naprawić pęknięte oczko w mojej mediolańskiej kolczudze?

- Z taką łatwością, miłociwy panie, z jaką moja matka podbierała oczka w siatkach, które plotła.

Mediolańczyk nie odróżni swojej roboty od mojej.

- Ale po prawdzie nie o tym chciałem z tobą teraz mówić - opamiętał się książę. - Chodzi mi o tę tu minstrelkę, dla której musimy znaleźć bezpieczne schronienie. Wrodzona rycerskość nakazuje ci, płatnerzu, bronić pokrzywdzonych niewiast, zaprowadź więc ją w jakieś bezpieczne miejsce.

Jak zdążyliśmy już zauważyć, Harry Smith był człowiekiem skorym do bitki i odważnym. Ale miał też swój honor uczciwego mieszczanina i nie chciał stawiać się w sytuacji, którą trzeźwiejsi spośród jego współziomków uznaliby niechybnie za co najmniej dwuznaczną.

- Niech wasza miłość wybaczy mi to zuchwalstwo - rzekł - ale prosty ze mnie człowiek i zwykły rzemieślnik. A chociaż ręka moja i miecz zawsze będą służyły miłościwemu panu i jego królewskiemu

synowi, nie jestem, za pozwoleniem waszej miłości, bawidamkiem. Wasza miłość znajdzie w swym orszaku rycerzy i dworzan, którzy z chęcią wezmą na siebie obowiązki sir Pandarusa z Troi*... nazbyt to rycerskie zajęcie dla biednego Harry'ego Smitha.

- Uhm... ahm... rozumiem! - mruknął książę. - Moja sakiewka, Edgar. - (Dworzanin szepnął mu coś do ucha). - Słusznie, słusznie, dałem ją tej biednej wędrowczyni. Nadto dobrze znam ja mieszczan, imci płatnerzu, i w ogóle rzemieślników, iżbym nie wiedział, że nie zwabi sokoła ten, kto ma puste ręce.

Sądzę jednak, że moje słowo wystarczy zacnemu płatnerzowi, zapłacę ci zaś żadaną cenę chętnie i na dodatek podziękuję za drobną przysługę.

- Wasza miłość zna może innych mieszczan - odparł poważnie płatnerz - ale nie zna Harry'ego Smitha.

Wykuję miecz i chwycę za miecz, jeśli wasza miłość rozkaże, ale nie wyznaję się na tego rodzaju usługach i nie chcę mieć z nimi nic wspólnego.

- Posłuchaj, ty uparty mule rodem z Perthshire - rzekł książę niecierpliwie, choć kwitując uśmiechem ów przejaw skrupułów zacnego mieszczanina. - Wędrowna minstrelka nic dla mnie nie znaczy. Ale w chwili kaprysu obdarzyłem ją łaską, za którą nieszczęśniczka łącznie może zapłacić życiem. Jeśliś sam

tego nie widział, przyświadczać moim słowom wszyscy tu obecni. Nie ma tu jednak nikogo, komu mógłbym powierzyć jej obronę przed dyscypliną pasa i cięciwy, którymi te dzikusy w barwach Douglasa wychłostają ją na śmierć, bo taka jest jego wola.

- O, w takim razie należy jej się opieka każdego uczciwego mężczyzny! - zawołał Harry. - A ponieważ

nosi spódnicę - chociaż po prawdzie wolałbym, żeby te jej szatki były trochę dłuższe i mniej jaskrawe

- nie odmówię jej swojej pomocy. Ale dokąd wasza miłość każe mi ją odprowadzić?

- Dalibóg... nie wiem. Zaprowadź ją na pokoje sir Johna Ramorny'ego. Chociaż nie... nie. Sir John niedomaga, a poza tym istnieją pewne powody... Och, zaprowadź ją do diabła, jeśli masz ochotę, bylebyś znalazł dla niej bezpieczne schronienie, czym zaskarbisz sobie wdzięczność Dawida Rothsaya.

- Miłościwy mój książę - rzekł Smith - wybacz mi śmiałość, lecz rychlej powierzyłbym bezbronną niewiastę diabłu niż sir Johnowi Ramorny. Ale chociaż diabeł pracuje w tym samym co ja ognistym żywiole, nie znam - i z boską pomocą nigdy nie poznam - miejsca jego zamieszkania. Niełatwo też będzie wyprowadzić dziewczynę z obrębu klasztoru i wieść przez ulice w tych jarmarcznych szatkach.

- Co się tyczy opuszczenia murów klasztoru - powiedział książę - ten zacny mnich - (chwycił za kołnierz najbliższego zakonnika) - ojciec Mikołaj czy też Bonifacy...

- Pokorny brat Cyprian, do usług waszej miłości.

- Słusznie, słusznie, brat Cyprian - ciągnął nieporuszony książę. - Otóż brat Cyprian wyprowadzi cię przez jakieś sobie tylko znane sekretne drzwi, za co wynagrodzi go sownie książęca wdzięczność.

Zakonnik skłonił się na znak zgody, nieszczęsna zaś Luiza, która przysłuchiwała się tej debacie, przenosząc wylękniony wzrok z jednego jej uczestnika na drugiego, rzuciła teraz spieszenie:

- Nie zawstydzę tego zacnego człowieka moim gorszącym odzieniem. Mam płaszcz, który noszę zwykle między ludźmi...

- Poszcęściło ci się, cny płatnerzu... możesz się ukryć pod niewieścim płaszczem i mnisim kapturem. Ach, żeby to moje ułomności były tak dobrze maskowane! A więc żegnaj, poczciwco. Podziękuję ci później.

I jak gdyby w obawie przed dalszymi protestami Harry'ego, skierował się spieszenie na pokoje królewskie.

Nagłość całego zdarzenia oszołomiła płatnerza; bo oto powierzono mu niespodziewanie misję zarówno niebezpieczną, jak w pewnym sensie gorszą, co w połączeniu z faktem, że w niedawnej bijatyce Harry, jak zwykle porywco, odegrał bynajmniej nie najmniejszą rolę, mogło zaszkodzić mu poważnie w konkurach, których ziszczenia pragnął jak niczego na świecie. Z drugiej strony, jego rycerskie serce zżymało się na myśl, że miałby wydać bezbronną istotę na łaskę barbarzyńskich zbirów z Pogranicza i rozpustnych wasali Douglasów.

Z posępnej zadumy wyrwał go zakonnik. Cedząc słowa z obojętnością, jaką wszyscy mnisi okazywali - czy też może jaką udawali - wobec spraw tego świata, brat Cyprian przykazał mu iść za sobą. Z westchnieniem podobniejszym do jęku Harry pośpieszył na krużganek i choć pozornie zdawało się, że

nie dostrzeża nawet mnicha, wszedł w boczne drzwi, które ten pozostawił za sobą otwarte. Za nimi podążała Luiza, która porwawszy z ziemi węzełek i przywoławszy czworonożnego przyjaciela, gorliwie wykorzystywała sposobność ucieczki przed niebezpieczeństwem, jeszcze kilka chwil temu zda się nieuniknionym.

ROZDZIAŁ XII

I rzekła stara gospodyni,

Lecz, ach, surowy miała głos:

- Gdyby twój ojciec tak uczynił,

Marny zaiste miałby los!

LUCKY TRUMBULL

Mała gromadka przedostała się przez sekretne drzwi do wnętrza kościoła, którego podwoje, zwykle otwarte, były teraz zamknięte dla wiernych, podczas bowiem niedawnych zamieszek na ulicach obie strony walczące usiłowały wdrzeć się do świątyni w celach zgoła innych niż modlitwa. Szli w poprzek mrocznych naw, których wysokie sklepienia rozbrzmiewały odgłosem ciężkich kroków płatnerza, nie powtarzały jednak echa obutych w sandały stóp brata Cypriana i lekkich kroków Luizy.

Dziewczyna dygotała z zimna i lęku. Rozumiała, że zarówno jej duchowy, jak ziemski przewodnik spoglądają na nią nieprzychylnym okiem. Surowe oblicze zakonnika zdradzało, że nieszczęsna wędrowczyni budzi w nim uczucie zgrozy i pogardy. Płatnerz natomiast - choć jak mieliśmy okazję się o tym przekonać, serce miał ze złota - był teraz w nastroju powagi graniczącej z niezwykłą u niego

surowością. W niemałym stopniu irytowała go myśl, że obowiązek, który teraz spełniał, został mu narzucony wbrew jego woli.

Niechęć do wykonywanego zadania przeniósł na niewinny przedmiot swej pieczy i przyglądając się pogardliwie dziewczynie, mówił sobie w duchu:

„Że też ja, szacowny mieszczanin, pokażę się na ulicach Perth z tą królową żebraków! Ta jaskrawo przyodziana dzierlatka ma zapewne reputację tak zaszarganą, jak wszystkie jej siostry po fachu i ładnie ja będę wyglądał, jeżeli wieść o tym moim rycerskim uczynku dotrze do uszu Katarzyny! Lepiej by już było, żebym ubił człowieka, choćby najzacniejszego w całym Perth! I klnę się na mój młot i kowadło, że wolałbym mieć na sumieniu takiego, co by mnie do bitki sprowokował, niżli prowadzić przez miasto tę dziewczkę!”

Może Luiza odgadła przyczynę irytacji swego przewodnika, rzekła bowiem nieśmiało i z wahaniem: - Szlachetny panie, czy nie byłoby lepiej, żebym się zatrzymała na chwilę w tej tu kaplicy i przywdziała opończę?

- Dobra myśl, gołąbeczko - ucieszył się płatnerz. Ale mnich zaoponował gestem podniesionej ręki.

- Kaplica Świętego Medoksa nie jest gotownią, w której żonglerzy i włóczędzy mogliby się rozdziawać ze swoich strojów i ozdób. Pokażę ci niebawem odpowiedniejsze dla ciebie pomieszczenie.

Nieszczęsna młoda niewiasta zwiesiła pokornie głowę i w pełni świadoma swego poniżenia odeszła od drzwi, ku którym skierowała kroki. Mały spaniel zdawał się odgadywać z miny i zachowania swej pani, że oboje są w tym świętym miejscu niemile widzianymi intruzami, zwiesił więc uszy i trzymając

się nogi Luizy, dreptał powoli i z opuszczonym nisko ogonem.

Mnich podążył naprzód bez wytchnienia. Zeszli szerokimi stopniami do podziemi i posuwali się teraz labiryntem mrocznych korytarzy. Gdy zobaczyli nisko sklepione drzwi, mnich zwrócił się do Luizy tym samym co przed chwilą surowym tonem:

- Oto, córo szaleństwa, jest gotownia, w której wielu grzeszników pozostawiło swe odzienie!

Spełniając każdy rozkaz z bojaźliwą i skorą uległością, Luiza otworzyła drzwi, ale zdjęta trwogą, cofnęła się natychmiast. Była to kostnica, do połowy napełniona pobielającymi czaszkami i kośćmi.

- Boję się... boję się tam wejść sama, wielbny ojcze. Ale jeśli mi rozkażesz, spełnię twoją wolę.

- Ach, dziecię próżności, szczątki, na które spoglądasz, są ziemskim strojem tych, co za życia gonili jeno za próżnymi uciechami. I ty, która śpiewasz teraz i grasz na harfie, tańczysz i stroisz wdzięczne miny, tak będziesz kiedyś wyglądać. Ty i wszystkie inne sługi grzesznej rozpusty i frywolnych uciech upodobnicie się kiedyś do tych kości, które budzą teraz w tobie, próżnej i wybrednej, lęk i obrzydzenie.

- Nie mów, wielbny ojcze, że kości te budzą we mnie obrzydzenie - odparła minstrelka - bo niebios

mi świadkiem, iż zazdroścę tym biednym szczątkom ich spoczynku. I gdybym położywszy się na nich, mogła bez grzechu osiągnąć ten stan, w którym one się znajdują, wybrałabym na miejsce

spoczynku tę właśnie kostnicę miał najmniejszego nawet i najpiękniejszego łoża Szkocji.

- Okaż cierpliwość i choć ze mną - rzekł mnich łagodniejszym nieco tonem. - Żniwiarzowi nie wolno schodzić z pola, dopóki zachód słońca nie oznajmi mu, że skończył się trud długiego dnia.

Szli dalej mrocznymi podziemiami. Na końcu drugiego korytarza brat Cyprian otworzył drzwi małego pomieszczenia czy kapliczki, gdyż wisiał tu na ścianie krucyfiks, przed którym paliły się cztery oliwne

lampki. Wszyscy troje schylili głowy i przeżegnali się, mnich zaś wskazał Luizie krucyfiks i spytał:

- Co mówi ten emblemat?

- Że On pozwala zbliżyć się do Siebie zarówno grzesznikowi, jak sprawiedliwemu.

- Słusznie, lecz pod warunkiem, że grzesznik wyrzeknie się swych grzechów - przyznał mnich mówiąc

wciąż łagodnym tonem. – Przygotuj się tu do dalszej drogi.

Luiza została kilka chwil w kaplicy i niezdługo pojawiła się szczerze otulona w płaszcz z szorstkiego

szarego sukna. Te spośród bardziej jaskrawych szczegółów swego stroju, które zdążyła zdjąć, ukryła w małym koszyku.

Wkrótce mnich otworzył drzwi prowadzące na dwór. Znaleźli się w ogrodzie okalającym klasztor Dominikanów.

- Południowa furta zaryglowana jest od środka - powiedział zakonnik. - Możecie wyjść przez nią nie zauważeni. Bóg z tobą, mój synu. I Bóg z tobą, nieszczęsne dziecię. Pomna na miejsce, w którym zdjęłaś swoje świecidełka, zastanów się dobrze, zanim je znowu przywdziejesz.

- Niestety, wielbny ojcze! - westchnęła Luiza. - Gdyby biedna cudzoziemka mogła zarobić na życie chlubniejszą pracą, nie imalaby się tego płóczego zawodu. Lecz...

Ale mnich zniknął, a nawet zdawać się mogło, że zniknęły drzwi, którymi wydostali się do ogrodu, tak

osobliwie były ukryte w przyporze potężnego muru i pośród bogatych ozdób gotyckiej architektury.

„No i proszę - myślał tymczasem Harry - oto wyszła sobie niewiasta sekretnymi drzwiami z klasztoru.

Oby czcigodni ojczulkowie nie wpuszczali już nigdy żadnej takiej na dziedziniec! Dalibóg, to miejsce wydaje się szczególnie stosowne do zabawy w ciuciubabkę. Ale co ja teraz, u Boga Ojca, pocznę? Trzeba mi się jak najrychlej pozbyć tej królowej i trzeba mi ją odstawić w jakieś bezpieczniejsze miejsce. Bo cokolwiek tkwi w niej w środku, kiedy odziała się przyzwoicie, wygląda na zającą dziewczynę i z pewnością nie zasługuje na taki los, jaki jej zgotują owe dzikusy z Galloway czy wcielone diabły z Liddell.

Luiza stała jak gdyby czekając, aż Harry postanowi, w którą stronę skierują kroki. Mały spaniel, rad, że wyszedł z mrocznego podziemia na powietrze, uganiał się jak szalony po ścieżkach i skakał na swoją panią; a nawet, choć trochę bojaźliwie, krążył dokoła nóg Smitha, jak gdyby chciał mu okazać w ten sposób swe zadowolenie i prosić o przychyłność.

- Leżeć, Charlot, leżeć - rozkazała mu jego pani. - Cieszysz się, żeś wyszedł na słońce. Ale gdzie, biedactwo ty moje, znajdziemy schronienie na noc?

- A teraz, moja panno - rzekł Harry, ale nie tonem grubiańskim, bo to nie leżało w jego naturze, tylko szorstko, jak ktoś, kto pragnie jak najspieszniej spełnić niemiły obowiązek - dokąd mam cię odprowadzić?

Luiza milczała ze wzrokiem wbitym w ziemię. Gdy płatnerz powtórzył pytanie, dziewczyna znów spuściła wzrok i odparła, że nie wie, dokąd ma się udać.

- Och, dalejże, moja panno - rzekł Harry - ja przecież dobrze wszystko rozumiem... sam byłem w swoim czasie hulaką i mam niejedno na sumieniu, ale szczerłość najlepiej popłaca. Jak się teraz rzeczy

mają, jestem od wielu miesięcy odmienionym człowiekiem, a zatem, moja królowo, musimy się rozstać prędzej, niż ty, niewiasta lekkich obyczajów, miałaś nadzieję rozstać się z takim jak ja... powiedzmy obiecującym młodzieńcem.

Luiza płakała cicho ze wzrokiem wbitym w ziemię; płakała pokornie, jak ktoś, kto odczuł boleśnie obelgę, o którą nie ma prawa żywić urazy. Zauważywszy w końcu, że jej przewodnik zaczyna się niecierpliwić, wyjąkała :

- Szlachetny panie...

- Tak możesz się zwracać do rycerza albo nawet barona - wybuchnął zirytowany Harry. - Ja nazywam

się Harry Smith, jestem zaś uczciwym płatnerzem i wyzwolonym członkiem mojego cechu.

- A więc, zacny płatnerzu - rzekła minstrelka - osądzasz mnie surowo, choć nie bez pozornej racji.

Uwolniłabym cię natychmiast od mego towarzystwa, które przynosi mały być może zaszczyt ludziom uczciwym, gdybym wiedziała, dokąd się udać.

- Jak to dokąd? Na następny jarmark albo odpust! - rzucił szorstko Harry, był bowiem przekonany, iż

dziewczyna udaje rozpacz, żeby sobie zdobyć jego przychylność, a może też lękał się pokusy. - Na

świętego Medoksa odbywa się wielki odpust w Auchterarder. Pewien jestem, że bez trudu tam trafisz.

- Aft... Aucht... - usiłowała powtórzyć dziewczyna potykając się o trudne celtyckie słowo. -

Powiedziano mi, że bliżej tych strasznych gór nikt nie zrozumie moich biednych pieśni.

- Chcesz więc zostać w Perth?

- Ale gdzie zamieszkać?

- Jak to gdzie? Gdzieś spędziła ostatnią noc? - spytał Harry. - Wiesz chyba, skądś tu przyszła, chociaż zdajesz się nie wiedzieć, dokąd się wybierasz.

- Spałam w hospicjum klasztoru. Ale długo musiałam prosić o tę łaskę i ostrzeżono mnie, żebym więcej nie wracała.

- Słuszna to prawda, że odkąd ciąży na tobie gniew Douglasa, nie wpuszczą cię do hospicjum. Cóż, książkę wspomniał o sir Johnie Ramorny... mogę cię przeprowadzić do jego mieszkania bocznymi ulicami... chociaż nie jest to zajęcie odpowiednie dla uczciwego mieszczanina... a czasu też nie mam

wiele.

- Pójdę, dokąd trzeba... wiem, że zawadzam tylko i gorszę! Kiedyś bywało inaczej... Kim jest ów pan Ramorny?

- Rycerz i dworak, który wie swawolny kawalerski żywot i jest koniuszym, a także, jak się to mówi, prawą ręką młodego księcia.

- Co? Tego szalonego, pełnego wzdury młodzieńca, który jest sprawcą całej tej gorszącej przygody?

Och, zacny człowieku, nie prowadź mnie do niego! Czyż w całym waszym mieście nie znajdzie się choć jedna zacna chrześcijańska niewiasta, która pozwoli nieszczęsnej schronić się na jedną noc w komórcie lub w oborze? Odejdę wczesnym świtem i wynagrodzę ją sownie. Mam złoto... i tobie, zacny panie, też zapłacę, jeśli mnie zaprowadzisz gdzieś, gdzie będę bezpieczna od tego rozpustnego hulaki i od zbirów ciemnonocnego barona, w którego oczach wyczytałam śmierć.

- Zachowaj swoje złoto dla tych, co go potrzebują - rzekł Harry - i nie ośmielaj się ofiarowywać uczciwemu rzemieślnikowi pieniędzy zdobytych graniem na lutni i tamburynie, śpiewem i tańcem... a kto wie, czy nie w gorszy jeszcze sposób. Zaprowadzę cię w każde bezpieczne miejsce, jakie mi wskażesz, bo nie rzucam słów na wiatr. Ale nie wmawiaj we mnie, że nie wiesz, co ze sobą począć.

Nie jesteś taką znowu nowicjuską w swym rzemiośle, iżbyś się nie orientowała, że w każdym mieście, a tym bardziej w grodzie tak znacznym jak Perth, znajdują się gospody, które nawet tobie dadzą nocleg za pieniądze... jeśli naturalnie nie znajdziesz dudka albo dudków, którzy zechcą za ciebie

zapłacić. Skoro masz pieniądze, tym mniejszy kłopot dla mnie. I po prawdzie cała ta nadmienia rozpacz i lęk, że cię zostawię samą, wydaje mi się trochę podejrzana u wędrownej minstrelki.

Zaznaczywszy w ten sposób, w swoim zrozumieniu, że nie zwiodą go sztuczki przebiegłej dziewczyny, Harry odszedł kilka kroków, wmawiając w siebie, że postępuje słusznie i roztropnie. Mimo wszystko obejrzał się jednak, był bowiem ciekaw, jak Luiza przyjęła jego odejście. Widok, który przedstawił się jego oczom, wstrząsnął nim do głębi: dziewczyna przysiadła na kamiennej

ławie,

z łokciami na kolanach, z twarzą ukrytą w dłoniach - w pozie wyrażającej beznadziejną wprost rozpacz.

Harry nie chciał dopuścić do serca litości. „To wszystko udawanie - powiedział sobie w duchu. - Klnę

się na świętego Ringana, że ta dzierlatka zna na pamięć fortele swojego rzemiosła!"

Ale w tym momencie coś szarpnęło skraj jego opończy; obejrzawszy się,

Harry zobaczył małego spaniela, który natychmiast - jak gdyby wstawiając się za swoją panią -

podniósł się na tylne łapki i zaczął podskakiwać piszcząc z cicha i spoglądając na Luizę - błagając, zda

się, o litość dla swej nieszczęśliwej właścicielki.

- Biedny psiaku - rzekł Harry - to też może jest sztuczka, bo czynisz jeno to, czego cię nauczono. Że jednak przyrzekłem zaopiekować się tą nieszczęsną niewiastą, nie wolno mi jej pozostawiać w omdleniu... jeśli istotnie jest to omdlenie.

Gdy zawrócił, zbielała twarz Luizy przekonała go natychmiast, że dziewczyna albo istotnie znajduje się na dnie rozpacz, albo jest niezrównaną symulantką.

- Przedstawię ci szczerze, moja panno - rzekł z dobrocią, na którą nie umiał się dotąd zdobyć - moje położenie. Jest dzisiaj świętego Walentego i jak nakazuje obyczaj; miałem dzień ten spędzić z moją Walentyną. Ale zwady i waśnie zajęły cały ranek... z wyjątkiem jednej krótkiej godzinki.

Rozumiesz więc teraz, gdzie jestem myślami i sercem i gdzie same już choćby względy kurtuazji nakazują mi znaleźć się ciałem.

Minstrelka słuchała uważnie i snadź pojęła jego słowa.

- Jeśliś jest wiernym zalotnikiem i chcesz służyć niewinnej Walentynie, uchwaj Boże, żeby nieszczęśniczka w moim rodzaju miała stanąć wam na drodze! Nie zaprzataj sobie mną więcej głowy.

Ta rzeka będzie moją przewodniczką, pójdę jej brzegiem aż do miejsca, w którym wpada do oceanu.

Mówiono mi, że tam jest port. Popłynę do Francji i znajdę się znów w kraju, w którym najciemniejszy

nawet wieśniak nie skrzywdzi niewiasty.

- Niepodobna, żebyś szła dzisiaj do Dundee - odparł Smith. - Ludzie Douglasa kręcą się na obu brzegach rzeki, bo niechybnie dotarł już do nich poranny alarm. Dziś aż do wieczora, przez całą noc i przez dzień jutrzejszy, będą ściągali pod sztandar swego pana lennego, jak Pogórzanie zbiegają się do

ognistego krzyża. Czy widzisz tych zbrojnych, którzy galopują jak szaleni po drugiej stronie rzeki? To ludzie z Annandale. Poznają ich po długości kopii i sposobie, w jaki je trzymają. Ludzie z Annandale nie opuszczają nigdy kopii w dół, tylko je dzierżą grotem do góry lub naprzód.

- Czemu miałabym się ich lękać? - spytała minstrelka. - Są to wojownicy i zbrojni mężowie. Uszanują

tacy moją lutnię i moją niewieścią bezbronność.

- Nie myśl, że ich chcę oczerniać - odparł Smith. - Gdybyś się znalazła na ich ziemiach, przyjęliby cię

gościnnie i nie miałabyś powodu do strachu. Ale teraz wyruszyli na wyprawę. Kto na drodze, to nieprzyjaciel, a co na drodze - to zdobycz. Są wśród nich tacy, którzy pozbawiliby cię życia dla

złotych kolczyków. Ich oczy szukają zdobyczy, ich ręce same wyciągają się po łup. Co więcej, znają już pewnie rozkaz swego przywódcy dotyczący ciebie, a tego rodzaju rozkazy łącznie są spełniane.

Smutne to, ale jeśli można pan powie: „Spalcie kościół”, wasale rychlej go usłuchają, niż kiedy powie:

„Wybudujcie kościół”.

- W takim razie pozostała mi już tylko śmierć.

- Dajże pokój takiemu gadaniu - obruszył się Harry. - Gdybym tylko znalazł dla ciebie schronienie na noc, rano poszlibyśmy na przystań Najświętszej Marii Panny, skąd barki płyną rzeką do Dundee, i oddałbym cię pod opiekę komuś, kto udaje się w tymże kierunku, a kto umieściłby cię bezpiecznie u

jakichś poczciwych ludzi.

- Dobry... zacny.... szlachetny człowieku! - zawołała Luiza. - Uczyń to, a jeśli modlitwy i

błogosławieństwa nieszczęśliwej bezdomnej dotrą do niebios, twoje będzie w nich wymienione imię.

Spotkamy się przy tamtej bocznej furcie tuż przed godziną, o której odpływa statek.

- To znaczy wcześnie rano, nie później niż o godzinie szóstej.

- A teraz biegnij do swojej Walentyny, cny płatnerzu. A jeśli cię kocha... och, dochowaj jej wierności!

- Biedne dziewczę! Domyślam się, że to niewierność przywiodła cię do tej niedoli. Ale nie mogę zostawić bezbronnej niewiasty na łasce losu. Gdzie spędzisz noc?

- Nie frasuj się o to - odparła dziewczyna. - Niebo jest pogodne... nad brzegiem rzeki dość jest krzaków i zarośli... Charlotowi i mnie nic się nie stanie, jeżeli spędzimy jedną noc pod zielonym dachem liści. A jutro z twoją przyobiecana pomocą znajdę się w bezpiecznym miejscu, gdzie nie dosięgnie mnie niczyja zemsta. Och, noc minie szybko, kiedy ranek świta nadzieją. Czemu nie odchodzisz, skoro twoja Walentyna czeka na ciebie niecierpliwie? Bo rzeknę, żeś jest opieszale wielbiciel, a wiesz, jak smagają niekiedy pieśni minstreli.

- Nie mogę cię tu zostawić, moja panno! - wybuchnął Smith, którego serce zupełnie już zmiękło. - Byłoby to czystym okrucieństwem, gdybym ci pozwolił spędzić noc na szkockiej lutowej wichurze. Nie... nie... złamałbym jeno dane słowo. A jeśli ściągnę na siebie ryzyko nagany, będzie to słuszną karą za to, żeś myślał o tobie - i traktował cię nie tak, jak na to zasługujesz, tylko jak dyktowały mi własne moje uprzedzenia. Chodź, panno, jakiegokolwiek będą tego następstwa, dam ci na noc bezpieczne i zacne schronienie. Kiepski byłby to komplement dla mojej Katarzyny, gdybym pozwolił nieszczęsnemu stworzeniu zamarznąć na śmierć w nocy... tylko dlatego, żeby godzinę dłużej nacieszyć się jej towarzystwem.

I odpędzając od siebie wszelką myśl o zgubnych skutkach takiego kroku, szlachetny płatnerz o

męskim sercu postanowił zlekceważyć złe ludzkie języki i dać wędrowczyni nocleg w swoim domu.

Wypada dodać, że uczynił to bardzo niechętnie i niejako w zapale dobroczynności.

Zanim nasz krzepki syn Wulkana skierował swój afekt ku Pięknemu Dziewczęciu z Perth, pewna

wrodzona popędliwość natury kazała mu ulegać wpływom zarówno Wenus, jak Marsa. I tylko
szczera

miłość do niewinnej dziewczyny sprawiła, że wyrzekł się miłosnych swawoli. Nie dziwota więc, że

strzegł teraz zazdrośnie tej niedawno zdobytej reputacji człowieka statecznego, którą przysługa

oddana nieszczęsnej wędrowczyni snadnie mogła wystawić na szwank; gnębiła go też może myśl, że

niepotrzebnie naraża się na pokuszenie, a ponadto frasował się boleśnie, że traci tak dużo czasu w
tym

świętecznym dniu, który obyczaj nie tylko pozwalał, lecz wręcz nakazywał mu spędzić z ukochaną.

Wyprawa do zamku Kinfauns i późniejsze zdarzenia pochłonęły cały niemal dzień; zbliżała się teraz

pora niesporów.

Jak gdyby pragnąc nadrobić czas stracony na załatwienie sprawy tak dalekiej od tego, do czego
rwało

się jego serce, przebył szybkim krokiem ogrody dominikanów, wy dostał się przez boczną furtę do

miasta i osłoniwszy opończą dolną część twarzy, górną zaś ukrywszy pod nasuniętym na oczy

kołpakiem, maszerował zwawo przez boczne ulice i alejki - w nadziei, że nie zauważony przez
nikogo

dotrze do swego domu w dzielnicy Wynd. Ale po dziesięciu minutach zrozumiał, że młodej
niewieście

trudno jest dotrzymać mu kroku. Obejrzał się zatem z pewnym zniecierpliwieniem, natychmiast

jednak zaczął czynić sobie wyrzuty, gdyż zmęczona szybkim marszem Luiza była u kresu sił.

Dalibóg, taki nieokrzesany gbur jak ja zasługuje tylko na szubienicę - powiedział sobie w duchu. -

Czyż mój pośpiech miał dodać skrzydeł tej biednej niewieście? Słabe to, a jeszcze dźwiga tobołek!

Słowo daję, ilekroć w grę wchodzi niewiasta, zachowuję się jak ostatni dzikus; i żeby moje intencje

były nie wiem jakie dobre, zawsze palnę głupstwo".

- Hej, panno - zwrócił się do Luizy. - Daj mi ten koszyk, poniosę go za ciebie. Lżej ci będzie iść.

Biedna Luiza zaoponowałaby z pewnością, ale tak była zadyszana, że nie mogła dobrać głosu i bez słowa pozwoliła swemu dobrotliwemu opiekunowi wziąć koszyk; gdy zobaczył to mały Charlot, podbiegł do Harry'ego, stanął na tylnych łapkach i machając przednimi, popiskiwał z cicha, jak gdyby prosząc, żeby płatnerz wziął również jego.

- Nie ma rady, muszę ponieść również ciebie - powiedział Harry widząc, że mały spaniel pada niemal

z wyczerpania.

- Wstydź się, Charlot! - skarciła Luiza swojego wychowanka. - Przecież obiecałam, że cię wezmę na rękę.

Usiłowała pochwycić psiaka, ale nadaremnie; Charlot zabiegł drogę Harry'emu i ponowił swe błagania.

- Słusznie robi - powiedział Smith. - Wie, kto ma siłę go udźwignąć. Ale z tego wnioskuje, moja ślicznotko, żeś nie zawsze sama dźwigała swój oręż... Charlot zdradza mi niejedno.

Słyszając te słowa, biedna minstrelka pobladła tak straszliwie, że gdyby Harry jej nie podtrzymał, osunęłaby się na ziemię. Ochłonawszy po chwili, słabym głosem poprosiła swego przewodnika, aby poszli w dalszą drogę.

- Trzymaj się, dziewczyno, mego płaszcza lub ramienia - rzekł Harry - to lżej ci będzie iść. Nie ma co,

pięknie razem wyglądamy. A gdybym niósł gęsi albo lutnię na plecach i małąkę na ramieniu, niechybnie by nas wzięto za wesołą parę minstrelską brzdąkającą na strunach pod bramami zamków.

„Niech to licho! - jęknął w duchu. - I co pomyślą sąsiedzi, jeżeli mnie spotkają z koszyczkiem tej dziewczki na plecach, z jej psiakiem pod pachą i nią samą uczepioną mego ramienia? Że przystąpiłem do trupy wędrownych komediantów! Za najpiękniejszą zbroję, jaką wykułem własnym młotem, nie chciałbym spotkać w tym przebraniu któregoś z chlastających ozorami sąsiadów! Powtarzaliby sobie

ten żart od świętego Walentego aż do następnej Matki Boskiej Gromniczej!"

Myśl ta zaniepokoiła Smitha, choć więc pragnął jak najspieszniej dostać się do domu, wybrał drogę okrężną i długą, starając się omijać główne ulice, na których wciąż było gwarno i rojno. Ale przezorność ta na nic mu się nie zdała, gdy bowiem skręcił w mroczny zaułek, ujrzał mężczyznę, który podobnie jak on sam krył twarz za kołnierzem płaszcza, choć drobna, wychudła postać, krzywe nogi widoczne spod szerokich fałdów i małe, mętne oczka, mrugające nad kołnierzem, obwieszczwały aptekarza Dwininga tak wyraźnie, jak gdyby nosił swój szyld przymocowany do kołpaka. To niespodziane i niepożądane spotkanie zmieszało Smitha. Wykręty nie leżały w jego szczerzej i śmiałej naturze; a ponieważ znał tego człowieka jako bystrego obserwatora i złośliwego plotkarza, jemu osobiście szczególnie nieprzychylnego, widział dla siebie nadzieję jedynie w tym, że cny aptekarz da mu okazję do rękoczynów; ukreśliłby mu wtedy głowę, zapewniając sobie tym samym jego milczenie i dyskrecję.

Ale aptekarz ani nie powiedział, ani nie uczynił niczego, co usprawiedliwiłoby zastosowanie rozpaczliwych środków; przeciwnie, znalazłszy się tak blisko krzepkiego płatnerza, że rozpoznanie stało się nieuniknione, najwyraźniej postanowił całą rzecz zbagatelizować. Nie zdradzając, że spostrzega coś niezwykłego w okolicznościach spotkania, i zda się nie zauważając nawet towarzyszki Smitha, rzekł w przejściu:

- Jeszcze raz życzę ci wesołych świąt, sąsiedzie Harry. O! Widzę, że prowadzisz z przystani swą kuzynkę, nadobną Joan Letham, i że dźwigasz jej bagaże. Prosto z Dundee, prawda? Słyszałem, że oczekują jej u starego cholewkarza.

Mówiąc to, nie patrzył ani w lewo, ani w prawo i już po sekundzie, rzuciwszy krótkie „Bóg z tobą!", na co Smith odpowiedział, a raczej wymamrotał kilka słów pożegnania, niczym cień odpłynął w dalszą drogę.

„Niech mnie diabli, jeśli zdołam przełknąć gładko tę pigułkę, chociaż tak obficie była zaprawiona

miodem - rzekł sobie Harry Smith. - Ten łajdak bystrym okiem patrzy na niewiasty i potrafi odróżnić dziką kaczkę od domowej. Ostatni to chyba człowiek w Nadobnym Grodzie, który by wziął polną śliwkę za brzoskwinę czy moją pulchną kuzynkę Joan za ten niecodzienny okaz niewieściej próżności. Myślę, że swoim zachowaniem chciał im powiedzieć: będę ślepy na to, czego wolisz, żebym nie widział... i słusznie czyni, bo jakby zaczął pchać nos do moich spraw, łącznie mogłoby się to

dla niego skończyć przetrąceniem tej czy innej kończyny... będzie więc ze strachu milczał. Ale kogo teraz licho niesie?... Na świętego Dunstana - toż to nasz próżny, tchórzliwy, chełpliwy Oliver Proudfoote!"

Istotnie spotkali teraz na drodze męznego czapnika; szedł w kołpaku zsuniętym na tył głowy i śpiewał głośno pijacką piosenkę:

Tomie, Tomie, zbyt długo przy dzbanie tkwisz...

Widać było, że spożył posiłek obficie zakropiony winem.

- Ho, ho, mój cny płatnerzu - zawołał - czyżbym cię złapał na gorącym uczynku? Czy to możliwe, że taka przednia stal łamie się czasem? Czy Wulkan potrafi odpłacić Wenus jej własną monetą.? Dalibóg,

ktoś, kto tak wesoło obchodzi Dzień świętego Walentego, będzie swawolił do końca roku.

- Posłuchaj, przyjacielu - rzekł zirytowany Harry. - Zamknij oczy i ruszaj w swoją drogę. I jeszcze jedno... jeżeli chcesz zachować wszystkie zęby, ani słowa o tym, co do ciebie nie należy.

- Ja miałbym cię zdradzić... ja miałbym rozpowiadać złe plotki o moim bracie wojaku? Oburzasz mnie, sąsiedzie Harry... nie pisnę ani słowa nawet mojemu drewnianemu Saracenowi! Może ci się zdaje, że ja jestem gorszy hulaka od ciebie? Wiesz, co ci powiem? Pójdziemy teraz razem i zabawimy

się, a twoja piękna Dalila* zaśpiewa nam piosenkę. Ha! Słusznie mówię?

- Najsłuszniej w świecie! - przyznał Harry, a choć ręka aż go świerzbiła, żeby zdzielić brata wojaka po

głowie, obrał jednak przezornie bardziej pokojową metodę działania. - Mówisz najśluszej w świecie!

- powtórzył. - Co więcej, przyda mi się twoja pomoc, bo idzie tu przed nami kilku zbirów ze świty Douglasa, którzy niechybnie spróbują odbić dziewczynę biednemu mieszczaninowi... rad więc będę mieć u boku takiego dzielnego rębajłę jak Oliver Proudful.

- Dzięki ci... dzięki za dobre słowo - wyjąkał czapnik. - Ale czy nie lepiej, żebym pobiegł do miasta, kazał uderzyć w dzwon i wrócił tu do ciebie z moim obosiecznym mieczem?

- Święte słowa... biegnij do domu ile sił w nogach i nie rozpowiadaj nikomu o tym, coś widział.

- Kto? Ja? Ja miałbym mleć ozorem? Bądź spokojny! Gardzę plotkarzami!

- Zatem zmykaj... słyszę szczęk oręża.

Słowa te dodały czapnikowi skrzydeł; obróciwszy się plecami do domniemanego niebezpieczeństwa, Oliver zaczął biec z prędkością, która — w co Harry nie wątpił - doprowadziła go wnet do drzwi domu.

„Oto jeszcze jeden gadatliwy dudek - pomyślał Harry Smith. - Ale na niego też mam sposób.

Bardowie śpiewają piosenki o kawce przystrojonej w cudze piórka... przecież Oliver to taki właśnie ptaszek i - na świętego Dunstana - jeśli będzie moim kosztem strzępił ozór, tak go z tych piórek oskubię, że sokół lepiej nie oskubałby kuropatwy. I Oliver wie o tym dobrze". Reszta drogi zesła Harry'emu na podobnych rozmyślaniach. Z minstrelką uczepioną płaszczu i osłabłą częściowo z lęku, częściowo z wyczerpania, dotarł w końcu do dzielnicy Wynd, gdzie znajdował się jego dom. W dni powszednie płonął tu w kuźni potężny ogień, a czterej półnaczy pacholkiwie ogłuszali sąsiedztwo hukami młotów bijących w żelazo. Ale w Dniu świętego Walentego kuźnię zamknięto, czeladnicy zaś udali się do miasta szukać tam rozrywki lub wielbić Pana w kościele. Dom obok kuźni należał do Harry'ego, a choć był to budynek niewielki i wciśnięty w wąską uliczkę, ogólne wrażenie sprawiał miłe, gdyż na jego tyłach rozpościerał się duży ogród owocowy. Miast stukać do drzwi lub wołać, co przyciągnęłoby uwagę sąsiadów, Harry wyjął z kieszeni klucz własnego wyrobu, stanowiący w

owych

czasach wielką osobliwość i przedmiot zazdrości, i otworzywszy drzwi wprowadził Luizę pod dach swego domu.

Weszli do kuchni, która u mieszczan służyła jednocześnie za coś w rodzaju bawialni, choć nieliczne jednostki, jak Szymon Glover, posiadały w swych domach oddzielną jadalnię. W kącie tego pomieszczenia, utrzymanego z wzorową czystością, siedziała stara niewiasta, której schludny ubiór i precyzja, z jaką fioletowa chusta na jej głowie ułożona była w fałdy opadające równo na ramiona, zdawały się wskazywać na stanowisko w tym domu wyższe, niż je posiadała jejmość Schoolbred, gospodyni Smitha. Lecz takie a nie inne było jej życiowe powołanie. A ponieważ rano nie mogła

udać się do kościoła, siedziała teraz spokojnie obok komina z na pół odmówionym różańcem owiniętym dokoła lewej ręki, z na pół ukończoną modlitwą błakającą się na wargach; jej półprzymknięte stare oczy walczyły z sennością. Jejmość Schoolbred czekała na powrót swego pana i wychowanka nie wiedząc, o której godzinie powrót ten nastąpi. Słyszając kroki Harry'ego, podniosła głowę i utkwiała wzrok w jego towarzysze; patrzyła najpierw z bezgranicznym zdumieniem, które stopniowo przeszło w gniew.

- Niech święci bronią moje oczy od diabelskich widoków! - wykrzyknęła z pobożnym oburzeniem.

- Amen. A teraz, zacna piastunko, przygotuj nam w mig coś do zjedzenia bo myślę, że ta wędrowniczka dawno nie miała uczciwej strawy w ustach.

- Raz jeszcze proszę Matkę Najświętszą, aby oszczędziła mi grzesznych urojeń szatana!

- Powtarzam amen, zacna niewiasto. Ale po co te świątobliwe słowa? Czy nie słyszysz, co do ciebie mówię? Czy też nie raczysz wypełnić mojego rozkazu?

- A więc to jednak on, mój Harry! Ale biada mi, z tą dziewczką uczeponą jego ramienia bardziej przypomina plugawego diabła z piekieł. O Harry, ludzie nazywali cię lekkoduchem za mniejsze grzechy. Ale kto by pomyślał, że Harry wprowadzi kochanicę pod dach domu, który był domem jego

pobożnej matki i w którym jego piastunka mieszka od trzydziestu lat!

- Uspokój się, niewiasto, i nie bajdurz! - rzucił gniewnie Harry. - Ta minstrelka nie jest kochanicą ani moją, ani w ogóle niczyją. Rzecz w tym, że wyjeżdża jutro łodzią do Dundee, musimy więc dać jej gościnę.

- Gościnę! - wybuchnęła staruszka. - Jak chcesz, możesz sobie gościć taką w swoim domu! Ale zapewniam cię, że nie zostanę pod jednym dachem z tą królową jarmarków!

- Twoja matka nie jest mi rada - rzekła Luiza biorąc piastunkę Harry'ego za jego rodzicielkę. - Za nic nie chciałabym sprawić jej przykrości. Charlotowi i mnie wystarczy pusta przegroda w stajni lub oborze.

- Pewnie, pewnie, trudno o odpowiedniejsze dla ciebie miejsce do spania- szydziła jejność Schoolbred.

- Słuchaj uważnie, piastunko - wpadł jej w słowa Harry. - Wiesz, jak cię kocham i jak szanuję przez pamięć na moją matkę. Ale na świętego Dunstana, który jest patronem płatnerzy, ja jestem panem w moim domu! A jeżeli teraz odejdziesz bez lepszej ku temu racji niż te niedorzeczne podejrzenia, po powrocie sama będziesz sobie musiała otworzyć drzwi. Ode mnie nie spodziewaj się pomocy.

- Niestraszne mi twoje groźby, mój paniczu, i powiem ci, że ani myślę narażać na szwank dobrego imienia, którym chlubię się od sześćdziesięciu lat. Ani twoja matka nie miała za życia, ani ja nie mam teraz zwyczaju zadawać się z wędrownymi komediantami i śpiewakami. A nie jest jeszcze ze mną tak źle, żebym się musiała godzić na pozostawanie pod jednym dachem z taką królową włóczęgów.

Znajdą się poczciwi ludzie, którzy mnie przygarną.

Co powiedziawszy, nieugięta piastunka zaczęła spieszenie przygotowywać się do wyjścia. Narzuciła kraciastą chustę na głowę w taki sposób, że wystawał spod niej tylko rąbek białego lnianego czepeczka, który okalał jej pomarszczoną, lecz wciąż czerstwą twarz. Następnie sięgnęła po kij, który towarzyszył

jej wiernie w wędrówkach po mieście, i energicznym krokiem skierowała się do drzwi.

Jednakże Harry Smith zastąpił jej drogę.

- Poczekaj przynajmniej, niewiasto, aż wyrównam moje z tobą rachunki. Winien ci jestem wynagrodzenie za długą służbę.

- Że też takie głupstwa przychodzą ci do głowy! Ja miałabym brać zapłatę za służbę od syna twojej matki, która mnie żywiła, odziewała i traktowała jak własną siostrę?

- I ładnie się jej za to odwdzięczasz, piastunko! Odchodzisz i pozostawiasz jej syna w srogiej potrzebie.

Słowa te wyraźnie poruszyły staruszkę. Zatrzymała się i w milczeniu przenosiła wzrok ze swego pana na dziewczynę; potem jednak potrząsnęła głową i postąpiła krok w kierunku drzwi.

- Tylko dlatego przyjąłem tę nieszczęsną wędrowczynię pod mój dach — ciągnął Smith - żeby ją uchronić przed lochem i chłostą.

- A czemu miałbyś ją chronić? - rzekła nieugięta jejmość Schoolbred. - Na pewno zasłużyła na tę karę, jak każdy złodziej zasługuje na dyby.

- Może zasłużyła, ale nie mnie to sądzić. Z pewnością jednak nie zasłużyła na to, żeby ją zbirowie wychłostali na śmierć albo wtrącili do lochu i zamorzyli głodem. A taki los czeka każdego, kto ściągnął na siebie gniew Czarnego Douglasa.

- A ty dla wędrownej minstrelki chcesz się narazić Czarnemu Douglasowi? O, to będzie najkrwawszy

ze wszystkich twoich krwawych sporów! Harry, Harry, kowadło masz stalowe, ale głowę ołowianą!

- Ja też czasem tak myślę, jejmość Schoolbred - przyznał Harry. - Ale jeśli oberwę w tej nowej kłótni,

kto mnie będzie leczył z ran, skoro uciekasz z mego domu jak wystraszonego królika? I kto przyjmie na progu moją młodą żonę, którą mam nadzieję wprowadzić niezadługo pod mój dach?

- Oj, Harry, Harry! - oburzyła się stara niewiasta. - Nie w taki to sposób uczciwy mężczyzna przygotowuje dom na przyjęcie młodej żony... przystoi ci skromność i umiar, a nie lubieżność i

wyuzdanie.

- Kiedy powtarzam ci jeszcze raz, piastunko, że to biedne stworzenie nic dla mnie nie znaczy. Chcę tylko, żeby dziewczyna bezpiecznie przeżyła te noc. A najzuchwalszy nawet zbir z Pogranicza uszanuje rygle na moich drzwiach, jakby to była brama zamku Carlisle. Idę teraz do Szymona Glovera. Kto wie, może zostaną tam na noc, bo to góralskie wilcze szczenię uciekło w góry, więc mają

w domu wolne łóżko i ojciec Szymon nie odmówi mi noclegu. Zostaniesz z tą biedaczką, nakarmisz ją, przygotujesz posłanie a ja przyjdę po nią z samego rana. Jeżeli zechcesz, będziesz ją mogła odprowadzić na przystań i zobaczyć na własne oczy, jak odjeżdża.

- Hm, jest pewna słuszność w twoich słowach - orzekła jejmość Schoolbred. - Chociaż żadną miarą nie potrafię zrozumieć, czemu narażasz swoją dobrą sławę dla włóczęgi, która za dwa srebrne pensy bez trudu znajdzie nocleg.

- Ufaj mi, piastunko, że słusznie czynię, i bądź dobra dla dziewczyny.

- Będę lepsza, niż ona na to zasługuje, to jedno jest pewne. A chociaż nie gustuję w towarzystwie takich wesołych niewiast, mniejszą mi ono wyrządzi szkodę niż tobie... chyba że dziewczyna jest czarownicą, co bardzo mi się wydaje prawdopodobne, jako że diabeł ma szczególną moc nad całą tą wędrowną hałastrą.

- Taka ona jest czarownica, jak ja czarownik - obruszył się Harry. - Biedne to i nieszczęśliwe, a jeśli zgrzeszyła, los ciężko niebogę za to pokarał. Okaże jej serce. Ty zaś, moja śpiewająca panno, czekaj na mnie wczesnym rankiem, przyjdę i zaprowadzę cię na przystań. Jeśli tylko będziesz się miarkowała

w słowach i nie obrazisz świątobliwych uszu tej starej niewiasty, potraktuje cię ona dobrotliwie.

Nieszczęsna minstrelka zrozumiała tylko ogólny ton powyższego dialogu, bo choć mówiła płynnie po angielsku, nauczyła się tego języka w samej Anglii i nie znała ostrzej i twardziej akcentowanego północnego dialektu. Pojęła jednak, że ma zostać w domu ze staruszką, złożyła więc ręce na piersi i

pokornie skłoniła przed nią głowę... Następnie spojrzała na Smitha z wyrazem bezgranicznej wdzięczności na twarzy i wzniosłszy oczy ku niebu, ujęła jego bezwładną dłoń, aby złożyć pocałunek gorącej podziękującej na żyłastych palcach płatnerza. Ale jejmość Schoolberd nie podobał się taki sposób wyrażania uczuć. Rozdzieliła ich i odsunawszy biedną Luizę na bok, powiedziała:

- Nie pozwolę na takie figle. Przysiądź, moja panno, na zapiecku i czekaj, aż Harry Smith wyjdzie.

Jeżeli koniecznie musisz mieć ręce do całowania, będziesz całowała moje do woli. A ty, Harry, pośpieszaj teraz do Szymona Glovera, bo coś mi się widzi, że kiedy nadobna panna Katarzyna usłyszy, jakie sobie towarzystwo sprowadziłeś do domu, nie będzie rada. A to co znowu? Ten człowiek zmysły postradał! Na ulicach aż wrze, a on bez puklerza wybiera się na miasto!

- Masz słuszość, piastunko - przyznał Smith. Włożył puklerz na szerokie bary i nie czekając na dalsze wywody jejmości, wybiegł z domu.

ROZDZIAŁ XIII

Jak pośród nocy, tej głos kobzy gra

Dziko i groźnie! Ale wiatr, co dmie

W ich górski flet, wpaja ludziom z gór

Wściekłą odwagę i kieruje myśl

Do dawnych wspomnień sprzed tysiąca lat.

BYRON

Rozstaniemy się na jakiś czas z nisko urodzonymi postaciami naszego historycznego dramatu i zwrócimy oczy ku wydarzeniom, które rozegrały się pośród osób możniejszych i znaczniejszych. Z chatki płatnerza przenosimy się teraz do królewskiej sali obrad i podejmujemy naszą opowieść w chwili, gdy umilkł tumult na dziedzińcu i rozsierdzeni wielmoże zostali wezwani przed oblicze monarchy. Weszli, z trudem hamując gniew i spozierając na siebie groźnie, obaj zaabsorbowani własnymi urojonymi krzywdami i obaj głusi na słowa rozsądku i perswazji. Albany, jak zawsze opanowany i czujny, czekał najwyraźniej sposobnej pory, aby spożytkować ich wzajemny gniew dla własnych celów i z każdego kolejnego zdarzenia wyciągnąć korzyści dla własnych odległych zamysłów.

Król, choć z natury chwiejny do granic niemal bojaźliwości, umiał jednak zachować postawę licującą z monarszym majestatem. Tylko w chwilach szczególnie trudnych, jak scena opisana wyżej, zniknęło jego pozorne opanowanie. Ogólnie rzecz biorąc, łatwo tracił kontenans, nigdy jednak godności w obejściu. Przyjął teraz księcia Albany, Douglasa, Marcha i przeora (tych źle dobranych członków przypadkowej zgoła rady) z mieszaniną dworności i wyniosłości, która przypomniała tym dumnym panom, że stoją w obliczu swego suwerena i zmusiła ich do okazania mu należnej czci.

Przyjąwszy hołdy, król poprosił, aby usiedli. A gdy spełniali ten rozkaz królewski, na progu komnaty stanął Rothsay. Krokiem wdzięcznym podszedł do ojca i uklękawszy obok jego podnóżka, poprosił o

ojcowskie błogosławieństwo. Ze źle ukrywaną miłością i smutkiem Robert usiłował nadać twarzy wyraz groźny i srogi; w końcu położył dłoń na głowie młodzieńca i rzekł wzdychając boleśnie:

- Niech cię Bóg błogosławi, mój lekkomyślny synu, i uczyni cię w przyszłości człowiekiem mędrszym

i lepszym.

- Amen, najukochańszy ojcze! - zawołał Rothsay z żarliwością, która w bardziej fortunnych momentach dochodziła w nim do głosu. Po czym ucałował królewską dłoń z czcią syna i poddanego, a następnie miał usiąść przy stole obrad, stanął za krzesłem ojca w takiej pozycji, żeby móc - jeśli zechce - szeptać mu do ucha.

Następnie król gestem poprosił przeora klasztoru Dominikanów, aby ów zajął miejsce przy stole, na którym leżały przybory do pisania; tylko on jeden spośród wszystkich obecnych, z wyjątkiem króla i księcia Albany, umiał się nimi posługiwać. Następnie Robert otworzył obrady przemawiając z istic monarszą godnością.

- Spotkaliśmy się dziś, szlachetni lordowie, aby mówić o owych nieszczęsnych buntach i zamieszkach wśród Pogórzan, którzy wedle ostatnio otrzymanych przez nas wieści, pustoszą i łupią kraj, zapędzając się na odległość kilku zaledwie mil od naszego dworu. Ale jakkolwiek groźne są te niepokoje, zła wola niegodziwych ludzi doprowadziła do wybuchu zamieszek jeszcze groźniejszych, a mianowicie do walk i swarów między obywatelami miasta Perth a członkami waszych, szlachetni lordowie, drużyn, a także członkami drużyn innych rycerzy i możnych panów. Przeto od was, panowie, chciałbym się najpierw dowiedzieć, czemu takie gorszące właśnie burzą pokój naszego dworu, a także, jak należy zapobiec im w przyszłości. Bracie Albany, czy zechcesz pierwszy wypowiedzieć się w tej sprawie?

- Miłościwy królu mój i bracie - odparł Albany - kiedy wybuchł ów zbrojny zatarg, byłem z tobą, nie są mi więc znane jego przyczyny.

- Jeśli o mnie idzie - dorzucił książę - nie słyszałem groźniejszego okrzyku bojowego niż głos śpiewającej minstrelki ani nie widziałem niebezpieczniejszych pocisków fruujących w powietrzu niż orzechy laskowe.

- Ja zaś - rzekł earl of March - widziałem tylko, że dzielni mieszkańcy tego grodu gonili pacholków,

którzy oszukańczo przyczepili sobie krwawe serca do rękawów. Uciekali z taką prędkością, że trudno

uwierzyć, aby to byli pacholki z drużyny earla Douglasa.

Douglas zrozumiał szyderstwo, ale odpowiedział na nie jeno zabijającym spojrzeniem - jednym z tych,

którymi zwykł wyrażać nieprzejednaną wrogość do swych nieprzyjaciół. Gdy przemówił, w głosie jego brzmiał wyniosły spokój.

- Wiesz zapewne, miłościwy panie - rzekł - iż jeden tylko Douglas musi odpowiedzieć na ów ciężki zarzut, bo ilekroć wybuchnie w Szkocji spór i dojdzie do przelewu krwi, oszczercze języki przypisują

winę Douglasowi albo stronnikom Douglasa. Są tu wśród nas godni wiary świadkowie. Nie mam na myśli księcia Albany, który rzekł nam przed chwilą, iż był u boku miłościwego pana. Ani nie wspominam też o księciu Rothsay, który - co licuje z jego pozycją, wiekiem i rozsądkiem - łupał orzechy w towarzystwie wędrowniej minstrelki. Uśmiecha się teraz. Niech mówi, co mu rozum dyktuje. Wszelako ja nie zapominam o więzach, o których on zda się nie pamiętać. Ale jest między nami lord of March, który widział moją drużynę umykającą przed błaznami z Perth. Otóż mogę rzec temu szlachetnemu lordowi, że stronnicy krwawego serca atakują lub cofają się, jak im rozkaże przywódca i jak wymaga tego dobro Szkocji.

- Ja zaś mogę mu odpowiedzieć... - wybuchnął nie mniej wyniosły earl of March oblewając się ciemnym rumieńcem; lecz król mu przerwał.

- Spokój, gniewni lordowie! - rzekł król. - Nie zapominajcie, przed czym znajdujecie się obliczem. A

ty, mój lordzie Douglas, powiedz nam, jeśli potrafisz, jaka była przyczyna niepokojów i czemu twoi stronnicy, którzy zwykle tak dobrze mi służą, wdali się w ów prywatny spór.

- Spełnię twój rozkaz, miłościwy panie - odparł Douglas, lekko skłaniając głowę, która rzadko schylała się w ukłonie. - Szedłem z mojej kwatery w klasztorze Kartuzów wraz z towarzyszącą mi

zwykle świętą, gdy na High Street ujrzałem gawiedź miejską stłoczoną przy pręgierzu, do którego przybite było to ogłoszenie oraz ten żaloszny szczątek.

Wyjął z kieszeni w skórzonym kubraku rękę ludzką i kawałek pergaminu. Widok ten wstrząsnął królem.

- Przeczytaj to, zacny przeorze - rzekł do zakonnika. - I zabierzcie ode mnie ten upiorny przedmiot.

Przeor odczytał poniższe słowa.

- „Obwieszczamy, że dzisiejszej nocy, będącej wigilią świętego Walentego, czterej swawolni hulacy,

należący do tej czy innej kompanii obcych przybyszów bawiących chwilowo w Nadobnym Grodzie, napadli na dom obywatela Perth. A ponieważ w bijatyce, która się wywiązała, dłoń tę odrąbano od ręki jednego z łamiących prawo napastników, burmistrz i rajcowie rozkazali przybić ją do pręgierza, na urągowisko tym, co winni są gorszej napaści. A gdyby któryś mąż rycerskiego stanu powiedział, że ten nasz postępek jest niesprawiedliwy, ja, Patrick Charteris of Kinfauns, szlachcic, dowiodę jego słuszności rycerskim orężem, w szrankach. Albo gdyby ktoś nikczemniejszego urodzenia zaprzeczył prawdzie niniejszych słów, spotka się z nim na ubitej ziemi równy mu stanem obywatel wolnego miasta Perth. Niechaj więc Bóg i święty Jan mają w swej opiece nasz Nadobny Gród!"

- Nie zdziwisz się, miłościwy panie, że kiedy mój jałmużnik odczytał treść tego zuchwałego dokumentu, kazałem jednemu z giermków zdjąć owo trofeum, tak uwłaczające całemu rycerstwu i szlachcie szkockiej. I wtedy to jeden z owych rozbestwionych mieszczan zaczął ubliżać tym, co znajdowali się w ostatnich szeregach mej drużyny, ci zaś zawrócili i w mgnieniu oka położyliby kres waśni, gdybym nie rozkazał im stanowczo, aby podążyli za mną, starając się zachować spokój mimo zaczepki tej nikczemnej hołoty. I tak dotarli do bram opactwa - pozornie uciekając, choć gdybym im rozkazał odpowiedzieć siłą na siłę, podpaliliby to nędzne miasto na czterech rogach i wykurzyliby z domów zuchwałę prostactwo niczym złośliwe szczenięta lisie, które ogniem wykurza się z nor.

W ciszy, która zapadła po słowach Douglasa, odezwał się głos księcia Rothsay.

- Skoro earl of Douglas posiada moc spalania grodu, w którym ty, miłościwy panie, przebywasz ze swym dworem, powinniśmy wszyscy dziękować Bogu, że nie objawił też chęci, aby tak uczynić. Zwłaszcza że jako powód wystarczyłaby mu byle różnica zdań między nim a burmistrzem co do nocnej burdy czy też treści pisma przybitego do pręgierza.

- Może niebawem ksiązę Rothsay - rzekł Douglas, który najwyraźniej postanowił hamować wzbierający w nim gniew - będzie miał okazję dziękować niebiosom tonem poważniejszym niż ów, który dźwięczy teraz w jego głosie, że Douglas jest zarówno możny, jak wierny swemu suwerenowi. Nadeszły czasy, w których poddani we wszystkich krajach powstają przeciwko prawu. Słyszeliśmy o buncie chłopów we Francji zwanym Żakerią*, a także o Jacku Straw, Hobie Millerze i Parsonie Ballu* w Anglii i możemy być pewni, że jeśli pożoga dotrze do naszych granic, ogień szybko się rozprzestrzeni na podatnym gruncie. Kiedy widzę, jak mieszczenie urągają szlachcie i przybijają odrąbane pańskie ręce do miejskiego pręgierza, nie powiem, że się lękam buntu... bo rzekłbym nieprawdę. Ale powiem, że przewiduję bunt i mam zamiar dobrze się do niego przygotować.

- A czemu to lord Douglas twierdzi - odezwał się earl of March - że ludzie z gminu są autorami wyzwania? Widzę w nim imię sir Patricka Charterisa, w którego żyłach nie ma ani kropli prostackiej krwi. Sam Douglas - skoro tak bardzo bierze sobie tę sprawę do serca - może bez ujmy dla swego honoru podnieść rękawicę sir Patricka.

- Lord of March - odparł Douglas - lepiej by uczynił mówiąc tylko o tym, na czym się zna. Nie ubliżę potomkowi Czerwonego Korsarza, jeśli powiem, że zbyt mało on znaczy, aby móc stanąć w szrankach z Douglasem. Dziedzic Tomasza Randolpha mógłby usłyszeć lepszą rację udzielonej mu odpowiedzi.

- Na honor, oto dowód, że uwaga ta nie chybiła celu! - zawołał earl of March ściągając rękawicę.

- Powstrzymaj się, lordzie of Dunbar! - rozkazał król. - Byłoby to dla nas obelgą, gdybyś w naszej obecności rzucił swemu wrogowi śmiertelne wyzwanie. Miast tego podaj przyjazną dłoń szlachetnemu

lordowi na znak wspólnej wierności dla szkockiej korony.

- Nie żądaj tego ode mnie, miłościwy panie - odparł March. - Możesz mi rozkazywać, abym oddał
mą

rękawicę, albowiem ona, jako też cały mój oręż i rycerski ekwipunek, należą do ciebie dopóty,
dopóki

dzierzę tytuł earla szkockiej korony. Ale Douglasa mogę uścisnąć tylko dłonią zakutą w stal. Żegnaj,
królu i władco. Mój głos w tej radzie nic nie znaczy... ach, więcej, spotyka się z taką wrogością, że
dalsze tu przebywanie może się stać dla mnie wręcz niebezpieczne. Niechaj Bóg chroni waszą miłość
przed jawnymi wrogami i zdradliwymi przyjaciółmi. Wracam do mojego zamku, skąd, jak sądzę,
dwór niezadługo otrzyma ode mnie wieści. Żegnaj, mój lordzie Albany i ty, mój lordzie Douglas.

Gracie o wysoką stawkę, niech więc wasza gra będzie uczciwa. Żegnaj, biedny, lekkomyślny książę,
któryś jest jak jelonek igrający w szponach tygrysa. Żegnajcie wszyscy... George of Dunbar widzi
zło,

któremu nie może zaradzić. Żegnajcie.

Król byłby przemówił, lecz powstrzymało go ostrzegawcze spojrzenie księcia Albany. Earl of March
opuścił komnatę królewską żegnany w milczeniu przez członków rady, do których kolejno się
zwracał; tylko Douglas wysłuchał jego pożegnalnej mowy z miną wyzywającą i pogardliwą.

- Zaprzaniec poszedł sprzedać się Anglii - rzekł. - Całą swą dumę czerpie z posiadania tej
nadmorskiej

twierdzy, która broni Anglikom dostępu do Lothian. Nie, miłościwy panie... niepotrzebnie się
niepokoisz. Dotrzymam danego słowa. Zresztą... jeszcze nie jest za późno. Powiedz jedno słowo,
powiedz: „Uwięź go”, a March nie przeprawi się nawet na drugą stronę Earn w swej zdradzieckiej
podróży.

- Nie, mężny lordzie - zaproponował Albany, który wolał, żeby siła dwóch potężnych lordów
równoważyła się, niż żeby jeden zyskał nad drugim stanowczą przewagę. - Jest to rada zbyt
pochopna.

Earl of March przybył na dwór z glejtem królewskim gwarantującym mu bezpieczeństwo i król nie

może cofnąć danego słowa. Jeśli jednak, mój lordzie, przedstawisz wyraźne dowody...

W tym miejscu donośny dźwięk trąb przerwał im rozmowę.

- Książę Albany objawia dziś niezwykle u niego skrupuły - podjął Douglas. - Ale nie traćmy daremnie

słów... pora minęła... oto grają trąby Marcha. Gotów byłbym przysiąc, że gdy wyjedzie za Południową

Bramę, puści konie galopem. Usłyszemy o nim we właściwym czasie. A jeżeli słuszne są moje domysły, wyjdę mu naprzeciw, nawet gdyby wiódł za sobą całą potęgę Anglii.

- Ufajmy, iż szlachetny lord nie postąpi nikczemnie - rzekł król ciesząc się w duchu, że spór Marcha z

Douglasem kazał księciu i jego dumnemu teściowi zapomnieć o niedawnej waśni. - Ma naturę

wybuchową, ale nie zdradliwą. Pod pewnymi względami spotkała go... nie powiem, że krzywda, ale

zawód... część też jego gniewu możemy położyć na karb porywczej natury posiadającej na swych

usługach nadmierną potęgę. Ale Bogu niechaj będą dzięki, bo nas, którzyśmy tu zostali, łączą wspólne

cele i wspólne, mogę rzec, więzy krwi, a więc niezgoda nie będzie już paraliżowała naszych obrad.

Ojcze przeorze, weź, proszę, pióro do ręki i jak zwykle pełnij rolę sekretarza rady. A teraz, szlachetni

lordowie, do rzeczy. Najsampierw weźmiemy pod rozwagę krwawe starcia na Pogórze...

- ...pomiędzy klanem Chattan a klanem Quhele - uzupełnił przeor. - Krwawe te starcia, o czym nam

donoszą nasi braciszkanie z opactwa Dunkeld, mogą się niezapowiedzianie przerodzić w straszliwy bój

pomiędzy owymi synami szatana, których jedynym dążeniem jest wzajemne wyniszczenie i starcie z

powierzchni ziemi. Drużyny obu stron gromadzą się już od dłuższego czasu i wszyscy mężczyźni aż

do dziesiątego stopnia pokrewieństwa wezwani są pod sztandary rodowe, a winnych nieposłuszeństwa

czeka kara ognia i miecza. Rozesłano wici na wszystkie strony i podburzono obce i nieznanne szczepy

mieszkające za odległym Moray Frith... niech Bóg i święty Dominik mają nas w swej opiece! Jeżeli

szlachetni lordowie nie zaradzą złu, rozszerzy się ono i obejmie ogromne połacie kraju, a wtedy

dobra

kościelne padną pastwą tych Amalekitów*, którzy tyleż mają w sobie pobożności, co zgody i miłości sąsiedzkiej... niechże Matka Najświętsza ulituje się nad nami! Doniesiono nam, że niektórzy żyją jeszcze w pogaństwie i wielbią Mahounda i Termagaunta*.

- Lordowie moi i krewniacy - przemówił Robert — wiemy już, jak groźne jest to niebezpieczeństwo, zanim więc rzekniecie, co wasza mądrość wam dyktuje, poznajcie moje zdanie. Przebóg, nie widzę lepszej rady, jak wysłać na Pogórze dwóch komisarzy wyposażonych w pełnomocnictwa królewskie do rozstrzygnięcia wszelkich sporów między wrogimi klanami, jednocześnie zaś wezwać Pogórczan do złożenia broni i zaprzestania wzajemnego przelewu krwi pod karą wyjęcia spod prawa.

- Popieram propozycję waszej miłości - rzekł Rothsay – i ufam, że świątobliwy przeor nie odmówi przyjęcia zaszczytnej misji posła w tej pokojowej wyprawie. Pewien też jestem, że jego wielebny brat,

przeor zakonu Kartuzów, również będzie się ubiegał o ów zaszczyt, dzięki czemu dwaj dostojni rekruci powiększą liczną armię męczenników, jako że Pogórczanom jest na ogół obojętne, czy posłowie

od nas przybywający są mężami duchownymi, czy świeckimi.

- Miłościwy mój książę - odparł przeor - jeżeli jest mi przeznaczona korona męczeństwa, wskazana też

mi będzie właściwa droga i sposób jej zdobycia. Jeśli to, cośmy przed chwilą usłyszeli, mówiłeś żartem - niechże ci Bóg przebaczy i niech cię oświeci, abyś pojął, że lepiej zrobisz przypasując miecz i

broniąc własności Kościoła, tak poważnie zagrożonej, niż szydząc z kościelnych sług.

- Nie szydzę z nikogo - odparł młodzieniec ziewając - ani też nie mam nic przeciwko temu, żeby

wdziać zbroję i przypasać miecz... z tym tylko zastrzeżeniem, że nie jest to zbyt wygodne odzienie i że

w czasie lutowych mrozów opończa podbita futrem lepiej chroni od zimna niż stalowa kolczuga. Tym zaś mniej chętnie wdzieję na siebie zimną stal, że gdyby Kościół zechciał wysłać w pole z jeden

oddział świętych (a nie brak przecież świętych Pogórczan, dobrze znanych w tych stronach i nawykłych

do surowego klimatu), sam mógłby rozegrać wszystkie swoje kościelne boje, niczym dzielny święty Jerzy w Anglii. Dalibóg, nie rozumiem tego... słyszymy o cudach, które Kościół czyni, aby wynagrodzić hojność wiernych, i słyszymy o zemście Kościoła, gdy ktoś naruszy jego patrymonium, co za każdym razem wykorzystywane jest jako pretekst do znacznego powiększenia dóbr kościelnych. Ale gdy zejdzie z gór gromada dwudziestu zbrojnych Pogórczan, duchowni ojcowie bynajmniej się do nich nie śpieszą, natomiast baron wraz ze swoją drużyną zmuszony jest bronić kościelnych ziem, które sam im nadał, jak gdyby wciąż należały do niego.

- Synu Dawidzie - ozwał się król - chlapiasz językiem z nieprzystojną swobodą.

- Już milknę, miłościwy panie - odparł książe. - Nie zamierzałem ani ciebie rozgniewać, ani urazić przeora, który rozporządzając tak licznymi cudami nie kwapi się, jak widzę, do spotkania z garstką łotrzyków z Pogórza.

- Wiadome nam jest - powiedział przeor, z trudem hamując gniew - źródło tych niegodziwych doktryn, które ku naszemu przerażeniu padają z książęcych ust. Ale gdy synowie królewscy zadają się z heretykami, zarówno ich umysły jak ich sposób bycia ulegają skażeniu. Pokazują się wtedy na ulicach w towarzystwie błaznów i nierządnic i uczestniczą w radach królewskich po to jedynie, aby szydzić z Kościoła i rzeczy świętych.

- Spokój, spokój, wielebny ojcze! - zawołał król. - Rothsay da ci zadośćuczynienie za te płoche i bezmyślne słowa. O, biada nam! Czemuż nie prowadzimy naszych narad w duchu przyjaźni, miast postępować jak zbuntowani żeglarze na tonącym statku, kiedy to każdy woli raczej kłócić się ze swym

sąsiadem niż pomagać osamotnionemu kapitanowi, który usiłuje wyprowadzić statek na bezpieczne wody? Lordzie of Douglas, członkowie twego rodu zawsze pierwsi śpieszyli z pomocą, gdy koronie szkockiej potrzebna była albo światła rada, albo mężne czyny. Czy zechcesz nam pomóc w obecnych

trudnościach?

- Dziwię się tylko, miłościwy panie, że owe trudności istnieją - odparł wyniosły Douglas. - Kiedyś piastował urząd namiestnika królestwa, kilka spośród tych dzikich klanów zeszło z gór Grampian w doliny. Nie kłopotalem tą sprawą rady, tylko rozkazałem ówczesnemu szeryfowi, lordowi Ruthven, sięść na koń i wyprowadzić w pole wojska - Carsów, Hayów, Lindsayów, Ogilvych i innych rycerzy.

Na Świętą Oblubienicę! Gdy doszło do spotkania stalowych kolczug z sukiennymi kaftanami, ci rabusie z gór przekonali się, do czego służą kopie i jak ostre są brzeszczoty mieczy. Na łąkach Thorn i

w lesie Rochinroy zostawili ciała trzystu najlepszych wojowników, a także ciało swego wodza, Donalda Cormaca; najmniej trzystu zawisło na szubienicach w Houghman Stairs*, która to miejscowość otrzymała swą nazwę od roboty katowskiej tamże wykonanej. W taki sposób rozprawiamy się ze złodziejaskami w moich stronach. A jeśli łagodne metody okażą się w stosunku do tych góralskich łotrzyków skuteczniejsze, nie wińcie Douglasa, że szczerze wypowiedział swoje zdanie. Uśmiechasz się, mój lordzie Rothsay. Czy mógłbym wiedzieć, z jakiej przyczyny stałem się po

raz drugi przedmiotem twoich drwin... zanim odpowiem na pierwszy żart, któryś raczył uczynić moim kosztem?

- Ach, niepotrzebnie się zżymasz, lordzie Douglas - odparł młodzieniec. - Uśmiechałem się tylko na myśl o tym, jak stopniałaby twoja książęca drużyna, gdyby każdego złodziejaska miał spotkać los podobny do losu biednych Pogórczan powieszonych w Houghman Stairs.

Król ponownie zapobiegł kłótni.

- Słusznie radzisz, mój lordzie - zwrócił się do rozsierdzonego Douglasa - że powinniśmy chwycić oręż, jeśli ci ludzie zaatakują naszych poddanych w otwartej i uczciwej walce. Ale rzecz w tym, jak położyć kres wewnętrznym ich walkom, które prowadzą czając się w swych niedostępnych górach.

Wiecie sami, miłościwi lordowie, że klan Chattan i klan Quhele są wielkimi konfederacjami

skupiającymi rozmaite i liczne szczepy, zrzeszone dla obrony każdej własnej ligi. Wiecie też, że w ostatnich czasach wybuchają między tymi klanami coraz częstsze spory, które przy lada spotkaniu prowadzą do rozlewu krwi. Te bezustanne właśnie obracają kraj w ruinę.

- Nie widzę tego w tak czarnych barwach, miłościwy panie – rzekł Douglas. - Te dzikusy wytępią się wzajemnie, a w miarę jak będzie malała ich liczba, zwiększać się będzie pogłowie jeleni górskich. To,

co stracimy jako wojownicy, powetujemy sobie jako myśliwi.

- Raczej rzec by należało, że im mniej będzie ludzi, tym więcej rozpleni się wilków po lasach.

- Wolę ja tam - odrzekł Douglas - krwiożercze wilki od krwiożerczych górali. Należy tylko trzymać silne wojska nad granicą i oddzielić kraj spokojny od kraju nękanego bratobójczymi walkami. Niech ogień wojny domowej płonie na samym Pogórze, jego wściekłość wyczerpie się niezadługo, płomienie zgasną, gdy nikt ich nie będzie podsycał. Ci, którzy przeżyją, będą ludźmi spokorniałymi i posłusznymi woli swego króla niżli ich ojcowie.

- Jest to rada mądra, lecz bezbożna - wtrącił przeor potrząsając głową. - Gdybym ją zalecił, nie byłbym w zgodzie z moim sumieniem. Jest to mądrość, ale mądrość Achithopela*, zarazem przebiegła i okrutna.

- Serce mi mówi... - rzekł król kładąc rękę na piersi. - Serce mi mówi, że w dniu ostatecznych rozrachunków usłyszę pytanie: „Robercie Stewart, gdzie są poddani, których los ci powierzyłem?” Serce mi mówi, że jestem odpowiedzialny za wszystkich... za Saksonów, za Celtów, za mieszkańców Niziny, Pogórze i Pogranicza... Że odpowiem nie tylko za tych, co są bogaci i posiadają wiedzę, lecz także za tych, co rabują, bo są biedni, i co się buntują, bo żyją w niewiedzy.

- Przemawiasz, miłościwy panie, jak prawdziwie chrześcijański król - rzekł przeor. - Ale dzierzysz w

dłoni zarówno miecz, jak berło, temu zaś obecnemu złu zaradzić może tylko oręż.

- Słuchajcie, szlachetni lordowie - zawołał książę spoglądając na zebranych z taką miną, jak gdyby

wesoła myśl przyszła mu nagle do głowy - a może nauczylibyśmy dzikich górali, co to czyni rycerskie? Sądzę, iż nie byłoby trudno tak pokierować tymi dwoma wielkimi wojami, przywódcą klanu Chattan i wodzem niemniej krewkiego klanu Quhele, żeby wyzwali się na śmiertelny bój. Mogliby walczyć tutaj, w Perth... pożyczylibyśmy im koni i zbroi. W ten sposób spór zakończyłby się śmiercią jednego albo może obu łotrzyków (sądzę bowiem, że obaj skręcą karki w pierwszym natarciu), a co więcej, ziszczyłoby się świątobliwe pragnienie mego ojca, aby uniknąć przelewu krwi, my zaś mielibyśmy przyjemność oglądania walki między dwoma dzikusami, którzy po raz pierwszy włożą na siebie spodnie i dosiądą koni, czego nie robili od czasów króla Artura.

- Hańba ci, synu Dawidzie! - wybuchnął król. - Jak śmiesz szydzić z nieszczęścia własnej ojczyzny i bezradności naszej królewskiej rady?

- Racz pozwolić, miłościwy panie mój i bracie - wtrącił Albany - że zabiorę głos. Chociaż mój królewski bratanek rzucił tę myśl jeno żartem, można by w oparciu o nią znaleźć skuteczny środek zaradzenia złu.

- Szlachetny bracie - odparł król - nie jest to zacnie z twojej strony, że nawiązując do niewczesnego żartu Rothsaya podkreślasz jeszcze jego głupotę. Wiemy, że klany góralskie nie znają naszych obyczajów rycerskich ani sposobów i reguł prowadzenia walki rycerskiej.

- Prawda to, miłościwy panie - przyznał Albany. - Nie myśl jednak, że szydzę, gdyż mówię z całą powagą. Prawda to, że górale nie znają naszych sposobów i reguł walki rycerskiej w szrankach; znają jednak nie mniej skuteczne sposoby zabijania. A skoro śmiertelna gra może być rozgrywana i zwycięstwo może się przechylić na tę czy inną stronę, jakie to ma znaczenie, czy ci Celtowie będą walczyć mieczem i kopią, jak przystało pasowanemu rycerstwu, czy też workami napelnionymi piaskiem, jak gminny lud Anglii, czy wreszcie zadźgają się nożami i celtyckimi sztyletami na swój własny barbarzyński sposób? Ich obyczaj, podobnie jak nasz, nakazuje im rozstrzygać wszelkie spory

i roszczenia w boju. Próżność tych ludzi nie jest mniejsza od ich okrucieństwa. Na myśl, że klany będą

się mogły rzucić w bój przed obliczem miłościwego pana i na oczach dworu, Pogórzanie zgodzą się zapewne - choć tego rodzaju surowy arbitraż obcy jest ich obyczajom - rozstrzygnąć swoje spory w walce, w której po obu stronach stanie taka liczba wojowników, jaką my uznamy za słuszną. Wiedzeni

przezornością, pozwolimy im zbliżyć się do dworu w takiej sile i takim uzbrojeniu, jakie uniemożliwi

wszelką zdradziecką napaść. A gdy się przed tym zabezpieczymy, im większa liczba stanie po obu stronach do walki, tym większa będzie rzeź między najmężniejszymi spośród ich wojowników i tym większa nadzieja, że na jakiś czas zapanuje spokój na Pogórze.

- Krwawa byłaby to metoda działania, mój bracie - westchnął król. - Powtarzam, że sumienie nie

pozwala mi udzielić zgody na rzeź tych ciemnych i nieokrzesanych ludzi, choć niewiele są oni lepsi od

pogan.

- A czyż życie ich w większej jest cenie niż życie rycerzy i szlachciców, którzy za zgodą miłościwego

pana nader często stają w szrankach, aby rozstrzygnąć ten czy inny spór lub zyskać sławę rycerską? - spytał Albany.

Przyparty do muru król niewiele mógł powiedzieć przeciwko obyczajowi tak wrośniętemu w ustawodawstwo monarchii i tak związanemu z tradycjami rycerstwa, jak rozstrzyganie sporów w boju.

W końcu odpowiedział:

- Bóg mi świadkiem, bracie, że udzielałem tych zezwoleń z największą niechęcią. I że na widok krwi przelewanej w szrankach pragnąłem zawsze własną krwią łagodzić spór.

- Miłościwy nasz panie - przemówił ojciec Anzelm - obawiam się, że jeśli nie postąpimy wedle rady księcia Albany, będziemy musieli przystać na propozycję lorda Douglasa i kosztem niepewnego losu

bitwy, a także kosztem pewności utraty wielu znamienitych rycerzy, uczynimy naszymi mieczami to, czego owa dzicz góralska dokonałaby przy pomocy własnych rąk. Co sądzi lord Douglas o polityce proponowanej przez księcia Albany?

- Douglas nigdy nie radził politykować dla osiągnięcia tego celu, który można zdobyć siłą. Nadal też podtrzymuje swoje zdanie i gotów jest powieść do boju własną drużynę, a także drużyny skupione pod sztandarami baronów z Perthshire i Carse; i albo przemówić tym Pogórczanom do rozsądku lub ich ujarzmić, albo zostawić ciało Douglasa na dzikim górskim pustkowiu.

- Piękne to słowa, szlachetny lordzie - rzekł Albany. - I miłościwy pan dobrze wie, że może polegać na twoim nieustraszonym sercu i odwadze twych mężnych rycerzy. Ale czyż nie rozumiesz, że niezadługo obowiązek wezwie cię może gdzie indziej, gdzie twoja obecność i służba będą nieodzowne

dla bezpieczeństwa Szkocji i monarchy? Czyś nie zauważył, jak ponurym tonem earl of March ograniczał swą wierność i uległość naszemu suwerenowi do okresu, w którym pozostanie wasalem króla Roberta? I czyś sam nie podejrzewał, że knuje zdradę z Anglią? Inni wodzowie, nie tak możni i nie tak sławni, przejdą może na stronę Pogórczan. Ale jeśli March wpuści Percych z ich angielskimi drużynami w nasze granice, kto obroni kraj, gdy Douglas będzie się znajdował gdzie indziej?

- Mój miecz - odparł Douglas - gotów jest służyć miłościwemu panu zarówno na granicy, jak w najdzikszych ostępach Pogórza. Oglądałem już kiedyś plecy dumnego Percy'ego i równie dumnego George'a of Dunbar i kto wie, czy nie obejrzę ich znowu w przyszłości. Jeśli więc jest wolą mego króla, żebym wystąpił przeciwko temu prawdopodobnemu przymierzu cudzoziemca ze zdrajcą, miast powierzać słabszej dłoni ważne zadanie uśmierzenia Pogórczan, przychyłę się raczej do propozycji lorda Albany, abyśmy pozwolili tym dzikusom wyrżnąć się nawzajem, co zaoszczędzi trudu naszym baronom i rycerzom.

- Lord Douglas - wtrącił książe, który wykorzystywał każdą okazję, żeby dokuczyć swemu dumnemu

teściowi - nie raczy pozostawić nam, mieszkańcom Nizin, nawet marnych okruczeństwa honoru, jaki moglibyśmy zdobyć kosztem góralskiej hałasty, podczas gdy on sam ze swoim rycerstwem z Pogranicza będzie zbierał owoce zwycięstw nad Anglikami. Ale Percy też już widywał niejedne plecy

pierzchających wojsk. A dzieją się niekiedy takie dziwa, że wilk, który wyprawia się na owce, wraca z

przetraconą łapą.

- Przebóg - odparł Douglas - stosowne są to słowa dla księcia, który mówi o honorze, szcząc się jednocześnie trofeum w postaci woreczka wędrownego nierządnicę, otrzymanego w dowód jej łask.

- Wybacz, mój lordzie - powiedział książę - ale mężczyzna nieodpowiednio ożeniony staje się z czasem niewybredny w wyborze swych bogdanek. Pies uwiązany na łańcuchu chwytą najbliższą kość.

- Rothsay, mój nieszczęsny synu! - wybuchnął król. - Czyś ty zmysły postradał, czy też chcesz ściągnąć na siebie gniew swego króla i rodzica?

- Jeśli taka twoja wola, ojczy, będę milczał jak grób.

- A zatem, lordzie Albany - zwrócił się król do brata - skoro tak radzisz i skoro nieunikniony wydaje się przelew szkockiej krwi, zechciej nam powiedzieć, jak skłonimy tych dzikich ludzi, żeby zgodzili się rozstrzygnąć spór w walce przez ciebie proponowanej?

- Sprawa ta, miłościwy panie, winna być wszechstronnie rozważona - odparł Albany. - Ale zadanie nie

będzie trudne. Złotem przekupimy niektórych bardów, a także część starszyny klanowej. Ponadto damy do zrozumienia obu przywódcom wrogich lig, że jeśli nie zgodzą się na pokojowe rozstrzygnięcie sporu...

- Pokojowe! - wybuchnął król.

- Tak, pokojowe, miłościwy panie - odparł Albany - lepiej jest bowiem, żeby kraj zażywał pokoju kosztem życia kilku dziesiątków górali, niż żeby go nękała wojna trwająca dopóty, dopóki tyleż tysięcy nie zginie od miecza, ognia, głodu i trudów walki w górach. Ale wróćmy do rzeczy. Sądzę, iż

strona, której pierwszej zaproponujemy ów układ, zgodzi się nań skwapliwie; że ich przeciwnikom wstyd nie pozwoli odrzucić propozycji, aby rozstrzygnęli sprawę mieczami swych najdzielniejszych wojowników; że narodowa próżność i nienawiść klanowa zaślepi ich i w chwili podejmowania decyzji

nie pozwoli przejrzeć naszych sekretnych zamysłów; i wreszcie, że będą z większą gorliwością siekać

się nawzajem, niż my będziemy ich do tego podjudzać. A teraz, ponieważ wyczerpaliśmy już przedmiot naszych obrad, pozwól, miłościwy panie, że odejdę.

- Racz zostać, mój lordzie - rzekł przeor - albowiem muszę powiadomić radę o niegodziwości tak przerażającej, że pobożne serca szlachetnych lordów zżymać się będą na samą myśl o niej i z trudem tylko uwierzą w jej istnienie. Wspominam o tym z bólem i żalem, gdyż pewien jestem, iż ta niegodziwość jest przyczyną gniewu niebios skierowanego przeciwko naszej nieszczęsnej ojczyźnie, który to gniew nasze zwycięstwa zmienia w klęskę, a radość w ból i nęka rady niezgodą, kraj zaś klęską wojny domowej.

- Mów śmiało, wielbny przeorze - zachęcił go król. - Bądź też pewien, jeśli przyczyna tego zła tkwi we mnie czy też w kimś z moich bliskich, nie omieszkam jej natychmiast usunąć.

Wypowiedział te słowa z wahaniem i pełen niepokoju czekał na odpowiedź przeora - bojąc się zapewne, że będzie to jakieś nowe oskarżenie Rothsaya o wszeteczność i rozpustę. Może zwiódł go

wewnątrz niepokój, ale zdawało mu się, że zanim przeor odpowiedział głosem uroczystym i poważnym, jego wzrok spoczął na księciu.

- Herezja, miłościwy panie. Herezja panoszy się wśród nas. Porywa w swoje szpony dusze ludzkie, jak

wilki porywają owce z zagrody.

- Zdawałoby się, że dość jest w naszym kraju pasterzy do strzeżenia owiec - rzekł książę Rothsay. - W

samej tej miejscinie zwanej Nadobnym Grodem Perth istnieją aż cztery zakony... nie licząc

świeckiego

duchowieństwa. Sądziłbym, że miasto posiadające tak silną załogę obroni się przed wrogiem. - Jeden zdrajca wśród obrońców, mój lordzie Rothsay - odparł przeor - może poważnie zagrozić

bezpieczeństwu miasta bronionego przez tysiące. Jeśli zaś tego jednego zdrajcy strzegą i chronią - albo

z ciekawości, albo z zamiłowania do nowinek, czy wreszcie z jakiegoś innego powodu - ci, którzy pierwsi powinni wypędzić go z warowni, szkodnik zyskuje tym więcej okazji do czynienia zła.

- Odnoszę wrażenie, ojcze Anzelmie - przemówił Douglas - że twoje słowa skierowane są przeciwko

komuś obecnemu w tej komnacie. Jeżeli przeciwko mnie, czynią mi krzywdę. Wiadomym mi jest, że

opat zakonu w Aberbrothock przedkładał niewczesne skargi, iżem nie pozwolił, aby rozrosła się

nadmiernie ilość wołów na jego pastwiskach czy też aby zapasy zboża rozsadziły spichrze jego

klasztoru, podczas gdy mojej drużynie brakło mięsa, a koniom obroku. Pomnij jednak, wielebny

przeorze, że to moi przodkowie nadali zakonowi w Aberbrothock owe pola i łąki, które przynoszą

bogate plony... nadali z pewnością nie w tym celu, żeby ich potomek cierpiał głód pośród takiej

obfitości. Na Świętą Oblubienicę - Douglas ani myśli głodować! A jeśli idzie o herezje i fałszywe

doktryny -ciągnął uderzając ogromną pięścią w stół - któż to ośmiela się oskarżać o nie Douglasa?

Nie

pozwole, aby nieszczęśnicy szli na stos za głupie myśli, które im się lęgną w głowach! Ale dłoń moja i

mój miecz zawsze są gotowe bronić prawdziwej chrześcijańskiej wiary!

- Nie wątpię w to, mój lordzie - odparł przeor. - Twój szlachezny ród zawsze bronił chrześcijaństwa.

Skargi opata możemy rozpatrzyć w dniu jutrzejszym. Dziś jednak powinniśmy udzielić mandatu

któremuś ze znakomitych lordów korony, aby siłą miecza, jeśli zajdzie tego potrzeba, poparł śledztwo,

które wielebny przewodniczący sądu kuryjnego oraz inni prałaci (ze mną niegodnym w ich gronie)

zamierzają wszcząć w celu dotarcia do źródła doktryny zatruwającej umysły prostaczków i kalającej

czystą wiarę zatwierdzoną przez Ojca Świętego i jego poprzedników.

- Powierzmy ową misję earlowi of Douglas - zaproponował Albany. - I niech prócz osoby monarchy nikt nie będzie wyjęty spod jego jurysdykcji. A choć jestem świadom, że ani w czynach, ani w myślach nie przyjmowałem i nie propagowałem doktryn, które nie uzyskały sankcji Kościoła, to jednak paliłby mnie wstyd, gdybym miał żądać immunitetu krwi królewskiej. Nie chcę być posądzanym o to, iż staram się uniknąć kary za zbrodnię tak straszliwą.

- Nie przyjmę tego zaszczytu - odparł Douglas. - Wyprawa przeciwko Anglikom i zdradzieckiemu Marchowi dość mi da zatrudnienia. A ponadto jako szczerzy Szkot nie zamierzam wyrażać zgody na coś, co kazałoby Kościołowi szkockiemu niżej jeszcze nachylić karku pod jarzmo rzymskie czy też odmawiało mitrze szkockich baronów pierwszeństwa przed mnisim kapturem. Dlatego więc ty, miłościwy książę Albany, racz podjąć się owej misji. I zechciej, szlachetny lordzie, mitygować nadmierny zapał mężów duchownych, z którymi będziesz współdziałał w tej materii, aby nie okazywali zbyt gorliwości. Bo swąd płonących stosów nad rzeką Tay każe zawrócić Douglasowi spod murów Yorku.

Książę zapewnił śpiesznie Douglasa, że wypełni powierzona sobie misję miłosiernie i z umiarkowaniem.

- Uważamy, że pełnomocnictwa mandatariusza powinny być rozległe - rzekł król Robert. - I gdyby się to nie sprzeciwiało dostojeństwu Korony, my sami nie wyłączałibyśmy się spod jego jurysdykcji.

Ufamy przecie, że podczas gdy gromy Kościoła będą godziły w przewrotnych autorów obmierzłej herezji, nieszczęsne ofiary owych mamiących doktryn traktowane będą łagodnie i litościwie.

- Taką drogą stąpa zawsze Kościół - oświadczył uroczyście przeor dominikanów.

- A zatem niech jak najspieszniej zostanie sporządzony dokument nominacji na imię księcia Albany oraz innych dogodnych dla nas osób - rzekł król. - Kończymy teraz, szlachetni lordowie, nasze obrady.

Rothsay, mój synu... podaj mi ramię. Pójdiesz ze mną, gdyż mam ci do powiedzenia coś, co jest

przeznaczone tylko dla twojego ucha.

- Hola, stójcie! - zawołał ksiązę tonem, jakim zwykł się zapewne zwracać do narowistego konia.

- Cóż znaczy to grubiaństwo, chłopcze? - spytał gniewnie król. - Czy nigdy nie nauczysz się rozumu i dworności?

- Nie sądz, ojczu, że chciałem kogokolwiek obrazić - odparł ksiązę. - Lecz oto rozchodzimy się, chociaż

nie podjęliśmy decyzji w sprawie tej niezwykłej przygody z odrąbaną dłonią, którą to dłoń lord Douglas tak mężnie dla nas zdobył. Jeśli nie załagodzim sporu z mieszczanami, nasz pobyt w Perth nie będzie nam upływał miło.

- Ja dopatrzę tej sprawy - zaofiarował się Albany. - Niewielkie nadania ziemi i darowizny drobnych sum pieniędzy, a także dużo pięknych słów usmierzą tym razem gniew mieszczan. Należałoby jednak przestrzec baronów przebywających wraz z drużynami na dworze, aby szanowali pokój w obrębie murów miasta.

- Przychylamy się, bracie, do twojej propozycji - rzekł król. - Należy niezwłocznie wydać odpowiednie

rozkazy.

- Zbyt to wielka łaskawość okazywana tym prostakom - wtrącił Douglas. - Ale niech się stanie wedle woli miłościwego pana. Teraz za pozwoleniem mego monarchy - odchodzę.

- Ale nie pierwej, niż skosztujesz z nami gaskońskiego wina, mój lordzie? - spytał król.

- Racz mi wybaczyć, panie - odparł dumny earl - ale nie jestem spragniony, piję zaś jedynie z potrzeby

lub dla zadokumentowania przyjaźni. - Skłonił się i odszedł.

Jak gdyby z uczuciem ulgi król zwrócił się do księcia Albany:

- A teraz, mój bracie, powinniśmy wyłajać tego lekkoducha Rothsaya. Że jednak dobrze przysłużył się

nam podczas obrad, uznamy to za częściowe okupienie jego winy.

- Rad jestem to słyszeć - odparł Albany z wyrazem niedowierzania i politowania na twarzy, jak gdyby

nic mu nie było wiadomo o domniemanych zasługach młodego księcia.

- Ach, bracie, widocznie nie jesteś dzisiaj bystry - zaśmiał się król - bo przecież nie posądzam cię o zawiść. Czyś nie zauważył, że Rothsay pierwszy podsunął nam sposób uśmierzenia bratobójczych walk na Pogórze, udoskonalony twoim doświadczeniem, który przyjęty został jednomyślnie przez radę?... A znowu teraz, gdy zakończyliśmy obrady, on to przypomniał nam o jakże ważnej sprawie sporu z mieszczanami.

- Nie wątpię, że mój królewski bratanek doścignie niebawem w mądrości swego ojca - przyznał Albany, gdyż tego najwyraźniej się po nim spodziewano.

- Lub też - ozwał się Rothsay - uznam może, że wygodniej będzie mi pożyczyć od innego członka mej rodziny ów pomysłowy i wygodny płaszcz obłudy, który kryje wszystkie złe przywary.

- Ojczy przeorze - zwrócił się Albany do zakonnika - racz nas na chwilę zostawić samych. To, co obaj

z królem zamierzamy teraz powiedzieć księciu, nie jest przeznaczone nawet dla twoich uszu.

Dominikanin skłonił się i opuścił komnatę.

Gdy dwaj królewscy bracia zostali sami z Rothsayem, król wydawał się w najwyższej mierze zmieszany i strapiiony, księżę zaś miał minę posępną i zadumaną; nawet Rothsay usiłował jak gdyby ukryć pewien niepokój pod maską zwykłej lekkomyślności. Przez chwilę w komnacie panowało milczenie. W końcu odezwał się Albany.

- Miłościwy panie - przemówił - mój królewski bratanek tak podejrzliwie odnosi się do każdej czynionej mu przeze mnie wymówki, iż muszę prosić ciebie, abyś raczył rzec to, co usłyszeć powinien.

- Ho, ho, jest to snadź jakaś wielce niemiła wiadomość, skoro księżę Albany nie osłodził jej wdzięcznymi słówkami - zaśmiał się Rothsay.

- Dość mi tego zuchwalstwa, chłopcze! - wybuchnął król. - Dopiero co pytałeś, jak ułagodzimy nasz spór z mieszczanami. A któż rozpętał ten spór, Dawidzie?... Kim byli ci zbirowie, którzy wspięli się na okno domu spokojnego obywatela i naszego lennika, którzy zmacili spoczynek nocny miasta krzykami i blaskiem pochodni i narazili życie naszych poddanych na niebezpieczeństwo?

- Więcej tam pewnie było strachu niż niebezpieczeństwa – zauważył książę. - Ale czemu to ja właśnie

mam wiedzieć, kim byli ci ludzie?

- Znajdował się wśród nich jeden z twoich dworzan - ciągnął król. - Człek z piekła rodem, któremu rozkażę wymierzyć słuszną karę.

- Jeśli wiem, żaden z moich dworzan nie zasłużył dotąd na twój gniew, miłościwy panie - odparł książę.

- Dość tych wykrętów, chłopcze. Gdzie byłeś w wilię świętego Walentego?

- Och, cóż, służyłem zacnemu świętemu, jak przystało na zwykłego śmiertelnika - rzucił niedbale Rothsay.

- Czy mój królewski bratanek zechce nam powiedzieć, co w przeddzień święta robił jego koniuszy? - spytał książę Albany.

- Mów, Dawidzie... rozkazuję ci rzec prawdę - zażądał król.

- Ramorny był zatrudniony w mojej służbie. Mam nadzieję, iż ta odpowiedź zadowoli księcia Albany.

- Ale mnie nie zadowoli! - wybuchnął rozsierdzony ojciec. - Bóg mi świadkiem, że nie pożądałem nigdy cudzej krwi, ale głowę Ramorny'ego będę miał, jeśli tylko prawo pozwoli mi po nią sięgnąć! Jest uczestnikiem i instygatorem wszystkich twoich szaleństw. Dopilnuję, żeby nim więcej nie był. Przywołajcie MacLouisa i strażę!

- Ojczy, nie krzywdź niewinnego! - zawołał książę pragnąc za wszelką cenę obronić swego faworyta przed grożącym mu niebezpieczeństwem. - Przysięgam, że Ramorny wykonywał moje polecenia, a

więc nie mógł uczestniczyć w tej burdzie.

- Kłamco - wybuchnął król pokazując księciu pierścień - spójrz na sygnet Ramorny'ego, zgubiony w haniebnej potyczce! Dostał się on w ręce jednego z wasalów Douglasa, a Douglas dał go mojemu bratu! Nie ujmuj się za Ramornym, bo nędznik ten umrze. Precz z mej obecności! Żałuj, żeś usłuchał niecnym rad serca, które ci kazało stanąć przede mną z fałszem na ustach. Hańba ci, Dawidzie, hańba!

Jako syn okłamałeś ojca, jako rycerz - suwerena.

Księżę milczał nękany poczuciem winy i wyrzutami sumienia. Potem wzięła w nim górę szlachetność, ukryta głęboko na dnie jego duszy. Rzucił się ojcu do nóg.

- Rycerz, który skłamię, zasługuje na pohańbienie, nielojalny poddany - na śmierć! - zawołał. - Ale wysłuchaj błagań syna i daruj życie słudze, który nie podjudzał mnie do złego, tylko wbrew swej woli,

niechętnie, poszedł spełnić mój rozkaz! Pozwól, żebym sam zapłacił srogą cenę za szaleństwa, ale oszczędź tych, którzy byli mi narzędziami, nie zaś współnikami niegodziwości! Pamiętaj, ojcze, że to moja świątobliwa matka dała mi Ramorny'ego do służby.

- Nie wspominaj o niej, Dawidzie! Zabraniam ci! - zawołał król. - Szczęście to, że nie doczekała chwili, w której jej ukochane dziecko zhańbiło się kłamstwem!

- Prawda to, ojcze, że nie jestem godny wymawiać jej imienia - przyznał księżę. - A przecież w jej to imieniu muszę cię błagać o łaskę dla Ramorny'ego.

- Gdyby wolno mi było rzec coś w tej materii - wtrącił Albany orientując się, że niebawem nastąpi pojednanie między ojcem i synem - radziłbym, aby Ramorny został zwolniony ze służby u księcia i usunięty z jego otoczenia, po czym wymierzy mu się karę stosowną do jego występków. Taki dowód niełaski zadowoli mieszczan. Całą sprawę można będzie łatwo załagodzić lub zdławić, a wtedy nikt nie posądzi księcia Rothsaya, że osłania zbrodnie swych sług.

- Dawidzie - zwrócił się król do syna głosem drżącym i ze łzą w oku - czy odprawisz tego

niebezpiecznego człowieka? Prosi cię o to twój ojciec, który nie odmówiłby swemu synowi własnej krwi serdecznej.

- Uczynię to, ojcze, uczynię natychmiast! - zawołał młodzieniec. I sięgnąwszy po pióro, odprawił Ramorny'ego ze służby w kilku pośpiesznie skreślonych słowach, po czym wręczył dokument księciu Albany. - Pragnąłbym, mój ojcze, móc z równą łatwością spełniać wszystkie twoje życzenia! - dodał rzucając się starcowi do nóg.

Król podniósł go i przytulił do serca.

Albany zmarszczył brwi, ale milczał. Minęło kilka chwil, zanim przemówił.

- Skoro sprawa ta doczekała się tak szczęśliwego zakończenia, racz mi, miłościwy panie, powiedzieć,

czy zechcesz zaszczycić swą obecnością nieszpory w klasztornej kaplicy?

- Ależ tak, drogi bracie - odparł król. - Czyż nie godzi się, bym podziękował Bogu, który przywrócił zgodę w mej rodzinie? Pójdiesz z nami, bracie?

- Pozwól mi się oddalić, miłościwy panie - rzekł Albany. - Nie będę ci towarzyszył, albowiem chcę się

zastanowić z Douglasem i innymi nad sposobami jak najspieszniejszego przywabienia tych góralskich sępów do naszej przynęty.

Albany odszedł, aby przemyśleć w samotności swoje ambitne plany, ojciec zaś i syn udali się do klasztoru podziękować Bogu za szczęśliwe pojednanie.

ROZDZIAŁ XIV

Czy pojedziesz hen w Góry, Lizzy Lyndesay,

Czy pojedziesz, by ze mną tam żyć?

Czy pojedziesz hen w Góry, Lizzy Lyndesay,

Moją panną młodą chcesz być?

Stara ballada

Jeden z poprzednich rozdziałów rozpoczął się sceną w królewskim konfesjonale; teraz ukazemy czytelnikom sytuację podobną, acz osoby i okoliczności zgoła różne. Miast gotyckiej posępnej komnaty w klasztorze ujrzymy na zboczu Wzgórza Kinnoul jeden z najpiękniejszych krajobrazów Szkocji i siedzące u stóp skały, z której szczytu rozpościerał się rozległy widok, Piękne Dziewczę z Perth. Katarzyna słuchała w pobożnym skupieniu nauk kartuskiego mnicha w białym habicie i kapturze, a gdy mnich na zakończenie zwrócił się do Boga, wtórowała żarliwie jego modłom. Gdy umilkli, duchowny siedział jakiś czas wpatrzony w przepiękny krajobraz, którego kraszy nie zdołały skazić nawet przedwczesne jesienne chłody. Minęła długa chwila, zanim przemówił do swej uważnej słuchaczki.

- Gdy spoglądam - powiedział w końcu na tę bogatą i jakże różnorodną krainę wraz z jej zamkami, kościołami, klasztorami, kiedy patrzę na te żyzne pola, na rozległe, bogate w zwierzynę bory i majestatyczną rzekę, nie wiem, czy bardziej się dziwować szczodrobliwości Boga, czy też ludzkiej niewdzięczności. Bóg dał nam piękno i żyzność ziemi, a myśmy z Jego hojnego daru uczynili kostnicę i pole bitewne. Dał nam władzę panowania nad żywiołami i umiejętność wznoszenia budowli dla wygody naszej i obrony, a myśmy zmienili je w jaskinie dla rozbójników i łotrów.

- A przecież, wielbny ojciec - odparła Katarzyna - nawet w tym roztaczającym się przed nami widoku możemy znaleźć pewną pociechę. Te oto cztery świątobliwe klasztory, wraz ze swymi kościołami i wieżami, spiszowym głosem dzwonów przypominają ludziom o ich powinności wobec Boga; mieszkańcy tych klasztorów, którzy porzucili świat i ziemskie zatrudnienia, by poświęcić się służbie bożej, dają najlepsze świadectwo, że choć Szkocja jest krajem krwi i grzechu, nie jest jednak głucha na żądania, które religia stawia ludzkości.

- Zaiste, córko - odparł zakonnik - to, coś rzekła, pozornie wydaje się prawdziwe. Gdy jednak spojrzymy na sprawę z bliska, przekonamy się, że pociecha, o której wspominasz, w znacznej mierze jest złudzeniem. Były czasy w świecie chrześcijańskim, gdy zacni mężowie, zdobywający chleb

pracą

własnych rąk, gromadzili się nie po to, aby żyć w wygodzie i spać na puchowych łóżach, lecz żeby wzmacniać się wzajemnie w chrześcijańskiej wierze i przygotowywać do głoszenia Słowa między ludźmi. Niewątpliwie nadal znaleźć można zacnych ludzi w tych świętych budowlach, na które patrzymy. Lękam się jednak, że w sercach większości ostygła miłość do Boga. Duchowni w naszym kraju stali się ludźmi bogatymi albo dzięki nadaniom osób pobożnych, albo dzięki przekupstwu niegodziwców, którzy wyobrażają sobie w swej bezdennej głupocie, że bogatymi darami na rzecz Kościoła mogą kupić owo przebaczenie, które niebiosa ofiarują jedynie skruszonym grzesznikom. I tak oto, w miarę jak Kościół obrasta w dostatki, jego doktryny mącą się i zaciemniają, jak światło umieszczone w lampie z cyzelowanego złota miast za płytkami górskiego kryształu. Bóg mi świadkiem, że jeśli dostrzegam te rzeczy i mówię o nich, to nie dlatego, że pragnę się wśród innych wyróżnić czy też chcę zostać prorokiem na niegodziwym świecie, tylko ponieważ w piersi mej płonie ogień, który nie pozwala mi milczeć. Jestem posłuszny regułom mego zakonu i nakazom surowego życia. Czy są to sprawy istotne dla naszego zbawienia, czy też są jeno czczą formalnością, która ma zastąpić brak szczerzej skruchy i głębokiej wiary, przysięgam je szanować i będę im posłuszny, gdyż inaczej mógłby mnie spotkać zarzut, że dbam o wygody ciała - chociaż Bóg mi świadkiem, że rad byłbym złożyć ofiarę z najsroźszych cierpień, gdyby mogło to wskrzesić czystość Kościoła lub przywrócić pierwotną prostotę obyczajów naszego kleru.

- Ach, ojciec, przecież właśnie za te twoje szlachetne poglądy ludzie nazywają cię lollardem* i wycliffitą* i mówią, że dążysz do zniszczenia kościoła i klasztorów i przywrócenia pogaństwa.

- I dlatego, córko - odparł mnich muszę szukać schronienia w górach i między skalami, dlatego ujdę niebawem między prostaczków z Pogórza, prostaczków żyjących dotąd w stanie większej łaski niżli ci, co ich pozostawiam za sobą, gdyż ich grzechy są grzechami niewiedzy, nie zaś pychy. Nie omieszka skorzystać z tej ofiarowanej mi przez niebiosa sposobności ucieczki przed okrucieństwem

mych prześladowców, uważam bowiem ową sposobność za znak dany mi od Boga, iż moja służba jest

jeszcze potrzebna. Ale Pan mój wie, że gdy taka będzie Jego wola, Klemens Blair z radością złoży w ofierze zbrukane życie na ziemi - w pokornej nadziei, że zamieni je na lepsze na tamtym świecie.

Czemu to, dziecino, rzucasz tak niespokojne spojrzenia ku północnej stronie? Młode oczy są bystrzejsze... czy widzisz kogoś?

- Wypatruję, ojcze, młodego Conachara, który ma cię zaprowadzić w góry, gdzie jego rodzic da ci bezpieczne, acz prymitywne schronienie. Przyrzekał mi to często, kiedy mówiliśmy o tobie i o twoich naukach... Ach, lękam się, że w obecnym swym otoczeniu prędko o nich zapomni.

- Dostrzegalem w tym młodzieńcu okrucieństwo stanu łaski - rzekł mnich. - Ale rasa, z której pochodzi, nadto jest przywiązana do własnych dzikich i okrutnych obyczajów, aby godzić się ulegle na hamulce religii czy praw społeczności. Nigdyś mi nie mówiła, córko, jak się to stało, że wbrew powszechnej praktyce zarówno mieszczan, jak Pogórczan młodzieniec ów zamieszkał w domu twego ojca.

- Wiem tylko - odparła dziewczyna - że jego ojciec jest człowiekiem znacznym w swoich górskich stronach i że prosił mego ojca, który prowadzi z tymi ludźmi handel, aby przyjął Conachara na jakiś czas do swego domu. I że dwa dni temu rozstali się, gdyż Conachar postanowił wrócić w góry.

- A jak się to dzieje - spytał mnich - że moja córka utrzymuje tak ścisłą łączność z owym góralczykiem, iż postanowiwszy dla mojego dobra skorzystać z jego pomocy, wiedziała, w jaki sposób go o tym zawiadomić?

Katarzyna zaczerwieniła się gwałtownie i odparła z wahaniem:

- Jeżeli posiadała kiedykolwiek wpływ na Conachara, Bóg mi świadkiem, że wykorzystywałam go tylko w tym celu, by okiełznać jego ognistą naturę i nagiąć ją do reguł cywilizowanego życia. Prawda to, że dawno już przewidywałam, iż będziesz, wielebny ojcze, zmuszony ratować się ucieczką, i dlatego umówiliśmy się z Conacharem, że jeśli go zawiadomię, przybędzie bez zwłoki na to właśnie miejsce. Wczoraj wysłałam do niego posłańca, młodego chłopaka z jego klanu, którego on sam

kierował niekiedy z poleceniami na Pogórze.

- Czy mam rozumieć, córko, że ów młodzieniec, tak bardzo urodziwy, nie znaczył dla ciebie nic więcej? Żeś chciała tylko rozweselić mroki jego umysłu i udoskonalić obyczaje?

- Taka, a nie inna jest prawda, ojcze - odparła Katarzyna. - I może źle się stało, że dopuściłam do zażyłości z tym góralczykiem, chociaż czyniłam to tylko dla jego nauki. Ale nigdy nie posunęłam się dalej.

- A więc byłem w błędzie, córko. Bo zdawało mi się, że ostatnimi czasy widzę w tobie jakąś zmianę, że niejako rzucasz wstecz tęskne spojrzenia na ten świat, który jeszcze tak niedawno chciałaś porzucić.

Katarzyna zwiesiła głowę i z gorętszym jeszcze rumieńcem na twarzy odparła:

- Ty sam, ojcze, sprzeciwiałeś się dawniej mej decyzji przywdziania welonu.

- Teraz też jej nie pochwalam - odparł mnich. - Małżeństwo to sakrament uświęcony przez Boga i ustanowiony dla kontynuacji rodzaju ludzkiego. Ale lękam się o twój los, dziecino, jak ojciec lęka się

o los swej jedynaczki... lękam się, że dasz rękę komuś, kto nie jest ciebie wart. Wiem, że Szymon

Glover, mniej wybredny w sprawach twego wyboru, niżli ja jestem, patrzy łaskawie na zaloty gwałtownego i awanturniczego hulaki, którego ludzie nazywają Harrym-płatnerzem. Jest bogaty, to prawda; ale jest też pospolitym zabijaką, który przelewa ludzką krew, jakby to była woda, i zadaje się

z rozpustnikami i wiatrogłowami. I taki człowiek miałby być odpowiednim mężem dla Katarzyny Glover? A przecież słyszałem, że niebawem mają się odbyć zaślubiny.

Piękna dziewczyna pobladła gwałtownie, znowu się spłoniła.

- Nie jego miałam na myśli - odparła spieszenie - choć to prawda, że ostatnio wymieniliśmy pewne uprzejmości, jako że jest on przyjacielem mojego ojca i, zgodnie z obyczajami naszych czasów, moim Walentynem.

- Walentynem? - zdumiał się ojciec Klemens. - Czyżbyś, córko, zgoła zapomniała o skromności i rozwadze niewieściej, żeś złączyła się takimi więzami z tego rodzaju człowiekiem? Czy myślisz, że ów święty Walenty, podobno zacny i chrześcijański biskup, mógł ustanowić tak płocho i gorszący obyczaj, który zapewne bierze swój początek w pogańskim kulcie Wenus lub Flory, kiedy to śmiertelni nazywali swoje namiętności imionami bóstw i starali się je raczej wzniecić niż opanować?

- Ojczy - przemówiła Katarzyna tonem, jakim nigdy dotąd nie zwracała się do kartuskiego mnicha - nie wiem doprawdy, dlaczego strofujesz mnie tak surowo za podporządkowanie się powszechnemu obyczajowi, uświęconemu tradycją i sankcjonowanemu przez mojego ojca. Przykro mi, że tak opacznie tłumaczysz sobie moje postęпки.

- Przebacz mi, córko - odpowiedział kapłan łagodnie - jeżeli cię obraził. Ale Harry Smith, czy też Gow, jest bezwstydnym, rozpustnym człowiekiem i jeżeli pozwolisz sobie na bliższą z nim zażyłość, narazisz się na gorsze jeszcze strapienia... chyba że istotnie zamierzasz go poślubić w najbliższym czasie.

- Nie mówmy o tym więcej, ojczy - rzekła Katarzyna - bo zadajesz mi większy ból, niżbyś może pragnął, a ja mogłabym ci odpowiedzieć w sposób zgoła niestosowny. Nie wiesz przecież, czy nie żałuję, iż podporządkowałam się temu płochemu zwyczajowi. W każdym razie uwierz mi, że Harry Smith nic dla mnie nie znaczy i że zerwałam nawet ową kruchą więź zapoczątkowaną w Dniu świętego Walentego.

- Rad to słyszę, córko moja - ucieszył się mnich. - A teraz muszę wspomnieć o innej jeszcze sprawie, która jest źródłem moich serdecznych niepokojów o ciebie. Wiesz o niej zapewne, choć wolałbym, żeby mnie okoliczności nie zmuszały do mówienia o materii tak niebezpiecznej - nawet pośród tych wzgórz i głązów. Ale wspomnieć o niej muszę. Katarzyno, twoim zalotnikiem jest syn jednego z najmożniejszych szkockich rodów.

- Wiem o tym - odpowiedziała dziewczyna spokojnie. - I wolałabym, żeby tak nie było.

- Ja bym też wolał - rzekł mnich - ale gdyby moja córka była jednym z owych płochych stworzeń, którymi dziewczęta zwykle bywają w jej wieku, zwłaszcza dziewczęta obdarzone zgubnym darem piękności. Lecz tak jak twoje wdzięki, aby użyć określeń czczego świata, wzbudziły uczucie w młodzieńcu wysoko urodzonym, tak też twoja cnota i mądrość, wiem o tym, zdołają utrzymać ów wpływ na duszę księcia, któryś zyskała dzięki niepospolitej urodzie.

- Ojciec - odparła Katarzyna - książe jest rozpustnym wszetecznikiem i względy, które mi okazuje, mogą mnie przywieść jeno do wstydu i sromoty. Czyż ty, ojciec, który zaledwie przed chwilą ganiłeś mnie, że w sposób nierozważny wymieniłam zwykle uprzejmości z człowiekiem mego stanu, możesz mówić pobłażliwie o zalotach, którymi dziedzic tronu szkockiego śmie mnie napastować? Wiedz zatem, ojciec, że zaledwie dwa dni temu książe wraz z kilku rozpustnymi dworakami porwałby mnie nocą z domu ojca, gdyby nie ówże popędliwy Harry Smith. Bo choć sięga on po miecz z byle powodu i przy lada okazji, zawsze jest gotów narazić życie w obronie niewinności i dla zwalczania przemocy.

Godzi mi się oddać mu tę sprawiedliwość.

- Wiem coś o tej sprawie - wyjaśnił mnich - jako że to mój głos rozkazał mu pośpieszyć ci z pomocą. Kiedy przechodząc mimo drzwi waszego domu spostrzegłem napastników i udałem się spiesznie na poszukiwanie straży, ujrzałem zbliżającą się z wolna ku mnie postać mężczyzny. Pewien, że jest to któryś z napastników, stanąłem za przyporą muru kaplicy Świętej Anny i dopiero z bliska rozpoznałem w mężczyźnie Harry'ego Smitha i domyślając się, w jakim zdąży kierunku, przemówiłem do niego i wtedy on przyśpieszył kroku.

- Wdzięczna ci za to jestem, ojciec - rzekła dziewczyna - ale całe to zdarzenie i słowa, którymi książe Rothsay do mnie przemawiał, dowodzą, że książe jest młodzieńcem rozpustnym i że nie cofnie się przed żadnymi, najbardziej choćby niegodziwymi sposobami zaspokojenia swych nieokiełznanych żądź... jakkolwiek okrutną cenę musiałaby za to zapłacić jego ofiara. Jego emisariusz, Ramorny, miał nawet czelność oświadczyć, że jeśli wybiorę małżeństwo z uczciwym człowiekiem miał rolę

nałożnicy żonatego księcia, mój ojciec drogo za to zapłaci. Nie widzę więc dla mnie innego ratunku niż welon klasztorny, gdyż inaczej narażę na zgubę siebie i mego biednego ojca. Gdyby nawet nie istniały inne powody, lęk przed pogroźkami ze strony człowieka zażywającego tak złej sławy wzbrania mi wszelkiej myśli o małżeństwie. Och, świątobliwy ojcze, jakże mi ciężko na duszy! I jakąż zgubę mogę zgotować memu ukochanemu ojcu... i każdemu, z kim zechcę związać mój nieszczęsny los!

- Nie upadaj na duchu, córko - powiedział mnich do dziewczyny - gdyż znaleźć możesz pociechę nawet w tym pozornym strapieniu. Ramorny to nikczemnik, który kusi do grzechu swego pana.

Prawda to, książe jest młodzieńcem rozwiązłym i płochym, ale jeśli mnie moje stare oczy nie mylą, jego charakter zmienia się powoli. Książe świadom już jest niegodziwości Ramorny'ego i żałuje, że stosował się do jego niecnym rad. Sądzę... nie, jestem najgłębiej przekonany, że uczucie księcia do ciebie, Katarzyno, stało się czystsze i szlachetniejsze i że jeśli twoje usta będą mu powtarzać nauki, jakiem mu wygłaszał o zepsuciu Kościoła i zgniliznie naszych czasów, nauki te zapadną głęboko w jego młodzieńczą duszę i wydadzą owoce, które zadziwią być może i uradują świat. Jeśli wierzyć starodawnemu proroctwu, Rzym padnie, gdy niewiasta wypowie przeciwko niemu słowa.

- Wszystko to są marzenia, ojcze - rzekła Katarzyna. - Piękne wizje człowieka, który zbyt często kieruje myśli ku wzniosłym rzeczom, aby móc słusznie oceniać zwykłe sprawy tego świata. Kiedy długo wpatrujemy się w słońce, widzimy potem wszystko jak za mgłą.

- Zbyt pochopne wyciągasz wnioski, moja córko - odparł ojciec Klemens - o czym nie omieszkać cię zaraz przekonać. Nie śmiałybym ukazać perspektyw, które przed tobą roztoczę, niewieście mniej niezłomnej w cnocie czy obdarzonej większą ambicją. Może źle czynię ukazując je nawet tobie, wszelako moja ufność w twoją rozwagę i w twe zasady jest bez granic. Wiedz zatem, że według wszelkiego prawdopodobieństwa Kościół Rzymski unieważni związek, któremu w swoim czasie nadał

moc, i zwolni księcia Rothsaya z małżeństwa z Marjorie Douglas.

W tym miejscu zakonnik umilkł.

- Jeśli Kościół ma moc i wolę to uczynić - rzekła dziewczyna - jakież wpływy na losy Katarzyny Glover

mógłby mieć rozwód księcia z jego małżonką?

Wypowiadając te słowa, wpatrywała się niespokojnie w zakonnika, który miał niejaki trudności ze sformułowaniem odpowiedzi, gdyż mówił ze wzrokiem wbitym w ziemię.

- Co piękność dała Katarzynie Logie? Jeśli nasi przodkowie mówili prawdę, piękność wyniosła ją na tron Dawida Bruce'a.

- A czy żyła szczęśliwie? Czy umarła opłakiwana przez naród? - spytało dziewczę tym samym spokojnym i opanowanym tonem.

- Pchnęły ją do tego związku ziemskie i być może występne ambicje - odparł ojciec Klemens. - A nagrodą jej były cześć i uciechy i w końcu udręka ducha. Gdyby wszelako poślubiła Dawida w przekonaniu, że powinnością wierzącej małżonki jest nawrócenie niewierzącego lub też utwierdzenie w wierze wątpiącego małżonka - jakaż wtedy byłaby jej nagroda? Miłość i szacunek na ziemi i miejsce w niebie obok królowej Małgorzaty i tych świątobliwych niewiast, które były serdecznymi opiekunkami Kościoła.

Dotąd Katarzyna siedziała na kamieniu u stóp ojca Klemensa i wznosiła ku niemu oczy, gdy mówił lub słuchał. Teraz jednak, jak gdyby pod wpływem opanowanego, lecz świadomego swej słuszności uczucia dezaprobaty, wstała i wyciągnęła doń rękę. A gdy przemówiła, zdawać się mogło, że oto przemawia anioł - współczujący i starający się nie ranić uczuć śmiertelnika, którego Bóg kazał mu zganić za popełnione błędy.

- Czyż to możliwe? - spytała. - Czyż to możliwe, że pragnienia, nadzieje i przesady tego zdołanego świata zawładnęły umysłem kapłana, który już może jutro będzie musiał oddać życie w walce z zepsuciem naszych grzesznych czasów i niegodziwością duchowieństwa? Czyż to możliwe, że ojciec

Klemens, ów wzór cnotliwości chrześcijańskiej, radzi swej córce, aby dążyła czy choćby myślała o miejscu na tronie i w łożu, które zwolnić się może jeno aktem krzyczącej niesprawiedliwości względem jego obecnej posiadzicielki? Czyż to możliwe, że ów świątły odnowiciel Kościoła chce oprzeć swój plan, sam w sobie zdrożny, na tak kruchych podstawach? Czyż podobna uwierzyć, że osławiony rozpustnik zmienił nagle swoje obyczaje i gotów jest w uczciwy sposób starać się o rękę córki rzemieślnika z Perth? Dwa dni dokonały w nim snadź tej ogromnej przemiany, za ledwie bowiem

dwa dni temu włamywał się nocą do domu mego ojca... w celach bardziej niegodziwych niż zamysły zwykłego złodzieja. A nawet gdyby Rothsay, idąc za głosem serca, pragnął poślubić osobę tak nisko urodzoną, czyż sądzisz, ojcze, że osiągnąwszy swój cel nie naraziłby na śmiertelne niebezpieczeństwo

swego życia i dziedzictwa tronu? Przecież zarówno Douglas, jak March uznaliby taki postępek księcia

za osobistą krzywdę i zniewagę. Och! Ojcze Klemensie, gdzież twoje zasady, gdzież twoja rozwaga, żeś pozwolił, aby cię omamiono mrzonkami tak dziwaczными... że najpokorniejszej z twych uczennic dano prawo czynienia ci tak gorzkich wyrzutów?

Gdy Katarzyna, boleśnie przejęta własnymi słowami, w końcu umilkła, łzy napłynęły do oczu starca.

- Przez usta dzieci i niemowląt - powiedział - Pan ganił tych, którzy wydawali się mędrkami w swoim

pokoleniu. Dziękuję niebiosom, które za pośrednictwem dobrotliwej nauczycielki rozświetliły mroki mego umysłu skażonego próżnością. Tak, Katarzyno, od dzisiaj nie będę miał prawa sądzić surowo tych, którzy walczą o ziemską władzę pod płaszczykiem religijnej gorliwości. Dziękuję ci, córko, za twoje zbawienne upomnienie i dziękuję Panu, że zesłał mi je przez usta twoje, nie zaś surowszego mentora.

Katarzyna podniosła głowę, żeby dobrotliwymi słowami pocieszyć starca, którego upokorzenie przejmowało ją serdecznym bólem, gdy nagle wzrok jej padł na niezwykle zjawisko w pobliżu. Wśród

potężnych głazów i skał okalających to miejsce odosobnienia wznosiły się dwie turnie stojące tak blisko siebie, że nasuwały myśl o jednej skale rozszczepionej piorunem lub podziemnymi wstrząsami.

W szczelinie w ten sposób powstałej rósł dąb, ilustrujący niejako jeden z owych kaprysów, na jakie natura często pozwala sobie w podobnych sytuacjach. Korzenie skarłowaciałego drzewa, rozpięte na ścianie skalnej, zdawały się pełznąć we wszystkich kierunkach w poszukiwaniu pożywienia - splecione, splątane, skręcone, podobne olbrzymim węzom z Archipelagu Indyjskiego. Gdy wzrok Katarzyny padł na ową dziwną plątaninę sękowatych gałęzi i korzeni, uświadomiła sobie nagle, że w gęstwinie tej jarzy się para oczu nieruchomo w nią wpatrzonych, jak ślepia zwierzęcia w potrzasku.

Drgnęła i bez słowa wskazała ślepie mnichowi, a gdy wyteżyła wzrok, dostrzegła w końcu zarys bujnej rudej czupryny i zmierzwionej brody, ukrytych dotąd w gmatwaniu korzeni i pędów.

Gdy Pogórzanin (bo był to mieszkaniec gór) zrozumiał, że go dostrzeżono, opuścił kryjówkę i postąpił

kilka kroków naprzód, ukazując ogromną postać odzianą w tartan w fioletowe, czerwone i zielone kraty, spod którego wyglądał skórzany kubrak. Łuk i strzały mężczyzna dźwigał na plecach, głowę zaś miał nie przykrytą i tylko olbrzymia szopa gęstych włosów osłaniała mu czerep i zastępowała hełm czy kołpak. Za pasem mężczyzny tkwił miecz i sztylet, w ręku zaś duński topór.

Tuż za pierwszym góraleńskim przeszedł przez skalne wrota cztery dalsze postacie mężczyzn, odzianych i uzbrojonych podobnie jak ten pierwszy.

Katarzyna nie przestraszyła się, nazbyt bowiem był jej zwyczajny widok Pogórzan w pobliżu Perth.

Spokojna i opanowana obserwowała, jak pięciu olbrzymów otacza półkolem ją i mnicha, wpatrując się

w nich ogromnymi, nieruchomymi oczami, w których Katarzyna odczytała nieme uwielbienie dla swej

piękności. Skłoniła głowę i łamanym językiem Pogórzan wypowiedziała zwykłe słowa powitania.

Przywódca grupy odwzajemnił jej się podobnymi słowami, a potem umilkł i dalej stał bez ruchu. Ojciec

Klemens odmawiał różaniec, a po chwili nawet Katarzyna odczuła pewien niepokój i zapragnęła się

przekonać, czy Pogórzanie uważają ich za swoich jeńców. Dla próby postąpiła kilka kroków naprzód,

jak gdyby zamierzając zejść ze wzgórza; ale gdy usiłowała przekroczyć linię wojowników, ci zamknęli jej przejście wyciągniętymi toporami.

Trochę zmieszana, choć bynajmniej nie strwożona, trudno bowiem było jej uwierzyć w złe zamiary

Pogórzan, siadła na jednym z głazów i zwróciła się do zakonnika ze słowami otuchy.

- Jeśli się lękam - rzekł ojciec Klemens - to nie o siebie. Bo gdyby mnie nawet ci dzicy ludzie zarabali

toporami, jak wolu, który wycieńczony pracą idzie na rzeź, lub gdyby mnie związali cięciwami łuków

i oddali w ręce tych, którzy zadadzą mi śmierć wymyślniejszą, nic mi to, jeśli tobie, ukochana córko, pozwolą odejść w spokoju.

- Żadne z nas, ojczy, nie ma powodu lękać się złego - odparła Katarzyna. - A oto idzie Conachar, który

nas o tym upewni.

Ale wypowiadając te słowa, niemal nie wierzyła własnym oczom, tak odmieniona była cała postać i wygląd dorodnego i okazale odzianego młodzieńca, który zeskoczywszy jak górski kozieł z wysokiej skały, wylądował u jej stóp. Miał na sobie strój z takiego samego tartanu jak stojący obok wojownicy,

ale ozdobiony przy szyi naszyjnikiem, a na łokciach bransoletami ze szczerego złota. Kolczuga okrywająca jego tułów była stalowa, lecz tak pięknie wypolerowana, że błyszczała jak srebro. Na rękawach kaftana pyszniły się wspaniałe hafty, kołpak zaś, prócz orlego pióra będącego emblematem przywódcy, był przyozdobiony złotym łańcuchem owiniętym kilkakroć dokoła i spiętym dużą klamrą bogato wysadzaną perłami. Brosza, przytrzymująca na ramieniu tartanową opończę czy też chustę, była również złota, rzeźbiona w dziwaczne wzory. Conachar nie miał przy sobie oręża, a w ręku trzymał tylko witkę z zakrzywionym końcem. Z całego jego wyglądu i postawy, które dawniej

wskazywały na gorycz uświadamianego sobie poniżenia, była teraz pewność siebie, duma i zuchwalstwo; dufny i wyniosły, stał przed Katarzyną, jak gdyby w pełni świadomy zasług w nim zmian, i czekał, aż go rozpozna.

- Conacharze - odezwała się w końcu Katarzyna, pragnąc przełamać męczące napięcie - czy to są wojownicy twego ojca?

- Nie, piękna Katarzyno - odparł młodzieniec. - Nie ma już Conachara, istnieją jeszcze tylko krzywdy,

które mu wyrządzono, i zemsta, której te krzywdy się domagają. Jam jest Ian Eachin MacIain, syn przywódcy klanu Quhele. Wraz ze zmianą imienia zrzuciłem, jak widzisz, dawną skórę. A jeśli idzie o

tych ludzi, należą oni do drużyny mojej, nie mego ojca. Widzisz ich tu tylko połowę. W pełnym składzie stanowią dziewięcioosobową grupę złożoną z mego dawnego piastuna i jego ośmiu synów.

Jest to moja straż przyboczna, ludzie oddani mi duszą i ciałem, gotowi pójść za mną w ogień. Ale

Conachar - dodał tonem łagodniejszym - wróci do życia, ilekroć Katarzyna będzie sobie tego życzyła.

A chociaż dla wszystkich innych jest młodym przywódcą klanu Quhele, dla niej jest pokornym i posłusznym sługą, jak kiedy był czeladnikiem Szymona Glovera. Spójrz, oto kijek, któryś mi dała, kiedy wczesną jesienią zbieraliśmy razem orzechy na słonecznych stokach Lednoch. Nie oddałbym go, Katarzyno, za buławę mojego szczepu.

Gdy Eachin mówił, Katarzyna zaczęła się zastanawiać, czy postąpiła rozsądnie, zwracając się o pomoc do zuchwałego młodzieńca, którego najwyraźniej rozpierała duma, że oto niespodzianie został wyniesiony ze stanuomalże niewolnictwa na pozycję dającą mu rozległą władzę nad gromadą nader niebezpiecznych adherentów.

Powiedz, chyba nie lękasz się mnie, piękna Katarzyno? - spytał młody wojownik ujmując jej rękę. -

Rozkazałem moim ludziom, żeby tu przyszli kilka chwil przede mną, bo chciałem się przekonać, jak podziela na ciebie ich obecność. Sądzę, żeś ich potraktowała jak urodzona żona przywódcy.

- Nie mam powodu obawiać się Pogórczan - odparła Katarzyna stanowczo. - Zwłaszcza kiedy wiem, że

Conachar jest z nimi. Conachar pił z naszego dzbana i jadł przy naszym stole. A mój ojciec utrzymuje stosunki z Pogórczanami i nigdy nie było między nim a nimi waśni czy niezgody.

- Nie było? - wybuchnął Hektor, taki jest bowiem saksoński odpowiednik celtyckiego imienia Eachin.

- Ha! Nawet wtedy, kiedy stanął po stronie płatnerza przeciwko Eachinowi MacIanowi? Nie próbuj

go nawet usprawiedliwiać i uwierz mi, że ty sama będziesz winna, jeśli kiedykolwiek w przyszłości jeszcze o tym wspomnę. Ale miałaś czegoś ode mnie zażądać... rzeknij słowo, a twój rozkaz będzie spełniony.

Katarzyna pośpieszyła z odpowiedzią; w sposobie bycia bowiem i słowach młodego przywódcy było coś, co nagliło ją do jak najrychlejszego z nim rozstania.

- A więc, Eachinie... skoro nie nosisz już imienia Conachara - rzekła - uwierz mi, że prosząc o przysługę człowieka równego mi stanem, nie wiedziałam, że zwracam się do kogoś, kto tak jest możny i znamienity. Oboje korzystaliśmy z nauk religijnych tego tu zacnego starca. Znalazł się on w wielkim niebezpieczeństwie. Podli ludzie oskarżyli go fałszywie, pragnie więc, dopóki burza nie ucichnie, schronić się w jakimś bezpiecznym miejscu.

- Co mówisz? Zacny ojciec Klemens? Przyznaję, że dobrotliwy ten człowiek wiele dla mnie uczynił...

starał się dać mi więcej nawet, niż mogła w siebie wchłonąć moja popędliwa natura. Ha! Poradzę sobie z każdym, kto w mieście Perth ośmieli się prześladować człowieka, któremu MacIan gwarantował bezpieczeństwo!

- Byłoby może ryzykowne zbytnio temu ufać - powiedziała Katarzyna. - Wiem, jak wielka jest siła twojego klanu, ale kiedy Czarny Douglas wstąpi na ścieżkę wojenną, nie odstraszą go góralskie tartany.

Słowa te ubodły młodzieńca, pokrył jednak niezadowolenie wymuszonym uśmiechem.

- Wróbel skaczący tuż przed oczami - rzekł - wydaje się większy od orła siedzącego na szczycie Bengoil. Lękacie się Douglasów, ponieważ są w waszym najbliższym sąsiedztwie. Ale niech się stanie

wedle twojej woli. Nie uwierzyłabyś, jak daleko poza barierę mrocznych gór sięgają nasze wzgórza, doliny i lasy, i wydaje ci się, że cały świat to ziemie nad rzeką Tay. Ale ten zacny kapłan zobaczy wzgórza, które dadzą mu bezpieczne schronienie, jeśli nawet wszyscy Douglasowie ze swymi drużynami puszcza się za nim w pogoń... i zobaczy mnogość ludzi tak wielką, że na ich widok Douglasowie radzi byłiby wrócić czym prędzej na południowe stoki Grampian. Ale czemu ty ze swoim ojcem nie miałabyś do nas przyjechać? Przyślę zbrojnych, którzy wyprowadzą was bezpiecznie

z Perth... Szymon Glover mógłby uprawiać swoje dawne rzemiosło gdzieś na północ od Loch Tay... tylko że ja nie krajałbym już rękawiczek! Zaopatrywałbym twego ojca w skóry, ale bym jej nie krajał... chyba że dopóki jest na grzbiecie zwierzęcia...

- Pewna jestem, Conacharze... to jest, Hektorze... że mój ojciec odwiedzi kiedyś twoje domostwo. Ale

czasy są teraz niespokojne, bo doszło do waśni między mieszczanami a wasalami możnych lordów... mówi się też, że lada chwila wybuchnie wojna na Pogórze.

- Na Matkę Najświętszą - słusznie mówisz, Katarzyno! I zapewniam cię, moja piękna, że gdyby nie ta wojna gotująca się na Pogórze, nie udałoby ci się odłożyć przyrzeczonej wizyty! Ale górale nie będą dłużej żyli podzieleni na dwa wrogie narody. Poprowadzą między sobą bój o władzę i ten, kto ją zdobędzie, wda się w układy z królem Szkocji jako równy z równym. Módl się, żeby zwycięstwo przypadło MacIanowi, pobożna Katarzyno, bo będziesz wznosiła modły za kogoś, kto gorąco cię kocha.

- Będę się modliła za tego, kto ma słuszość po swojej stronie - odparła Katarzyna. - Albo raczej będę

się modliła, aby zapanował pokój. Żegnaj, zacny i szlachetny ojciec Klemensie. Nie zapomnę nigdy twoich nauk... Ale czy podołasz tak męczącej podróży?

- W razie potrzeby moi ludzie poniosą go - uspokoił ją młodzieniec. - Chyba że znajdziemy gdzieś niedaleko konia. Ale ty, Katarzyno... droga do Perth jest daleka. Pozwól, że cię odprowadzę, jakem to zwykł czynić za dawnych czasów.

- Gdybyś był tym, kim dawniej byłeś, chętnie szłabym pod twoją eskortą. Ale złote brosze i naramienniki nie są bezpiecznym towarzystwem, gdy na drogach tyłu jest kopijników z Annandale i Liddesdale, co zeszlých liści w Dniu Zadusznym. Niebezpieczne byłoby spotkanie między góralskimi tartanami a kolczugami ze stali.

Katarzyna zaryzykowała tę uwagę podejrzewając, że kiedy młody Eachin zrzucił dawną skórę, nie wyzbył się wszystkich nawyków skromniejszego czeladniczego życia, i że mimo dumnych i śmiałych słów zbraknie mu odwagi, by stawić czoło przeważającej liczbie zbrojnych, których mógłby spotkać w pobliżu miasta. Okazało się, że miała słuszość; w tym bowiem miejscu nastąpiło pożegnanie, podczas którego - broniąc nienaruszalności warg - pozwoliła Conacharowi pocałować się w rękę, po czym odeszła w kierunku Perth; schodząc ze zbocza, odwracała kilkakroć głowę i dostrzegała oddziałek Pogórzan zdążający na północ po stromych i niedostępnych ścieżkach.

Poczuła ulgę, gdy zwiększyła się odległość między nią a tymi wojownikami, którzy słuchali ślepo swego przywódcy, młodzieńca nieopanowanego i porywczego. Nie lękała się w drodze powrotnej napaści ze strony zbrojnych grup wałęsających się po gościńcu, albowiem w owych czasach zasady rycerskości lepiej chroniły niewinne dziewczę niżli eskorta uzbrojonych mężów, którzy mogli spotkać

na drodze stronników wrogiego obozu. Ale myśl o innych niebezpieczeństwach budziła w jej duszy niepokój. Zaloty rozwiązłego księcia tym bardziej ją przerażały, że jego niecny doradca, Ramorny, ośmielił się grozić jej ojcu, jeśli ona będzie obstawała przy swej niewinności. Tego rodzaju

pogróżki

w ustach człowieka tak niebezpiecznego dawały w tamtych czasach aż nazbyt rzeczywiste podstawy do lęku; również zaloty Conachara, z którymi młodzieniec prawie się nie krył w czasie swego czeladnictwa, a które jawnie teraz podjął, wydawały się dziewczynie nader niebezpieczne, jako że Pogórzanie często najjeżdżali Perth, uprowadzając niekiedy mieszczan z ich własnych domów, a bywało też, że mieszczanie padali na ulicach swego miasta przebici góralskimi mieczami. Lękała się też natręctwa ojca przemawiającego za Harrym Smithem, gdyż dotarły już do niej wieści o gorszącym zachowaniu się płatnerza w Dniu świętego Walentego. Ale nawet gdyby płatnerz cieszył się w jej oczach najlepszą opinią, nie śmiałyby przyjmować jego zalotów, gdyż zbyt żywo dźwięczały jej w uszach pogróżki Ramorny'ego. Rozmyślała teraz o tych licznych niebezpieczeństwach z najwyższym niepokojem i serdecznie pragnęła uciec od nich - i od siebie samej - w zacisze murów klasztoru; rozumiała jednak, że nie otrzyma zgody ojca na tę jedyną drogę gwarantującą jej spokój i wytchnienie.

Ale w tych refleksjach Katarzyny jakoś żadną miarą nie możemy dostrzec wyraźnie odczuwanego żalu, iż osaczyły ją te wszystkie niebezpieczeństwa, ponieważ jest Pięknym Dziewczęciem z Perth. I to jedno pozwoli nam wysnuć wniosek, że Katarzyna nie była jeszcze aniołem; a także chyba to, że mimo prawdziwych czy rzekomych przewinień Harry'ego Smitha, z jej piersi wyrwało się westchnienie, gdy pomyślała o porannym spotkaniu w Dniu świętego Walentego.

ROZDZIAŁ XV

Ach, w potęgi hańście zmoczyć

Duszę, którą zły sen toczy!

Bertha

Przedstawiliśmy czytelnikowi tajemnice konfesjonału; nie ukryjemy przed nim tajemnic izby chorego.

W zaciemnionej komnacie, gdzie rozłożone na stołach maście i mikstury wskazywały, że działał tu medyk znający arkana swego rzemiosła, leżał na łóżku wysoki, szczupły mężczyzna, odziany w

koszulę nocną przewiazaną w pasie; na jego obliczu malowało się cierpienie, w piersiach szalała burza

tysiąca namiętności. Wszystko w tej komnacie dowodziło, że jej mieszkaniec jest człowiekiem bogatym i możnym. Henbane Dwining, aptekarz i eskulap w jednej osobie, przemykał się kocim krokiem z jednego końca izby na drugi, zajęty przygotowaniem leków i opatrunków. Chory jęknął przeciągle, a wtedy medyk zbliżył się do łoża i spytał, czy jęk ów jest oznaką bólu cielesnego, czy też duchowej udręki.

- Obu, ty obmierzły trucicielu - odparł sir John Ramorny. - A także tego, że muszę cierpieć twoje przeklęte towarzystwo.

- Jeśli to wszystko, łącznie mogę uwolnić waszą miłość od jednej z owych dotkliwych przykrości, opuszczając tę komnatę i udając się gdzie indziej. W naszych burzliwych czasach tak wiele jest waśni,

że gdybym miał dwadzieścia par rąk, miał tych dwóch biednych sług mego rzemiosła (tu pokazał pacjentowi swoje chude dłonie), znalazłbym dla nich dość pracy... pracy, rzecz jasna, dobrze wynagrodzonej, w domach, w których słowa wdzięczności rywalizują ze sztukami złota w opłacaniu moich usług. A tymczasem sir John Ramorny wyładowuje na biednym cyruliku ów gniew, który powinien kierować przeciwko sprawcy swego kalectwa.

- Łotrze, udzielanie ci odpowiedzi nie licowałoby z moją godnością. Ale gdy mówisz, twój zjadliwy język jak sztylet zadaje mi przy każdym słowie rany, których nie zdołałyby wyleczyć najwymyślniejsze leki Arabii.

- Nie rozumiem, co wasza miłość masz na myśli. Ale jeśli będziesz, panie, poddawał się tym napadom gniewu, jako żywo wywiąże się gorączka i jątżenie rany.

- Czemu więc mówisz rzeczy, od których burzy się we mnie krew? Czemu pleciesz bajki o dwudziestu

parach rąk, którymi natura miałaby obdarzyć takiego nędżnego łajdaka, jakim ty jesteś, podczas gdy

ja, rycerz i szlachcic, zostałem okaleczony na całe życie?

- Sir Johnie Ramorny, nie jestem teologiem - odparł cyrulik - ani też specjalnie gorliwym wyznawcą prawd, które głoszą nam teologowie. Ale chciałbym ci przypomnieć, panie, że Opatrzność ci sprzyjała. Bo gdyby cios, który spowodował tę ranę, wylądował na szyi, jak był zamierzony, potężne owo zamachnięcie obciąłoby ci głowę miast tego mniej ważnego członka.

- Żałuję, że się tak nie stało, Dwining... żałuję, że miast dłoni nie odrąbano mi głowy. Nie patrzyłbym wtedy, jak misterny plan, który uprząłem niczym najdelikatniejszą sieć pajęczą, pęka pod naporem chamskiej siły pijanego prostaka. Nie patrzyłbym wtedy na wierzchowce, których nie będę już nigdy dosiadał, na szranki, w których nie będę stawał, na zaszczyty, po które nie będę mógł sięgać, na boje, w których nie będę uczestniczył. Nie byłbym wtedy skazany... ja, z całą moją męską pasją do walki i całą żądzą władzy... na miejsce wśród niewiast... przez nie też pogardzany jako nieszczęsny, bezsilny kaleka, który nie może nawet zabiegać o względy niewieście.

- Nawet jeśli to wszystko jest prawdą - odparł Dwining zajęty wciąż opatrywaniem ręki chorego - ośmielę się zwrócić uwagę, że oczy, które byś stracił, panie, wraz z głową, a które zostały ci jednak oszczędzone, mogą ukazać waszej miłości perspektywy takich rozkoszy, jakich dostarczyłyby mu albo zwycięstwa odniesione w szrankach czy w bitwie, albo miłość niewiast.

- Zmysły tak mam oziębiałe, że nie zdołał pochwycić sensu twoich, słów, medyku. Jakież to nieziemskie rozkosze pozostały mi jeszcze po tej strasznej katastrofie?

- Najdroższe sercu ludzkiemu - odparł Dwining; a potem tonem kochanka wypowiadającego imię uwielbianej, tonem nabrzmiałym namiętnością, dodał: - Zemsta!

Pacjent uniósł się na łożu i chciwie czekał na wyjaśnienie enigmatycznych słów medyka. Gdy je usłyszał, opadł znów na poduszki i po chwili milczenia spytał:

- W jakim to chrześcijańskim kolegium, mistrzu Dwining, nauczono cię tej moralności?

- Nie w chrześcijańskim kolegium, panie - odparł cny aptekarz. - Bo chociaż skrycie uznawana jest

ona na wszystkich uniwersytetach, jawnie nie propaguje się jej na żadnej uczelni. Ale studiowałem pośród mędrców Granady, gdzie ognisty Maur wysoko podnosi swój morderczy sztylet ociekający krwią wroga i otwarcie wyznaje doktrynę, którą bladolicy chrześcijanin praktykuje, chociaż w tchórzliwości serca nie ośmiela się wspomnieć o niej głośno.

- Widzę, że wznioślejszy z ciebie łotr, niżli przypuszczałem - rzekł Ramorny.

- Och, mniejsza z tym - rzekł Dwining. - Wody najcichsze są też zwykle najgłębsze; a

najniebezpieczniejszy jest nieprzyjaciel, który nie grozi, dopóki nie zada ciosu. Wy, rycerze i mężowie

zbrojni, zdążacie prosto do celu, z obnażonymi mieczami. My, mężowie uczeni, zdążamy okólną drogą i krokiem bezszelestnym, ale osiągamy nasz cel równie niezawodnie.

- Czyż ja, com szedł się mścić żelaznym krokiem, którego echo zagłuszało wszystko dokoła, mam się teraz przemykać w twoich cichostępach?

- Komu braknie siły - oznajmił chytry medyk - ten osiąga swoje cele zręcznością.

- Rzeknij mi szczerze, aptekarzu, czemu udzielasz mi tych diabelskich nauk? Czemu to naglisz mnie, abym dopełnił zemsty prędzej, niżli może zamierzam? Nie od dziś żyję na tym świecie i wiem, że tobie podobni nie mielą na próżno ozorem ani nie wyciągają niebezpiecznych zwierzeń od ludzi mego pokroju... chyba że chcą upiec przy okazji własną pieczeń. Czemu to interesuje cię tak żywo droga, czy to pokojowa, czy krwawa, na którą być może zamierzam wkroczyć?

- Mówiąc całkiem otwarcie, co nie zdarza mi się zbyt często - odparł Dwining - moja droga do zemsty

biegnie równolegle z drogą waszej miłości.

- Równolegle z moją? - zdziwił się Ramorny nie tając pogardy. - Sądziłbym, że jest ona dla ciebie zgoła niedostępna. Pragniesz tej samej zemsty co sir John Ramorny?

- Tejże samej - odparł Dwining - ów bowiem łajdacki płatnerz, który okaleczył waszą miłość, często mnie znieważał i krzywdził. Przeciwstawiał mi się w radzie i lekcewał w działaniu. Jego chamska i

impetyczna prostolinijność jest obelgą dla subtelności mej natury. Boję się go i nienawidzę.

- I masz nadzieję znaleźć we mnie czynnego pomocnika? - spytał Ramorny tym samym pogardliwym tonem. - Wiedz zatem, że rzemieślnik ów jest istotą zbyt nędzną, bym się go mógł lękać albo go nienawidzić. Ale nie uniknie on swego losu. Nie czujemy nienawiści do gada, który nas ukłuł żądłem, możemy go jednak strącić z rany i zdeptać obcasem. Znam łotra od dawna i wiem, że krzepki z niego wojownik, a ponadto słyszałem, że pretenduje do łask owej oziębłej kukły, której piękność, niech to diabli, dała nam asumpt do naszego obiecującego i roztropnego zamachu! O demony, które rządzą tym piekielnym światem! Jakąż to kierowaliście się złośliwością, postanawiając, że dłoń, która zniżała

kopię mierząc w pierś księcia, została odrąbana przez chama podczas burdy nocnej? Cóż, medyku, do tego miejsca nasze drogi biegną zgodnie i uwierz mi, proszę, że zdepczę dla ciebie tego gada. Ale nie próbuj mi uciec, kiedy zostanie dokonany ten pierwszy akt mojej zemsty, której spełnienie nie będzie bynajmniej trudne.

- Nietrudne, ale też i niełatwe - rzekł aptekarz. - Nie będzie miał prostego i bezpiecznego zadania ten, komu wasza miłość każe rozprawić się z Harrym Smithem. Posiada on siłę i odwagę niepospolitą i włada mieczem ze zręcznością, której nie dorówna nikt w całym Perth i okolicy.

- Nie lękaj się, aptekarzu. Smith zostanie ukarany, nawet gdyby miał siłę Samsona. Ale zapamiętaj, co

ci powiem! Ty też nie unikniesz zemsty, jeśli nie staniesz się moim biernym narzędziem w wydarzeniach, które potem nastąpią. Raz jeszcze powtarzam - zapamiętaj, co ci powiem. Nie studiowałem w mauretańskich kolegiach i nie dorównyвам ci może żądzą zemsty, ale mimo to zaspokoję moją mściwość. Słuchaj uważnie, cyruliku, gdy będę przedstawiał ci mój plan. Ale strzeż się zdrady, bo jakkolwiek potężny jest twój szatański patron, pobierałeś nauki u pośledniejszego rangą

diabła niżli moi mentorzy. A więc słuchaj... pan, któremu służyłem tak w cnocie, jak w grzechu z gorliwością być może szkodliwą dla mego charakteru, lecz z niezachwianą wiernością... człowiek,

dla

którego poniosłem ową nieodwracalną stratę, ma zamiar, na prośbę swego dzieciinniałego ojca, uczynić ze mnie kozła ofiarnego... ma zamiar odmówić mi swoich faworów i pozostawić mnie na łasce swego obłudnego krewnego, z którym pragnie się pojednać moim kosztem. Jeśli wytrwa w tym niegodziwym zamiarze, twoi najokrutniejsi Maurowie, choćby mieli twarze czarne jak dymy piekieł, spłoną rumieńcem wstydu patrząc na akt zemsty, przy którym ich mściwość wyda się niewinną igraszką! Ale zanim spadnie na niego mój nieprzejednany i niepohamowany gniew, dam mu jeszcze jedną szansę uratowania honoru i zapewnienia sobie bezpieczeństwa. A zatem, mój cyruliku, zwierzyłem ci się z części mych planów. Przypieczętuujmy tę umowę uściskiem dłoni... rzekłem, uściskiem dłoni? Ha! Gdzież jest dłoń, którą Ramorny winien wznosić na znak złożonej przysięgi? Przybita do pręgierza na rynku albo rzucona na pożarcie bezpańskim psom, w tej chwili może walczyć o nią z obnażonymi kłami. Połóż więc rękę na tym krwawym kikucie i przysięgnij, że będziesz wiernym współautorem mojego dzieła zemsty, jak ja będę twojego. Jakże to, imć lekarzu, pobladłeś... ty, który rozkazujesz śmierci, by odeszła lub by atakowała, drżysz na samą myśl o niej czy

na dźwięk jej imienia? Nie wspomniałem dotąd o twym wynagrodzeniu, bo komuś, kto miłuje zemstę dla niej samej, nie jest potrzebna inna nagroda... Ale jeśli rozległe połacie ziemi i trzosi ciężkie od złota zwiększą twój zapał, uwierz mi, że ci ich nie zabraknie.

- Znaczą one coś niecoś w moich skromnych dążeniach - odparł Dwining. - Człowiek biedny na tym naszym ruchliwym świecie jest podobny karłowi, którego tłum potraça i depce nogami. Bogaci i możni wznoszą się ponad zbitą ciżbę jak giganci zażywający wygody.

- A więc ty też, medyku, wzniesiesz się ponad zbitą ciżbę tak wysoko, jak wysoko zdoła cię wynieść złoto. Ta kieszka waży niemało, ale jest tylko zadatkiem twej nagrody.

- A co z płatnerzem, mój szlachetny dobroczyńco? - spytał aptekarz chowając kieszkę. - Czy wieść, że zapłacił on okrutną karę, nie złagodzi bólu waszej miłości lepiej niż najsłynniejsze balsamy arabskie,

którymi natarłem ranę?

- Prostack ten nie jest godny zaprzętać myśli Ramorny'ego. Nie żywię do niego większej urazy niż do oręża, którym zadał cios. Ale słusznym jest, abyś ty wyładował na nim swą nienawiść. Gdzie najłatwiej go spotkać?

- Zastanawiałem się już nad tym - rzekł Dwining. - Próba napaści na jego dom w dzień byłaby działaniem zbyt jawnym i niebezpiecznym, pomaga mu bowiem w kuźni pięciu czeladników, z których czterej to krzepcy pacholki, wszyscy zaś gotowi pójść za swoim panem w ogień.

Nocne poczynania byłyby nie mniej ryzykowne, jako że drzwi jego domu zabezpiecza dębowy rygiel i

żelazna zasuwka i zanim ktokolwiek wdrze się do środka, zaalarmuje całe sąsiedztwo, zwłaszcza że mieszczanie wciąż są czujni po wydarzeniach w wilię świętego Walentego.

- To mi przypomina, medyku - rzekł Ramorny - że szachrujesz również za moimi plecami... Sam przecież mówiłeś, żeś poznał moją dłoń i sygnet, kiedy znaleziono ją na bruku niczym ochłap rzeźniczy... Czemu więc, skoroś ją poznał, poszedłeś wraz z tą zgrają zakutych łbów mieszczańskich do sir Patricka Charterisa, któremu powinno się odrąbać rycerskie ostrogi za przychylność

okazywaną miejskiej hołocie, a którego, tu wraz z nimi przyprowadziłeś, aby znieważał martwą dłoń... Gdyby dłoń ta znajdowała się na właściwym miejscu, Charteris nie byłby godny dotknąć jej w pokoju ani zmierzyć się z nią w wojnie.

- Szlachetny mój dobroczyńco, jakem tylko zrozumiał, że to ty poniosłeś stratę, zacząłem ich przekonywać z całą siłą perswazji, żeby poniechali sporu, ale ów chełpliwy Smith i kilku innych zapaleńców zakrzyczało resztę, dopominając się zemsty. Jak wasza miłość wie, człek ten mieni się kawalerem Pięknego Dziewczęcia z Perth, uważa więc, że honor nakazuje mu stawać po stronie starego Glovera. Ale już ja mu u nich zepsułem markę, co jest małym zadatkiem mojej dla niego zapłaty.

- Jakże to, imć cyruliku? - spytał Ramorny.

- Wasza miłość zaraz się przekona - wyjaśnił Dwining - że ów Smith nie prowadzi cnotliwego życia, tylko jest hulaką i rozpustnikiem. Spotkałem go w Dniu świętego Walentego, niedługo po bijatyce między mieszczanami a wasalami Douglasa. A jakże, spotkałem go, kiedy się przemykał przez boczne ulice i alejki, prowadząc zwykłą minstrelkę... pod jednym ramieniem niósł jej lutnię i jej psa, drugim podtrzymywał bujną postać dziewczyny. No i co wasza miłość o tym sądzi? Sprytna sztuka z tego płatnerza... udaremnia miłość księcia z najpiękniejszą dziewczyną w Perth, odrąbuje dłoń rycerza i barona i dla zaspokojenia własnych żądz znajduje sobie wędrowną minstrelkę... a wszystko to w ciągu dwudziestu czterech godzin!

- Przebóg, lepsze mam o tym człowieku mniemanie, bo choć zwykły z niego chłystek i prostak, nie brak mu pańskiej fantazji! - zaśmiał się Ramorny. - Wolałbym, żeby był świętoszkiem zamiast hulaką, bo wtedy jeszcze chętniej pomógłbym ci w twojej intrydze. Ale mimo to doprowadzimy ją do końca. Pewien jestem, żeś jej pierwszy akt rozpoczął zręcznym manewrem.

- Do pewnego stopnia - odparł aptekarz. - Postarałem się, żeby kilka najgorszych plotkarek na Curfew

Street, którym nie było w smak, że okrzyczano Katarzynę Pięknym Dziewczęciem z Perth, usłyszały coś niecoś o jej wiernym Walentynie. Tak skwapliwie rzuciły się na wskazany trop, iż po chwili miast

wątpić w moją opowieść, gotowe były raczej na nią przysięgać, jak gdyby same były świadkami zdarzenia. Zalotnik zjawił się w domu ojca Katarzyny mniej więcej w godzinę później i wasza miłość

może sobie wyobrazić, jakie przyjęcie zgotował mu rozsierdzony Glover, bo pannica nawet do niego nie wyszła. Jak więc widzisz, panie, miałem przedsmak zemsty. Mam przecie nadzieję, że otrzymam pełną jej miarę z rąk waszej miłości, z którym jestem w braterskim przymierzu, co...

Braterskim! - zaśmiał się rycerz wzgardliwie. - Ale niech ci będzie, kapłani mówią, żeśmy wszyscy

braćmi. Trudno powiedzieć, chociaż podług mnie istnieją jednak pewne różnice. Ale szlachetniejszy kruszec stopi się z poślednim i doczekasz się swojej zemsty. Niech przyjdzie mój paż.

Przywołany przez medyka paż wszedł do komnaty.

- Eviot - ozwał się rycerz - czy Bonthron jest na przedpokojach? I czy trzeźwy?

- O tyle trzeźwy, o ile kwarta gorzałki zdążyła mu wywietrzeć z głowy podczas godzinnego snu.

- Sprowadź go do mnie i zamknij drzwi.

Po chwili dały się słyszeć ciężkie kroki i na progu stanął mężczyzna, który szerokością potężnych barów nadrabiał braki wzrostu i postawy.

- Bonthron - rzekł Ramorny - jest ktoś, kim się musisz zająć.

Ponura twarz mężczyzny rozpogodziła się, wyszczerzył zęby w pełnym zadowolenia uśmiechu.

- Ten tu aptekarz wskaże ci osobnika, z którym się rozprawisz. Wybierz starannie czas, miejsce i okoliczności, abyś miał pewność dobrego wyniku. I uważaj, żeby ci się samemu nie dostało, bo chodzi

tu o walecznego płatnerza nazwiskiem Smith.

- Niełatwa sprawa - zaskrzeczał skrytobójca. - Bo jak sam nie zadam śmiertelnego ciosu, będę się mógł uważać za nieboszczyka. W Perth głośno jest o zręczności i sile tego rębajły.

- Zatem weź sobie dwóch pomocników - doradził rycerz.

- Co to, to nie - odparł Bonthron. - Jeśli wasza miłość chce coś podwoić, to lepiej moją nagrodę.

- Zapłacę ci podwójnie, tylko niech robota będzie porządnie wykonana.

- Wasza miłość może mi ufać... dotąd nigdy się na mnie nie zawiódł.

- Ten uczony mąż udzieli ci dalszych informacji - dodał rycerz wskazując na aptekarza. - A teraz dobrze uważaj: poczekaś na niego w sieni... i żebyś mi nie pił, dopóki nie wykonasz zadania.

- Wasza miłość może się nie obawiać - odparł złowieszczy sługa. Moje życie zależy od siły i pewności

moich ciosów. Wiem dobrze, z kim będę miał do czynienia.

Możesz odejść. Czekać, aż cię mistrz Dwining zawoła, i miej topór i sztylet w pogotowiu.

Bonthron skłonił się i wyszedł z komnaty.

Wasza miłość ryzykuje powierzenie takiego dzieła jednemu człowiekowi? - spytał cyrulik, gdy zamknęły się drzwi za skrytobójcą. - Czy wolno mi przypomnieć, że zaledwie dwa dni temu ów płatnerz sam jeden udaremnił zamiary sześciu zbrojnych ludzi?

Nie zadawaj niepotrzebnych pytań, imię medyka. Bonthron potrafi wybrać odpowiedni czas i miejsce i

dlatego wart jest więcej niż dwudziestu podchmielonych zabijaków. Przywołaj Eviota... najpierw wykażesz się swoimi umiejętnościami medycznymi i wyleczysz mi ranę, w późniejszym zaś twym dziele będziesz miał do pomocy kogoś, kto ci dorównuje w sztuce niespodzianego i nagłego niszczenia.

Przywołany przez Dwininga paź zjawił się powtórnie w komnacie i na znak swego pana pomógł cyrulikowi zdjąć bandaż. Dwining przyglądał się obnażonemu kikutowi niejako z profesjonalnym zadowoleniem, pogłębionym, bez wątpienia, przez zjadliwą uciechę, którą ów niecny człowiek znajdował w cierpieniu i nieszczęściu swych bliźnich. Rycerz spojrział tylko przelotnie, lecz pod naporem fizycznego bólu lub może duchowej udręki wyrwał mu się z ust przeciągły jęk.

- Jęczysz, panie - rzekł Dwining cichym, przy pochlebnym tonem; ale gdy mówił, szyderczy uśmieszek błakał się na jego wargach, uśmieszek, którego nie zdołał ukryć pod zwykle noszoną maską pokory. - Jęczysz... ale powinieneś się radować. Ten Harry Smith zna się na robocie... jego miecz tak pewnie trafia w cel, jak jego młot w kowadło. Gdyby zwykłej miary szermierz zadał ten cios, uszkodziłby kość i naruszył mięśnie, a wtedy nawet moja biegłość niewiele by pomogła. Harry Smith ciał tak pewnie, że ja nie potrafiłbym lepiej skalpelem. Jeśli wypełnisz, panie, wszystkie lekarskie zalecenia, za kilka dni będziesz mógł wstać z łóżka.

- Ale moja dłoń...

- Można to jakiś czas trzymać w sekrecie - odparł Dwining. - Napomknąłem już kilku gadatliwym

głupcom, naturalnie w najgłębszej tajemnicy, że dłoń znaleziona na miejscu zdarzenia jest dłonią
giermka waszej miłości, Czarnego Quentina. Wasza miłość wie, że Czarny Quentin odjechał do Fife,
i
to w okolicznościach, które czynią sprawę tym prawdopodobniejszą.

- Rozumiem doskonale, że ta pogłoska może na krótki czas ukryć prawdę. Ale jaka korzyść z takiej
zwłoki?

- Może ukryć prawdę, dopóki wasza miłość nie opuści na jakiś czas dworu, a potem, gdy nowe
wypadki zatrą wspomnienie tej przygody, będzie można wytłumaczyć kalectwo raną od uderzenia
kopii lub strzały. Twój pokorny sługa, panie, znajdzie właściwy sposób i będzie gotów
przyświadczyć
jego prawdziwości.

- Ta myśl przyprawia mnie o szaleństwo - rzekł Ramorny. Z jego ust wyrwał się ponowny jęk
cielesnej czy też duchowej udręki. - Ale nie widzę lepszej rady.

- Bo też nie ma lepszej - rzekł medyk, który w swej podłości rozkoszował się cierpieniem pacjenta. -
A tymczasem ludzie mniemają, że sir John Ramorny pozostaje w łóżku z powodu jakichś ogólnych
obrażeń, do czego przyłączyło się jeszcze niezadowolenie, iż księżę pod presją Albany'ego zgodził się

oddalić waszą miłość ze swej służby, o czym wszyscy wiedzą.

- Łotrze, dręczysz mnie umyślnie! - wybuchnął rycerz.

- Dlatego ogólnie rzecz biorąc - ciągnął Dwining - wasza miłość wyszedłeś ze sprawy obronnie i
pomijając stratę dłoni, co jest nieszczęśliwym trafem, na który nie ma już rady, powinieneś się
radować, nie zaś narzekać. Albowiem żaden cyrulik Francji czy Anglii nie przeprowadziłby operacji
zręczniej niż ten prostak jednym pionowym uderzeniem miecza.

- Doskonale rozumiem, jak wielki jest mój dług wdzięczności wobec tego nieszczęśnika - rzekł
Ramorny walcząc z ogarniającym go gniewem i siląc się na spokój. - A jeśli Bonthron nie
odwdzięczy

mu się ciosem równie pionowym, który uczyni niepotrzebną wszelką pomoc cyrulika, będziesz mógł rozgłosić wszem wobec, że John Ramorny nie płaci swoich długów.

- Oto są słowa godne prawdziwego rycerza! - rzekł aptekarz. - I pozwól, panie, że jeszcze dodam, iż na nic by się nie zdała zręczność operatora, gdyż wraz z krwią uszłoby z waszej miłości życie, gdyby nie wypalanie, środki tamujące krew i bandaże założone przez pobożnych mnichów, a także zabiegi waszmości pokornego wasala, Henbane Dwininga.

- Milcz! - wybuchnął pacjent. - Nie chcę słyszeć twego złowróżbnego głosu! Kiedy wspominasz o udreće, którą cierpiałem, mam uczucie, że moje nerwy ściągają się i rozprostowują, jak gdyby wciąż wprawiały w ruch palce, które niegdyś mogły chwycić sztylet.

- Jest to - wyjaśnił Dwining - zjawisko dobrze znane medycynie. Mędracy starożytności przypuszczali nawet, że istnieje nadal łączność między rozerwanymi nerwami i nerwami w amputowanej kończynie;

i że odrąbane palce poruszają się i dygocą zależnie od impulsu wynikającego z tej właśnie ich łączności z żywym organizmem. Gdybyśmy zdjęli dłoń z prężierza albo zdołali ją odebrać Czarnemu Douglasowi, z radością obserwowałbym cudowny mechanizm owej tajemniczej łączności. Obawiam się wszelako, że narazilibyśmy się na równe niebezpieczeństwo usiłując wyrwać kość ze szponów zgłodniałego orła.

- A ty naraziłbyś się na równe niebezpieczeństwo próbując swojego zjadliwego dowcipu na rannym lwie, co na Johnie of Ramorny! – zawołał rycerz nie hamując dłużej gniewu. - Nędzniku, czyn, co do ciebie należy, i pamiętaj, że chociaż moja dłoń nie zaciśnie się już nigdy na sztylecie, mam sto sztyletów pod moim rozkazem!

- Widok jednego obnażonego w gniewie sztyletu - rzekł Dwining - zniweczyłby, panie, siły witalne twego chirurga. A kto - dodał tonem ni to unizonym, ni to szyderczym - uśmierzyłby wówczas straszliwy ból szarpiący ciało mego dobroczyńcy... ból, który każe mu rzucać gromy na biednego sługę za to jedynie, że ośmielił się wspomnieć o metodzie leczenia... godnej zapewne wzdgardy w

porównaniu z umiejętnością zadawania ran?

A potem, nie śmiejąc dłużej igrać z humorem swego niebezpiecznego pacjenta, cyrulik zabrał się gorliwie do opatrzenia rany maścią, używając w tym celu wonnego balsamu, którego aromat rozszedł się po całej komnacie. Maść była cudownie chłodna w dotyku i rozgorączkowany rycerz odczuł ulgę tak ogromną, że jak przedtem jęczał z bólu, tak teraz westchnął z zadowolenia, gdy ukojony opadł z powrotem na poduszki łoża.

- Wasza miłość wie teraz, kto jest jego przyjacielem - zaskrzeczał Dwining. - A gdybyś, szlachetny panie, poszedł za głosem porywczej natury i rzekł: „Ściąć mi tego szarlatana!", kto w Anglii potrafiłby

tak uśmierzyć twój ból?

- Zapomnij o moich pogroźkach, zacny cyruliku - rzekł Ramorny. - Ale nie wódź mnie na pokuszenie. Ludzie mego pokroju nie mogą ścierpieć, gdy ktoś naśmiewa się z ich udręki. Zachowaj swoje krotchwile dla nędzarzy w szpitalu.

Dwining przezornie nie odpowiedział, nalał tylko do kieliszka napelnionego w połowie wodą kilka kropel płynu z buteleczki, którą wyjął z kieszeni.

- Ten napój - rzekł - jest zaprawiony lekiem, po którym wasza miłość zaśnie. Wszelako snu nie należy

przerywać.

- Jak długo będę spał? - spytał rycerz.

- Tego nie sposób przewidzieć... może do rana.

- Albo może zasnę na wieki. Imć medyku, wpierw ty się napijesz mikstury, bo inaczej nie wezmę jej do ust.

Dwining uśmiechnął się szyderczo, ale wykonał polecenie.

- Chętnie wypiłbym wszystko, ale wyciąg z ziela indyjskiego usypia zarówno zdrowych, jak chorych, a moje rzemiosło wymaga, abym czuwał.

- Wybacz mi, imć medyku - wyjąkał Ramorny opuszczając wzrok, jak gdyby zawstydził się własnej podejrzliwości.

Nie może przebaczać ten, kto nie ma prawa się obrażać – odparł Dwining. - Robak powinien dziękować olbrzymowi, że na niego nie nadepnął. Wszelako, szlachetny rycerzu, robak może wyrządzić człowiekowi krzywdę... podobnie jak lekarz. Co by mnie to kosztowało, prócz krótkiej chwili fatygi, gdybym zatrzał ten balsam? Od trucizny ręka waszej miłości zgniłaby aż do barku, a krew w żyłach zamieniłaby się w cuchnącą galaretę. Co mnie powstrzymało od użycia środków jeszcze subtelniejszych... czemu nie zatrąłem powietrza w tej komnacie olejkami, które sprawiają, że światło życia tli się coraz słabszym płomieniem, aż w końcu gaśnie niczym pochodnia wśród zgniłych wyziewów podziemnego lochu? Nie doceniasz, panie, moich możliwości, jeśli nie wiesz, że rozporządzam tymi, a także gwałtowniejszymi środkami. Ale lekarz nie zabija swego pacjenta, z którego hojności korzysta, a tym bardziej człowiek żyjący nadzieją zemsty nie zabija zaprzysiężonego współnika, który ma mu pomóc w jej spełnieniu. Jeszcze słowo: gdybyś z jakichś względów, panie, chciał się ocknąć (któż bowiem w Szkocji może przyrzec sobie osiem godzin nieprzerwanego snu?), wciągnij w nozdrza silną woń esencji w tym tu flakonie. A teraz żegnaj mi, sir Johnie Ramorny. Jeśli nie możesz spoglądać na mnie jako na człowieka o wrażliwym sumieniu, uznaj mnie przynajmniej za człowieka rozumnego.

Co powiedziawszy, Dwining skierował się do drzwi. Ale tym razem nie szurał i nie powłóczył nogami; szedł krokiem lżejszym i bardziej sprężystym, jak gdyby odmieniła go świadomość zwycięstwa odniesionego nad moźnym pacjentem.

Sir John Ramorny leżał snując niewesołe myśli, dopóki nie zaczął odczuwać działania nasennego leku.

Wtedy przywołał pazia.

- Eviot! Do mnie tu! Eviot! Źle zrobiłem, zem się tak wywnętrzał przed tym łajdackim trucicielem...

Eviot!

Paż stanął na progu.

- Czy medyk odszedł?

- Przed chwilą, wasza łaskawość.

- Sam czy w towarzystwie?

- Bonthron zamienił z nim kilka słów na osobności i wyszedł w krótką chwilę po nim... zrozumiałem, że na rozkaz waszej miłości.

- Piekło i szatani - tak! Poszedł starać się o leki dla mnie... wróci niebawem. Jeżeli będzie pijany, pilnuj, żeby się nie zbliżał do moich drzwi i nie wszczywał z nikim burd. Jak tylko alkohol uderzy mu do głowy, zaczyna szaleć. Poczciwe było z niego chłopisko, dopóki angielski miecz nie rozplątał mu czerepu. Od tego czasu wystarczy jedna szklanica, a już zaczyna gadać od rzeczy. Czy medyk mówił ci co?

- Powtórzył tylko polecenie, że nie wolno waszej miłości przeszkadzać.

- A ty do tego polecenia masz się pilnie stosować - rzekł rycerz. - Czuję zbliżający się sen... nie zaznałem snu od tamtej nieszczęsnej nocy... jeśli zasypiał, to tylko na krótką chwilę. Pomóż mi się rozebrać.

- Niech Bóg i wszyscy święci ześlą waszej miłości zdrowy i mocny sen - rzekł paż, gdy przygotowawszy swego pana na noc, opuszczał komnatę.

A kiedy zamknęły się za nim drzwi, rycerz, któremu coraz bardziej mroczyło się w głowie, powtarzał szeptem słowa pazia:

- Bóg... wszyscy święci... sypiałem kiedyś zdrowo, gdy mnie żegnano na noc takim błogosławieństwem. Ale teraz... ha, jeśli po obudzeniu nie ujrzę, jak spełniają się moje dumne nadzieje zemsty i władzy, najlepszym dla mnie życzeniem będzie, aby senność teraz mnie ogarniająca była zapowiedzią owego snu, który zwróci mnie nicości... a na tym kończy się moje rozumowanie. Co powiedziawszy, zasnął.

ROZDZIAŁ XVI

Gdyśmy szaleli na zapusty.

Piosenki szkockie

Noc, której ciemności okryły łoża Ramorny'ego, nie miała być nocą spokojną. Dwie godziny minęły, odkąd o siódmej wieczorem rozbrzmiał w mieście dzwon wzywający do gaszenia ogni i wszyscy już udali się na spoczynek. Czuwali ci jedynie, których obrządki religijne, obowiązek lub hulanka zatrzymywały na ulicach; a że był to zapustny wtorek, zwany w Szkocji wigilią postu, najliczniej spotykało się hulaków oddających się wesołym zatrudnieniom.

Ludzie z gminu męczyli się i pocili cały dzień przy piłce nożnej; arystokracja i szlachta przyglądały się walkom kogutów i słuchały płochej muzyki minstrel; natomiast mieszczaństwo objadali się pączkami

smażonymi w smalcu lub owsianymi plackami zalewanymi tłustym rosołem gotowanym na solonej wołowinie, która to potrawa do dziś miła jest niewybrednemu szkockiemu podniebieniu. Wszystko to były rozrywki i przysmaki tradycyjne w tym świątecznym dniu. Ale uroczysty charakter wieczoru wymagał również, żeby wierzący katolik wypił tyle zacnego piwa i wina, na ile mógł sobie pozwolić;

a jeśli był młody i zręczny - żeby tańczył w kole lub przyłączył się do tej czy innej grupy tancerzy odtwarzających fantastyczny mimiczny taniec, którzy podówczas w Perth, jak również gdzie indziej, wyróżniali się niezwyklejmi kostiumami, a także szczególną zręcznością i ruchliwością. Wszystkie te zabawy organizowano w roztrópnym przekonaniu, że w tym ostatnim dniu przed zbliżającym się długim postem wraz z jego licznymi prywacjami* i umartwieniami śmiertelnicy powinni folgować sobie w płochych i zmysłowych rozrywkach.

Uświęcone zwyczajem hulanki i igraszki dobiegły końca i w większości dzielnic miasta nastąpiła po nich zwykła o tej porze cisza. Przebywająca w Perth magnateria zarządziła szczególne środki ostrożności, nie chcąc dopuścić do ponownych starć między służbą i wasalami a mieszczaństwem;

ogólnie więc rzecz biorąc, zabawy pociągnęły za sobą mniej ofiar niż co roku, w tym zaledwie trzy wypadki śmiertelne i nieco połamanych kończyn, że jednak nieszczęścia te przydarzyły się jednostkom z niższych warstw, nikt nie wgłębiał się w ich przyczynę. Karnawał spokojnie dobiegał końca, chociaż tu i ówdzie bawiono się dalej.

Jedna grupa wesołych biesiadników, na którą wszyscy zwrócili uwagę i którą gromko oklaskiwali, najwyraźniej nie miała ochoty przerwać igraszek. Składała się ona z mężczyzn jednakowo odzianych w obciste kaftany z irchy, w niezwykle sposób szamerowane i lamowane. Na głowach mężczyźni mieli zielone czapki ze srebrnymi pomponami, przewiązane czerwoną wstążką, na nogach białe buty, u kolan zaś i przy kostkach zawieszane małe dzwoneczki. W rękę każdy z nich trzymał obnażony miecz. Dzielna ta grupa odtańczyła przed królem, wśród głośniego szczęku stali, dziwaczny taniec mieczy, następnie udała się pod dom Szymona Glovera, gdzie powtórzywszy swój popis zręczności kazała podać wino i wraz ze stojącymi obok gapiami wychyliła głośno toast na cześć Pięknego Dziewczęcia z Perth. Słyszając to stary Szymon wyszedł przed drzwi i podziękował swym ziomkom, a potem sam z kolei kazał nalać wina do szklanic i wzniosł toast za wesołych biesiadników z Perth.

- Dziękujemy ci, ojcze Szymonie - odezwał się głos, który sztucznym skrzekiem usiłował zagłuszyć arogancję i chełpliwość tak charakterystyczną dla Olivera Proudfoote'a. - Lecz widok twej pięknej córki

milszy nam będzie niż wina z najprzedniejszych winnic.

- Dziękuję wam, sąsiedzi, za dobrotliwe słowa - odparł Glover. - Moja córka niedomaga i wzbronilem

jej wyjść na przenikliwy chłód nocny. Ale jeśli ów galant, którego głos chyba poznaję, zechce przekroczyć niski próg mego domu, złoży ona na jego ręce podziękowanie dla całej kompanii.

- Przyniesiesz nam je do gospody Griffina! - zawołali biesiadnicy żegnając swego ulubionego towarzysza. - Tam bowiem przywitamy gościa i tam wzniesiemy raz jeszcze puchary za pomyślność pięknej Katarzyny.

- Dogonię was niezadługo, a wtedy zobaczymy - rzekł Oliver - kto wypije duszkiem największy puchar i najgłośniej odśpiewa biesiadną pieśń. Bądźcie pewni, że wesoło spędzę ostatnie godziny zapustów, choćby mnie post miał ujrzyć z zamkniętymi na wieki oczami!

- Będziemy czekać na ciebie, dzielny czapniku! - zawołali jego rozbawieni towarzysze. - Przychodź do nas najrychlej!

Co powiedziawszy, tancerze oddalili się tańcząc i śpiewając do wtóru muzyki, a tymczasem Szymon Glover wciągnął ich Koryfeusza* do swego domu i posadził na krześle obok komina.

- Ale gdzie jest twoja nadobna córka? - spytał Oliver. - Ona to jest przynętą dla nas, dziarskich junaków.

- Och, jakem ci rzekł, sąsiedzie Proudful, jest w swojej izbie. A prawdę powiedziawszy, niedomaga i leży w łóżku.

- W takim razie już mknę do niej na górę, żeby ją pocieszyć w strapieniu... Zepsuleś mi zabawę, sąsiedzie Glover, i winieneś mi zadośćuczynienie... którego domagałby się każdy chwyt w moim rodzaju. Dziewczę leży w łóżku, powiadasz?

Gdy która panna chora jest,

Odwiedzam ją - ja i mój pies;

Gdy śmierci boi się i łka,

Pociesza ją - mój pies i ja.

Gdy umrę, co stać musi się,

Pod beczki szpuntem grzebcie mnie;

Niech tam spoczywam wiecznym snem

Głowa przy głowie - z moim psem.

- Na miły Bóg, sąsiedzie, czy nie potrafisz choć przez chwilę zachować powagi? - zirytował się Szymon. - Muszę z tobą o czymś pomówić.

- Czy nie potrafisz zachować powagi? - zdziwił się czapnik. - Ależ, sąsiedzie, przez cały dzisiejszy dzień byłem poważny. Za ledwie otworzę usta, a już pada z nich jakieś słowo o śmierci, pochówku albo czymś podobnym... a trudno przecież o poważniejsze tematy.

- Na świętego Jana, czyś ty, człowieku, rozum postradał?

- Nie, skądże znowu... zresztą nie własną śmierć zapowiadają mi te posępne myśli. Mam dobry horoskop i będę żył jeszcze pięćdziesiąt lat. Idzie mi o tego nieszczęśnika ze świty Douglasa, którego powalił podczas bójki w noc świętego Walentego... biedaczysko zmarł wczorajszej nocy... myśl o nim obarcza mi sumienie i wskrzesza przed oczyma smutne zjawy. Ach, ojczy Szymonie, nas, ludzi oręża, którzyśmy przelali w gniewie ludzką krew, nawiedzają niekiedy ponure myśli. Przebóg, wolałbym, żeby mój nóż krajał same tylko sukna na czapki!

- A ja wolałbym, żeby mój nóż krajał samą tylko kozłą skórę, bo zdarzało mi się nieraz drasnąć ostrzem palec. Ale tym razem oszczędź sobie żalu, czapniku. Jeden tylko napastnik został ciężko ranny... ten, któremu Harry Smith odrąbał dłoń. Otóż człowiek ów powrócił do zdrowia. Nazywa się Czarny Quentin i należy do świty sir Johna Ramorny. Odesłano go cichaczem do Fife, w jego rodzinne strony.

- Co... Czarny Quentin? Ależ to właśnie na niego Harry i ja natarliśmy jednocześnie, jako że zawsze walczyliśmy ramię przy ramieniu, tyle tylko, że mój cios był trochę szybszy od ciosu płatnerza. Lękamy się obaj z burmistrzem, że wynikną z tego dalsze nieprzyjemności. Powiadasz, że człowiek ten wrócił do zdrowia? O, w takim razie mogę się weselić, a skoro nie pozwalasz mi się przekonać, czy Katarzynie ładnie jest w nocnym stroiku, wracam do moich wesołków w gospodzie Griffina.

- Czekajże chwilę. Jesteś przyjacielem Harry'ego Smitha i oddałeś mu niemałą przysługę zapisując na swoje konto kilka jego uczynków, w tym ten ostatni, coś o nim przed chwilą wspomniał. Byłbym rad, gdybyś oczyścił Harry'ego z innych zarzutów, którymi ludzie nadmiernie go obarczają.

- Przysięgam na głownię mego miecza, ojczy Szymonie, że są to zarzuty fałszywe jak sami diabli

piekielni. Ha, klnę się na brzeszczoty i tarcze z najprzedniejszej stali! Czyż zbrojni mężowie nie powinni podierać się wzajem ramieniem?

- Wysłuchaj mnie cierpliwie, dzielny czapniku. Jeśli zechcesz, będziesz mógł oddać Smithowi przysługę, a widzę już, że potraktowałeś sprawę jak należy. Wybrałem ciebie, żeby się z tobą naradzić... choć nie dlatego, że cię uważam za największego mędrca w Perth. Gdybym tak powiedział, zwyczajnie bym skłamał.

- A jakże, rozumiem - odparł zadufany w siebie czapnik. - Wiem, jaki mi czynisz zarzut... wy, mężowie zrównoważeni, uważacie nas, raptusów, za głupców. Nieraz słyszałem, jak nazywano w ten sam sposób Harry'ego Smitha.

- Odpowiem ci na to rymem, że zrównoważony bywa też pomyłony - rzekł Glover. - Ale zacny z ciebie człowiek i myślę, że kochasz serdecznie tego swojego kompana. Stosunki między nim a nami nie układają się ostatnio najlepiej. Wiesz, mówiło się coś niecoś o małżeństwie mojej córki z Harrym.

- Ano, słyszałem taką gadkę kilkakroć od Dnia świętego Walentego. Ach, szczęśliwy będzie ów, który

zdobędzie Piękne Dziewczę za żonę... ale swoją drogą małżeństwo złamało życie niejednemu dziarskiemu mężczyźnie. Ja sam niekiedy żałuję...

- Proszę, sąsiedzie, zapomnij na chwilę o swych żalach - przerwał mu Szymon trochę opryskliwie. -

Wiesz z pewnością, zacny czapniku, że kilka owych mielących ozorami niewiast, które wtrącają się w

cudze sprawy, pomówiło Harry'ego o niecne zabawy z minstrelkami i tym podobną kompanią.

Katarzyna boleśnie wzięła to sobie do serca, ja zaś uważam, że dziecko spotkała zniewaga, bo miast

asystować dziewczynie, jak przystało na wiernego Walentyna, Harry w tymże dniu, w którym

starożytny obyczaj pozwalał mu na gorliwsze niż zwykle zaloty, poszukał sobie płocheo

towarzystwa. Kiedy więc zjawił się u nas późnym wieczorem w Dniu świętego Walentego, postąpiłem

jak stary popędliwy głupiec i wzbroniwszy mu wstępu do domu, rzekłem, żeby wrócił do towarzystwa, które przed chwilą opuścił. Nie widziałem go od tego czasu i teraz coś mi się widzi, że zachowałem się zbyt porywczo. Katarzyna jest moim jedynym dzieckiem i wolałbym ją ujrzeć na marach niż w małżeństwie z rozpustnikiem. Ale sądziłem dotąd, iż znam Harry'ego Smitha jak własnego syna. Wprost nie chce mi się w głowie pomieścić, że mógł on nas tak niecznie potraktować, i myślę, że jest może jakieś wytłumaczenie jego postępuku. Skusiło mnie coś, żeby spytać Dwininga, który spotkał podobno Harry'ego, gdy ten szedł ze swoją wybranką. Jeśli mogę wierzyć jego słowom, była to Joan Letham, kuzynka Smithów. Ale wiesz przecie, że ten pigularz co innego ma w myśli, a co innego na języku. Natomiast ty, sąsiedzie Proudfulu, jesteś za głupi... to jest chciałem powiedzieć, za uczciwy, żeby zmieniać prawdę, a ponieważ Dwining wspomniał, żeś ty też widział ową dziewczynę...

- Ja ją widziałem, Szymonie Glover? Dwining rzekł ci, że ja ją widziałem?

- No nie, niezupełnie... mówił tylko, żeś mu powiedział, że widziałeś Smitha w niewieścim towarzystwie.

- Łże, za co go utłukę na śmierć w jego własnym mózdzierzu! - oburzył się Oliver Proudfulu.

- Jakże to? Nie wspominałeś mu w ogóle o takim spotkaniu?

- Co z tego, jeśli mu nawet wspomniałem? Czyż mi nie przysiągł, że nie powie o tym nikomu na świecie? Dlatego mówiąc tobie o tym zdarzeniu, stał się zwykłym łgarzem.

- A więc nie spotkałeś Harry'ego z minstrelką uczeponą jego ramienia, jak głosi plotka?

- Piekło i szatani, nie spotkałem... zresztą może spotkałem, a może nie. Posłuchaj, ojczy Szymonie...

jestem od czterech lat żonaty, czy możesz więc ode mnie wymagać, żebym pamiętał zarys łydki minstrelki, kształt jej stopy, koronkę u jej halek i tym podobne głupstwa? Nie, zacny sąsiedzie...pozostawiam takie rzeczy nieżonatym junakom w rodzaju mojego kuma Smitha.

- Z tego wynika - wybuchnął stary Szymon, mocno zagniewany - żeś widział go w Dniu świętego

Walentego, jak paradował po ulicach Perth z...

- Niezupełnie, drogi sąsiedzie. Spotkałem go na bocznej i ciemnej uliczce, jak zdążał prosto do domu z

bagażem żywym i martwym, który - ponieważ wielki z niego galant - własnoręcznie dźwigał...

Małego psiaka trzymał pod jedną pachą, samą zaś dzierlatkę (wydaje mi się, że ładna z niej sztuka) podtrzymywał drugim ramieniem.

- Na świętego Jana! Taka zniewaga zachwiać może wiarę najgorliwszego katolika! Ale imć Harry Smith nie zobaczy już więcej mojej córki. Wolałbym ją wydać za mąż na dzikie Pogórze, za bosonogiego góralczyka, niż oddać za żonę człowiekowi, który tak lekce sobie waży zasady honoru i przyzwoitości. Hańba mu!

- Dajże spokój, ojciec Szymonie rzeki pojednawczo wyrozumiały czapnik. - Nie bierzesz pod uwagę natury krewkich junaków. Dziewczyna nie przebywała u niego długo, bo... przyznam ci się, ojciec Szymonie, że miał na oku jego dom... spotkałem go przed świtem, jak prowadził swoją wędrowną bogdanę na przystań. Wiem zaś z całą pewnością, że to sprawdził na miejscu, że dzierlatka wsiadła

na pokład barki i odpłynęła do Dundee. Jak więc widzisz, był to ze strony płatnerza tylko krótkotrwały

wybryk młodości.

- I przyszedł tutaj - rzekł z goryczą Glover - prosząc o widzenie się z moją córką, podczas gdy ta nierządnicą czekała na niego w domu! Przebóg, wolałbym, żeby rozplątał czerepy dwudziestu ludziom! Lecz nie warto o tym mówić, a już zwłaszcza do ciebie, Oliverze Proudfulu, który acz może nie jesteś człowiekiem pokroju Harry'ego, rad byłbyś mieć jego reputację. Ale...

- Doprawdy, sąsiedzie, nie bierz sobie tego tak do serca - przerwał mu Oliver, który nagle opamiętał się i pomyślał o krzywdzie, jaką swoim gadulstwem wyrządził może przyjacielowi, a także o konsekwencjach gniewu Harry'ego Smitha, gdy krewki płatnerz dowie się o tej rozmowie z Gloverem i informacjach, których Oliver udzielił ojcu Katarzyny bardziej z próżności niż ze złych intencji. -

Pomyśl - ciągnął - że jest to zwykle szaleństwo młodości. Okazja kusi mężczyznę do takich igraszek, ale spowiedź zmywa przewinę. Przyznam ci się, ojcze Szymonie, że choć trudno o zacniejszą niewiastę niżli moja żona, ja sam...

- Milcz, chełpliwy durniu! - wybuchnął rozsierdzony Glover. - Twoje miłostki i twoje walki są jednakowo nieprawdziwe. Skoro musisz kłamać, bo taka już twoja natura, czemu nie wymyślisz łągarstwa, którym mógłbyś się przynajmniej chlubić? Czy myślisz, że cię nie przejrzał na wylot... że cię nie znam jak wnętrza własnej sakiewki? Czyż nie wiem, ty plugawy tkaczu nieczystego sukna, że gdyby twoja żona usłyszała o tych bzdurnych przechwałkach, nie ośmieliłbyś się wrócić do domu... podobnie jak bałbyś się skrzyżować obnażone miecze z dwunastoletnim chłopcem, który pierwszy raz w życiu trzyma w ręce oręż. Na świętego Jana, słuszną byłaby to zapłata za niecne plotkarstwo, gdybym dał znać Maudie o twoich wesołych przechwałkach!

Słyszając tę pogroźkę, czapnik podskoczył, jak gdyby niespodzianie świsnęła mu koło ucha strzała. Gdy odpowiedział, w jego głosie słychać było drżenie.

- Oj, zacny ojcze Szymonie, nie pokładaj zbytnej ufności w swoich siwych włosach. Pamiętaj, żeś jest za stary na waśnie z młodym junakiem. A jeśli idzie o moją Maudie, wiem dobrze, że mogę ci ufać, boś jest chyba ostatnim człowiekiem w Perth, który chciałby zburzyć szczęście rodzinne.

- Nie licz więcej na moją pobłażliwość, ty błaznie! - rzekł zagniewany Glover. - I radzę ci, żebyś uskoczył razem z tą pustą banią, którą zwiesz głową, z zasięgu mojej ręki, bo gotowa mi się przypomnieć na chwilę młodość i jak nic rozplątam ci czerep!

- Spędziłeś ze mną wesoły wieczór zapustny, sąsiedzie - powiedział czapnik - życzę ci więc zdrowego snu. Jutro zapomnisz o swojej urazie.

- Precz z mojego domu! - wybuchnął Glover. - Wstyd mi, że androny, które plotłeś swoim długim jęzorem, wyprowadziły mnie z równowagi. Głupiec... kanalia... błazen! - powtarzał rzucając się na

krzesło, gdy Oliver wyszedł. - Że też człowiek, który nie powiedział w życiu jednego słowa prawdy, nie wymyślił kłamstwa, które zatarłoby hańbę jego przyjaciela. Ale ja... kimże ja jestem, że w głębi ducha pragnę zapomnieć o jaskrawej obeldze, wyrządzonej mnie i mojemu dziecku? A przecie mam o Harrym tak dobre mniemanie, że rad bym uwierzył w najniezdarniejsze kłamstwo, jakie ten chełpliwy osioł zdołałby wykoncypować. Ha! Daremne to myśli. Choć wszystko inne miałyby lec w gruzach, będę bronił honoru naszego nazwiska.

Podczas gdy Glover rozmyślał nad jakże mu niemiłym potwierdzeniem plotki, którą pragnął uważać za kłamliwą, wygnany z jego domu hulaka miał czas i sposobność zastanowić się w rześkim chłodzie ciemnego lutowego wieczoru nad konsekwencjami niepohamowanej furii starego Szymona.

„Gniew ten jest niczym - rzekł sobie w duchu - w porównaniu z wściekłością Harry'ego Smitha, który

zabił człowieka za przewinę znacznie mniejszą niż posianie niezgody między nim a Katarzyną i jej popędliwym starym ojcem. Trzeba mi było zaprzeczyć wszystkiemu. Ale skusiła mnie chęć pokazania staremu Gloverowi, jakim to jestem wszystkowiedzącym galantem (którym w istocie jestem). Czy mam pójść teraz dokończyć hulanki w gospodzie Griffina? Hm... jeżeli pójdę, dostanie mi się za swoje

po powrocie do domu... z drugiej strony, jest to wilia święta, więc jakoś się Maudie wytłumaczę. Już wiem... nie pójdę do gospody... pójdę do Harry'ego, który z pewnością jest w domu, bo nikt go dzisiaj

nie widział wśród swawolnych tłumów. Postaram się go jakoś udobruchać i zaofiaruję pośrednictwo między nim a Gloverami. Harry to prosty i uczciwy człowiek, a chociaż w walce sprawia się może trochę lepiej ode mnie, w rozmowie łatwo zapędzę go w kozi róg. Na ulicach spokój... noc jest ciemna,

więc jeśli spotkam jakichś awanturników, ukryję się w załomie muru. Tak, pójdę do Smitha, a jak przeciągnę go już na swoją stronę, niestraszny mi będzie stary Glover. Święty Ringanie, przeprowadź mnie bezpiecznie przez tę noc, a prędeż odgryzę sobie język, niż głupim trajkotaniem ściągnę na

siebie znów takie niebezpieczeństwo! Jak się ten stary Szymon rozeźlił, podobniejszy był do rzeźnika niżli rękawicznika".

Snując takie myśli, dziarski Oliver maszerował szybko, acz cicho, w kierunku domu Harry'ego Smitha. Ale pech nie przestawał go prześladować. Gdy wyszedł na główną ulicę, usłyszał w pobliżu dźwięki muzyki i towarzyszące jej wesołe wrzaski.

„Moi rozochoceni towarzysze - pomyślał czapnik. - Rozpoznałbym gęśl Jeremiasza pośród stu innych instrumentów. Przemknę się na drugą stronę ulicy, zanim oni nadejdą... a jeśli mnie zoczą, zyskam sławę dziarskiego junaka, który mknie na nocną schadzke".

Pełen próżnych tęsknot, by wyróżnić się między hulakami i galantami, z którym to uczuciem walczyły jednak myśli roztropniejsze, czapnik już miał przejść na drugą stronę ulicy. Ale rozbawieni wesołkowie nieśli pochodnie, których blask padł na Olivera i wyłowił w mroku jego jasne odzienie. Chóralny wrzask: „Mamy zdobycz! Mamy zdobycz!" - zagłuszył dźwięki muzyki i zanim czapnik powziął decyzję, czy uciec, czy też pozostać na miejscu, dopadło go dwóch zwinnych młodych mężczyzn, w fantastycznych kostiumach i maskach dzikich ludzi, którzy trzymali w rękach ogromne maczugi.

- Poddaj się, mężu napuszony i przystrojony dzwonkami! - zawołali teatralnym głosem. - Poddaj się, bo inaczej nie będziesz tancerzem, tylko nieboszczykiem.

- A komu mam się poddać, jeśli łaska? - spytał czapnik drżącym głosem. Bo chociaż widział, że ma do

czynienia z gromadą karnawałowych masek szukających po ulicach swawolnej rozrywki, to jednak w chwili, gdy zdał sobie sprawę, że są to młodzieńcy wysokich rodów, stracił kontenans niezbędny do zręcznego odegrania roli w grze, w której człowiek niższy stanem skazany był z góry na przegraną.

- Zachciało ci się parlamentować, niewolniku?- spytał jeden z zamaskowanych młodzieńców. - Czy też mam cię bastonadą* przekonać, że jesteś naszym jeńcem?

- Ależ nie, potężny mężu z dalekich Indii - odparł prędko czapnik. - Poddaję się waszej łaskawej

woli.

- Chodź więc z nami - rzekli zdobywcy - i złoż hołd Cesarzowi Mimów, Królowi Zagorzałych Tancerzy i Wielkiemu Księżciu Godzin Nocnych. Wyjaśnisz mi, jakim to prawem tańczysz i weselisz się, a także niszczysz podeszwy trzewików, w granicach jego dominium, choć nie uzyskałeś na to specjalnego zezwolenia. Czy nie wiesz, nieszczęsny, żeś popełnił zbrodnię zdrady stanu i zasłużył na srogą karę?

- Surowe byłoby to prawo - odparł biedny Oliver - skoro nie wiedziałem, że najjaśniejszy pan i władca

sprawuje rządy dzisiejszego wieczoru. Gotów jestem wszelako naprawić swój błąd, jeśli kieska skromnego czapnika godna jest dostąpić tego zaszczytu, grzywną w postaci gąsiora przedniego wina lub podobnym fantem.

- Przyprowadzić go przed oblicze cesarza! - rozległy się wołania; i już po chwili nieszczęsny Oliver spoglądał w twarz młodzieńca drobnej postaci, acz zgrabnego i urodziwego, który ubrany był z przepychem, na głowie zaś miał tiarę z pawich piór, nader cennych i przywożonych podówczas ze Wschodu; reszta stroju młodzieńca składała się z krótkiego, obcisłego kubraka i spodni z lamparciej skóry, włożonych na odzienie z cielistego jedwabiu, co odpowiadało ogólnym pojęciom o szatach noszonych przez indyjskich książąt. Stopy miał obute w sandały przewiązane szkarłatnymi jedwabnymi wstążkami, w ręku zaś trzymał coś w rodzaju niewieściego wachlarza z tychże piór, ułożonego w kształcie kity.

- Cóż to za stwór - zakrzyknął indyjski władca - który śmiał umocować dzwonki tancerza do nóg niezdarnego osła? Słuchaj, przyjacielu, twoje odzienie czyni cię naszym poddanym, jako że nasze imperium rozciąga się na cały świat wesołków, nie wyłączając mimów, minstreli i tancerzy wszelkiego gatunku i autoramentu. Co, zapomniałeś języka w gębie? Przyda mu się łyk wina... podajcie nasz gąsior z hiszpańskim nektarem!

Do ust nieszczęśnika przytknięto tykwę pełną wina, a tymczasem książę hulaków strofował go

groźnym głosem:

- Pij duszkiem i żebyś mi nie robił krzywych min!

Aczkolwiek Oliver wypiłby zapewne z chęcią łyk lub dwa tego przedniego trunku, przeraziła go ilość,

którą rozkazano wlać mu do gardła. Upił łyk i zaczął błagać o litość.

- Za twoim łaskawym przyzwoleniem, miłościwy księżę, czeka mnie jeszcze daleka droga, a gdybym skorzystał z tej szczodrobliwości, za którą najpokorniej dziękuję, nie uszedłbym nawet do następnego rogu.

- I ty mienisz się wesołym hulaką? Hejże, zatańcz mi teraz... wytnij zręcznego koziołka! Ha! Raz, dwa, trzy... wspaniale! Jeszcze... jeszcze! Hej, spiąć go tam ostrogami! (Jeden z satelitów indyjskiego księcia dźgnął Olivera mieczem). Dalibóg, to było wspaniale... skoczył jak kot na drugą stronę ścieku miejskiego! Podajcie mu gąsior... nie, żadnego przymusu, uiścił swoją grzywnę i zasłużył nie tylko na wolność, ale na nagrodę. Klękniij, klękniij przede mną, a gdy wstaniesz, będziesz jaśnie wielmożnym Rycerzem Gąsiora! Jak ci na imię? Hej tam, podajcie mi miecz!

- Oliver, za pozwoleniem waszej miłości.

- Oliver, powiadasz? Ach, więc jesteś już jednym z dwunastu rycerzy Karola Wielkiego... los nas uprzedził i pierwszy pasował cię na rycerza. Zatem wstań, szlachetny sir Oliverze Słomianapało, rycerzu starożytnego zakonu Ośleji Głowy... wstań, rozkazuję ci w imię Bzdury, wstań i zmykaj - i niech cię wszyscy diabli!

Przy tych słowach księżę hulaków wymierzył cios płazem miecza w plecy czapnika, ten zaś zerwał się

na nogi z żywością, jakiej nie wykazywał dotąd nawet w tańcu, i goniony śmiechem i wrzaskami swawolników, dopadł drzwi Smitha, ani razu nie zwolniwszy kroku i biegnąc z prędkością lisa umykającego przed myśliwym. Ale dopiero gdy grzmotnął z całej siły w drzwi, opamiętał się i pomyślał, że powinien był ułożyć sobie z góry rozmowę z Harrym i dobrać słowa, w jakich go

przeprosi za tak nieopatrzone wygadanie się przed Szymonem Gloverem. Nikt nie otwierał i w tej chwilowej ciszy czapnik zmieniłby może postanowienie i udałby się do domu, poniechawszy początkowego śmiałego zamiaru rozmowy. Lecz nagle dotarły do jego uszu dalekie dźwięki muzyki i śpiewu; Oliver przeraził się, że wpadnie znów w ręce swawolnych masek, zastukał więc ponownie do

drzwi, uderzając palcami spiesznie, lecz z mniejszą natarczywością. Już po chwili serce zamarło mu w

piersi, gdy usłyszał głęboki, choć dźwięczny głos Smitha, pytającego zza drzwi:

- Kto dobija się o tak późnej porze?... I czego chce?

- To ja, Oliver Proudfoot, kumie Harry - odparł czapnik. - Chcę ci opowiedzieć zabawną krotoczwilę...

- Sprzedaj swoje błazeństwa na innym targu. Nie mam dzisiaj humoru do żartów - odparł Harry. -

Odejdź, nie wpuszczę nikogo.

- Kiedy, przyjacielu... zacny przyjacielu - zajęczał junak za drzwiami - opadła mnie banda łotrów...
pozwól mi się schronić w swoim domu!

- Głupcze! - wybuchnął Harry. - Żaden wiejski kogut, najtchórzliwszy z tych, które walczyły w czasie dzisiejszych zapustów, nie spojrzełby na takiego jak ty niedojdę!

W tym momencie odgłosy wesołej wrzawy, znacznie teraz bliższe, przynagliły wystraszonego czapnika do działania; głosem, w którym dźwięczał nie udawany lęk, zawołał:

- W imię naszej długoletniej przyjaźni... w imię Matki Najświętszej, wpuść mnie, Harry, jeśli nie chcesz, żeby na progu leżał mój skrwawiony trup, zadźgany mieczami okrutnych pachołków Douglasa!

„Byłaby to dla mnie hańba” - pomyślał zacny Smith. - I dalibóg trudno powiedzieć... może mu naprawdę coś grozi. Dużo dzisiaj na mieście drapieźnych sokołów, które polując na czaplę nie pogardzą wróblem”.

I wypowiadając półgłosem te myśli, Harry otworzył rygle i zasuwę swych dobrze strzeżonych drzwi;

miał zamiar sprawdzić, jak dalece rzeczywiste jest niebezpieczeństwo, zanim wpuści do środka niepożądanego gościa. Ale gdy wyrzął za próg, Oliver wskoczył do izby niczym spłoszony jeleni szukający schronienia w gęstym poszyciu i zanim Harry zdążył się przekonać, że na ulicy nie ma wrogów ścigających przerażonego uciekiniera, czapnik już siedział w kuchni przy kominie. Przeto płatnerz zasunął z powrotem rygle i wrócił do kuchni; był na siebie zły, że uwierzył w przestrach swego lękliwego sąsiada i pozwolił, aby mu gadatliwy Oliver przerwał samotność posępnych rozmyślań.

- A to co znaczy? - spytał zimno na widok czapnika spokojnie siedzącego przy kominie. - Cóż to za błazeństwa? Nie widzę w pobliżu domu żadnych napastników.

- Daj mi się napić, zacny sąsiedzie - rzekł Oliver. - Takem tu biegł, że całkiem mi dech zaparło.

- Poprzysiągłem sobie - odparł Harry - że ten wieczór nie będzie dla mnie biesiadnym wieczorem... jak

widzisz, jestem w roboczym odzieniu i poszczę miast się weselić, do czego mam powody. Dość piłeś trunków jak na jeden dzień, bo język już ci się płacze... jeśli chcesz piwa lub wina, musisz pójść gdzie

indziej.

Piłem aż za dużo - przyznał biedny Oliver - i o małym się tym pić nie udławił. Ten przeklęty gąsior! Daj mi kubek wody, zacny kumie... tego mi chyba nie odmówisz... lub jeśli łaska, kubek zimnego cienkiego piwa.

- Nie, tego ci nie odmówię - zgodził się Harry. - Ale srogo przebrałeś miarę, jeśli prosisz o takie trunki.

Przy tych słowach Harry napełnił dzban kwartą płynu ze stojącej obok beczułki i podał go gościowi.

Oliver przyjął dzban z wdzięcznością, rozdygotanymi rękami podniósł go i przytknął do drżących warg, a tak był biedaczysko wyczerpany strachem i uprzednią hulanką, że gdy postawił pusty dzban na

dębowym stole, z jego ust wyrwało się westchnienie zadowolenia i ulgi. Milczał przez chwilę.

- Skoroś już ugasił pragnienie, sąsiedzie - rzekł Smith - powiedz mi, z czym przychodzisz. Gdzie są twoi prześladowcy? Nie widziałem na ulicy nikogo.

- Nie... ale było ich ze dwudziestu i gonili mnie aż do tego zaułka - odparł czapnik. - Jak zobaczyli nas

razem, rozumiesz, zaraz im odeszła ochota do walki. We dwudziestu nie bali się jednego z nas zaczepić.

- Daj spokój żartom, sąsiedzie - obruszył się Harry. - Nie jestem dzisiaj w humorze.

- Kiedy na świętego Jana z Perth, to nie są żarty! Zatrzymali mnie na ulicy i znęcali się nade mną (tu ostrożnie przytknął rękę do obolałego miejsca) Szalony Dawid Rothsay, dziki Ramorny i cała reszta tej zgrai. Zmusili mnie siłą do wypicia faski hiszpańskiego wina.

- Mówisz głupstwa, człowieku... Ramorny jest chory i bliski śmierci, o czym rozpowiada po całym mieście pigularz Dwining. Na pewno nie wstał z łóżka o północy i nie swawolił wraz z innymi na ulicach miasta.

- Trudno coś powiedzieć - odparł Oliver. - Ale widziałem ich przy blasku pochodni i mogę przysiąc, że mieli na głowach kołpaki, które dla nich szyłem od ostatniego świętego Innocentego.

- E, pewnie ci się przywidziało, sąsiedzie Oliverze. Ale jeśli naprawdę coś ci grozi, każę przygotować

łóżko i przenocujesz u mnie. Tyle tylko, że zaraz pójdziesz spać, bo nie mam chęci do rozmów.

- Dziękuję ci, zacny Harry. Chętnie bym skorzystał z gościnności, ale nie chcę się narazić na gniew mojej Maudie... to jest nie na gniew, bo z tego nic sobie nie robię, ale rozumiesz... w takie noce jak dzisiejsza Maudie bardzo się o mnie niepokoi... No cóż, wie, że mam naturę podobną do twojej i prędko jestem do miecza.

- W takim razie wracaj do domu, niechże się biedna niewiasta przestanie troskać o swój bezcenny skarb... na ulicach cicho i spokojnie, a jeśli mam być szczery, miłsza nad twoje towarzystwo będzie mi samotność.

- Nie, sąsiedzie, wprawdzie muszę z tobą porozmawiać o nader ważnej sprawie - rzekł Oliver, który bał się zostać, ale jednocześnie ociągał się z odejściem. - Na dzisiejszym posiedzeniu rady mówiło się dużo o napaści na dom Szymona Glovera w wilię świętego Walentego. Burmistrz (wiem, bo sam mi to powiedział nie dalej jak cztery godziny temu) uzgodnił już z Douglasem, że zatarg zostanie rozstrzygnięty w walce, w której na każdej stronie wystąpi jeden yeoman. Otóż nasz znajomy, Piekielny Dick, ma się na ten czas zrzec swego szlactwa i wystąpić w imieniu Douglasa i innych magnatów, ja zaś lub ty mamy walczyć w obronie honoru Nadobnego Grodu. Otóż, sąsiedzie, chociaż jako rajca jestem mieszczaninem starszym od ciebie rangą, w imię naszej długoletniej przyjaźni zrzeknę się na twoją rzecz tego pierwszeństwa i zadowolę się mniej zaszczytną rolą sekundanta. Choć zły i rozdrażniony, Harry Smith nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Jeśli ta sprawa spędza ci sen z powiek i każe o północy przebiegać ulice miasta, zaraz cię uspokoję.

Nie stracisz swego prawa pierwszeństwa do zaszczytu. Walczyłem dziesiątki razy w pojedynkę... wiele, wiele razy za dużo. Jeśli wiem, tyś walczył dotąd tylko ze swoim drewnianym Saracenenem.

Postąpiłbym niecnie, nieuczciwie i niegodnie, gdybym skorzystał z twojej szlachetnej oferty. Wracaj do domu, sąsiedzie, i niech ci myśli o straconej okazji do chwały nie spędzą snu z powiek. Podejmiesz

wyzwanie i staniesz w szrankach, do czego masz pełne prawo, jako że ciebie znieważył kłusownik spod znaku Douglasa.

- Bóg zapłać, sąsiedzie Harry - rzekł Oliver, mocno zmieszany niespodzianą ustępliwością Smitha. - Zawsze wiedziałem, że jesteś mi prawdziwym i szczerym przyjacielem. Ale tyleż mam w sercu przyjaźni dla Harry'ego Smitha, co Harry Smith ma dla Olivera Proudfoote'a. Klnę się na świętego Jana, że nie stanę do tej walki z twoją krzywdą i szkodą. A skoro złożyłem tę przysięgę, nic mnie już nie skusi, bo chyba nie chcesz, żebym stał się krzywoprzysięcą... nawet dla dwudziestu pojedynków.

- Słuchaj uważnie, co ci powiem - rzekł Smith. - Albo się przyznasz, że cię strach obleciał, i

przestaniesz łągać, albo nie doczekasz się ode mnie pomocy.

- Co też ty, zacny sąsiedzie... - obruszył się czapnik. - Wiesz doskonale, że ja się nigdy niczego nie lękam. Ale ten łotr to prawdziwie groźny przeciwnik... a ponieważ mam żonę i dzieci... i biedna Maudie...

- Ja zaś - przerwał mu Harry - nie mam żony i nigdy mieć nie będę.

- Ach, doprawdy?... W takim przypadku lepiej by było, żebyś ty stanął do walki.

- Przebóg, kumie - zaśmiał się Smith - nietrudno cię wystrychnąć na dudka. Zrozumie, pało, że sir Patrick Charteris, który lubi pozartować, zwyczajnie z ciebie zakpił. Czy ty myślisz, że on powierzyłby ci obronę honoru miasta?... Albo że ja dałbym ci pierwszeństwo w sprawie, od której tak

wiele zależy? Dalibóg, wracaj do domu i niech ci Maudie włoży na tę pustą łepetynę ciepły nocny czepiec... zjedz porządne śniadanie, popij kubkiem czystej wody, to może jutro zbierzesz siły do walki

ze swoim drewnianym Saraceniem. Myślę, że to jedyny przeciwnik, z którym będziesz kiedykolwiek w

życiu stawał na ubitej ziemi.

- Tak uważasz, przyjacielu? - spytał Oliver, który doznał wprawdzie ulgi, czuł się jednak w obowiązku

zrobić obrażoną minę. - Nie podoba mi się twój zgryźliwy ton. Całe szczęście, że nie możesz mnie wyprowadzić z równowagi, bo inaczej smutno by się to dla ciebie skończyło. Ale dajmy pokój swarom... przyjaźnimy się od lat, a ja jestem u ciebie w gościnie. Po cóż by dwaj najlepsi szermierze w Perth mieli krzyżować miecze? Cha cha, nie od dzisiaj znam twoje humory i jak trzeba, potrafię ci wybaczyć. Ale czy spór naprawdę został zażegnany?

- Jak burza, którą rozpędziły wiatry - odparł Harry. - Rada miejska dała Piekielnemu Dickowi sakiewkę pełną złota... za to, że nie uwolnił miasta od jednego nieznośnego nudziarza nazwiskiem Oliver Proudfoote, chociaż miał go na ostrzu miecza; ta zaś sakwa pełna złota kupiła burmistrzowi

Sleepless Island, którą nadał mu król, jako że w ostatecznym rozrachunku król płaci za wszystko. W ten sposób sir Patrick Charteris zyskał piękny szmat ziemi tuż obok swego zamczyska, a honor obu stron został uratowany, bo podarek dla burmistrza jest, jak sam rozumiesz, jednoznaczny z podarkiem dla miasta. Co więcej, Douglas opuścił Perth i pomaszerował przeciwko Anglikom, których, jak ludzie powiadają, wpuścił na Pogranicze zdradziecki earl of March. Nadobny Gród uwolnił się więc szczęśliwie od Douglasa i jego drużyny.

- Ale na świętego Jana, jak do tego doszło? - zdumiał się Oliver. - Przecież nie było żadnych rozmów w tej materii!

- Zaraz ci powiem, sąsiedzie, jak ja to sobie tłumaczę. Napastnik, któremu odrąbałem rękę, jest podobno giermkim sir Johna Ramorny. Na drugi dzień po zajściu umknął w swoje rodzinne strony, do Fife, dokąd ma się też niezadługo udać skazany na banicję sam sir John Ramorny - ku radości wszystkich zacnych ludzi w mieście. Otóż za postępками sir Johna stoi znacznie możniejsza osobistość... sądzę, że Szymon Glover wspomniał o tym sir Patrickowi Charterisowi. Jeśli to prawda,

mogę dziękować Bogu i wszystkim świętym, że nie zakłułem tego młodziana na śmierć, kiedym go pochwycił na drabinie.

- Ja też dziękuję Bogu i wszystkim świętym, bo jak wiesz, byłem tuż za tobą i niewiele brakowało, a...

- Jeśli masz choć trochę oleju w głowie, będziesz trzymał język za zębami. Prawo karze srogo tych, co

podnoszą rękę na księcia krwi - rzekł Smith. - Zresztą ufajmy, że cała rzecz ucichła już na dobre.

- Jeśli to wszystko prawda - rzekł Oliver, trochę zbity z tropu, ale w większej mierze uradowany wiadomością otrzymaną od lepiej poinformowanego przyjaciela - powinienem wystąpić ze skargą na sir Patricka Charterisa, że jako burmistrz ośmielił się dworować sobie z zacnego mieszczanina.

- Uczyń to koniecznie. Najlepiej wezwij go do walki... zobaczysz, każe swoim pachołkom poszczuć

cię psami. Ale dość tych rozmów. Późno już, więc się chyba pożegnamy.

- Nie... nie, przyjacielu. Mam ci jeszcze coś do powiedzenia. Ale wpierw daj mi zwilżyć gardło tym zimnym piwem.

Oliver wziął z rąk przyjaciela drugi dzban piwa, pił jednak bardzo powoli, cały czas zastanawiając się

nad słowami, w jakich poruszy drugi temat rozmowy; wiedział, że wobec rozdrażnienia Smitha jest to

przedsięwzięcie nader ryzykowne. Że jednak nic lepszego nie przychodziło mu do głowy, zaczął obcesowo:

- Mówiłem dzisiaj z Szymonem Gloverem, kumie.

- Jeśliś nawet mówił - zaczął Harry cicho i groźnie - co mi do tego?

- Ach nic... nic - rzucił w popłochu przestraszony czapnik. - Ale może chcesz wiedzieć, że mnie

Glover wypytywał, czy cię widziałem w Dniu świętego Walentego, niedługo po starciu u

Dominikanów, i w czyim byłeś towarzystwie.

- A ja dałbym sobie głowę uciąć, żeś mu powiedział, że mnie widziałeś z minstrelką na ciemnej ulicy!

- Wiesz dobrze, Harry, że łganie idzie mi niesporo. Ale wszystko mu bardzo chytrze wytłumaczyłem.

- Jak, jeśli wolno spytać?

- Och, bardzo po prostu... „Ojczy Szymonie - powiedziałem - starzec z ciebie i nie rozumiesz nas,

młodych zuchów, którym w żyłach miast krwi płynie żywe srebro. Wydaje ci się może -

powiedziałem - że Harry'emu zależy na tej dziewczynie... że trzyma ją gdzieś w Perth, w sekrecie

przed wszystkimi? Nic podobnego. Wiem i mogę na to przysiąc, że rankiem opuściła jego dom i

pojechała do Dundee". Ha! Pomogłem ci, co? Prawdziwych przyjaciół poznaje się w potrzebie.

- Pomogłeś mi, a jakże! Że też kiedy jestem po szyję zanurzony w błocie, durny osioł w twoim rodzaju

musiał mi postawić niezdarne kopyto na głowie i całkiem mnie pograżyć! Wynoś mi się z mojego

domu! Gdybym cię chciał sprawiedliwie ukarać za twoje wścibstwo, leżałbyś z połamanymi żebrami w najbliższym rynsztoku. Zmykaj, bo jak nie, wyfruniesz głową naprzód przez te drzwi!

- Cha, cha! - zaśmiał się Oliver z przymusem. - Co za kawalarz z ciebie, sąsiedzie Harry! Ale teraz mówię poważnie... nie zechciałbyś mnie odprowadzić do mojego domu na Meal Venall?

- A niech cię diabli, ani myślę!

- Poczęstuję cię zacnym winem, jeśli pójdziesz - rzekł Oliver.

- A ja cię poczęstuję pałką, jeśli zostaniesz - rzekł Harry.

- W takim razie pozwól, że włożę twój skórzany kaftan i kołpak podbity blachą. Jak będę szedł twoim

zamaszystym krokiem i gwizdał ulubioną piosenkę o „Kościach pogruhotanych na łąkach Loncarty”, wezmą mnie za ciebie i nawet we czterech nie odważą się do mnie zbliżyć.

- Weź, co chcesz, do wszystkich diabłów piekielnych! Tylko zmykaj!

- Dobrze już, dobrze, przyjacielu. Spotkamy się, jak będziesz w lepszym humorze - rzekł pojednawczo

Oliver ubierając się w kubrak Hardego.

- Idźże, człowieku... i obym nie oglądał już nigdy twojej błazeńskiej twarzy!

Oliver uwolnił w końcu Smitha od swej niepożądanego obecności i krokiem dziarskim, starając się postawą i ruchami naśladować swego sławetnego towarzysza i cały czas pogwizdując jego ulubioną melodię wyszedł na ulicę. Ale gdy ów zarozumiały, choć niewinny sercem człowiek znalazł się u zbiegu Wynd i High Street, straszliwy cios, przed którym nie obroniłby hełm z najprzedniejszej stali, padł z tyłu na jego głowę. Nieszczęsny Oliver runął martwy na ziemię, a gdy padał, imię płatnerza, do

którego zwracał się zawsze po ratunek, zamarło na jego wargach.

ROZDZIAŁ XVII

Tak więc z ciebie księcia młodego wykroję.

Falstaff

Wracamy teraz do rozbawionej gromady młodzieńców, którzy zaledwie przed pół godziną nagradzali hałaśliwymi brawami popis zręczności Olivera Proudfoote'a - ostatnie w życiu tego nieszczęśnika - i patrzyli, jak naglony ich dzikim wrzaskiem Oliver ratuje się ucieczką. Kiedy naśmieli się już do syta, ruszyli w dalszą drogę, a gdy rozbawieni szli dokazując i błaznując, zatrzymywali spotykanych przechodniów i niejednemu napędzili przy tym stracha; trzeba jednak przyznać, że nie wyrządzili nikomu poważniejszej krzywdy, czy to cielesnej, czy duchowej. W końcu znużony tą włóczęgą przywódca dał znak swym podwładnym, żeby go otoczyli kołem.

- Ja, dzielni moi zuchowie i mądrzy doradcy - rzekł - jestem prawdziwym królem i włodarzem tej części narodu szkockiego, która warta jest rządzenia. Rządy me sprawuję w godzinach, w których kielich krąży najżywiej, w których Piękno jest hojne, Swawola czuwa, a Powaga chrapie na swym łożu. Pozostawiamy naszemu zastępcy, królowi Robertowi, mozolne dzieło trzymania w ryzach ambitnych wielmożów, zaspokajania apetytów chciwego duchowieństwa, ujarzmiania dzikich Pogórzan i łagodzenia śmiertelnych sporów. A ponieważ imperium moje zwie się krajem radości i wesela, jest rzeczą zrozumiałą, iż powinienem śpieszyć z całym moim wojskiem w sukurs tym moim poddanym, których zły los uczynił niewolnikami trosk i urojonych chorób. Mam głównie na myśli sir Johna, zwanego przez prostaczków Ramornym. Nie stawał przed moim królewskim obliczem od dnia napaści na dom Glovera na Curfew Street i chociaż wiadomo mi jest, że odniósł wtedy obrażenia, nie sądzę, aby mu one przeszkodziły złożyć mi należny w dniu dzisiejszym hołd. Hej tam, heroldzie tykwy pełnej wina, czyś wezwał w moim imieniu sir Johna do wzięcia udziału w tej części nocnych igraszek?

- Tak jest, miłościwy władco.

- I powiadomiłeś go, żeśmy na tę noc zawiesili jego wyrok banicji? Że skoro wyższe ponad nami władze wyrok ten ferowały, my chcemy przynajmniej pożegnać się wesoło z naszym starym przyjacielem?

- Powiadomiłem go o tym - odparł młodzian przebrany za herolda.

- A czemuż to nie przysłał nam sir John usprawiedliwienia na piśmie... on, który tak się szczyci swoją
umiejętnością pisania?

- Był w łóżku, wasza miłość, i nie pozwolono mi z nim mówić. Słyszałem tylko, że nie opuszcza swej
komnaty, gdyż cierpi z powodu odniesionych ran i frasuje się, że stracił przychylność waszej miłości.
A ponadto boi się zniewagi na ulicy, jako że z trudem zdołał ująć pogoni mieszczan, gdy te prostytutki
ścigały jego oraz dwóch pacholków aż do furty opactwa. Pacholków tych odesłano do Fife, aby nie
rozpuszczali zanadto języka.

- Nader roztropna decyzja - pochwalił księżę, który, o czym nie musimy informować inteligentnego
czytelnika, miał więcej praw do tego tytułu, niż mu je gwarantowała zapustna maskarada. - Słusznie,
że pozbyto się gadatliwych towarzyszy. Ale nieobecność sir Johna na tej naszej uroczystej dorocznej
hulance, z dawna już nakazanej, zakrawa na jawny bunt i wypowiedzenie posłuszeństwa. Z drugiej
strony, jeśli rycerz istotnie jest chory i w szponach melancholii, musimy w majestacie naszym
zaszczycić go wizytą, jako że nasza królewska obecność najlepszym jest lekiem na takie choroby. A
więc naprzód, rycerze, minstrele, strażę i giermkowie! Wnieście wysoko szlachetny emblemat
naszej
godności! Wnieście wysoko, powiadam, nasz szacowny puchar. I niech ci, którzy dotąd najpewniej
trzymają się na nogach, dźwigają gąsiory. Ich brzemień jest ciężkie i cenne, a jeśli nas nie mylą nasze
królewskie oczy, tragarze niebezpiecznie zataczają się i chwieją. A więc naprzód, panowie, niechaj
minstrele śpiewają najgłośniej.

Podpity orszak ruszył wśród wesołych krzyków i śpiewów; w ciasnych uliczkach pochodnie rzucały
czerwony blask na małe okna domów, przez które mieszczanie w szlafmycach, a niekiedy ich żony,
spoglądali ukradkiem, żeby się przekonać, czyja dzika wesołość zakłóca spokój nocny o tak późnej
porze. W końcu rozhukana gromada stanęła przed domem sir Johna Ramorny, oddzielonym od ulicy

niewielkim podwórcem.

Zaczęli teraz łomotać do bramy, wrzeszczeć i przeklinać obiecując najwymyślniejsze katusze opornym pachołkom, którzy nie chcieli im otworzyć. Najłagodniejszą z przyrzekanych kar było zamknięcie w pustej beczulce po winie, w lochach podziemnych pałacu księcia Wszelkich Rozrywek. Eviot, paź Ramorny'ego, słyszał wszystko i wiedział, kto tak śmiało dobija się do wrót; z uwagi jednak

na stan zdrowia swego pana uznał, że lepiej nie reagować na wrzaski (w nadziei, że hulacy po jakimś czasie odejdą), niż wdawać się w pertraktacje, które tak czy owak nie dadzą pożądanego rezultatu. Okno sypialni Ramorny'ego wychodziło na mały ogród na tyłach domu, należało więc przypuszczać, że hałas nie zbudzi śpiącego; co więcej, Eviot ufał odporności zewnętrznej bramy, w którą, jak się spodziewał, hulacy będą łomotali dopóty, dopóki im się to nie sprzykrzy. Ogłuszający hałas znużyłby też zapewne podpitych młodzieńców, gdyby księżę nie wyłajał ich jako opieszalnych wyznawców bożka wina i wesołości.

- Podajcie no - zawołał - klucz... o, tam leży... i otwórzcie nim te nieprzychylne wrota!

„Klucz”, na który wskazał, był ogromną belką pozostawioną na ulicy z niechlujstwem charakterystycznym dla ówczesnych miast szkockich.

Rozwrzeszczeni mężowie z dalekich Indii natychmiast podnieśli belkę i rozpędziwszy się, grzmotnęli nią we wrota z taką siłą, że zawiasy, wrzeciędzie i skobel zabrzęczały, jak gdyby przy następnej próbie miały już ustąpić. Eviot wołał nie czekać na rezultaty tego szturmu. Wszedł na dziedziniec i zadawszy dla formy kilka pytań, rozkazał odźwiernemu otworzyć bramę, udając, że dopiero teraz rozpoznał nocnych gości.

- Pełen fałszu sługo zdraдлиwego pana - rzekł Rothsay - gdzie jest mój niewierny poddany, sir John Ramorny, który pominął milczeniem wezwanie swego księcia?

- Miłościwy księżę - rzekł Eviot, ukłonem składając hołd zarówno prawdziwej, jak przybranej

godności przywódcy hulaków. - Mój pan jest bardzo chory... zażył niedawno lek nasenny... zechciej więc, wasza miłość, wybaczyć mnie, słudze, jeśli spełnię moją względem sir Johna powinność i wyjaśnię, że zbudzenie go z głębokiego snu może się okazać niebezpieczne dla jego życia.

- Koszałki opałki! Nie mów mi o niebezpieczeństwie, paniczu Teviot... Cheviot... Eviot... jakże cię, u licha, zwą? Zaprowadź mnie do komnaty swego pana, a raczej wystarczy, jeśli otworzysz drzwi, a sam

znajdę drogę. W górę gąsior, dzielni moi wasale... baczcie pilnie, żebyście nie uronili ani jednej kropli

bezcennego płynu, który bożek Bachus ofiarował światu, aby leczyć wszystkie choroby ciała i wszystkie udręki ducha.

Co powiedziawszy, książę wszedł do domu, a że wewnątrz to było mu dobrze znane, wbiegł na schody, wyminąwszy Eviota, który na próżno błagał o ciszę, i wraz z resztą hałaśliwej zgrai wpadł do komnaty

rannego.

Każdy, kto po zażyciu silnego leku nasennego zasnął mimo dojmujących cierpień i kogo hałas wyrwał z owej sztucznie wywołanej nieprzytomności, bez trudu wyobrazi sobie przerażenie i oszołomienie sir

Johna, a także udrękę na nowo rozbudzonego bólu. Jeśli dodamy do tego pamięć o zbrodniczym rozkazie, niedawno wydanym i być może już spełnionym, możemy sobie wyobrazić, co czuł nieszczęśnik w chwili rozbudzenia, ponad które lepszy byłby wieczny sen. Jęk, który wyrwał się z piersi sir Johna i był pierwszym symptomem powracającej świadomości, miał w sobie coś tak przerażającego, że nawet rozbawieni wesołkowie raptownie umilkli; a gdy ranny, oszołomiony i na pół przytomny, rozejrzał się po izbie pełnej fantastycznych postaci, zaczął mamrotać do siebie półgłosem:

- A więc to tak... a więc legenda jest prawdą! Osaczyli mnie szatani i potępiony jestem na wieki! Nie czuję dokoła żaru ognia i zapachu smoły... ale czuję żar w sercu, jak gdyby płonął we mnie

siedmiokroć rozpalony piec!

Gdy chory rzucał dokoła obłądne spojrzenia, Eviot zbliżył się do księcia i padłszy przed nim na kolana, błagał, aby pozostawiono chorego w spokoju.

- Mój pan - rzekł - może to przyplacić życiem.

- Nie lękaj się, Cheviot - odparł książę Rothsay. - Nawet jeśli twój pan znajduje się na progu śmierci,

ten oto płyn zmusi sługi piekielne do porzucenia ofiary. Podajcie gąsior, panowie.

- Łyk wina w tym stanie to śmierć - tłumaczył Eviot. - Jeśli wypije, umrze.

- Ktoś musi wypić za niego... uzdrowimy sir Johna przez zastępstwo. Niechaj wielki Bachus obdarzy łaskawie sir Johna Ramorny zdrowiem, radością serca, lekkością oddechu i bujnością wyobraźni, owymi najcenniejszymi darami, wierny zaś jego stronnik, który wypije w zastępstwie swego pana, niech będzie nękanym wyrzutami sumienia, chorobą, strachem, przymgleniem wzroku i bólami głowy, bo w ten właśnie sposób nasz wielki mistrz ogranicza swoje dary, abyśmy się nie stali nazbyt podobni

bogom. Słuchaj, Eviot... może ty będziesz owym wiernym stronnikiem, który wypije w zastępstwie swego pana? Uczyń to, a odejdziemy, bo po prawdzie nasz poddany nie wygląda dobrze.

- Gotów jestem uczynić wszystko, co w mej mocy - odparł Eviot - żeby uratować mego pana od śmierci, a waszą miłość od świadomości, żeś się do niej przyczynił. Ale jest tu ktoś, kto rad dopełni tego aktu dobrej woli i jeszcze waszej miłości podziękuje.

- Kogóż masz na myśli? - spytał książę. - A, rzeźnik... i chyba prosto od roboty. To rzeźnicy uprawiają

swoje rzemiosło w zapusty? Tfu... jakże on cuchnie krwią!

Słowa te dotyczyły Bonthrona; potwór, zaskoczony niespodziewaną wrzawą w domu i otępiały wielkimi ilościami wypitego wina, stał na progu w spryskanym krwią skórzanym kaftanie, trzymając w ręku skrwawiony topór; wyglądał upiornie i ohydnie i wzbudził w rozbawionych zapustnikach, chociaż sami nie umieliby powiedzieć dlaczego, nie tylko wstręt, lecz także uczucie przestachu.

Gdy zbliżali się z gąsiorem do tego dzikusa o okrutnym i odrażającym wyglądzie i gdy ów wyciągnął rękę umazaną, zda się, krwią, książę zawołał donośnym głosem:

- Wyrzucić go z komnaty! Niech nie pije w naszej obecności... znajdźcie mu inne naczynie, niech nie kala świętego gąsiora... najodpowiedniejsze byłoby dlań świńskie koryto! Zabierzcie go stąd!

Napójcie go odpowiednio, musi okupić trzeźwość swego pana. Zostawcie mnie samego z sir Johnem Ramorny... paż też niech zostanie. Przebóg, nie podobają mi się wasze łotrowskie spojrzenia!

Zapustnicy odeszli, został tylko Eviot.

- Obawiam się - zaczął książę podchodząc do łóżka chorego i mówiąc zgoła innym tonem - obawiam się, mój drogi sir Johnie, że ta nasza wizyta nie jest ci miła. Ale sam jesteś sobie winien. Chociaż znasz moje dawne zwyczaje i uczestniczyłeś w opracowywaniu planów na ten wieczór, nie odzywałeś

się do mnie od Dnia świętego Walentego... Mamy dzisiaj zapusty, więc taka dezercja jest zwykłym dowodem nieposłuszeństwa i zdradą naszego imperium wesołości, a także jawnym przykładem łamania statutów gąsiora.

Ramorny podniósł głowę i wbił w księcia spojrzenie swych zamglonych oczu; potem gestem wskazał Eviotowi, że chce pić. Paż podał mu kubek kleiku, który chory wypił łapczywie. Następnie przytknął do nozdrzy orzeźwiająca esencję, pozostawioną mu przez medyka. Po trochu odzyskiwał świadomość.

- Pozwól, drogi Ramorny, że zbadam ci tętno - poprosił książę. - Wiesz, że nieobce mi jest lekarskie rzemiosło. Jakże to? Podajesz mi lewą dłoń, sir Johnie? Jest to sprzeczne zarówno z zasadami medycyny, jak grzecznych obyczajów.

- Prawa dłoń wykonała już swą ostatnią czynność w służbie waszej miłości - rzekł Ramorny głosem cichym i drżącym.

- Co znaczą twoje słowa? - zdziwił się książę. - Wiem, że twój giermek, Czarny Quentin, stracił rękę, ale będzie kradł drugą i w końcu też zawędruje na szubienicę, więc niewiele zmieniło się w jego życiu.

- Nie ów giermek poniósł stratę w służbie waszej miłości, lecz ja, John of Ramorny.
- Ty?! - wykrzyknął książę. - Dworujesz sobie lub może zioła nasenne mącą ci jeszcze myśli!
- Gdybym wypił wywar ze wszystkich maków Egiptu - odparł Ramorny - lek ów straciłby swą moc na widok tego. - Wyjął spod kołdry zabandażowaną rękę i pokazał ją księciu Rothsayowi. - Po zdjęciu tych opatrunków - dodał - przekonałbyś się, panie, że krwawy kikut jest wszystkim, co zostało z ręki zawsze gotowej na rozkaz waszej miłości sięgnąć do miecza.
- Rothsay cofnął się zdjęty zgrozą.
- Ta zbrodnia - wybuchnął - musi być pomszczona!
- W drobnej cząstce już jest pomszczona - rzekł Ramorny. - To jest... zdawało mi się, że widział przed chwilą Bonthrona... czy też był on jedną z piekielnych postaci owego przywidzenia, którym miał tuż po obudzeniu? Eviot, przywołaj tego łajdaka... jeśli trzyma się jeszcze na nogach.
- Eviot wyszedł i po chwili wrócił z Bonthronem. Uratował go od kary, dla niego bynajmniej nie przykrej, a polegającej na wlaniu mu do gardła drugiego gąsiora wina; pierwszy nie zrobił na nim żadnego wrażenia.
- Eviot - powiedział książę - nie pozwól temu potworowi zbliżyć się do mnie. Na sam jego widok przenika mnie dreszcz lęku i obrzydzenia. Jest w nim coś tak obcego mej naturze, jak gdyby był najohydniejszym gadem.
- Wpierw wysłuchaj go, panie - rzekł Ramorny. - Chyba tylko baryłka na wino, gdyby mogła przemówić, byłaby oszczędniejsza w słowach. Rozprawileś się z nim, Bonthron?
- Okrutnik podniósł topór, który wciąż trzymał, i zamachnął się nim w powietrzu.
- Rad słyszę. Jak poznałeś, że to on? Noc podobno ciemna.
- Z wyglądu, głosu, ubrania, kroku i gwizdu.
- Dość, precz sprzed mych oczu. Eviot, daj mu tyle złota i wina, ile jego zwierzęca dusza zapagnie.

Precz... a ty odejdz wraz z nim.

- I komuż to śmierć została zadana? - spytał książę, uwolniony od uczucia lęku i obrzydzenia, których doznawał w obecności skrytobójcy. - Ufam, że to tylko żarty? Jeśli nie, nazwę taki postępek pochopnym i okrutnym. Kto miał nieszczęście leć pod toporem tego krwiożerczego i brutalnego niewolnika?

- Łotr jemu podobny - odparł ranny. - Nędzny rzemieślnik, którego los obdarzył jednak mocą uczynienia z sir Johna Ramorny kaleki... niech jego nikczemna dusza będzie potępiona!... Jego marne życie tym jest dla mojego pragnienia zemsty, czym kropla wody byłaby dla buchającego płomieniami pieca. Będę mówił krótko, bo myśli moje znów się gubią... tylko powaga chwili każe mi mieć nad nimi władzę. Panie, jesteś w niebezpieczeństwie... wiem o tym. Naraziłeś się Douglasowi, obraziłeś swego stryja, rozgniewałeś ojca... choć to ostatnie samo w sobie nie byłoby groźne.

- Przykro mi, że rozgniewałem ojca - rzekł książę (natychmiast zapominając o wydarzeniu tak drobnym jak zamordowanie rzemieślnika i zwracając myśli ku sprawom ważniejszym, o których wspomniał Ramorny). - Jeżeli go istotnie rozgniewał. Ale jeśli dożyję, siła Douglasa zostanie złamana, a chytne intrygi mego stryja nie na wiele mu się zdadzą!

- A tak... jeśli... jeśli. Panie - podjął Ramorny - ktoś, kto ma takich jak ty przeciwników, nie może ufać

żadnym „jeśli” czy „ale”... Musisz się natychmiast zdecydować, czy sam uderzysz, czy chcesz być ofiarą.

- O czym ty mówisz, Ramorny? - zawołał książę Rothsay. – Bredzisz w gorączce!

- Nie, wasza miłość - odparł Ramorny. - Gdyby mi gorączka spalała nawet ciało, ostudziłyby je myśli,

które nie opuszczają mnie ani na chwilę. Być może świadomość własnej straty przywiodła mnie do desperacji... może niepokój o waszą miłość zrodził w mym umyśle śmiałe plany. Ale ponoszę odpowiedzialność za moje słowa, gdy mówię ci, panie, że jeśli pragniesz włożyć kiedyś na głowę

koronę szkocką... ach, nie... jeśli chcesz doczekać następnego świętego Walentego, musisz...

- I cóż „muszę” uczynić, mój Ramorny? - spytał książę wyniośle. - Ufam, że nic takiego, co by mnie okryło hańbą?

- Nic takiego, co byłoby niegodne księcia i dziedzica szkockiej korony... jeśli nasze skąpane w krwi kroniki mówią prawdę. Wszelako coś, przed czym może się zżymać książę zapustnych masek i hulaków.

- Surowe wypowiadasz sądy, mój Ramorny - rzekł gniewnie Rothsay. - Ale ponosząc stratę z mojej przyczyny, drogo kupiłeś sobie prawo ganienia mych postępów.

- Miłościwy książę - odparł Ramorny - cyrulik, który opatrywał ten krwawy kikut, oznajmił, że im dotkliwiej odczuwam ból jego skalpela i żegadła, tym lepsze mam widoki na powrót do zdrowia.

Przeto nie zawaham się i zranię twe uczucia, jeśli dzięki temu lepiej zrozumiesz, czego wymaga twoje

bezpieczeństwo. Nazbyt długo jesteś, wasza miłość, królem swawolnych hulank; albo nauczysz się teraz postępować jak mężczyzna, albo zgniotą cię niczym motyla na kwiecie, na którym igrasz!

- Sądzę, sir Johnie, że rozumiem twój obecny stan ducha. Znużyły cię wesołe szaleństwa... duchowni zwą je grzechem... i zatęskniłeś za rozrywką poważnej zbrodni. Zabójstwo lub ogólna rzeź

spotęgowałyby smak rozpusty, podobnie jak oliwki podnoszą smak wypitego wina. Ale moje

najbardziej nawet naganne uczynki wynikają jedynie ze swawolnej przekory i bezmyślnej psoty. Nie

lubuję się w krwawym rzemiośle i ze wstrętem patrzę czy choćby tylko słucham o krwawych aktach

dokonywanych na najnędniejszym nawet nikczemniku. Jeżeli wstąpię kiedykolwiek na tron, pójdę w

ślady mego ojca i przybiorę imię Robert, przez pamięć na Roberta Bruce'a. I jeśli Bóg zdarzy... za

mego panowania każdy młody Szkot będzie trzymał dzban w jednej ręce, drugą zaś będzie obejmował

swoją niebogę i będzie dowodził swego męstwa szklanicą i pocałunkami, nie zaś sztyletem i mieczem.

A gdy umrę, napiszą na mym grobie: „Tu leży Robert, czwarty tego imienia. Nie zwyciężał w

bitwach, jak Robert I. Nie wspiał się z nizin rycerstwa na wyżyny tronu, jak Robert II. Nie wznosił kościołów, jak Robert III. Ale żył i umarł jako król zacnych ludzi!" W całej dwuchsetletniej historii mego rodu pragnąłbym tylko być jak:

Stary król Jan,

Co miał gliniany dzban.

- Miłościwy książę - rzekł Ramorny - pozwól sobie przypomnieć, że twoje szaleństwa i hulanki czynią

wiele zła. Gdybym stracił rękę walcząc z nieprzyjaciółmi w obronie twoich interesów, nie bolałbym nad tą stratą. Ale być skazanym na zdjęcie po wsze czasy hełmu i pancerza i noszenie starczych szat, bo w nocnej burdzie...

- O, znów ta sama śpiewka! - przerwał lekkomyślny książę. - Jak możesz w tak niegodziwy sposób rzucać mi wciąż tę krwawą rękę w twarz, niczym duch Gaskhalla rzucający swą głowę do stóp sir Williama Wallace'a*? Dalibóg, jesteś bardziej niesprawiedliwy od samego Fawdyona, bo podczas gdy

Wallace odrąbał mu głowę trochę może pochopnie, ja rad byłbym przyczepić tę dłoń na powrót do ręki, gdyby to było możliwe. A ponieważ nie jest, każę ci sporządzić namiastkę dłoni na podobieństwo

stalowej ręki rycerza Carselogie, którą ów pozdrawiał przyjaciół, pieścił żonę, groził swym wrogom i

czynił to wszystko, do czego jest zdolna ręka z krwi i kości. Uwierz mi, sir Johnie, że posiadamy nadmiar niektórych organów. Człowiek widzi jednym okiem, słyszy jednym uchem, dotyka jedną ręką, wacha jednym nozdrzem. I doprawdy nie wiem, czemu wszystkie te organa dane nam są w parze... chyba że na wypadek straty lub kalectwa jednego.

Sir John Ramorny jęknął i odwrócił się od księcia.

- Doprawdy, sir Johnie, mówię całkiem poważnie - ciągnął Rothsay. - Wiesz lepiej niż ja, ile prawdy jest w legendzie o rycerzu zwanym Stalowa Ręka Carselogie, pochodzisz bowiem z tych stron. Za

jego życia tylko w Rzymie umiano sporządzić tę osobliwą machinę. Ale gotów jestem założyć się z tobą, że gdyby dać ją na wzór Harry'emu Smithowi, który jest płatnerzem w Perth, sporządzi on imitację tak doskonałą, jakiej nie potrafiliby zrobić wszyscy razem wzięci kowale rzymscy... nawet gdyby wszyscy rzymscy kardynałowie pobłogosławili ich dzieło.

- Mógłbym bez ryzyka przyjąć twój zakład, panie - odparł Ramorny z goryczą - gdybyśmy mieli czas na tego rodzaju swawole. Zwolniłeś mnie ze służby na polecenie stryja?

- Na polecenie mego ojca - odparł ksiązę.

- Dla którego polecenia twego stryja, panie, są rozkazem - odparł Ramorny. - Popadłem w niełaskę, skazano mnie na banicję, odrzucono w ką... jak sam mógłbym teraz odrzucić precz rękawicę z prawej

dłoni, zgoła już bezużyteczną. Ale choć nie mam ręki, moja głowa, panie, może ci jeszcze służyć. Czy zechcesz wysłuchać tych kilku doniosłych słów... jestem zmęczony i czuję, jak wycieka ze mnie siła.

- Mów - odparł Rothsay. - Twoja krzywda nakazuje mi ciebie wysłuchać... twój krwawy kikut jest berłem, które będzie mną dzisiaj rządziło. Mów zatem, ale korzystaj ze swego przywileju oględnie.

- Będę się streszczał przez wzgląd na nas obu, panie. Zresztą niewiele mam do powiedzenia. Douglas stanie niebawem na czele swych wasali. W imię króla Roberta powoła pod szkockie sztandary trzydzieści tysięcy ludzi z Pogranicza i niezadługo przybędzie na ich czele do kraju... Zażąda wtedy, żeby ksiązę Rothsay obdarzył jego córkę... a raczej przywrócił jego córce przywileje i godności księżnej Rothsay. Król Robert przyjmie wszelkie warunki, byle zachować pokój. A co uczyni ksiązę?

- Ksiązę Rothsay miłuje pokój - odparł dumnie młodzieniec. - Nigdy jednak nie lęka się wojny. Na to,

żeby przyjął z powrotem tę wyniosłą diabolicę do swego stołu i łoża, na rozkaz jej ojca, Douglas musiałby pierwiej zostać królem Szkocji.

Możliwe... zresztą jest to mniejsze z dwóch grożących ci niebezpieczeństw, panie, zwłaszcza że jest niebezpieczeństwem jawnym, Douglas bowiem nie ma zwyczaju działać skrycie.

- Jakże zatem jest to drugie, które nagli nas i nie pozwala nam pójść na spoczynek mimo późnej pory?

Kleją mi się już oczy, Ramorny... nawet pochodnie przygasają, jak gdyby znużyły się naszą poufną rozmową.

- Powiedz mi, książę, kto rządzi Szkocją? - spytał Ramorny.

- Robert, trzeci król tego imienia - odparł Rothsay uchylając kołpaka. - I oby Bóg pozwolił mu długo dzierżyć berło.

- Amen - dorzucił Ramorny. - Ale kto rządzi królem Robertem i dyktuje dobrotliwemu władcy wszystkie niemal zarządzenia?

- Masz na myśli księcia Albany - odparł Rothsay. - Prawda to, mój ojciec słucha niemal ślepo swojego

brata. Ale z ręką na sercu, nie mogę go o to winić, bo jedyny syn niewiele mu pomaga.

- Pomóżmy mu teraz, miłościwy książę - rzekł Ramorny. — Znam przerażającą tajemnicę, którą ci, panie, zaraz wyjawię. Albany usiłuje wciągnąć mnie do spisku na życie waszej miłości! Przynależ mi pardon za przeszłość i wysokie zaszczyty w przyszłości.

- Jakże to... na moje życie? Ufam, że masz na myśli tylko dziedzictwo i tron! To byłoby bezbożne... jest rodzonym bratem króla... siadywali na kolanach tego samego ojca... tulili się do piersi tej samej matki! Mówże, człowieku! Jakież jeszcze szalone urojenia nawiedzają cię w chorobie?

- Urojenia! - wybuchnął Ramorny. - Dotąd nikt nie zarzucił mi łatwowierności! Ale człowiek, który kusił mnie w imieniu Albany'ego, a któremu wszyscy uwierzą, gdy tylko wspomni najogólniej o tej czy innej niegodziwości... bo nawet leki, które przygotowuje jego ręka, mają posmak trucizny...

- Bzdury! Ten nikczemnik potrafiłby spotwarzyć świętego! - odparł książę. - Choć taki jesteś bystry, Ramorny, tym razem wystrychnięto cię na dudka. Mój stryj Albany jest człowiekiem ambitnym i rad byłby zagarnąć dla siebie i swego rodu więcej władzy i bogactwa, niżli mu się słusznie należy. Ale posądzać go o to, że zdolny jest pozbawić tronu czy zabić skrytobójczo syna swego brata! Wstyd, mój Ramorny! Nie każ mi cytować starego porzekadła, że kto czyni zło, lęka się zła. Przemawia przez

ciebie podejrzliwość, nie zaś mądrość i posiadane wiadomości.

- Łudzisz się, miłościwy książę. Ale inaczej przedstawię ci tę kwestię. Twój stryj jest powszechnie znienawidzony za swoją chciwość. Ciebie, panie, ludzie bardziej kochają niż...

Ramorny umilkł, a książę spokojnym głosem wypełnił lukę:

- Ludzie bardziej mnie kochają, niż szanują? Jeśli tak, chcę o tym wiedzieć, Ramorny.

- W każdym razie - podjął rycerz - ludzie bardziej cię kochają, niżli się ciebie boją, panie, a nie jest to

dla księcia sytuacja bezpieczna. Ale daj mi swoje słowo rycerskie, że nie będziesz się, panie,

przeciwstawiał mojemu działaniu, które podejmę dla twego dobra, i daj mi swój pierścień, abym mógł

kaptować przyjaciół w twoim imieniu, a książę Albany nie zyska władzy i przewagi na tym dworze...

pierwej dłoń odrąbana od tego krwawego kikuta znów do niego przyrośnie i będzie posłuszna

rozkazom mego umysłu!

- Nie ośmielisz się chyba nurzać rąk w krwi królewskiej? – zapytał groźnie książę.

- Fe, wasza miłość! Przenigdy... krwi nie trzeba rozlewać... życie może, a nawet musi zgasnąć samo.

Płomień nie uzupełnianej oliwą lampy nie osłanianej od ostrych podmuchów wichury - gaśnie sam.

Pozwolić człowiekowi umrzeć to nie to samo, co go zabić.

- Słusznie, zapomniałem o tej metodzie. A więc dobrze... powiedzmy, że mój stryj Albany zgaśnie, bo

tak to zapewne należy sformułować... kto będzie rządził Szkocją?

- Robert Trzeci, za zgodą i wspierany radami potężnego Dawida, księcia of Rothsay, namiestnika

królewskiego i alter ego* władcy... na którego rzecz dobrotliwy król, znużony troskami monarchy, z

pewnością zechce abdykować. A wtedy - niech żyje nasz dzielny młody władca, król Dawid Trzeci!

- Ale czy mojemu ojcu i poprzednikowi - spytał Rothsay - będzie wolno żyć dalej, aby modlił się za

mnie jako mój jałmużnik... za mnie, który udzielę mu łaskawie przywileju złożenia siwej głowy w

grobie, gdy tylko - lecz nie wcześniej - umrze naturalną śmiercią? Czy może jemu również zagrożą

owe zaniedbania, w wyniku których człowiek przestaje żyć... czy zamieni on loch więzienny lub celę klasztorną podobną do więzienia na owo mroczne i ciche wieczne schronienie, w którym, jak nas zapewniają księża, grzesznik nie odczuwa już udręki, a człek znużony znajduje spokój?

- Dworujesz sobie, mój księżę - odparł Ramorny. - Wyrządzenie krzywdy dobrotliwemu staremu królowi byłoby czynem zarówno niegodziwym, jak nieroztropnym.

- Czemuż miałbyś się przed nim cofać, człowieku, skoro cały twój plan - wybuchnął księżę - jest jednym wielkim przykładem niegodziwości zaprawionej krótkowzroczną ambicją! Jeżeli władca Szkocji nawet teraz, kiedy jego sztandar jest nie splamiony i godny czci, z trudem utrzymuje w korbach swych magnatów, kto poprze księcia, który będzie miał na sumieniu śmierć własnego stryja i uwięzienie ojca? Na Boga, takie postępowanie wydałoby się wstrętne najdzikszyemu poganom, a co dopiero radzie chrześcijańskiego królestwa! Byłeś moim wychowawcą i nauczycielem, Ramorny, i może część winy za te szaleństwa, które ludzie we mnie ganią, spada na twoje nauki i na twój przykład. Może gdyby nie ty, nie stałbym teraz o północy w tym błazeńskim kostiumie i nie przysłuchiwałem się słowom ambitnego rozpustnika, który podsuwa mi myśl o zamordowaniu własnego stryja i pozbawieniu tronu najlepszemu z ojców. Ale ponieważ jest to zarówno moja wina, jak i twoja, że stoczyłem się tak nisko na dno niesławy, byłoby niesprawiedliwością, gdybyś ty sam miał za to umrzeć. Nie waz się jednak wracać do tej sprawy, bo zapłacisz życiem! Powiem mojemu ojcu... powiem Albany'emu... przed całym krajem ogłoszę cię zdrajcą! Do każdego pręgiarza w Szkocji zostanie przybity strzęp ścierwa zdrajcy, który ośmielił się doradzać czyn tak niegodziwy dziedzicowi szkockiej korony! Ufam mimo wszystko, że gorączka wywołana raną i działaniem oszałamiających kordiałów na twój chory umysł dyktuje ci te słowa, nie zaś z góry powzięty zamiar.

- Przebóg, miłościwy księżę - rzekł Ramorny - jeżeli moje słowa zasłużyły na tak wielki twój gniew, podyktował mi je nadmiar zapału i chwilowa tępota. Jestem ostatnim chyba człowiekiem na świecie, który podsuwałby ci, panie, ambitne plany z myślą o własnej korzyści. O, biada mi! Jedyne, co mi

zostało, to zamiana włóczni i siodła na brewiarz i konfesor! Klasztor w Lindores otworzy zapewne

wrota przed kalekim i zubożałym rycerzem of Ramorny, który w przyszłości będzie miał dość czasu na snucie rozmyślań nad tekstem: „Nie pokładajcie wiary w księżętach”.

- Zbożny to zamiar - pochwalił Rothsay - przeto możesz liczyć na moje poparcie. Sądziłem dotąd, że rozstaniemy się tylko na jakiś czas, teraz jednak wiem, że musimy się rozstać na zawsze. Niepodobna, aby po takiej rozmowie spotkały się jeszcze nasze drogi. Wszelako klasztor w Lindores czy też inny zakon, który zechce cię przyjąć, zostanie przeze mnie bogato wyposażony i otrzyma królewskie przywileje. A teraz, sir Johnie Ramorny, zaśnij... zaśnij i zapomnij o tej złowróżbnej rozmowie, którą -

ufam - podyktowała ci gorączka trawiącej cię choroby i gorączka wina, nie zaś własne twoje myśli. Oświeć mi drogę, Eviot.

Eviot przywołał towarzyszy księcia, którzy wyczerpani hulanką spali na schodach i w sieni.

- Czy żaden z was nie jest trzeźwy? - spytał księżę patrząc ze wstrętem na swą świtę.

- Żaden! - odpowiedzieli mu wrzaskiem pijacy. — Żaden z nas nie zdradził cesarza hulaków!

- A więc wszyscy zamieniliście się w bezrozumne zwierzęta? – spytał księżę.

- Na rozkaz waszej miłości i usiłując go naśladować - odparł któryś. - A jeśli księżę mimo wszystko nas przegonił, jeden łyk...

- Milcz, bestio! - rzucił groźnie Rothsay. - Pytam raz jeszcze: nie znajdzie się wśród was ani jeden trzeźwy?

- Jest jeden, miłościwy księżę - padła odpowiedź. - Anglik nazwiskiem Watkins.

- Podejdź bliżej, Watkins - rozkazał Rothsay - i potrzyмай pochodnię... daj mi jakiś płaszcz i kołpak...

zabierz te błyskotki - dodał zdejmując koronę z piór. - Chciałbym równie łatwo pozbyć się moich szaleństw! Angliku Watkins, ty będziesz mnie prowadził, a wy reszta dajcie pokój tym błazeństwom i odrzućcie zapustne szaty. Karnawał dobiegł końca, zaczął się post.

- Dzisiejszej nocy nasz monarcha abdykował rychlej, niż to zwykle czyni - rzucił jeden z zapustników,

ale ponieważ księżę nie zachęcił go do dalszych żartów, podchmieleni młodzieńcy starali się jak mogli

nadać sobie pozory trzeźwości i niebawem można ich było wziąć za spokojnych obywateli, którzy upiwszy się niespodziewanie dla samych siebie, usiłują zamaskować swój stan szczególną poprawnością obejścia. Tymczasem księżę, któremu drogę do drzwi oświetlał jedyny trzeźwy człowiek w całym orszaku, o mało nie potknął się o śpiącego na schodach Bonthrona.

- Ta nikczemna bestia znowu jest na mej drodze! - zawołał z gniewem i odrazą. - Hej tam, wrzucić go do koryta z wodą, niech chociaż raz w życiu będzie czysty!

A podczas gdy świta wykonując rozkaz zanurzyła Bonthrona w fontannie znajdującej się przed domem i podczas gdy bezsilny Bonthron poddawał się karze, porykując i charcząc jak zraniony niedźwiedź, księżę podążał do swoich apartamentów w pałacu earla of Errol. Chcąc odegnać precz niemile myśli, spytał w drodze swego towarzysza, czemu jest trzeźwy, gdy wszyscy inni w orszaku są pijani.

- Przyznaję, miłościwy księżę - odparł Watkins - że zawsze jestem trzeźwy, gdy wasza miłość raczy rozkazać, żeby orszak pił, a to dlatego, że prócz mnie są w służbie sami Szkoci i nierozważnie bym czynił pijąc w ich towarzystwie. Zważywszy, że oni mnie kochają jak psy dziada nawet wtedy, kiedy wszyscy jesteśmy trzeźwi, gdybym się napił, łącznie mógłbym im nagadać do słuchu, a wtedy miałbym w ciele tyle dziur, ile znajdzie się sztyletów w zacnej kompanii.

- A zatem postanowiłeś nigdy nie uczestniczyć w hulankach na moim dworze?

- Tak jest, za pozwoleniem waszej miłości. Chyba że któregoś dnia raczysz, miłościwy księżę, nakazać swojemu orszakowi trzeźwość, żeby Will Watkins mógł się upić nie ryzykując śmierci.

- Taka sposobność może się zdarzyć. Gdzie służysz, Watkins?

- W stajniach, miłościwy panie.

- Powiedz szambelanowi, że kazałem cię przenieść na pokoje, jako dowódcę nocnej straży. Podoba mi

się twoja szczerłość, a jeden trzeźwy człowiek w domu też jest coś wart, nawet jeśli utrzymuje się w tej

cnocie jeno ze strachu przed śmiercią. Służ mi, a trzeźwość okaże się dla ciebie popłatną cnotą.

Tymczasem zgryzota i strach powiększyły brzemię cierpień sir Johna Ramorny. W myślach chorego, oszołomionego narkotykiem, zapanował po wyjściu księcia chaos, przed którym Ramorny bronił się dotąd całą siłą woli. Pomału zaczęła go opuszczać świadomość. Mgliście zdawał sobie sprawę, że naraził się na wielkie niebezpieczeństwo, że uczynił sobie wroga w księciu, że zdradził mu sekret, za który może zapłacić życiem. Nie dziwota więc, że w tym stanie ciała i ducha nawiedziły go złe sny czy też może przywidzenia wywołane opium. Zdawało mu się, że zjawa królowej Annabelli stanęła u jego wezgłowia i żąda, aby zwrócił jej chłopca, którego mu powierzyła w opiekę - cnotliwego, pogodnego, niewinnego.

- Tyś go uczynił człowiekiem lekkomyślnym, rozpustnym, zepsutym rzekła zjawa królowej. - A mimo to dziękuję ci, Johnie of Ramorny... niewdzięczniku, któryś złamał dane mi słowo i zniweczył moje nadzieje. Bo twoja nienawiść wydrze mojego syna ze szponów zła, w które pchnęła go twoja przyjaźń.

I ufam całym sercem, że odkąd przestałeś być jego doradcą, surowa pokuta na ziemi zapewni memu nieszczęsnemu dziecięciu przebaczenie i łaskę na tamtym, lepszym świecie.

Ramorny wyciągnął ręce do swojej dobrodziejki i usiłował wyrazić jej swoją skruchę, usiłował się tłumaczyć; ale oblicze zjawy pociemniało i miast rysów królowej ujrzał dumną i posępną twarz Czarnego Douglasa... potem bolesciwą i łagodną twarz króla Roberta, który zdawał się oplakiwać bliski już upadek swego rodu... potem upiorne oblicza o rysach ni to odrażających, ni to śmiesznych, wykrzywające się w najstraszliwszych grymasach, poruszające wargami, jak gdyby szydziły z jego wysiłków odgadnięcia ich tożsamości.

ROZDZIAŁ XVIII

Purpury kraj, tam prawo życia nie chroni.

BYRON

W środę popielcową dzień wstał blady i ponury, jak zwykle o tej porze roku w Szkocji, gdzie na przedwiośniu pogoda bywa niemiłosierna. Ranek był mroźny, a mieszkańcy Perth odsypiali huczne zabawy zapustne, przeto słońce godzinę wisiało już nad horyzontem, zanim na ulicach pojawiły się pierwsze ślady życia i mieszczanin śpieszący na wczesną mszę zobaczył ciało nieszczęsnego Olivera Proudfoote'a; biedny czapnik leżał twarzą w dół nad ściekiem, tak jak padł poprzedniego wieczoru ugodzony przez Bonthrona, wykonawcę woli rycerza Johna Ramorny.

Wczesnym tym przechodniem był Allan Griffin, właściciel zajazdu; gdy na widok trupa podniósł alarm, zbiegli się wpierw sąsiedzi, niebawem zaś spory już tłum mieszczan otaczał miejsce zbrodni. Kiedy ludzie ujrzeli dobrze wszystkim znany kaftan i purpurowe pióro przy kołpaku, podniósł się wrzask, że to zamordowano skrytobójczo krzepkiego płatnerza Smitha. Pogłoska ta utrzymywała się jakiś czas, nikt bowiem nie widział twarzy nieboszczyka, gdyż Griffin, który sam był rajcą, nie pozwolił ruszyć ciała, dopóki nie przybędzie na miejsce starszy rajca Craigdallie.

- Jest to sprawa całego naszego grodu, przyjaciele - powiedział. - A jeżeli istotnie leży przed nami dzielny nasz płatnerz Harry Smith, nie znajdzie się w całym Perth ani jeden człowiek, który nie zaryzykuje życia i majątku, by go pomścić. Spójrzcie, łotrzy napadli go z tyłu, nie ma bowiem w promieniu dziesięciu mil od Perth człowieka, który odważyłby się stanąć przed nim twarzą w twarz z tak niegodziwym zamiarem. O dzielni mieszkańcy Perth! Od ciosu nikczemnej i zdradzieckiej ręki padł Harry Smith, który był chlubą naszego miasta! Okrzyk wściekłości podniósł się wśród szybko gęstniejącego tłumu.

- Weźmiemy go na ramiona - rzekł rosły rzeźnik - i zaniesiemy do klasztoru Dominikanów przed oblicze króla.

- Tak, tak - zawołał jakiś kowal - nic nas nie powstrzyma od pójścia do króla, nic nie złamie naszego postanowienia! Cóż to był za płatnerz!

- Do klasztoru Dominikanów! Dalej, bracia! Do klasztoru! - rozległy się okrzyki.

- Pamiętajcie, bracia mieszczenie - ozwał się inny obywatel - że nasz król jest dobrotliwym monarchą i

kocha nas jak własne dzieci. Ale Douglas i księżę Albany nie pozwolą zacnemu królowi wysłuchać skarg ludu!

- Czyż mamy patrzeć spokojnie, jak nas mordują na ulicach naszego miasta, bo król jest człowiekiem słabym? - zawołał rzeźnik. - Bruce czynił inaczej. Jeśli król o nas nie dba, sami musimy dbać o siebie.

Uderzcie w dzwony na alarm! Wznieście okrzyk, nie szczędźcie gardeł! Rozpoczęły się łowy świętego

Johnstona!

- Słusznie mówi! - wrzasnął inny mieszczanin. - Dalej, bracia... pod pałace Douglasa i Albany'ego, puścimy je z dymem! Niechaj łuny przyświadczą, że Perth umie pomścić dzielnego Harry'ego Smitha!

Dziesiątki razy walczył on w obronie praw Nadobnego Grodu... podejmijmy walkę chociaż raz, żeby pomścić jego krzywdę. Dalej, dzielni obywatele, rozpoczęły się łowy świętego Johnstona!

Dziesiątki głosów powtórzyły ów okrzyk, który był słynnym zawołaniem wojennym mieszkańców Perth, wznoszonym jedynie w chwilach szczególnego wzburzenia; z kilku zaś sąsiednich wież, na które rozwścieczeni mieszczenie wdarli się za zgodą lub mimo sprzeciwu księży, przemówił złowieszczy głos dzwonów bijących na trwogę.

Choć jednak tłum gęstniał i wrzawa potężniała, Allan Griffin, mężczyzna potężnej budowy i o doniosłym głosie, szanowany zarówno przez możnych, jak maluczkich, stanął okrakiem nad zwłokami nieszczęsnego czapnika i głośno, rozkazująco zawołał do rozwścieczonych ludzi, aby poczekali na przybycie rajców.

- Bracia mieszczenie, musimy kierować się w tej materii prawem, musimy podporządkować się naszym rajcom. Są to przez nas obrani nasi przedstawiciele, ludzie prawi i rzetelni. Niech nikt nie nazwie nas buntownikami i wichrzycielami królewskiego pokoju. Rozstąpcie się, sąsiedzi, bo oto

widzę starszego rajcę Craigdallie... a jakże... a wraz z nim idzie zacny Szymon Glover, któremu nasze miasto wiele zawdzięcza. Niestety, zacni bracia mieszczenie! Jego córka zaledwie wczoraj była narzeczoną, a dziś już jest wdową, choć nie zdążyła stanąć na stopniach ołtarza!

Ta zgoła nowa nuta współczucia spotęgowała wściekłość i żal tłumu, zwłaszcza że na ulice wyległy teraz również niewiasty, które powtarzały okrzyk wojenny za rozsierzonymi mężczyznami.

- Do broni! Rozpoczęły się łowy świętego Johnstona! Pomścimy Piękne Dziewczę z Perth i mężnego Harry'ego Smitha! Naprzód, wszyscy razem! Niech nikt nie stchórzy! Do stajen!... Do stajen! Bez wierzchowców zbrojni rycerze nie sprostają nam w boju! Uwięzić pachołków i strażę! Zadźgać, okaleczyć konie! Poderznąć gardła nikczemnym paziom i pokojowcom! Niech dumni rycerze spotkają się z nami pieszo, jeżeli starczy im odwagi!

- Nie odważą się! Stchórzą! - wołali mężczyźni. - Cała ich siła to te konie i zbroja! A przecie ci dumni

i niewdzięczni łotrzy zamordowali płatnerza, który nie miał sobie równego w Mediolanie i Wenecji!

Do broni! Do broni, dzielni mieszczenie! Rozpoczęły się łowy świętego Johnstona!

Wśród tego zgiełku rajcowie z trudem utorowali sobie drogę przez tłum i przystąpili do badania trupa;

asystował im w tych czynnościach urzędnik z ratusza, który opisał stan, w jakim znaleziono ciało.

Tłum poddał się tej koniecznej zwłóce z cierpliwością i karnością nader charakterystyczną dla narodu,

którego gniew był zawsze tym niebezpieczniejszy, że naród ów umiał, nie rezygnując z zemsty,

zdobyć się na cierpliwość i zwłokę, jeśli zapewniały mu one zemsty tej urzeczywistnienie. Tak więc

wzburzeni mieszczenie przyjęli rajców głośnymi okrzykami, wyrażającymi zarówno żądze zemsty, jak

szacunek dla patrycjuszy, pod których kierunkiem mieli nadzieję uczynić zadość tej żądzy w sposób formalny i prawny.

A gdy w powietrzu rozbrzmiewały jeszcze powitalne okrzyki tłumu, który wypełniał teraz szczelnie

wszystkie sąsiednie ulice, ojcowie miasta polecili podnieść i zbadać ciało; natychmiast też zorientowali się i oznajmili tłumowi, że oto leży martwy na bruku nie Harry Smith, ogólnie lubiany i przez swoich ziomków szanowany płatnerz, tylko człowiek cieszący się mniejszym poważaniem, choć nie pozbawiony własnych wartości - żwawy ongiś czapnik Oliver Proudfoote. Gniew ludzi w tak znacznej mierze podyktowany był powszechnym przekonaniem, iż ofiarą skrytobójstwa padł mężny i nieustraszony szermierz spraw miasta, Harry Smith, że zaprzeczenie tej wieści ostudziło wściekłość, chociaż gdyby zaraz na początku rozpoznano nieszczęsnego Olivera, tłum pragnąłby go pomścić nie mniej jednomyślnie, acz żądanie to formułowałby z mniejszą furią. A to, co w życiu komiczne, tak blisko graniczy z tragedią, że w pierwszej chwili niespodziana wieść wywołała uśmiech na ustach ludzi.

- Nikt chyba nie wątpi, że zabójcy wzięli go za Harry'ego Smitha - rzekł Griffin - co było dlań zapewne dużą pociechą.

Ale pojawienie się nowych osobistości na miejscu zbrodni przywróciło i pogłębiło tragizm sytuacji.

ROZDZIAŁ XIX

Któż to tak bije w dzwon? - Do diabła!

Całe miasto się obudzi.

SZEKSPIR: Otello

Pogłoski, które lotem błyskawicy obiegiły miasto, a także dzwony bijące na trwogę, wywołały ogólną konsternację. Magnaci i rycerze wraz ze swymi drużynami zbierali się w tych punktach grodu, które najlepiej nadawały się do obrony. Alarm dotarł również do rezydencji królewskiej, a młody książę Rothsay stawiał się jako jeden z pierwszych, aby w razie potrzeby bronić starego króla. Stały mu znów przed oczami zdarzenia minionej nocy; i przypomniawszy sobie splamioną krwią postać Bonthrona, książę rozumiał niejasno, że krwawy czyn łotra ma jakiś związek z tą wrzawą. Jednakże późniejsza rozmowa z sir Johnem Ramornym wywarła na nim tak silne wrażenie, że w pamięci

zatarły

się zasłyszane szczegóły krwawego czynu, a pozostało jedynie mgliste wspomnienie, że ten czy ów rzemieślnik został zamordowany. Książę włożył puklerz i z myślą o ojcu nakazał przywdziać wojenny

rynsztunek swej drużynie; i trzeba przyznać, że zakuci w błyszczące zbroje, z kopiami w rękach, jego towarzysze w niczym nie przypominali wczorajszych hulaków spod znaku Bachusa. Dobrotliwy stary monarcha przyjął te objawy synowskiego afektu ze łzami wdzięczności i dumnym gestem wskazał

Rothsaya swemu bratu, księciu Albany, który wszedł jednocześnie do komnaty. Ujął ich obu za ręce.

- Oto jesteśmy trzej Stewartowie - powiedział - tak nierozłączni jak trójlistna koniczyna. A podobnie jak człowiek noszący przy sobie to święte ziele bezpieczny jest ponoć od złych czarów, tak też my, póki wierni sobie jesteśmy, możemy się nie lękać zawiści i wrogości świata.

Gdy brat i syn ucałowali ręce dobrotliwego starca, Robert III zapewnił ich, że ufa w szczerłość ich uczucia. Gest młodzieńca był tym razem szczerzy; pocałunek brata był pocałunkiem judaszowym.

A tymczasem dzwon na wieży Świętego Jana zaalarmował również mieszkańców Curfew Street. W domu Szymona Glovera stara Dorota pierwsza usłyszała wrzawę. Choć trochę przygłucha, słuch tak miała wyostrzony na wszelkie złe wiadomości, jak sępy mają wyostrzony węch na padlinę; albowiem Dorota, skądinąd niewiasta pracowita i wierna, a nawet czułego serca, lubowała się w zbieraniu i powtarzaniu hiobowych wieści, co jest cechą często spotykaną wśród gminu. Zaledwie zdobyła garść nowin obiegających w tym momencie miasto, wdarła się jak burza do sypialni swego pana, który korzystając z przywileju wieku i dnia świątecznego spał tego ranka dłużej, niż to zwykle czynił.

- No i proszę, leży sobie ten zacny człowiek! - zawołała starucha głosem ni to skrzekliwym, ni to zawodzącym. - Leży sobie spokojnie w łóżku! Jego najlepszy przyjaciel zginął marną śmiercią, a on tyle o tym wie, co nowo narodzone dziecię, które nie odróżnia życia od śmierci.

- Co też ty! - wykrzyknął Glover zrywając się z łóżka. - O czym ty mówisz, starucho? Czy moja córka zdrowa?

- Starucho! - oburzyła się Dorota, która złapawszy rybkę na haczyk postanowiła z nią poigrać. - Nie jestem znów taka stara - wrzasnęła wybiegając z izby - żebyś miała czekać, aż chłop wygramoli się z łóżka!

Po chwili słyhać ją było na dole w bawialni; szurgotała po podłodze szczotką, wtórując sobie donośnym śpiewem.

- Dorota... ty puszczyku... diablico... powiedz chociaż, że moja córka zdrowa!

- Czuję się doskonale, ojczy! - zawołało piękne dziewczę ze swej sypialni - Ale na miłość boską... co

się dzieje? Biją dzwony na trwogę, na ulicach wrzawa!

- Za chwilę będę znał przyczynę - odparł Szymon. - Hej, Conachar, do mnie tu! Pomóż mi się ubrać!

Zapomniałem... ten przekłety góralczyk jest gdzieś hen za Fortingall. Cierpliwości, córeczko, niebawem wrócę do ciebie z wieściami.

- Po to nie musisz wychodzić z domu, Szymonie Glover - parsknęła uparta starucha. - Możesz nie wychodząc za próg dowiedzieć się wszystkiego. Spytałam ludzi i wiem dobrze, czemu biją dzwony.

Bom sobie pomyślała, że nasz gospodarz taki jest samowolny, że pewnikiem zaraz pobiegnie zobaczyć, co się stało, i wściubi ten swój stary nos w sam środek jakiej awantury, a zanim się opatrzy,

jeszcze mu ten nos odrąbią. No więc poszłam sama, i już.

- Ale czegoś się, na Boga, dowiedziała? - spytał niecierpliwie Glover, wciąż zajęty przeciąganiem rzemyków przez dziurki, których było bez liku; w taki to żmudny sposób umocowywano w owych czasach spodnie do kaftana.

Dorota nie przerywała mu tej czynności, dopóki nie uznała, że Glover lada chwila będzie gotowy do drogi; ale zrozumiawszy, że jeśli nie zdradzi sekretu, jej pan wyjdzie na miasto i dowie się wszystkiego, wrzasnęła w końcu:

- No już zgoda... zgoda, tylko nie obwiniajcie mnie, panie, żeście usłyszeli złe nowiny, zanim

poszliście do kościoła! Nie mówiłabym wam nic, dopóki nie wysłuchalibyście słowa bożego, ale jak już koniecznie chcecie wiedzieć, to wam powiem, że utraciliście najlepszego przyjaciela i że całe Perth będzie opłakiwało najmężniejszego mieszczanina, jaki trzymał kiedykolwiek miecz w dłoni!

- Harry Smith! Harry! - zakrzyknęli jednocześnie ojciec i córka.

- No właśnie, teraz już wiecie - rzekła Dorota. - A czyja to wina, jak nie wasza? Tyleście robili gwałtu

o to, że się zadaje z minstrelką, jakby to była Żydówka!

Dorota długo by jeszcze mówiła, gdyby jej pan nie zawołał do córki, która nadal była w swojej sypialni:

- Katarzyno, to czyste brednie... zdiecinniała starucha plecie, co jej ślina przyniesie na język! Nie zdarzyło się nic podobnego! Dowiem się prawdy i zaraz wrócę! - I chwyciwszy laskę, Glover wybiegł

na ulicę, zatłoczoną ludźmi zdążającymi w kierunku High Street. A tymczasem Dorota mruczała pod nosem:

- Tak, twój ojciec to istny mądrala, przynajmniej sam tak uważa. Ale zobaczysz, zaraz oberwie gdzieś

po łysinie, a wtedy będzie skamlał: „Doroto, podaj szarpie... Doroto, przyłóż plaster...” Ale teraz to mu

opowiadam czyste brednie i plotę głupstwa! Brednie! Akurat! Niby co mu się zdaje... że Harry Smith miał głowę twardą jak kowadło? I jak się mógł nieborak bronić, kiedy go napadł cały góralski klan?

Ale w tym miejscu umilkła na widok anielskiej zda się postaci o błędnych oczach, pobladłych policzkach i włosach w nieładzie, która jakby na pół tylko przytomna nagle się przed nią zjawiała.

- W imię Ojca, Syna, Ducha! - wykrzyknęła Dorota. - Co się z tobą, dziewczyno, dzieje?

- Czyś nie mówiła, że ktoś zginął? - spytała Katarzyna z najwyższym trudem formułując słowa, jak gdyby nagle zawiódł ją głos i słuch.

- A jakże, córuchno, zginął. Jeszcze jak zginął. Nie będziesz ty już mogła dąsać się na niego i obrażać!

- Zginął! - powtórzyła Katarzyna tym samym, na pół tylko przytomnym tonem. - Zginął... zabili go...

Pogórzanie!

- Pewnie, że Pogórzanie... te bezbożne łotry. A od czego ludzie w naszych stronach giną najczęściej, jak nie od ich noży... chyba że mieszczenie wezmą się za łby i trochę się pozabijają albo panom i rycerzom zachce się przelać odrobinę krwi. Ale słyszałam, że tym razem to sprawka Pogórzan. Nie było w Perth pana czy pachółka, który by się odważył w pojedynkę zaatakować Harry'ego. Kilku go napadło, już ja ci to mówię.

- Pogórzanie! - powtórzyła Katarzyna, jak gdyby prześladowała ją jakaś myśl mącająca zmysły. -

Pogórzanie! Och, Conachar! Conachar!

- O, właśnie! Pewnikiem był to Conachar. Pamiętasz, że pokłócili się w wilię świętego Walentego, a nawet doszło między nimi do bójki. Pogórzanin długo takie sprawy pamięta. Daj mu kuksańca na świętego Marcina, a będzie go jeszcze bolało na Zielone Świątki. Ale co też mogło sprowadzić tych długonogich drabów na krwawe zapusty do miasta?

- Biada mi, to moja wina! Ja ich sprowadziłam - zaszlochała Katarzyna. - Ja sprowadziłam Pogórzan...

ja posłałam po Conachara... prawda to, że oni czyhali na tę okazję... ale ja ich sprowadziłam do miasta.

Teraz pójdę i przekonam się na własne oczy... a potem... coś trzeba będzie czynić. Powiedz mojemu ojcu, że wrócę niebawem.

- Czyś ty zmysły postradała, dziewczyno? - wrzasnęła Dorota, gdy Katarzyna wyminąwszy ją zbliżyła się do drzwi. - Nie wyjdiesz chyba na ulicę z potarganymi włosami i w takim stroju... czyś ty zapomniała, że jesteś Pięknym Dziewczęciem z Perth? No i proszę - już jej nie ma! Poleciała! Stary Glover dopiero się rozsierdzi! Zupełnie jak gdybym mogła siłą zatrzymać takie zwariowane dziewczynisko! O, co ja teraz zrobię? Jak zacznę szukać mojego pana w tym tłoku, zdepczą mnie i nikt się nawet nie uzali nad nieszczęsną starowiną. Mam pilnować Katarzyny, której już nie widać i

która ma nogi dwa razy szybsze od moich? E tam, pójdę do golarni starego Nicola i opowiem mu o tym nowym zmartwieniu.

Podczas gdy stara Dorota wykonywała swoje przezorne postanowienie, Katarzyna biegła przez ulice Perth; innego dnia wygląd i zachowanie dziewczyny zwróciłyby uwagę każdego, kto widział ją, tak zawsze opanowaną i pełną godności, jak pędziła teraz niemal na oślep - bez chustki, szala czy płaszczka, które „porządne niewiasty” nosiły zawsze poza domem. Dziś jednak ludzie tak byli podnieceni, tak skwapliwie dopytywali się o przyczynę wrzawy i udzielali sobie tylu sprzecznych często informacji, że zdenerwowanie dziewczyny i nieład jej stroju nie robiły na nikim wrażenia. Torowała więc sobie drogę przez tłum, przyciągając do siebie nie więcej uwagi niż inne niewiasty, które gnane ciekawością lub lękiem wyszły z domów i pytały o przyczynę tak powszechnego w mieście wzburzenia - lub może niespokojne o los bliskich szukały ich na ulicach.

Ogólne podniecenie udzieliło się Katarzynie i biedne dziewczę ledwie powstrzymało się od wtórowania okrzykom przestachu i lamentom rozlegającym się wszędzie dokoła. I gdy tak zdążała pośpiesznie do celu, przytłaczało ją dziwaczne uczucie - jakiego doznajemy niekiedy we śnie - grożącej i nieuniknionej katastrofy; nie potrafiłaby dokładnie wytłumaczyć tego uczucia, ale łączyło się ono ze straszliwą świadomością, że człowiek, który kochał ją gorąco, którego zalety ona tak wysoko sobie ceniła i który był, wiedziała to dzisiaj, droższy jej sercu, niż dotąd gotowa była przyznać

się przed samą sobą, zginął gwałtowną śmiercią - i to zapewne z jej winy. Związek pomiędzy domniemaną śmiercią Harry'ego a pojawieniem się Conachara i jego drużyny w okolicach Perth, choć

Katarzyna przyjęła go za pewnik w momencie krańcowego zdenerwowania i wzruszenia, był dostatecznie prawdopodobny, aby w jego istnienie uwierzyć, nawet gdyby Katarzyna mogła spokojnie zastanowić się nad jego wiarygodnością.

Nie bardzo zdając sobie sprawę z własnych zamiarów i wiedząc tylko, że musi poznać prawdę

choćby

najgorszą, szła spiesznie w kierunku miejsca, które jeszcze wczoraj obchodziłaby z daleka.

Kto bowiem zdołałby wieczorem w dniu zapustów przekonać dumną, skromną, nieśmiałą, skrupulatnie przestrzegającą form Katarzynę Glover, że jeszcze przed mszą poranną w środę popielcową będzie biegła przez ulice Perth pośród zgiełku i zamętu, z włosami rozpuszczonymi i sukniami w nieładzie, do domu tegoż wielbiciela, który - w co święcie wierzyła - znieważył ją i zaniedbał, by zająć się płochą, rozpustną miłośką! Tak jednak było; że zaś niemal instynktownie wybierała drogę najmniej zatłoczoną, zdołała uniknąć High Street, gdzie ciżba była najgęstsza, i dotarła do Wynd wąskimi uliczkami północnego przedmieścia, przez które tak niedawno Harry prowadził Luizę. Ale nawet w tej stosunkowo odludnej dzielnicy panował ruch, tak powszechne było w mieście wzburzenie. Katarzyna biegła niebaczną na nic, a na jej widok przechodnie spoglądali na siebie i współczująco potrząsali głowami. Wciąż nie bardzo świadoma tego, co robi, stanęła w końcu

przed domem swego wielbiciela i zastukała do drzwi.

Cisza, która zaległa, gdy umilkło echo jej głośnego kołatania, zwiększyła jeszcze niepokój dziewczyny

i skłoniła ją do desperackiego kroku.

- Otwórz... otwórz, Harry! - zawołała. - Otwórz, jeśliś jest żywy! Otwórz, jeżeli nie chcesz, by

Katarzyna Glover umarła na twym progu!

I gdy tak wołała na pół obłąkana z rozpacz, zwracając się do człowieka, którego, jak sądziła, nie było

już między żywymi, jej żywy i cały wielbiciel otworzył drzwi i zdążył jeszcze pochwycić ją w

ramiona, zanim osunęła się na ziemię. Ekstacyjna radość tej niespodziewanej wizyty wypełniła serce

Harry'ego, mroziło ją jednak zdumienie nie pozwalające mu uwierzyć własnym oczom, a także

niepokój na widok zamkniętych powiek Katarzyny, rozchylonych i zbielejących warg i pobladych

policzków.

Zdawało mu się, że dziewczyna przestała oddychać.

Chociaż odgłos wrzawy i dźwięk dzwonów bijących na trwogę dotarły do uszu płatnerza, Harry nie wyszedł z domu, postanowił bowiem w miarę możliwości unikać wszelkich niepotrzebnych swarów i waśni. Dopiero gdy doręczono mu wezwanie rajców, któremu jako mieszczanin musiał być posłuszny,

zjął ze ściany miecz i zapasowy puklerz i miał już wyjść - po raz pierwszy wbrew chęciom - aby spełnić swą powinność, do której zobowiązywała go miejska dzierżawa.

„Ciężki mój los - pomyślał - że mnie rada wzywa do udziału we wszystkich zbrojnych sporach miasta,

skoro rzemiosło wojenne tak jest Katarzynie nienawistne. Pewien jestem, że nie brak w Perth dziewcząt, które mówią swoim zalotnikom: »Idź... spraw się dzielnie, wywalcz sobie orężem przychylność swej bogdanki«. Ale nie ich wzywają rajcowie, tylko mnie, który nie mogę spełnić obowiązku mężczyzny i zaopiekować się nieszczęsną minstrelką albo obowiązku mieszczanina walczącego w obronie miasta, bo ta złośnica-Katarzyna zaraz traktuje mnie jak ostatniego rębajłę i hulakę!"

Takie to zaprzętały go myśli, gdy otworzywszy drzwi ujrzał i pochwycił w ramiona osobę najdroższą swemu sercu, lecz którą ujrzeć najmniej się spodziewał.

Zdumienie, radość i niepokój nie pozbawiły go wszelako przytomności umysłu. Bezpieczeństwo Katarzyny Glover było sprawą ważniejszą nawet niż posłuch wobec rajców, jakkolwiek nagłoco brzmiał rozkaz. Zaniósł więc swoje piękne brzemię, lekkie niczym piórko, choć cenniejsze od najcenniejszych klejnotów, do małej sypialni, należącej ongiś do jego matki. Okno izby wychodziło na

ogród, nie docierały tu więc odgłosy ulicznej wrzawy.

- Do mnie... piastunko Schoolbred! Piastunko Schoolbred, prędeż, w imię Boga! Komuś tu potrzebna twoja pomoc! Staruszka podreptała na górę posłuszna wezwaniu.

- Jeśli jest ktoś, kto cię powstrzyma od udziału w bijatyce... - rzekła wchodząc, albowiem ją też zbudziły dzwony i zgiełk na ulicy. Ale czytelnik może sobie wyobrazić jej zdumienie, gdy zobaczyła na łóżku swej zmarłej pani umieszczone tam z miłością i szacunkiem, podtrzymywane atletycznym ramieniem Harry'ego, martwe zda się ciało Pięknego Dziewczęcia z Perth. - Katarzyna Glover! - zawołała staruszka. - I Matko Najświętsza... przecież ona umiera!

- Nie umiera, piastunko - odparł Harry. - Najdroższe jej serduszko bije, słodki oddech wypływa z warg. Chodź, twoja pomoc na więcej się przyda... biegnij po wodę, esencje... cokolwiek dyktuje ci doświadczenie. Niebiosa nie dały mi jej w ramiona, by umarła, lecz by żyła dla nas obojga.

Z żywością niezwykłą w jej wieku jejmość Schoolbred przyniosła środki trzeźwiące; jak większość bowiem niewiast owej epoki wiedziała, co należy czynić w tego rodzaju przypadkach, i umiała też leczyć pospolitsze rany. Umiejętność ta była staruszce nader potrzebna wobec wojowniczych zapędów

jej wychowanka.

- Dalej, synu Harry - powiedziała - musisz uwolnić z objęć moją pacjentkę, choć przyznaję, że warta uścisków. Staraj mi się pomagać, kiedy tego od ciebie żądam. Nie... wcale ci nie nakazuję, żebyś uwolnił jej rękę, pod warunkiem, że będziesz uderzał w dłoń, żeby się rozwarły kurczowo zaciśnięte palce.

- Ja miałbym ją bić po tej ślicznej rączynie! - oburzył się Harry. - Mogłabyś równie dobrze kazać mi grzmotnąć młotem w puchar szklany, jak uderzyć zrogowaciałym łapskiem w aksamitną dłoń Katarzyny! Ale palce rozwierają się, znajdziemy też może lepszy sposób od bicia. - I Harry przytknął wargi do ślicznej rączki, której ruchy wskazywały na powracające czucie. Po kilku głębokich westchnieniach piękna dziewczyna otworzyła oczy, spojrzała na Harry'ego, który klęczał u wezłowania,

i opadła z powrotem na poduszki. A że nie oswobodziła dłoni z jego uścisku, uwierzmy litościwie, że Katarzyna, niezupełnie jeszcze przytomna, nie zdawała sobie sprawy, że Harry wykorzystuje sytuację,

przyciskając kolejno jej dłoń to do ust, to do serca. Jednocześnie musimy wyznać, że rumieńce wróciły na jej policzki, a oddech był regularny i głęboki w ciągu tych kilku minut ponownego omdlenia.

Ale wrzawa przy drzwiach wzmogła się i Harry'ego przywoływano teraz jego różnymi przydomkami, jak niegdyś poganie przywoływali swoich bożków. W końcu, na podobieństwo portugalskim katolikom, których zmęczyły błagalne modły do świętych, tłum przed domem popróbował obelg.

- Hańba ci, płatnerzu! Jeżeli zaraz nie wyjdiesz, będziesz po wsze czasy człowiekiem zniesławionym,

zdrajcą Nadobnego Grodu i przeniwiercą ślubów mieszczańskich.

Zabiegi jejmość Schoolbred okazały się skuteczne, bo Katarzyna odzyskała już zmysły i obróciwszy twarz ku Harry'emu położyła prawą dłoń na jego ramieniu i nie oswobadzając lewej dłoni, jak gdyby usiłowała go przy sobie zatrzymać, wyszeptała:

- Nie chodź, Harry... zostań ze mną... oni cię zabiją!

Ta łagodna prośba, podyktowana radością, że ów, który jakoby zginął, żyje, i wypowiedziana ledwie dosłyszalnym szeptem, miała snadź nad Harry'm większą moc niż okrzyki wielu głosów wzywających go przed dom.

- Słuchajcie, sąsiedzi! - zawołał jeden lekkomyślny obywatel do swych towarzyszy. - Ten zuchwalec Smith kpi sobie z nas wszystkich! Dalej, wyważmy drzwi! Wywlecemy go z domu siłą!

- Rozwagi, przyjaciele! - ostrzegł przezorniejszy napastnik. - Ów człowiek, który naruszy spokój Harry'ego Smitha, wejdzie do jego domu z całymi kośćmi, ale wyjdzie jako gotowy pacjent dla chirurga. Lecz oto nadchodzi ktoś, kto lepiej przedstawi płatnerzowi naszą sprawę i może zdoła mu przemówić do rozumu.

Człowiekiem, o którym wspomniał mówiący, był Szymon Glover we własnej osobie. Zjawił się na miejscu tragicznego wypadku w momencie, gdy na rozkaz rajcy Craigdallie przewrócono ciało nieszczęsnego czapnika na plecy; z uczuciem ulgi Szymon, a wraz z nim wszyscy obecni, rozpoznał

rysy chełpliwego Olivera Proudfula - wbrew początkowemu przekonaniu zgromadzonych tłumów, że zamordowanym jest ukochany szermierz spraw miasta, Harry Smith. Śmiech, lub może szmer przypominający uśmiech, rozległ się wśród tych, którzy pamiętali, jak usilnie starał się Oliver Proudful zdobyć sławę zabijaki, tak obcą jego naturze i skłonnościom, i którzy zrozumieli teraz, że spotkała go śmierć bardziej w zgodzie z jego pozą niż usposobieniem. Ale owa wesołość, niewczesna i

charakterystyczna dla duchowego okrucieństwa tamtych czasów, ucichła natychmiast, gdy rozległy się krzyki i lamenty niewiasty, która przedzierała się przez tłum, zawodząc głośno:

- Och, mój mąż... mój mąż...!

Tłum rozstał się przed żałobnicą idącą w towarzystwie dwóch czy trzech zaprzyjaźnionych niewiast.

Maudie Proudful zwracała na siebie dotąd uwagę jedynie jako ciemnowłosa, przystojna kobieta, zadzierająca nosa i wyniosła względem osób uboższych i mniej znacznych od siebie; rządziła ona zmarłym mężem, a jeśli przypadkiem usłyszała jego kogucie pienia, umiała szybko spędzić go z grędy. Jednakże teraz, pod wpływem rozdzierającego serce bólu, odmieniła się nagle jej osobowość.

- Czy śmiejecie się, nikczemni obywatele Perth - spytała - ponieważ krew jednego z waszych braci ściekła do rynsztoka? Czy też śmiejecie się, ponieważ śmierć wyciągnęła rękę po mego męża? Czym on zasłużył na takie traktowanie? Czyż własną uczciwą pracą nie utrzymywał rodziny i domu, w którym znękani znajdowali pociechę, a ubodzy pomoc i stawę? Czyż nie wspomagał tych, co potrzebowali... nie był przyjacielem sąsiadów... nie służył radą i nie strzegł sprawiedliwości jako rajca tego grodu?

- Prawda to, prawda - rozległy się głosy wśród tłumy. - Jego krew jest naszą krwią w takim samym stopniu, jakby to nie on padł ofiarą zbrodni, tylko sam Harry Smith.

- Słusznie mówicie, sąsiedzi - rzekł rajca Craigdallie. - A tego sporu nie da się zażegnać, jak

zażegnaliśmy poprzedni... nie pozwolimy, żeby krew obywateli miasta płynęła ściekami jak woda deszczowa, bo inaczej rzeka Tay zabarwi się niebawem czerwienią. Ale cios, który powalił tego nieszczęśnika, nie był jemu przeznaczony. Wszyscy znaliśmy Olivera Proudfoote, wszyscy wiedzieliśmy, jak groźny był w mowie i jak nieszkodliwy w czynach. Miał na sobie skórzany kubrak Harry'ego Smitha, jego puklerz i hełm. Całe miasto znało to odzienie, jak ja je znam. Wiemy ponadto, że nieszczęsny czapnik starał się we wszystkim naśladować Harry'ego. Ktoś oślepiiony wściekłością lub otępiąły trunkiem napadł na niewinnego czapnika, który w nikim nie budził ani lęku, ani nienawiści, miast na krzepkiego płatnerza, który uwikłany jest w rozliczne śmiertelne spory.

- Co więc poczniemy? — rozległy się w tłumie wołania.

- Decyzję w tej sprawie powezmą za was rajcowie, jako że rozpoczniemy obrady, gdy tylko przybędzie do miasta sir Patrick Charteris. A tymczasem niechaj chirurg Dwining zbada te nieszczęsne szczątki, abyśmy wiedzieli, jak nastąpiła śmierć, po czym niechaj ciało, przyzwoicie okryte czystym całunem, zostanie umieszczone u stóp głównego ołtarza katedry Świętego Jana, patrona Nadobnego Grodu. Niechaj umilknie wrzawa i harmider i niechaj każdy mąż zdolny do noszenia broni trzyma oręż w pogotowiu, aby na dźwięk dzwonu z wieży ratuszowej mógł przybyć bezzwłocznie na High Street. Albo pomścimy krew jednego z naszych współobywateli, albo przyjmiemy w pokorze taki los, jaki niebiosy zechcą nam zesłać. Unikajcie też chwilowo wszelkich waśni z rycerzami i członkami ich drużyn, dopóki nie będziemy umieli orzec, kto winien, a kto niewinny. Ale gdzie się podziewa ten łajdak Smith? Pierwszy przybiega na miejsce wszelkich burd, kiedy jego obecność nie jest potrzebna, ale nie kwapi się tu do nas, kiedy mógłby oddać przysługi miastu. Czy ktoś z was wie, co mu dolega? Może hulał zbyt długo w noc zapustów?

- Prędzej jest chory albo nie w humorze - odparł jeden ze strażników czy też urzędników miejskich - bo chociaż jest w domu, co wiemy od jego czeladników, ani nie odpowiada na nasze wołania, ani nie chce wpuścić nas do środka.

- Jeżeli zechcesz mi łaskawie przyzwolić, starszy rajco - wtrącił Szymon Glover - pójdę i przyprowadzę Harry'ego Smitha, jako że mam z nim do ułagodzenia pewien spór. I chwala Matce Najświętszej, za której miłosiernym wstawiennictwem zastanę go przy życiu, choć jeszcze kwadrans temu oplakiwałem jego śmierć!

- Przyprowadź go zatem, sąsiedzie, na salę obrad - rozkazał starszy rajca, gdy yeoman na koniu przecisnął się przez tłum i wyszeptał mu kilka słów do ucha. - Bo oto zacny ten posłaniec powiada, że barka wioząca rycerza z Kinfauns wpływa właśnie do portu.

Takie były okoliczności poprzedzające zjawienie się Szymona Glovera w domu Harry'ego, o czym wspominaliśmy wyżej.

Nie krępując się i nie wahając jak inni, Szymon wszedł do sieni, a gdy usłyszał krzątanicę jejmości Schoolbred, skorzystał z przywileju zażyłej przyjaźni i wszedł na piętro, tam zaś wymamrotawszy: - Wybacz, sąsiedzie... - otworzył drzwi i przekroczył próg komnaty, w której oczom jego przedstawił się widok zgoła nieoczekiwany. Dźwięk głosu ojca przywrócił Katarzynie siły znacznie szybciej, niż zdołały to uczynić zabiegi jejmości Schoolbred; lica dziewczyny, dotąd śmiertelnie blade, spłonęły głębokim i pięknym rumieńcem. Katarzyna odepchnęła młodzieńca obiema rękami, które dotąd - pod naporem uczuć zbudzonych wypadkami tego ranka czy też w oszołomieniu głębokiego omdlenia - poddawały się bezwolnie jego pieszczotom. Harry Smith, jak zwykle nieśmiały, potknął się wstając z klęczek; i trzeba rzec, że zmieszali się wszyscy aktorzy tej sceny prócz jejmości Schoolbred; starszka rada skorzystała z pretekstu, żeby się odwrócić plecami i wybuchnąć śmiechem, którego nie mogła powstrzymać, a w którym zawtórował jej Glover, szybko opanowawszy pierwsze, jakże radosne, zdumienie.

- Na zacnego świętego Jana! - zawołał. - Zdawało mi się, że oglądał tego ranka widok, który wyleczy mnie z ochoty do żartów co najmniej na okres wielkiego postu, ale patrząc na nich śmiałym się, choćby mi śmierć groziła kosą. No bo proszę - stoi tu przede mną Harry Smith, którego dopiero

co

opłakiwano i któremu biły na śmierć wszystkie żałobne dzwony w mieście, żywy, wesoły i sądząc po rumianych policzkach, w najlepszym zdrowiu. A tu oto leży moja ukochana córeczka, która jeszcze wczoraj nie mówiła o niczym innym, jak o nikczemności młodzieńców oddających się grzesznym igraszkom i lubujących w towarzystwie minstrelek. A choć tak się buntowała przeciwko świętemu Walentemu i świętemu Kupidonowi, sama wygląda mi teraz na wędrowną minstrelkę! Przebóg, rad jestem, jejmość Schoolbred, żeś uczestniczyła w tym miłosnym zgromadzeniu!

- Krzywdzisz mnie, drogi ojcze - rzekła Katarzyna, której zbierało się na płacz. - Przyszłam tu oczekując czegoś zgoła innego, niż przypuszczasz. Przyszłam, bo... bo...

- Boś się spodziewała zastać wielbiciela martwego - przerwał jej Szymon - a tymczasem zastałaś żywego, który zdolny jest przyjąć i odwzajemnić dowody twego afektu. Gdyby nie był to grzech, dziękowałbym niebiosom, boś w ten sposób została zmuszona do przyznania się, że jesteś zwykłą śmiertelniczką. Szymon Glover nie jest wart mieć świętej za córkę. Nie róbże tak żalostnej miny i nie spodziewaj się ode mnie wyrazów współczucia. Postaram się nie mieć miny nazbyt wesołej, jeżeli ty powstrzymasz łzy albo przyznasz się, że są to łzy radości.

- Gdyby zależało od tego moje życie - odparła biedna Katarzyna - nie umiałabym znaleźć nazwy dla tych łez. Ale uwierz mi, drogi ojcze, i przekonaj Harry'ego, że nie przyszląbym tu, gdybym nie...
gdybym nie...

- Gdybyś nie sądziła, że Harry nie przyjdzie już nigdy do ciebie - wpadł jej w słowa ojciec. - A teraz podajcie sobie ręce na znak zgody i harmonii, jak wam to nakazuje święty Walenty. Synu Harry, wczoraj były zapusty. Przyjmujemy, żeś się wyświadczył ze swych szaleństw, otrzymał rozgrzeszenie i wolny już jesteś od winy, która na tobie ciążyła.

- Nie, ojcze Szymonie! - zawołał Smith. - Teraz, kiedyś już ochłonął i możesz mnie spokojnie wysłuchać, przysięgnę na Ewangelię i wezwę piastunkę, jejmość Schoolbred, na świadka...

- Sza, synu, sza! - przerwał mu Glover. - Po co wywlekać te dawne spory? Zapomnijmy o tym, co było.

- Hej, Szymonie!... Szymonie Glover! - przypląnęło do nich z dołu wołanie.

- Prawda to, synu. Czekają nas pilniejsze zadania - rzekł Glover z powagą w głosie. - Musimy bezzwłocznie udać się na ratusz. Katarzyna zostanie tu do naszego powrotu pod opieką jejmość Schoolbred. A ponieważ na mieście niepokój, we dwóch odprowadzimy ją do domu. Zapewniam cię, że wielcy by to musieli być śmiałkowie, którzy odważyliby się nas zaatakować.

- Jakże to, drogi ojcze - powiedziała Katarzyna z uśmiechem – czyżbyś chciał pozbawić urzędu Olivera Proudfoote'a? Przecież to on, mąż dzielny i śmiały, jest towarzyszem broni Harry'ego. Oblicze jej ojca spochmurniało.

- Córkko, wyrzekłaś kąśliwe słowa. Ale nie wiesz, co się zdarzyło. Ucałuj go, Katarzyno, na znak, że mu przebaczasz.

- O, nie! - zaprotestowała Katarzyna. - Okazałam mu już zbyt dużą łaskawość. Zażąda należytą mu nagrody, kiedy odprowadzi mnie bezpiecznie do domu.

- A tymczasem - rzekł Harry - jako twój gospodarz, sam wezmę sobie to, czego nie chcesz mi dać po dobroci. Zamknął piękne dziewczę w ramionach i otrzymał pozwolenie wzięcia tego, czego dotąd wzbraniała się mu ofiarować.

Gdy schodzili ze schodów, starzec położył dłoń na ramieniu Smitha i powiedział:

- Harry, spełniły się moje najgorętsze pragnienia. Ale wyrokiem niebios stało się to w chwili niepokoju i trwogi.

- Słusznie - przyznał Smith. - Wiesz jednak, ojcze, że zamieszki w Perth wybuchają często, ale nie trwają długo.

Otworzywszy drzwi prowadzące z domu do kuźni, Harry zawołał:

- Do mnie tu, Anton, Cuthbert, Dingwell i Ringan! Niech żaden z was nie ruszy się na krok z domu,

póki ja nie wrócę. Bądźcie tak wierni jak oręż, który nauczyłem was wykuwać. Francuska korona i szkocka hulanka dla każdego, kto wiernie wypełni mój rozkaz. Zostawiam pod waszą opieką bezcenny skarb. Pilnujcie drzwi... niech mały Jannekin patroluje ulicę, i chwytajcie za broń, jeśli ktoś obcy zbliży się do domu. Nie wpuszczajcie nikogo, dopóki nie wrócę ja lub ojciec Glover. Jest to dla mnie sprawa życia i śmierci.

Krzepcy, smagli olbrzymi, do których przemawiał, odpowiedzieli chórem:

- Śmierć temu, kto się odważy!

- Moja Katarzyna tak jest teraz bezpieczna, jak gdyby dwudziestu zbrojnych strzegło jej w murach królewskiego zamku. Pójdziemy przez ogród, droga tędy spokojniejsza.

W małym sadzie ptaki, które zacny Harry chronił i karmił zimą, już teraz witały skąpe uśmiechy lutowego słońca nieśmiałym ćwierkaniem.

- Słyszysz tych minstreli, ojcze? - spytał Smith. - W goryczy mego serca drwiłem z nich dziś rano, że śpiewają radośnie, choć tak jeszcze długa przed nimi zima. Ale teraz rad bym słuchał całego ich chóru,

bo jak one znalazłem towarzyszkę życia. A jakakolwiek niedola czeka mnie jutro, dziś jestem najszczęśliwszym człkiem w Perth - tak w mieście, jak okolicy.

- Muszę jednak zgasić twoją radość, synu, choć Bóg mi świadkiem, że ją z tobą dzielę - rzekł Szymon Glover. - Dziś wczesnym rankiem znaleziono na ulicy trupa. Był to Oliver Proudful, nieszkodliwy głupiec, którego obaj znaliśmy tak dobrze.

- Chcesz powiedzieć, ojcze, że upił się na trupa? Och, kilka łyków gorącej polewki i garść żoninych wymówek przywrócą go do życia!

- Nie, synu, nie. Zamordowano go... zabito toporem lub podobną bronią.

- Jakże to? - zdumiał się Smith. - Oliver był ogromnie szybki w nogach i za nic na świecie nie zaufałyby zręczności i sile rąk, jeśli mógł się salwować ucieczką!

- Nie miał tej możliwości. Padł od ciosu w tył głowy. Skrytobójca był snadź niższy od niego i użył toporka, jakim posługują się konni, bo broń pieszego topornika rozłupałaby mu czerep od góry. Leży więc martwy ze straszliwą raną w tyle głowy.

- Rzecz niepojęta! - wybuchnął Harry. - Oliver był u mnie około północy, w przebraniu zapustnym, może trochę podпиты, ale z pewnością nie pijany. Coś mi tam nawet opowiadał, że napadła go na ulicy

zgraja hulaków i że jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Ach, niestety! Znałeś go, ojcze.

Pomyślałem, że to tylko przechwałki, bo Oliver, jak sobie podpił, plóttł, co mu ślina na język przyniosła. Niechże mi Matka Miłosierna odpuści! Pozwoliłem mu wyjść samemu w ciemną noc, czym go najokrutniej skrzywdziłem! Ale na świętego Jana! Nie pożałowałbym opieki żadnej bezbronnej istocie, a co dopiero jemu, z którym tak często siadałem przy jednym stole i piłem z jednego dzbana! Na miły Bóg... kto chciałby skrzywdzić człowieka tak niewinnego i tak łagodnego, jeśli nie liczyć jego dziecinnych przechwałek?

- Synu, ten nieszczęśnik miał na sobie twój kaftan, kołpak i puklerz. Jak to się stało?

- Ach, prosił mnie, żebym mu ich użyczył na drogę, a jam chętnie pozbył się go z domu, bo mi ciężko było na duszy i nie obchodziłem zapustów... wszystko z powodu tego naszego nieporozumienia.

- Starszy rajca Craigdallie i co mędrsi członkowie rady uważają, że cios był przeznaczony tobie i żeś ty winien pomścić śmierć naszego współobywatela, gdyż padł on z ręki zabójcy, który zamierzał uśmiercić ciebie.

Harry milczał jakiś czas. Tymczasem wyszli z ogrodu na odludną uliczkę; mieli nadzieję, że nie zauważeni przez nikogo i nie nagabywani zdołają dotrzeć do ratusza.

- Milczysz, synu, choć tyle mamy sobie do powiedzenia - przerwał ciszę Glover. - Pamiętaj, że jeśli wdowa po Oliverze, Maudline, zechce dochodzić na kimś krzywdy uczynionej sobie i sierotom, zgodnie z prawem i zwyczajem będzie musiała znaleźć orędownika swej sprawy. Znamy bowiem aż nazbyt dobrze tych magnackich popleczników i wiemy, że kimkolwiek jest skrytobójca, podejmie

wyzwanie do walki... już choćby z chęci okazania wzgardy tym, których ci pankowie tak są skorzy nazywać tchórzliwymi mieszczanami.

- Wiem, do czego prowadzisz, ojcze - odparł posępnie Harry. - Święty Jan mi świadkiem, że zawsze

tak radośnie słuchał wezwania do walki, jak rumak wojenny słucha surm bojowych. Ale pamiętaj o jednym: wielekroć traciłem przychylność Katarzyny i o mało co nie wyzbyłem się wszelkiej nadziei odzyskania jej względów jedynie dlatego, że mam, jak się to mówi, rękę zbyt skorą do miecza. I oto pogodziliśmy się i nigdy przyszłość nie wydawała mi się piękniejsza niż dzisiaj. Czyż więc z pocałunkiem przebaczenia na wargach miałbym się wdać w nowy krwawy spór, który dla mej ukochanej będzie kamieniem obrazy?

- Trudno mi coś radzić, synu - rzekł Glover. - Ale muszę cię o coś spytać: Maszli podstawy do przypuszczeń czy też nie masz, że skrytobójca wziął nieszczęsnego Olivera za ciebie?

- Obawiam się, ojcze - odparł Harry - że tak właśnie było. Brano go niekiedy za mnie, a biedny głupiec starał się jak mógł naśladować moje gesty i chód... ach, gwizdał nawet melodie, które ja gwizdałem, byle zwiększyć podobieństwo, które przypłacił życiem. Mam wielu wrogów, tak w mieście jak w okolicy, i ci chętnie oddaliby mi każdą paskudną przysługę; on ich moim zdaniem nie miał.

- Cóż, synu, skłamałbym, gdybym rzekł, że moja córka nie będzie w razie czego żywiła do ciebie urazy. Przebywając dużo w towarzystwie ojca Klemensa, przyswoiła sobie poglądy będące nie na czasie w kraju, w którym prawo nie potrafi nas obronić, jeśli nam samym zbraknie animuszu do obrony. Jeżeli zdecydujesz się na walkę, nie będę szczędził sił i postaram się ją przekonać, by spojrzała na sprawę oczami innych zacnych niewiast w mieście. Jeśli jednak powstrzymasz się od działania... jeżeli człowiek, który zginął miast ciebie, nie zostanie pomszczony... a wdowa i sieroty po

nim nie otrzymają zadośćuczynienia za stratę żywiciela, oddam ci sprawiedliwość i będę pamiętał, że

nie mam prawa ganić twej powściągliwości, jako żeś się na nią zdobył wiedziony afektem do mego dziecka. W takim przypadku jednak, Harry, trzeba nam będzie wynieść się z Perth, jako że tu bylibyśmy ludźmi bez czci.

Harry Smith jęknął żałośnie, milczał chwilę, a potem powiedział:

- Wolę raczej śmierć niżli niesławę, nawet gdybym już nigdy nie miał ujrzeć Katarzyny. Jeszcze wczoraj potykałbym się z najlepszym szermierzem tak radośnie, jakby to były tańce w dniu święta wiosny. Ale dzisiaj... kiedy ona niemal powiedziała mi: „Kocham cię"! Ojcie Szymonie, bolesna to decyzja. A przecież wszystkiemu sam jestem winien! Nieszczęsny Oliver Proudfoote! Powinienem mu być udzielić schronienia, kiedy mnie o to prosił dręczony strachem... lub wyjść z nim i albo go obronić, albo przy nim zginąć. A tymczasem kpiłem z niego, natrząsałem się, ciskałem przekleństwa na jego głowę, choć nieba mi świadkiem, żeś je wypowiadał jedynie w zniecierpliwieniu. Wiedząc, że człowiek ten jest bezbronny jak nowo narodzone dziecko, wyгнаłem go z domu na spotkanie z losem być może mnie przeznaczonym. Jeśli nie pomszczę jego śmierci, będę na wieki zhańbiony. Spójrz, ojcie... mówią o mnie, żeś jest twardy jak stal, z której wykuwam oręż. Ale czy stal roni łzy jak te moje? Wstydzę się tych łez, ojcie.

- Nie wstydz się ich, synu - rzekł Szymon. - Serce masz równie dobrotliwe jak mężne, o czym wiem od dawna. Ale głowa do góry, jeszcze nie wszystko stracone. Być może nie padnie na nikogo podejrzenie, a w takim przypadku ominie cię walka. Nie jest szlachetnie życzyć sobie, żeby niewinna krew nie została pomszczona. Jeżeli jednak nie znajdzie się chwilowo sprawca tej ohydnej zbrodni, unikniesz, synu, obowiązku szukania pomsty, którą los sam wymierzy we właściwym czasie.

Rozmawiając w ten sposób, dotarli do ratusza. Zanim utorowali sobie drogę przez tłum zalegający High Street, zobaczyli, że wszystkich przejść strzegą zbrojni mieszczanie i około pięćdziesięciu kopijników rycerza z Kinfauns, który wraz ze sprzymierzonymi rodami Grayów, Blairów, Moncrieffów i innych przywiódł do Perth spory oddział zbrojnych. Gdy Glover i Smith weszli do

sieni, natychmiast zaprowadzono ich na salę, w której obradowali zgromadzeni rajcowie.

ROZDZIAŁ XX

U bramy stoi, słuszości się domaga

Płacząca wdowa, opuszczona, blada.

Bertha

Sala obrad ratusza w Perth przedstawiała szczególny widok. W pomieszczeniu posępnym i mrocznym,

bo światło sączyło się do środka przez dwa okna różnego kształtu i wielkości, zebrała się wokół ogromnego dębowego stołu grupa mężczyzn, spośród których siedzący na głównych miejscach byli kupcami, czyli członkami gildii, ubranymi w okazałe stroje, jak wymagała tego ich pozycja, i z orężem u boku. Miejsca na końcu stołu zajmowali rzemieślnicy - będący przedstawicielami czy też diakonami, jak ich podówczas zwano, warstw pracujących - w skromnym codziennym odzieniu, noszonym może z większą niż zazwyczaj starannością. Oni również byli uzbrojeni najrozmaitszym orężem. Część nosiła czarne kaftany naszyte małymi płytkami żelaza w kształcie rombów, które umieszczone w rzędach jedno nad drugim chygotały się przy każdym ruchu ciała, stanowiąc doskonałą ochronę przed ciosem. Inni mieli na sobie kaftany z wyprawnej skóry wołowej, chroniącej doskonale przed ciosami miecza i nawet włóczni, jeżeli uderzenie nie było zbyt silne. Pośród tej różnorodnej kompanii siedział na końcu stołu sir Louis Lundin - nie rycerz bynajmniej, lecz duchowny odziany w kapłańskie szaty i proboszcz katedry Świętego Jana; przed nim na stole znajdował się inkaust i pióro. Sir Louis sprawował funkcje pisarza miejskiego Perth i jak wszyscy duchowni tej epoki (nazywani stąd papieskimi rycerzami), "otrzymał zaszczytny tytuł „dominusa*", co tłumaczy się na „sir" - tytuł w zasadzie należny świeckiemu rycerstwu.

Na głównym miejscu przy stole obrad zasiadał na podwyższeniu sir Patrick Charteris w pełnej zbroi, pięknie wyblyszczonej. Jego wygląd kontrastował dziwnie z różnorodną pstrokacizną wojennego i pokojowego przyodziewku mieszczan. Postawa i zachowanie się burmistrza - acz dopuszczały

zażyłość, którą obopólny interes zrodził między nim a miastem i rajcami - podkreślały jednak równocześnie jego wyższość nad członkami zgromadzenia, którą poglądy ówczesnej epoki przypisywały mu z racji szlachectwa i przynależności do stanu rycerskiego. Za krzesłem sir Patricka stali dwaj szlachcice, jeden z flagą rycerza, drugi z tarczą, na której wyryty był herb Charterisów, to jest ręka trzymająca sztylet, a pod spodem dumna dewiza: „Oto moje prawo”. Urodziwy paż dzierżył długi miecz swego pana, drugi - jego kopię; wszystkie te rycerskie emblematy były okazywane z tym większą pompą, że ich właściciel sprawował teraz urzędowe czynności burmistrza. W samym zresztą obejściu sir Patricka zaznaczała się pewna wyniosłość i oziębłość, sprzeczna z jego szczerą, jowialną naturą.

- Ho, ho, oto raczyli zjawić się w końcu jegomościowie Smith i Glover - przywitał ich burmistrz. - Wiedziecie, że traciliśmy niepotrzebnie czas oczekując waszego przybycia. Jeśli powtórzy się to raz jeszcze za mojej kadencji, nałożę na was grzywnę, którą przykro będzie wam płacić. Dość... żadnych wymówek. Teraz o nie nie pytam, a w przyszłości nie będę ich słuchał. Otóż, panowie, powiem wam teraz w kilku słowach to, co nasz wielebny pisarz utrwalił na pergaminie z wszelkimi szczegółami, chcę bowiem, ażebyś zwłaszcza ty, płatnerzu, wiedział, czego rada będzie od ciebie żądała. Dziś wczesnym rankiem znaleziono na High Street u wylotu Wynd martwe ciało naszego ziomka Olivera Proudfula'a. Wydaje się, że został on zamordowany ciosem topora, znienacka zadany w tył głowy. Nie ma innych słów na określenie tego czynu, jak świadomie popełniona zbrodnia. Tyle o samym morderstwie. Na ślad skrytobójcy naprowadzić nas mogą tylko okoliczności i poszlaki. Jak jest zapisane w protokole sporządzonym przez wielebnego sir Louisa Lundin, rozmaici wiarygodni świadkowie widzieli naszego zmarłego współobywatela Olivera Proudfula'a jeszcze w późnych godzinach wieczornych, kiedy to towarzyszył grupie tancerzy zapustnych i wraz z nimi dotarł przed dom Szymona Glovera na Curfew Street. Wiadomym jest też, że w miejscu tym, po rozmowie z Szymonem Gloverem, rozstał się ze swymi kompanami, obiecując im, że przyłączy się do nich w

gospodzie Griffina, gdzie razem dokończą hulanki. Otóż, Szymonie, zapytuję cię, czy wedle twojej wiedzy szczegóły te zgodne są z prawdą, a także, o czym rozmawiał z tobą zmarły Oliver Proudful?

- Wielce czcigodny lordzie burmistrzu - odparł Szymon Glover - nie będę krył przed tobą i przed tym szlachebnym zgromadzeniem, że w związku z pewnymi plotkami na temat zachowania się Harry'ego Smitha doszło między mną i pewnym członkiem mej rodziny a rzeczonym Harrym Smithem do kłótni. A ponieważ ów nasz nieszczęsny ziomek, Oliver Proudful, brał udział w rozpowszechnianiu plotek, jako że prawdę mówiąc plotki były jego żywiołem, porozmawialiśmy chwilę o tej sprawie. Jak sądzę,

wyszedł ode mnie z zamiarem odwiedzenia Harry'ego Smitha, pożegnał się bowiem z zapustnikami, o czym wasza miłość przed chwilą wspomniał, obiecując, że dogoni ich w gospodzie Griffina, gdzie razem dokończą hulanki. Czy uczynił tak w rzeczywistości, tego nie umiem powiedzieć, albowiem nigdy już nie widziałem go żywym.

- Starczy nam twych wyjaśnień, Szymonie Glover - rzekł sir Patrick - zwłaszcza że zgadzają się one z tym, cośmy już słyszeli. Następnie, szlachebni panowie, widzimy naszego nieszczęsnego ziomka Olivera Proudfula otoczonego przez bandę hulaków w maskach zapustnych, którzy na High Street znęcali się nad nim w szkaradny sposób, mianowicie zmusili go do uklęknienia na bruku i picia ogromnych ilości wina, wbrew woli i chęci, dopóki biedak nie uratował się ucieczką. Gwałtu tego na spokojnym obywatelu dokonano przy pomocy obnażonych mieczów, pośród krzyków i głośnych przekleństw. Wrzawa zaalarmowała kilka osób, które wyjrzały z okien swych domów, jak również kilku przechodniów, którzy w obawie przed zapustnikami trzymali się z dala od światła pochodni, widzieli jednak przebieg okrutnego zdarzenia na High Street. A chociaż zapustnicy ukrywali twarze pod maskami i byli przebrani, jednakże świadkowie rozpoznali kostiumy jako niezwykle stroje sporządzone przed kilku tygodniami na zamówienie sir Johna Ramorny, koniuszego księcia Rothsay, następcy tronu Szkocji.

Szmer podobniejszy do jęku przeszedł przez salę.

- Tak, mężni mieszczanie, nie inaczej rzecz się przedstawia - ciągnął sir Patrick. - Nasze badania doprowadziły nas do tej konkluzji, która jest tyleż smutna, co przerażająca. A choć nikt bardziej ode mnie nie mógłby żałować, że sprawy przybrały tak opłakany obrót, nikt też mniej niż ja nie mógłby się obawiać ich konsekwencji. Otóż, panowie, kilku rzemieślników zatrudnionych przy wykonywaniu zamówienia orzekło, że kostiumy szyte dla sir Johna Ramorny były identyczne z tymi, które nosili ludzie znęcający się nad Oliverem Proudfoote'em. Jeden zaś rzemieślnik, mianowicie niejaki Wingfield,

który widział zapustników, gdy nasz ziomek znajdował się w ich okrutnej władzy, powiedział, że mieli oni na głowach opaski i diademy ozdobione barwionymi piórami, które wykonywał własnoręcznie na zamówienie koniuszego księcia. Od momentu ucieczki z rąk hulaków ginie wszelki ślad Olivera. Możemy jednak dowieść, że zamaskowani zapustnicy udali się do domu sir Johna Ramorny, gdzie ich wpuszczono po pewnej zwłoce. Słyszeliśmy, że ty, płatnerzu Harry, widziałeś naszego nieszczęsnego ziomka już po tym, jak oswobodził się z rąk hulaków. Prawda to?

- Przyszedł do mojego domu na Wynd pół godziny przed północą - odparł Harry. - Wpuściłem go niezbyt chętnie, jako że on się bawił, podczas gdy ja samotnie przebywałem w domu. A przysłowie powiada, że między sytym a głodnym łącznie dochodzi do zwady.

- A jakie wrażenie zrobił na tobie Oliver Proudfoote, gdy go wpuściłeś do domu? - spytał sir Patrick.

- Wydawał się zdyszany - odparł Smith - i powtarzał w kółko, że napadła go banda zapustników. Nie zwracałem na to specjalnej uwagi, bo wiadomo, że Oliver był człowiekiem bojaźliwym, choć nie pozbawionym uczciwości, i położyłem całą rzecz na karb jego bujnej wyobraźni. Ale do końca życia będę sobie czynił wyrzuty, że go nie odprowadziłem do domu, chociaż mnie o to prosił. I dopóki życia starczy, będę dawał na msze za jego duszę, żeby odpokutować to ciężkie przewinienie.

- Czy opisał ludzi, którzy się z nim tak nieciekawie obeszli? - spytał burmistrz.

- Jako zapustników w maskach.

- Czy wspominał coś o obawie, że spotka ich w drodze powrotnej do domu? - dopytywał się sir

Patrick.

- Nadmienił, że być może będą na niego czatować, co potraktowałem jako przywidzenie, ponieważ na

ulicy nie było nikogo.

- A więc nie udzieliłeś mu nijakiej pomocy? - spytał burmistrz.

- Tak, wasza miłość - odparł Harry. - Oliver Proudfoote zdjął swój strój zapustny i przywdział mój kaftan, kołpak i puklerz, które, jak słyszę, znaleziono na jego ciele. U mnie w domu znajduje się jego czapka z dzwonkami, kamizela i inne części stroju.

- Potem już go nie widziałeś?

- Nie, mój lordzie.

- Jeszcze słowo - rzekł sir Patrick. - Czy masz podstawy do przypuszczeń, że cios, który powalił Olivera Proudfoote'a, był przeznaczony dla kogoś innego?

- Mam, mój lordzie - odparł Harry. - Ale jest to tylko domysł i wypowiedanie go na głos nie byłoby bezpieczne.

- Mów. Zobowiązuje cię do tego przysięga na wierność miastu. Dla kogo twoim zdaniem przeznaczony był ów śmiertelny cios?

- Jeśli muszę, powiem - odparł Harry. - Wydaje mi się, że Olivera Proudfoote'a spotkał los przeznaczony dla mnie. Tym bardziej że w swej głupocie Oliver starał się mnie wiernie naśladować.

- Czy masz wrogów, że wysnuwasz taki wniosek?

- Wstyd to i grzech, mój lordzie, lecz mam wrogów wśród Pogórzan i mieszkańców Niziny, wśród Anglików i Szkotów, w Perth i w Angus. Nie sądzę, żeby nieszczęsny Oliver naraził się

stworzeniu groźniejszemu niż pisklę świeżo wyklute z jaja.

- Słuchaj, płatnerzu, żądam od ciebie odpowiedzi wyraźnej - upomniał go burmistrz. - Czy wiadomym

ci jest, że masz wrogów pośród dworzan sir Johna Ramorny?

- Mam ich z całą pewnością, mój lordzie. Mówi się teraz, że dłoń, znaleziona niedawno na Curfew Street, należała do Czarnego Quentina, który kilka dni temu odjechał do okręgu Fife. Ja odrąbałem tę dłoń ciosem krótkiego mieczyka. A ponieważ Czarny Quentin był zaufanym szambelanem dworu sir Johna - łąco można się domyślić, że mam wrogów na tym pańskim dworze.

- Bardzo to prawdopodobne - przyznał sir Patrick Charteris. - Otóż, zacni moi bracia i światli rajcowie,

nasuwają nam się dwa przypuszczenia, które oba prowadzą do tej samej konkluzji. Nasz ziomek w drodze powrotnej do domu mógł natknąć się na zapustników, którzy napadli go, czego ślady widoczne

są na jego ciele, i dokończyli swego okrutnego dzieła. Sam on przecież wyrażał obawy, że tak się stanie. W takim przypadku sprawcą zbrodni jest dworak - lub też dworacy - sir Johna Ramorny'ego.

Jednakże wydaje mi się bardziej prawdopodobnym, że jeden lub więcej zapustników zostało na placu

boju lub też nań powróciło i że w ludziach tych widok domniemanego Harry'ego Smitha, to jest Olivera Proudface w przebraniu (sam bowiem Oliver byłby tylko celem ich okrutnych żartów),

wzbudził najgłębszą nienawiść. A gdy go zobaczyli samego na ciemnej ulicy, skorzystali z

nadarzającej się sposobności, żeby - jak im się zdawało - w sposób pewny i bezpieczny pozbyć się groźnego wroga, za jakiego uważają płatnerza wszyscy ci, którzy są mu nieprzyjaciółmi. Również ta

droga rozumowania prowadzi do wniosku, że winni zbrodni są dworacy sir Johna Ramorny. Czyż

więc mamy prawo oskarżyć ich o tę zbrodnię?

Przez kilka minut rajcowie naradzali się szeptem, potem starszy rajca Craigdallie odpowiedział w ich

imieniu:

- Szlachetny rycerzu i nasz cny burmistrz, zgadzamy się wszyscy z twoim światłym poglądem na tę ohydłą i ponurą sprawę. Nie wątpimy też, że w swej mądrości słusznie oskarżasz druhów i

domowników sir Johna Ramorny o zbrodnię popełnioną na naszym współobywatelu - czy to jako na

nim samym, czy też dlatego, że wzięto go przez omyłkę za mężnego płatnerza. Ale sir John Ramorny jest koniuszym następcy tronu i utrzymuje liczny dwór, zarówno własny jak związany z piastowanym przez siebie urzędem. A ponieważ sir John zaprzeczy wszystkiemu i odrzuci oskarżenie, pytamy, jak wypadnie nam postąpić w takim przypadku. Prawda to, że gdybyśmy mogli znaleźć prawo, które zezwoliłoby nam na podpalenie domu sir Johna i wycięcie w pień domowników, dałoby się tu zastosować starodawne przysłowie, że szybka rada jest najlepszą radą. Bo trudno o niegodziwszą zgraję wszeteczników obrażających Boga, mordujących mężczyzn i plugawiących niewiasty niż dworacy sir Johna Ramorny. Ale wątpię, żeby prawo chciało sankcjonować tak doraźne postępowanie,

nie sądzę zaś, abyśmy na podstawie dowodów zebranych w sprawie mogli oskarżyć o zbrodnię jakąś wymienioną z nazwiska osobę lub osoby.

Zanim sir Patrick Charteris zdążył odpowiedzieć, pisarz miejski powstał i gładząc siwą brodę poprosił

o głos, którego też natychmiast mu udzielono.

- Bracia - powiedział - zarówno w czasach naszych ojców jak w naszych, Bóg, gdy wierni odwoływali

się do Niego w pewien określony sposób, ujawniał zbrodnie winnych i dowodził niewinności tych, na

których padały niesłuszne podejrzania. Zwróćmy się do naszego suwerena, króla Roberta, który - gdy

niegodziwcy nie wypaczają jego dobrych intencji - jest jednym z naj sprawiedliwszych i

najmiłosierniejszych władców w kronikach naszego narodu, zwróćmy się doń, powiadam, w imieniu

miasta Perth i zwykłych ludzi Szkocji, aby nam pozwolił, wzorem naszych przodków, poprosić

niebiosa o wyświecenie tej tajemniczej zbrodni. Zażądamy prawa przeprowadzenia dowodu przy

pomocy tak zwanej próby mar, prawa częstokroć udzielanego za panowania przodków obecnego

władcy, zatwierdzonego wielokrotnie bullami i dekretami słowem prawa, z którego korzystał cesarz

Karol Wielki we Francji, król Artur w Brytanii, Grzegorz Wielki na Stolicy Apostolskiej i możny

Achaios w naszej rodzimej Szkocji.

- Słyszałem o prawie mar, sir Louisie - rzekł burmistrz - i wiem, że figuruje ono w statutach naszego Nadobnego Grodu. Ale słabo wyznaję się w starożytnych ustawach i byłbym ci wdzięczny, wielobny panie, gdybyś zechciał wytłumaczyć nam, na czym ono polega.

- Jeśli zgromadzenie pójdzie za moją radą - odparł sir Louis Lundin - zażądamy od króla, żeby zezwolił na przeniesienie ciała naszego zamordowanego współobywatela do górnej katedry, gdzie odprawione zostaną msze za duszę nieboszczyka i na intencję odnalezienia jego niecnego zabójcy. W tym czasie otrzymamy z rąk królewskich rozkaz skierowany do sir Johna Ramorny, aby przedstawił listę tych swoich dworzan i domowników, którzy przebywali w Perth w nocy z wtorku zapustnego na środe popielcową, oraz aby spowodował ich przybycie w z góry ustalonym dniu i godzinie do katedry

Świętego Jana, gdzie jeden po drugim przejdą obok ciała spoczywającego na marach i w przepisany sposób powołają Boga i Jego świętych na świadków, że nie są winni zbrodni. I uwierzcie mi - czego dowiodły zresztą liczne przykłady - że jeśli morderca zechce dla niepoznaki zwrócić się do niebios z takim wezwaniem, nienawiść istniejąca między zwłokami zamordowanego a dłonią, która zadała cios śmiertelny i odłączyła duszę od ciała, rozbudzi w owym martwym ciele pewnego rodzaju życie, a wtedy z ran pocieknie krew, która dawno zakrzepła w żyłach. Tak oto w sposób niepojęty dla naszych

śmiertelnych umysłów niebios odkrywają niegodziwość tego, który zbeczczył obraz i podobieństwo

swego Stwórcy.

- Słyszałem o tym prawie - rzekł sir Patrick - i wiem, że stosowano je w czasach Bruce'a. Sądzę, że jest to chwila odpowiednia, by owym mistycznym sposobem dociekać prawdy, której nie zdołamy odkryć przy pomocy zwykłych środków, jako że wszelkie nasze ogólnikowe oskarżenia skierowane przeciwko dworowi Johna Ramorny odparte zostaną w sposób równie ogólnikowy. Pragnąłbym jednak spytać wielobnego sir Louisa, co uczynimy, żeby osoba winna morderstwa nie umknęła

tymczasem z miasta?

- Mieszczanie wystawią silne straże na murach, należy też po zachodzie słońca podnieść mosty zwodzone i spuścić kraty i przez całą noc patrolować ulice. Obywatele Nadobnego Grodu chętnie podejmą te środki ostrożności, by zapobiec ucieczce mordercy swego ziomka.

Pozostali rajcowie słowem, znakiem i spojrzeniem wyrazili zgodę na tę propozycję.

- Jeszcze jedno pytanie - rzeki burmistrz. - Co będzie, jeśli ktoś z podejrzanego o zbrodnię dworu odmówi poddania się próbie mar?

- Może wtedy wybrać próbę miecza - odparł szacowny skryba miejski - z przeciwnikiem równego stanu. Osoba oskarżona, odwołująca się do wyroku Bożego, ma prawo wyboru próby, której godzi się

poddać. Jeśli jednak nie wybierze żadnej, zostaje uznana za winną i odpowiednio ukarana.

Rada jednomyślnie poparła stanowisko burmistrza i pisarza miejskiego, po czym postanowiono przedłożyć królowi formalną petycję, w oparciu o przysługujące mieszczanom prawa, z prośbą o przeprowadzenie śledztwa w sprawie zabójstwa obywatela grodu wedle owej starożytnej metody, którą posługiwano się przy dociekaniu prawdy i zbieraniu materiału dowodowego w sprawach o zabójstwo jeszcze do końca siedemnastego stulecia. Zanim jednak zgromadzeni rozeszli się, starszy rajca Craigdallie uznał za stosowne spytać, kto będzie orędownikiem sprawy Magdaleny Proudful i jej dwojga dzieci.

- Nietrudno odpowiedzieć na to pytanie - rzekł sir Patrick Charteris. - Jesteśmy wszyscy mężczyznami

i nosimy u boku miecze, które należałoby złamać nad głową każdego, kto nie chwyci rękojeści w garść, aby bronić interesów wdowy i sierot po naszym zamordowanym współobywatelu lub pomścić go własną krwią. Jeżeli sir John Ramorny poczyta sobie śledztwo za osobistą obrazę, ja, Patrick Charteris z Kinfauns, podejmę z nim walkę na śmierć. Ale jeśli wyzywającym będzie yeoman, Magdalena Proudful sama wybierze sobie orędownika spośród najmężniejszych mieszczan Perth.

Jeśli jej wybór padnie na tchórza i zdrajcę, który odmówi tej obywatelskiej przysługi, nasz gród okryje

się po wsze czasy niesławą. Przyprawdźcie Magdalenę Proudfulę, niech dokona wyboru.

Słyszając te słowa, Harry pomyślał z melancholią, że wybór nieszczęsnej niewiasty padnie na niego i że

ta walka, z której nie mógł wycofać się z honorem i którą w innych okolicznościach powitałby radośnie jako wspaniałą sposobność do zabłyśnięcia na oczach dworu i miasta, skłoni jego ukochaną do ponownego z nim zerwania. Rozumiał doskonale, że wierna naukom ojca Klemensa Katarzyna potraktuje próbę miecza raczej jako obrazę religii niż poddanie się wyrokowi niebios i uzna, iż to głupota, żeby siła lub zręczność miecza miały rozstrzygać o czyjejś winie. Lękał się przeto jej opinii w

tej szczególnej sprawie.

Podczas gdy Harry pasował się z dręczącymi myślami, Magdalena, wdowa po zamordowanym, weszła

na salę spowita w żałobne welony. Towarzyszyło jej kilka niewiast w podobnie smętnych strojach.

Jedna z nich niosła w ramionach niemowlę, ostatni ziemski dowód afektów małżeńskich biednego Olivera. Inna prowadziła za rękę małą, potykającą się istotę, która zdumionym i spłoszonym spojrzeniem obrzucała to własne żałobne szatki, to obcych ludzi dokoła.

Na widok tej żalosznej grupy zgromadzeni powstali z miejsc i przywitali wdowę w słowach wyrażających najgłębsze współczucie, na które Magdalena odpowiedziała z godnością zapożyczoną być może z bezmiaru swej rozpacz. Następnie sir Patrick Charteris podszedł do niej i z kurtuazją rycerza wobec damy i opiekuna wobec uciśnionej, pokrzywdzonej, wdowy ujął ją za rękę i w krótkich

słowach wyjaśnił, w jaki sposób starszyzna miejska postanowiła pomścić śmierć jej męża.

Upewniwszy się, z niezwykłą dla siebie delikatnością i łagodnością, że nieszczęsna niewiasta pojęła sens jego słów, zwrócił się do zgromadzenia:

- Zacni obywatele Perth, wolno urodzeni członkowie gildii i cechów! Patrzcie uważnie, bo to, co się

na tej sali za chwilę rozegra, dotyczy bezpośrednio wszystkich praw i przywilejów. Tu oto stoi Magdalena Proudful, która pragnie pomścić śmierć swego męża, niecnie, jak powiada, zamordowanego przez sir Johna Ramorny, co wdowa zamierza dowieść za pomocą próby mar lub próby miecza. Przeto ja, Patrick Charteris, rycerz pasowany i wolno urodzony szlachcic, ofiarowuję się stanąć do walki w jej słusznym i sprawiedliwym sporze, jeżeli człek stanu rycerskiego podniesie mi rękawicę. Rzeknij, Magdaleno Proudful - czy przyjmiesz mnie za swego orędownika?

Wdowa z trudem dobyte głosu:

- Nie znalazłabym człowieka godniejszego.

Wtedy sir Patrick ujął prawą dłoń niewiasty i złożywszy pocałunek na jej czole - taki bowiem był zwyczaj - powiedział uroczyście:

- Niechaj mnie Bóg i święty Jan wspomagają w potrzebie, jako że pragnę spełnić powinność orędownika tej niewiasty wiernie, po rycersku i mężnie. A teraz, Magdaleno Proudful, wybieraj spośród mieszczan, tu obecnych lub nieobecnych, orędownika twej sprawy, jeżeli ów, przeciwko któremu wytoczysz oskarżenie, okaże się człowiekiem niższego niżli ja stanu.

Wszystkie oczy zwróciły się na Harry'ego Smitha, którego opinia sali milcząco uznała za człowieka pod każdym względem najodpowiedniejszego do roli obrońcy praw Magdaleny Proudful. Ale wdowa

bynajmniej nie czekała na zachętę zawartą w spojrzeniach mężczyzn. Za ledwie sir Patrick skończył mówić, skierowała kroki ku naszemu płatnerzowi, który stał przy końcu stołu w grupie mężczyzn swego stanu.

- Harry Smithie - rzekła ujmując go za rękę - zacny mieszczaninie i wolno urodzony rzemieślniku, mój... mój...

„Mąż” - powiedziałaaby zapewne, ale słowo to ugrzęzło jej w gardle. Musiała zacząć zdanie od nowa.

- Ten, który zginął, kochał cię i cenił jak nikogo innego na świecie, słusznym więc jest, abyś ty bronił

praw wdowy po nim i sierot.

Nawet gdyby Harry mógł (co w owej epoce było niemożliwością) nie przyjąć powiernictwa wyznaczonego mu przez ogół, słowa wdowy przekreśliłyby ostatecznie wszelką myśl czy pragnienie wycofania się z tej honorowej sprawy; i rozkaz dany od Boga nie wywarłby na nim silniejszego wrażenia niż prośba nieszczęsnej Magdaleny. Jej aluzja do zażyłości łączącej go ze zmarłym głęboko wzruszyła Harry'ego. W przesadnym uwielbieniu, jakie Oliver żywił do płatnerza, było coś absurdalnego, co wydawało się szczególnie niedorzeczne z uwagi na różnice w ich charakterach i usposobieniach. Ale wszystko to poszło teraz w zapomnienie i Harry pamiętał tylko, że Oliver był mu bliskim i drogim przyjacielem; człowiekiem, który kochał go i szanował, jak chyba nikogo na świecie;

a co najważniejsze, że według wszelkiego prawdopodobieństwa padł ofiarą ciosu jemu przeznaczonego.

Przeto ze skwapliwością, na którą jeszcze chwilę temu trudno byłoby mu się zdobyć, przytknął wargi do zimnego czoła nieszczęsnej niewiasty i powiedział:

- Ja, Harry Smith, mieszkający w zaułku Wynd w mieście Perth, mieszczanin wolno urodzony, przyjmuję zaszczytną funkcję orędownika tej tu wdowy Magdaleny Proudfula i tych tu sierot i przyrzekam walczyć w obronie ich praw z każdym, kto podejmie wyzwanie, aż do śmierci i ostatniego tchu. Tak mi dopomóż Bóg i wszyscy święci.

Z piersi zebranych wyrwał się na pół stłumiony okrzyk, w którym słyhać było zainteresowanie dla sprawy i ufność w jej szczęśliwe zakończenie.

Następnie sir Patrick Charteris wszczął starania o audiencję u monarchy, na której zamierzał poprosić

go o zezwolenie na zbadanie sprawy zabójstwa Olivera Proudfula według starodawnego obyczaju próby mar, a jeśli zajdzie potrzeba, próby miecza.

Osiągnął ów cel w poufnej rozmowie z królem, który nie tając gniewu wysłuchał wieści o tym

nowym

strapieniu i rozkazał sir Patrickowi i wszystkim zainteresowanym stawić się nazajutrz po mszy przed radą królewską. Tymczasem specjalny wysłannik dworu udał się do sir Johna Ramorny z poleceniem sprawdzenia listy jego służby i przykazania rycerzowi oraz całej jego drużynie, aby pod groźbą wysokich kar nie wydalą się z Perth, dopóki to królewskie zalecenie nie zostanie odwołane.

ROZDZIAŁ XXI

W imię Boże! Sprawdź spisy i przygotuj wszystko;

I niech z tym kończą - Bóg słuszności broni!

SZEKSPIR: Henryk IV. cz. II

W tejże samej izbie obrad pałacowego skrzydła klasztoru Dominikanów król Robert siedział ze swym

bratem Albanym, którego pozorowana surowość zasad moralnych i prawdziwa przebiegłość natury wywierały taki wielki wpływ na bezwolnego monarchę. Łatwo zrozumieć, że komuś, kto rzadko widywał rzeczy w ich prawdziwym kształcie i zarysie, ukazywały się one w takim świetle, w jakim przedstawiał je ów śmiały, bystry człowiek, będący jednocześnie najbliższym krewniakiem.

Jak zawsze pełen troski o swego lekkomyślnego i krnąbrnego syna, król usiłował teraz dowieść bratu,

że księżę Rothsay nie może mieć nic wspólnego ze śmiercią czapnika, o którym to fakcie powiadomił monarchę sir Patrick Charteris, pozostawiwszy królowi do wglądu protokół wstępnego przesłuchania świadków.

- To bardzo niefortunne zdarzenie, bracie Albany - rzekł Robert. - Ze wszech miar niefortunne. I może

łacno doprowadzić do swarów i zbrojnej walki między szlachtą a gminem, jak się to dzieje w wielu cudzoziemskich krajach. Jedno mnie tylko pociesza: księżę Rothsay odprawił ze służby sir Johna Ramorny, o czym wszyscy wiedzą, nikt więc nie może powiedzieć, że mój nieszczęsny syn nakłonił czy podjudził sir Johna lub kogoś z jego drużyny do tego krwawego czynu, jeśli istotnie ich obciąża ta

zbrodnie. Obaj, drogi bracie, przyświadczymy, że na moją prośbę Rothsay nader chętnie zgodził się oddalić Ramorny'ego ze służby, gdy ujawniony został jego udział w owej burdzie na Curfew Street.

- Pamiętam tę okoliczność - odparł Albany - i ufam szczerze, że książę nie nawiązał z powrotem stosunków z Ramornym... po tym, jak... przynajmniej pozornie... zastosował się do życzeń miłościwego pana.

- Pozornie stosował się do mych życzeń...? Nawiązał stosunki z Ramornym...? - wykrzyknął król. - Co

znaczą te słowa, bracie? Przecież Dawid przyrzekł mi, że jeśli owa nieszczęsna sprawa na Curfew Street zostanie ułagodzona, odprawi sir Johna Ramorny, który jest jego złym duchem, ze służby, i zgodził się, aby człowiek ten poniósł zasłużoną karę banicji... Nie wątpisz chyba, że mój syn mówił szczerze i że dotrzymał danego słowa? A kiedy wspomniałeś, że może miast banicji ukarać

Ramorny'ego wysoką grzywną na jego włościach w Fife, sam chyba książę powiedział, że banicja jest

bardziej wskazana dla Ramorny'ego... a nawet dla niego samego?

- Pamiętam doskonale, mój bracie. Nie przypuszczałbym też, że Ramorny ma aż tak wielki wpływ na młodego księcia, zwłaszcza że on to przecie wpędził go w tę niebezpieczną sytuację, gdyby sam Rothsay nie wyznał, o czym raczyłeś wspomnieć przed chwilą, że jeśli Ramorny zostanie na dworze, on nadal będzie ulegał jego zgubnym wpływom. Słyszając to, żałowałem, że zaproponowałem grzywnę miast banicji. Wtedy przeszło to jakoś bez echa, ale teraz zaszły nowe niefortunne wypadki, które mogą się okazać nader niebezpieczne dla ciebie, miłościwy panie, dla twego królewskiego dziedzica i

dla całej Szkocji.

- O czym ty mówisz, Robinie? - wykrzyknął biedny król. - Na grób naszych rodziców! Na duszę Bruce'a, naszego nieśmiertelnego przodka! Miejże nade mną zmiłowanie, najdroższy bracie! Powiedz,

co grozi mojemu synowi i memu królestwu?

Król, którego usta drżały z niepokoju, a oczy były pełne łez, patrzył błagalnie na brata. Albany namyślał się nad odpowiedzią.

- Niebezpieczeństwo tak się przedstawia - odparł po chwili. - Sądysz, miłościwy panie, że książę nie

ma nic wspólnego z tą drugą napaścią na obywateli Perth... z zabójstwem owego mistrza od szycia kołpaków, wokół którego śmierci mieszczanie podnieśli taką wrzawę, jak stado mew zbierające się nad ścierwem ptaka.

- Ich życie, Robinie - rzekł król - drogie jest dla nich samych i dla ich przyjaciół.

- Słusznie, miłościwy panie. A oni czynią je też drogim dla nas, bo każą sobie słono płacić za każdą najmniejszą krwawą utarczkę. Ale jak wspomniałem, miłościwy pan sądzi, że książę nie brał udziału w tej ostatniej rzezi. Nie będę, królu mój, usiłował podważać twej wiary w owej tak delikatnej materii

i postaram się wierzyć wraz z tobą. Twoja wola jest dla mnie rozkazem. Robert Albany nie zamierza sprzeciwiać się opiniom Roberta Szkockiego.

- Dzięki, o, dzięki ci, bracie! - zawołał król ujmując Albany'ego za rękę. - Wiedziałem, że rodzinny afekt każe ci oddać sprawiedliwość biednemu, lekkomyślnemu Rothsayowi, który popełnia nazbyt wiele szaleństw i doprawdy nie zasługuje na tyle wyrozumiałości.

Albany dążył do swego celu tak wytrwale, że bez wahania odwzajemnił braterskie uściśnienie, choć jednocześnie niweczył wszelkie nadzieje pobłażliwego, dobrotliwego starca.

- Lecz niestety! - ciągnął Albany wzdychając. - Ów krnąbrny rycerz z Kinfauns wraz ze swą wrzaskliwą zgrają mieszczan ma na tę sprawę inny pogląd. W swoim zuchwalstwie twierdzi on, że Rothsay i jego towarzysze, którzy wędrowali nocą po mieście w maskach zapustnych, zaczepiając mężczyzn i niewiasty, zmuszając ich do tańca i wypijania ogromnych gąsiorów wina oraz innych szaleństw, pochwycili też i znęcali się nad owym nieżyjącym już dzisiaj czapnikiem; mieszczanie twierdzą ponadto, że kompania księcia udała się następnie pod dom sir Johna Ramorny, gdzie

wyważywszy drzwi wdarła się do środka, by dokończyć tam hulanki, co daje słuszne podstawy do przypuszczeń, że odprawa udzielona Ramorny'emu przez księcia była tylko wybiegiem mającym na celu zmylenie opinii publicznej. Stąd wniosek, że jeśli sir John Ramorny lub jego kompani popełnili tej nocy jakowąś niegodziwość, książę Rothsay wiedział o tym... jeśli wręcz czynu tego nie sankcjonował.

- Albany, to straszne! - wybuchnął król. - Czy oni chcą uczynić z mego syna mordercę? Czy mieliby czelność twierdzić, że mój Dawid splamił ręce krwią szkocką bez żadnej ku temu przyczyny i racji? Nie... nie wymyślą kłamstwa tak niedorzecznego... byłoby ono zbyt jaskrawe i bezpodstawne.

- Wybacz, miłościwy panie - rzekł Albany - lecz ludzie powiadają, że to raczej książę, a nie sir John Ramorny przyczynił się do wybuchu nocnej burdy na Curfew Street i wszystkich późniejszych zdarzeń, nikt bowiem nie podejrzewa, by podjęto ową nocną wyprawę miłosną dla zadośćuczynienia pragnieniom Ramorny'ego.

Doprowadzasz mnie do szaleństwa, bracie! - wybuchnął król.

- Sam nie wiem, co o tym sądzić - rzekł Albany. - Posłuszny twemu królewskiemu wezwaniu, miłościwy panie, zaznajomiłem cię jedynie z opinią miasta.

- Twoje intencje są szlachetne, wiem o tym - powiedział król. - Czy jednak nie byłoby dobrotliwiej, gdybyś miał brać mnie na tortury nieuniknionych nieszczęść, które wiszą nad nami, wskazał mi jakąś drogę ratunku?

- Słusznie, miłościwy panie. Ale ponieważ jedyna droga ratunku jest trudna i bolesna, zanim ją opiszę,

sam musisz się przekonać o konieczności jej użycia. Zanim chirurg ośmieli się wspomnieć o amputacji, musi wprawdzie przekonać pacjenta, że stan zmiążdżonego, zgangrenowanego członka jest nieuleczalny.

Słowa te wprawiły króla w wielki gniew i pomieszenie. Albany nie przypuszczał, że jego brat jest zdolny do tak silnych emocji.

- Zmiażdżony, zgangrenowany członek! Tego już za wiele, mój lordzie of Albany! Są to nazbyt dwuznaczne słowa! Jeśli odnosisz je do naszego syna Rothsay, musisz ponad wszelką wątpliwość dowieść ich prawdy, bo inaczej gorzko pożałujesz, żeś je kiedykolwiek wypowiedział.

- Pojąłeś mą przenośnię nazbyt dosłownie, miłościwy panie - odparł Albany. - Nie o księciu mówiłem

w tak niestosownych słowach. Bóg mi świadkiem, że jako syn ukochanego brata jest mi on tak drogi, jak gdyby był moim własnym dziecięciem. Chodziło mi tylko o to, że należy go odseparować od szaleństw i czczych rozrywek życia, które - jak nas pouczają kapłani - winniśmy odrąbywać i odrzucać niczym zgangrenowane członki ciała, gdyż przeszkadzają nam one w naszym dążeniu ku rzeczom wznioślejszym.

- Rozumiem cię... chciałbyś, żebyśmy skazali na banicję rycerza Ramorny, gdyż uważa się go powszechnie za narzędzie wszelkich szaleństw mego syna - rzekł król Robert z ulgą w głosie - i pozwolili mu wrócić na nasz dwór dopiero wtedy, gdy pójdą w niepamięć wszystkie te niefortunne wydarzenia, a nasi poddani zaczną spoglądać na Dawida życzliwszym i ufniejszym wzrokiem.

- Dobra to rada, miłościwy panie. Ja jednak posuwam się nieco... zaledwie odrobinę... dalej. Uważam,

że należałoby na czas pewien... na bardzo krótko... usunąć księcia ze dworu.

- Co też ty mówisz, Albany! Ja miałbym rozstać się z moim ukochanym synem... z moim pierworodnym, który mimo że tak krnąbrny, jest światłem moich oczu i ukochaniem mego życia?

Och, bracie - na to nigdy nie wyrażę zgody!

- Ależ, miłościwy panie, ja tylko proponuję... Rozumiem, jak bolesną ranę zadałaby taka decyzja rodzicielskiemu sercu, bo czyż sam nie jestem ojcem? I zwiesił beznadziejnie głowę.

- Nie przeżyłbym tego, Albany. Pomyśl, że gdybyśmy przystali na twoją propozycję, Dawid wyszedłby z zasięgu mego wpływu, który bezustannie na niego wywieram... ach, na jakież straszliwe niebezpieczeństwa naraziłby się wtedy ów lekkomyślny chłopiec! W jego nieobecności nie

zmrużyłbym ani na chwilę oka. W każdym podmuchu wiatru zawodzącego za oknami słyszałbym jęki jego agonii. A ty, bracie drogi, choć lepiej się ode mnie maskujesz, byłbyś równie niespokojny.

Tak mówił ów naiwny król starając się ułagodzić brata i wmówić w samego siebie, że między stryjem

a bratankiem istnieje afekt, którego śladów nie dostrzegłoby najbystrzejsze nawet oko.

- Twoje rodzicielskie serce nazbyt łatwo się płoszy, miłościwy panie - rzekł Albany. - Nie proponuję,

żeby pozostawić lekkomyślnemu księciu pełną swobodę działania. Oto jak ja to sobie wyobrażam:

oddalibyśmy mego królewskiego bratanka na krótki czas pod właściwą opiekę, powierzyli go

jakiemuś mądrymu doradcy, który byłby odpowiedzialny za jego uczynki i bezpieczeństwo osobiste...

podobnie jak nauczyciel jest odpowiedzialny za ucznia.

- Jakże to? Przydać Rothsayowi nauczyciela? W jego wieku? - wybuchnął król. - Już przed dwoma laty przekroczył wiek, który nasze prawa uznają za wiek pełnoletności!

- Mądrzy Rzymianie - rzekł Albany - wyznaczyli wiek dojścia do pełnoletności o cztery lata później, niż my to czynimy. Zresztą rozsądek nakazuje, żeby władzę rodzicielską utrzymywać dopóty, dopóki

jest ona potrzebna, więc też wiek dojścia do pełnoletności powinien się różnić od wypadku do

wypadku. Weź, miłościwy panie, takiego Lindsaya, earla of Crawford. Jest piętnastoletnim

pacholęciem o silnych namiętnościach i stałości dążeń trzydziestoletniego mężczyzny; podczas gdy mój królewski bratanek, acz posiada więcej szlachetnych i cennych zalet zarówno serca, jak umysłu, w

wieku lat dwudziestu trzech objawia niekiedy humory krnąbrnego dziecięcia, w stosunku do którego surowa dyscyplina może się okazać zbawienna. I nie trap się zbytnio, że tak jest, miłościwy panie, ani

nie zzymaj się na mnie, że mówię ci prawdę, gdyż najlepsze są owoce, które wolno dojrzewają,

najdzielniejsze zaś konie, które sprawiają największy kłopot stajennym przyuczającym ich do pracy w

polu lub do stawania w szrankach.

Albany umilkł i wysłuchawszy cierpliwie króla Roberta, który przez kilka minut folgował sobie w czczych marzeniach, podjął żywszym nieco tonem:

- Ale nie trać ducha, bracie mój i królu. Może zdołamy załagodzić spór bez walki i unikniemy dalszych powikłań. Wdowa jest niewiastą ubogą, bo choć jej mąż jako czapnik pracy miał pod dostatkiem, miał też iście pańskie i kosztowne nawyki. Uda się więc może załatać sprawę przy pomocy pieniędzy, z tym, że okup za krew wypłacony by został z kieszeni Ramorny'ego.

- Nie, nie, pokryjemy to osobiście ze szkatuły królewskiej - zaprotestował monarcha, skwapliwie chwytając się nadziei ugodowego zakończenia niemiłej rozmowy. - Odprawienie ze dworu i odebranie

pieczy . nad Rothsayem łamie Ramorny'emu przyszłość, nie dobijajmy go więc tym dodatkowym ciężarem. Ale oto nadchodzi nasz sekretarz, przeor, a więc za chwilę rozpoczniemy obrady. Witaj, czcigodny ojcze.

- Benedicite, miłościwy panie - odparł przeor.

- Otóż, zacny ojcze - ciągnął król - nie czekając na Rothsaya, przystąpimy do rozpatrzenia spraw naszego królestwa. Jakie masz wieści od earla of Douglas, przeorze?

- Dotarł już do samego zamku w Tantallon, miłościwy panie, i powiadomił nas przez umyślnego, że choć earl of March nadal przebywa w odosobnieniu swej twierdzy, jego poplecznicy i wasale zbierają

się i zakładają obóz w pobliżu Coldingham, gdzie - jak się przypuszcza - będą oczekiwać przybycia znacznych sił angielskich, które Hotspur i sir Ralph Percy gromadzą nad granicą angielską.

- Zła to nowina - rzekł król. - I niechaj Bóg Miłosierny przebaczy George'owi of Dunbar! - Gdy król wypowiadał te słowa, do komnaty wszedł książę Rothsay. - Ha! Przyszedłeś wreszcie, synu. Nie widziałem cię na mszy.

- Leniuchowałem dzisiejszego ranka - odparł książę - jako że noc miałem niespokojną i rozgorączkowaną.

- Ach, szalony chłopcze! - zachnął się król. - Gdybyś spokojniej spędził noc zapustną, spokojniejszy też czekałby cię wieczór w środę popielcową.

- Przykro mi, ojcze mój i panie, żem ci przerwał modlitwy - rzekł Rothsay. - Bo polecałeś kogoś Bogu... zapewne jednego z nieprzyjaciół, jako że ci najczęściej pojawiają się w twych modłach.

- Siądź i milcz, nieznośny młokosie! - rozkazał król wpatrując się jednocześnie z miłością w urodziwą

twarz i nadobną postać ukochanego syna. Rothsay przysunął poduszkę do stóp ojca i przysiadł na niej niedbale. Tymczasem król ponownie zabrał głos.

- Wyrażałem jedynie żal, że earl of March natychmiast po rozstaniu ze mną, kiedy to zapewniłem go osobiście, że otrzyma pełne zadośćuczynienie wszelkich krzywd mu wyrządzonych, zaczął spiskować z Anglikami przeciwko własnej ojczyźnie. Czy to możliwe, że wątpił w szczerść moich intencji... że nie ufał memu słowu?

- Odpowiem za niego: nie! - rzekł Rothsay. - Earl of March ufał twemu słowu, miłościwy panie. Za to

mógł wątpić, czy twoi czcigodni doradcy, panie mój i ojcze, pozwolą ci słowa dotrzymać.

Robert III przywykł stosować tchórzliwą politykę puszczenia mimo uszu tych słów, które - gdyby je słyszał - wymagałyby ostrej repliki. Przeto ciągnął dalej, nie zwracając uwagi na wybuch syna; jednakże pochopne słowa Rothsaya powiększyły gniew do syna, który kiełkował powoli w głębi jego duszy.

- Bogu niech będą dzięki, że Douglas znajduje się obecnie na Pograniczu - ciągnął król. - Jego pierś, podobnie jak pierś jego przodków, zawsze była murem obronnym Szkocji.

- W takim razie biada nam, jeśli Douglas pokaże nieprzyjacielowi plecy - wtrącił niepoprawny Rothsay.

- Śmiesz poddawać w wątpliwość odwagę earla Douglasa? - spytał król, z trudem powściągając gniew.

- Nikt nie ośmieli się wątpić w odwagę earla - odparł Rothsay. - Jest ona tak niezawodna, jak jego duma. Ale czyż możemy być pewni, że dopisze mu szczęście?

- Na świętego Andrzeja... Dawidzie! - wybuchnął król Robert. - Jesteś jak puszczyk... każde twoje słowo zapowiada zgubę i klęskę!

- Już milknę, ojciec - rzekł młodzieniec.

- A jakie są najnowsze wieści z Pogórza? - zwrócił się król do przeora.

- Sądzę, że sprawy na Pogórzu przybrały fortunny obrót - odparł mnich. - Krew czterdziestu lub pięćdziesięciu górali ugasi zapewne pożogę, która jeszcze niedawno groziła całemu krajowi. Obie bowiem potężne konfederacje zgodziły się, pieczętując swe postanowienie uroczystą przysięgą na oręż, rozstrzygnąć spór przy użyciu takiej broni, jaką miłościwy pan raczy dla nich wybrać, przed obliczem miłościwego pana, w miejscu z góry wyznaczonym, w dniu 30 marca, to jest w Niedzielę Palmową. Z każdej strony stanie do walki trzydziestu wojowników, którzy poprowadzą bój na śmierć,

jako że ośmielają się prosić cię pokornie, miłościwy panie, abys raczył na ów dzień zrzec się łaskawie

swego królewskiego przywileju przerywania zapasów, co uczynić masz prawo rzucając berło na ziemię i wołając: „Ho!”, pragną bowiem śmiercią rozstrzygnąć swój spór.

- Krwiożercze dzikusy! - wybuchnął król. - Czyż chcą ograniczyć najdroższy naszemu sercu przywilej ogłoszenia rozejmu i przerywania walki? Czyż chcą usunąć jedyny motyw, który może mnie skłonić do przyglądania się temu rzeźnickiemu widowisku? Czy zamierzają walczyć jak ludzie, czy też jako wilki

górskie?

- Miłościwy panie - wpadł królowi w słowa Albany. - Earl of Crawford i ja postanowiliśmy nie zasięgając twojej rady ratyfikować ów wstępny układ, za przyjęciem którego przemawiały pilne i nader ważne względy.

- Jakże to, mój bracie? Earl of Crawford? - zdumiał się król. - Sądzę, że nazbyt to młody doradca w

sprawach tak wielkiej wagi".

- Mimo młodego wieku - odparł Albany - earl of Crawford cieszy się wśród swoich góralskich sąsiadów tak wielkim poważaniem, że niewiele bym zdziałał, gdyby nie jego wpływy i pomoc.

- Słyszysz to, mój synu? - zwrócił się król z wyrzutem do młodego Rothsaya.

- Szczerze współczuję Crawfordowi, panie - odparł książę. - Nazbyt wcześnie w dzieciństwie stracił ojca, którego rady bardziej byłyby stosowne w momencie tak krytycznym.

Król spojrział tryumfalnie na Albany'ego, dumny z tego przejawu miłości synowskiej.

Albany ciągnął dalej bezbarwnym głosem:

- Nie życie tych Pogórzan, lecz ich śmierć jest z korzyścią dla królestwa Szkocji. Dlatego obaj z earlem of Crawford radzi przyjęliśmy proponowane warunki walki do ostatecznego rozstrzygnięcia.

- Dalibóg! - zawołał książę. - Jeżeli takim poglądom hołduje młodociany Lindsay of Crawford, za lat dziesięć czy piętnaście będzie prawdziwie miłosiernym władcą! Hańba pacholęciu, któremu serce zdążyło stwardnieć, zanim wąż wysypał mu się nad górną wargą! Lepiej by zrobił stawiając koguty do

walki w wieczór zapustny niż układając plany mordowania ludzi w Niedzielę Palmową!

- Rothsay słusznie mówi, bracie - rzekł król. - Gdybym wyraził zgodę, byłby to czyn niegodny chrześcijańskiego monarchy. Nie mogę i nie chcę patrzeć na ludzi, którzy dopóty zarabują się na śmierć, dopóki nie legną wszyscy jak bydło w jatkach. Osłabłbym z samego patrzenia i berło wypadłoby mi z ręki... nie miałbym siły go utrzymać.

- Tego nikt nie spostrzeże - zapewnił go Albany. - Pozwól, miłościwy panie, że ci zwrócę uwagę, iż zrzekłbyś się jedynie królewskiego przywileju, który egzekwowany nie przysporzy ci szacunku, jako że nikt nie posłucha twego wezwania. Gdybyś, królu, cisnął na ziemię berło, kiedy walka rozgorzeje i krew wzburzy się w tych ludziach, odniesie to taki mniej więcej skutek, jak gdyby wróbel zrzucił między stado walczących wilków źdźbło słomy, które niesie do gniazda. Nic ich nie rozdzieli... chyba

tylko jedno wyczerpanie wzajemną rzezią. A lepiej, żeby zadawali sobie wzajemnie śmierć, niż mieli lec od mieczów rycerzy, którzy będą usiłowali ich rozdzielić z twego, miłościwy panie, rozkazu. Wszelka próba powstrzymania ich od walki siłą zostanie uznana za zasadzkę, a wtedy obie grupy połączą się, żeby stawić opór naszym wojskom. Rzeź będzie równie krwawa, a nadzieja na pokój, który może zrodzić się z ich wzajemnej walki, na zawsze zaprzepaszczona.

- Aż nadto dużo prawdy jest w twoich słowach, bracie Robinie - odparł zmienny w swych poglądach król. - Na nic się nie zda wysuwanie żądań, których nie mogę narzucić siłą; a choć mam nieszczęście czynić to co dzień, wolałbym nie zdradzać się z mą królewską niemocą przed owymi tłumami, które być może przyjdą obejrzeć widowisko. Niechże więc ta zgraja dzikusów dokona wzajem na sobie krwawego dzieła. Nie wzbronię im tego, czemu nie jestem mocen zapobiec. Zmiłuj się. Boże, nad tym

nieszczęsnym krajem! Pójdę teraz do kaplicy i przynajmniej pomodłę się za naszą ojczyznę, skoro nie jest mi danym wspomagać jej ani ręką, ani głową. Ojcze przeorze, podaj mi ramię.

- Przykro mi, bracie, lecz muszę ci przypomnieć - rzucił prędko Albany - że należy jeszcze rozpatrzyć spór między obywatelami grodu Perth a Ramorny'm. Chodzi o zabójstwo jednego z mieszczan...

- Słusznie, słusznie - przyznał król osuwając się z powrotem na fotel. - Więcej gwałtownych śmierci...

więcej śmiertelnych sporów. O Szkocjo, Szkocjo! Gdybyż krew twych najdzielniejszych dzieci mogła

użyźnić tę jałową ziemię, żaden kraj na świecie nie dorównałby ci w płodności! Jakże rzadko widuje się siwy włos w brodzie Szkota... chyba tylko u nieszczęśników w rodzaju ich monarchy! To tylko niemoc chroni mnie od gwałtownej śmierci, abym mógł patrzeć na krwawe rzezie, którym nie jestem zdolny zapobiec! Niech wejdą... nie każmy tym ludziom czekać. Spieszno im do zabijania...

zazdroszczą sobie wzajem każdego łyku powietrza na tym bożym świecie! Demon walki i rzezi opanował cały kraj!

Gdy łagodny monarcha osunął się na fotel z wyrazem zniecierpliwienia i gniewu, który nieczęsto

gościł na jego dobrotliwym obliczu, otworzyły się drzwi na końcu długiej sali i z sąsiedniego pomieszczenia (w którym widać było zbrojnych Brandanesów) wyłoniła się żałobna procesja. Na przedzie szła wdowa po nieszczęsnym Oliverze, prowadzona przez sir Patricka Charterisa z takim szacunkiem, jak gdyby była damą najznakomitszego rodu. Za nimi podążały dwie niewiasty w żałobie, z których jedna niosła na ręku niemowlę, druga zaś prowadziła starsze dziecko. Dalej kroczył

Harry Smith w najlepszym odzieniu, przepasany szarfą z czarnej krepy. Pochód zamykali starszy rajca Craigdallie oraz jeden z członków rady, obaj równie żałobnie przyodziani.

Chwilowy gniew zacnego monarchy minął na widok pobladłego oblicza zbolącej wdowy i dziecięcej nieświadomości niewinnych sierot, które poniosły tak wielką stratę. A gdy sir Patrick Charteris pomógł Magdalenie Proudfulite uklęknąć i sam przykląkł obok niej na jedno kolano, król Robert głosem łagodnym i współczującym spytał ją o nazwisko i cel przybycia. Nie odpowiedziała, a tylko szepcząc coś z cicha, spojrzała na swego opiekuna.

- Przemów w imieniu tej nieszczęsnej niewiasty, sir Patricku Charteris - rzekł król. - Powiedz nam, z czym przyszła do swego monarchy.

- Miłościwy panie - ozwał się sir Patrick wstając - ta niewiasta w imieniu swoim i tych tu sierot przedkłada ci skargę na sir Johna Ramorny of Ramorny, rycerza, że z jego ręki, lub też z ręki jednego z jego domowników, ślubny jej mąż, Oliver Proudfulite, wolno urodzony mieszczanin rodem z Perth, zginął zamordowany na ulicach miasta w noc zapustną lub też rankiem w środę popielcową.

- Niewiasto - odparł król z wielką dobrotliwością - płeć sama, do której należysz, czyni cię istotą łagodną, cierpienie zaś winno cię uczynić istotą litościwą. Bo nasze własne nieszczęścia powinny budzić... nie, budzą... w naszych sercach miłosierdzie dla innych. Twój mąż kroczył jedynie ścieżką wyznaczoną mu przez Stwórcę.

- Racz jednak pamiętać, miłościwy panie - odparła wdowa - że była to ścieżka krótka i krwawa.

- Nie przeczę, że spotkał go haniebny los. Ale skoro nie zdołałem go obronić, co - przyznaję - było

mą

królewską powinnością, gotów jestem, niewiasto, łożyć na utrzymanie twoje i tych sierot, aby ci się
działo równie dobrze, lub może nawet lepiej, niż za życia twego małżonka... tylko wycofaj skargę i
nie

dawaj sposobności do dalszego rozlewu krwi. Zważ, że daję ci wybór między miłosierdziem i
zemstą,

między dostatkiem i nędzą.

- Prawda to, miłościwy panie - odparła wdowa - że jesteśmy ludźmi ubogimi. Ale ja i moje dzieci
wolimy się raczej żywić strawą dzikich zwierząt leśnych niż opływać w dostatki za cenę krwi mego
męża. Jesteś, miłościwy panie, pasowanym rycerzem i królem dźwigającym koronę na głowie, łącno
więc zrozumiesz, że pragnę pomścić śmierć mego małżonka.

- Wiedziałem, że tak będzie! - rzekł król na stronie do Albany'ego. - Pierwsze słowa, jakie w Szkocji
wypowiada niemowlę i ostatnie, jakie spływają z zamierających warg starca, to... walka, krew,
pomsta. Szkoda słów na dalszą dysputę. Niech wejdą oskarżeni.

Na salę wkroczył sir John Ramorny. Był ubrany w opończę podbitą futrem, wedle zwyczaju rycerzy,
kiedy nie nosili przy boku oręża. Ukrytą w fałdach odzienia jego ranioną rękę podtrzymywała szarfa
czy też temblak z purpurowego jedwabiu, lewą rękę opierał na młodzieńcu, pacholęciu nieledwie, na
którego młodocianej twarzy przedwczesna myśl i nad wiek dojrzałe namiętności wyłobiły się
głębokich bruzd. Był to Lindsay, earl of Crawford, który w latach późniejszych zasłynął pod
przydomkiem Earla-Tygrysa i który władał rozległą i bogatą doliną Strathmore z okrucieństwem
feudalnych tyranów. Kilku szlachciców, przyjaciół earla czy może Ramorny'ego, towarzyszyło
rycerzowi, aby samą swą obecnością zadokumentować poparcie dla jego sprawy. Ponownie
wystąpiono z oskarżeniem, któremu Ramorny stanowczo zaprzeczył; w odpowiedzi oskarżyciele
zapropozowali, że dowiodą prawdy swoich twierdzeń przy pomocy próby mar.

- Nic jestem obowiązany poddać się tej próbie - rzekł sir John Ramorny - ponieważ mój były

królewski pan może przyświadczyć, że noc spędziłem pod dachem mego domu, złożony niemocą, podczas gdy ten tu burmistrz i ci rajcowie utrzymują, że popełniłem zbrodnię na ulicach miasta.

- Mogę przyświadczyć - odezwał się książę - że widziałem sir Johna Ramorny i rozmawiałem z nim o

pewnych sprawach dotyczących mego dworu w noc popełnienia zbrodni. Wiem przeto, że był chory i w łóżku i nie mógł osobiście popełnić zarzucanego mu czynu. Jednakże nic mi nie jest wiadomo o tym, co robili jego słudzy, nie mogę więc stwierdzić, że żaden nich nie jest winien zbrodni.

Na początku tego przemówienia sir John Ramorny rozglądał się po sali z miną dufną i wyzywającą, ale przy ostatnich słowach księcia twarz mu pobladła.

- Dziękuję waszej miłości - rzekł z uśmiechem - za to ostrożne i powściągliwe świadectwo. Wielki to

był mędrzec, który napisał: „Nie pokładajcie waszej wiary w książętach”.

- Sir Johnie of Ramorny - zwrócił się król do rycerza - jeśli nie posiadasz innego dowodu niewinności

swej służby, nie będziemy mogli odmówić pokrzywdzonej wdowie i sierotom przeprowadzenia dowodu winy przy pomocy próby mar, chyba że któryś z twych sług wolałby się poddać próbie miecza. Ty sam dzięki świadectwu księcia jesteś wolny od wszelkich podejrzeń.

- Miłościwy panie - rzekł Ramorny - gotów jestem słowem ręczyć za niewinność mego dworu i drużyny.

- Ha, słowa takie przystoją mnichowi lub niewieście - ozwał się sir Patrick Charteris. - Ty, sir Johnie,

winienesz przemawiać językiem rycerskim. Czy jeśli cię pozwę, staniesz ze mną do walki w obronie niewinności drużyny?

- W innych okolicznościach przyjąłbym wyzwanie, zanim burmistrz Perth zdążyłby dopowiedzieć do końca słowo „walka”. Ale w chwili obecnej nie jestem zdolny do dźwigania kopii.

- Cieszy mnie to przez wzgląd na ciebie, sir Johnie - powiedział król. - Tym mniej krwi się poleje. Ale

w takim razie musisz przyprowadzić całą swą służbę, według zapisu w księdze domowej, do katedry Świętego Jana, aby w obecności stron zainteresowanych ludzie ci mogli oczyścić się ze stawianego im

zarzutu. Przypilnuj, żeby stawili się wszyscy, gdyż inaczej ucierpi na tym twój rycerski honor.

- Stawią się wszyscy - odparł sir John Ramorny. Po czym skłoniwszy się nisko przed królem, podszedł

do Rothsaya i również przed nim złożył głęboki ukłon, mówiąc jednocześnie tak cicho, żeby usłyszały go tylko książęce uszy:

- Doprawdy nader szlachetnieś mnie potraktował, mój lordzie! Jedno twoje słowo mogło zakończyć ten spór, ale tyś mi go odmówił!

- Przebóg - wyszeptał książę - posunąłem się tak daleko, jak mi na to pozwolił szacunek dla prawdy i sumienie. Nie spodziewałeś się chyba, że będę obmyślał dla ciebie kłamstwa? A zresztą, Johnie... w niejasnym wspomnieniu tej nocy majaczy mi postać osiłka o rzeźnickim wyglądzie, z toporem bardzo przypominającym narzędzie, którym być może popełniono tej nocy zbrodnię. Hej! Widzę, sir Johnie, że cię dotknął do żywego !

Ramorny nie odpowiedział, a tylko odwrócił się z takim pośpiechem, jak gdyby ktoś nagle uraził jego ranną rękę, i w towarzystwie earla of Crawforda odjechał do swej kwatery; a choć wszelka myśl o wesołości była mu nienawistna, chcąc okazać młodemu magnatowi wdzięczność za udzielone poparcie, ugościł go wspaniałą biesiadą.

ROZDZIAŁ XXII

Na aptekarstwie zdrowie tracił,

Na medycynie się wzbogacił.

Kiedy po przedłużającej się uczcie, która dla rannego rycerza była najstraszliwszą torturą, earl of Crawford odjechał w końcu na gościnę do odległego zamku Dupplin, Ramorny, w udręce ducha i ciała, udał się do swej komnaty sypialnej. Zastał tutaj cyrulika Dwininga, ową jedyną na swoje

nieszczęście istotę, u której mógł szukać pociechy. Uniżony w nieszczerzej pokorze, cyrulik wyraził nadzieję, że jego znakomity pacjent czuje się wesół i szczęśliwy.

- Wesół jak wściekły pies - odparł Ramorny - i szczęśliwy jak ów biedaczyna, którego kundel ugryzł i

który czuje zbliżające się szaleństwo. Ten twardy jak skała młokos, Crawford, widział moją rękę, ale nie raczył opuścić ani jednego pucharu. Ale pije dobrze, muszę mu oddać tę sprawiedliwość. Ha!

Gdybym chciał postąpić sprawiedliwie względem niego i świata, wyrzuciłbym go za okno i położył kres karierze, która -jeśli chłopak dalej będzie się tak rozwijał - stanie się źródłem nieszczęść dla całej

Szkocji, a zwłaszcza dla okręgu Tay. Ostrożnie zdejmuj bandażę, cyruliku. Skrzydło muchy dotykające tego krwawego, rozpalonego kikuta byłoby dla mnie jak pchnięcie sztyletem.

- Nie lękaj się, szlachetny mój patronie - rzekł cyrulik z radosnym chichotem, którego nie zdołał zamaskować ton udawanego współczucia. - Przyłożymy do rany nowy balsam i... he, he... uwolnimy cię od cielesnej udręki, która tak ci jest przykra.

- Przykra? - wybuchnął Ramorny. - Człowieku, to, co odczuwam, równać się może tylko z bólem członków skwierczących w ogniu piekielnym... kość jest jak z rozpalonego do czerwoności żelaza... twoja maść zasyczy w zetknięciu z raną. A przecież jest to lód grudniowy w porównaniu z gorączką mego umysłu!

- Najpierw złagodzimy lekami udręki ciała - rzekł Dwining - a potem, jeśli mój szlachetny opiekun pozwoli, jego uniżony sługa wypróbuje swej sztuki na wzburzonym umyśle... choć sądzę, że cierpienie duchowe zależy w pewnej mierze od stanu rany, więc gdy za chwilę ból ustanie, umilknie też burza szalejąca w duszy.

- Cyruliku - rzekł pacjent, gdy balsam uśmierzył szarpiący ból w ranie - jesteś biegłym i nieocenionym

lekarzem, ale nie na wszystko potrafisz znaleźć radę. Możesz złagodzić lekami udrękę cierpiącego ciała, ale nie zdołasz nauczyć mnie obojętnego traktowania pogardy, jaką okazuje mi chłopiec,

którego wychowałem! Którego kochałem, Dwining... bom go kochał całym sercem! Największa moja względem niego zbrodnia, to że schlebiałem jego zachciankom... a on mi pożałował jednego słowa, gdy słowo to mogło położyć kres tej zwadzie! I uśmiechnął się... widziałem, jak się uśmiecha ów księżę zatwardziałego serca, gdy ten nędznik, burmistrz, przyjaciel i opiekun mieszczańskiej hałastry, wyzwał mnie do walki... uśmiechnął się, choć przecież wiedział, że nigdy już nie sięgnę do miecza! Prędzej ty staniesz się kaznodzieją dobrośliwości i zaczniesz nawoływać ludzi do przebaczenia krzywd, niżli ja mu to przebaczę lub zapomnę! I jeszcze ta nieprzyjemna sprawa w dniu jutrzejszym. Czy sądzisz, imć Dwining, że rany zabitego naprawdę się roztworzą i że naprawdę pocieknie z nich krew, gdy morderca zbliży się do trupa?

- Wiem tylko to, mój lordzie, co ludzie powiadają - odparł Dwining - a co zdaje się potwierdzać ów fakt.

- Ten dzikus Bonthron - ciągnął Ramorny - jest wyraźnie przestraszony i coś nawet przebąkuje, że woli się poddać próbie miecza. Co o tym sądzisz, Dwining? To człowiek z żelaza.

- Płatnerze łatwo radzą sobie z żelazem - odparł Dwining.

- Nie będę ronił łez, jeżeli Bonthron padnie od jego miecza - powiedział rycerz. - Choć przyznaję, że w pewnych sprawach posługiwałem się nim jak własną prawą ręką... był mi naprawdę przydatny.

- Ośmielę się twierdzić, że ręka stracona na Curfew Street była waszej miłości przydatniejsza. He... he... wybac mi, panie, ten niewinny żarcik. Ale jakież są owe przydatne właściwości imć Bonthrona?

- Jest jak buldog - odparł Ramorny. - Gryzie, lecz nie szczeka.

- Nie obawiasz się, panie, że wyśpiewa prawdę? — spytał cyrulik.

- Kto wie, do czego może pchnąć człowieka strach przed śmiercią? - odparł Ramorny. - Bonthron zdradza już pewną lękliwość zgoła obcą jego zatwardziałej naturze. On, który po zamordowaniu człowieka nie zadawał sobie trudu obmycia rąk, boi się teraz widoku krwawiącego trupa!

- Hm, postaram się jakoś mu pomóc - rzekł cyrulik - boć przecie w spełnieniu mojej zemsty zadał ów

cios, który nieszczęśliwym trafem rozplątał nie tę głowę, której był przeznaczony.

- A czyja to wina, tchórzliwy łotrze - wybuchnął Ramorny - jeśli nie twoja? Tyś to wskazał nędzną sarnę miast wspaniałego jelenia z królewskim wieńcem na głowie!

- Zlituj się nade mną, szlachetny panie! - zawołał cyrulik. - Czyż możesz żądać ode mnie, który znam się tylko na lekach i opatrunkach, żebym był wprawnym myśliwym... żebym odróżniał rogacza od kozy, jelenia od sarny na polance ciemną nocą? Nie wątpię, kiedyś widział ową postać biegnącą

obok nas do domu Smitha w zaułku Wynd, odzianą w strój zapustnego tancerza; choć nie byłem zupełnie pewien, czy to on, bo wydawał mi się trochę jakby niższy. Ale jakem go potem ujrzał wychodzącego znów z domu, po takim czasie, jaki był mu potrzebny na zmianę odzienia... jak zobaczyłem, że kroczy junackim krokiem, w skórzanym kaftanie i kołpaku podbitym stalową blachą, pogwizdując jedną z melodii płatnerza - wyznaję, że się omylił super totam materiam* i puściłem na

niego buldoga waszej miłości, który wykonał zadanie należycie, choć dopadł niewłaściwej zwierzyny.

Postaram się więc zrobić, co w mojej mocy - chyba że ów przeklęty Smith z miejsca położy trupem naszego nieszczęsnego przyjaciela - żeby się buldogowi Bonthronowi nie stała krzywda.

- Wystawisz swe umiejętności na ciężką próbę, imć medyku - rzekł Ramorny. Wiedz bowiem, że jeśli nasz mężny Bonthron przegra walkę i jeśli przeciwnik nie położy go trupem w szrankach, ściągną go z

ubitej ziemi za nogi i bez dalszych ceregieli powieszą na szubienicy jako mordercę, któremu dowiedziona została wina. A jak podynda sobie godzinę lub dwie w powietrzu, nie zechcesz się chyba

podjąć wykurowania przetrąconego karku wisielca.

- Za pozwoleniem waszej miłości, inaczej zapatruję się na tę sprawę - rzekł łagodnie Dwining. -

Uprowadzę go spod samej szubienicy i poniosę bezpiecznie do kraju wrózek... jak króla Artura czy sir

Huona z Bordeaux, czy Ugero Duńczyka*. Lub też, jeśli taka będzie moja wola, pozwolę mu podryndać na stryczku kilka minut albo kilka godzin, a potem usunę go sprzed oczu wszystkich - z taką łatwością, z jaką wiatr porywa zeschnięte liście.

- Próżne to przechwałki, imć medyku - zniecierpliwiał się Ramorny. - Całe pospólstwo z Perth odprowadzi go pod szubienicę... Nie darują sobie tego widoku, każdy będzie chciał zobaczyć, jak umiera członek, pańskiej świty płacący gardłem za śmierć mieszczanina. Zbierze ich się tam najmniej tysiąc u stóp szubienicy.

- Niechby ich się tam zebrało dziesięć tysięcy! - rzekł urągliwie Dwining. - Czyż ja, który studiowałem w Hiszpanii i Arabii, nie zdołam zwieść zgrai mieszczańskich zakutych pał, skoro lada jaki nędzny kuglarz potrafi wystrychnąć na dudków najbystrzejszych i wykształconych rycerzy? Powiadam ci, panie, że tak ich okpię, jak gdybym był w posiadaniu czarodziejskiego pierścienia.

- Jeśli mówisz prawdę - odparł rycerz - a sądzę, że mówisz, bo nie odważyłbyś się dworować ze mnie

w sprawie tak wielkiej wagi, sam szatan jest chyba twoim pomocnikiem, a ja nie chcę mieć z nim do czynienia.

- Zmowa, szlachetny panie, zmowa jest duszą kuglarstwa. Ale... he, he, he... nie mam zaszczytu być... he, he... sprzymierzeńcem jegomościa, o którym wasza miłość wspomniała... i w którego istnienie ja osobiście... he, he, he... nie bardzo wierzę, choć ty, mój lordzie, miałeś zapewne więcej okazji do zawarcia z nim znajomości.

- Mów dalej, łotrze, i dość tych szyderstw, bo może się zdarzyć, że drogo za nie zapłacisz.

- Jak każesz, mężny rycerzu - odparł Dwining. - Otóż wiedz, że ja też mam sprzymierzeńca, bez którego na nic by mi się nie zdała cała moja zręczność.

- Kimże on jest, jeśli wolno spytać?

- Nazywa się Stefan Smotherwell i jest, za przeproszeniem waszej miłości, katem tego naszego Nadobnego Grodu. Aż dziw, że go wasza miłość nie zna.

- Aż dziw, łotrze, żeś go jeszcze nie poznał w jego zawodowym charakterze - odparł Ramorny. - Ale widzę, że stryczek na ciebie jeszcze nie gotów, uszu ci jeszcze nie obcięto, a jeśli masz już piętno wypalone na szyi, ukrywasz je zręcznie pod wysokim kołnierzem kaftana.

- he, he... wasza miłość raczy sobie żartować - zaśmiał się medyk. - Ale zawarłem przyjaźń ze Stefanem Smotherwellem nie jako jego klient od stryczka, tylko dzięki łączącym nas stosunkom handlowym. Otóż w zamian za sztuki srebra otrzymuję głowy, ciała i członki tych, których zacny Stefan wyprawił na tamten świat.

- Nędzniku! - zawołał rycerz ze zgrozą. - Kupujesz te biedne szczątki ludzkie, żeby przygotować z nich amulety i uprawiać czarnoksięstwo?

- he, he, he! Mylisz się, wasza miłość - odparł Dwining, rozbawiony ignorancją swego możnego patrona. - Wiedz, że my, rycerze skalpela, często krajemy członki zmarłych osób, którą to czynność nazywamy sekcją, bo dzięki starannemu zbadaniu obumarłego organu uczymy się leczyć takiż organ schorzały osoby żywej. Ach, gdyby wasza miłość zechciał obejrzeć moją biedną pracownię, pokazałbym mu głowy i ręce, nogi i płuca, które inaczej od dawna gniłyby już w ziemi. Pokazałbym ci, szlachetny panie, czaszkę Wallace'a skradzioną z London Bridge, serce sir Simona Frazera, które nie znało lęku, piękną czaszkę nadobnej Katarzyny Logie. Och, że też szczęście mi nie dopisało i nie zdobyłem męźnej dłoni mego szlachetnego patrona!

- Milcz, niewolniku! Dość mam tych okropieństw! Rzeknij mi natychmiast, do czego zmierzasz. W jaki sposób twój handel z miejskim katem może być pomocny mnie lub memu słudze Bonthronowi?

- Uchowaj Boże! Nie doradzałem waszej miłości prowadzenia handlu z tym człowiekiem... chyba że w jakiejś nadzwyczajnej potrzebie - rzekł zjadliwie Dwining. - Ale załóżmy, że Bonthron staje w szrankach. Trzeba mu przyobiecać, że jeśli nie odniesie zwycięstwa, uratujemy go z rąk kata - pod warunkiem wszelako, że nie wyzna niczego, co rzuciłoby cień na honor waszej miłości.

- Czekaj... ależ tak! Pewna myśl przyszła mi do głowy! - zawołał Ramorny. - Możemy zrobić znacznie

więcej... możemy włożyć w usta Bonthrona słówko nader kłopotliwe dla młodzieńca, którego mam prawo przeklinać, gdyż stał się sprawcą wszystkich moich nieszczęść. Chodźmy teraz do nory buldoga, wytłumaczmy mu, jak ma postąpić w każdej odmiennej sytuacji. Jeżeli zdołamy go przekonać, żeby się poddał próbie mar, będziemy bezpieczni. Jeśli wybierze walkę... hm, jest zaciekły

jak niedźwiedź szczuty psami i może się zdarzyć, że położy przeciwnika trupem. W takim wypadku będziemy nie tylko bezpieczni, lecz co więcej, pomszczeni. Jeżeli natomiast Bonthron legnie, uciekniemy się do twojego fortelu, a jeśli potrafisz rzecz załatwić zręcznie, podyktujemy mu zeznanie,

obrócimy je na naszą korzyść, co ci wyjaśnię bliżej w następnych naradach, i pchniemy naprzód dzieło

pomszczenia mojej krzywdy. Istnieje wszakże jedno ryzyko. Powiedzmy, że nasz brytan legnie śmiertelnie raniony w szrankach... Kto mu przeszkodzi wymamlać zeznanie inne niż to, którego my byśmy sobie życzyli?

- Tego dokonać zdoła jego cyrulik. Pozwól mi, wasza miłość, zaopiekować się dogorywającym, a zyskasz pewność, że jeśli będę miał okazję dotknąć choć palcem jego rany, nie zawiedzie on twego zaufania.

- Oto usłużny demon, którego nie trzeba namawiać do zła! - powiedział Ramorny.

- Ufam, że w służbie waszej miłości nijakie namowy nie będą mi potrzebne.

- Chodź, przeszkolimy teraz nasze narzędzie działania - ciągnął rycerz. - Nie będzie to chyba trudne, bo ten nędznik odróżnia rękę, która go karmi, od ręki okładającej go kijem. Co więcej, żywi on do pewnego mojego byłego pana królewskiej krwi gwałtowną nienawiść, gdyż popędliwy ów młodzieniec skrzywdził go obelżywymi słowy i niecnym traktowaniem. Ale muszę jeszcze omówić z tobą szczegółowo sposób, w jaki zamierzasz uratować naszego brytana z rąk miejskiej tłuszczy.

Pozostawimy teraz tę cną parę przyjaciół przy ich sekretnych praktykach, których rezultaty zobaczymy później. Choć tyle ich różniło, byli jednak tak doskonale dobrani i tak znakomicie

nadawali się do obmyślania i wykonywania zbrodniczych planów, jak chart nadaje się do zabijania zwierzyny, którą pies gończy spłoszy, lub tropowiec do tropienia zdobyczy, którą ogar wyszedł wzrokiem. Duma i egoizm były ich wspólnymi cechami; ale różnice stanu, wykształcenia i talentów uczyniły z nich dwie najzupełniej do siebie niepodobne indywidualności.

Bo też trudno doprawdy wyobrazić sobie kogoś, kto byłby mniej podobny do trawionego ambicjami faworyta dworu, szczęśliwego w miłostkach galanta i mężnego rycerza niż uległy i pokorny cyrulik, któremu nawet pańskie obelgi i zniewagi zdawały się być miłe, choć w głębi duszy rozkoszował się własną przewagą mądrości - własną niezrównaną potęgą umysłu i wiedzy, która wynosiła go ponad ciemne rycerstwo owych czasów. Tak świadom był aptekarz Dwining tej swojej przewagi, że niekiedy

dla własnej rozrywki ośmielał się, na podobieństwo pogromcy dzikich zwierząt, wzniecać straszliwy gniew ludzi w rodzaju Ramorny'ego, ufając, że pokorą swego obejścia uciszy burzę, którą sam rozpętał. Jest rzeczą samą przez się zrozumiałą, że feudalny baron gardził pokornym medykiem; niemniej jednak Ramorny znajdował się pod silnym wpływem Dwininga i w potyczkach na koncept często mu ulegał - jak ognisty rumak ulega dwudziestoletniemu pacholęciu, jeśli zostało ono wyszkolone w sztuce ujarzmiania koni. Ale pogarda Dwininga dla Ramorny'ego była bardziej żywiółowa. Gdy porównywał go z sobą, rycerz wydawał mu się istotą wyrosłą niewiele ponad poziom

bezrozumnej bestii, zdolną wprawdzie do niszczenia, jak wilk, który rozszarpuje kłami, lub rozjuszony

byk, który dziurawi siłą rogów, lecz powodującą się nikczemnymi przesadami i niewolniczo uległą wobec sztuczek kapłańskich, bo tym terminem Dwining określał wszelką religię. Ogólnie rzecz biorąc,

spoglądał na Ramorny'ego jako na kogoś, kogo sam los przydzielił mu na niewolnika, aby mógł z jego pomocą zdobywać złoto, które wielbił; chciwa miłość do złota była bowiem jego największą słabostką, choć z pewnością nie najgorszą wadą. Usprawiedliwiał przed samym sobą tę niską

skłonność umiłowaniem władzy.

- Cyrulik Dwining - mawiał wpatrując się z zachwytem w skarby, które zebrał potajemnie i które od czasu do czasu oglądał - nie jest bezrozumnym chciwcem, który wielbi sztuki złota dla ich pięknego połysku. To władza, którą obdarzają posiadziciela, każe mu je tak serdecznie miłować. Czyż istnieje coś, czego nie kupię za pieniądze? Kochasz piękno, lecz jesteś szpetny, ułomny, chory i stary? Oto przynęta, która skusi najpiękniej upierzoną ptaszynę. Jesteś słaby, bezsilny i ulegasz przemocy potężnego ciemżyciela? Oto, co uzbroi w twej obronie mężów potężniejszych niż ów nędzny tyran, którego się lękasz. Masz pańskie skłonności i pragniesz popisać się bogactwem i splendorem? W tej ciemnej skrzyni znajdują się ogromne połacie ziemi pociętej pagórkami i dolinami, wiele wspaniałych

borów pełnych dzikiego zwierza - i wierność tysiąca wasali. Pragniesz faworów na dworach, tak świeckich jak duchownych? Uśmiech króla, przebaczenie papieża i kapłanów za dawne zbrodnie i pobłażliwość, która zachęca styranizowanych przez duchowieństwo durni do nowych występków - wszystkie te świątobliwe podniety do grzechu można kupić za pieniądze. Zemstę, którą jakoby zastrzegają dla siebie bogowie, bo pewnie zabiją ludziom tak słodkiego kąska... zemstę samą można nabyć za złoto. Ale można ją też mieć dzięki własnej zręczności, co jest znacznie szlachetniejszą metodą działania. Przeznaczę moje skarby na inne cele, a zemstę osiągnę gratis. A raczej połączę radość z zwiększonego bogactwa z tryumfem odwetu.

Tak rozmyślał Dwining, gdy wróciwszy od sir Johna Ramorny, dorzucił sztuki złota otrzymane od rycerza za rozmaite usługi do skrzyni pełnej bogactw; a nacieszywszy nimi oczy, zamknął na klucz sekretny skarbcezyk i postanowił pójść do pacjentów; idąc usuwał się z drogi każdemu napotkanemu przechodniowi, kłaniał się i uchylał kołpaka przed najbiedniejszym nawet właścicielem nędznego straganu, a nawet ubogimi rzemieślnikami, którzy zdobywali niepewny chleb ciężką pracą.

„Nędznicy - mówił w duchu, składając pokorne ukłony - marni, głupkowaci wyrobownicy! Gdybyście wiedzieli, jakie skarby otworzyć może ten klucz, zdejmowalibyście przede mną czapki w

najgwałtowniejszej ulewie. Obrzydliwość schlapanej pomyjami podłogi w waszych plugawych norach

nie powstrzymałaby was od padnięcia na twarz i wielbienia właściciela tak wielkich bogactw. Ale poczujecie wy jeszcze moją siłę, choć ukrywam przed waszymi oczami jej źródło. Nie chcieliście mnie na rajcę, stanę się więc zmorą waszego miasta. Jak we śnie pełnym zwidzeń będę was nawiedzał,

choć pozostanę niewidzialny. Nawet ów nędznik Ramorny, który straciwszy prawą dłoń stracił - na podobieństwo biednego rzemieślnika - jedyny cenny członek, obrzuca mnie obelgami. Ale gdy nazywa mnie nędznikiem, łotrem czy sługusem, robi takie mniej więcej głupstwo, jak gdyby się zabawiał wyrywaniem włosów z mojej głowy, podczas gdy ja trzymałbym sztylet przytknięty do jego serca. Za każdą zniewagę mogę natychmiast odpłacić męką bólu cielesnego lub duchowej udręki. A trzeba przyznać... he, he, he... że niewiele jestem dłużny jego rycerskiej mości".

Gdy folgując sobie w tych diabelskich rozmyślaniach Dwining przemykał się pod murami domów, usłyszał nagle za sobą wołania niewieście.

- Oto on... chwała Najświętszej Paniencie! Oto najużyteczniejszy człowiek w całym Perth! - wołała jedna niewiasta.

- Ludzie powiadają, że nie ma to jak królowie i rycerze, którzy wynagrodzą biednemu każdą krzywdę... ale ja tam wolę w potrzebie mistrza Dwininga - dodała druga.

Jednocześnie owe jejmości, żony obywateli Nadobnego Grodu, otoczyły medyka.

- Co to za larum? - spytał Dwining. - Czyja krowa się ocieliła?

- Nie ocieliła się żadna krowa - odparła jedna z niewiast - tylko umiera maleństwo, biedna sierotka pozbawiona ojca. Chodź więc z nami, zacny medyku, bo nasza wiara w ciebie jest niewzruszona, jak powiedział Bruce do Donalda.

- Opiferque per orbem dicor* - odparł Dwining. - Na co dziecko umiera?

- Na krup... czyli dławicę! - wykrzyknęła jedna z kumoszek. - Biedactwo chrypi jak zardzewiały

kołowrót.

- Cynanche trachealis... ta choroba szybko zabija. Zaprowadźcie mnie natychmiast do pacjenta — ciągnął Dwining, który mimo wrodzonego skąpstwa i podłości natury udzielał porad lekarskich szczerze i litościwie. A ponieważ trudno go doprawdy posądzić o jakieś szlachetniejsze impulsy, należy przypuszczać, że motywem jego działania była próżność i umiłowanie lekarskiego rzemiosła.

Gdyby jednak wiedział, dokąd prowadzą go zacne jejmoście, odmówiłby tym razem swych usług i na czas obmyślił jakąś stosowną wymówkę. Ale zanim zdążył połapać się w sytuacji, stał już w drzwiach

domu zmarłego Olivera Proudfoote'a, skąd przyplął ku niemu śpiew niewiast obmywających i ubierających ciało nieboszczyka na jutrzejszą ceremonię w kościele. Oto unowocześniona wersja żałobnej pieśni:

Niewidzialnym jesteś duchem,

Co powietrza stał się ruchem;

Ciągle blisko się unosisz

Kształtu, któryś niegdyś nosił.

Dalej lotem swoim steruj,

W prawo lub się w lewo kieruj;

Wzbij się albo w dół opadnij,

Lecz w otchłani nie przepadnij.

Aby pomścić czyn, co z twego

Domu wygnał cię ziemskiego,

Władzę tajemną dostałeś

Nad rozumem, krwią i ciałem.

Kształt, gdy się wyłoni z mroku,

Dojrzy twe zamknięte oko;

Krok - gdy się rozlegnie głucho,

Posłyszysz twe martwe ucho.

Dziwne zbudzą się uczucia,

Drżenie ciała, nerwów kłucia;

Skrzepe rany, krwią buchając,

Znów krwi za krew zażądają!

Choć zahartowany w niegodziwościach, cyrulik nie mógł się jednak zdobyć na przekroczenie progu domu człowieka, do którego śmierci - aczkolwiek omyłkowo - tak bezpośrednio się przyczynił.

- Pozwólcie mi iść w drogę, niewiasty - powiedział. - Moja sztuka może pomóc tylko żywym... umarłym na nic się nie zdadzą nasze umiejętności.

- Kiedy twój pacjent, cyruliku, jest na górze... młodsza z nieszczęsnych sierotek...

Dwining chcąc nie chcąc wszedł do domu. Ale gdy przekroczył próg, nagle niewiasty krzątające się koło zmarłego przerwały śpiew i Dwining usłyszał zdumiony, jak jedna zwróciła się do drugiej:

- W imię Boga... kto wszedł do domu? Jakże ogromna kropla krwi pociekła!

- Ale gdzie tam - odezwał się inny głos. - To tylko kropla płynnego balsamu.

- Nie, kumo, to krew. Pytam znowu... kto wszedł przez drzwi? Jedna z niewiast wyjrzała z izby do małej sionki, gdzie Dwining, udając, że w mroku nie dostrzega schodków prowadzących na piętro, zwlekał z wejściem. Zmieszał go i zaskoczył zasłyszany fragment rozmowy.

- Nie... to tylko cny mistrz Dwining - rzekła niewiasta.

- Tylko mistrz Dwining! - oburzyła się pierwsza kumoszka. - Nasz najlepszy opiekun w potrzebie! A więc był to niechybnie balsam.

- Nie - upierała się tamta - mogła to być równie dobrze krew... Bo jak znaleziono na ulicy ciało, medyk, rozumiesz, na polecenie rajców zbadał ranę swymi instrumentami, a skąd biedny nieboszczyk może wiedzieć, że to było zrobione w dobrej intencji?

- Słusznie, kumo, słusznie. A ponieważ za życia pocziwy kum Oliver często brał przyjaciela za wrogów, nie dziwota, że się też myli po śmierci.

Dwining nie słyszał już więcej, jako że niewiasty zmusiły go do wejścia na schodki, którymi wydostał

się na coś w rodzaju poddasza; siedziała tu Magdalena na swym wdowim łóżku, trzymając w ramionach niemowlę, które sine na twarzy i dławiące się własnym oddechem, od czego pochodzi popularna nazwa tej choroby, kończyło snadź swój krótki żywot. Mnich dominikański siedział tuż obok łóżka, trzymając drugie dziecko na kolanach, i od czasu do czasu zwracał się do zbolełej matki ze słowem pociechy lub wypowiadał uwagę na temat choroby dziecka.

Dwining rzucił zakonnikowi jedno krótkie spojrzenie, pełne niewypowiedzianej pogardy, jaką mężowie nauki żywią dla laików. Jego zabiegi dały skutek natychmiastowy; niemal wyrwał niemowlę

z objęć matki, obnażył jego gardziółko i otworzył żyłę, z której buchnęła krew, co przyniosło małemu pacjentowi natychmiastową ulgę.

W krótki czas potem ustąpiły niebezpieczne objawy i Dwining, podwiązawszy żyłę, umieścił dziecko z powrotem w ramionach odchodzącej od zmysłów matki.

Rozpacz nieszczęsnej kobiety po stracie męża, odsunięta na dalszy plan w chwili niebezpieczeństwa zagrażającego życiu niemowlęcia, wróciła teraz z siłą spiętrzonych wód, które zerwały tamę, przez czas jakiś powstrzymującą ich napór.

- O uczonej panie - zawołała - masz przed sobą ubogą niewiastę, którą znałeś w dniach, gdy była bogatsza! Ale człowiek, który przywrócił życie memu maleństwu, nie powinien wyjść z tego domu z pustymi rękami. Szlachetny, zacny mistrzu, przyjm ten różaniec... jest wyrzeźbiony w kości słoniowej i zdobny srebrem... on lubił otaczać się ładnymi przedmiotami, jak gdyby był wielkim panem... i podobniejszy był w swych zwyczajach do szlachcica niż do mieszczanina.

Z tymi słowami, w niemych wybuchu żalości, Magdalena przytknęła różaniec do piersi i ust i usiłowała

wepchnąć go Dwiningowi do rąk.

- Weź to, zacny panie - rzekła - przez miłość dla tego, który kochał cię serdecznie. Ach, jakże często mawiał, że jeśli ktoś wraca z progu śmierci, dzieje się to zawsze za sprawą mistrza Dwininga! A teraz

jego własne dziecko przywrócone zostało życiu, a on tam leży zimny i sztywny i nie wie nic o jego zdrowiu i chorobie! Ale weź różaniec, dobrotliwy panie, i przesuając w palcach paciorki myśl o tej

biednej duszy; jak zacni ludzie będą się modlili o jego zbawienie, prędzej uwolniony zostanie z czyśćca.

- Zabierz różaniec, kumo. Nie wyznaję się na kuglarstwie... nie znam żadnych sztuczek magicznych - rzekł cyrulik, który bardziej wzruszony, niż chciał to okazać, usiłował wymówić się od przyjęcia złowróbnego podarku. Ale jego ostatnie słowa uraziły mnicha, o którego obecności cyrulik zapomniał.

- Jakże to, imć medyku! - wybuchnął dominikanin. - Ośmielasz się nazywać modlitwy za zmarłych kuglarskimi sztuczkami? Chaucer*, ów angielski bard, mówi o was, ludziach z medycznej profesji, że w waszych studiach omijacie Biblię. Matka nasza Kościół drzemała ostatnio, to prawda, ale teraz oczy

ma szeroko otwarte i potrafi odróżnić wrogów od przyjaciół. Bądź pewien, że...

- Doprawdy, wielebny ojcze - przerwał mu Dwining - opacznie tłumaczysz sobie moje słowa.

Powiedziałem, że nie potrafię czynić cudów, i miałem jeszcze dodać, że ponieważ Kościół posiada większą moc w tych sprawach, różaniec powinien trafić do twoich rąk, gdyż ty go użyjesz z lepszym pożytkiem dla duszy zmarłego.

Wsunął różaniec dominikaninowi do ręki i uciekł z domu żałoby.

„Była to wizyta dziwacznie nie na czasie - pomyślał znalazłszy się bezpiecznie za drzwiami. -

Wprawdzie mam sobie takie rzeczy za nic ale rad jestem, że uratowałem życie temu wrzaskliwemu bachorowi A teraz do mego przyjaciela Smotherwella! Nie wątpię, że pomoże mi on załatwić rzeczy

Z

Bonthronem. W ten sposób jednego dnia uratuję dwa życia a zniszczyłem tylko jedno".

ROZDZIAŁ XXIII

Tam cały w krwi zakrzepłej legł,

Co z ran broczyła jego;

I zda się, że ta skrzepła krew

O pomstę woła Niebios.

Uranos i Psyche

Ponieważ święty Jan był patronem Perth, rajcowie uważali, że w katedrze pod jego wezwaniem próba

ma zostać przeprowadzona najsprawiedliwiej dla miasta i najbardziej bezstronnie. Król i szlachta

wyposażali bogato kościoły i klasztory kartuzów, dominikanów i inne świątynie, więc też na ratuszu

podniósł się krzyk, że „nasz własny zacny stary święty Jan”, w którego przychylność rajcowie głęboko

wierzyli, powinien być obdarzony pełnym zaufaniem miasta i wybrany spośród innych, nowszych

patronów, dla których dominikanie, kartuzi i karmelici zakładali nowe siedziby. Spory między

duchowieństwem świeckim i zakonnym dodatkowo jeszcze rozogniły namiętności dyktujące wybór

miejsca, w którym niebiosy miały dokonać czegoś w rodzaju cudu i bożym osądem rozstrzygnąć

sprawę niewątpliwej winy. Pisarzowi miejskiemu i proboszczowi tak bardzo zależało na wyborze

katedry, jak gdyby w gronie świętych istniały stronnictwa za i przeciwko Nadobnemu Grodowi.

Wiele przeto układano intryg i wiele intryg udaremniano, zanim ostatecznie wybór padł na katedrę

Świętego Jana. Ale rajcowie, dla których było to sprawą honoru miasta, postanowili - ufni w

sprawiedliwość i bezstronność swego patrona - jemu oddać się w opiekę.

Po sumie więc, którą celebrowano tak uroczyście, jak zezwalały na to żałobne okoliczności, i po

długotrwałych i gorących modłach skierowanych do niebios przez zgromadzone w kościele tłumy,

nadeszła chwila zwrócenia się do Boga o Jego wyrok w sprawie tajemniczego morderstwa na nieszczęsnym czapniku.

W kościele panował nastrój dostojnej powagi, nader charakterystyczny dla rytuału Kościoła katolickiego. Przez bogate witraże wschodniego okna spływały na wielki ołtarz potoki różnobarwnego

światła. Na marach umieszczonych tuż obok ołtarza spoczywała ziemska powłoka zamordowanego; ręce miał złożone na piersiach, splecione palce jego dłoni sterczały do góry, jak gdyby nawet to pozbawione uczucia ciało zwracało się do niebios o pomstę na tych, którzy czynem gwałtownym wygnali ducha nieśmiertelnego z tej zmasakrowanej łupiny.

W pobliżu mar ustawiono tron, na którym zasiadł Robert Szkocki i jego brat Albany; księżę Rothsay siedział na niższym stołku obok ojca. Zwróciło to uwagę zebranych i wywołało liczne komentarze; fotel Albany'ego niewiele różnił się od fotela króla i następcy tronu, choć pełnoletni, był w oczach mieszczanstwa Perth jak gdyby zdegradowany poniżej godności swego stryja. Mary tak były umieszczone, że ciało znajdowało się na widoku większości osób zgromadzonych w kościele.

W głowach mar stał rycerz of Kinfauns, oskarżyciel, w nogach zaś earl of Crawford zastępujący oskarżonego. Świadeństwo księcia Rothsaya oczyściło sir Johna Ramorny z zarzutów i uwolniło go od konieczności poddania się próbie mar; jego zaś choroba posłużyła za pretekst do pozostania w domu.

Świta Ramorny'ego, w tym ci jej członkowie, którzy choć zatrudnieni bezpośrednio w służbie sir Johna, uważani byli jednak za dworaków księcia i nie zostali jeszcze formalnie z książęcej służby odprawieni, liczyła dziesięciu mężczyzn znanych ze swych rozwiązłych obyczajów, a więc, jak powszechnie sądzono, zdolnych w zamęcie hulanki dokonać mordu na czapniku. Stali rzędem pod ścianą lewej nawy kościoła, ubrani w białe kaftany przypominające szaty pokutne. A że oczy wszystkich zwracały się wciąż w ich stronę, kilku tak się zmieszało, że widzowie byli przekonani o ich winie. Twarz prawdziwego mordercy nie zdradzała jego uczuć - ponura, posępna twarz; ani wino,

ani hulanka nie potrafiłyby jej rozweselić, lęk zaś przed ujawnieniem zbrodni i śmiercią nie wyciskał na niej przygnębienia.

Opisaliśmy już położenie ciała. Twarz zmarłego, jak również jego piersi i ramiona były odsłonięte. Resztę postaci otulał całun z najcieńszego płótna, dzięki czemu krwawienie którejkolwiek z przykrytych ran natychmiast stałoby się widoczne.

Po odprawieniu sumy i uroczystych modłów do Boga, aby raczył chronić niewinnych i wskazać winnego, wezwano do poddania się próbie Eviota, pazia sir Johna Ramorny. Eviot podszedł do marzanki krokiem niepewnym. Być może obawiał się, iż świadomość, że Bonthron jest sprawcą, wpłynie go jakoś w sprawę morderstwa, choć przecież sam w nim nie uczestniczył. Stał przy marzance i głos mu drżał, gdy przysięgał na wszystko, co zostało stworzone w ciągu siedmiu dni i siedmiu nocy, na niebo i piekło, na swój udział w wiecznym zbawieniu i na Boga i Pana wszelkiego stworzenia, że nie jest winny krwawej zbrodni popełnionej na człowieku, obok którego zwłok stał teraz i na którego martwej

piersi zrobił znak krzyża dla zadokumentowania prawdy swych słów. Nie zdarzyło się nic. Zwłoki leżały sztywne i nieruchome na marzance, z zakrzepłych ran nie pociekła krew.

Mieszczanie spojrzeli po sobie z nie ukrywanym rozczarowaniem. Byli przekonani o winie Eviota, a jego nerwowość wzbudziła w nich tym silniejsze podejrzania. Pozostali dworacy Ramorny'ego nabrali

otuchy i podchodzili składać przysięgę ze śmiałością, która wzrastała w miarę, jak jeden po drugim poddawali się próbie, a sędzia obwieszczał, że są wolni od wszelkich podejrzeń o zabójstwo Olivera

Proudfute'a.

Był jednak ktoś, komu nie udzieliła się ta wzrastająca pewność siebie. Głos, wykrzykujący imię Bonthrona, trzykrotnie rozległ się w nawach katedry; ale ów, który je nosił, nie odpowiedział na wezwanie, a tylko zaszurgotał nogami, jak gdyby w nagłym ataku paraliżu.

- Odezwij się, psie - wyszeptał Eviot - bo inaczej zdechniesz jak pies. Ale morderca tak był

zaniepokojony tym, na co patrzył, że widząc jego obłąkane spojrzenia sędziowie wahali się, czy rozkazać straży, żeby go siłą podprowadziła do mar, czy też zaocznie uznać go winnym; i dopiero gdy po raz trzeci spytano go, czy podda się próbie mar, odpowiedział krótko:

- Nie. A bo ja wiem, jakie kuglarskie sztuczki pójdą w ruch, żeby biednego człowieka pozbawić życia? Stanę na ubitej ziemi z każdym, kto powie, że skrzywdził to tu nieżywe ciało. I zgodnie ze zwyczajem rzucił rękawicę na podłogę kościoła. Harry Smith wystąpił teraz na środek, witany stłumionym szmerem aplauzu przez brać mieszczańską, niebaczną nawet na obecność monarchy, i podniósł rękawicę Bonthrona, umieścił ją na swym kołpaku, a następnie cisnął na ziemię swoją. Ale nędznik jej nie podniósł.

- Z nim nie będę walczył - wychrypiał. - Taki nie ma prawa podnieść mojej rękawicy. Jako sługa koniuszego książęcego, należę do dworu następcy tronu. Ten pacholek jest nędznym rzemieślnikiem. W tym miejscu książe wybuchnął:

- Ty należysz do mojego dworu, nikczemniku? Z miejsca cię zwalniam! Weź się do niego, Smith, nie żałuj mu ciosów cięższych niż najcięższe uderzenia młotem w kowadło! Ten łajdak jest mordercą i zaprzańcem, sam jego widok budzi we mnie obrzydzenie. A jeżeli mój król i ojciec posłucha rady, każe dać przeciwnikom dwa zacne szkockie topory i nim minie pół godziny, poznamy, który z nich jest lepszym wojownikiem.

Propozycja została chętnie przyjęta przez earla of Crawford i sir Patricka; wyrazili oni zgodę, żeby przeciwnicy z uwagi na swą przynależność do gminu walczyli w bębnach stalowych, kaftanach skórzanych i przy użyciu toporów bitewnych.

Jako miejsce walki wyznaczono Dziedziniec Skórników, pusty plac w najbliższym sąsiedztwie, zajmowany przez cech, od którego plac wziął swoją nazwę; w największym pośpiechu uprzątnięto tu i ogrodzono dla walczących skrawek ubitej ziemi o wymiarach trzydzieści stóp na dwadzieścia pięć.

Wokół stłoczyli się rycerze, duchowieństwo i pospólstwo -wszyscy prócz starego króla, który,

nienawidząc tego rodzaju krwawych widowisk, powrócił do swej rezydencji, nadzór zaś nad zapaśnikami powierzył earlowi of Errol, Wysokiemu Komisarzowi Królewskiemu, do którego funkcja

ta należała z urzędu. Albany obserwował przygotowania okiem bystrym i czujnym; jego bratanek - z niedbałym zainteresowaniem, nader charakterystycznym dla natury tego młodzieńca.

Gdy przeciwnicy stanęli w szrankach, widzów uderzył niezwykle kontrast między męskim, wesołym obliczem Smitha, którego czyste, jasne oczy zdawały się już błyszczeć radością spodziewanego zwycięstwa, a ponurą, chmurną miną zezwierzęconego Bonthrona, który przypominał ohydne ptaszysko wygnane na światło dnia z głębin mrocznej kryjówki. Zapaśnicy złożyli kolejno przysięgę, każdy na słuszność swej sprawy, przy czym Harry Smith dopełnił tej ceremonii z męską, pogodną ufnością, Bonthron zaś z zuchwałą zawziętością, na której widok księżę Rothsay rzekł do Wysokiego Komisarza:

- Czy widziałeś kiedykolwiek, mój lordzie, taką mieszaninę zjadliwości, okrucieństwa i chyba strachu,

jaka maluje się na twarzy tego człowieka?

- Przyznaję, że nie jest urodziwy - odparł earl of Errol - ale krzepki z niego pacholek.

- Założę się z tobą, mój lordzie, o beczułkę wina, że nie on będzie dzisiaj zwycięzcą. Harry-płatnerz dorównuje mu siłą, a jest od niego znacznie zwawszy. I spójrz na jego śmiałą postawę! Tamten nędznik budzi we mnie obrzydzenie. Niechże zaczną jak najprędzej, bo sam jego widok jest mi nienawistny!

Wtedy Wysoki Komisarz zwrócił się do wdowy, która siedziała w żałobnych szatach, z dziećmi u boku, na krześle tuż przy szrankach:

Niewiasto, czy godzisz się, aby ten człowiek, Harry Smith, wystąpił jako bojownik w twej sprawie?

- Zgadzam się... zgadzam się całym sercem - odparła Magdalena Proudfoote. - I niechaj Chrystus i święty Jan go błogosławią i dodadzą mu sił, bo będzie walczył w obronie wdowy i sierot.

- A zatem ogłaszam to miejsce polem walki - obwieścił głośno Komisarz. - Niech nikt, pod groźbą życia, nie ośmieli się przerwać pojedynku słowem czy spojrzeniem. Zagrajcie, trąby, walczcie, wojownicy.

Zagrały trąby i przeciwnicy zaczęli zbliżać się do siebie z przeciwległych krańców szranek krokiem miarowym i powolnym, obserwując się uważnie, nawykli z ruchu oczu odgadywać kierunek, w którym ma paść zamierzony cios. Zatrzymali się naprzeciwko siebie, w zasięgu ręki, i każdy kolejno wykonał szereg fint, aby się przekonać o sprawności i czujności przeciwnika. W końcu, czy to znużony tymi manewrami, czy też z obawy, że w zapasach tak prowadzonych ruchliwość Smitha udaremni jego nieporęczną siłę, Bonthron podniósł topór, by zadać cios z góry, powiększając siłę muskularnych ramion o ciężar opadającego w dół oręża. Jednakże Smith uskoczył w bok i uniknął ciosu, który był nazbyt silny, aby go parować choćby najzręczniejszą gardą. Zanim Bonthron zdołał się osłonić, topór Smitha runął bokiem na jego stalowy hełm; skrytobójca zwałił się na ziemię.

- Wyznaj prawdę lub giń - rzekł zwycięzca stawiając stopę na piersi powalonego i przytykając do jego gardła ostrze topora.

- Wyznam prawdę - wymamrotał nędznik rzucając dzikie spojrzenia ku niebu. - Dajcie mi wstać.

- Nie wstaniesz, póki się nie poddasz - rzekł Harry.

- Poddaję się - zawarczał potwór, a Harry obwieścił wszem wobec, że jego przeciwnik został zwyciężony.

Księżę Rothsay, Albany, Wysoki Komisarz i przeor dominikanów weszli teraz w szranki i spytali Bonthrona, czy uznaje się za zwyciężonego.

- Tak - odparł łajdak.

- I jesteś winny śmierci Olivera Proudfoote'a?

- Tak... alem go wziął za innego.

- A kogo zamierzałeś pozbawić życia? - spytał przeor. - Wyznaj prawdę, synu, może grzech twój

zostanie ci przebaczone na przyszłym świecie. Bo na tym niewiele już zdziałasz.

- Tego, com go zabił, wziąłem za tego, co trzyma teraz stopę na mej piersi - odparł pognębiony zapaśnik.

- Chwała niech będzie Najwyższemu! - zawołał przeor. - Teraz przejrzą wreszcie wszyscy, którzy wątpili w skuteczność tej świętej próby! Oto zbrodniarz dostał się w sidła, które zastawił na niewinnego!

- Nie wiem, czym widział tego człowieka kiedykolwiek na oczy - rzekł Smith. - Nie uczyniłem krzywdy jemu ani jego bliskim. Racz, wielebny ojcze, spytać, czemu chciał mnie zgładzić tak zdradziecko.

- Słuszne pytanie - odparł przeor. - Chwal Boga, synu, nawet jeśli Jego chwała objawia się w twojej niesławie. Czemuś chciał zabić tego tu płatnerza, skoro on powiada, że cię nigdy nie ukrzywdził?

- Ukrzywdził tego, któremu służyłem - odparł Bonthron. - A zabójstwa miałem dokonać z jego rozkazu.

- Z czyjego rozkazu? - spytał przeor.

Bonthron milczał przez chwilę, potem wymamrotał:

- Zbyt on możny, żebym wymieniał jego imię.

- Słuchaj, synu - podjął przeor surowo. - Zwlekaj jeszcze chwilę, a zarówno to, co godne, jak to, co podłe na tym świecie, stanie się dla ciebie pustym dźwiękiem. Przygotowują już wóz, który cię zawiezie na miejsce stracenia. Dlatego raz jeszcze żądam, żebyś na chwałę Panu mówił samą jeno prawdę. Czy to twój pan, sir John Ramorny, podjudzał cię do tak nikczemnego czynu?

- Nie - odparł z ziemi Bonthron. - Moźniejszy był to pan. - I jednocześnie wskazał na Rothsaya.

- Łotrze! - wybuchnął osłupiały książę. - Czy ośmielasz się twierdzić, że to ja byłem twoim podżegaczem?

- Nie kto inny, mój lordzie - odparł bez zająknienia Bonthron.

- Zgiń, nędzny niewolniku, to kłamstwo przypłacisz życiem! - zawołał książę i dobywszy miecza byłby zatopił go w ciele oszczercy, gdyby Lord Wysoki Komisarz nie powstrzymał go słowem i czynem.

- Wybacz, miłościwy książę, że dopełnię swej powinności... tylko kat ma prawo położyć ręce na tym nędzniku. Nikt inny nie ma prawa wymierzać mu sprawiedliwości... a już zwłaszcza następca tronu szkockiego.

- Jakże to, szlachetny lordzie - zawołał Albany z troską prawdziwą lub udaną - chcesz puścić stąd tego

psa żywcem, żeby zatruwał uszy ludu fałszywymi oskarżeniami przeciwko księciu krwi? Powiadam - rozplatać mu gardło na miejscu!

- Wasza miłość wybaczy - przerwał earl of Errol. - Moją powinnością jest bronić tego człowieka, dopóki nie spełni się jego los.

- W takim razie czym prędzej zakneblujcie mu usta! - wybuchnął Albany. - A ty, mój królewski bratanku, czemu stoisz osłupiały? Opanujże się... przemów do jeńca... przysięgnij... zaklinaj się na wszystkie świętości, żeś nic nie wiedział o tym zbrodniczym czynie! Spójrz, jak ludzie spoglądają na ciebie zdumieni, jak między sobą szeptają! Przebóg, to kłamstwo szybciej obiegnie kraj niż słowa Ewangelii! Przemów do nich, krewniaku... obojętnie, co powiesz, bylebyś stanowczo wszystkiemu zaprzeczył!

- Coś rzekł, mości książę? - Rothsay drgnął, ochłonął z pierwszego zdumienia i zwrócił się wyniośle do Albany'ego: - Chciałbyś, bym mierzył moje książęce słowo ze słowem tego obmierzłego zaprzańca? Niechaj myślą sobie ci, którzy mogą uwierzyć, że dziedzic szkockiego tronu i potomek Bruce'a zdolny jest nastawać na życie skromnego rzemieślnika, że ów łotr mówi prawdę!

- Ja będę pierwszy, który w to nie uwierzy - oświadczył Smith porywczo. - Nie uczyniłem nic, co by mnie mogło narazić na gniew miłościwego księcia Rothsaya, a miłościwy książę nie skrzywdził mnie też ani jednym spojrzeniem, słowem czy uczynkiem. Nie uwierzę, że książę Rothsay podzegał

kogokolwiek do tak podłego czynu.

- A to, żeś zrzucił jego wysokość z drabiny na Curfew Street w Dniu świętego Walentego?- spytał urągliwie Bonthron. - Myślisz, że ci to poczytano za zasługę?

Słowa te były wypowiedziane z taką śmiałością i zawierały w sobie tyle prawdopodobieństwa, że nagle Smith zwątpił w niewinność księcia.

- Biada temu krajowi - rzekł spoglądając ze smutkiem na Rothsaya. - Czyż to możliwe, miłościwy książę, że nastawałeś na życie niewinnego człowieka, który bronił czci bezbronnej niewiasty?

Wolałbym być zginąć w tych szrankach niż usłyszeć taką wieść o potomku Bruce'a!

- Zacny z ciebie człowiek, płatnerzu - odparł książę. - Ale nie mogę oczekiwać po tobie, że mądrzej będziesz sądził od innych. Na szubienicę tego skazańca! Niechaj zawisnie i do ostatniego tchnienia spotwarza moje imię!

Z tymi słowy książę opuścił szranki pogardliwie obojętny na posępne spojrzenia rzucane mu przez tłum, który rozstał się przed nim niechętnie, szedł nie okazując ani zdziwienia, ani gniewu, gdy z piersi zebranych wyrwał się głuchy, groźny pomruk podobny do jęku. Za księciem podążała garstka dworzan z najbliższego otoczenia, choć na miejsce walki towarzyszył mu liczny orszak składający się z wielu znakomitych osobistości. Nawet gawiedź nie biegła za nieszczęsnym księciem, któremu dotąd zarzucano często lekkomyślność i rozwiązłość, a nad którym zbierały się teraz mroczne chmury najstraszliwszych podejrzeń.

Pogrążony w myślach, szedł wolno do klasztoru Dominikanów; ale zła wieść dotarła na skrzydłach przysłowiowej błyskawicy do komnat jego ojca, zanim się tam stawił. Wszedłszy do pałacu i spytawszy o króla, książę Rothsay usłyszał zdumiony, że król odbywa naradę ze swym bratem, który po odejściu księcia z miejsca walki dosiadł wierzchowca i przybył do pałacu pierwszy. Miał już skorzystać ze swego przywileju i nie meldując się wejść do króla, gdy MacLouis, dowódca straży Brandanesów, dał mu w pełnych szacunku słowach do zrozumienia, że otrzymał oficjalne instrukcje

niedopuszczenia młodego księcia przed oblicze króla.

- Idź przynajmniej, MacLouis, i zawiadom mojego ojca i stryja, że czekam tutaj - rzekł Rothsay. - Jeśli

książę Albany pragnie poczytać sobie za zasługę odgrodenie syna od komnat ojca, ucieszy go zapewne wiadomość, że będę czekał w sąsiedniej sieni wraz ze służbą.

- Gdybyś raczył, mości książe, udać się teraz na swoje komnaty - rzekł z wahaniem w głosie

MacLouis - przysłałbym umyślnego z wiadomością, jak tylko książe Albany wyjdzie od króla. Nie wątpię, że miłościwy pan wezwie wtedy waszą wysokość przed swe oblicze. Bo teraz... teraz wzbroniono mi tam wpuszczać kogokolwiek.

- Rozumiem, MacLouis. Jednakże idź i wykonaj moje polecenie.

Oficer oddalił się i po chwili wrócił z wiadomością, że król niedomaga i wkrótce uda się na spoczynek

do swej komnaty sypialnej, ale że książe Albany wyjdzie za chwilę do księcia Rothsay.

Zanim jednak zjawił się Albany, minęło pół godziny, które książe spędził częściowo na posępnych rozmyślaniach, częściowo na rozmowie z MacLouisem i Brandanesami.

Wreszcie przyszedł Albany, a wraz z nim Lord Wysoki Komisarz, na którego obliczu malował się głęboki smutek i pomieszanie.

- Z żalem zawiadamiam cię, mości książe - rzekł Albany - o decyzji brata mego i miłościwego pana, który sądzi, że dla ratowania honoru królewskiego jest wskazany, abyś na czas pewien przebywał w

odosobnieniu rezydencji Lorda Wysokiego Komisarza, uznając go za swego głównego, jeśli nie jedyne go towarzysza... dopóki nie ucichną i nie pójdą w zapomnienie gorszące wieści, które obiegły dzisiaj miasto.

- Możliwe to, mój lordzie of Errol - spytał książe - że dom twój ma się stać mym więzieniem, a ty moim dozorcą?

- Boże uchowaj, mości książe! - zawołał earl of Errol. - Ale ciąży na mnie smutny obowiązek

wykonania poleceń twego ojca, który przekazał mi waszą miłość na czas pewien pod opiekę.

- Książę krwi... następca i dziedzic tronu szkockiego pod kuratelą Wysokiego Komisarza! Jakież jest powód tej decyzji? Czyż oszczercze słowa skazanego na szubienicę zaprzańca wystarczą, żeby splamić książęcą tarczę?

- Oskarżenia nie zaprzeczone i nie odparte - wtrącił Albany - splamić mogą honor samego monarchy.

- Oskarżenia nie odparte? - wybuchnął Rothsay. - A któż je przeciwko mnie wytoczył? Łotr tak nikczemny, że nie można by dać wiary jego słowom, nawet gdyby w grę wchodziła cześć nie księcia, lecz żebraka! Przyprawdźcie go tutaj - pokażcie mu narzędzie tortur, a zobaczycie jak prędko cofnie oszczerstwa które ośmielił się wypowiedzieć.

- Kat nazbyt dokładnie spełnił swoje zadanie, aby tortury mogły coś wskórać - powiedział Albany. - Bonthron zawisł na stryczku przed godziną.

- O, co za pośpiech, mój książę! - zawołał Rothsay. - Łacno można by pomyśleć, że maczał w tym palce ktoś, komu zależy na pohańbieniu mego imienia!

- Jest to zwyczaj obowiązujący... przeciwnik, pokonany w próbie miecza, prosto z placu boju idzie na

szubienicę. A przecież, mości książę - dodał Albany - gdybyś śmiało i stanowczo zaprzeczył oskarżeniu, uznałbym za rzecz słuszną zachować łotra przy życiu i poddać go dalszym badaniom.

Milczałeś jednak, więc pomyślałem, że najbezpieczniej będzie zdusić obmowę wraz z tchem w piersi oskarżającego.

- Na Matkę Najświętszą, mój książę, za daleko posuwasz swoje zniewagi! Czy ty, mój stryj, możesz posądzić mnie o podżeganie do czynu tak nikczemnego? Czy uwierzyłeś słowom łajdackiego szubienicznika?

- Nie przyszedłem tu, mości książę, żeby szermować z tobą słowami. Gdyby nie to, ja ze swej strony spytałbym cię, czy masz też zamiar wyprzeć się nie mniej haniebnej, choć nie tak krwawej, napaści na dom Gloverów na Curfew Street. Nie spoglądaj na mnie tak gniewnie, bratanku, bo doprawdy

usuniecie się twoje na jakiś krótki okres ze dworu, już choćby w czasie pobytu króla w tym mieście, gdzie tyle stało się złego, jest rzeczą bezwzględnie konieczną.

Rothsay milczał słuchając tych wymówek: a potem spojrzał znacząco na księcia i powiedział:

- Stryju, jesteś dobrym myśliwym. Zręcznie zastawiłeś swoje sidła. Ale mimo to nie złowiłbyś zwierzyny, gdyby jelen z własnej woli nie wszedł w zasadzkę. Szczęść Boże - niech ci się powiedzie twój przebiegły plan. Powiedz memu ojcu, że podporządkuję się jego rozkazom. Mój lordzie - zwrócił

się do Wysokiego Komisarza - w każdej chwili gotów jestem udać się z tobą do twojej rezydencji. Skoro

mam być wzięty pod kuratelę, nie mógłbym sobie życzyć dobrotliwszego i dworniejszego strażnika mojej osoby.

Po tej wymianie zdań książę Rothsay udał się z earlem Errol do jego domostwa; mieszczanie, których spotykali w drodze, na widok księcia przechodzili na drugą stronę ulicy, żeby uniknąć konieczności kłaniania się komuś, kto był teraz w ich oczach okrutnikiem i pozbawionym wszelkich zasad libertynem. Radzi, że opuszczają ulicę, książę i Wysoki Komisarz weszli pod dach domu, choć tutaj obaj czuli się wielce skrępowani sytuacją, jaka się między nimi wytworzyła.

Powróćmy teraz na miejsce niedawnej walki. Gdy możni panowie i szlachta odeszli, tłum podzielił się

na dwie grupy. Mniejsza składała się z członków patrycjatu miejskiego Perth, którzy składali gratulacje zwycięzcy, a także wzajemnie sobie, że ich spór z magnatami zakończył się tak

niewątpliwym tryumfem. Uszczęśliwieni rajcowie zaprosili sir Patricka Charterisa na ucztę, którą postanowili wyprawić z tej okazji na ratuszu. Oczywiście Harry, bohater dnia, otrzymał zaproszenie, a

raczej rozkaz uczestniczenia w biesiadzie. Zmieszał się ogromnie, jak czytelnik odgaduje, sercem bowiem był przy Katarzynie Glover. Ale rada ojca Szymona przeważyla szalę. Ten wiekowy mieszczanin darzył głębokim szacunkiem władzę miejską Nadobnego Grodu; cenił sobie wysoko

honory, które spływały na obywateli z tego źródła, i uważał, że jego przyszły zięć postąpi nierozważnie, jeśli nie przyjmie ich z głęboką wdzięcznością.

- Nie wolno ci, synu, opuszczać tak uroczystej okazji - brzmiała jego rada. - Sam sir Patrick Charteris będzie uczestniczył w biesiadzie, więc nadarzy ci się rzadka sposobność pozyskania go sobie na klienta. Kto wie, czy nie zamówi u ciebie nowej zbroi. A sam słyszałem od starszego rajcy Craigdallie, że rozważa się na ratuszu możliwość uzupełnienia miejskiej zbrojowni. Teraz, kiedy masz założyć rodzinę, nie wolno ci zaniedbywać okazji dobrego zarobku.

- Kiedy ja pracy mam pod dostatkiem, ojczy Szymonie - odparł zmieszany płatnerz. - A wiesz przecież, że Katarzyna czeka i zacznie się pewnie dziwować, że tak długo nie wracam, a kto wie, czy jaki plotkarz znowu nie naopowiada jej niestworzonych historii o minstrelkach i Bóg raczy wiedzieć o czym.

- Tym się nie turbuj - rzekł Glover - tylko uczyni posłusznie, czego żąda od ciebie starszyzna miejska. Nie przeczę, że się ciężko natrudzisz, zanim Katarzyna przebaczy ci, żeś walczył dzisiaj w szrankach, bo ta dziewczyna uważa się w tych sprawach za mądrzejszą od króla i rady królewskiej, od Kościoła i

kanoników, od burmistrza i rajców. Ale już ja to biorę na siebie, że choć może wyłaje cię jutro na przywitaniu, jej gniew rozstąpi się prędko we łzach i uśmiechach, jak poranek kwietniowy, który wstaje zaciemniony burzowymi chmurami. Idź więc, mój synu, a jutro po mszy czekam cię w domu. Acz niechętnie, Smith przyznał jednak słuszność argumentom swego przyszłego teścia, wy dostał się przeto z ciżby i poszedł do domu, by przywdziać odświętne szaty, co uczyniwszy udał się na ratusz. A na ratuszu ogromny stół dębowy ugiął się pod półmiskami wyśmienitego łososia i najwyszukańszych ryb morskich z Dundee, które to przysmaki zastępowały w poście mięsiwo, i pod obfitością dzbanów wina, piwa i miodu. Minstrele miejscy przygrywali biesiadnikom na lutniach, a w przerwie muzyki jeden z nich wyrecytował z wielkim uczuciem długi rymowany opis bitwy pod Blackearn-side, w

której sir William Wallace wraz ze swym słynnym wodzem i przyjacielem, Tomaszem de Longueville,

walczył przeciwko angielskiemu wodzowi imieniem Seward - poemat dobrze znany zebranym, którzy jednak bardziej tolerancyjni od swych potomków, wysłuchali go z takim zainteresowaniem, jakby posiadał dla nich wszystkie uroki nowości; miejscami był nader pochlebny dla przodka rycerza z Kinfauns i członków innych rodów prowincji Perth, więc też zebrani nagrodzili pieśń gorącymi oklaskami, wznosząc jednocześnie toasty za bohaterów, którzy walczyli u boku wielkiego obrońcy Szkocji. Następnie wypito wśród radosnych okrzyków zdrowie Harry'ego Smitha, po czym burmistrz oznajmił wszem wobec, że ojcowie miasta zastanawiają się, jaki zaszczytny przywilej nadać płatnerzowi lub jaką go obdarzyć godnością, by mu dowieść, że Nadobny Gród wysoko ceni sobie jego mężne czyny.

- Nie róbcie tego, czcigodni rajcowie - przemówił Harry w swój szczery i prosty sposób - bo jeszcze ktoś pomyśli, że męstwo jest w Perth cnotą rzadką, skoro nagradza się człowieka, który walczył w obronie praw wdowy i sierot. Pewien jestem, że znalazłoby się w naszym mieście wielu dzielnych obywateli, którzy sprawiliby się dzisiaj równie dobrze jak ja albo nawet lepiej. Bo dalibóg - powinienem był rozłupać temu łotrowi czerep jak glinianą skorupę... i na pewno bym to zrobił, gdyby nie miał on na głowie hełmu, który własnoręcznie zrobiłem w kuźni dla sir Johna Ramorny. Ale jeśli szlachetni rajcowie uważają, że moja służba na coś się miastu zdała, najlepszą dla mnie nagrodą będzie pomoc udzielona z kasy Nadobnego Grodu Magdalenie i jej biednym sierotom.

- Nawet po dopełnieniu tej świętej powinności - odparł sir Patrick Charteris - stać będzie to miasto na spłacenie długu wobec Harry'ego Smitha. Bo w tej sprawie jesteśmy lepszymi sędziami niż dzielny płatnerz, którego zaślepia niewczesna delikatność zwana przez ludzi skromnością, A gdyby miastu nie starczyło na to funduszy, burmistrz wspomógł je własną kiesą. Jego przodek Korsarz dość nagromadził złota.

Dzbany znów zaczęły krążyć, ale tym razem wzniesiono toast, jak to się wtedy zwało, za pocieszenie wdowy, a następnie na cześć zamordowanego Olivera, którego śmierć tak mężnie została pomszczona.

Ogólnie rzecz biorąc, była to biesiada naprawdę wesoła i wszyscy oznajmili zgodnie, że do zupełnego

jej sukcesu brak było tylko samego czapnika, którego gwałtowna śmierć dała asumpt do tego spotkania, a który dostarczał zwykle licznych tematów do żartów. Starszy rajca Craigdallie oznajmił z

poważną miną, że gdyby Oliver mógł znaleźć się na tej sali, z pewnością uważałby się za bohatera dnia i pogromcę własnego mordercy.

Na dźwięk dzwonów wzywających na nieszpory biesiadnicy rozeszli się; niektórzy, ci poważniejsi, pośpieszyli na wieczorne modlitwy do kościoła, gdzie mimo oczu półprzymkniętych i zaczerwienionych twarzy dawali przykład budującej wielkopostnej pobożności. Inni udali się do domów, aby w kręgu rodzinnym wspominać przebieg walki i późniejszej biesiady. Jeszcze inni skierowali zapewne kroki do jednego z wesołych zajazdów, których drzwi mimo postu nie były tak szczelnie zamknięte, jak tego żądał Kościół. Harry wrócił do domu i mile rozgrzany winem i pochwałami swych współobywateli zasnął, aby śnić o niebiańskim szczęściu z Katarzyną Glover.

Wspomnieliśmy, że po zakończeniu walki tłum rozpadł się na dwie grupy. A gdy mniejsza z nich, i znacznie szacowniejsza, odeszła uprowadzając zwycięzcę w radosnym pochodzie, znacznie większa i składająca się z tak zwanej miejskiej gawiedzi została przy ujarzmionym Bonthronie, który miał udać się w drogę zgoła inną i w zgoła innym celu. Bo jakiegokolwiek są nasze poglądy na uroki domu żałoby w porównaniu z urokami radosnej biesiady, łatwo odgadnąć, co przyciągnie liczniejszy tłum, jeśli w grę wchodzi nieszczęście, które nas dotyka, czy też zabawa, w której nie mamy uczestniczyć. Nie dziwota więc, że znacznie większy tłum towarzyszył wózkowi, którym przewieziono skazańca na miejsce straceń.

Wraz z mordercą jechał na wózku braciszek zakonny, któremu Bonthron, pod tajemnicą spowiedzi,

nie zawahał się powtórzyć fałszywych zeznań obciążających księcia Rothsaya winą za śmierć niefortunnego czapnika. To samo oszczerstwo rozsiewał Bonthron między tłumem, zapewniając tych, którzy znajdowali się najbliżej wózka, że idzie na szubienicę, ponieważ zgodził się wykonać wolę następcy tronu. Przez jakiś czas powtarzał te słowa z posępną wytrwałością, jak dziecko recytujące lekcję wyuczoną na pamięć lub jak łgarz, który przez powtarzanie kłamstw chce przekonać słuchaczy o prawdzie swoich słów, choć w duchu sam w nie nie wierzy. Ale gdy podniósł głowę i zobaczył majaczący nad horyzontem ciemny kształt szubienicy wysokiej na czterdzieści stóp, z przypartą drabiną i stryczkiem dyndającym w powietrzu, umilkł nagle i jak to zauważył braciszek zakonny, zaczął dygotać na całym ciele.

- Niechaj ci będzie pociechą, mój synu - rzekł dobrotliwy ojczulek - żeś wyznał prawdę i otrzymał rozgrzeszenie. Twoja skrucha, jeśli szczerą, przyjęta będzie przez Wszechmogącego. A choć byłeś człowiekiem o okrutnym sercu i choć ręce splamiłeś krwią, dzięki modłom Kościoła dusza twoja we właściwym czasie zostanie uwolniona z czyśćca.

Te zapewnienia zwiększyły raczej miast zmniejszyć strach skazańca, który zaczął teraz wątpić, czy projektowany sposób uratowania go od śmierci będzie istotnie skuteczny, a ponadto, czy jego wybawcy zechcą go w ogóle zastosować; dość bowiem dobrze znał swego pana i wiedział, że jest zdolny bez skrupułów poświęcić kogoś, kto w przyszłości może się stać niebezpiecznym świadkiem.

Ale jego los był już przypieczętowany. Powoli zbliżali się do straszego rusztowania, które stało na wysokim brzegu rzeki w odległości około pół mili od murów miejskich; miejsce to zostało wybrane w

taki sposób, żeby ciało wisielca, ów pokarm dla kruków, było widoczne ze wszystkich stron. Tutaj zakonnik oddał Bonthrona w ręce kata, który pomógł skazańcowi wejść na drabinę, a następnie, jak się przynajmniej zdawało, wyprawił go na tamten świat zgodnie z przepisami prawa. Bonthron przez jakiś czas szamotał się na stryczku, niebawem jednak zaprzestał walki o życie i znieruchomiał. Kat pozostał na swym stanowisku około pół godziny, jak gdyby czekając, aż zgaśnie ostatnia iskierka

życia, po czym oznajmił entuzjastom tego rodzaju widowisk, że ponieważ specjalne żelaza służące do trwałego przymocowania ciała do szubienicy nie są gotowe, ceremonia wypatroszenia zwłok i ponownego ich zawieszenia odbędzie się nazajutrz o wschodzie słońca.

Mimo wczesnej pory towarzyszył mistrzowi Smotherwellowi na miejsce straceń spory tłum gapiów, którzy przyszli popatrzeć, jak dopełnia się ostatni akt sprawiedliwości. Ale wielkie było rozczarowanie tych amatorów silnych emocji, gdy zobaczyli, że nocą ciało zniknęło z szubienicy. Niedługo jednak trudzili się nad odgadnięciem przyczyny tego nagłego zniknięcia. Bonthron był w służbie barona posiadającego włości w okręgu Fife i sam pochodził z tamtych stron. Jakże się wydawało naturalnym, że któryś z mieszkańców Fife (barki ich często pływały po rzece) usunął ciało swego ziomka z miejsca pohańbienia. Tłum nie krył bynajmniej wściekłości, że kat nie dokończył roboty poprzedniego wieczoru; i gdyby Smotherwell nie uciekł wraz ze swym pomocnikiem do łodzi i nie przeprowił się na drugi brzeg Tay, kto wie, czy nie ukamienowano by ich obu. Jednakże zdarzenie to było nader zgodne z duchem czasu i nie wzbudziło niczyich podejrzeń. Prawdziwą jego przyczynę wyjaśnimy w następnym rozdziale.

ROZDZIAŁ XXIV

Niech dla psów szubienica, wolność dla ludzi będzie.

SZEKSPIR: Henryk V

Epizody składające się na całość opowieści w rodzaju niniejszej powinny tak dokładnie do siebie przystawać, jak zęby i wycięcia w kluczu przystają do zębów i wycięć w zamku. Czytelnik nawet najłaskawszy nie zadowolony się zwykłym stwierdzeniem, że taki to a taki fakt się zdarzył, lecz pragnie też poznać ukryty mechanizm wypadków.

Byłoby więc nieuprzejmie z mojej strony, gdybym nie wyjaśnił czytelnikowi, czyja ręka zdjęła mordercę Bonthrona z szubienicy, który to fakt pewni obywatele Perth przypisywali działaniu samego szatana. Inni tłumaczyli to prościej, tym mianowicie, że ziomkowie Bonthrona nieradzi widzieli go

wiszącego nad rzeką i usunęli ciało, gdyż ich zdaniem był to widok przynoszący ujme całej ich prowincji.

Około północy, gdy mieszkańcy Perth pogrążeni byli w głębokim śnie, trzech mężczyźni otuleni w ciemne opończe i niosący zaciemnioną latarnię zeszli w dół alejkami ogrodów rozpościerających się za domem sir Johna Ramorny aż na brzeg rzeki, gdzie w przystani czekała na nich zakotwiczona niewielka łódź. Wiatr huczał smętnie i zawodził w bezlistnych krzakach, a blady księżyc płynął po niebie pośród dryfujących chmur, które niosły zapowiedź deszczu. Trzej mężczyźni wsiedli do łodzi cicho i ostrożnie, pilnując się, żeby ich nikt nie wyszedził. Jeden z nich był wysoki i szeroki w barach, drugi niski i przygarbiony, trzeci zaś, znacznie młodszy od swych towarzyszy, był wzrostu średniego, ruchliwy i zręcznej budowy. Tyle pozwalał dojrzeć mrok nocy. Mężczyźni usiedli w łodzi i odcumowali ją od słupka przystani.

- Będziemy płynęli z prądem, dopóki nie minimy mostu, gdzie mieszczanie wystawili strażę... bo wiecie, że w Perth strzała trafia zwykle do celu - rzekł najmłodszy z mężczyzn, który wzięwszy na siebie obowiązki sternika odepchnął łódź od pomostu; dwaj pozostali chwycili za wiosła i bardzo ostrożnie i cicho wyprowadzili łódź na środek rzeki. Następnie odłożyli wiosła i siedząc bez ruchu, zdali się na sternika, który prowadził łódź po głównym nurcie rzeki.

W zupełnej ciszy przepłynęli nie zauważeni popod wspaniałymi gotyckimi łukami mostu wybudowanego w roku 1329 ze szczodrej skatupy Roberta Bruce'a i zniesionego przez wody powodzi w roku 1621. A chociaż słyszeli głosy obywateli, którzy od wybuchu ostatnich zamieszek co noc wystawiali strażę w tym ważnym węzłowym punkcie, nikt nie próbował ich zatrzymać; gdy oddalili się poza zasięg głosu, zaczęli znów wiosłować, choć nader ostrożnie, i szeptem prowadzili rozmowę.

- Od naszego ostatniego spotkania, przyjacielu wiosłarzu - zwrócił się jeden mężczyzna do drugiego - znalazłeś sobie nowe rzemiosło. Kiedyśmy się rozstawali, kurowałeś z niemocy chorego rycerza, a

teraz wybierasz się kraść umarlaka z szubienicy.

- Nie umarlaka, waszmość Buncle, tylko człowieka żywego, za pozwoleniem waszej giermkowskiej mości. Chyba że nie udał się mój fortel.

- Ano słyszałem coś o tym, mości aptekarzu. Ale wybacz - jeśli nie powiesz mi, na czym ten fortel polega, nie uwierzę w jego skuteczność.

- Och, prościutkie urządzenie, które nie uczyni zapewne wrażenia na umyśle tak tęgim jak umysł waszmości. Dalibóg, tak to jest, a nie inaczej. Otóż człowiek powieszony umiera na skutek apopleksji... to znaczy krew zatrzymana w ściśniętych żyłach nie może powrócić do serca, tylko z wielką siłą uderza do mózgu, w wyniku czego wisielec umiera. Ponadto, co jest przyczyną dodatkową,

zaciśnięcie się sznura wokół szyi sprawia, że płuca nie otrzymują niezbędnego dla życia zapasu powietrza.

- To jest proste i zrozumiałe. Ale w jaki sposób, mości medyku, można zapobiec takiemu uderzeniu krwi do mózgu? - spytał trzeci mężczyzna. Był to Eviot, młody paź sir Johna Ramorny.

- Och, nic łatwiejszego - odparł Dwining. - Trzeba powiesić skazańca w taki sposób, żeby nie zacisnęły się tętnice, a wtedy krew nie uderzy do mózgu i nie nastąpi apopleksja. Co więcej, jeśli nie będzie ucisku krtani, płuca otrzymają potrzebny im zapas powietrza - obojętnie, czy człowiek wisi między niebem a ziemią, czy stoi na twardym gruncie.

- To wszystko rozumiem - rzekł Eviot. - Ale w jaki sposób można pogodzić te wszystkie zastrzeżenia z wykonaniem wyroku na skazańca, tego mój tępy umysł nie jest zdolny pojąć.

- Ach, cny młodzieńcze! Wśród szczęku oreża zaprzepaściłeś walory znakomitego umysłu! Gdybyś studiował pod moim kierunkiem, rozumiałbyś rzeczy znacznie trudniejsze. Oto mój fortel: przygotowujemy specjalne pasy czy też sznury z tego samego materiału, z którego zrobione są popręgi koni waszych miłości. Następnie wsuwamy obie stopy skazańca w pętle i przeprowadzamy pasy w górę, wzdłuż obu nóg, aż do czegoś w rodzaju opasek, z którymi sznury są połączone. Opaski te

przymocujemy do rozmaitych rzemieni biegnących w górę piersi i pleców, przez to ciężar ciała rozkłada się równomiernie. Istnieją też rozmaite inne sposoby ulżenia nieszczęsnemu wisielcowi. Oto najważniejszy z nich. Rzemienie czy też sznury połączone są z szerokim stalowym kołnierzem, wygiętym do góry i zaopatrzonym w haki, aby tym lepiej zabezpieczyć i utrzymać na miejscu stryczek, który zaprzyjaźniony kat zakłada na tę część urządzenia miast na nagą szyję pacjenta. W ten sposób, gdy skazaniec zostaje zepchnięty z drabiny, stryczek nie zaciska się wokół jego szyi, tylko wokół stalowego krążka podtrzymującego pętle, w których umieszczone są stopy domniemanego wisielca, i który w istocie dźwiga w powietrzu jego ciężar. I w ten sposób, ponieważ ani arterie, ani tchawica nie są ściśnięte, człowiek ów oddycha tak swobodnie, krew zaś jego krąży tak równomiernie,

pomijając przestrach i nowość sytuacji, jak krew i oddech waszych mężnych mości, gdy stajecie w strzemiach i oglądacie pole bitwy.

- Przebóg, dziwaczne to i niezwykle urządzenie - rzekł Buncie.

- Prawda? - ciągnął cyrulik. - I warte poznania przez obiecujących młodzieńców jak waszmoście, boć

przecie nie wiadomo, na jakie wyżyny wznieść się jeszcze mogą pupilkowie sir Johna Ramorny. A gdyby to były wyżyny, z których zejść można tylko przy pomocy sznura, moje urządzenie może się okazać wygodniejsze niż zwykle stosowany sposób. Tylko pamiętajcie... potrzebny jest do tego kaftan z wysokim kołnierzem, pod którym zniknie krążek stalowy, a przede wszystkim - bonus socius* w rodzaju Smotherwella, który założy odpowiednio stryczek.

- Nędzny handlarzu trucizny! - wybuchnął Eviot. - Tacy, jak my, umierają na polu bitwy!

- A ja zapamiętam sobie tę naukę - wtrącił Buncle - bo kto wie, czy mi się nie przyda w jakichś ciężkich tarapatach. Swoją drogą straszną noc spędził ten krwawy oprawca Bonthron! Dynda w powietrzu, tańcząc do muzyki własnych kajdanów, a wiatr huśta nim na wszystkie strony.

- Zostawienie go na szubienicy byłoby miłosiernym czynem - rzekł Eviot - bo zejście zachęci go tylko

do nowych morderstw. Ten łotr zna tylko dwie przyjemności - pijaństwo i nurzanie się we krwi.

- Sir John Ramorny miałby może na to ochotę - odparł Dwining. - Ale wpierw trzeba by wyciąć łotrowi język, bo inaczej rozpowiadałby dziwne opowiadki z tej swojej podniebnej wysokości. Poza tym istnieją inne jeszcze racje, które wszelako nic waszmościów nie powinny obchodzić. Ale rzeknij mi, przyjacielu Buncle, jakie wieści przywozisz od krewkiego Douglasa?

Na to pytanie mogliby odpowiedzieć jeno ci, którzy wiedzą - odparł Buncle. - Ja jestem nierozgarnięty

kier, który wozi pisma, ale nie zna ich treści. Tym może bezpieczniej dla mnie. Zawiozłem Douglasowi listy od księcia Albany i sir Johna Ramorny, a jak je odpieczętowałem, twarz miał mroczniejszą od burzowego nieba. Przywiozłem im obu odpowiedzi od earla, a jak je czytali, uśmiechali się niczym słońko na wiosennym niebie. Nie wiem, co to znaczy. Zajrzyj do swoich ksiąg, medyku, może wyczytasz w nich jakoweś objaśnienie.

- Sądzę, że nie musiałbym łamać sobie zbyt głowę nad tą zagadką - odparł Dwining. - Ale oto widzę w blasku księżyca naszego żywego umarlaka. Byłaby to niezwykła doprawdy przygoda, gdyby tak zawołał ze szczytu szubienicy do jakiegoś przypadkowego przechodnia. Sza... zdaje mi się, że słyszę jego jęki pośród szumu wiatru i brzęku łańcuchów. Tak... przycumujcie ostrożnie łódź... wyładujcie skrzynkę z moimi przyborami... przydałoby nam się małe ognisko, ale blask ognia mógłby zwrócić na nas uwagę. Chodźcie, dzielni moi mężowie, stąpajcie ostrożnie, bo zdążamy do stóp szubienicy. Poświećcie latarnią... ufam, że drabina została na miejscu.

Trzech wesołków, trzech wesołków,

Jacyż z nas komicy,

Ty na lądzie, ja na morza,

Jack na szubienicy.

Gdy zbliżyli się do szubienicy, usłyszeli wyraźnie ciche pojękiwania. Dwining zakasłał kilka razy, ale

nie otrzymał na ten umówiony sygnał odpowiedzi.

- Pośpieszmy się - rzekł do swych towarzyszy - bo skoro nasz przyjaciel nie odpowiada, znajduje się snadź in extremis*. Do roboty! Ja wejść na drabinę pierwszy i odetnę sznur. Wy postępujcie tuż za mną i przytrzymajcie ciało, żeby nie spadło, kiedy rozluźnią się węzły. Chwyćcie mocno, do czego posłużą wam paski i rzemienie. Pamiętajcie, że chociaż udaje on dzisiejszej nocy puszczyka, nie ma jednak skrzydeł, a wypadnięcie ze stryczka może być równie niebezpieczne jak zawieszenie na stryczku.

Szydząc i drwiąc, Dwining wspiął się na drabinę, a gdy jego pomocnicy mieli już ciało w rękach, odciął stryczek i pomógł im zanieść na dół martwy zda się kształt.

Gdy po złożeniu ciała Bonthrona na ziemi mężczyźni przekonali się, że daje on jeszcze słabe oznaki życia, przenieśli go nad rzekę i tam, pod osłoną wysokiego brzegu, Dwining sięgnął po swoje lekarskie przybory i zabrał się do cucenia zemdlonego.

W tym celu uwolnił najpierw niedoszłego wisielca z łańcuchów, których kat rozmyślnie nie zakuł, a potem zdjął z niego skomplikowaną sieć pasów i rzemieni.

Uplęnęło sporo czasu, zanim wysiłki Dwininga uwieńczone zostały powodzeniem, bo choć mechanizm skonstruowany był niezwykle zręcznie, pasy podtrzymujące wisielca tak bardzo się naprężyły, że nastąpiło częściowe zahamowanie obiegu krwi w żyłach.

Jednakże zręczność chirurga zwyciężyła wszystkie przeszkody: kichnąwszy bowiem i przeciągnąwszy się, Bonthron zaczął dawać oznaki życia, to jest pochwycił rękę swego wybawiciela, który spryskiwał

mu piersi i gardło spirytusem, i przytknąwszy butelkę, którą ta dłoń trzymała, do ust, wypił potężny haust.

- To jest alkohol czysty, podwójnie destylowany - powiedział medyk ze zdumieniem - i każdemu innemu człowiekowi spaliłby gardło i żołądek. Ale ten niezwykły potwór tak jest niepodobny do istoty

ludzkiej, że kto wie, czy mu ta dawka nie przywróci zmysłów.

Bonthron zdawał się potwierdzać to przypuszczenie. Silne konwulsje wstrząsnęły jego ciałem, potem nagle usiadł i rozejrzał się dokoła wzrokiem na pół przytomnym.

- Wina... wina... - zabrzmiały jego pierwsze słowa. Dwining przytknął mu do ust kubek zaprawionego lekami wina z wodą. Bonthron odmówił wypicia, mamrocząc obraźliwy epitet:

- Kuchenne pomyje... - i ponownie zażądał wina.

- Wypij, w imię wszystkich diabłów piekielnych - zirytował się cyrulik - bo snadź tylko one wyznają się na twojej cielesnej konstytucji.

Haust tak ogromny, że każdego innego człowieka pozbawiłby zmysłów, ocucił Bonthrona. Mimo to łotr nie wiedział, gdzie jest i co się z nim dzieje. W swój prostacki, posępny sposób spytał, dlaczego go przyniesiono nad rzekę o tej porze.

- Nowy szatański figiel księcia, któremu zachciało się jeszcze raz skąpać mnie w wodzie! - wybuchnął. Piekło i szatani, ja mu jeszcze...

- Milcz - przerwał mu Eviot - i dziękuj Bogu, jeśli potrafisz, że twój zezwłok nie stał się pokarmem dla wron i że twoja dusza nie zawędrowała w miejsce, gdzie wody jest zbyt mało, żeby w niej kogokolwiek zanurzyć.

- Coś mi świta w głowie... - wymamrotał Bonthron; i przytknąwszy flaszkę do ust, nie odejmował jej dopóty, dopóki nie wysączył ostatniej kropli; a gdy odłożył pustą na ziemię, opuścił głowę i zamyślił się, jak gdyby usiłując wydobyć z pamięci niejasne wspomnienia zdarzeń.

- Nie mamy czasu na takie medytacje - rzekł Dwining. - Jak się prześpi, łączniej sobie wszystko przypomni. Wstawaj, waszmość Bonthron! Dość długo fruwałeś w powietrzu... może uznasz teraz, że wygodniej podróżować wodą. Hej, pomóżcie mi, waszmościowie... Sam nie zdołam podnieść tej kupy mięsa, podobnie jak nie podźwignąłbym zarzniętego wołu.

- Wstańże, Bonthron - rozkazał Eviot. - Skorośmy cię już ściągnęli na ziemię, będzie ci chyba

przyjemnie po niej stąpać.

- Kiedy nie mogę - odparł Bonthron. - Krew pali mi żyły, jakby była zmieszana ze smołą, a kolana żadną miarą nie chcą unieść ciężaru. Co to wszystko znaczy? To jakieś twoje niecne sztuczki, ty trucicielu!

- A jakże - odparł Dwining. - Moje sztuczki, ale będziesz ty mi jeszcze za nie dziękował, kiedy dowiesz się o nich czegoś bliższego. Tymczasem połóżysz się na dnie łodzi i przykryjesz opończę. - Pomogli mu wejść do łodzi i ułożyli go możliwie najwygodniej.

Łajdak skwitował ich starania kilku pomrukami przypominającymi pomruki niedźwiedzia, który otrzymał szczególnie smakowity kąsek.

- Teraz - zwrócił się medyk do Buncle'a - wasza giermkowska mość przejmuje opiekę nad Bonthronem. Zawieziesz swój żywy ładunek rzeką do Newburgha, a tam zrobisz z nim, co ci przykazano. Oto jego łańcuchy i sznury, widome znaki niewoli i uwolnienia. Zwiąż je razem i wrzuć do wody na najgłębszej toni, bo gdyby je przy tobie znaleziono, stałyby się tylko niemiłym świadectwem przeciwko nam wszystkim. Ten lekki wietrzyk z zachodu pozwoli ci rozwinąć żagiel, jak tylko niebo trochę się rozjaśni, bo pewnie zbrzydło ci już wiosłowanie. Imć paż Eviot musi wrócić

ze mną do Perth piechotą, w tym bowiem miejscu niestety rozchodzą się nasze drogi. Weź latarnię, Buncle, tobie bardziej się ona przyda.

W drodze powrotnej do miasta Eviot wyraził przekonanie, że wstrząs, jakiego doznał Bonthron pod wpływem strachu, pozostawił trwałe ślady i osłabił władze umysłowe niedoszłego wisielca, zwłaszcza zaś jego pamięć.

- Bynajmniej, za pozwoleniem waszej paziowskiej mości — odparł Dwining. - Jakkolwiek ograniczony, umysł Bonthrona ma jednak solidne podstawy... będzie się tylko chwiał trochę, jak puszczony w ruch wahadło, ale po jakimś czasie wróci do swej prawidłowej pozycji. Ze wszystkich

władz umysłowych nasza pamięć najłatwiej przestaje działać. Pijaństwo lub głęboki sen jednak ją niszczą... a przecież wraca, gdy pijak otrzeźwieje lub gdy zbudzimy osobę uśpioną. Przestach wywołuje niekiedy podobne skutki. Znałem w Paryżu przestępcę skazanego na śmierć przez powieszenie. Gdy wykonywano na nim wyrok, nie okazywał szczególnej bojaźni... ot, zachowywał się tak, jak zwykle zachowują się ludzie w podobnych okolicznościach. Przypadek uczynił dla niego to, co zręczny fortel uczynił dla naszego miłego przyjaciela, z którym rozstaliśmy się przed chwilą. Odcięto go od stryczka i wydano w ręce przyjaciół, zanim życie całkiem w nim zgasło, ja zaś miałem szczęście przywrócić go do przytomności. Ale choć odzyskał pełnię władz umysłowych, z procesu wyroku pozostało mu zaledwie mgliste wspomnienie. Nie pamiętał, że rankiem przed... he, he, he — egzekucją przyznał się do winy. Nie pamiętał też, jak go wywożono z więzienia... jak go wieziono na Greve*, gdzie wykonany miał być wyrok... nie pamiętał pobożnych przemówień... he, he, he... ani drogi na szubienicę, ani ostatniego fatalnego skoku. Ale oto dotarliśmy do miejsca, w którym musimy się rozstać, bo lepiej, żeby nas strażę nie widziały razem. Przezorniej też postąpimy wchodząc do miasta przez dwie różne bramy. Moje rzemiosło dostatecznie tłumaczy tego rodzaju nocne wędrówki. Wasza paziowska mość znajdzie dla siebie takie usprawiedliwienie, jakie wyda jej się najstosowniejsze.

- Jeżeli mnie ktokolwiek zaczepi, moja wola będzie wystarczającym usprawiedliwieniem - rzekł wyniośle młodzieniec. - Ale postaram się uniknąć niepotrzebnych spotkań. Księżyc za chmurami, a na drodze ciemno, choć oko wykol.

- Och, tym niech się wasza paziowska mość nie przejmuje – szepnął Dwining. - Niezadługo będziemy stąpali po ścieżkach znacznie mroczniejszych.

Nie pytając o znaczenie tych złowróżbnych słów, czy też w dumie swojej i zuchwalstwie nie racząc wysłuchać ich do końca, paż Ramorny'ego rozstał się ze swym pomysłowym i niebezpiecznym towarzyszem, po czym każdy z nich skierował kroki w inną stronę.

Miłość prawdziwa nigdy nie przebiega gładko.

Szekspir

Złe przeczucia dręczące naszego płatnerza bynajmniej go nie zawiodły. Gdy po zakończeniu walki Szymon Glover pożegnał przyszłego zięcia i wrócił do domu, przekonał się (co było zgodne z jego przewidywaniem), że Katarzyna gniewa się na swego wielbiciela. Ale chociaż spostrzegł, że jest oziębła, powściągliwa, opanowana i przysłuchuje się jego barwnemu opisowi walki na Dzielnińcu Cechu Skórników z rezerwą zdradzającą pogardę, postanowił nie zwracać uwagi na tę zmianę w zachowaniu dziewczyny i mówił o jej małżeństwie z Harrym jako o rzeczy pewnej i postanowionej. Ale gdy w końcu Katarzyna zaczęła napomykać, jak to dawniej czyniła, że jej przywiązanie do Harry'ego nie przekracza granic przyjaźni... że jest zdecydowana nigdy nie wychodzić za mąż... że rozegrana w szrankach próba miecza była urągówiskiem woli bożej i ludzkich praw, Glover wpadł w złość, czemu trudno się doprawdy dziwić.

- Nie potrafię czytać twoich myśli, dziewczyno. Ani nie potrafię odgadnąć, jakie grzeszne majaki każą

ci całować wielbiciela, przyjmować jego pocałunki, biec do jego domu na wieść, że zginął, i rzucać mu się w ramiona, kiedy ci sam otwiera drzwi. Wszystko to uchodzi dziewczynie, która jest gotowa słuchać woli rodzicielskiej w małżeństwie sankcjonowanym przez ojca. Ale takie objawy zażyłości w

stosunku do młodzieńca, którego dziewczyna nie darzy szacunkiem i za którego nie zamierza wyjść za mąż, są co najmniej niewłaściwe i nie przystoją niewieście. Byłaś już bardziej szczodra w obdarzeniu

Harry'ego Smitha swymi łaskami, niż twoja matka - Panie świeć nad jej duszą - była w stosunku do mnie za naszych czasów narzeczeńskich. Ostrzegam cię, Katarzyno, że nie pozwolę na takie igranie z miłością uczciwego człowieka. Udzieliłem zgody na to małżeństwo i teraz żądam, żeby się ceremonia

zaślubin odbyła w najbliższej przyszłości. Żądam też, żebyś potraktowała jutro Harry'ego jako człowieka, którego żoną niebawem zostaniesz.

- Władza silniejsza od twojej, ojczyste, powiada mi inaczej – odparła Katarzyna.

- Biorę to ryzyko na siebie. Moja władza jest władzą prawną, władzą ojca nad dzieckiem... i to nad

dzieckiem błądzącym - oznajmił Glover. - Bóg i ludzie ją sankcjonują.

- Niebios, ratujcie nas! - wybuchnęła Katarzyna. - Bo jeśli zatniesz się, ojczyste, w swym uporze, wszyscy będziemy zgubieni.

- Nie możemy liczyć na ratunek niebios - rzekł Glover z mocą - kiedy sami postępujemy nierozważnie. Jestem dostatecznie wykształcony w sprawach religii, żeby o tym wiedzieć. A że twoje bezpodstawne sprzeciwianie się mojej woli jest grzeszne, powie ci o tym każdy ksiądz. Co więcej, wyrażałaś się pogardliwie o uświęconej przez Kościół próbie miecza, która jest sądem bożym nad ludźmi. Uważaj, dziewczyno! Święty Kościół obudził się ze snu, by strzec swej trzody i niszczyć herezję przy pomocy ognia i oręża! Ostrzegam cię, córko.

Katarzyna stłumiła okrzyk cisnący jej się na wargi. I opanowawszy z trudem wzburzenie, przyrzekła ojcu, że jeśli oszczędzi jej dalszych dyskusji w tej materii i zechce poczekać do jutra, wyjawi mu szczerze swe poglądy.

Szymon Glover musiał zadowolić się tą odpowiedzią, chociaż pragnął jak najspieszniej usłyszeć wyjaśnienie. Z pewnością nie płochość i niewieścia zmienność skłaniały jego córkę do tak jawnej niekonsekwencji wobec człowieka, którego on jej wybrał na męża i który - jak zdawało się na to wskazywać ostatnio postępowanie dziewczyny - był też człowiekiem przez nią wybranym. Glover żadną miarą nie mógł zrozumieć owych sił zewnętrznych - sił tak potężnych, że zdołały w ciągu dwudziestu czterech godzin zmienić wszystkie jej postanowienia.

„Ale ja będę równie uparty jak ona - rzekł sobie w myślach Glover - i albo dziewczyna poślubi bez dalszej zwłoki Harry'ego, albo zdoła mnie przekonać, że tego czynić nie powinna”.

Wieczorem nie wracali już do tej sprawy. Ale nazajutrz wczesnym rankiem, tuż po wschodzie słońca, Katarzyna uklękła przy łóżku, na którym spoczywał jej rodzic wciąż uspiiony w śnie. Serce łomotało jej tak gwałtownie, jak gdyby miało za chwilę pęknąć, a gęste łyzy rosiły twarz starego Szymona.

Zacny starzec obudził się, otworzył oczy i zrobiwszy znak krzyża na czole dziewczyny, serdecznie ją ucałował.

- Wszystko rozumiem, dziecino - rzekł Szymon. - Przyszłaś wypowiadać się przede mną i - ufam - pragniesz dzięki szczerości uniknąć srogiej kary.

Katarzyna milczała przez chwilę.

- Nie muszę cię chyba pytać, ojcze - odezwała się w końcu - czy pamiętasz kartuskiego mnicha. Ojca Klemensa, i jego nauki, których słuchałeś tak często, iż wiesz na pewno, że ludzie nazwali cię jego konwertytą*... podobnie jak mnie, do czego mieli więcej słusznych racji.

- Jestem świadom zarówno jednego, jak drugiego - odparł Szymon unosząc się na łóżku i podpierając łokciem. - Ale niech nikt nie próbuje twierdzić oszczerczo, że przytakiwałem jakimś jego heretyckim poglądom, choć przyznaję, że rad słuchałem, jak mówi o zepsuciu Kościoła, o złych rządach panów i strasznej ciemnocie pospółstwa, bo dowodziło to, jak sądziłem, że jedyne cnoty w naszym narodzie, jedyną siłę i poszanowanie szlacheckich przywilejów znaleźć można pośród mieszczan, co mi się wydawało doktryną miłą i przynoszącą chlubę miastu. A jeśli głosił inne, nieprawowierne doktryny, czemu jego przełożeni w zakonie Kartuzów zezwalali na to? Jeżeli pasterze puszczają wilka w owczej

skórze pośród stado, niech nie mają pretensji do stada, że je wilk szarpie kłami.

- Tolerowali nauki ojca Klemensa... ach, nie, zachęcali go do nich - odparła dziewczyna - póki przedmiotem jego nagany były przywary i wady osób świeckich, krwawe spory magnatów, uciemiężenie najbiedniejszych. I radowały ich tłumy wiernych, którzy przynęceni naukami głoszonymi w kościele zakonu Kartuzów porzucali inne kościoły. Ale obłudnicy, bo za takich ich teraz uważam, przyłączyli się do reszty zgromadzeń i razem z nimi zaczęli rzucać gromy na ojca

Klemensa, gdy zganiwszy występki państwa zaczął ujawniać próżną dumę, ciemnotę i zamięłowanie do

zbytku samego duchowieństwa — jego żądze władzy, uzurpatorskie roszczenia do ludzkich sumień i zachłanność w gromadzeniu dóbr doczesnych.

- Na miłość Boga, Katarzyno - wybuchnął jej ojciec - czy chcesz, żeby nas słyszeli sąsiedzi?

Podnosisz głos, mówisz z goryczą, w oczach masz ogień. Przez taki to zapał w sprawach, które dotyczą nie tylko ciebie, ludzie zjadliwi gotowi przydać ci ohydne i niebezpieczne miano heretyczki!

- Wiesz, ojcze, że mówię to jedynie, co jest najczystsza prawdą - odparła Katarzyna - i czemu ty sam nieraz przytakiwałeś.

- Na mą igłę i koźłące skóry - nie! - odparł prędko Glover. - Chciałabyś, żebym przytakiwał czemuś, za co mogę zapłacić gardłem i majątkiem? Nie wiesz, dziewczyno, że powołano specjalną komisję, której jedynym zadaniem jest wyłapywanie i sądzenie heretyków? I że heretykom przypisuje się winę ostatnich zamieszek i nieszczęść? Dlatego, córko, im mniej padnie słów na ten temat, tym lepiej.

Słowo w niewoli, choć swobodna myśl —

Więc lepiej wstrzymaj swój język dziś.

- Ta rada przychodzi za późno, ojcze - rzekła Katarzyna osuwając się na krzesło u wezglowia ojca. - Słowa takie zostały wypowiedziane i były słyszane przez wielu. Mówi się w mieście, że Szymon Glover, obywatel Perth wyrażał się uwłaczająco o doktrynach Kościoła...

- Klnę się na mą igłę i nici - przerwał jej Szymon - że to wierutne kłamstwo! Nie byłem taki głupi, żeby mówić o czymś, czego nie rozumiem.

- ...i spotwarzał duchowieństwo tak świeckie, jak zakonne - dodała Katarzyna.

- Bądź pewna, że prawdy nie będę się wypierał - rzekł Glover. - Mogło się zdarzyć, że rzuciłem tu i tam jakieś słówko... nad dzbanem piwa czy przy garncu wina, ale zawsze tylko w pewnej i znajomej kompanii. Nie należę do tych, co pytlując językiem, narażają się na śmiertelne niebezpieczeństwo.

- Tak ci się tylko zdaje, kochany ojcze. Ale szpiegowano cię, zapamiętano każde twoje słowo,

zniekształcono sens najniewinniejszych zdań, a teraz mówi się o tobie, że jesteś zagorzałym antagonistą Kościoła i duchowieństwa i żeś ostro krytykował Kościół w rozmowach z rozpustnikami i bluźniercami w rodzaju zmarłego Olivera Proudfoote'a, Harry Smitha i innych, w których to dysputach wychwalaliście doktryny ojca Klemensa. A trzeba ci wiedzieć, drogi ojcze, że ojciec Klemens oskarżony jest o herezję siódmego stopnia, w związku z czym poszukują go teraz, żeby odbyć nad nim sąd i skazać świątobliwego starca na śmierć. Ale to - dodała Katarzyna klękając i spoglądając w niebo

wzrokiem jednej z owych pięknych świętych, którymi katolicyzm wzbogacił sztukę kościelną - im się nie uda. Ojciec Klemens uciekł z siodeł, które zastawili nań jego prześladowcy, a ja mu w tym, Bogu niech będą dzięki, pomogłam.

- Ty mu dopomogłaś... czyś ty zmysły postradała, dziewczyno? - wybuchnął Glover.

- Nie myślę przeczyć temu, czym się chlubię - odparła Katarzyna. - Ja wezwałam Conachara, który przybył z oddziałem Pogórzeń i uprowadził starca daleko w góry.

- Och, moja popędliwa... moja nieszczęsna dziecino! - zawołał Glover. - Odważyłaś się dopomóc w ucieczce komuś, na kim ciąży zarzut herezji, i sprowadziłaś uzbrojonych Pogórzeń, by przeszkodzili władzom wymierzyć sprawiedliwość w granicach miasta? Biada ci! Winna jesteś wykroczeniu przeciwko prawom Kościoła i królestwa. I biada nam wszystkim, jeżeli ktoś się o tym dowie!

- Już się dowiedziano, ojcze - powiedziała Katarzyna mocnym głosem. - Wiedzą o tym nawet ci, którzy będą najgorliwszymi mścicielami mego uczynku.

- To na pewno są jakieś bezpodstawne pogłoski, Katarzyno... albo przebiegły fortel tych podstępnych mnichów i zakonnic. I jak pogodzić ową hiobową wieść z twoją ochoczą zgodą na poślubienie Harry'ego?

- Ach, najdroższy ojcze, przypomnij sobie moją rozpacz na wieść o śmierci Harry'ego i potem radosne

zdumienie, gdy go zastała przy życiu; i nie dziw się, że pozwoliłam sobie powiedzieć więcej, niż

mi

to nakazywał rozsądek. Ale cóż... nie znałam jeszcze wtedy najgorszego i mniemałam, że

niebezpieczeństwo jest wyolbrzymione. Jakże żaloszny był mój powrót do rzeczywistości, gdy przyszła

tu do mnie wczoraj sama przeorysza, a wraz z nią dominikanin. Okazali mi mandat do prowadzenia śledztwa i ukarania herezji, opatrzony pieczęcią królewską... i okazali mi nazwisko twoje i moje na liście osób podejrzanych. A potem przeorysza ze łzami, ze szczerymi łzami błagała mnie, bym dla uniknięcia strasznego losu wstąpiła natychmiast do klasztoru. A mnich przysięgał, ze łzami w oczach, że jeśli to zrobię, ciebie zostawią w spokoju.

- Niech piekło pochłonie tę parę z ich krokodylimi łzami! - wybuchnął stary Glover.

- Niestety, ojcze, nie na wiele zdadzą się nam teraz skargi i wybuchy gniewu. Ale rozumiesz chyba, że

mój niepokój nie był bezpodstawny.

- Niepokój! Toż to, dziecino, jest nasza ostateczna zguba! Jak mogłaś tak nierozważnie rzucić się w zastawione sidła?

- Posłuchaj, ojcze - rzekło Piękne Dziewczę z Perth. - Istnieje jedna droga ratunku... ta, którą ci tak często proponowałam i na którą mimo próśb nie chciałeś mi udzielić przyzwolenia.

- Rozumiem... klasztor - rzekł Glover. - Ale która przełożona czy przeorysza odważy się ...

- Zaraz ci wszystko wyjaśnię, ojcze, a jednocześnie zrozumiesz okoliczności, które sprawiły, że wydawałam się chwiejna i niezdecydowana... tak bardzo, że ściągnęłam na siebie gniew twój i innych

osób. Brat Franciszek, którego na twoje polecenie wybrałam sobie w klasztorze Dominikanów na spowiednika...

- To prawda - przerwał Glover. - Tak ci poradziłem, by uciszyć pogłoski, że jedynym rządcą twego sumienia jest ojciec Klemens.

- Otóż, drogi ojcze, ów brat Franciszek przy różnych okazjach nakłaniał mnie, żebym wypowiadała

się

w takich sprawach, w jakich - według jego mniemania - mogłam być głosicielką idei kartuskiego mnicha. Niech mi Bóg przebaczy tę ślepotę! Wpadłam w zastawione sidła. Nie kryłam się z moimi poglądami, a ponieważ on przeczył mi łagodnie, jak ktoś, kto da się niebawem przekonać, broniłam gorąco tego, w co całym sercem wierzyłam. Mój spowiednik krył przede mną swoje prawdziwe oblicze, dopóki nie usłyszał ode mnie wszystkiego, co miałam mu do powiedzenia. Dopiero wtedy zaczął mi grozić karą na ziemi i wiecznym potępieniem. Gdyby jego pogrożki skierowane były przeciwko mnie samej, nie ugięłabym się, ojczyste, bo zdołałabym chyba znieść ich okrucieństwo na tym świecie, a w ich moc w przyszłym życiu nie wierzę.

- Na miłość boską, dziewczyno! - rzekł Glover, który odchodził niemal od zmysłów, gdyż przy każdym nowym słowie uświadamiał sobie wyraźniej niebezpieczeństwo grożące córce - nie bluźnij przeciwko Kościołowi, którego ramię karze szybko, a ucho słyszy słowa wypowiedziane nawet szeptem.

- Dla mnie osobiście groźba denuncjacji niewiele by znaczyła - podjęło dziewczę podnosząc znów oczy ku niebu. - Ale gdy mi powiedziano, że w sprawę przeciwko mnie wytoczoną ty, ojczyste, będziesz wmieszany, zadrżałam i zapragnęłam kompromisu. Ponieważ siostra Marta, przeorysza klasztoru w Elcho, jest krewniaczką matki, opowiedziałam jej o mojej niedoli i otrzymałam przyrzeczenie, że jeśli

wyrzeknę się doczesnego świata i wszelkich myśli o małżeństwie, przyjmie mnie do siebie i pozwoli przywdziać welon zakonny. Porozumiała się zapewne w tej sprawie z ojcem Franciszkiem, bo potem już oboje śpiewali jednakową śpiewkę:

„Pozostaniesz na świecie, oboje z ojcem będziecie oskarżeni o herezję... wstąpisz do klasztoru, a wybaczone będą wam obojgu winy wasze i błędy”. Nie wspominali nawet o konieczności publicznego

odwołania heretyckich doktryn... Jeżeli wstąpię do klasztoru, wszystko zostanie nam zapomniane.

- Pewnie, pewnie... bynajmniej w to nie wątpię! - wybuchnął Szymon. - Ludzie uważają starego Glovera za człowieka majątnego, a całe to bogactwo poszłoby za jego córką do klasztoru w Elcho... z wyjątkiem tej części, do której rościliby sobie prawo dominikanie. A więc dlatego pragnęłaś przywdziać welon, dlatego byłaś niechętna zalotom Harry'ego Smitha?

- Widzisz, ojcze, wszystko zdawało się mnie naglić do obrania takiej drogi, a mnie samej nie była ona przykra. Sir John Ramorny groził mi zemstą potężnego księcia, jeżeli nie przyjmę jego grzesznych zalotów... a jeśli idzie o biednego Harry'ego... ach, ojcze, ja dopiero niedawno przekonałam się ze zdumieniem, że silniejsza jest we mnie miłość do jego cnót niż niechęć do błędów! Ale niestety! To odkrycie uczyni tylko tym trudniejszym moje rozstanie ze światem!

Ukryła twarz w dłoniach i płakała rozpaczliwie.

- Wszystko to jest zwykłą głupotą - rzekł Glover z mocą. - Nie ma tak trudnego położenia, z którego człowiek mądry nie zdołałby się wykaraskać, jeżeli starczy mu odwagi do działania. Kraj nasz i naród

kontrolowały zawsze uzurpatorską władzę duchowieństwa rządzącego nami w imię Rzymu. Jeśli panowie i księża mają zamiar karać każdego uczciwego mieszczanina, który powiada, że mnichowie kochają złoto i że życie niektórych z nich zadaje kłam doktrynom, które głoszą... ha! w takim razie Stefan Smotherwell będzie miał pełne ręce roboty! A gdyby każda niemądra dziewczyna powtarzająca

błędne doktryny popularnego kaznodziei miała za karę przywdziać welon i porzucić świeckie życie, Kościół musiałby powiększyć znacznie swoje klasztory! Królowie Szkocji często bronili naszych przywilejów przed samym papieżem, a jak spróbował on mieszać się w świeckie sprawy naszego królestwa, szkocki parlament dał mu odprawę na piśmie, które winno być napisane złotymi zgłoskami.

Widziałem owo pismo na własne oczy i choć nie potrafiłem go odczytać, na sam widok pieczęci wielebnych prałatów i szlachejnych baronów serce skoczyło mi radośnie w piersi. Nie powinnaś była,

córko, sprawy tej trzymać przede mną w tajemnicy, ale nie pora teraz na czynienie ci wymówek. Idź i przygotuj mi coś do zjedzenia. Potem wsiądę na koń i pójdę natychmiast do naszego lorda burmistrza prosić go o ratunek. Ufam, że weźmie mnie w opiekę... on i każdy inny uczciwy szkocki szlachcic, który nie zechce patrzeć spokojnie, jak niszczy się człowieka za kilka niebaczenie wypowiedzianych słów.

- Niestety, mój ojcze! - westchnęła Katarzyna. - Ta właśnie twoja popędliwość napawała mnie największym lękiem. Wiedziałam, że jeśli ci się poskarżę, zaraz dojdzie do walk i sporów, jak gdyby religia, choć ofiarował ją nam Ten, który ofiarował ludziom pokój na ziemi, zdolna była tylko rodzić niezgodę... Dlatego gotowa jestem teraz... nawet teraz... porzucić świat i zamknąć się z moim smutkiem w klasztorze w Elcho... jeśli pozwolisz mi uczynić tę ofiarę. Tylko, ojcze, pociesz biednego

Harry'ego, gdy już rozstaniemy się na zawsze, i nie pozwól, żeby sądził mnie zbyt surowo. Powiedz, że Katarzyna nigdy już nie będzie go nękała swymi wymówkami, ale też nigdy nie zapomni o nim w swych modlitwach.

- Ta dziewczyna potrafi mówić słowa, które Saracenowi wycisnęłyby łzy z oczu! rzekł stary Glover patrząc na córkę z miłością. - Ale ja nie ustąpię przed podstępłą znową mniszek i księży, którzy chcą mi skraść jedyne dziecko! Zostaw mnie teraz, dziewczyno, bo chcę się ubrać. I pamiętaj, że masz wypełnić posłusznie wszystkie polecenia, które ci wydam z myślą o twoim bezpieczeństwie. Zapakuj trochę odzieży i wszystkie kosztowności... aha, weź klucze od mojej żelaznej skrzynki, którą otrzymałem od biednego Harry'ego Smitha, i podziel całe znajdujące się w niej złoto na dwie równe części. Jedną włóż do sakiewki i miej przy sobie, drugą umieść w woreczku w pasie, który noszę zwykle w podróży. W ten sposób gdyby nas los rozdzielił, oboje będziemy zaopatrzeni; a jeśli się tak stanie, niech Bóg miłosierny ześle wicherę, która porwie liść zeschnięty i oszczędzi zielony! Każ natychmiast osiodłać mego konia i tę białą klaczkę, którą ci kupił zaledwie wczoraj... ufając, że pojedziesz na niej w orszaku druchen i matron do katedry Świętego Jana - najszcześliwsza panna

młoda, jaka przekraczała kiedykolwiek próg tej świątyni. Nie, nie będziemy traciли czasu na rozmowy... idź i pamiętaj, że święci pomagają tylko tym, którzy sami chcą sobie pomóc. Ani słowa... zmykaj... nie jest to pora na kaprysy. Sza, idź już!

Katarzyna wyszła z pokoju, żeby wypełnić polecenie ojca, który będąc człowiekiem łagodnym i miłującym gorąco córkę, pozwalał jej często. jak się przynajmniej zdawało, rządzić zarówno jej jak i swoim życiem; który jednak, o czym Katarzyna wiedziała, żądał bezwzględnego posłuszeństwa i surowo wykonywał swą ojcowską władzę, gdy okoliczności wymagały wzmocnienia domowej dyscypliny.

Gdy Katarzyna krzątała się przy wykonywaniu rozkazów ojca, stary zaś Szymon wkładał w pośpiechu odzienie noszone zwykle w podróży, w wąskiej uliczce rozległ się stukot kopyt końskich. Jeździec był

szczelnie otulony w opończę, której kołnierz przysłaniał dolną część jego twarzy, podczas gdy szerokie pióro kołpaka zsuniętego nisko na oczy przysłaniało górną część twarzy. Zeskoczył z siodła i niemal zanim Dorota zdążyła odpowiedzieć na jego pytanie, że Glover jest na górze w sypialni, już wchodził na schody i po sekundzie otwierał drzwi komnaty. Szymon, zdumiony i zaskoczony - skłonny widzieć w tym wczesnym gościu sądowego wysłannika, który przybył aresztować jego córkę - odetchnął z ulgą, gdy nieznajomy zdjął kołpak i zsunął opończę z ramion, bo oto ujrzał przed sobą lorda burmistrza, którego odwiedziny w każdych okolicznościach stanowiłyby niemały zaszczyt, w tym jednak przypadku graniczyły niemal z cudem i - zważywszy zabobony owej epoki - miały w sobie

coś prawie niepokojącego.

- Sir Patrick Charteris! - wykrzyknął Glover. - Jakże wielki to honor dla mojego ubogiego...

- Sza! - odparł rycerz. - Nie pora to na prawienie próżnych uprzejmości. Przybyłem osobiście, bo w niebezpiecznych sytuacjach człowiek sam jest swym najpewniejszym posłańcem, a pozostanę tylko chwilę, żeby ci rzec, abyś ratował się ucieczką, cny rękawiczniku, ponieważ na dzisiejszej radzie będą

podpisane nakazy aresztowania ciebie i twej córki pod zarzutem herezji. Za zwłokę zapłacicie na pewno wolnością, a może i życiem.

- Słyszałem coś o tym - odparł Glover - i wybierałem się właśnie do zamku Kinfauns. Chciałem ci, szlachetny lordzie, przysiąc na mą niewinność, zasięgnąć u ciebie rady i błagać o opiekę.

- Twoja niewinność, przyjacielu Szymonie, nie na wiele ci się przyda, gdy będą cię sądzić stronnicy sędziowie. Moja rada brzmi krótko: ratuj się ucieczką i w ukryciu czekaj na lepsze czasy. A jeśli idzie

o moją opiekę... cóż, niewielki będziesz miał z niej pożytek, dopóki w naszym kraju nie odwróci się fala. Gdybyś jednak znalazł bezpieczną kryjówkę i przeczekał kilka dni lub tygodni, nie wątpię, że duchowieństwo - które poparłszy księcia Albany w jego dworskich intrygach i stwierdziwszy, że naruszenie czystości doktryny katolickiej jest jedyną przyczyną obecnie trapiących nas nieszczęść, zdobyło przemożny wpływ na króla - natrafi w końcu na opór. Wiedz jednak, że król Robert nie tylko wyraził zgodę na ów ogólny mandat do badania herezji, ale co więcej, ustąpił papieżowi i zatwierdził

wybór Henry'ego Wardlawa na prymasa Szkocji, zrzekając się w ten sposób na rzecz Rzymu tych swobód i immunitetów szkockiego Kościoła, których odważnie bronili nasi przodkowie od czasów Malcolma Canmore. Dawni nasi królowie prędzej podpisaliby pakt z diabłem, niż ulegli tego rodzaju roszczeniom Rzymu.

- Jaki jest na to ratunek? - spytał Glover.

- Nie ma żadnego... chyba że w nagłej zmianie intryg na dworze - odparł Burmistrz. - Król jest jak zwierciadło, które nie posiada własnego blasku i odbija z jednakową gotowością światło znajdujące się w danej chwili najbliżej niego. Douglas sprzysiężył się wprawdzie z Albanym, spogląda jednak nieprzychylnie na zbyt zuchwałe roszczenia żadnego władzy duchowieństwa, ponieważ niedawno miał zatarg z kościołem o kontrybucje, jakie jego drużyna ściągnęła z dóbr klasztornych w Arbroath.

Wróci niebawem z dumnie podniesioną głową, bo wieść głosi, że wojska earla of March uciekły przed

nim w popłochu. A gdy wróci, wszystko się odmieni, sama bowiem jego obecność przyhamuje zapędy

Albany'ego, zwłaszcza że wielu magnatów, zwierzam ci to w zaufaniu, postanowiło sprzymierzyć się z earlem dla obrony naszych praw. Zatem twoje wygnanie skończy się wraz z powrotem Douglasa na dwór. Musisz tylko znaleźć sobie na jakiś czas dobrą kryjówkę.

- Znajdę bez trudu - odparł Glover - jako że mam tytuł do ubiegania się o opiekę przywódcy Pogórze,

Gilchrista MacIana, który jest wodzem klanu Quhele.

- O, jeśli możesz schronić się pod jego góralską opończę, nie będzie ci potrzebna niczyja pomoc - żadnej osobie duchownej czy świeckiej nie udało się dotąd egzekwować praw na terytorium Pogorza.

- Ale co z moją córką, szlachetny lordzie... co z Katarzyną? - spytał Glover.

- Weź ją ze sobą, człowieku. Owsiany podpłomyk wzmocni jej piękne białe zęby, kozie mleko przywróci rumieniec jej licom, które pobladyły w tych dniach trwogi. A nawet Piękne Dziewczę z Perth

może spać wygodnie na posłaniu z górskich paproci.

- Nie dlatego waham się, mój lordzie - odparł Glover. - Katarzyna jest córką prostego rzemieślnika i nie przywykła do zbytku stołu czy łoża. Ale syn MacIana gościł przez wiele lat w moim domu i zauważyłem, że spogląda na moją córkę (a jest ona przyrzeczona innemu) wzrokiem, który tu na Curfew Street budził tylko moją niechęć, ale w swoich skutkach może się stać niebezpieczny na Pogorzu, gdzie ja nie posiadam przyjaciół, a Conachar ma wielu.

W odpowiedzi rycerz gwizdnął przeciągle.

- Hm... w takim przypadku radzę ci odesłać dziewczynę do klasztoru w Elcho, którego przeoryszą, jeśli dobrze pamiętam, jest wasza krewniaczka. Ach, prawda, ta świątobliwa niewiasta sama mi to mówiła... dodając, że serdecznie miłuje twoją córkę i ceni ciebie, Szymonie.

- Prawda to, mój lordzie. Sądzę, że przeorysza tak bardzo sobie mnie ceni, że chętnie przyjąłaby do

swego klasztoru Katarzynę wraz z całym moim majątkiem i ruchomościami... tyle tylko, że jej afekt jest może zbyt zachłanny i kto wie, czy cna przeorysza zechce kiedykolwiek wypuścić z rąk zarówno moją córkę, jak jej posag.

Sir Patrick znowu zagwizdał przeciągle.

- Na Boga, człowieku, nieprzychylny to dla ciebie obrót losu. Ale nikt nie powie, że najnadobniejsze dziewczę w Nadobnym Grodzie zamknięte zostało w klasztorze, jak kura w kurniku, choć miało poślubić dzielnego płatnerza Harry'ego Smitha. Póki noszę rycerski pas i ostrogi i jestem burmistrzem

tego miasta, nigdy na to nie pozwolę!

- Ale co robić, szlachetny lordzie? - spytał Glover.

- Niekiedy musimy w życiu ryzykować. Każ twojej służbie przygotować konie dla ciebie i córki.

Pojedziecie ze mną i niech komuś przyjdzie chętka was zatrzymać! Nie doręczono wam jeszcze wezwania do sądu, a jeśli przybędzie do Kinfauns umyślny posłaniec, który nie przedstawi mi nakazu z podpisem królewskim, przysięgam na duszę Czerwonego Korsarza, że zje on swoje pismo... wraz z pieczęcią woskową i baranią skórą! A więc na koń! I ty także - dodał zwracając się do Katarzyny, która weszła właśnie do komnaty - ty także, moja piękna dziewczyno!

W kilka minut później ojciec i córka siedzieli już w siodle i na polecenie burmistrza jechali oboje w odległości lotu strzały przed nim, by nie zwracać niczyjej uwagi. Wydostawszy się z miasta przez Wschodnią Bramę, podążyli szybko drogą zataczającą w tym miejscu szeroki łuk. Sir Patrick jechał za

nimi wolnym truchtem; ale gdy wiedział, że nie dostrzegą go już strażnicy na murach, dał ognistemu rumakowi ostrogi i niebawem dogonił Glovera i Katarzynę. Wywiązała się między nimi rozmowa, która rzuca światło na niektóre poprzednie ustępy tej książki.

ROZDZIAŁ XXVI

Witaj, kraju łuczników! Ziemi tych, co gardzą

I karków nie ugięli przed cesarskim Rzymem –

O najdroższa połowo morskiego Albionu!

Albania (1737)

- Obmyśliłem sposób ochrony was przed złą wolą nieprzyjaciół i zapewnienia wam obojgu bezpieczeństwa na tydzień lub dwa - rzekł zacny burmistrz - to jest dopóty, dopóki, w co ufam, na dworze nie zajdą zasadnicze zmiany. Ale abym wiedział, co czynić, powiedz mi, Szymonie, jakie stosunki łączą cię z Gilchristem MacIanem i czemu to ufasz mu tak bez zastrzeżeń. Przestrzegasz ściśle reguł obowiązujących w naszym mieście i wiesz, jak surowe wymierza się kary tym obywatelom, którzy spiskują i sprzymierzają się z pogórzańskimi klanami.

- Prawda to, mój lordzie - odparł Glover. - Ale jest ci też wiadomym, że nasz cech, który nie mógłby egzystować bez skór bydlęcych, sarnich, jelenich i innych, posiada przywileje zezwalające na prowadzenie handlu z Pogórzanami, gdyż u nich najłatwiej nam zaopatrywać się w środki konieczne do uprawiania naszego rzemiosła ku pożytkowi Nadobnego Grodu. To tłumaczy moje częste stosunki z tymi ludźmi, a przysięgam na zbawienie mej duszy, że nigdy nie zdarzyło mi się spotkać rzetelniejszych i uczciwszych kontrahentów. W swoim czasie odbyłem kilka podróży na najdalsze krańce Pogórza; przywódcy klanów honorem ręczyli za moje bezpieczeństwo. I muszę powiedzieć, że niewiele znam ludzi wierniejszych raz danemu słowu. A jeśli idzie o ich przywódcę, Gilchrista MacIana, to pomijając jego nadmierną popędliwość w niszczeniu ogniem i mieczem swych śmiertelnych wrogów, jest on człowiekiem niezwykle szlachetnym i prawym.

- Pierwszy raz dowiaduję się rzeczy tak ciekawych - rzekł sir Patrick Charteris. - Ale usłyszałem też niejedno o okrucieństwie i nieprawości Pogórzan.

- Innym okiem patrzą oni na swych przyjaciół, a innym na wrogów, co wasza miłość łącno zrozumie - odparł Glover. - Tak czy inaczej, ja w swoim czasie oddałem Gilchristowi MacIanowi przysługę ogromnej wagi. Zdarzyło się, że osiemnaście lat temu klan Quhele i klan Chattan prowadziły ze sobą,

jak zwykle, śmiertelny bój. Klan Ouhele poniósł klęskę, w której rodzina przywódcy, MacIana, została

niemal starta z powierzchni ziemi. Siedmiu jego synów padło na polu bitwy, zamek został zdobyty i puszczony z dymem, on sam zaś ratował życie w ucieczce. Żona MacIana, wtedy bliska rozwiązania, ukryła się w puszczy, wraz z jednym wiernym sługą, gajowym i jego córką. I tam nieszczęsna, zgnębiona niewiasta dała życie chłopcu, a ponieważ wycieńczony organizm matki nie pozwalał na karmienie piersią, karmiono niemowlę mlekiem białej łani, którą gajowy zdołał schwytać w sidła. Minęło kilka miesięcy i w następnym starciu dwóch wojowniczych klanów z kolei MacIan zwyciężył nieprzyjaciół i odebrał im zagarnięte uprzednio ziemie. Łatwo sobie wyobrazić jego radość, gdy przekonał się, że jego żona i syn żyją; był pewien, że odnajdzie tylko ich zbiegłe kości, do czysta objedzone przez wilki i rysie.

Ale zakorzeniony zabobon, jeden z tych, którym hołdują ci dzicy i prymitywni ludzie, prędko położył kres radości Gilchrista z odzyskania syna. Znana była wszystkim starodawna przepowiednia głosząca,

że potęga klanu Quhele padnie z winy chłopca urodzonego pod krzakiem ostrokrzewu i wykarmionego przez białą łanię. A ponieważ, na nieszczęście dla Gilchrista, takie dokładnie były okoliczności narodzin jego jedynaka, starszyzna klanowa zażądała śmierci dziecka lub przynajmniej usunięcia go z terytoriów klanu, aby był wychowywany w nieświadomości swego pochodzenia.

Gilchrist MacIan musiał poddać się tej decyzji, a że wybrał drugą z proponowanych alternatyw, dziecko, noszące od tej pory imię Conachar, wychowywało się w moim domu, przy czym - bo taki był

początkowy zamiar - nie miało się nigdy dowiedzieć, kim jest i jakie mogłoby rościć sobie prawa do władzy nad licznym i wojowniczym klanem. Ale z biegiem lat ci spośród starszyny klanowej, którzy wywierali najsilniejszy wpływ na bieg spraw publicznych, wymarli lub stracili władzę; natomiast wzrosły wpływy Gilchrista MacIana, który dzięki wielu zwycięstwom nad klanem Chattan przywrócił

równowagę sił między tymi dwiema najsilniejszymi na Pogórze konfederacjami, równowagę istniejącą przed strasliwym pogromem, o którym wspominałem waszej miłości. Gdy więc Gilchrist poczuł swoją siłę, zapragnął, co jest rzeczą zrozumiałą, odzyskać jedyne syna. W tym to celu posyłałem na jego prośbę Conachara kilkakrotnie na Pogórze. Nie dziwota, że ten urodziwy i rycerski chłopiec podbił serce ojca. W końcu albo Conachar odgadł tajemnicę swego pochodzenia, albo ktoś mu częściowo zdradził sekret. I wtedy to jeszcze jawniejsza stała się odraza, jaką ten hardy obwieś żywił do mego zacnego rzemiosła. Skończyło się na tym, że nie śmiałem już nawet podnieść na niego kija... w obawie, że dźgnie mnie sztyletem, co jest najczęstszą celtycką odpowiedzią na saksońską uwagę. Zapragnąłem się go pozbyć, tym bardziej że okazywał nadmierny afekt do Katarzyny, która - szalona dziewczyna - postanowiła nauczyć tego dzikiego żbika z gór moralności i miłosierdzia. Sama wie najlepiej, jak się to skończyło.

- Ależ, ojcze - powiedziała Katarzyna - proste miłosierdzie nakazuje ugasić ogień na odzieży płonącego nieszczęśnika.

- Ale prosty rozsądek radzi nie ryzykować poparzenia sobie przy tym palców - odparł Glover. - Co o tym sądzisz, szlachetny lordzie?

- Nie chciałbym urazić najpiękniejszej dziewczyny w Perth - odparł sir Patrick - i przez chwilę nie wątpię o czystości i szczerości jej motywów. Mimo to powiem, że gdyby ów wychowanek sarny był wynędzniałym, rudowłosym i zezowatym pokurczem - a widywałem już takich Pogórczan - Piękne Dziewczę z Perth włożyłoby mniejszy zapal w dzieło jego nawrócenia. Gdyby zaś, z drugiej strony, Katarzyna była siwą, pomarszczoną i zgiętą przez lata staruszką, podobną do tej, która otworzyła mi dzisiaj drzwi waszego domu - stawiam w zakład moją złotą broszę przeciwko parze kierpców góralskich, że ten dziki góralczyk zrezygnowałby przy drugiej lekcji. Śmiejesz się, cny Szymonie, a Katarzyna zaczerwieniła się z gniewu. Ale cóż, tak się to dzieje na tym świecie.

- Tak się dzieje, mój lordzie, gdy możni panowie nie mają szacunku dla swych bliźnich - rzekła

Katarzyna popędliwie.

- Och, piękna panienko, wybacz żart - poprosił rycerz. - A ty, Szymonie, powiedz mi, jak się kończy ta

opowieść. Ucieczką Conachara w góry?

- Powrotem Conachara w góry - odparł Szymon. - Przez kilka lat kręcił się po Perth pewien człowiek,

który pod różnymi pretekstami przychodził z Pogórza i wracał na Pogórze, ale był w istocie

posłańcem utrzymującym łączność między Gilchristem MacIanem a jego synem, młodym

Conacharem, który teraz używa imienia Hektor. Dowiedziałem się od tego góralskiego giermka, że

starszyzna klanu rozpatrzyła ponownie sprawę banicji młodego syna mlecznego białej łani. Jego

opiekun, stary gajowy imieniem Torquil z Borów Dębowych, zażądał w imieniu swoim i swych ośmiu

synów, najdzielniejszych wojowników w klanie, aby odwołano ów wyrok banicji. Mówił z tym

większą mocą i przekonaniem, że jest on uważany za jednego z klanowych jasnowidzów czy też

wieszczu i utrzymuje jakoby łączność ze światem niewidzialnym. Oświadczył, że podczas

przeprowadzania czarnoksięskiego obrzędu zwanego Tin-Egan udało mu się wywołać złego ducha, od

którego siłą wydobyl wyznanie, że Conachar, czyli Hektor, czyli Eachin MacIan jest jedynym

wojownikiem, który wyjdzie cało z bliskiej już bitwy pomiędzy dwoma wrogimi klanami. Obecność

tak naznaczonej przez los osoby, dowodził Torquil, jest niezbędna dla zapewnienia zwycięstwa

klanowi Quhele. „Tak jestem tego pewien - rzekł gajowy - że jeśli Eachin nie będzie walczył w

szeregach naszego klanu, ani ja, ani żaden z moich ośmiu synów nie chwycimy za oręż w tej bitwie”.

Przemówienie to wywołało niemały popłoch, bo odstępstwo dziewięciu mężczyzn, najwaleczniejszych

w klanie, byłoby bolesnym ciosem, zwłaszcza wobec coraz częściej powtarzającej się pogłoski, że

bitwa będzie rozstrzygnięta przez niewielkie grupy wojowników z obu stron. Starodawnemu

zabobonowi dotyczącemu syna mlecznego białej łani przeciwstawiono zabobon nowszy, a ojciec

skorzystał z okazji i ujawnił przed członkami klanu swego długo ukrywanego syna. Młodociana, lecz urodziwa i pełna życia twarz, wyniosła postawa i silne członki Conachara wzbudziły zachwyty górali, którzy nie zważając na złowróżbną przepowiednię uznali młodzieńca za spadkobiercę i następcę swego przywódcy Gilchrista.

Ta opowieść łącno cię przekona, mój lordzie - ciągnął Glover - czemu jestem tak pewien dobrego przyjęcia w klanie Quhele. Zrozumiesz też, szlachetny panie, że postąpiłbym nieopatrzenie zabierając ze sobą na Pogórze Katarzynę. I to jest najcięższą moją troską.

- Zdejmę ci ten ciężar z bark, cny rękawiczniku - rzekł sir Patrick - gdyż sam osobiście mam zamiar podjąć dla dobra twego i Katarzyny pewne ryzyko. Dzięki mojemu przymierzu z Douglasem jestem w dobrych stosunkach z Marjorie, księżną Rothsay, jego córką i żoną lekkomyślnego księcia. Możesz być pewien, zacny Szymonie, że w jej orszaku twoja córka będzie tak bezpieczna, jak w najpotężniejszej twierdzy. Księżna rezyduje teraz w zamku Falkland, oddanym do jej dyspozycji przez

właściciela, księcia Albany. Nie obiecuję ci tam, piękna Katarzyno, miłych rozrywek, bo księżna jest niewiastą nieszczęśliwą, a więc zgryźliwą, wyniosłą i dumną... świadomą własnej brzydoty, a więc zazdroszczącą krasy tym niewiastom, które ją posiadają. Ale jest też niewiastą dochowującą wiary i szlachetną i czy to będzie papież, czy prałat, rzuci go do fosy swego zamku, jeśli przyjdzie aresztować osobę znajdującą się pod jej opieką. Czeka więc cię tam, dziewczyno, bezpieczne schronienie, choć mało znajdziesz serdeczności.

- Nie mam prawa spodziewać się czegoś więcej, szlachetny panie - odparła Katarzyna - i głęboko wzrusza mnie dobroć, która pragnie zapewnić mi tak zaszczytną opiekę. Jeśli księżna jest wyniosła, będę pamiętała, że pochodzi ze starożytnego i dumnego rodu Douglasów... jeśli jest gniewliwa, będę pamiętała; że jest niewiastą nieszczęśliwą... a jeśli jest nadmiernie wymagająca, będę pamiętała, że jest moją protektorką. Nie troszcz się już o mnie, szlachetny panie, skoro mi zapewniasz opiekę tej możnej damy. Ale ojciec... sam pośród tych niebezpiecznych dzikusów!

- O to się nie frasuj, Katarzyno - odparł Glover. - Góralskie kierpce i tartany tak mi są zwyczajne, jakbym je nosił całe życie. Lękam się tylko, że dojdzie do rozstrzygającej bitwy, zanim zdążę opuścić kraj; a jeśli klan Quhele poniesie klęskę, stracę moich protektorów.

- Musimy się przed tym zabezpieczyć - rzekł sir Patrick. - Bądź spokojny, będę pilnował, żeby włos ci

nie spadł z głowy. Ale jak sądzisz, zacny Szymonie... która strona odniesie zwycięstwo?

- Szczerze mówiąc, lordzie burmistrzu, przypuszczam, że klan Chattan przegra. Tych dziewięciu synów puszczy stanowi niemal jedną trzecią oddziału pod sztandarem wodza klanu Quhele, a są to zaprawieni w boju wojownicy.

- A twój czeladnik? Sądzisz, że sprosta zadaniu?

- Conachar jest gorący jak ogień, mój lordzie - odparł Glover - i niestały jak woda. Niemniej, jeśli nie

padnie na polu walki, zdobędzie się chyba w tym dniu na odwagę.

- Bo obecnie sporo ma jeszcze we krwi mleka białej łani... czy tak, Szymonie? Cha, cha, cha!

- Brak mu doświadczenia, a tak doświadczony wojownik jak ty, mój lordzie, wie najlepiej, że trzeba przywyknąć do niebezpieczeństwa, żeby igrać z nim jak z kochanką.

I tak na rozmowie szybko zesła im droga do zamku Kinfauns, gdzie ojciec i córka mieli się rozstać po

krótkim odpoczynku, aby podążyć każde w swoją stronę. Dopiero tutaj, gdy Katarzyna spostrzegła, że niespokojny o jej los ojciec zdaje się nie pamiętać o swym drogim przyjacielu, wyszeptała jakby rozmarzona:

- Harry Smith, ojcze...

- Słusznie, bardzo słusznie - rzekł prędko Glover. - Musimy zawiadomić go o naszych planach.

- Zdajcie się na mnie - rzekł sir Patrick. - Nie zaufam tej wiadomości posłańcowi ani nie napiszę listu,

bo nawet gdybym znał sztukę pisania, dzielny płatnerz zapewne nie umie czytać. Będzie go dzisiaj

dreńczył niepokój o was, ale przyrzekam, że pojedę jutro do Perth i wtajemniczę go w nasze plany.

Nadeszła pora rozstania. Był to ciężki moment, ale dzielność starego mieszczanina i pobożna rezygnacja, z jaką dziewczę poddało się woli Opatrzności, uczyniły go łatwiejszym, niżli można było tego oczekiwać. Dobrotliwy rycerz naglił Szymona do odjazdu, ale czynił to z wielką łagodnością; a nawet posunął się tak daleko, że chciał mu pożyczyć sakiewkę pełną złota, co w epoce, w której tak niewiele kursowało po kraju pieniędzy metalowych, było dowodem niezwyklej życzliwości. Glover zapewnił jednak, że jest dobrze zaopatrzony, po czym odjechał w kierunku północno-zachodnim.

Szlachetny rycerz składał nie mniejsze dowody gościnności Katarzynie, która pod troskliwą opieką ochmistrzyni przebywała w Kinfauns kilka dni. Zwłoka ta była spowodowana przeszkodami i trudnościami wysuwanymi przez Kitta Henshawa, przewoźnika po rzece Tay, któremu burmistrz zamierzał oddać Katarzynę pod opiekę, jako że bezgranicznie mu ufał.

I tak los rozdzielił ojca i córkę w chwili wielkiego niebezpieczeństwa, tym większego, że istniały pewne dodatkowe okoliczności, o których oboje nie wiedzieli, a które zmniejszały bardzo wszelkie szanse ratunku.

ROZDZIAŁ XXVII

- To Austin pokornie uczynił. - Uczynił to? - on zapytał.

- Austin może to samo dla mnie uczynić, i kwita.

Prolog POPEA do Opowieści Kanterbryjskich Chaiverta

Najlepiej uczynimy śledząc dalsze losy Szymona Glovera. Nie zamierzamy ustalać dokładnie linii granicznej przebiegającej między terytoriami obu klanów, zwłaszcza że nie jest ona określona wyraźnie przez kronikarzy, którzy przekazali nam opisy tego pamiętnego zatargu. Wystarczy stwierdzić, że terytorium klanu Chattan rozpościerało się daleko i szeroko i że potężnym jego przywódcą był w owym czasie earl of Sutherland. Ale nie wszystkie rody wchodzące w skład klanu Chattan uczestniczyły w owym krwawym sporze, który objął jedynie rozległe górskie połacie

Perthshire i Inverness, czyli tak zwane północno-wschodnie okręgi Pogórza. Wiadomym jest, że dwa nader liczne rody, MacPhersonów i MacIntoshów, spierają się po dziś dzień o to, który z ich przywódców stał wtedy na czele wielkiej konfederacji, w ostatnich zaś czasach oba przyjęły tytuł wodzów klanu Chattan. Non nostrum est*. Tak czy inaczej, centrum tego sprzysiężenia znajdowało się w Badenoch, przynajmniej w okresie walk, które tu opisujemy.

Jeszcze mniej wiemy o rywalizującej z klanem Chattan lidze klanu Quhele, a to z przyczyn, które wyłuszczamy poniżej. Przeto z żalem musimy stwierdzić, że nie potrafimy przedstawić tak dokładnej topografii tych terytoriów, jak byśmy tego pragnęli. Wystarczy powiedzieć, że kierując się ku północo-zachodowi stary Szymon dzień cały zdążył ku dzielnicy Breadalbane, skąd miał nadzieję przedostać się dalej do zamku, w którym Gilchrist MacIan, przywódca klanu Quhele i ojciec jego czeladnika Conachara, rezydował zwykle pośród barbarzyńskiej wystawności i pompy schlebiającej jego ambicjom.

Nie zatrzymamy się, by opisać szczegółowo udręki i niebezpieczeństwa tej podróży, której trasa wiodła przez pustkowia i łańcuchy górskie, to zawrotnie w dół stromych przepaści na nieprzebyte zda się bagniska, to znów w górę urwistych zboczy, natrafiając na przeszkody licznych strumieni, a nawet rzek. Ale Szymon Glover poznał wszystkie te niebezpieczeństwa w czasie dawnych wypraw przedsięwziętych w poszukiwaniu uczciwego zarobku, jest więc rzeczą zrozumiałą, że nie lękał się ich teraz, kiedy stawką była wolność, a może nawet życie.

Zdawać się mogło, że niebezpieczeństwo ze strony wojowniczych i barbarzyńskich plemion zamieszkujących te rejony jest co najmniej równe hazardom samej podróży. Ale posiadana przez Szymona Glovera znajomość obyczajów i języka mieszkańców tych ziem dawała mu rękojmię bezpieczeństwa również w tym względzie. Odwołanie się do gościnności najdzikszego nawet Celta zawsze przynosiło pożądany skutek. Góral, który w innych okolicznościach byłby gotów pozbawić podróżnego życia, żeby zdobyć srebrny guz przy jego opończy, dzielił się ostatnią łyżką stawy z

podróżnym, który poprosił o gościnę u drzwi jego szałas. Ufność i bezbronność były najlepszą gwarancją bezpiecznego podróżowania po tych ziemiach; dlatego też Glover nie nosił przy sobie broni, starał się nie stwarzać pozorów, że zachowuje w podróży jakieś szczególne środki ostrożności, i ukrył wszystkie przedmioty, które mogły wzbudzić chciwość. Trzymał się jeszcze innej, według niego nader przezornej zasady, mianowicie unikał rozmów ze spotkanymi w drodze podróżnymi i ograniczał się do wymiany powitalnych uprzejmości, na które Pogórzanie z reguły odpowiadają.

Ale niewiele miał okazji do takich przelotnych nawet spotkań. Ta zawsze odludna kraina teraz wydawała się wręcz nie zamieszкана; puste były nawet chaty w małych dolinach i jarach, przez które przejeżdżał, gdyż mieszkańcy zbiegli do lasów i pieczar. Nietrudno było zrozumieć powód tej ucieczki: bliskie niebezpieczeństwo pożogi wojennej, która mogła stać się hasłem do grabieży i mordów straszliwszych niż wszystkie nękające dotąd ten nieszczęsny kraj.

Owa pustka zafrasowała Szymona. Od wyjazdu z Kinfauns zrobił jeden krótki postój, żeby dać wypocząć klaczy, ale teraz zastanawiał się z niepokojem, jak spędzi noc. Liczył na to, że przenocuje w chacie swego dawnego znajomego, Niela Booshalloch (co znaczy krowi pastuch), który wypasywał nad brzegami Tay, niedaleko miejsca, w którym rzeka wypływa z jeziora o tej samej nazwie, liczne stada należące do wodza klanu Quhele. Glover miał nadzieję, że od tego starego przyjaciela, u którego zakupywał wielokrotnie skóry i futra, otrzyma bliższe informacje o sytuacji na tych ziemiach, o szansach pokoju i wojny i usłyszy radę, co czynić dla własnego bezpieczeństwa na Pogórze.

Pamiętajmy, że informacja o porozumieniu zawartym z myślą o ograniczeniu wrogich działań do walki dwóch drużyn zakomunikowana została królowi zaledwie na dzień przed wyjazdem Glovera z Perth i do wiadomości publicznej przedostała się dopiero w kilka dni później.

„Jeżeli Niel Booshalloch opuścił swoją chatę jak tamci wszyscy - powiedział sobie Szymon w duchu

ładnie ja będę wyglądał. Przecież potrzebna jest mi nie tylko jego rada, lecz także jego wpływ u Gilchrista MacIana... a ponadto nocleg i obfita wieczerza".

Tak rozmyślając, wyjechał na szczyt kopulastego zielonego wzgórza i ujrzał przed sobą w dole wspaniały widok: Jezioro Tay - ogromna płyta wypolerowanego srebra, a wokół ciemne, wrzosowe pagórki i gęstwina bezlistnych dębów tworząca rzeźbioną w arabeski ramę tego zachwycającego zwierciadła.

Z natury obojętny na piękno przyrody, Szymon Glover tym razem zwrócił na nie jeszcze mniejszą uwagę; i jedynym punktem zachwycającego krajobrazu, ku któremu powędrowało jego spojrzenie, były zielone połacie łąk - tam, gdzie rzeka Tay, wypływająca z nabrzmiąłą falami godnością z macierzystego jeziora i zamykająca w swym łuku przepiękną dolinę szerokości mili, rozpoczyna swój majestatyczny bieg w kierunku południowo-wschodnim, jak zwycięzca i prawodawca, który podbija i

zarazem niesie bogactwo odległym rejonom. W tym to odosobnionym zakątku, tak malowniczo usytuowanym pomiędzy jeziorem, górami i rzeką, wzniesiono później feudalny zamek The Ballough, który w naszych czasach ustąpił miejsca wspaniałej rezydencji earłów of Breadalbane.

Ale chociaż Campbellowie posiadali już rozległą władzę w Argyleshire, w kierunku wschodnim nie dotarli jeszcze do Jeziora Tay, którego brzegi - czy to z prawa, czy też przez zwykłe zasiedlenie - należały obecnie do klanu Quhele wypasającego najlepsze stada na łąkach nadbrzeżnych. W tej przeto

dolinie, pomiędzy rzeką a jeziorem, pośród gęstych lasów dębowych, leszczynowych, jesionowych i modrzewiowych, stała skromna chatka Niela Booshallocha, a z jej gościnnego komina wydobywały się gęste kłęby dymu. Widok ten nappełnił radością serce Szymona Glovera, który w innym przypadku byłby zmuszony, ku swej wielkiej niewygodzie, spędzić noc pod gołym niebem.

Stanąwszy przed drzwiami chaty, Glover zaczął pogwizdywać i nawoływać. Odpowiedziały mu psy pasterskie, a po chwili ukazał się na progu sam gospodarz. Twarz tego człowieka ściągnięta była

troską, na widok zaś Szymona w jego oczach pojawiło się zdumienie, jednakże ukrył zreżnięte oba te uczucia. Uważano bowiem w tych stronach za dowód obraźliwej niemal nieuprzejmości, jeśli gospodarz miną lub gestem zdradził coś, co mogło wzbudzić w gościu podejrzenie, że jego odwiedziny są mu niemiłe lub choćby go zaskakują. Natychmiast postawiono konia podróżnika w stajni, samego zaś Szymona zaprowadzono do domu, gdzie zgodnie z miejscowym zwyczajem gospodarz postawił przed nim bochen chleba i ser, podczas gdy w kuchni przygotowywano solidniejsze potrawy. Szymon, który z dawnych lat znał obowiązujący ceremoniał, nie zwrócił uwagi na wyraźne ślady smutku na twarzach Booshallocha i jego rodziny, dopóki pożywiwszy się nie uczynił zadość przepisany formom. Wtedy spytał ogólnie, co słychać w kraju.

- Źle słychać, bardzo źle - odparł Pogórzanin - bo odszedł od nas ojciec.

- Jakże to? - zawołał Szymon, poważnie zaniepokojony. - Czyżby wódz klanu Quhele umarł?

- Wódz klanu Quhele nigdy nie umiera - odparł pasterz. - Ale Gilchrist MacIan zmarł przed dwudziestu godzinami, a jego syn, Eachin MacIan, jest teraz wodzem.

- Eachin... to jest Conachar... mój czeladnik? - zdumiał się Glover.

- Im mniej będziesz o tym wspominał, bracie Szymonie, tym dla ciebie lepiej - rzekł pasterz. -

Pamiętaj, że twoje rzemiosło, które stanowi dobre źródło utrzymania w spokojnym mieście Perth, jest czymś mało szlachetnym i nie może budzić szacunku u stóp Ben Lawers czy nad brzegami Loch Tay.

Nie posiadamy nawet celtyckiego słowa na określenie rękawicznika.

- Dziwne by było, gdybyście posiadali, przyjacielu Niel - rzekł oschle Glover - skoro tak niewiele ludzi nosi u was rękawiczki. Myślę, że w całym klanie Quhele nie znalazłaby się ani jedna para prócz tych, które sam ofiarowałem Gilchristowi MacIanowi ku jego wielkiemu zadowoleniu. Zafrasowała mnie wieść o śmierci waszego wodza, bo wybierałem się do niego w nader ważnym interesie.

- Radzę ci, przyjacielu, odjechać o pierwszym brzasku z powrotem na południe - powiedział pasterz.

-

Pogrzeb odbędzie się natychmiast, z niewielkim ceremoniałem, bo czeka nas w Niedzielę Palmową

śmiertelny bój między klanem Quhele a klanem Chattan, w którym to boju uczestniczyć będzie po trzydziestu wojowników z każdej strony, niewiele też więc mamy czasu na opłakiwanie zmarłego i na uhonorowanie żyjącego.

- A jednak przygnały mnie tu sprawy tak pilne, że muszę zobaczyć waszego młodego wodza choćby na piętnaście minut - upierał się Glover.

- Posłuchaj, przyjacielu - rzekł surowo pasterz. - Domyślam się, że albo chcesz odebrać należną ci zapłatę, albo wznowić z nami handel. Jeżeli wódz winien jest ci coś za utrzymanie czy podobne wydatki, radzę nie żądać zwrotu teraz, kiedy wszystkie zapasy skarbcza plemiennego przeznaczone są na odpowiednie przygotowanie się i zakup zbroi i oręża dla naszych wojowników, abyśmy mogli wyjść naprzeciw tym dumnym Rysiom Górskim godnie i dowieść naszej nad nimi wyższości. Ale jeśliś przybył, żeby z nami handlować, wybrałeś jeszcze gorszą porę. Wiedz bowiem, że wielu członków naszego klanu spogląda już na ciebie z zawiścią jako na tego, któremu powierzono opiekę nad naszym młodym wodzem, chociaż jest to przywilej udzielany zwykle najwybitniejszym rodom klanu.

- Na Matkę Najświętszą, człowieku! - wybuchnął Glover. - Wasi ludzie powinni pamiętać, że ów urząd opiekuna nie był mi udzielony w dowód łaski, o którą zabiegałem, lecz że zgodziłem się go przyjąć, wbrew woli i chęci, ulegając licznym prośbom, a nawet błaganiom. Ten wasz Conachar, czy też Hektor, Eachin, czy jak go tam zwiecie, napsuł w moim warsztacie skór sarnich i jelenich za sporą garść złotych szkockich funtów!

- Ty ciągle swoje, przyjacielu Szymonie! - zniecierpliwił się pasterz. - Wypowiedziałeś słowa, które mogą cię kosztować życie... pamiętaj, nie wolno ci napomykać o futrach czy skórkach, a już zwłaszcza sarnich czy jelenich. Zrozum, wódz jest młody i zazdrosny o swoją nową godność — chyba nikt lepiej

od ciebie nie pojmie, dlaczego tak się dzieje. Jest rzeczą zrozumiałą, że pragnie, aby poszło w

niepamięć wszystko, co jest w jakiś sposób związane z jego wydziedziczeniem i wygnaniem. I dlatego

nie będzie spoglądał życzliwym okiem na człowieka, który przypomni jemu samemu i klanowi o sprawach nader przykrych we wspomnieniu. Zastanów się, jaką niechęć wznieci w ludziach stary Szymon Glover z Perth, u którego ich młody wódz tak długo był czeladnikiem! Uwierz mi, przyjacielu, żeś popełnił duży błąd. Pośpieszyłeś się zbyt i chcesz wielbić wschodzące słońce, którego promienie ukazały się dopiero nad horyzontem. Wróc do nas, gdy nowe słońce wypłynie wyżej na niebo, a wtedy ogrzejesz się w jego gorących promieniach.

- Jak słusznie powiadasz, Nielu Booshalloch - rzekł Glover - jesteśmy starymi i dobrymi przyjaciółmi.

A ponieważ uważam cię za człowieka prawego, będę mówił z tobą szczerze, choć to, co mam ci do powiedzenia, mogłoby mnie narazić na srogie niebezpieczeństwo ze strony innych członków twego klanu. Sądzisz, i bynajmniej mnie to nie dziwi, że przybyłem w wasze strony, żeby szukać zarobku u młodego wodza. Ale nie opuściłbym w moim wieku, o czym cię zapewniam, ciepłego kąta przy kominie w domu na Curfew Street, żeby się grzać w promieniach najgorętszego nawet słońca, jakie świeciło kiedykolwiek nad pogórzańskimi wrzosowiskami. Otóż wiedz, że przybyłem do waszego kraju, bom popadł w ciężkie tarapaty - moi wrogowie oskarżyli mnie o przewiny, których nie popełniłem nawet w myślach, a co dopiero w uczynkach. Niemniej wszystko się przeciw mnie sprzysięgło i jedyny ratunek mogę znaleźć w ucieczce - bo jeśli zostanę, niechybnie zginę. Chcę się zwrócić do waszego młodego wodza jako do człowieka, którego w nieszczęściu przyjąłem pod swój dach i który jadał u mego stołu i pijał z mojego dzbana. Chcę go prosić, by mi udzielił schronienia. Ufam, że na krótko.

O, to zgoła inna sprawa! - zawołał pasterz. - Tak dalece inna, że gdybyś stanął o północy u drzwi MacIana, z głową króla Szkocji w rękach i ścigającym cię tysięcznym wojskiem żadnym pomścić jego

krw, honor nie pozwoliłby mu odmówić ci schronienia. A sprawa twojej winy czy niewinności nie

ma nic do rzeczy - a raczej MacIlan tym większy miałby obowiązek udzielić ci schronienia, gdybyś był

winny, bo wtedy zarówno twoja potrzeba, jak jego ryzyko byłoby większe. Zaraz do niego wyruszam, żeby go ktoś nie zawiadomił pochopnie o twoim przybyciu, nie wyjawwszy mu jednocześnie przyczyny.

- Przykro mi, że będziesz się trudził, bracie Nielu - rzekł Glover. - Ale gdzie przebywa wódz?

- Obozuje w odległości dziesięciu mil stąd - odparł pasterz - i zajęty jest przygotowaniami do pogrzebu i do bitwy. Umarli idą do ziemi, żywi na pole walki!

- Daleka to droga i przebycie jej tam i z powrotem zajmie ci całą noc - protestował Glover. - Jestem pewien, że gdy Conachar usłyszy, że ja...

- Zapomnij o Conacharze - rzekł pasterz przykładając palec do warg. - A dziesięć mil jest dla Pogórzanina krótką przechadzką, kiedy niesie wiadomość od swego przyjaciela do swego wodza.

Co powiedziawszy, zwawy pasterz zlecił opiekę nad strudzonym podróżnikiem córce i najstarszemu synowi, a sam wyruszył z domu na dwie godziny przed północą, wrócił zaś na długo przed wschodem słońca. Nie zbudził jednak śpiącego i dopiero gdy starzec wstał rano po dobrze przespanej nocy, zawiadomił go, że pogrzeb zmarłego wodza odbędzie się tegoż dnia i że chociaż Hektor czy też Eachin MacIlan nie może zaprosić Saksona na uroczystości pogrzebowe, rad go ujrzy na stypie.

Wola Eachina jest dla mnie rozkazem - rzekł Glover uśmiechając się nieznacznie na myśl o zmianie, jaka zaszła w jego stosunkach z dawnym czeladnikiem. - On jest teraz panem, a ufam, iż pamięta, że kiedy sytuacja była odwrócona, nie używałem mej władzy nad nim w sposób złośliwy.

- Sza, przyjacielu! - upomniał go pasterz. - Im mniej będziesz o tym mówił, tym dla ciebie lepiej.

Znajdziesz u Eachina serdeczną gościnę i dopóki będziesz pod jego opieką, biada temu, kto ośmieli się

podnieść na ciebie rękę. Ale żegnaj teraz, bo idę na pogrzeb najlepszego przywódcy i najmężniejszego

wojownika, jakiego klan Quhele kiedykolwiek posiadał. Zostawiam cię więc samego, bracie

Szymonie, a jeśli zechcesz wejść na szczyt Tom-an-Lonach za domem, ujrzysz wspaniały widok i usłyszysz pieśni żałobne, które dotrą na sam wierzchołek Ben Lawers. Za trzy godziny będzie czekała na ciebie łódź w małym strumieniu pół mili na zachód od wypływu Tay.

Z tymi słowy odszedł. Za nim podążyli trzej jego synowie, by chwycić za wiosła łodzi, która miała się

przyłączyć do orszaku pogrzebowego; pojechały też dwie jego córki, by wzmocnić swymi głosami pieśni żałobne, śpiewane, czy raczej wykrzykiwane, w chwilach klęski i niedoli.

Po ich odjeździe Szymon Glover poszedł do stajni zobaczyć, co się dzieje z klaczą, która była dobrze obrządzona i nakarmiona podpłomykiem z palonego jęczmienia. Wzruszył go ten dowód życzliwości, wiedział bowiem dobrze, że rodzinie pasterza niewiele zostało z tego przysmaku i że dopiero

przyszłe zbiory dadzą im nowy skromny zapas zbóż. Mięsa mieli pod dostatkiem, a jezioro dostarczało im wielkiej obfitości ryb, chociaż postu nie przestrzegali zbyt rygorystycznie. Ale chleb był na Pogórze rzadkim specjałem. Na bagnistych łąkach górale zbierali miękkie siano bynajmniej nie najlepsze, ale szkockie konie, podobnie jak ich jeźdźcy, były w owych czasach przyzwyczajone do kiepskiej strawy.

Rękawica, bo tak zwała się klacz Glovera, miała podściółkę z suchej paproci i była otoczona taką opieką, na jaką mogła sobie pozwolić pogórzańska gościnność.

Pozostawiony własnym bolesnym myślom, Szymon Glover postanowił usłuchać rady pasterza i wspiąwszy się na stok Tom-an-Lonach, czyli Wzgórza Cisów, stanął po półgodzinnym marszu na jego szczycie, skąd roztaczał się wspaniały i rozległy widok na jezioro. Kilka ogromnych, wiekowych cisów tłumaczyło nazwę, jaką określano wciąż to wzgórze. Ale znacznie więcej tych majestatycznych drzew padło ofiarą nie nasyconego w tych wojowniczych czasach zapotrzebowania na łuki, jako że

był to oręż powszechnie używany na Pogórze. Pojedyncze, wiekowe cisy sprawiały wrażenie weteranów rozbitej armii, zajmujących jakąś korzystną pozycję z niezłomnym zamiarem bronięcia się do ostatka.

Poza tym pagórkiem wznosiło się wyższe wzgórze, częściowo porośnięte niskopiennym lasem poprzecinanych rozległymi polanami, na których pasło się bydło znajdujące o tej porze roku skąpe pożywienie nad brzegami strumyków i w miejscach podmokłych, gdzie najwcześniej wynurzała się z ziemi młoda trawa. Przeciwnie, to jest północne brzegi jeziora miały charakter bardziej alpejski. Las

o gęstym poszyciu wspinał się tu na strome stoki i ginął w krętych i głębokich rozpadlinach oddzielających od siebie poszczególne pagórki; ale wysoko nad tymi okazami jako tako żyznej jeszcze

gleby wznosiły się mroczne i nagie góry.

Niektóre zakończone były ostrymi turniami, inne szerokimi czubami, niektóre były skaliste i przepaściste, inne o łagodniejszych konturach; a nad całym tym klanem Tytanów* władzę zdawali się sprawować ich wodzowie - zwalisty Ben Lawers i jeszcze od niego wyższy Ben Mohr, górujący nad innymi szczytami, o wierzchołku przykrytym lśniąca czapą śniegu, utrzymującego się do połowy lata, a niekiedy przez cały rok. Jednakże na krańcach tego leśnego i dzikiego rejonu, w miejscach, w których góry schodziły nad jezioro, widniały o tej wczesnej porze roku - liczne ślady ludzkiego życia. Widać było, zwłaszcza na północnym brzegu, chaty na pół ukryte w wąskich dolinkach, których dnem spływały do Loch Tay górskie strumienie - chaty, które jak wiele rzeczy ziemskich, z dala wyglądały zachwycająco, z bliska jednak budziły wstręt i obrzydzenie, gdyż brak w nich było tych nędznych urządzeń, w jakie wyposażone są indiańskie wigwamy. Domostwa te zamieszkiwała rasa ludzi ani nie

uprawiająca ziemi, ani nie posiadająca zrozumienia dla rozkoszy, którą daje człowiekowi pracowita zapobiegliwość. Kobiety, skądinąd traktowane przez mężczyzn z miłością, a nawet z pełnym delikatności szacunkiem, wykonywały całą pracę przy gospodarstwie. Mężczyźni - wyjąwszy niechętnie wykonywaną orkę prymitywnym lemieszem lub częściej łopata, czyli pracę w ich mniemaniu niegodną mężczyzny - zajmowali się wyłącznie hodowlą bydła, stanowiącą podstawę ich bogactwa. A poza tym w chwilach wolnych polowali, łowili ryby lub w krótkich okresach pokoju

włoczyli się po okolicy, plądrując dla zabicia czasu, grabiąc zaś śmieiej i walcząc z zacieklą wrogością

w czasach wojny, którą - czy była lokalna, czy publiczna - uważali za główne zadanie w życiu i jedyne, jakiego można się nie wstydzić.

Sama wspaniała tafla jeziora zachwycała wzrok. Malownicza mała wyspa pośrodku dodawała uroku temu szlachetnemu bezmiarowi wód, z którego wypływa majestatyczna rzeka. Ruiny na wyspie, teraz niemal bezkształtne i porośnięte lasem, w czasach niniejszej opowieści strzelały ku górze wieżami i pinaklami opactwa, w którego podziemiach spoczywały szczątki Sybilli, córki Henryka I, króla Anglii, i małżonki Aleksandra I, króla Szkocji. Uznano, że święte to miejsce jest godne zaszczytu przyjęcia szczątków wodza klanu Quhele przynajmniej do czasu, gdy minie obecne wielkie zagrożenie

i można będzie trumnę ze zwłokami przewieźć do słynnego klasztoru na pomocy kraju, gdzie Gilchrist MacIan miał znaleźć wieczne spoczywanie pośród swoich przodków.

Gdy od brzegów w bliższych i dalszych punktach zaczęły odbijać łodzie, niektóre z zatkniętymi na dziobie czarnymi chorągwiami, inne wiozące na rufie kobziarzy, którzy od czasu do czasu wydobywali ze swych instrumentów po kilka przenikliwych żałosnych w brzmieniu i zawodzących tonów, Glover zrozumiał, że niebawem rozpocznie się ceremonia. Ale było to tylko jakby strojenie instrumentów, ciche i stłumione w porównaniu z potężnym szlochem piszczałek, który niedługo miał wybuchnąć.

Ściszony dźwięk dał się słyszeć z odległego krańca jeziora, zda się, że z samych dalekich dolin, którymi spływały do Loch Tay rzeki Dochart i Lochy. Bo w dzikim i niedostępnym zakątku, tam gdzie później Campbellowie wybudowali obronną twierdzę Finlayrigg, oddał ostatnie tchnienie przesławny wódz klanu Quhele; żeby zaś dodać splendoru obrządkom pogrzebowym, postanowiono przewieźć jego zwłoki jeziorem na wyspę, gdzie miały znaleźć chwilowy spoczynek. Flota żałobna, na

czyle której płynęła barka wodza z zatkniętą na dziobie, ogromną, czarną chorągwią, przebyła dwie

trzecie drogi, zanim Glover dojrzał ją ze swego wzgórza. Z chwilą gdy dały się słyszeć żałobne pienia

płynące z barki pogrzebowej, umilkły natychmiast wszystkie inne lamenty - jak kruk przestaje krakać, a sokół pogwizdywać, ilekroć rozlegnie się krzyk orła. Łodzie, rozproszone dotąd po jeziorze, jak stado ptactwa wodnego unoszące się bezładnie na powierzchni wody, skupiły się teraz w regularnym szyku, by przepuścić żałobną flotyllę i zająć w orszaku wyznaczone im miejsce. Tymczasem przeraźliwy świst piszczałek wojennych wzmagął się bezustannie, a zawodzenie setek żałobników na niezliczonych łodziach, nabrzmiące żalnością i coraz głośniejsze, buchnęło dzikim chórem i falami dźwięku dotarło aż na szczyt Cisowego Wzgórza, skąd Glover przyglądał się widowisku. Na dziobie płynącej przodem barki stało jak gdyby rusztowanie, na którym spoczywały okryte białym płótnem, z twarzą odsłoniętą, śmiertelne szczątki zmarłego wodza. Jego syn i najbliżsi krewniacy znajdowali się obok, za nimi zaś płynęła niezliczona ilość łodzi najrozmaitszego rodzaju - wszelkich, jakie zdołano zgromadzić na Jeziorze Tay czy też przenieść lądem z Jeziora Earn. Niektóre były kruche, zdarzały się nawet maleńkie czółna ze skóry rozpiętej na wierzbowych obręczach. Część żałobników zaufała tratwom skleconym na tę okazję z byle jakiego materiału i złączonych tak niedbale, iż było rzeczą prawdopodobną, że zanim skończy się ów pogrzeb na wodzie, niektórzy członkowie klanu przeniosą się w zaświaty, by tam służyć swemu wodzowi.

Gdy główna flotylla zbliżyła się do łodzi skupionych blisko wąskiej gardzieli jeziora i opływających właśnie wysepkę, obie grupy powitały się zawołaniem tak gromkim i zakończonym kadencją tak rozciągniętą i dziką w brzmieniu, że nie tylko jelenie pierzchły w popłochu z okolicznych dolin i szukały schronienia w ostępach leśnych na dalekich stokach, lecz nawet bydło domowe, przywykłe do głosu człowieka, czmychnęło z pastwiska na moczary.

Na odgłos tej wrzawy mnisi zamieszkujący wysepkę wynurzyli się jeden po drugim ze skromnego portalu, niosąc krzyże i chorągwie i krocząc z takim eklezjastycznym ceremoniałem, na jaki

pozwalają

im skromne środki; jednocześnie trzy dzwony klasztoru zaczęły wydzwaniać pozgonne, a głos ich, płynący ponad długim jeziorem, dotarł do milczącego teraz tłumu i mieszał się z uroczystymi pieniami

mnichów idących żałobną procesją. Teraz krewni zmarłego przenieśli ciało na brzeg i położywszy je na ławie z dawna do tego celu przeznaczonych, odprawili *deasil*, czyli starodawną ceremonię, która polegała na obchodzeniu trzykrotnie ciała osoby żywej lub zmarłej, by ubłagać dla niej

błogosławieństwo. Gdy następnie krewni podźwignęli ciało i wnieśli je do kościoła, z piersi tłumu wyrwał się kolejny chóralny wrzask, w którym potężne głosy wojowników i piskliwy lament niewiast

mieszał się z drżącym zawodzeniem starców i jęklwym płaczem dzieci. Okrzyk wojenny wzbijał się w niebo po raz ostatni, gdy wnoszono ciało zmarłego do kościoła, dokąd weszli tylko najbliżsi krewni i najwybitniejsi członkowie klanu. Ostatni ten wrzask był tak ogłuszający, a powtórzyły go i ustokrotniły tak liczne echa, że Glover instynktownie podniósł dłonie do uszu. Stał w tej pozycji, dopóki

spłoszone sokoły, orły i inne ptaki nie zaczęły wracać na swoje dawne miejsca. I wtedy to, gdy opuścił

ręce, usłyszał tuż obok głos.

- Czy sądzisz, Szymonie Glover, że jest to hymn wyrażający skruchę i sławiący Boga - taki, jaki powinien towarzyszyć nieszczęsnej, samotnej duszy wygnanej z ziemskiej powłoki w drodze przed oblicze Stwórcy?

Glover odwrócił się i bez trudu rozpoznał w starcu z długą, białą brodą i o łagodnym spojrzeniu czystych oczu, a także dobrotliwym wyrazie oblicza - ojca Klemensa, kartuza, choć mnich odziany był

nie w mnisie szaty, lecz w opończę z grubego sukna i góralską czapę.

Czytelnik pamięta zapewne, że Glover żywił do ojca Klemensa uczucie szacunku zmieszanego z niechęcią - szacunku dla charakteru i osobowości zakonnika, niechęci, ponieważ szczególne tezy

głoszone przez ojca Klemensa stały się przyczyną trosk i niedoli jego i córki. Dlatego nie bez uczucia pewnej satysfakcji odpowiedział na pytanie mnicha, co sądzi o obrzędach pogrzebowych odprawianych z taką dzikością.

- Doprawdy nie wiem, mój ojczu... Przecież ci ludzie spełniają swoją powinność wobec zmarłego wodza zgodnie z obyczajami swych przodków. W dzikiej pieśni wyrażają żal za przyjacielem, który odszedł, i wnoszą za nim modły do niebios. A to, co jest czynione w dobrej wierze, powinno moim zdaniem być przyjęte łaskawie. Bo inaczej Duch Święty dawno by ich oświecił.

- Mylisz się, mój bracie - odpowiedział mnich. - Bóg zesłał światło między nas wszystkich, choć różnie nas nim obdzielił. Ale człowiek własnowolnie zamyka oczy i nad światło, przedkłada ciemność. Ci nieoświeceni ludzie mieszają z rytuałem katolicyzmu pradawne pogańskie obyczaje swych przodków i w ten sposób jednoczą z ohydą Kościoła skażonego przez bogactwo i władzę okrutny i krwawy obrządek dzikich bałwochwalców.

- Ojczu - wybuchnął Szymon - sądzę, że twoja obecność dałaby większy pożytek w tamtej kaplicy, gdzie pomógłbyś swym braciom w pełnieniu księżyich obowiązków, niż tutaj, gdzie podważasz wiarę posłusznego, choć nieoświeconego chrześcijanina, jakim ja jestem.

- Czy myślisz, bracie Szymonie, że pragnę podważyć zasady twojej religii? - spytał kartuz. - Niebiosami świadkiem, że gdyby moja krew mogła wzmocnić i scalić wiarę najpokorniejszego choćby człowieka, szczerze oddałbym ją na ten cel.

- Przemawiasz pięknie, ojczu Klemensie, tego nie mogę ci odmówić - rzekł Glover. - Ale jeśli mam sądzić doktrynę po jej owocach. Bóg mnie pokarał ramieniem Kościoła, żem twym naukom nadstawił ciekawego ucha. Zanim ciebie usłyszałem, mój spowiednik był dla mnie łaskawszy, nawet

jeśli mu wyznawałem, żem przy dzbanie piwa opowiadał facecje o braciszkach zakonnych czy o mniszkach. Jeśli zdarzyło mi się nazwać ojca Huberta lepszym łowcą zajęcy niżli łowcą dusz, spowiadałem się u wikarego Vinesaufa, który najpierw kwitował to moje przewinienie śmiechem, a

potem za pokutę rozkazywał mi płacić rachunek w gospodzie... A jeśli powiedział, że wikary

Vinesauf większe okazuje przywiązanie do dzbana niżli do brewiarza, spowiadałem się ojcu

Hubertowi i nowa para rękawic do polowania z sokołem zmywała mój grzech. I tak moje sumienie i

matka Kościół żyły sobie we wzajemnej zgodzie, przyjaźni i wyrozumiałości. Ale odkąd zacząłem słuchać twych nauk, ojczyźnie Klemensie, legła w gruzach cała ta bogobojna harmonia i słyszę już tylko o piekle w przyszłym, a ogniu i wiązках chrustu na tym świecie. Przeto albo ja muszę cię unikać, albo

ty przemawiaj jeno do tych, co potrafią zrozumieć twoją doktrynę. Nie jestem stworzony na

męczennika; nigdy w życiu nie miałem dość odwagi, żeby choć zgasić świecę palcami. A jeśli mam rzec prawdę, zamierzam wrócić do Perth, wyjednać przebaczenie w sądzie duchownym, zanieść moją

wiązkę chrustu na stopnie szubienicy, na znak, że publicznie odwołuję dawne poglądy, i odzyskać imię dobrego katolika - choćby za cenę całego mojego ziemskiego dobytku.

- Unosisz się gniewem, najdroższy bracie - rzekł ojciec Klemens - i już chciałbyś się wyrzec owego małego ziemskiego niebezpieczeństwa i owej małej ziemskiej straty, którymi płacisz za dobre myśli kiedyś ci bliskie.

- Łatwo ci tak mówić, ojczyźnie Klemensie, skoro dawno już wyrzekłeś się spraw tego świata i gotów jesteś oddać życie, jeśli będzie trzeba, za doktryny, które głosisz i w które wierzysz. Jesteś tak skory przywdziać męczeńską smołowaną koszulę i czapkę nasyconą siarką, jak człowiek rozebrany do naga skory jest się położyć do łóżka... i sędzę, że w gruncie rzeczy nie miałbyś nic przeciwko tej ceremonii.

Ale ja wciąż noszę moje zwykłe odzienie i nie wyrzekłem się dóbr ziemskich... Bogu dziękuję, że mam ich pod dostatkiem, a żyję, jak żyć powinien krzepki sześćdziesięcioletni starzec, któremu niespieszno na tamten świat. Ale nawet gdybym był biedny jak Hiob i stał nad grobem... czyż nie powinienem trzymać się życia dla dobra mojej córki, na która twoje nauki ściągnęły już tak bolesną niedolę?

- Twoja córka, przyjacielu Szymonie - powiedział kartuz - jest istnym aniołem na ziemi.

- Słuszna to prawda. A ponieważ przyjęła twoje doktryny, ojciec, łącznie może się stać teraz aniołem w niebiesiech... i trafić tamże na ognistym wozie.

- Proszę cię, zacny Szymonie - skarcił go ojciec Klemens - byś przestał mówić o tym, czego nie rozumiesz. A skoro próba ukazania ci światła, które cię jeno niecierpliwi, jest stratą czasu, posłuchaj tego, co mam ci do powiedzenia o twojej córce. Bo szczęście doczesne tej dziewczyny, acz nie równam go nawet ze szczęściem duchowym, jest nie mniej drogie Klemensowi Blair, jak jej własnemu ojcu.

Gdy starzec wypowiadał te słowa, w jego oczach pokazały się łzy, nie dziwota więc, że Szymon Glover przemówił do niego tonem znacznie łagodniejszym.

- Rzec by można, ojciec Klemensie, że jesteś najdobrotliwszym i najmiłszym z ludzi. Czemu więc ściga cię złość ludzka, gdziekolwiek zwrócisz kroki? Dałbym głowę, żeś już zdążył obrazić tych tam braciszków w ich wodą opasanym domostwie i że ci wzbronili uczestnictwa w uroczystościach pogrzebowych.

- Nie inaczej, mój synu - przyznał zakonnik. - I myślę, że powodowani złością, wygnają mnie niebawem z tych ziem. A powiedziałem im tylko, że rozsądzanie po dźwięku dzwonu na kościele Świętego Filliana, kto jest winien, a kto nie winien kradzieży, to zwykły zabobon i głupota, podobnie jak leczenie szaleńców przez zanurzanie w przykościelnej sadzawce - i zaraz na mnie huzia!

Prześladowcy wygnali mnie ze swej społeczności i wiem, że radzi by mnie wyprawili na tamten świat.

- Oto, jaki jest koniec - rzekł Glover - kiedy człowiek nie chce usłuchać przestrogi! Ale cóż, ojciec Klemensie, nie chciałbym, żeby mnie stąd wygnano, ponieważ przebywam w twoim towarzystwie. Dlatego powiedz mi, proszę, co masz do powiedzenia o mojej córce, a potem niechaj każdy z nas pójdzie w swoją stronę.

- Otóż posłuchaj, bracie Szymonie. Ów młody wódz, którego rozpiera własna chwała i myśl o

posiadanej władzy, oddałby to wszystko za przychylność twojej córki, którą miłuje.

- Co, Conachar? - wykrzyknął Glover. - Mój zbiegły czeladnik ośmiela się podnosić wzrok na moją córkę?

- Ach, niestety - westchnął ojciec Klemens - jakże uparcie czepia się nas pycha... niczym bluszcz szorstkiego muru! Conachar ośmiela się podnieść wzrok na twoją córkę, cny Szymonie? Jakże! Wódz klanu Quhele, można już teraz i ufny, że niebawem zdobędzie nowe tytuły do chwały, zniża się do córki mieszczanina z Perth i mniema, że afekt ten przynosi mu ujmę. Ale - używając jego własnych bluźnierczych słów - Katarzyna jest mu droższa niż życie na ziemi i wieczne życie w niebie... nie może żyć bez niej.

- To niech umiera, jeśli ma ochotę - wybuchnął Szymon Glover - bo Katarzyna jest przeznaczona zacnemu obywatelowi Perth! A ja nie złamię danego słowa, nawet gdyby moja córka miała zostać oblubienicą następcy tronu!

- Spodziewałem się takiej odpowiedzi - rzekł ojciec Klemens. - Pragnąłbym, cny przyjacielu, żebyś wniósł w dziedzinę spraw duchowych nieco stanowczości i odwagi, jakimi się powodujesz w sprawach doczesnych.

- Sza... sza, ojczy Klemensie! - odparł Glover. - Kiedy wpadasz w zapał takich argumentów, twoje słowa pachną roztopioną smołą, a ja nie lubię takiej woni. Cóż, jeśli idzie o Katarzynę, będę musiał jakoś politykować, żeby nie ściągnąć na siebie gniewu młodego dostojnika. Bogu dzięki, że dziewczyna jest tam, gdzie jej nie dosięgnie.

- Z tego wynika, że przebywa gdzieś bardzo daleko - rzekł mnich. - A teraz, bracie Szymonie, skoro uważasz, że ryzykownie jest przyznawać się do mnie i do moich doktryn, odejdę i będę je dźwigać samotnie, i samotnie stawię czoło niebezpieczeństwom. Gdyby jednak twoje oczy, mniej oślepione, niż są teraz doczesnymi lękami i nadziejami, spojrzały wstecz na tego, który może już niedługo będzie przebywał na tej ziemi, pamiętaj, że tylko głębokie przekonanie o prawdzie i ważności doktryn,

których nauczał, mogło sprawić, że Klemens Blair ściągnął na siebie gniew potężnych i zatwardziałych, wzbudził obawy zazdrosnych i bojaźliwych, szedł przez życie, jak gdyby nie należał już do tego świata, i zdobywał dusze dla Boga, choć ludzie spoglądali na niego niczym na obłąkańca. Ale biada mi, gdybym nie głosił Ewangelii - nawet jeśli w końcu będę ją głosił z płonącego stosu! Tak przemawiał ów mężny starzec nie znający lęku; jeden z tych, których niebiosa zsyłają niekiedy na ziemię, żeby zachowywali w wiekach najmroczniejszych i przekazywali przyszłym pokoleniom od czasu apostołów aż do epoki, w której dzięki wynalazkowi druku rozkwitła reformacja w całej swej wspaniałości - nieskażony chrześcijaństwo. Glover zrozumiał nagle, jak egoistyczne jest jego postępowanie; i gdy patrzył na mnicha odchodzącego w nimbie świątobliwej rezygnacji, wydał się sobie człowiekiem godnym wzgardy. Zaprzagnął nawet pójść za przykładem kaznodziei, naśladować jego altruizm i bezinteresowny zapał; ale było to jakby błyskawica przecinająca ciemny loch, która zgasła, bo nie znalazła materiałów zapalnych. Przeto Glover puścił się wolno w kierunku przeciwnym

obranemu przez kartuskiego mnicha i zagłębiwszy się w niewesołych myślach, zapomniał o nim i jego

doktrynie.

ROZDZIAŁ XXVIII

Czego owi nikczemni zdobywcy chcieć mogą?

Kupnej karty Historii ich wielkość głoszącej,

Ziem rozległych dla siebie, ozdabianych grobów?

Dusze mieli odważne - nadzieje gorące.

BYRON

Po zakończeniu uroczystości pogrzebowych ta sama flotylla łodzi, która płynęła w uroczystym żałobnym kondukcie, rozpoczęła drogę powrotną z rozwiniętymi chorągwiami i wśród głośnych oznak

wesela, zbliżał się bowiem termin straszliwej rozprawy między klanem Quhele a jego najgroźniejszymi wrogami i niewiele pozostało czasu na radosne obchody. Postanowiono zatem, że stypa będzie jednocześnie ucztą biesiadną towarzyszącą zwykłe wprowadzeniu na urząd młodego wodza.

Ta decyzja spotkała się ze sprzeciwem, uważano bowiem, że zawiera zły omen. Z drugiej jednak strony, pewne względy przemawiały za jej słuszością, chociażby już same obyczaje i temperament Pogórczan, którzy do dzisiaj często łączą ze smutkiem pewną powściągliwą wesołość, radość zaś zaprawiają melancholią. Tej pewnej powagi, a jednocześnie uczuciowej rasie obca jest zwykła u innych narodów odraza do mówienia lub myślenia o bliskich i kochanych, którzy odeszli. Nie tylko młodzi rozpamiętują (co zdarza się zresztą wszędzie) zasługi i cnoty zmarłych rodziców; ale zdarza się często, że wdowa lub wdowiec wspomina w zwykłej rozmowie o zmarłym współmałżonku i - co jest jeszcze mniej zrozumiałe - osieroceni rodzice napomykają o piękności czy zaletach dzieci, które pochowali. Dla szkockich górali śmierć rozdzielająca najbliższych nie jest czymś tak ostatecznym jak dla innych narodów, mówią więc o drogich zmarłych jak o kimś, kto wyjechał w daleką podróż i za kim oni sami niebawem podążą. Dlatego też uczestnicy biesiady nie dopatrywali się żadnej niestosowności w łączeniu stypy pogrzebowej z ucztą wydawaną na cześć młodego wodza.

Barka, która niedawno przewoziła nieboszczyka w drodze do grobu, wiozła teraz młodego MacIana w rozpoczynającej się drodze do władzy; i minstrele śpiewali Eachinowi najradośniejsze pieśni gratulacyjne, choć zaledwie przed godziną zawodzili żałośnie, towarzysząc Gilchristowi na miejsce

wiecznego spoczynku. A z nielicznych czółen buchały teraz tryumfalne, wesole okrzyki, nie przypominające w niczym nabrzmiąłych lamentem wrzasków, które zda się przed chwilą mąciły ciszę nad Loch Tay; i tysięczne głosy pozdrowiały młodego wodza, gdy stał na dziobie barki uzbrojony od stóp do głów, urodziwy, promieniejący młodocianym zapalem - stał na tym samym miejscu, na którym jeszcze przed chwilą spoczywało ciało jego ojca, stał otoczony przez tryumfujących przyjaciół, jak jego zmarły ojciec otoczony był przez niepokieszonych żałobników. Jedna łódź trzymała się bliżej niż inne paradnej barki wodza. Przy sterze siedział Torquil z Borów Dębowych, posiwiaty olbrzym, wiosła zaś dzierżyło ośmiu jego synów, z których każdy przewyższał wzrostem najwyższego nawet Pogórzanina. I podobnie jak silny i ulubiony pies myśliwski spuszczonej ze smyczy ugania się wokół pobłażliwego pana, tak łódź Torquila wyprzedzała barkę młodego wodza raz

z tej strony, raz z drugiej, a nawet opływała ją dokoła, pragnąc niejako wyładować nadmiar niepohamowanej radości; jednocześnie zaś, z zazdrosną czujnością zwierzęcia, do którego przyrównywaliśmy łódź, jej wiosłarze nie pozwalali zbliżyć się nikomu do barki wodza; nikt też nie próbował, pełne bowiem rozmachu manewry groziły każdemu zatopieniem. W taki to dziki i niemal groźny sposób zaznaczyli Torquilowie, których wpływy w klanie wzrosły z chwilą objęcia władzy przez Eachina MacIana, swój radosny udział w tryumfie młodego wodza.

Daleko z tyłu płynęło małe czółno wiozące Glovera; ale stary Szymon nie dzielił bynajmniej ogólnej radości. Przewoźnikami byli pasterz Booshalloch i jeden z jego synów.

- Jeżeli płyniemy na drugi koniec jeziora - zwrócił się Szymon do swoich przyjaciół - droga potrwa najmniej kilka godzin.

Ale ledwie wypowiedział te słowa, na znak dany z barki wodza Torquilowie, jego wierna straż przyboczna, odłożyli wiosła, a gdy zrównało się z nimi czółno wiozące Glovera, rzucili Nielowi Booshallochowi rzemień spleciony ze skór wołowych, który pasterz przymocował do dzioba; wtedy krzepka załoga ponownie chwyciła za wiosła i choć obciążeni holowanym czółnem, popłynęli z tą

samą niemal prędkością, która groziła zda się czółnu albo zatonięciem, albo oderwaniem części dziobowej.

Glover z niepokojem obserwował dzikie harce, zwłaszcza że chwilami woda przelewała się przez burzę kruchej łódki, a chociaż stary pasterz wyjaśnił mu, że wszystko to jest robione na jego cześć, Szymon wzdychał w skrytości, żeby szaleńcza podróż jak najprędzej się skończyła. Nastąpiło to szybciej, niż przypuszczał, bo miejsce biesiady było odległe od opactwa na wyspie zaledwie o cztery mile, na szlaku, którym po zakończeniu uroczystości młody wódz miał się udać w kierunku południowo-wschodnim.

Gdy łodzie wpłynęły do małej zatoki na południowej stronie Jeziora Tay, oczom przybyłych ukazała się piękna piaszczysta plaża, wymarzone miejsce do lądowania, a za nią murawa, niezwykle puszysta i zielona o tej porze roku, okolona niskopiennym lasem; Glovera zdumiała hojność przygotowań poczynionych już do uczyty.

Pogórzanie, istni mistrzowie w posługiwaniu się siekierą, wzniesli tu długą altanę, czy też leśną salę bankietową mogącą pomieścić dwustu biesiadników; liczne małe szałas-y dokoła były, jak się okazało, przeznaczone na kwatery sypialne. Belki pionowe, krokwie i szkielet dachu zrobiono z nieociosanych

pni limby. Ściany boczne zbudowano z belek limbowych, gęsto przeplecionych gałęziami świerków i innych drzew iglastych rosnących w pobliskich lasach, podczas gdy zbocza pagórków dostarczały wrzosu na poszycie dachu. Do tego leśnego pałacu zaproszono najznakomitszych gości. Inni, mniej dostojni, mieli ucztować w podłużnych szałasach, wzniesionych jednak z mniejszym staraniem niż altana wodza; dla niezliczonych zaś tłumów przygotowywano pod gołym niebem stoły z darniny lub nie heblowanych desek. Nieco dalej widać było stosy rozżarzonego węgla drzewnego i ogromne ogniska, wokół których krzątały się dziesiątki kucharzy podobnych demonom uwijającym się w swym przyrodzonym żywiole. Jamy wykopane w stokach pagórków i wyłożone rozgrzany-mi kamieniami

zastępowały piece, w których pieczono ogromne ilości wołowiny, baraniny i dziczyzny, a na drewnianych roznach obracały się nad ogniem całe kozy i barany; gdzie indziej znów gotowały się poćwiartowane sztuki w kotłach zeszytych pośpiesznie ze skór zwierzęcych i napełnionych wodą. Z większą starannością prażono na rozżarzonych węglach obfitość szczupaków, łososi i pstrągów. Glover uczestniczył już w niejednej góralskiej biesiadzie, nigdy jednak nie widział tak pełnych rozmachu przygotowań.

Niewiele miał jednak czasu na oglądanie roztaczających się przed nim dziwów, bo natychmiast po wyjściu na brzeg stary pasterz powiedział, nie bez zakłopotania, że skoro nie zaproszono ich do głównego stołu, czego się najwyraźniej spodziewał, muszą bezzwłocznie poszukać miejsca w jednym z ostatnich szałasów. Ale gdy prowadził Glovera w obranym przez siebie kierunku, zatrzymał go po drodze jeden z synów Torquila, pełniący snadź funkcję mistrza ceremonii, i wyszeptał mu coś do ucha.

- Ach, tak myślałem - rzekł Booshalloch z ulgą. - Miałem nadzieję, że wódz nie odmówi miejsca przy honorowym stole ani obcemu przybyszowi, ani mnie, który jestem jego przewodnikiem.

Wprowadzono więc ich do głównej altany, gdzie stały rzędem długie stoły, wokół których wszystkie już niemal miejsca były zajęte; służba wniosła właśnie ogromne michy różnorodnych, acz

niewyszukanych potraw. Chociaż młody wódz niewątpliwie widział wchodzących do altany Glovera i

pasterza, nie powitał ich jednak ani do nich nie przemówił, miejsca zaś wyznaczono im daleko, na szarym końcu.

Booshalloch, wyraźnie niezadowolony, siadając wymamrotał do Glovera:

- Czasy się zmieniły, przyjacielu. Gilchrist, Panie świeć nad jego duszą, zagadałby do nas obu. Eachin

nauczył się tej niegrzeczności u was na Nizinie.

Glover pominął tę uwagę milczeniem i skierował wzrok na skóry zwierzęce i inne ornamenty zdobiące

ściany pomieszczenia. Wyróżniały się wśród tych ozdób góralskie kolczugi, każda uzupełniona kompletem stalowych hełmów, toporów wojennych i obosiecznych mieczów, a także bogato rzeźbionymi i wyłaczanymi tarczami. Wszystkie kolczugi były rozpięte na starannie wyprawionych skórach jelenich, co podnosiło ich wygląd i zabezpieczało przed wilgocią.

- Są to zbroje wojowników, którzy pójdą w bój po stronie klanu Quhele - wyszeptał Booshalloch. - Jak

widzisz, przyjacielu, jest ich dwadzieścia dziewięć. Byłoby trzydzieści, tylko że Eachin wystąpił dzisiaj w pełnym rynsztunku. Prawdę mówiąc, wolałbym, żeby w Niedzielę Palmową nosił lepszą kolczugę niż ta, którą posiada. Te tam ogromne zbroje należą do dziewięciu Torquilów z jego straży przybocznej, w których cały klan pokłada wielkie nadzieje.

- Jak myślisz, zacny pasterzu, czy wódz zgodziłby się sprzedać mi te przednie skóry jelenie? - spytał Glover, bo widok pięknych skór wzbudził w nim nagłe zainteresowanie. - Bardzo są one poszukiwane

na kaftany, jakie rycerze noszą pod zbrojami.

- Prosiłem cię już, rękawiczniku - obruszył się Niel Booshalloch - żebyś nie wspominał o tym zwierzęciu ani o jego skórze.

- O, to lepiej rozmawiajmy o kolczugach - poprawił się Glover. - Nie wiesz, przyjacielu, czy przypadkiem któraś z tych kolczug nie była wykuta w kuźni naszego słynnego płatnerza imieniem Harry Smith?

- Tym razem jeszcze gorzej utrafił - skarcił go szeptem pasterz. - Nazwisko tego człowieka rozpała gniew Eachina do białości, chociaż nikt nie wie dlaczego.

„Mógłbym ci wytłumaczyć przyczynę” - pomyślał Glover, ale milczał. A ponieważ dwukrotnie poruszył drażliwy i niebezpieczny temat, zrezygnował z rozmowy i za przykładem współbiesiadników

skierował uwagę na jadło.

Ze szczegółowego opisu przygotowań czytelnik łącznie wysnuje wniosek, że potrawy na uczenie były

niewyszukane i że przeważały wśród nich pieczone mięsiwa spożywane wbrew zakazom postu, chociaż do stołu zasiadło kilku mnichów z klasztoru na wyspie. Talerze były drewniane, podobnie jak faski i kubki, z których biesiadnicy pili wino i piwo oraz rosół gotowany na mięsie i będący ulubionym przysmakiem Pogórzeń. Chleba było mało, jednakże Glover i jego opiekun Niel otrzymali każdy po małym bochenku na swój użytek. Goście posługiwali się przy jedzeniu własnymi nożami lub sztyletami, beztrąsko obojętni wobec myśli, że niejednokrotnie służyły one zgoła innym, częstokroć złowieszczy celom.

Na głównym miejscu przy stole stało na podwyższeniu krzesło przykryte baldachimem z ostrokrzewu i bluszczu, na nim zaś spoczywał miecz i zwinięta chorągiew. Miejsce to zajmował za życia zmarły wódz. Eachin siedział niżej, na krześle ustawionym po prawej stronie honorowego stolca.

Myliłby się jednak czytelnik, który z dotychczasowego opisu wyciągnąłby wniosek, że goście byli podobni głodniemu wilkowi rzucającym się w zapamiętaniu na ową rzadką obfitość jadła.

Przeciwnie, wojownicy klanu Quhele odznaczał się dworną rezerwą i usłużnością dla współbiesiadników, która często cechuje prymitywne plemiona, zwłaszcza plemiona wojownicze i nie rozstające się z orężem; albowiem tylko pilne przestrzeganie zasad wzajemnej kurtuazji zapobiega może kłótniom, przelewowi krwi i śmierci. Rozsadzani przez Torquila z Borów Dębowych biesiadnicy spokojnie zajmowali wyznaczane im miejsca i czekali cierpliwie na roznoszone przez służbę potrawy. Dla rozrywki zebranych bard opiewał cnoty zmarłego wodza i w pięknych słowach wyraził ufność klanu do rozkwitających jak pąki kwieciana cnota jego następcy; grajkowie przygrywali na lutniach we wnętrzu altany, podczas gdy kobziarze zabawiali dźwiękiem wojennych piszczałek tłumy uczujące pod gołym niebem. Biesiadnicy prowadzili między sobą rozmowy poważne, głosami stłumionymi i dwornie, nikt nie wybuchał rubasznym śmiechem, a jeśli zdobywano się na wesołość, były to co najwyżej żarciki mogące wywołać zaledwie przelotny uśmiech. Nikt nie podnosił głosu,

nikt się z nikim nie kłócił; a Szymonowi Gloverowi nieraz zdarzało się słyszeć wrzawę dziesięciokrotnie głośniejszą na ucztach cechowych w Perth niż na biesiadzie, w której uczestniczyło dwustu dzikich górali.

Nawet trunki nie zmąciły tego nastroju uroczystej powagi. A trunki były rozmaite; wina podano niewiele i tylko dostojniejszym gościom, do których liczby ponownie zaliczono Szymona Glovera. W rzeczy samej tylko owo wino i dwa bochenki pszennego chleba dowodziły, że zauważono jednak jego obecność; ale Niel Booshalloch, dbający pilnie o reputację swego pana jako gościnnego gospodarza, nie omieszkał zapewnić Szymona, że jest to dowód niezwykłego wyróżnienia. Whisky podano w znikomych ilościach i tak mocno zaprawioną szafranem i innymi ziołami, że bardziej przypominała napój leczniczy niż biesiadny kordiał. Niewiele też widziało się jabłecznika i miodu, natomiast piwo, specjalnie uwarzone na tę okazję, obficie płynęło z dzbanów, choć biesiadnicy pili je z umiarkowaniem nie znanym dzisiaj na Pogórze. Po zakończeniu biesiady pierwszym solennym toastem uczczono pamięć zmarłego wodza; i rozległ się wokół stołów szmer wypowiedzianych szeptem

błogosławieństw, podczas gdy mnisi odśpiewali Requiem aeternam dona*. Gdy wstał Eachin i krokiem śmiałym i męskim, a jednak z przystojną skromnością, wszedł na stopnie podwyższenia, na którym stał fotel czy też tron jego ojca, zapadła cisza nabrzmiała oczekiwaniem.

- Przychodzę - rzekł młody wódz z godnością i mocą - by objąć to miejsce i tę puściznę po mym ojcu.

Tak mi dopomóż Bóg!

- Jak zamierzasz sprawować władzę nad dziećmi swego ojca? - spytał starzec, stryj zmarłego Gilchrista.

- Będę ich bronił mieczem mego ojca i wymierzał sprawiedliwość pod jego rodowym sztandarem.

Wtedy starzec drżącymi rękami wyjął potężny miecz z pochwy i trzymając go za brzeszczot, wsunął jego głownię w dłoń Eachina; jednocześnie Torquil z Borów Dębowych rozwinął sztandar plemienny nad głową młodego wodza, który z zachwycającym wdziękiem i zręcznością zaczął wywijać

ogromnym mieczem, jak gdyby bronił sztandaru. Z piersi zebranych wyrwał się gromki okrzyk; tak to wojownicy wyrazili aprobatę dla patriarchalnego wodza, który żądał od nich wierności, i trzeba rzec,

że gdy spoglądali na jego urodziwą i męską postać, nikt nawet nie pomyślał, iż z młodzieńcem tym jest związane złowieszcze proroctwo. A gdy tak stał w błyszczącej koleczudze, oparty na długim mieczu, i dostojnym gestem dziękował za wiwaty, od których drżało powietrze, Szymon Glover zaczął

wątpić, czy ten majestatyczny młody wódz może być tym samym chłopcem, którego on aż nazbyt często karciał i strofował; i nawet poczuł się nieswojo, że to kiedyś czynił. Zanim umilkły okrzyki, odezwali się minstrele, a góry i lasy rozbrzmiały echem lutni i piszczałek, choć jeszcze tak niedawno rozbrzmiewały echem żałobnych pieni.

Znużyłby czytelnika zbyt szczegółowy opis biesiady i toastów wznoszonych za pamięć dawnych bohaterów klanowych oraz za pomyślność dwudziestu dziewięciu męźnych wojowników, którzy mieli

stanąć do zbliżającego się boju pod wodzą młodego Eachina. Bardowie, którzy w tamtych odległych czasach uważani byli po części za wieszczów, nie omieszkali zapewnić zebranych, że klan Quhele odniesie świetne zwycięstwo, gdyż Błękitny Sokół, emblemat klanu Quhele, spadnie z dziką furią i rozerwie na strzępy Rysia Górskiego, owo znane godło klanu Chattan.

Zbliżał się już zachód słońca, gdy puszczono w krąg kubek zwany pucharem pożegnania - dębową czarękę spiętą srebrnymi obręczami. Był to sygnał do rozejścia się, chociaż ci, którzy pragnęli dalszej zabawy, mogli ją znaleźć w którejś z pomniejszych sal biesiadnych. Niel Booshalloch zaprowadził teraz Glovera do małego szałas, przeznaczonego, jak się zdawało, dla jednej tylko osoby, gdzie czekające nań posłanie z mchu i wrzosu i obfity zapas wszelkiego jadła wskazywały najwyraźniej, że ktoś pomyślał o wygodzie gościa.

- Nie wychodź z tego szałas, przyjacielu - ostrzegł go stary pasterz - bo jest to przeznaczone ci miejsce spoczynku. W taką noc łatwo stracić nocleg, bo wiadomo, że gdy borsuk wyjdzie z nory, lis

często wpełza na jego miejsce.

Szymon Glover chętnie zastosował się do tej rady. Znużył go rejwach dnia i ponad wszystko pragnął teraz spoczynku. Przeto zjadłszy kęs mięsa i wypiwszy kubek wina na rozgrzewkę, odmówił pacierz wieczorny, a następnie otulił się opończą i legł na posłaniu, bynajmniej mu nie przykrym, bo znanym z dawniejszych podróży. Śpiewy i rozmowy, a nawet niekiedy głośne okrzyki biesiadujących na dworze tłumów, nie mąciły mu odpoczynku; po dziesięciu minutach spał snem tak mocnym, jak gdyby znajdował się w swojej sypialni na Curfew Street.

ROZDZIAŁ XXIX

Wciąż nad mą córką się rozwodzi.

SZEKSPIR: Hamlet

Na dwie godziny przed pianiem koguta dobrze znajomy głos wypowiadający jego imię zbudził śpiącego.

- To ty... Conachar? - odparł przytomniejąc z trudem. - Czy słońce już wysoko na niebie? - Gdy otworzył oczy, ujrzał przed sobą młodzieńca, o którym śnił przed chwilą. A że jednocześnie wróciła mu pamięć zdarzeń dnia wczorajszego, zobaczył ze zdumieniem, że postać przed nim stojąca zachowała kształt nadany jej we śnie i że stoi przed nim bynajmniej nie młody wódz pogórzański w kolczudze i z obosiecznym mieczem, ale dawny Conachar z Curfew Street w skromnym czeladniczym odzieniu i z dębowym kijem w ręce. Widok ducha z zaświatów nie zdumiałby bardziej zacnego mieszczanina. Młodzieniec skierował teraz na starca blask tłącego się dębu kopalnego, który osadzony

był w prymitywnej latarni, i powiedział:

- We własnej osobie, ojczy Szymonie. Przyszedł do ciebie Conachar odnowić starą znajomość, a wybrał tę porę, żeby nie przyciągać do siebie zbytnej uwagi.

Przy tych słowach usiadł na pieńku zastępującym w szalasy krzesło i postawiwszy latarnię obok na ziemi, ciągnął przyjaźnie:

- Długo jadałem u twego stołu przysmaki, ojciec Szymonie. Ufam, że nie zabrakło ci u mnie dobrego jadła?

- Uchowaj Boże, Eachinie MacIain - odparł Glover, jako że prostota celtyckiego języka i obyczajów pomijała wszelkie paradne tytuły. — Jadło było zbyt obfite jak na okres postu, dla mnie zaś było aż nazbyt smaczne, bom ze wstydem myślałem, jak skromnie jadałem na Curfew Street.

- Aż za dobrze, używając twoich własnych słów - rzekł Conachar - jak na zasługi leniwego czeladnika

i potrzeby młodego górala z Pogórza. Ale czyś spostrzegł, ojciec Szymonie, że choć było może dość jadła na wczorajszej uczcie, brakło jednak serdecznych powitań? Nie usprawiedliwiaj mnie, proszę...

wiem, żeś to zauważył. Ale od niedawna sprawuję władzę nad moim ludem i nie powinienem zbyt wcześnie przypominać im o okresie, który spędziłem na Nizinie, a którego ja sam nie mogę zapomnieć.

- Rozumiem to doskonale - odparł Glover - i dlatego, wbrew sobie i zmuszony okolicznościami, przybyłem do ciebie tak rychło w odwiedziny.

- Sza, ojciec, sza! Rad jestem, żeś ujrzał mój pogórzański splendor, dopóki jeszcze lśni i błyszczy. Kto wie, kogo i co zastaniesz na naszych ziemiach, jeśli wrócisz tu po Niedzieli Palmowej! Rysie z klanu Chattan mogą rozbić swoje namioty tam, gdzie dzisiaj stoi biesiadna altana wodza klanu Quhele!

Conachar umilkł i przycisnął do ust koniec dębowego kijka, jak gdyby lękając się, że powie za dużo.

- Tego możesz się nie obawiać, Eachinie - rzekł Szymon w ów wymijający sposób, w jaki nie przekonani o własnej słuszności pocieszyciele starają się odwrócić uwagę swych przyjaciół od nieuniknionego niebezpieczeństwa.

- Jakże mogę się tego nie obawiać, skoro istnieje niebezpieczeństwo ostatecznej zagłady - odparł Eachin - i istnieje pewność krwawych strat. Nie pojmuję, jak mój ojciec mógł wyrazić zgodę na tę perfidną propozycję Albany'ego. Byłoby znacznie lepiej, gdyby MacGillie Chattachan, zawarł ze mną

ugodę, bo wtedy miał przelewać najlepszą naszą krew w walkach przeciwko sobie, połączylibyśmy się i ruszyli razem na Nizinę, zabijając i zajmując wasze żyzne ziemie. Ja rządziłbym w Perth, a on w Dundee i całe to terytorium aż po brzegi Firth of Tay należałoby do nas. Takiej polityki nauczyłem się od ciebie, ojciec Szymonie, kiedy stałem z dzbanem wina za twoimi plecami i przysłuchiwałem się twym wieczornym rozmowom z rajcą Craigdallie.

„Mądrze rzekł ten, kto nazwał język niesforną sługą - pomyślał Glover. - Oto stałem z zapaloną świeczką i oświetlałem diabłu drogę do psoty”.

Ale na głos powiedział tylko:

- Za późno już na takie plany.

- Tak, ojciec Szymonie, za późno! - przyznał Eachin. - Położyliśmy nasze znaki pod umowami bitewnymi i opatrzyliśmy je naszymi pieczęciami. Wzajemne obelgi i próżne przechwałki rozdmuchały nienawiść klanu Quhele i klanu Chattan i nic już nie ugasi jej płomienia. Tak, minęła sposobna pora. Ale wróćmy do twoich spraw, ojciec Szymonie. Doniósł mi Niel Booshalloch, że to religia przygnała cię w nasze strony. Znając twoją przezorność, nigdy bym nie przypuszczał, że posprzeczasz się z matką Kościołem. Bo co innego stary nasz znajomy, ojciec Klemens; należy on do tych ludzi, którzy polują na koronę męczeńską i milsza im jest myśl o stosie pięknie ułożonym z wiązek chrustu niż o gorejącej afektem narzeczonej. Jest istnym błędnym rycerzem broniącym swych religijnych przekonań i nie omija żadnej sposobności do walki. Pokłócił się już z mnichami z wyspy Sybilli o tę czy inną doktrynę. Widziałeś go, ojciec?

- Owszem - przyznał Szymon - ale mówiłem z nim krótko, bo nie było czasu.

- Nie mówił ci, że jest jeszcze ktoś trzeci... ktoś, dla kogo prześladowania religijne bardziej są groźne

niż dla ciebie, przebiegłego mieszczanina, i dla ojca Klemensa, wojowniczego kaznodziei... a komu wódz klanu Quhele z radością udzieli opieki? Jakże jesteś niedomyślny, człowieku! Twoja córka Katarzyna.

Te ostatnie słowa Eachin wypowiedział po angielsku. I dalej prowadził rozmowę w tym języku, jak gdyby lękając się, że go ktoś podsłucha; dźwięczało też w jego głosie wahanie.

- Moja córka Katarzyna - odparł Glover, pomny na słowa kartuskiego mnicha - jest zdrowa i bezpieczna.

- Ale gdzie? Z kim? - spytał młody wódz. - I czemu tu z tobą nie przyjechała? Czy myślisz, ojcze, że w klanie Quhele brak jest starych niewiast tak zwawych jak Dorota, która nieraz targąła mnie za uszy?

Myślisz, że nie usługiwałaby chętnie córce człowieka, który był panem ich wodza?

- Doprawdy bardzo ci dziękuję, Eachinie - odparł Glover - i wiem, że zaopiekowałbyś się moją córką

równie serdecznie jak mną. Ale pewna dama wysokiego rodu, przyjaciółka sir Patricka Charterisa, zaofiarowała jej na swym dworze bezpieczne schronienie, dzięki czemu Katarzyna uniknęła mozolnej podróży przez wyludniony i zrujnowany kraj.

- Och... rozumiem... sir Patrick Charteris - rzekł Eachin tonem powściągliwym i oschlejszym. - On miał pierwszeństwo, to zrozumiałe. Sir Patrick jest zapewne twoim przyjacielem? Czy tak?

Glover z trudem oparł się pokusie i doprawdy niewiele brakowało, a wyśmiałby tę sztuczną pozę chłopca, którego przez długie lata łajał po kilka razy dziennie, ponieważ samowolnie wybiegał na ulicę, żeby przyjrzeć się przejeżdżającej mimo drużynie rycerza z Kinfauns.

- Sir Patrick Charteris jest burmistrzem miasta Perth od lat siedmiu i zapewne nadal sprawuje ten urząd, jako że Perth wybiera nowego burmistrza nie w poście, tylko na świętego Marcina.

- Ach, ojcze Szymonie - zawołał młodzieniec, używając znów dawnego serdecznego zwrotu - tak jesteś przyzwyczajony do przepychu uroczystości i widowisk w Perth, żeś pewnie wczoraj patrzył z odrazą na nasze barbarzyńskie rytuały! Co myślisz o wczorajszym uroczystym obchodzie?

- Że był pełen godności i wzruszający - odparł Glover zwłaszcza dla mnie, który znałem twojego ojca.

Kiedyś stanął oparty na mieczu, miałem wrażenie, że widzę mego drogiego przyjaciela, Gilchrista

MacIana, który wstał z grobu odmłodził i z odrodzonymi siłami.

- Ufam, że dobrze odegrał moją rolę. I że niewiele było we mnie z owego nędznego czeladnika, którego traktowałeś tak... tak, jak on na to zasługiwał.

- Eachin tak przypomina Conachara - rzekł Glover - jak łosoś przypomina ikrę, z której się wykluwa, albo motyl przypomina poczwarkę.

- Czy myślisz, ojcze, że kiedyś przejmował władzę, którą wszystkie niewiasty tak miłują, niewieście oko chętnie by na mnie spoglądało? Mówiąc wyraźniej: co pomyślałaby o mnie Katarzyna, gdyby mnie widziała podczas tej ceremonii?

„Ho, ho! - pomyślał Szymon Glover. - Zbliżamy się teraz do mielizny i jeśli nie będziemy zręcznie manewrować, statek rozbije się o brzegi!”

- Większość niewiast, Eachinie - odparł na głos - lubi takie popisy. Myślę jednak, że moja córka Katarzyna stanowi wyjątek. Na pewno radowała się szczęśliwym zwrotem w życiu swego towarzysza zabaw dziecińczych. Ale nie byłby jej miłszy dostojny MacIan, wódz klanu Quhele, od sieroty Conachara.

- Tak, bo jest szlachetna i bezinteresowna - rzekł młody wódz. - Ale ty, ojcze, który znasz świat o wiele lat dłużej niżli ona i lepiej potrafisz osądzić, czym jest władza i bogactwo dla tych, którzy je posiadają, zastanów się i odpowiedz szczerze... Co byś pomyślał widząc swoją Katarzynę, jak stoi tam

na sali biesiadnej - pani tysiąca pagórków, władająca dziesiątkiem tysięcy wiernych i posłusznych wasali? A wszystko to dlatego, że złączyła rękę z ręką człowieka, który ją kocha ponad wszystko w świecie.

- Masz na myśli siebie, Conacharze? - spytał Szymon.

- Słusznie, nazywaj mnie Conacharem... lubię to imię, bo używała go Katarzyna.

- Jeśli mam rzec prawdę - powiedział Glover starając się nadać swym słowom brzmienie możliwie najmniej obraźliwe - w głębi duszy pragnąłbym gorąco jednego, tego mianowicie, żebyśmy się oboje

Z

Katarzyną znaleźli jak najspieszniej w naszym skromnym domu na Curfew Street, ze starą Dorotą w charakterze jednego wasala.

- I z biednym Conacharem, ufam? Nie zostawilibyście go tu, żeby usychał z tęsknoty w swym osamotnionym dostojenstwie?

- Musiałbym bardzo źle życzyć moim starym przyjaciołom, Pogórczanom z klanu Quhele - odparł Glover - żeby w chwili tak krytycznej chcieć ich pozbawić młodego mężnego wodza, tego wodza zaś pozbawić sławy, którą niebawem zdobędzie stając na ich czele w niedalekim już boju.

Eachin zagryzł wargi i z trudem opanował irytację.

- Słowa... słowa. Wszystko to puste słowa, ojcie Szymonie - odparł. - Bardziej lękasz się klanu Quhele, niż go kochasz. I pewnie myślisz, że jeśli młody wódz poślubi córkę mieszczanina z Perth, Pogórczanie wywrą swój gniew na tobie.

- Czyż nie mam racji, Hektorze MacIan, że się tego lękam? Do czego doprowadziły mezalianse małżeńskie w rodzie MacCallanmore'ów, w potężnym rodzie MacLeanów, w samym rodzie królewskim? Czyż mało było rozwodów i wydziedziczeń... czyż ambitnych intruzów nie spotykał niekiedy los nawet okrutniejszy? Nie pozwolono by ci poślubić mego dziecka przed ołtarzem i mógłbyś uczynić z niej tylko nałożnicę, a ja... - powściągnął z wysiłkiem impetyczne słowa cisnące mu się na wargi -... ja jestem wprawdzie tylko skromnym obywatelem miasta Perth, ale jestem ponadto człowiekiem uczciwym i wolę, żeby moja córka została prawowitą żoną człowieka niskiego stanu niżli konkubiną monarchy.

- Poślubię Katarzynę przed ołtarzem i przed światem... w kościele i przed czarnymi kamieniami świątyni w Iona! - wybuchnął porywczy młodzieniec. - Katarzyna jest całą miłością mojego życia i nie ma takich więzów honoru czy religii, którymi bym się z nią nie związał. Wypytywałem już moich poddanych. Jeśli zwyciężymy w tym boju - a skoro będzie mi przyświecała nadzieja zdobycia

Katarzyny, na pewno zwyciężymy - mój lud tak mnie pokocha, że gdybym wziął sobie żonę z przytułku dla nędzarzy, powita ją niczym córkę MacCallanmore'ów. Ale ty jesteś przeciwny moim konkurom? - spytał groźnie.

- Zmuszasz mnie do wypowiedzenia przykrych słów - rzekł starzec - a ponieważ znajduję się w twojej

władzy, może przyjść ci ochota mnie ukarać. Ale wiedz, że za moją zgodą Katarzyna poślubi tylko człowieka równego jej stanem. Serce by jej pękło od patrzenia na bezustanne walki i przelew krwi, które są nieodłącznie związane z twoim losem. Jeśli naprawdę ją kochasz i jeśli pamiętasz jej odrazę do wszelkich krwawych zapasów, nie możesz pragnąć, żeby uczestniczyła w owym nie kończącym się

łańcuchu wojennych okropności, w jakie ty, podobnie jak twój ojciec, bezustannie będziesz uwikłany.

Znajdź sobie żonę między córami góralskich wodzów lub zapalczywej arystokracji z Niziny. Jesteś urodziwy, młody, bogaty, wysoko urodzony i możny i nie pójdziesz w zaloty na próżno. Bez trudu znajdziesz niewiastę, która będzie się radowała twymi zwycięstwami i będzie cię pocieszała w klęsce.

Katarzynę przerażałoby zarówno jedno, jak drugie. Wojownik powinien nosić rękawice stalowe... rękawiczka z kozłej skóry wnet porwie mu się na strzępy.

Zachmurzyło się oblicze młodego wodza, jeszcze przed chwilą ożywione zapalem.

- A więc żegnaj - powiedział - jedyna nadziejo, któraś mogła mi oświetlić drogę do sławy i zwycięstwa! - Milczał, czas jakiś siedział zamyślony, ze spuszczonej oczami i zmarszczoną brwią, z

rękami splecionymi na piersiach. W końcu podniósł ręce i powiedział:

- Ojczy... boś był mi przecież ojcem... zdradzę ci tajemnicę. Rozum i duma nakazują mi milczenie, ale fatum* nagli mnie do mówienia, a ja go usłucham. Zdradzę ci najtajniejszy sekret, jaki człowiek powierzył kiedykolwiek człowiekowi. Ale biada ci... biada ci, jeśli najcichszym nawet szeptem zdradzisz choćby jedno słowo z tego, co teraz ode mnie usłyszysz. Wiedz bowiem, że gdybyś to

uczynił w najdalszym nawet zakątku Szkocji, mam uszy, które nawet tam usłyszą, i mam rękę, która nawet tam zatopi sztylet w piersi zdrajcy. Jestem... Nie, to słowo nie chce mi się precyzyjnie przecisnąć przez gardło!

- W takim razie lepiej go nie wypowiadaj - rzekł przezorny Glover. - Sekret przestaje być bezpieczny z chwilą, gdy go powierzymy drugiej osobie. A ja wcale nie pragnę stać się posiadaczem tajemnicy obwarowanej tyloma groźbami.

- Ale ja muszę ją zdradzić, a ty musisz ją usłyszeć - rzekł młodzieniec. - Czy w tym wieku krwi i żelaza stawałeś sam do walki?

- Raz tylko - odparł Szymon - kiedy Anglicy oblegali Perth. Wezwano mnie wtedy do udziału w obronie, co było moją powinnością wynikającą z tenuty dzierżawnej. Odnosiło się to do wszystkich mieszczan, którzy są obowiązani bronić murów miasta.

- I coś wtedy odczuwał, ojczyźnie? - spytał młodzieniec.

- Co to może mieć wspólnego z przedmiotem tej naszej rozmowy? - zdumiał się Glover.

- Bardzo dużo, bo inaczej z pewnością bym nie pytał - zapewnił go Eachin wyniosłym tonem, na jaki pozwalał sobie od czasu do czasu.

- Starca łatwo jest wciągnąć w rozmowę o dawnych czasach - rzekł Szymon Glover zadowolony, że oto nadarza mu się sposobność poprowadzenia rozmowy w zgoła innym kierunku. - Ale cóż, muszę wyznać, że bynajmniej nie odczuwałem wtedy owej ochoczej pewności siebie... ach, nawet radości, z jaką inni szli na bój. Moje życie i moja praca miały charakter pokojowy i chociaż w godzinie potrzeby

nie zabrakło mi męskiego ducha, nigdy chyba nie spałem gorzej niż w noc przed wyznaczonym atakiem. Dręczyło mnie wspomnienie zasłyszanych opowieści (bynajmniej niedalekich od prawdy) o saksońskich łucznikach. O tym, że wypuszczają z łuku strzały długie na jard i że ich łuki są o jedną trzecią dłuższe od naszych. Zasnąłem, ale wystarczyło, że słomka ukuła mnie w bok, a już budziłem się przekonany, że to angielska strzała tkwi mi w boku. A kiedy nad ranem zapadłem w głęboki sen,

obudziły mnie dzwony wzywające mieszczan na mury. Nigdy przedtem ani nigdy potem głos dzwonów nie brzmiał mi w uszach tak żałobnie.

- Co dalej? Mów! - zażądał Eachin.

- Chwyciłem za mój oręż, jaki on tam był - ciągnął Glover - a potem poszedłem do matki po błogosławieństwo i wysłuchałem tego, co mi ta mężna niewiasta powiedziała o walecznych czynach mego ojca, który nieraz bronił Nadobnego Grodu. To mi dodało otuchy, a mój animusz wzrósł jeszcze, kiedy się znajdowałem wśród moich braci mieszczan, którzy, jak wiesz, są przednimi łucznikami. Rozstawiono nas na murach, przy czym wmieszało się w nasze szeregi kilku zakutych w zbroje rycerzy i panów szlachciców, którzy miny i postawy mieli mężne i śmiałe, w czym im może pomagała ufność do noszonych pancerzy. Poinformowali nas oni, pewnie dla zachęty, że rozłupią na dwoje toporkami każdego, kto spróbuje opuścić swoje stanowisko. Mnie tej informacji udzielił łaskawie sam Kempe of Kinfauns, ojciec zacnego sir Patricka Charterisa, ówczesny nasz burmistrz. Był on wnukiem Czerwonego Korsarza, Toma de Longueville, więc prawdopodobnie dotrzymałby słowa, a przemawiając zwracał się specjalnie do mnie, bo po nocy tak źle przespanej twarz miałem pewnie bledszą niż zwykle, a w ogóle byłem bardzo młodym chłopcem.

- Czy to upomnienie zwiększyło twój strach, ojcze, czy twoją wolę walki? - spytał Eachin, który przysłuchiwał się słowom starego Szymona z wielką uwagą.

- Wolę walki - odparł Szymon. - Bo chyba nic tak człowiekowi nie dodaje odwagi i nic tak nie pomaga stawić czoła niebezpieczeństwu znajdującemu się w pewnym oddaleniu przed nim, jak świadomość innego niebezpieczeństwa, znacznie bliżej i za plecami. Cóż, wspiąłem się na mury dość nawet spokojnie i zająłem wraz z innymi wyznaczone mi miejsce na wieży Spey, uważano mnie bowiem za dobrego łucznika. Ale przeszły mnie zimne dreszcze, kiedy zobaczyłem Anglików w szyku bojowym, idących do ataku w trzech kolumnach - łucznicy na przedzie, za nimi wojowie dźwigający miecze. Szli wolno i niektórzy z nas na pewno mieliby ochotę poczęstować ich kilku strzałami, ale

było to surowo wzbronione; kazano nam stać bez ruchu i kryć się za blankami. Kiedy Anglicy rozwinęli długi szyk, przy czym zajmowali swoje miejsca tak szybko, jak gdyby byli poruszani jakąś siłą nadprzyrodzoną, i zaczęli się osłaniać ogromnymi tarczami, znowu zaparło mi dech w piersiach i miałem ochotę skoczyć do domu, żeby się napić wody. Ale jak spojrzałem za siebie, zobaczyłem, że cny Kempe of Kinfauns naciąga ogromną kuszę, i pomyślałem, że szkoda, iżby miał tracić strzałę na uczciwego Szkota, skoro tylu jest Anglików w pobliżu. Zostałem więc, gdzie byłem, a trzeba powiedzieć, że miejsce miałem wygodne w załamaniu dwóch blanków. Potem nagle Anglicy postąpili

do przodu, zmierzili się z łuków trzymając je nie na wysokości piersi, jak wy Pogórzanie to czynicie, tylko na wysokości ucha - i zanim zdążyliśmy wezwać na pomoc świętego Andrzeja, wypuścili w nas chmurę strzał. Przymknąłem oczy, kiedy podnosili swoje łuki, i chyba zadrzałem, kiedy strzały zaczęły odbijać się od przedpiersia. Ale jak spojrzałem za siebie i zobaczyłem, że nikt nie jest raniony

prócz Johna Squalitta, herolda miejskiego, który miał szczękę przebitą na wylot strzałą długości jarda,

znowu wstąpiła we mnie otucha i strzeliłem do napastników, celując spokojnie i starannie wybierając

cel. Niski człeczyna, do którego mierzyłem, bo właśnie wyjrzał zza swojej tarczy, upadł ze strzałą tkwiącą w ramieniu. Burmistrz zawołał: „Pięknie zrobione, Szymonie Glover... tylko więcej nam takich rękawiczników!” „Świętemu Janowi na chwałę, bracia rzemieślnicy!” wrzasnąłem, chociaż byłem dopiero czeladnikiem. I uwierz mi, Conacharze, że do końca walki, która zakończyła się odstąpieniem Anglików od murów miasta, napinałem cięciwę i wypuszczałem strzały z takim spokojem, jakbym strzelał do tarczy miast do ludzi. Zyskałem pewne uznanie i myślałem sobie zawsze

potem, że w razie konieczności (bo w moim przypadku nie byłoby nigdy mowy o wolnym wyborze), chyba go już nie stracę. I to jest całe moje wojenne doświadczenie. Nieraz potem spotykałem na swej drodze niebezpieczeństwa, których jako człowiek przezorny starałem się unikać; a jeśli ich uniknąć

nie mogłem, stawiałem im mężnie czoła. Tylko na takich zasadach człowiek może w Szkocji utrzymać się przy życiu.

- Rozumiem sens twojej opowieści, ojcie - rzekł Eachin. - Ale nie będzie ci łatwo uwierzyć w prawdziwość tego, co za chwilę usłyszysz... zwłaszcza gdy wspomnisz, jakiej rasy krew płynie w moich żyłach... i że jestem synem człowieka, którego złożyliśmy dzisiaj do grobu. Szczęście, że leży tam i że nie dowie się nigdy o tym, co ty będziesz wiedział za chwilę! Posłuchaj, ojcie... światło w mojej latarni dopala się, zgaśnie niebawem, ale zanim ogarnie nas ciemność, wypowiem to straszne słowo. Ojcie, jestem... jestem tchórzem! A więc w końcu tajemnica mojej hańby stała się własnością drugiego człowieka!

Młodzieniec osunął się na ziemię w półomdleniu wywołanym udręką straszliwego wyznania. Stary Szymon, powodowany zarówno przestachem, jak współczuciem, nie szczędził trudów, żeby go przywrócić do życia. W końcu Eachin odzyskał zmysły, ale żadną miarą nie mógł się opanować.

Ukrył twarz w dłoniach i płakał gorzko, rozpaczliwie.

- Na miłość Boga Wszechmogącego, weźże się w karby, człowieku - rzekł Glover - odwołaj to ohydne

słowo! Znam cię lepiej, niżli ty znasz samego siebie... nie jesteś tchórzem! Jesteś tylko młody i niedoświadczony, a jakże, a ponadto masz trochę zbyt bujną wyobraźnię, jak więc możesz równać się w dzielności z dojrzałym mężczyzną. Każdemu, kto by o tobie powiedział, że jesteś tchórzem, zadałbym kłam! Nie jesteś tchórzem, Conacharze... nieraz widywałem, jak przy lada zaczepce iskry odwagi sypały ci się z oczu.

- Iskry dumy i gniewu! - zawołał udręczony młodzieniec. - Ale czyś widział w moich oczach wolę walki, która winna wspierać dumę i gniew? Iskry, o których mówisz, ojcie, padały na moje tchórzliwe

serce jak na bryłę lodu, której nic nie zdoła rozpalić... Jeśli urażona duma przynaglała mnie, żebym zaatakował, słabość ducha pchała mnie już w następnej chwili do ucieczki.

- Brak otrzaskania z niebezpieczeństwem - zawyrokował Szymon. - Wdrapując się na mury i płoty, młodzi uczą się wspinaczki na urwiska skalne. Zaczynj, Conacharze, od małych utarczek... ćwicz się we władaniu orężem na turniejach z własną drużyną.

- Ile czasu mi na to zostało? - wykrzyknął młody wódz. A gdy wypowiadał te słowa, drgnął gwałtownie, jak gdyby jakiś straszliwy obraz pojawił się przed oczami jego wyobraźni. - Ile dni dzieli mnie od Niedzieli Palmowej... i co mnie wtedy czeka? Szranki... zamknięte szranki, z których nikt nie ujdzie, podobnie jak nie ujdzie swoim oprawcom biedny niedźwiedź przywiązany łańcuchem do słupa. I sześćdziesięciu mężczyzn - najwaleczniejszych i najmężniejszych (z wyjątkiem jednego!), jakich zrodziły nasze góry, mężczyzn spragnionych krwi, a dokoła jak w teatrze wielcy panowie i król, i rozwrzeszczana ciżba okrzykami rozniecająca ich szatańską żądzę zabijania! Szczęk miecza o miecz, krew płynie coraz obficie, coraz szybciej, coraz czerwiejsza... a oni nacierają na siebie jak obłąkańcy... rozszarpują się jak dzikie bestie... tratują kopytami koni rannych towarzyszy leżących na ziemi! Krew odpływa od serca, ręka mdleje - ale nie, nie będzie ugody, nie będzie rozejmu, nikt nie przerwie szaleńczej walki, dopóki kołacze się życie choćby w jednym okaleczonym nieszczęśniku! Nikt tu nie chroni się za blankami, nikt nie wypuszcza strzał z łuku - jest walka wręcz, miecz z mieczem, topór z toporem, aż w końcu ręka nie ma już siły udźwignąć oręża! Jeśli bitwa ta przedstawia tak straszliwy widok wyobraźni, jak myślisz, ojcze - czym będzie ona w rzeczywistości? Glover milczał.

- Raz jeszcze pytam - czym będzie ona w rzeczywistości?

- Mogę ci tylko współczuć, Conacharze - rzekł w końcu Szymon. - Trudny jest los człowieka, który pochodzi z dumnego i pysznego rodu... który jest synem mężnego ojca i z urodzenia wodzem walecznej drużyny, a jednak nie posiada (lub może myśli, że nie posiada, bo wciąż ufam, że jest to tylko twoje przywidzenie i że wyolbrzymiasz niebezpieczeństwo) owej pospolitej cechy, którą posiada

każdy kogut wystawiany do walki na wiejskim podwórzu, każdy pies wart miski ochłapów. Ale jak się

to dzieje, że choć tak jesteś świadom niemożności zwycięstwa w tej bitwie, proponujesz mej córce, by

dzieliła z tobą władzę nad klanem Quhele? Przecież twoja władza zależy od wyniku walki, a w tym Katarzyna żadną miarą nie może ci pomóc.

- Mylisz się, starcze - odparł Eachin. - Gdyby Katarzyna odwzajemniła gorącą miłość, jaką do niej żywię, rozgromiłbym nieprzyjaciół z siłą i odwagą rumaka wojennego. Choć tak bardzo jestem słaby, świadomość, że Katarzyna na mnie spogląda, dodałaby mi męstwa. Powiedz... och, powiedz, że będzie

moją, jeśli zwycięzę w tym boju... i uwierz mi, że sam Harry-płatnerz, którego serce jest jak ze stali, nie szedł nigdy tak pogodnie w szranki, jak ja pójdę przeciwko moim wrogom! Jedno namiętne uczucie zwycięża drugie.

- To jest szaleństwo, Conacharze. Czyżby myśl o gładkiej dziewczynie miała dodać ci więcej odwagi niż pamięć o honorze, o przyszłości, o twoich współplemieńcach? Hańba ci, Eachinie MacIan!

- Powtarzasz tylko to, co sam sobie mówiłem, ale nadaremnie - odparł Eachin z westchnieniem. - Sarny są bojaźliwe, ale w okresie godów kozioł zdobywa się na rozpaczliwą odwagę. Czy przyczyną jest moja przyrodnia natura, czy - jak utrzymują staruchy na Pogórze - mleko białej łani, czy pokojowe wychowanie w twym domu i długoletnie a surowe zakazy, czy - jak sądzisz - nazbyt bujna wyobraźnia, która maluje obraz niebezpieczeństwa jeszcze straszliwszy niż w rzeczywistości - nie umiem powiedzieć. Ale znam moją ułomność i takie mnie ogarnia przerażenie, iż nie potrafię jej opanować i wiem, że gdybyś zgodził się oddać mi Katarzynę, teraz... zaraz wyrzekłbym się władzy i godności i wrócił do dawnego, skromnego życia.

- Jakże to, Conacharze... chciałbyś mimo wszystko zostać rękawicznikiem? - zawołał Szymon. - Nie, chłopcze, twoja ręka nie jest do tego stworzona. Nie będziesz ty mi psuł więcej skór koźlich!

- Nie żartuj, ojczy Szymonie - rzekł Eachin. - Mówię poważnie. Nawet jeśli nie potrafię pracować,

bogactwa, które przyniosę ze sobą, pozwolą mi żyć dostatnio bez pracy. Pogórzanie obwieszcza mnie zaprzańcem. Niech tam! Katarzyna będzie mnie kochała tym goręcej, zem przełożył ścieżkę pokojową nad ścieżkę wojenną, a ojciec Klemens nauczy nas litować się nad światem i przebaczać światu czyniącemu nam wyrzuty, które nie będą bolały. Będę najszczęśliwszym z ludzi. Katarzyna otrzyma wszystko, co bezgraniczna miłość może jej ofiarować, i będzie wolna od lęku przed okropieństwami, które zgotowałyby jej życie w niedobrym małżeństwie z płatnerzem. A ty, ojcie Szymonie, siądziesz na swojej ławeczce obok komina... najszczęśliwszy z ojców, czczony jak...

Przestań, Eachinie... proszę cię, przestań! - rzekł Glover. - Światło twojej latami zgaśnie za chwilę, a ja też chciałbym ci coś rzec, bo uważam, że szczerść najlepiej popłaca. Choć pewnie narażam się na twój gniew albo może na wybuch wściekłości, powiem ci bez ogródek, że Katarzyna nigdy nie będzie

twoją. Człowiek mojego rzemiosła bardziej niż ktokolwiek inny powinien dochowywać wiary, gdyż właśnie rękawiczka jest jej emblematem. Katarzyna została przyrzeczona innemu - człowiekowi, którego wolno ci nienawidzić, ale którego musisz szanować, Harry'emu Smithowi. Udzieliłem zgody na to stadło i zamierzam dotrzymać słowa. Jakkolwiek straszny gniew ściągnie na mnie ta odmowa - a

znajduję się przecież w twojej mocy - powiem ci otwarcie, że nic na świecie nie skłoni mnie do cofnięcia danej obietnicy.

Glover wyrzekł powyższe słowa tonem pewnym i mocnym, wiedział bowiem z doświadczenia, że w większości przypadków jego popędliwy i nie zrównoważony były czeladnik ustępował przed nieugiętą

stanowczością. Ale uprzytomniwszy sobie, gdzie się znajduje, z lękiem patrzył na twarz Eachina, gdy płomień w latarni strzelił w górę i zanim zgasł, oświetlił wnętrze szalasu; młodzieniec policzki miał śmiertelnie blade i toczył oczami, jak szaleniec w ataku obłądu. Zaległa ciemność i nagle starego Szymona ogarnęło przerażenie, że oto przyjdzie mu może walczyć o życie ze zwinnym młodzieńcem, który w porywie gniewu zdolny był do czynów gwałtownych. Toteż z niewypowiedzianą ulgą

usłyszał

głos Eachina, który zwrócił się do niego ochrypłym szeptem:

- Niechaj słowa, które tu dzisiaj padły, zostaną pogrzebane. Gdybyś je miał powtórzyć komukolwiek, lepiej zaraz wykop sobie grób.

Jednocześnie otworzyły się drzwi chaty, wpuszczając do środka promień księżycowego blasku; postać

młodego wodza przesłoniła go na sekundę, a potem drzwi zamknęły się i znów zapadła ciemność.

Szymon Glover powitał z ulgą to pokojowe zakończenie niebezpiecznej i burzliwej rozmowy. Był jednak wstrząśnięty stanem ducha Eachina MacIana, swojego wieloletniego wychowanka.

„Biedny chłopiec, że też został wyniesiony do takiej godności po to jedynie, by zostać odtrąconym z pogardą! Domyślałem się tego, co mi dzisiaj mówił, bom nieraz spostrzegał, że jest bardziej skłonny do kłótni niż do bitki. Ale chociaż nie uważam siebie za drugiego sir Williama Wallace'a, nie mogę wprost pojąć słabości ducha, której ani wstyd, ani potrzeba nie mogą przewyciężyć. I ośmielił się prosić o rękę mojej córki -jakby ta niewiasta miała znajdować odwagę za siebie i za męża! Nie, nie!

Katarzyna poślubi człowieka, któremu będzie mogła rzec: «Mężu, oszczędź wroga«..., nie zaś takiego,

w którego imieniu sama musiałaby przemawiać. »Szlachetny wrogu, oszczędź mego męża!«"

Znużony rozmyślaniami, starzec usnął w końcu. Rankiem zbudził go jego przyjaciel Niel

Booshalloch, który z miną trochę niewyraźną zaproponował powrót do zagrody nad jeziorem, a

ponadto przeprosił Glovera, że wódz nie może się z nim zobaczyć, gdyż cały ranek będzie miał zajęty przygotowaniami do niedalekiej już bitwy. Eachin MacIan kazał mu ponadto zakomunikować, że jego zdaniem Glover znajdzie najbezpieczniejsze schronienie w domu pasterza, gdzie na jego polecenie udzieli mu wszelkiej pomocy i opieki.

Wrócił zatem Glover do zagrody Booshallocha, gdzie - gdyby nie troska o losy Katarzyny - czas płynął mu naprawdę miło. Dla rozrywki wyprawiał się na jezioro w łódce i podczas gdy mały

góralczyk wiosłował, on łowił ryby. Często lądował na wysepce i albo przesiadywał zadumany nad grobem swego przyjaciela Gilchrista MacIana, albo rozmawiał z mnichami. Zaprzyjaźnił się z nimi, na

dowód czego ofiarował przeorowi rękawiczki z futra kuny, innym zaś dostojnikom po parze rękawic ze skór rysia. Przygotowywanie tych podarków wypełniało mu godziny po zachodzie słońca, kiedy to rodzina pasterza zbierała się dokoła, podziwiając jego kunszt i słuchając opowieści i ballad, którymi starzec skracał nużące wieczory.

Należy zaznaczyć, że przezorny Glover unikał rozmów o ojcu Klemensie, zwłaszcza że uważał go niesłusznie bardziej za autora niż niewinnego współtowarzysza niedoli. „Ani myślę - mówił sobie - tracić życzliwość tych zacnych mnichów, żeby uczynić zadość jego kaprysom. Przecież oni mogą mi się jeszcze przydać. Dość już się nacierpiałem przez jego nauki. Niech sobie ojciec Klemens i Katarzyna myślą, jak chcą. Żeby tam nic wiem co, skorzystam z pierwszej okazji i wrócę, jak wyłajany pies wraca na gwizd swego pana, poddam się wszystkim ceremoniałom włościennicy i bicza, zapłacę odpowiednią grzywnę i pogodzę się z Kościołem”.

Minęły tak dwa tygodnie i Glover zaczął się poważnie niepokoić, że nie ma dotąd wiadomości ani od Katarzyny, ani od Harry'ego Smitha, którego burmistrz z pewnością zawiadomił o planach i miejscu pobytu przyszłego teścia. Wiedział, że mimo niepospolitej odwagi Harry nie ośmielił się przybyć do niego na ziemie klanu Quhele, nazbyt bowiem często wadził się z Pogórczanami, nie mówiąc już o zatargu z samym Eachinem MacInam, który nosił jeszcze wtedy imię Conachara. Mimo to - myślał sobie Glover - Harry mógłby mu przysłać jakąś wiadomość lub choćby znak przez jednego z licznych posłańców kursujących między dworem a obozem wodza klanu Quhele, bo uzgadniano ostatecznie warunki bitwy, trasę przemarszu oddziałów do Perth oraz inne liczne sprawy wymagające szczegółowego omówienia. Była już bowiem połowa marca i do złowróznej Niedzieli Palmowej pozostało niewiele czasu.

I gdy dni płynęły powoli, Glover ani razu nie spotkał swego dawnego czeladnika. Starania, którymi go otaczano, dowodziły, że Eachin o nim pamięta, ale ilekroć Szymon słyszał rozbrzmiewający w lesie róg drużyny wodza, rozmyślnie skręcał i szedł w przeciwną stronę. Jednakże któregoś dnia rano znalazł się w pobliżu Eachina tak niespodziewanie, że nie miał czasu na odwrót. I tak się to zdarzyło. Gdy Szymon szedł zamyślony dnem leśnego parowu, między dwoma rzędami wysokich drzew, z gęstwiny poszycia wypadła biała łania ścigana przez dwa ogary; jeden pies wpił się kłami w jej kłęb, drugi skoczył zwierzęciu do gardła i zwałił je na ziemię w odległości pół sążnia od Glovera, którego zaskoczyła nagłość tego zdarzenia. Słyszając bliskie i głośnie granie rogu i ujadanie psów, Glover zrozumiał, że myśliwi są tuż i znajdują się na tropie łani. Zaraz też odezwały się nawoływania i trzask gałęzi pod stopami biegnących mężczyzn. Gdyby Glover miał dość czasu do namysłu, postanowiłby zapewne albo nie ruszać się z miejsca, albo też oddalić się wolnym krokiem i pozostawić Eachinowi decyzję nawiązania z nim rozmowy lub zignorowania go. Ale zaskoczony tą niespodziewaną sytuacją, Szymon niemal instynktownie ukrył się w gęstych krzakach leszczyny i ostrokrzewu. Zaledwie to uczynił, Eachin zaróżowiony od biegu, wpadł na polankę, a tuż za nim jego opiekun, Torquil z Borów Dębowych, który z niezwykłą zręcznością i siłą przewrócił szamotającą się łanię na grzbiet i przytrzymując prawą ręką przednie biegi zwierzęcia ukląkł na jego ciele, lewą zaś podał nóż młodemu wodzowi, aby zadał śmiertelny cios.

- Nie, Torquil, nie. Czyń, co do ciebie należy. Nie powinienem zabijać krewniaczek mojej mamki. Słowa te Eachin wypowiedział z melancholijnym uśmiechem, a jednocześnie łza błysnęła w jego oku.

Torquil przez sekundę wpatrywał się w swego wodza, a potem przeciągnął ostry nóż przez gardło łani ruchem tak szybkim i pewnym, że stal zazgrzytała o kręgi. Wreszcie wstał i spojrzawszy na Eachina

przenikliwie, powiedział:

- To samo, com uczynił temu zwierzęciu, uczynię każdemu, kto usłyszałby takie słowa z ust mego wychowanka... choćby wspomniał on tylko o białej łani albo połączył z nią swe imię!

Jeżeli dotąd Szymon nie miał specjalnych powodów do ukrywania swej obecności, po tym wybuchu Torquila sytuacja ogromnie się zmieniła.

- Tego nie zdołamy ukryć, ojczyźnie Torquilu - rzekł Eachin. - Niebawem wszystko się ujawni, wszystko wyjdzie na światło dzienne.

- Co ujawni? Co wyjdzie na światło dzienne? - spytał zdumiony Torquil.

„Na pewno chodzi o ten niesławny sekret - pomyślał Szymon. - A teraz jeśli ów olbrzym z tajnej rady królewskiej nie będzie trzymał języka za zębami, Eachin z pewnością mnie uczyni odpowiedzialnym za rozpuszczanie hańbiących wieści”.

Snując te pełne niepokoju myśli, Glover usiłował jednocześnie śledzić scenę rozgrywającą się między

nieszczęsnym młodym wodzem a jego powiernikiem; pchała go do tego owa nieodparta ciekawość,

która jest motorem naszego działania w sytuacjach zarówno najbardziej ważkich, jak i najbliższych, a

która często idzie w parze z dominującym strachem.

Gdy Torquil słuchał wyjaśnień Eachina, młodzieniec uczeplił się go jak dziecko i skłoniwszy głowę na

jego ramieniu, podjął swoje bolesne wyznanie szeptem. Starzec nie wierzył snadź własnym uszom, bo

po chwili odsunął od siebie Eachina i podtrzymując go wczepił weń znieruchomiłe spojrzenie

rozszerzonych zgrozą oczu. Jednocześnie jego twarz stężała w wyrazie gniewu tak straszliwego, iż

Glover przeraził się, że zaraz odtrąci od siebie chłopca z odrazą i ciśnie go w kępę krzaków, w której

on się przyczaił, ujawniając w ten sposób obecność intruza w sposób tyleż bolesny co niebezpieczny.

Okazało się jednak, że Torquil żywi do swego wychowanka miłość niezwykłą nawet u Pogórzeń,

którzy słyną z gorącego afektu do przybranych dzieci. Nagle bowiem znalazł inny upust dla swojego gniewu:

- Nie wierzę w to! To nie może być prawdą o synu twego ojca... o dziecku twojej matki... o moim wychowanku! Wyzywam niebo i piekło... będę walczył na ubitej ziemi z każdym, kto ośmieli się powiedzieć, że to prawda! Uroczyło cię złe oko, synaczku, i słabość, którą zwiesz tchórzostwem, to zwykłe czary! Pamiętam, że w chwili twojego narodzenia nietoperz zgasił skrzydłem pochodnię... w owej chwili wielkiego smutku i wielkiej radości! Rozpogódź się, chłopcze! Pojedziesz ze mną do Iona

i zacny święty Kolumbus wraz z całym zastępem świętych i aniołów, które przychylnie są naszym góralskim plemionom, zabierze ci serce białej łani i zwróci to, które ci podstępnie skradziono!

Po skwapliwości, z jaką Eachin słuchał, widać było, że pragnie uwierzyć w słowa pocieszyciela.

- Ale nawet gdyby to miało poskutkować, ojcie Torquilu - powiedział - to przecież straszny dzień jest

tuż, a lękam się, że jeśli pójdę w szranki, ściągnę na was wszystkich niesławę.

- To się nie zdarzy... to się nie może zdarzyć! - wybuchnął Torquil. - Moc piekieł ma swoje granice... zanurzymy twój miecz w wodzie święconej... włożymy ci pod puklerz werbenę, ziele świętojańskie, liście jesionu. Otoczmy cię kołem, ja i twoich ośmiu braci, będziesz bezpieczny jak w warowni.

I znowu młodzieniec wyszeptał coś, ale tonem tak cichym i zgnębionym, że Glover nie dosłyszał; natomiast odpowiedź Torquila, głośna i wyraźna, dotarła do jego uszu.

- Tak... może się uda wycofać cię z boju. Jesteś najmłodszym spośród tych, co mają dobyć miecza.

Teraz zrozumiesz, czym jest naprawdę miłość przybranego ojca... ileż silniejsza nawet od miłości rodziców! Najmłodszy wojownik w drużynie klanu Chattan to Ferquhard Day. Jego ojciec rozplątał mieczem mego ojca i czekam na Niedzielę Palmową jako na dzień zapłaty. Ale słuchaj uważnie!

Zdawałoby się, że krew tego Ferquharda i krew moja, nawet gdyby je wlać do jednego naczynia, nigdy się nie połączą... a przecież pokochał on moją jedyną córkę Ewę... najpiękniejszą dziewczynę w

naszym klanie. Pomyśl tylko, com czuł, kiedy mi o tym doniesiono. Ale moja dziewczeczka inaczej to odczuwa. Kocha Ferquharda i wypłakuje sobie oczy z miłości do niego... i z przestrochu, że chłopiec legnie w bitwie. Wystarczy, że da mu znak swej przychylności, a Ferquhard zapomni o rodzinie i krewnych, o mieczu i walce i umknie z nią na koniec świata.

- Tak... jeżeli on, najmłodszy wojownik klanu Chattan, nie stanie w szrankach, ja, najmłodszy w drużynie klanu Quhele, zwolniony zostanę z walki - rzekł Eachin płoniąc się rumieńcem wstydu na myśl o tych upokarzających perspektywach, które starzec przed nim roztoczył.

- Teraz już wiesz, mój wodzu - powiedział Torquil - jak cię miłuje twój przybrany ojciec. Inni mogą poświęcać dla ciebie życie swoje i swoich synów. Ja ofiarowuję ci honor mego rodu.

Przyjacielu... ojcze! - wybuchnął młody wódz. — Jakiż nędznik ze mnie, że przyjmuję twą ofiarę!

- Sza! Nie mów o tym więcej... zielony las miewa uszy. Wróćmy teraz do obozu i przyślemy pacholków po zwierzynę. Psy, do nogi!

Gdy myśliwi oddalili się i byli już poza zasięgiem słuchu i wzroku, Glover wstał i z ogromną ulgą w sercu skierował kroki w przeciwną stronę. Pierwszą jego myślą był podziw dla Torquila.

„Rzetelne i wierne są dzikie serca górali - powiedział sobie w duchu. - Ten człowiek bardziej przypomina jakiegoś dobrotliwego wielkoluda z ballad niż człowieka z krwi i kości. A jednak chrześcijanie mogliby się od niego uczyć wierności. Swoją drogą co za naiwny fortel... usuwać wojownika z drużyny wrogów niczym pionka z szachownicy. Przecież na jego miejsce znajdzie się dwudziestu chętnych Rysiów z klanu Chattan!"

Tak rozmyślał Glover nie wiedząc, że wzbroniono już surowo obu wrogim klanom, ich przyjacielom, sprzymierzeńcom i plemionom przez nich podbitym zbliżać się do Perth na odległość mniejszą niż pięćdziesiąt mil w ciągu tygodnia przed i tygodnia po wyznaczonym terminie bitwy. Zbrojne oddziały patrolowały drogi i wszelki opór przeciwko temu zarządzeniu miał być łamany siłą.

W zagrodzie nad jeziorem czekały na Szymona inne jeszcze wieści. Przyniósł je ojciec Klemens, który

przyszedł w płaszczu pielgrzyma, gotowy do drogi powrotnej na południe. Pragnął pożegnać się ze swym współtowarzyszem wygnania lub namówić go do wspólnej podróży.

Ale co cię skłoniło tak nagle, ojczyźnie Klemensie - spytał zdziwiony Glover - do podjęcia tego ryzyka?

- Jakże to, bracie Szymonie, nie słyszałeś, że odepchnąwszy Marcha i jego angielskich

sprzymierzeńców w głąb granic Anglii, mężny earl of Douglas przystąpił niezwłocznie do naprawiania

krzywd wyrządzonych w kraju? Wystosował do dworu pismo żądające cofnięcia mandatu udzielonego

komisji badającej herezję, a także tego, by sprawę nominacji Wardlawa na prymasa Szkocji rozpatrzył

Parlament. Otóż większość magnatów przebywających z królem w Perth, pośród nich wasz zacny

burmistrz, opowiedziała się za propozycjami Douglasa. Wyraził też na nie zgodę książę Albany, choć

nie wiem, czy z dobrej woli, czy z chytryści. W ten sposób strzaskano kły ciemżycielom i wyrwano

zdobycz z ich szponów. Czy podążysz ze mną na Nizinę, sąsiedzie, czy też zostaniesz jeszcze jakiś

czas na Pogórze?

Niel Booshalloch oszczędził swemu przyjacielowi trudu odpowiedzi.

- Wódz rozkazał mi powiedzieć - oświadczył - że Szymon Glover ma mieszkać u mnie do dnia, w którym wojownicy wyruszą na bitwę.

W tej odpowiedzi zacny mieszczanin dopatrywał się pewnego pogwałcenia wolności osobistej; ale nie

wziął sobie tego bynajmniej do serca, jako że na podróż u boku mnicha nie miał wcale ochoty.

- Wielkiej miary to człowiek - powiedział do swojego przyjaciela pasterza, zaledwie ojciec Klemens

pożegnał się z nimi - prawdziwie uczony i prawdziwie świętobliwy. Szkoda niemal, że nie grozi mu

już śmierć w płomieniach, jako że jego kazanie wygłoszone z wysokości stosu nawróciłoby tysiące.

Och, przyjacielu! Stos ojca Klemensa stałby się świetlistym drogowskazem dla całego świata

chrześcijańskiego. Ale jaki pożytek byłby ze spalenia nieokrzesanego i nieoświeconego mieszczanina

w moim rodzaju? Za mało mam wykształcenia i za dużo we mnie strachu, żeby mi taka przygoda mogła przynieść chlubę.

- Słusznie prawisz - rzekł pasterz.

ROZDZIAŁ XXX

Wróćmy teraz do tych postaci naszej dramatycznej opowieści, które zostawiliśmy w Perth, by odprowadzić Szymona Glovera i jego piękną córkę do Kinfauns, a potem już samego Szymona na brzeg Jeziora Tay. Wśród tych osób księżę Rothsay wysuwa się na pierwszy plan.

Ten popędliwy i nierozważny młodzieniec źle znosił przymusowy pobyt w domu Wysokiego Komisarza, którego towarzystwo, skądinąd całkiem mu miłe, zniecierpliwiło go w końcu z tej jedynie przyczyny, że pod pewnymi względami nazbyt byli do siebie podobni z charakteru. Rozwścieczony na stryja i rozzalony na ojca, Rothsay zatęsknił za towarzystwem sir Johna Ramorny, zwłaszcza że od dawna przywykł zwracać się do niego w poszukiwaniu rozrywek, a także - chociaż uznałby takie twierdzenie za obelżywe - z prośbą o rady i wskazówki. Dlatego wezwał go do siebie, polecając, aby -

jeśli zdrowie mu pozwoli - przybył wodą do małej altany w ogrodach Lorda Wysokiego Komisarza, które podobnie jak ogrody za domem sir Johna schodziły nad sam brzeg rzeki Tay. Wznawiając tę niebezpieczną zażyłość, księżę pamiętał jedynie, że był szczodrym przyjacielem sir Johna; podczas gdy sir John, otrzymawszy zaproszenie, pamiętał tylko o kapryśnych obelgach zadawanych mu przez Rothsaya, o stracie ręki i oziębłym stosunku księcia do tej straty i wreszcie o obojętności, z jaką Rothsay pogrążył go przy rozpatrywaniu sprawy morderstwa czapnika. Przeczytawszy liścik, Ramorny zaśmiał się gorzko.

- Eviot - rzekł do pazia - niech będzie gotowa łódź z sześciu zaufanymi wioślarzami... zaufanymi, powiedziałem. Nie trać ani chwili. I wezwij mi natychmiast Dwininga.

- Niebiosa uśmiechnęły się do nas, cny przyjacielu - rzekł, gdy medyk stanął na progu. - Łamałem sobie głowę nad obmyśleniem sposobu porozumienia się z tym kapryśnym młokosem i oto otrzymuję

od niego zaproszenie!

- Hm, powiedziałbym raczej, że jest to uśmiech piekieł... he, he, he - zarechotał Dwining.

- Mniejsza z tym. Potrzask już gotowy, a co więcej, przyjacielu, mamy też przynętę, która skłoniłaby Rothsaya do ucieczki z najsrozszej twierdzy - nawet gdyby oczekiwały go na dziedzińcu straże z obnażonymi mieczami. Przygotuj się, jedziesz z nami. Odpisz mu, skoro ja nie mogę, że bez zwłoki stawimy się na jego wezwanie. Sporządź ładne pismo, bo chłopiec czyta dobrze, co też mnie zawdzięcza.

- Nauczy się on od waszej miłości jeszcze niejednego... zanim umrze. He, he, he! Ale czy dobiłeś, szlachetny panie, targu z księciem Albany?

- O tyle, żeby zaspokoić własne ambicje, twoją chciwość i nasze wspólne pragnienie zemsty. A więc do łodzi, nie traćmy czasu. Niech Eviot załaduje kilka flasz najprzedniejszego wina i zimne mięsivo. Ale twoja ręka, sir Johnie? Czy ból nie jest nazbyt dojmujący?

- Łomotanie serca ucisza ból w ranie. Serce bije mi tak gwałtownie, jak gdyby chciało wyskoczyć z piersi.

- Boże uchowaj! - zawołał Dwining. I wymamrotał pod nosem: - Byłby to zaiste niezwykły widok. Chętnie przeprowadziłbym na nim sekcję, tyle tylko, że jest pewnie z kamienia i stępiłbym chirurgiczne instrumenty.

W kilka minut później byli już w łodzi, a jednocześnie umyślny posłaniec wiózł księciu list z zawiadomieniem, że wyruszyli w drogę.

Rothsay siedział przy stole z Lordem Wysokim Komisarzem. Był posepny i naburmuszony; skończyli południowy posiłek i gospodarz domu właśnie spytał, czy księżę pozwoli sprzątnąć ze stołu, gdy wszedł posłaniec z listem. Rothsayowi natychmiast rozpogodziło się oblicze.

- Jak sobie życzysz, mój lordzie - powiedział. - Ja idę do altany w ogrodzie... naturalnie za pozwoleniem Lorda Wysokiego Komisarza... by spotkać się tam z byłym koniuszym mego dworu.

- Wasza miłość! - zachnął się lord Errol.

- A tak, wasza miłość. Czyż mam dwa razy prosić o pozwolenie?

- Uchowaj Boże odparł lord Errol. - Ale czy pamiętasz, mój książę, że sir John Ramorny...

- Ufam, że nie jest dotknięty czarną zarazą - zaśmiał się Rothsay. - Ach, Errol, usiłujesz grać rolę srogiego dozorca lochów, ale to nie leży w twojej naturze... żegnaj, niebawem wrócę.

„Nowe szaleństwo - powiedział sobie w duchu Errol, gdy książę otworzył drzwi sali parterowej, w której siedzieli, i wyszedł do ogrodu. - Nowe szaleństwo... że też ciągle ulega wpływom tego łajdaka!"

- Czy nie będzie to nadmiernym ciężarem dla twojej służby, mój lordzie, jeśli poproszę o przysłanie mi do altany kilku flasz wina i lekkiej wieczerzy? - spytał książę od progu. - Przepadam za widokiem, który się stamtąd roztacza.

Lord Wysoki Komisarz skłonił się i wydał odpowiednie polecenia, gdy więc sir John Ramorny wysiadł na brzegu i wszedł do altany, ujrzał rozstawione na stole niezbędne składniki wesolej biesiady.

- Żalność ściska mi serce, miłościwy książę, że widzę cię w tej niewoli - rzekł Ramorny z dobrze udanym współczuciem.

- Ta twoja żalność powiększa jeszcze moją - odparł młodzieniec. - Ale jedno jest pewne, lord Errol, a zacny z niego człowiek i honorowy, tak mnie znudził swoimi grobowymi spojrzeniami i nie mniej żalobnymi nauczkami, że - przebóg! - pchnął mnie na powrót w twoje ramiona, ty łotrze! A chociaż nie spodziewam się po tobie niczego dobrego, mam chyba prawo oczekiwać, że mnie rozweselisz. Ale

wpierw chciałbym ci powiedzieć, mój Ramorny, że to był haniebny wybryk... to, co się zdarzyło w noc zapustną.

- Klnę się honorem, mój lordzie, że to tylko mała omyłka tej dzikiej bestii Bonthrona. Napomknąłem mu jedynie, że przydałoby się wyłoić skórę temu hultajowi, przez którego straciłem rękę. No i mój

pacholek podwójnie się pomylił. Wziął czapnika za płatnerza, a miast pałki użył topora.

- Dobrze, że się na tym skończyło. Mniejsza o czapnika, ale nie wybaczyłbym ci nigdy, gdyby twój oprawca położył trupem Harry'ego Smitha... takiego drugiego nie znajdziesz w całej Brytanii. Ale tuszę, że łajdak zawisł wysoko.

- Jeśli trzydzieści stóp cię zadowoli, mój lordzie - odparł Ramorny.

- Tfu! Dość o nim - zachnął się książę. - Sama myśl o tej bestii sprawia, że to przednie wino nabiera smaku krwi. A co nowego w Perth, Ramorny? Jak tam nasze dworskie pięknie i ogniści galanci?

- Mało swawolnych biesiad i wesołych igraszek, mój książę - odparł rycerz. - Wszystkie oczy zwrócone są na Czarnego Douglasa, który podąża ku miastu na czele pięciu tysięcy doborowego żołnierza, ażeby zbawić kraj i udzielić nam wszystkim nauczki. Mówią, że ma powtórnie zostać namiestnikiem państwa. Jest rzeczą pewną, że wielu opowiedziało się po jego stronie.

- Zatem czas najwyższy, abym poszukał wolności - rzekł książę gdyż w innym przypadku mogę się znaleźć we władzy surowszego opiekuna niż lord Errol.

- Ach, mości książę, gdybyś tylko wydostał się z tego miejsca, mógłbyś wykonać manewr nie mniej śmiały niż manewr samego Douglasa.

- Ramorny - rzekł książę z powagą - mam niejasne wspomnienie czegoś przerażającego, co mi proponowałeś. Strzeż się takich rad. Chciałbym być wolny. Ale nigdy w życiu nie podniosę miecza przeciwko mojemu ojcu - ani przeciwko tym, którym ufa.

- Miałem na myśli jedynie twoją wolność osobistą, miłościwy książę - odparł Ramorny. - Bo gdybym ja był na twoim miejscu, wsiadłbym do tej barki przycumowanej tuż obok, popłynąłbym do Fife, gdzie

masz wielu przyjaciół, i zająłbym Falkland. Jest to zamek królewski, a chociaż miłościwy pan podarował go księciu Albany, swemu bratu, następca tronu ma chyba prawo zamieszkać w rezydencji tak bliskiego krewniaka.

- Książę Albany nie ceremoniuje się w takich przypadkach, o czym mógłby powiedzieć zarządca

moich dóbr Renfrew. Ale czekaj, Ramorny... czym nie słyszał od Errola, że lady Marjorie Douglas, którą ludzie zwą księżną Rothsay, rezyduje w zamku falklandzkim? Bo nie chcę ani mieszkać pod jednym dachem z tą damą, ani czynić jej despektu, zmuszając do ustąpienia mi miejsca.

- Dama ta przebywała jakiś czas w Falkland - odparł Ramorny - ale wiem z pewnego źródła, że teraz wyruszyła na spotkanie ze swym ojcem.

- Ha, żeby podburzyć Douglasa przeciwko mnie? Lub może błagać go o łaskę dla mnie - pod warunkiem wszelako, że odbędę na klęczkach pielgrzymkę do jej łóżnicy? Słuchaj, Ramorny! Postąpię zgodnie ze znaną dewizą Douglasa, że „lepiej jest słuchać śpiewu skowronka niż pisku myszy”*.

- Trudno o właściwsze miejsce niż Falkland - odparł rycerz. - Mam dość krzepkich yeomanów do obrony, a gdybyś, wasza miłość, chciał opuścić zamek, krótka przejażdżka konna przywiedzie cię nad brzeg morza.

- Słusznie mówisz. Ale umrzemy tam z nudów. Ani wesołych biesiad, ani muzyki, ani pięknych dziarlatek - rzekł z westchnieniem lekkomyślny książę.

Wybacz mi, mój lordzie, ale choć lady Marjorie Douglas odjechała, aby prosić swego możnego rodzica o pomoc, wiem o jednej piękniejszej, a z pewnością młodszej niewieście, która albo już przebywa w Falkland, albo znajduje się w drodze do zamku. Wasza miłość nie zapomniałeś chyba o Pięknym Dziewczęciu z Perth?

- Miałbym zapomnieć o najładniejszej pannie w całej Szkocji? Tak ja nie zapomniałem o niej, jak ty, Ramorny, nie zapomniałeś o ręce, która dzierżyła miecz podczas zbrojnej utarczki na Curfew Street w Dniu świętego Walentego.

- I którą straciłem. Ale jak jest pewne, że ręki nigdy nie odzyskam, tak też jest pewne, że Katarzyna Glover albo już się znajduje w Falkland, albo niebawem przybędzie do zamku. Nie zamierzam schlebiać waszej miłości i nie powiem, że spodziewa się tam zastać księcia Rothsaya... nie. W

istocie

zamierza oddać się w opiekę lady Marjorie.

- Ach, zdrajczyni - rzekł książę. - Więc ona też się przeciwko mnie zwróciła? Należy ją ukarać,

Ramorny.

- Ufam, mości książę, że nie wyznaczysz dziewczynie zbyt srogiej pokuty - zaśmiał się rycerz.

- Przebóg, z dawna już chciałem być jej spowiednikiem!

- Brak było do tego okazji, mój lordzie - odparł Ramorny. - Ale przypominam ci, że czas ucieka.

- Wielką mam chętkę trochę poswawolić, Ramorny, ale mój ojciec...

- Bezpieczeństwu miłościwego pana nic nie zagraża - rzekł Ramorny - i nikt też nie ogranicza jego wolności. Podczas gdy ciebie, mości książę...

- Podczas gdy mnie czekają kajdany - czy to małżeńskie, czy prawdziwe z żelaza, wiem o tym.

Douglas zbliża się do miasta z córuchną u boku, która nie mniej jest wyniosła i szpetna od swego dumnego rodzica.

- A w Falkland przebywa dziewczyna tak piękna, że drugiej takiej nie ma w całej Szkocji - podsunął Ramorny.

- Zwyciężyłeś, najmądrzejszy z doradców. Ale pamiętaj, że jest to ostatni mój wybryk.

- Ufam, że tak będzie, mości książę - odparł Ramorny - bo z Falkland będziesz się mógł porozumieć z miłościwym panem i ułagodzić z nim sprawy.

- Zaraz do niego napiszę, Ramorny... Nie, nie potrafię ubrać rozproszonych myśli w słowa. Ty to zrób

za mnie.

- Wasza miłość raczyłeś zapomnieć - rzekł Ramorny wskazując na kikut prawej ręki.

- Ach, znowu ta twoja przeklęta ręka! Co zrobimy?

- Jeśli zgodzisz się, mości książę, może to za ciebie uczynić mój cyrulik Dwining. Pisze piękniej od niejednego mnicha.

- A czy orientuje się w sytuacji? Zna nasze plany?

- Jak najdokładniej - odparł Ramorny. Podszedł do okna i przywołał czekającego w łodzi Dwininga.

Zbliżając się przed oblicze księcia Szkocji, cyrulik szedł, jak gdyby stąpał po jajach, ze wzrokiem spuszczone i przygarbionymi plecami.

- Hej, pocziwcze, oto pióro i pergamin. Zaraz zobaczymy, co potrafisz... znasz podobno okoliczności... postaraj się usprawiedliwić mnie jakoś przed mym ojcem.

Dwining usiadł przy stole i po kilku minutach wręczył list sir Johnowi Ramorny.

- Ach, Dwining, sam diabeł ci pomagał! - zawołał rycerz. - Posłuchaj, mości księżę. „Czcigodny mój ojciec i suwerenie. Pragnę Cię powiadomić, iż ważne okoliczności zmuszają mnie do opuszczenia Twego dworu i udania się do Falkland. Wybór mój padł na ten zamek, gdyż jest on zarówno siedzibą mego najdroższego stryja, księcia Albany, którego od dzieciństwa, miłościwy panie, nakazywałeś mi kochać, jak również miejscem pobytu tej, z którą nazbyt długo byłem zwaśniony i której śpieszę teraz złożyć przysięgę dozgonnej miłości”.

Księżę Rothsay i Ramorny wybuchnęli gromkim śmiechem. A medyk, przysłuchujący się swemu dziełu z taką miną, jak gdyby to był wyrok śmierci, zachęcony ich poklaskiem, wznosił oczy do góry i dodał swoje cichutkie „he, he, he” do ich głośnej wesołości.

- Wspaniale! - rzekł księżę. - Wspaniale! Starzec pokaże to pismo księżnej, jak ją zwa, Rothsay.

Dwining, powinienes być skrybą Ojca Świętego, gdyż korzysta on niekiedy z pomocy sekretarzy, którzy umieją nadać jednemu słowu dwa znaczenia. Położę teraz mój podpis i niechaj mnie przyniesie

chlubę to arcydzieło.

- A teraz, mój lordzie - rzekł Ramorny pieczętując list i kładąc go na stole - do łodzi!

- Wpierw przywołajcie mego szambelana ze zmianą odzienia i koniecznymi drobiazgami... i wezwijcie też mego krojczego.

- Miłościwy księżę - rzekł Ramorny - czas nagli, a wszelkie przygotowania mogą się wydać

podejrzane. Jutro służba podąży za tobą ze skrzyniami. Ufam, że dziś wieczór zadowolisz się moją służbą przy stole i w sypialni.

- O, tym razem ty zapominasz! - zaśmiał się książę dotykając kijkiem obandażowanej ręki

Ramorny'ego. - Pamiętaj, człowieku, że już nigdy ani nie pokrajesz kapłona, ani nie zawiążesz szarfy.

Ładny mi szambelan i krojczy, cha, cha!

Ramorny zazgrzytał zębami z bólu i wściekłości. Jego rana bowiem, choć już się goiła, nadal była obolała i najlżejsze dotknięcie przyprawiało go o katusze.

- Czy raczysz teraz zejść do łodzi, mój książę?

- Wpierw pożegnam się z lordem Errolem. Rothsay nie będzie wymykał się z jego domu jak złodziejasek z więzienia. Przywołajcie go tu.

- Może się to okazać ryzykowne dla naszego planu - protestował Ramorny.

- Do diabła z ryzykiem, z twoim planem i z tobą! - wybuchnął książę - Potraktuję Errola w sposób, jaki mnie przystoi i na jaki on zasługuje Po chwili wszedł do altany Lord Wysoki Komisarz.

- Wybacz, mój lordzie, żem cię trudził - rzekł Rothsay z pełną powagi dwornością, w czym był mistrzem - ale chciałem ci podziękować za hojną gościnę i za miłe towarzystwo. Nic mogę z nich dłużej korzystać, jako że naglące sprawy wzywają mnie do Falkland.

- Ufam, miłościwy książę, iż pamiętasz - odparł Errol - że przebywasz tu pod moją opieką.

- Pod opieką? Jakże to? Czyżbym był więźniem? Mów wyraźniej... bo jeśli nie jestem więźniem, postąpię wedle mej woli.

- Radziłbym ci, miłościwy książę, żebyś zyskał pozwolenie ojca na tę podróż. Taki postępek może ściągnąć gniew...

- Na mnie czy na ciebie?

- Jak już wspomniałem, znajdujesz się, książę, pod moją opieką, skoro jednak chcesz złamać ojcowski

nakaz, nie posiadam pełnomocnictw - uchowaj Boże! pozwalających mi zatrzymać cię tu siłą. Mogę

tylko prosić, żeby książę Rothsay raczył dla swego dobra...

- W tych sprawach sam jestem najlepszym sędzią. Żegnaj, mój lordzie.

Nie czekając na służbę i bagaże, lekkomyślny Rothsay wszedł do łodzi z Dwiningiem i Ramornym: zaledwie usiedli, Eviot odcumował linę, a że pomyślny wiatr uderzył w żagle, łódź popłynęła szybko na falach odpływu.

Przez jakiś czas książę milczał zachmurzony, a Ramorny nie przerywał jego medytacji. W końcu Rothsay podniósł głowę i rzekł:

- Mój ojciec zna się na żartach, a gdy minie jego pierwszy gniew, potraktuje tę swawolę z nie większą

surowością niż inne moje młodzieńcze wybryki. O, spójrzcie... oto zamczysko Kinfauns wznosi się groźnie nad wodami Tay. Powiedz mi, Johnie, jak zdołałeś wyrwać piękną Katarzynę Glover ze szponów tego upartego głupca burmistrza? Bo słyszałem od Errola, że jest ona jakoby pod jego opieką.

- Istotnie była, mój lordzie, jednakże rycerz z Kinfauns postanowił przekazać dziewczynę pod możniejszą opiekę księżnej... to znaczy lady Marjorie Douglas. Otóż ten kiep burmistrz, który w gruncie rzeczy jest równie męzny jak głupi, ma swojego totumfackiego, człowieka nie pozbawionego sprytu i chciwości, którym Charteris posługuje się we wszystkich ważniejszych sprawach i którego pomysły przywykł uważać za własne. A ja ilekroć chcę się dostać do skóry jednemu z tych wiejskich baronów, zwracam się do jego powiernika i pomocnika, który w tym przypadku nazywa się Kitt Henshaw i jest starym przewoźnikiem na rzece. Uczyniłem tę prawą rękę Charterisa moim własnym sługą i podsuwałem mu rozmaite usprawiedliwienia i wymówki mające na celu opóźnienie wyjazdu Katarzyny do Falkland.

- Ale czemu?

- Nie wiem, miłoścy książę, czym ci powinien wyjawic moje motywy, bo obawiam się, że ich nie pochwalisz. Chciałem, żeby mandatariusze badający herezję znaleźli Katarzynę Glover w Kinfauns. I

chciałem też, żeby sir Patrick zapłacił za swoją czelność grzywnami i konfiskatami. Mnisi mieli wielką chętkę trochę go oskubać, bo wadził się z nimi bezustannie o prawa połowu łososa.

- Ale czemu, na Boga, chciałeś zrujnować sir Patricka Charterisa i zaprowadzić piękną dziewczynę na stos?

- Hola, mości książę! Mnisi nie palą nigdy pięknych dziewcząt. Starej niewieście groziłoby może niebezpieczeństwo, ale nie takiej ślicznotce. A jeśli idzie o mojego lorda burmistrza, jak go ludzie nazywają... och, gdyby mu okrojono te rozległe włości, byłaby to skromna zapłata za despekt uczyniony mi w katedrze Świętego Jana.

Uważam, Johnie, że przemawiała przez ciebie niska i nikczemna chęć zemsty - rzekł Rothsay.

- Nie zgadzam się z tobą, miłościwy książę. Ów, który nie może mścić się ręką, musi polegać na głowie. Ale cóż, ta szansa przepadła, gdy Douglas opowiedział się przeciwko prześladowaniom heretyków. A wtedy stary Kitt Henshaw przestał nagle robić trudności i zgodził się w końcu przewieźć

dziewczynę z Perth do zamku Falkland - choć wprawdzie nie po to, żeby przebywała w niewesołym towarzystwie lady Marjorie, jak się jej samej i sir Patrickowi wydaje, lecz żeby zabawiała waszą miłość, kiedy wrócimy z łowów do zamku.

Znowu zapadło milczenie i znowu książę zagłębił się w myślach. W końcu przemówił:

- Ramorny, mam pewne skrupuły w tej sprawie. Ale jeśli o nich wspomnę, demon sofistyki, który cię opętał, wybije mi je z głowy, jak to już nieraz czynił. Z jednym wyjątkiem nie znam piękniejszej młodej niewiasty od Katarzyny Glover, a wydaje mi się ona tym piękniejsza... że przypomina nieco Elżbietę of Dunbar. Ale jest zaręczona i ma niebawem poślubić Harry'ego Smitha, płatnerza, który nie

znajduje sobie równego w rzemiośle i któremu nikt dotąd nie dorównał w szrankach. Jeśli uczynię to, do czego mnie namawiasz, wyrządę jaskrawą krzywdę temu rzetelnemu człowiekowi.

- Wasza miłość nie spodziewa się chyba, iż będę dbał nadmiernie o dobro i szczęście Harry'ego

Smitha? - rzekł Ramorny spoglądając na kikut swej ręki.

- Na świętego Andrzeja i jego ukośny krzyż, rozwodzisz się zbytnio nad tym swoim nieszczęściem, Johnie Ramorny! Co się stało, to się nie odstanie i czas już o tym zapomnieć.

- Nie, miłościwy książę, ty częściej o tym wspominasz... choć przyznaję, że zwykle z drwiną - rzekł Ramorny. - Natomiast ja... ale skoro nie potrafię zapomnieć o mej stracie, będę przynajmniej milczał.

- Słuchaj zatem. Powtarzam, że gnębią mnie pewne skrupuły. Czy pamiętasz, że poszliśmy kiedyś posłuchać kazania ojca Klemensa, a raczej popatrzeć na tę piękną heretyczkę, i stary mnich mówił wzruszająco niczym minstrel o bogaczu, który zabrał biedakowi ostatnie jagnię?

- Wielkie doprawdy zmartwienie - odparł sir John Ramorny - jeśli ojcem pierwородnego syna tego prostaka będzie książę Szkocji! Iluż earłów pragnęłoby tego samego dla swoich żon! A zapewniam cię, miłościwy książę, że ci liczni, których to szczęście spotkało, nie sypiają przez to gorzej.

- Jeśli wolno mi wtrącić słówko, powiem - odezwał się Dwining - że starożytne prawa Szkocji udzielały takiego przywileju każdemu feudalnemu lordowi w stosunku do wszystkich wasalek, choć wielu - z braku animuszu i ze zwykłej chciwości - ściągało tę należność w złocie.

- Nikt mnie nie musi namawiać do zajęcia się piękną niewiastą. Ale ta Katarzyna zawsze mnie traktowała oziębło.

- Dalibóg, mój lordzie - zawołał Ramorny - jeśli będąc młodym, urodziwym i księciem nie potrafisz zdobyć serca nadobnej dziewczyny, nic ci już nie mam więcej do powiedzenia!

- A jeśli wolno mi raz jeszcze zabrać głos - dodał szybko Dwining powtórzę to, co ludzie rozpowiadają w całym Perth, a mianowicie, że nie Katarzyna wybrała sobie Harry'ego Smitha, tylko stary Glover go jej narzucił. Wiem z całą pewnością, że kilkakroć odmawiała mu ręki.

- O, jeśli mówisz prawdę, zmienia to postać rzeczy - przyznał Rothsay. - Wulkan podobnie jak Smith był płatnerzem. Uparł się, że weźmie Wenus za żonę, i co z tego wynikło?

- A więc niechaj pani Wenus żyje nam długo i pozwala się wielbić! - zawołał wesoło Ramorny. - I za

pomyślność rycerza Marsa, który wybiera się do swej boginki w konkury!

Przez kilka minut płocha rozmowa toczyła się wesoło i wartko, ale niebawem książę Rothsay zmienił temat.

— Pozostawiłem za sobą ten dom podobny do więzienia, a mimo to nie czuję w sercu wesołości.

Ogarnia mnie ów senny, może nie przykry, ale melancholijny nastrój, w jaki wpadamy, kiedy zmęczy nas nadmiar wysiłku lub nadmiar rozkoszy. Odrobina muzyki głaszczącej ucho, lecz nie nakłaniającej do otwarcia oczu, byłaby rozkoszą bogów.

- Wystarczyło, miłościwy książę, żeś wypowiedział na głos swe życzenie, a już nimfy rzeczne śpieszą je zaspokoić. Słyszę z daleka dźwięki lutni!

- Lutnia! - ucieszył się książę Rothsay nasłuchując. - I jakże pięknie na niej ktoś gra. Coś mi przypominają te aksamitne tony. Zbliżamy się do łodzi, z której płynie muzyka.

- To stary Henshaw wraca w górę rzeki - rzekł Ramorny. - Hej, przewoźniku.

Kitt Henshaw usłyszał wezwanie i podpłynął do barki księcia.

- O.. moja stara znajoma! - zawołał książę poznawszy bez trudu zarówno postać, jak ubiór Luizy, francuskiej minstrelki. - Winien ci coś jestem, dziewczyno, boś się najadła przeze mnie strachu w Dniu świętego Walentego. Przesiądź się na mą łódź - wraz z lutnią, psiakiem, tobołkiem i tak dalej... Zaproteguję cię do służby u pewnej możnej damy, u której nawet twój kundel będzie jadał kapłony i kanapki.

- Wasza miłość raczy wziąć pod uwagę... - zaczął Ramorny.

- Zamierzam brać pod uwagę jedynie, moją wolę, Johnie. I prosiłbym, żebyś ty czynił to samo.

- Czy naprawdę zechcesz mnie oddać na służbę u możnej damy, miłościwy książę? - spytała minstrelka. - I gdzież ona mieszka?

- W zamku Falkland - odparł Ramorny.

- Och, słyszałam o tej możnej damie! - zawołała Luiza. - I naprawdę raczyłybyś mnie, szlachetny panie,

polecić na służbę swej książęcej małżonce?

- Przebóg, uczynię to... gdy tylko ją uznam za takową - dodał ciszej. - Słyszałeś to zastrzeżenie? -

zwrócił się na stronie do Ramorny'ego.

Pasażerowie znajdujący się w łodzi usłyszeli słowa księcia i zaczęli namawiać Luizę, żeby skorzystała

z tego uśmiechu fortuny i przyjęła proponowane jej miejsce w orszaku księżnej.

W czasie tej zwłoki Ramorny wyszeptał do Dwininga:

- Prędko, wymyśl coś, człowieku... Ten niespodziewany dodatek zupełnie nie jest nam na rękę. Idźże po rozum do głowy... znajdź jakąś przeszkodę. Ja tymczasem porozumiem się z Henshawem.

- Jeśli wolno mnie, który studiowałem medycynę zarówno w Hiszpanii, jak Arabii, wtrącić słówko - ozwał się Dwining - powiem, że w Edynburgu wybuchła ponoć zaraza i że bliskość tej młodej wędrownicy może się okazać niebezpieczna dla zdrowia miłościwego księcia.

- Ha! Nie twoja to rzecz, jeśli przyjdzie mi chętka ryzykować dzumę! Czy ty też chcesz mi psuć humor?

Tymczasem Ramorny zdążył dowiedzieć się od Henshawa, że nieobecność księżnej Rothsay w Falkland nadal jest utrzymywana w najściślejszej tajemnicy i że Katarzyna Glover przybędzie do zamku tegoż jeszcze wieczora lub nazajutrz rano.

Zagłębiając się w medytacjach, książę Rothsay przyjął tę wieść tak obojętnie, że Ramorny nie mógł się powstrzymać od wymówki.

- Wybacz, miłościwy książę - powiedział - lecz zachowujesz się jak rozkapryszony wybraniec fortuny.

Pragnąłeś wolności - otrzymałeś ją. Pragnąłeś piękna - czeka na ciebie. Parki* spełniają nawet twoje najdrobniejsze życzenia, bo zapragnąłeś muzyki, kiedy wydawała się taka daleka i niedostępna, a już masz lutnię na swe rozkazy. Rzeczy tak zesłane należy witać z radością, bo inaczej stajemy się rozkapryszonymi dziećmi, niszczącymi i ciskającymi w kąt zabawki, o które prosiły zalewając się

łzami.

- Ach, mój Ramorny, człowieka cieszy tylko przyjemność zdobywana z trudem. My, którzy na zawołanie możemy mieć wszystko, niewiele znajdujemy smaku w zaspokojonym życzeniu. Widzisz tę tam czarną chmurę deszczową? Mam uczucie, że mnie dusi... rzeka stała się mroczna i ponura... brzegi

straciły bujne piękno...

- Wybacz, miłościwy książę, swemu słudze - rzekł Ramorny - ale musi ci on powiedzieć, że puszczasz

wodze nazbyt bujnej wyobraźni, jak niewprawny jeździec puszcza wodze ognistemu rumakowi.

Otrząśnij się, proszę, z tego letargu. Czy rozkazać minstrelce, żeby zaśpiewała?

- Tak... ale coś melancholijnego. Wszelka wesoła muzyka byłaby teraz zgrzytem w moim uchu.

Luiza odśpiewała smętną pieśń w normandzkiej francuszczyźnie; żalosne słowa, których imitację podajemy niżej, podłożone były pod nie mniej żalosaną muzykę.

Tak, westchnij raz,

Raz jeszcze spójrz na świat szeroki,

Na strumień, ziemię, na obłoki –

Już kres twojego życia drogi,

Twejej śmierci czas.

Tak, tu się złóż,

Gdy tętna twoje ledwo drżą,

Mnich się za duszę modli twą

I dzwon w żałobny bije ton –

Umarłeś już.

Odegnaj strach.

To nagły spazm nie znany wprzód,

Gorączki dreszcz, a potem chłód;

Skończony twój człowieczy trud,

Boś ty już zmarł.

Księżę nie wypowiedział żadnej uwagi na temat pieśni i Luiza, na znak dany przez Ramorny'ego, popisywała się od czasu do czasu swą minstrelską sztuką, dopóki wieczór nie przyniósł deszczu - najpierw drobnego i łagodnego, który po jakimś czasie zamienił się w ulewę gnaną podmuchami lodowatej wichury. Księżę nie miał opończy, a gdy mu Ramorny ofiarował swoją, odepchnął ją ponuro.

- Rothsay nie zamierza nosić łachów ofiarowanych mu z łaski przez sir Johna Ramorny... choć jego to wina, że lodowaty wiatr z deszczem przenika mi teraz kości. Jak śmiałeś dać sygnał do odjazdu, nie zaczekawszy na moją służbę i skrzynie z odzieniem?

Ramorny nawet nie próbował się tłumaczyć, wiedział bowiem z doświadczenia, że gdy księżę znajduje się w takim humorze, woli rozwodzić się nad swoją urojoną krzywdą niż wysłuchać przekonywającego usprawiedliwienia, które zamknęłoby mu usta. W ponurym milczeniu, przerywanym niepohamowanymi wybuchami Rothsaya, dotarli w końcu do małej wioski rybackiej Newburgh. Czekwały tu na nich konie gotowe do drogi, o co Ramorny dawno już się był postarał.

Dosiedli wierzchowców i puścili się w drogę pośród gęstniejącego mroku i ulewy, usiłując nadażyć za

księciem, który, niebacznym na nic, galopował przed nimi. Na wyraźny rozkaz Rothsaya towarzyszyła im konno Luiza; przyzwyczajona do wędrówek pieszych i konnych, a także do najdzikszych nawet wybryków pogody, minstrelka dzielnie wytrzymała udrękę nocnej jazdy. Ramorny był zmuszony dotrzymać Rothsayowi kroku, obawiał się bowiem, że kapryśny młodzieniec zmieni pierwotny zamiar i schroniwszy się w domu któregoś z lojalnych baronów, zdoła uniknąć siideł już na niego zastawionych.

W końcu wjechali w bory falklandzkie, a gdy księżyc wyjrzał na chwilę zza chmur, zobaczyli przed

sobą mroczną i zwalistą wieżę zamku. Na dany sygnał opuszczono most zwodzony i na dziedzińcu rozjarzyły się pochodnie. Wybiegła służba, giermkowie pomogli księciu zejść z siodła, po czym zaprowadzono go do jednej z komnat, gdzie Ramorny prosił go na próżno, aby skorzystał z porady medyka. Rothsay pominął milczeniem namowy rycerza, rozkazał wyniośle, żeby mu przygotowano łoże, stał chwilę, dygocąc w przemoczonym odzieniu, obok buchającego żarem komina, a następnie, nie odezawszy się do nikogo, skierował kroki do sypialni.

- Zobaczylesz teraz na własne oczy, jak zrzęдлиwe i przykre usposobienie ma ten rozkapryszony młokos

- rzekł Ramorny do Dwininga. - Czy dziwisz się, że sługa, który tyle dla niego uczynił, ma dość takiego pana?

- Dalibóg, nie — odparł Dwining. - Już to samo, nie mówiąc o obiecanych włościach i tytule earla of Lindores, mogłoby zachwiać wiarą najlojalniejszego człowieka. Ale czy zabierzemy się do niego już dzisiaj? Bo jeśli oczy i lica nie kłamią, ma on w sobie początki choroby, co ułatwi ogromnie nasze dzieło i nada mu pozory naturalności.

- Hm, straciliśmy dzisiejszą sposobność - odparł Ramorny. - Ale musimy opóźnić nasz cios, dopóki nie przybędzie ta jego pięknisia. Przyda nam się ona później jako świadek. Zezna, że widziała go w dobrym zdrowiu na krótko, zanim... rozumiesz?

Dwining skinął głową i dodał:

- Nie traćmy bynajmniej czasu, bo nietrudno jest doprowadzić do zwiędnięcia kwiat osłabły przedwczesnym rozkwitem.

ROZDZIAŁ XXXI

Że był bezwstydnym, nie da się zaprzeczyć,

Miał pociąg do zabaw grzesznych, do hulank;

I niewiele go ziemskich obchodziło rzeczy

Oprócz uciech zmysłowych i oprócz kochanek

I hucznych uczt, gdzie każdy mógł mu być kompanem.

Byron

Nazajutrz ksiązę Rothsay obudził się w zgoła innym usposobieniu. Narzekał wprawdzie na bóle i gorączkę, ale zdawały się one raczej go podniecać niż obezwładniać. A choć nie wspominał ani słowem o wydarzeniach ubiegłego wieczoru, widać było, że doskonale przypomina sobie to, co usiłuje

zatrzeć w pamięci swych towarzyszy, a mianowicie dziecinne kaprysy i wybuchy złości. Odnosił się do wszystkich bardzo dwornie i żartował z Ramornym na temat spodziewanego przyjazdu Katarzyny.

- Wyobraź sobie zdumienie tej pięknej świętoszki, kiedy wprowadzają ją do domu pełnego mężczyzn miast między dworki lady Marjorie! Nie sądzę, Ramorny, żebyś miał wśród swoich domowników nadmiar przedstawicielek płci słabej. Nieprawdaż?

- Z pominięciem minstrelki tylko jakieś dwa popychadła w kuchniach, które są tam potrzebne do roboty. Ale skoro już o tym mówimy, nasza wędrowczyni dopytuje się o ową damę, do której z polecenia waszej miłości miała się dostać na służbę. Czy mam ją odprawić, żeby poszukała sobie swej

nowej pani gdzieś w świecie?

- Bynajmniej. Zostanie i będzie zabawiać Katarzynę. Ale słuchaj, John... czy nie byłoby dobrze przyjąć tę świętoszkę jakąś małą maskaradą?

- Nie wiem, co masz na myśli, mój lordzie.

- Jakże tępy jesteś, człowieku! Skoro dziewczyna spodziewa się tu zastać księżnę Rothsay, nie wolno nam jej rozczarować. Będę księciem i księżną w jednej osobie.

- Nadal nie wiem, o czym mówisz, miłościwy ksiązę.

- Trudno o większego kpa niż człowiek dowcipny, jeśli nie wpadnie od razu na właściwy trop. Lady Marjorie opuszczała Falkland w nie mniejszym pośpiechu, niż ja tu jechałem. Oboje nie zdążyliśmy zabrać naszych skrzyń z odzieniem. W gotowalni sąsiadującej z tą komnatą jest tyle niewieścich

łasków, że można by nimi przystroić cały pochód zapustny. Ja odegram pięknie rolę lady Marjorie; położę się na tej tu ławie i przystroję welonem wdowim, emblematem mojej tragicznej samotności. Ty, Johnie, ze swą wychudłą postacią i srogim wyglądem nadajesz się doskonale na hrabinę Hermenegildę, główną dworkę księżnej. A Dwining będzie doskonałą Hekata, jej piastunką... tyle tylko, że ta starucha ma więcej siwych włosów nad górną wargą niż on na całej twarzy i głowie. Sprowadź z kuchen te dwa popychadła, a także kilku paziów, muszę przecież mieć w komnacie odpowiednią ilość służek. Rusz się, człowieku - żywo!

Ramorny wyszedł do przedpokoju i zawiadomił Dwininga o nowym książęcym kaprysie.

- Zajmiesz się wykonaniem poleceń tego głupca - rzekł. - Z uwagi na to, co się ma zdarzyć, wolę go jak najrzadziej widywać.

- Wasza miłość zda się na mnie - powiedział medyk wzruszając ramionami. - Swoją drogą co to za dziwny rzeźnik, który nie wzdraga się poderżnąć jagnięciu gardło, ale lęka się jego beku?

- Możesz być pewien mojej stałości. Dobrze pamiętam, że ten młokos cisnąłby mnie za mury klasztoru z taką obojętnością, z jaką rzuca na ziemię drzewce złamanej kopii. Ale słuchaj, zanim rozpoczniesz przygotowania do tej błazeńskiej maskarady, musimy obmyślić jakiś fortel... coś, co wyprowadzi w pole tego kpa Charterisa. Bo jest rzeczą wysoce prawdopodobną, że Charteris przybędzie tu - mniemając, że księżna wciąż przebywa na zamku, a Katarzyna znajduje się między jej dworkami - i zaofiaruje swe usługi czy coś w tym rodzaju, kiedy jego obecność na zamku bynajmniej nie jest pożądana. Tym to prawdopodobniejsze, że słyszałem głosy nadające gorętszą nazwę łaskawej i

dobrotliwej opiece siwowłosego rycerza nad pięknym dziewczęciem.

- O, ta ostatnia uwaga w zupełności mi wystarczy. Poślę mu taki list, że prędzej wybierze się w podróż

do piekieł niż do zamku Falkland. Czy wasza miłość może mi powiedzieć imię spowiednika księżnej?

- Waltheof, franciszkanin.

- To mi wystarczy. A teraz do dzieła.

W ciągu kilku minut - był bowiem skrybą nadzwyczajnie wprawnym - Dwining sporządził pismo i wręczył je Ramorny'emu.

- Przeczytaj na głos, szlachetny lordzie - rzekł Dwining - abyśmy mogli przekonać się, czym nie popełnił jakiejś omyłki.

Ramorny odczytał, co następuje:

- „Z polecenia Jej Wysokości księżnej Marjorie of Rothsay ja, Waltheof, niegodny brat zakonu Świętego Franciszka, zwracam się do Ciebie, sir Patricka Charterisa, rycerza of Kinfauns, aby Cię powiadomić, że Jej Wysokość nie posiada się z oburzenia, iż ośmieliłeś się przysłać na dwór młodą niewiastę, o której cnotliwości księżna musi wątpić, jako że młoda ta osoba przebywała bez żadnej ku

temu racji ponad tydzień w Twym zamku, choć prócz niej nie było tam niewiast innych niż służki domowe; o którym to grzesznym postępowaniu rozeszła się wieść po całym Fife, Angus i Perthshire.

Jednakże uznawszy łaskawie, że jest to pożałowania godna ułomność ludzkiej natury, księżna nie rozkazała wychłostać lubieżnicy pokrzywami ani nie nałożyła na nią innej pokuty, a tylko oddała Katarzynę Glover w opiekę dwóm braciszkom z opactwa w Lindores, którzy wybierają się w specjalnej misji na Pogórze, polecając odwiedzić dziewczynę do ojca, który przebywa ponoć nad Jeziorem Tay. W tej to dziczy rozpustnica znajdzie się w warunkach bardziej odpowiednich dla jej obyczajów, niżby je znaleźć mogła w zamku Falkland na dworze Jej Wysokości..." I tak dalej, i dalej.

Skończywszy, Ramorny zawołał:

- Wspaniale... znakomicie! Ta niespodziana reprimenda doprowadzi Charterisa do szaleństwa! Od dawna wiadomo, że wielbi tę wyniosłą damę, a gdy się przekona, że ciąży na nim posądzenia o rozpustę, choć oczekiwał pochwał za miłosierny uczynek, do szczytu zgłupieje. Słusznie mówisz, że nieprędko zjawi się tutaj, żeby odwiedzić dzierlatkę i złożyć hołd damie. A teraz żywo, Dwining! Zajmij się maskaradą, podczas gdy ja będę przygotowywał to, co położy jej kres na wieki.

Zbliżało się południe, gdy Katarzyna, pod opieką starego Henshawa i giermka z drużyny rycerza of Kinfauns, stanęła przed murami zamku. Chorągiew z herbem księcia powiewająca na wieży i służba w

jego kolorach - wszystko to potwierdziło ogólne przekonanie, że księżna rezyduje wciąż w Falkland.

Serce Katarzyny zabiło gwałtownie, bo słyszała, że lady Marjorie jest niewiastą pełną pychy i popędliwości właściwej Douglasom; czuła się onieśmielona i niepewna oczekującego ją przyjęcia. Po

wejściu na komnaty nie zdziwiła jej szczupłość orszaku, wiedziała bowiem, że księżna żyje w samotności i z dala od wielkiego świata. W izbie będącej czymś w rodzaju przedpokoju wyszła jej naprzeciw niziutka staruszka, zgięta niemal we dwoje i oparta na lasce z hebanu.

- Witaj w tych progach, nadobna córko - rzekła stara niewiasta składając Katarzynie ukłon - witaj nam

w tym domu niedoli. Tuszę - ciągnęła, raz jeszcze kłaniając się Katarzynie - że twoja obecność będzie

pociechą dla mej drogiej pani i wychowanki, jej wysokości księżnej Rothsay. Siedź tu, dziecino, a ja tymczasem spytam, czy księżna raczy cię teraz przyjąć. Ach, córko, jakże jesteś śliczna! Ufam, że Matka Najświętsza obdarzyła cię duszą odpowiednią do tak nadobnego ciała!

Z tymi słowy podrabiana staruszka pokuśtykała do sąsiedniej komnaty, gdzie czekał już Rothsay w przebraniu i Ramorny, który wykręcił się od udziału w maskaradzie i miał na sobie zwykłe szaty.

- Zdumiewający z ciebie łajdak, imć medyku - rzekł książę. - Dalibóg, sądzę, że byłbyś rad odegrać sam całe przedstawienie i nie pogardziłbyś rolą kochanka.

- Gdybyś, miłościwy książę, życzył sobie, żebym ci oszczędził fatygi... - zarechotał Dwining.

- Och, to zbyteczne - odparł Rothsay - w tych sprawach pomoc nie jest mi potrzebna. A teraz powiedz... jak wyglądam leżąc na tej kanapce? Omdlewająco i po niewieściemu wytwornie, he?

- Jeśli wolno mi powiedzieć, twoja cera, panie, jest zbyt gładka, a rysy zbyt foremne jak na lady Marjorie - odparł medyk.

- Idź już... i wprowadź ten piękny soplek lodu. Nie lękaj się, nadobna Katarzyna nie będzie narzekała na

moją zniewieściałość. Ty też odejdz, Ramorny.

Ramorny oddalił się, a wtedy Dwining wprowadził Katarzynę Glover. Okna były starannie przysłonięte i w pokoju panował półmrok, toteż niewieścia postać półleżąca na kanapce nie wzbudziła

w Katarzynie najmniejszych podejrzeń.

- Czy to jest dziewczę, które do nas przybyło? - spytał Rothsay głosem z natury melodyjnym, teraz zaś przezornie ściszone do półszepotu. - Niech się do mnie zbliży, Gryzeldo, i pocałuje mnie w rękę.

Domniemana piastunka podprowadziła drżącą dziewczynę do kanapki i dała jej znak, by uklękała.

Klęcząc Katarzyna z bojaźliwą czcią ucałowała obciągniętą rękawiczką dłoń udawanej księżnej.

- Nie lękaj się, dziewczeczko - przemówił ten sam melodyjny głos. - Widzisz przed sobą jeno żalony przykład próżności ludzkich poczynań... szczęśliwi ci, którzy z urodzenia znajdują się poniżej nawałnic miotających nawą państwa.

Wypowiadając te słowa, Rothsay objął dziewczynę za szyję i przyciągnął do siebie w geście powitania. Ale jego pocałunek był tak ognisty, że Katarzyna krzyknęła; zdjęło ją nagle przerażenie, iż księżna postradała zmysły.

- Milcz, głupia! To ja... Dawid Rothsay!

Katarzyna obejrzała się... Piastunki nie było, a gdy księżę zdarł z twarzy welon, zrozumiała, że jest we

władzy zuchwałego młodego rozpustnika.

„Niebiosa, pomóżcie mi w potrzebie! - jęknęła w duchu. - Wierzę, że mi pomożecie, jeśli nie stracę głowy”.

Z tym postanowieniem Katarzyna opanowała chęć krzyku i ukryła przestach.

- Skoro żart się udał - powiedziała z całym spokojem, na jaki umiała się zdobyć - zechciej, miłościwy

książę, uwolnić mnie rękę. - Bo Rothsay wciąż wciął jej dłoń w swojej.

- Nie, moja piękna branko, nie wrywaj się... czego się lękasz?

- Nie wrywam się, mój lordzie. Skoro życzysz sobie trzymać mnie za rękę, nie będę ci stawiała oporu. Mógłbyś użyć przemocy, a potem gorzko byś tylko żałował.

- Ach, zdrajczyń, niewoliłaś mnie przez długie miesiące. Czyż nie mam teraz prawa więzić cię przez chwilę?

- Na ulicach Perth byłoby to rycerską galanterią, bo tam mogłabym albo słuchać tych słodkich słówek,

albo uciec. Tutaj jest to akt okrutnej tyranii.

- Dokąd uciekniesz, jeśli cię nawet uwolnię? - spytał Rothsay. - Most zwodzony jest podniesiony...

krata w bramie spuszczone... a ludzie w moim orszaku osobliwie głusi na krzyki niewieście. Jeśli będziesz dla mnie miła, przekonasz się, ile jest warta uległość wobec księcia.

- Uwolnij mnie w takim razie, mój lordzie, i wysłuchaj wezwania które skieruję od ciebie do

od Rothsaya do księcia Szkocji. Jestem córką skromnego, ale uczciwego mieszczanina. Mam stanąć niebawem na ślubnym kobiercu z mężnym i zacnym człowiekiem. Świadomie nigdy nie dawałam ci, miłościwy książę, zachęty do tego, coś teraz uczynił. Proszę cię więc gorąco - pozwól mi odejść. Po dobrej woli niczego ode mnie nie otrzymasz, a przemoc byłaby niegodna zarówno rycerza jak mężczyzny.

- Odważna z ciebie dziewczyna, Katarzyno - rzekł książę. - Ale rycerzowi i mężczyźnie nie wolno zignorować wyzwania rzuconego w twarz. Musisz poznać niebezpieczeństwa towarzyszące takim pojedynkom. - Z tymi słowy Rothsay znowu usiłował ją objąć, ale Katarzyna wywinęła mu się i dodała tym samym co przed chwilą spokojnym i stanowczym tonem:

- Siła, na którą zdobędę się w obronie czci, będzie równa sile, z którą ty, mój lordzie, będziesz na cześć mnie nastawał. Możesz mnie ogłuszyć ciosami lub wezwać służbę, która mnie obezwładni. Ale

inaczej nic ze mną nie wskórasz.

- Jakąż dziką bestię usiłujesz ze mnie uczynić! - wybuchnął książę. - Siła, której bym użył, jest tylko wymówką dla niewiasty ulegającej własnej słabości.

Usiadł, wyraźnie poruszony.

- W takim razie zachowaj ją dla niewiast, które pragną tego rodzaju wymówki. Mój opór jest niezłomny, bo rodzi się z umiłowania honoru i z lęku przed hańbą. Jeżeli uczynisz wedle swej woli, miłościwy książę, zerwiesz tylko wszelką więź między mną a życiem... między sobą a czcią rycerską.

Zwabiono mnie tu podstępnie; ale gdybym miała opuścić ten zamek pohańbiona, oskarżyłabym niszczyciela mego szczęścia przed całym światem. Wzięłabym kostur pielgrzymki do ręki i wszędzie tam, gdzie rządzi honor rycerski i gdzie znane jest imię Szkocji, obwieszczałabym potomka stu królów, syna świątobliwego Roberta Stewarta, dziedzica heroicznego Bruce'a - człowiekiem bez czci i

wiary, niegodnym korony, której się spodziewa, i ostróg, które nosi.

Rothsay zwrócił ku niej twarz, na której gniew mieszał się z podziwem.

- Zapominasz, do kogo przemawiasz, dziewczyno - powiedział. - Wyróżnienie, którym cię zaszczytam, przyjęte byłoby z wdzięcznością przez setki najświetniejszych dam królestwa.

- Raz jeszcze powtarzam, miłościwy książę, zatrzymaj te łaski dla tych, którzy je sobie cenią. Lub raczej użyj swój czas i siły na inne i szlachetniejsze cele... broń ojczyzny, dbaj o szczęście poddanych.

Ach, mój lordzie, jakże radośnie naród przyjąłby cię za swego suwerena, gdybyś dowiódł, że pragniesz walczyć przeciwko uciemienieniu biedaków, gwałtom nikczemników i tyranii hipokrytów!

Książę Rothsay, którego wzniosłe uczucia równie łatwo wybuchają, jak gasły, zaraził się entuzjazmem

dziewczyny.

- Wybacz mi, panno, jeśli cię przestraszył - rzekł z powagą. - Jesteś zbyt szlachetna, abym cię miał czynić zabawką dla mych przemijających chuci. Niewiastę w twoim rodzaju można zdobyć tylko

sercem, a ja nie mam serca do ofiarowania. Bo zniweczono moje nadzieje, Katarzyno... okrutna racja polityczna wzbronila mi malzenstwa z jedyną niewiastą, jaką w życiu kochałem, i narzuciła mi żonę, która budziłaby we mnie odrazę - nawet gdyby posiadała ową piękność i wdzięk, tak mnie nęcące w niewieście. Choć jestem młody, tracę zdrowie i może dlatego staram się zerwać możliwie najwięcej kwiatów w tej krótkiej drodze do grobu. Spójrz na moje gorejące policzki, dotknij nierównego tętna -

współczuj mi, Katarzyno, i znajdź dla mnie w sercu usprawiedliwienie, jeżeli ja, którego prawa jako następcy tronu i jako człowieka zdeptano, traktuję niekiedy obojętnie prawa innych ludzi i samolubnie

zaspokajam kapryś chwili.

- O miłościwy książę! - wybuchnęła dziewczyna ze zwykłą jej naturze żarliwością. - Nazwę cię szlachetnym księciem, bo szlachetny musi być potomek wielkiego Bruce'a... nie każ mi, błagam, słuchać tak strasznych słów. Twój dostojny pradziad cierpiał wygnanie, prześladowania, głód, nierówną walkę, żeby uwolnić nasz kraj - zdobądź się na podobne wyrzeczenia, żeby uwolnić siebie!

Wyrwij się ze szponów tych, którzy podsycając twe szaleństwa gotują sobie gładką drogę do władzy.

Nie ufaj Ramorny'emu, bo... ach, nie wiesz o tym, nie możesz wiedzieć, ale nikczemnik, który pchał córkę na drogę hańby, grożąc śmiercią jej wiekowemu ojcu, zdolny jest do każdej podłości, do

zdrady!

- Ramorny ośmielił się to zrobić? - spytał Rothsay.

- Tak, miłościwy książę.

- Nie puszczę tego płazem - odparł Rothsay. - Zmieniły się moje uczucia do niego, ale wycierpiał on dla mnie wiele i muszę mu wynagrodzić jego służbę.

- Jego służbę! Och, jeżeli starożytne kroniki mówią prawdę, taka służba przywiodła Troję do zguby i oddała Hiszpanię w ręce niewiernych!

- Sza, dziewczyno, nie przekraczaj granic tej rozmowy - rzekł Rothsay wstając. - Nasze zwierzenia

na

tym się kończą.

- Jeszcze tylko jedno, miłościwy książę - powiedziała Katarzyna z mocą. Jej piękna twarz

przypominała oblicze anioła udzielającego przestrogi. - Nie wiem, jaka siła pcha mnie do tej śmiałości

w słowach, ale muszę to powiedzieć. Opuść ten zamek bez chwili zwłoki! Atmosfera jest tu dla ciebie

niezdrowa! Odpraw natychmiast Ramorny'ego, ten nędznik jest dla ciebie niebezpiecznym

towarzyszem!

- Na czym opierasz te oskarżenia?

- Na niczym w szczególności... - odparła Katarzyna wstydząc się trochę własnego wybuchu. - Może

tylko na... na lęku o twoje życie, miłościwy książę.

- Potomek Bruce'a nie może zważać na lęki tak bezpodstawne. Do mnie tu, służba! Wszedł Ramorny i

skłonił się nisko księciu.

- Ramorny - zwrócił się do niego Rothsay - czy jest wśród domowników niewiasta dobrej sławy, która

byłaby odpowiednią towarzyszką dla tej młodej panny, dopóki nie odeślemy jej tam, dokąd zechce pojechać?

- Obawiam się, miłościwy książę - odparł rycerz - że pod tym względem zamek jest nader kiepsko

zaopatrzony. Mówiąc szczerze, ze wszystkich tu obecnych francuska minstrelka najlepiej nadaje się na

to stanowisko.

- Niech zatem towarzyszy tej młodej osobie. Uzbrój się, panno, w cierpliwość na kilka godzin.

Katarzyna opuściła komnatę.

- Ach, mój lordzie, tak prędko rozstajesz się z piękną dziewczyną? Tak marnotrawisz zwycięstwo?

- Nie wchodzi tu w grę ani zwycięstwo, ani klęska - odparł wyniośle książę. - Dziewczyna mnie nie

kocha; a ja nie kocham jej dość mocno, żebym ją chciał zdobywać siłą i obciążać sobie sumienie.

- Ho, ho, świątobliwy Malcolm Wstydlivy* ożył w jednym ze swych potomków! - zaśmiał się Ramorny.

- Zechciej łaskawie, Ramorny, powściągnąć swój dowcip lub wybierz dla niego inny cel. Jest już chyba południe i będę ci wdzięczny, jeśli każesz podać do stołu.

Ramorny wyszedł z komnaty, ale zanim zamknął drzwi, Rothsay zauważył uśmiezek na jego twarzy; dopiekła mu do żywego myśl, że jest przedmiotem drwiny tego człowieka. Zaprosił jednak rycerza do stołu, a nawet uhonorował Dwininga tym samym zaszczytem. Rozmowa toczyła się wartko i poruszała mocno swawolne tematy, do czego zachęcał Rothsay, jak gdyby chcąc sobie wynagrodzić wcześniejszą powagę.

Mimo że książę czuł się kiepsko, biesiada przeciągnęła się w nastroju płochej swawoli daleko poza granice wstrzemięźliwości, i czy to dlatego, że wino było mocne, czy dlatego, że książę nie był zdrowy, czy wreszcie dlatego, że do ostatniego pucharu wina, który Rothsay wypił, Dwining dosypał jakiś proszek, książę pod koniec biesiady zapadł w letargiczny sen, z którego jego towarzysze nie mogli go zbudzić. Wobec tego sir John Ramorny i Dwining zanieśli młodzieńca do komnaty sypialnej i położyli go na łóżku; pomagała im w tym tylko jedna osoba, której nazwisko wymienimy w następnym rozdziale.

Nazajutrz rano ogłoszono w zamku, że książę zapadł na zakaźną chorobę. W obawie przed rozszerzeniem się zarazy wzbroniono wstępu do książęcej komnaty wszystkim z wyjątkiem Ramorny'ego, Dwininga i wyżej wspomnianego osobnika. Jedna z tych osób przebywała stale u wezłowania księcia, podczas gdy dwie pozostałe przestrzegały środków ostrożności w stosunkach z resztą domowników tak skrupulatnie, iż utwierdziło się ogólne mniemanie, że książę jest śmiertelnie chory na zaraźliwą chorobę.

ROZDZIAŁ XXXII

W zimową, długą noc przy ogniu siądz

Z ludźmi starymi; niech powiedzą ci

O czasach złych, które minęły już.

I nim dobranoc rzekniesz, smutek spłać

I o żalonym mym upadku mów.

SZEKSPIR: Ryszard II

Jakże różnił się prawdziwy los nieszczęsnego dziedzica szkockiej korony od treści obwieszczenia podanego do publicznej wiadomości w mieście Falkland. Ambitny stryj Rothsaya postanowił go zgładzić i usunąć w ten sposób najgroźniejszą przeszkodę między swoją gałęzią rodu a tronem. Jakub, młodszy syn króla Roberta, był jeszcze dzieckiem i z nim Albany mógł się rozprawić później.

Ramorny, żądny bogactw i władzy i dyszący nowo zrodzoną nienawiścią do dawnego pana, stał się chętnym narzędziem zguby przygotowywanej dla Rothsaya. Nie mniej skwapliwy okazał się Dwining ze swą miłością do złota i wrodzoną nikczemnością natury. Postanowiono z zimnym i wyrachowanym okrucieństwem unikać starannie wszystkiego, co mogłoby naprowadzić na myśl o śmierci zadanej gwałtem; życie powinno zgasnąć samo, w wyniku prywatności, na które narażony zostanie kruchy i wycieńczony organizm. Księżę Szkocji nie miał być zamordowany, tylko - używając słów, które Ramorny wypowiedział przy innej okazji - miał przestać żyć.

Komnata sypialna Rothsaya w wieży zamku Falkland była jak stworzona do przeprowadzenia tego odrażającego planu. Wąskie i strome schodki za ukrytymi w ścianie drzwiami prowadziły stamtąd prosto do lochów zamczyska. Tymi to schodami nikczemnicy znieśli nieprzytomnego księcia do najniższego lochu, położonego głęboko we wnętrzościach ziemi. Bonthron, w tym celu uratowany z szubienicy, był gorliwym narzędziem bezprzykładnego okrucieństwa sir Johna Ramorny'ego w stosunku do dawnego pana, którego oszukał i zdradził.

Nędznik ów zszedł do lochu w momencie, gdy księżę obudził się z letargu i odzyskawszy zmysły,

poczuł lodowate zimno i ciężar łańcuchów na rękach i nogach, uniemożliwiających mu podźwignięcie

się z wilgotnej słomy, na którą go rzucono. W pierwszej chwili pomyślał, że to straszliwy sen... już w następnej wstrząsnęło jego sercem mgliste przecucie prawdy. Zaczął wołać, krzyczeć, w końcu wrzeszczeć szatańsko - ale nikt się nie zjawił, odpowiedziało mu tylko echo odbite od kamiennego sklepienia. Bonthron słyszał rozpaczliwe wołania i z zimną krwią liczył je i porównywał z pełnymi wzgardy słowami, w których Rothsay wielokrotnie wyrażał instynktowną odrazę do niego. Kiedy znużony wołaniem nieszczęsny młodzieniec umilkł, jego oprawca odsunął rygle, zdjął łańcuchy i otworzył drzwi; spętany kajdanami książe uniósł się na posłaniu i w krwistym świetle zobaczył upiorną postać człowieka, którego uważał za umarłego. Zdjęty grozą, padł na barłóg.

- Osądzono mnie i skazano na wieczne potępienie — wykrzyknął — a najohydniejszy z szatanów przyszedł mnie dręczyć!

- Kiedy ja żyję, miłościwy książe, i cieszę się dobrym zdrowiem - rzekł Bonthron. - A jeśli ty chcesz żyć, usiądź i posil się smakołykiem, który ci przyniosłem.

- Uwolnij mnie z tych łańcuchów, wypuść z tego lochu, łotrze, a zostaniesz najbogatszym człowiekiem Szkocji!

- Gdybyś mi, panie, ofiarował tyle złota, ile ważą twoje łańcuchy - odparł Bonthron - nie przyjąłbym bogactw, bo wolę widzieć cię zakutym w żelazo. Ale spójrz... lubowałeś się zawsze w dobrym jadle...

widzisz, jak dbam o twoje podniebienie?

Mówiąc to nędznik rozpakował trzymany pod pachą tobolek i w świetle pochodni pokazał

nieszczęsnemu księciu głowę byka niedawno odciętą od tułowia i powszechnie uważaną w Szkocji za

niechybny znak zbliżającej się śmierci.

- Ale bądź wstrzemięźliwy w jadle, mój książe - dodał. - Bo nieprędko służba poda ci następne danie.

- Powiedz mi jedno, nędzniku - rzekł książę. - Czy Ramorny wie o tym?

- A jak by cię tu inaczej zwabiono? Ach, biedny czyżyku, wpadłeś w sidła!

Co powiedziawszy, Bonthron zatrzaskał drzwi i zasunął rygle, a książę pozostał sam, rzucony na pastwę ciemności i beznadziejnej rozpacz.

- Och, ojczcie, mój ojczcie! - jęczał. - Jakże proroctwa były twoje słowa!

Nie będziemy opisywali szczegółowo godzin - ach, dni! - wypełnionych katuszą ciała i udręką ducha. Ale nie było wolą Niebios, żeby tak straszna zbrodnia uszła jej sprawcom bezkarnie.

Aczkolwiek pozostali domownicy, zaabsorbowani domniemaną chorobą księcia, przestali się interesować Katarzyną i minstrelką, to jednak obie niewiasty otrzymały zakaz wydalania się z zamku dopóty, dopóki nie zostanie stwierdzone, czy choroba jest, czy nie jest zaraźliwa. Skazane na swoje towarzystwo, Katarzyna i Luiza zżyły się, choć trudno to było nazwać przyjaźnią; ich zażyłość wzrosła jednak, gdy Katarzyna przekonała się, że Luiza jest ową minstrelką, z powodu której czyniła wyrzuty Harry'emu Smithowi. Wysłuchiwała teraz z wzruszającą skwapliwością jego obrony i pochwał, których Luiza nie szczędziła swemu rycerskiemu opiekunowi. Z drugiej strony minstrelka, uznająca wyższość Katarzyny nad sobą, chętnie powracała do tematu, który najwyraźniej cieszył dziewczynę, a w końcu wyraziła swą dozgonną wdzięczność dla mężnego Smitha słowami ulubionej w Szkocji piosenki o „Wiernym i chwackim”.

Wierny i chwacki,

W berecie szkockim,

Nie wiesz, co strach, nie wiesz, co fałsz;

Serce podległe masz swemu słowu,

A rękę szpadzie wierną masz.

W całej Europie od mórza do mórza

Nie ma jak Szkocki Beret, i już!

Znam ja niemieckich butnych żołnierzy,

Szarmanckich Francji znam rycerzy

I wiernych synów Anglii znam –

Lecz choćbym wszystkie kraje przebieżył,

Ja Szkot dzielnego nie znajdę tam.

W całej Europie od mórz do mórz

Nie ma jak Szkocki Beret, i już!

I tak płynęły im dni. Pragnąc uniknąć ciekawych spojrzeń, a może nawet rubaszości służby w

kuchniach, jedzenie przygotowywały sobie same w swej izdebce. Luiza, lepiej radząca sobie w

trudnych sytuacjach, śmielsza z natury i skwapliwie pragnąca przysłużyć się Katarzynie, wzięła na

siebie obowiązek pobierania od klucznika prowiantów na ich skromne posiłki i przygotowywała

z istic francuską zręcznością.

Szóstego dnia około południa minstrelka wyszła w tym właśnie celu; i czy to z tęsknoty za świeżym

powietrzem, czy w nadziei, że znajdzie jakąś sałatę lub warzywo, albo choćby wczesne kwiaty do

przystrojenia stołu, zawędrowała do małego ogródka w obrębie murów zamku. Gdy wróciła do

komnaty w wieży, twarz miała białą jak chusta i dygotała na całym ciele. Jej przestach udzielił się

natychmiast Katarzynie, która z trudem dobywając głosu, spytała, jakie nowe przydarzyło się

nieszczęście.

- Czy księżę Rothsay umarł?

- Gorzej! Morzą go głodem!

- Oszalałaś, niewiasto!

- Nie, nie, nie, nie! - wybuchnęła Luiza głosem zdyszany. - Szukałam kwiatów, boś chwaliła

wczoraj, że takie ładne... i moja psina myszkowała w gęstych krzakach ostrokrzewu wyrastającego na

rumowisku tuż pod murem zamkowym... i nagle wróciła do mnie kwiląc i szczekając. Podeszłam

cicho, bo byłam ciekawa... i och... usłyszałam jęki... jęki straszego bólu, ale tak ciche, jak gdyby dobywały się z najdalszych głębin ziemi. Zrozumiałam w końcu, że wydostają się z wąskiej szczeliny w murze, porosłej gęstym bluszczem. Przytknęłam ucho do ściany i wtedy usłyszałam głos księcia mówiący: „Zbliża się już koniec”... a potem szmer jak gdyby modlitwy.

- Boże miłosierny! Czyś przemówiła do niego?

- Powiedziałam: „Czy to ty, miłościwy książę?”, a on odpowiedział:

„Kto naigrawa się ze mnie, używając tego tytułu?” Spytałam, jak mu pomóc, a wtedy on odparł głosem, którego nigdy nie zapomnę: „Jeść... jeść... umieram z głodu!” Więc przybiegłam, żeby ci o tym powiedzieć. Co zrobimy? Czy zaalarmujemy domowników?

- O nie! Miast pomóc mogłoby mu to tylko zaszkodzić - odparła Katarzyna.

- Więc co zrobimy?

- Jeszcze nie wiem - odparła Katarzyna, która w chwilach trudnych była zaradna i odważna w działaniu, chociaż Luiza przewyższała ją zaradnością w sprawach powszednich. - Jeszcze nie wiem... ale coś musimy zrobić. Potomek Bruce'a nie umrze w zapomnieniu!

Przy tych słowach sięgnęła po mały garnuszek z zupą ugotowaną na mięsie, ukryła w fałdach chusty kilka cienkich placuszków i polecivszy Luizie, aby wzięła dzbanek z mlekiem, pośpieszyła do ogrodu.

- Ho, nasza piękna dziewczica wybiera się na przechadzkę? - zaczepił ją jeden z pachołków zamkowych.

Ale Katarzyna minęła go, nawet nań nie spojrzawszy, i bez dalszych przeszkód dotarła do ogrodu.

Luiza wskazała jej rumowisko zarośnięte bluszczem i krzakami, tuż pod ścianą zamku. Był to zapewne kiedyś występ w murze kryjący szczelinę, która doprowadzała powietrze do lochu. Jednakże

z biegiem lat mur skruszał i otwór powiększył się, przepuszczając teraz do lochu mdłe światło niewidoczne jednak dla tych, co schodzili w podziemia z zapalonymi pochodniami.

- Martwa cisza - powiedziała Katarzyna po chwili pilnego nasłuchiwania. - Matko Najświętsza, on już

pewnie skonał!

- Musimy zaryzykować - szepnęła Luiza przeciągając palcami po strunach lutni.

W odpowiedzi żalosne westchnienie dobyło się z głębi lochu. Katarzyna przemówiła:

- Jestem tu, miłościwy księżę... jestem z jedzeniem i piciem.

- To ty, Ramorny? Ha! Twój żart przychodzi zbyt późno. Umieram... - odparł księżę.

„Postradał zmysły nieszczęśnik, i co się tu dziwić - pomyślała Katarzyna. - Ale dopóki jest życie, dopóty jest nadzieja”.

- To ja, mój lordzie, Katarzyna Glover. Przyniosłam jedzenie, tylko nie wiem, jak ci je dostarczyć.

- Niech cię Bóg błogosławi, dziewczyno! Sądziłem, że bóle już minęły, ale na wspomnienie jadła rozgorzały od nowa.

- Mur jest tak gruby... szpara tak wąska... co zrobić? Jak dostarczyć do lochu to jadło... wiem! Prędko,

Luizo, utnij mi witekę wierzbową, najdłuższą, jaką znajdziesz!

Minstrelka wykonała polecenie. Katarzyna rozszcepiła witekę na końcu i zatknęła na nią kawałek placka umaczanego w rosole. W ten sposób zdołała podać nieszczęsnemu więźniowi kilka kęsów, które służyły jednocześnie za jadło i napój.

Księżę jadł niewiele i z największym trudem, ale obsypał swoją dobrodziejkę tysięcznymi błogosławieństwami.

- Chciałem cię skrzywdzić - powiedział - a ty ratujesz mi życie! Ale odejdz... niebezpieczeństwo czyha!

- Wrócę z jedzeniem przy pierwszej sposobności - obiecała Katarzyna. W tym momencie Luiza pociągnęła ją za łokieć i palcem nakazała jej milczenie.

Przycupnęły za krzakami. Nieomal jednocześnie dobiegły ich uszu głosy Ramorny'ego i medyka

prowadzących tuż obok rozmowę.

- Jest silniejszy, niż przypuszczałem - wychrypiał Ramorny. – Jak długo żył Dalwolsy*, gdy rycerz of Liddesdale uwięził go w swym zamku?

- Dwa tygodnie - odparł Dwining. - Ale to był istny tur, a poza tym wiadomo, że pożywiał się ziarnem

spadającym ze spichrza umieszczonego nad jego celą.

- Czy nie powinniśmy przyśpieszyć sprawy? Czarny Douglas wraz z wojskiem ciągnie w tę stronę.

Albany nie przypuścił go do spisku. Zażąda zobaczenia się z księciem, więc zanim się tu zjawi, musi być po wszystkim.

Oddalili się, zagłębieni w złowieszczej i posępnej rozmowie.

- Wracamy na wieżę - wyszeptała Katarzyna, gdy obaj mężczyźni wyszli z ogrodu. - Miałam plan ucieczki dla siebie... uczynimy z niego plan ucieczki dla księcia. Mleczarka przychodzi do zamku tuż po niesporach i zanim się uda z konwią do kuchen, zostawia płaszcz w sieni. Włóżysz płaszcz, otulisz

się nim szczelnie i śmiałym krokiem miniesz strażnika przy bramie. Jest zwykle o tej porze pijany i jeśli tylko nie stracisz kontenansu, przejdziesz bezpiecznie przez bramę i most. Potem biegnij prędko na spotkanie Douglasa, jest to nasz jedyny i najbliższy ratunek.

- Ach, przecież to ten straszny pan, który groził mi hańbą i karą! -wykrzyknęła Luiza.

- Zapewniam cię, Luizo, że o takich jak ty lub ja Douglas prędko zapomina - odparła Katarzyna. - Gdy

powiesz mu, że jego zięć, księżę szkocki, umiera morzony głodem w lochu zamku falklandzkiego, przebaczy ci i jeszcze cię hojnie wynagrodzi.

- Nie trzeba mi nagrody i nie dlatego idę - odparła Luiza. - Ale myślę, że najbezpieczniej jest zostać niż pójść... pozwól, że zostanę i będę karmiła nieszczęsnego księcia. Jeśli mnie zabiją, zanim wrócisz,

weź moją biedną lutnię i zaopiekuj się małym Charlotem.

- Nie, Luizy, jesteś bardziej doświadczoną wędrowniczką, idź, a ja zostanę. Gdybym zginęła, wręcz ten list mojemu biednemu ojcu i powiedz, że Katarzyna oddała życie, by ratować potomka Bruce'a. A drugi list wręcz Harry'emu; powiedz, że Katarzyna myślała o nim w ostatnich chwilach; i powiedz, że

jeśli wzdrygała się przed przelewem krwi, to nie dlatego, iż drżała o własne życie.

Padły sobie w objęcia i szlochały jakiś czas żałośnie. Godziny dzielące je od zmroku upłynęły im na obmyślaniu lepszego sposobu dostarczania księciu żywności. Udało im się sporządzić tubę z kawałków pustej trzciny wsuwanych jedno w drugie, przy pomocy której mogły karmić nieszczęśnika płynami.

W miasteczku Falkland odezwał się dzwon wzywający wiernych na nieszpory. Weszła kobieta wiejska z dzbanami mleka. Ledwie zniknęła w korytarzu prowadzącym do kuchni, Luiza, ponownie uściskawszy Katarzynę i zapewniwszy ją o swej wierności, wzięła psiaka pod pachę i zeszła cichutko

na dół; w chwilę później Katarzyna patrzyła z zapartym tchem, jak w płaszczu mleczarki idzie pewnie i spokojnie przez most zwodzony.

- Prędko się dziś uwinęła, moja Brygitko — rzekł strażnik. — Niewesoło tam w kuchniach, co? Gdzie choroba, tam smutek.

- Zapomniałam moich zapisów - odparła bystra Francuzka. - Wróć, zanim zdążysz odmówić zdrowaśkę.

Ruszyła przed siebie ścieżką prowadzącą przez park i omijającą miasteczko. Gdy zniknęła w oddali, Katarzyna odetchnęła z ulgą i podziękowała Bogu. Godzina minęła, zanim odkryto ucieczkę. Stało się to w momencie, gdy mleczarka, spędziwszy w kuchniach godzinę, choć dziesięć minut wystarczyłoby na załatwienie sprawy, przekonała się, wychodząc z zamku, że zniknął jej szary sukienny płaszcz.

Wszczęto natychmiast poszukiwania; w końcu niewiasty pracujące w kuchni podsunęły myśl o minstrelce. Wypytano strażnika, który oznajmił, że mleczarka wyszła z zamku tuż po nieszporach; a

gdy sama mleczarka zaprzeczyła jego słowom, strażnik doszedł do przekonania, że był to snadź diabeł.

Ponieważ jednak poszukiwania minstrelki nie dały rezultatu, służba bez trudu odgadła prawdę; i majordomus poszedł zawiadomić sir Johna Ramorny i Dwininga, którzy prawie się teraz ze sobą nie rozstawali, o ucieczce jednej z branek. Człowiekowi o nieczystym sumieniu najdrobniejsza nawet rzecz wydaje się podejrzana. Wymieniwszy strwożone spojrzenia, mężczyźni udali się natychmiast do skromnej izdebki Katarzyny - w nadziei, że zaskoczą dziewczynę i łatwiej wymuszą od niej zeznania.

- Gdzie twoja towarzyszka? - spytał Ramorny tonem surowej powagi.

- Nie mam tu towarzyszkę - odparła Katarzyna.

- Radzę ci, moja panno, żebyś nie stroiła żartów - skarcił ją rycerz. - Mam na myśli minstrelkę mieszkającą z tobą w tej izbie.

- Słyszałam, że wyszła z zamku. Mówiono mi, że przed godziną.

- Dokąd, jeśli łaska? - rzucił pytanie Dwining.

- Czy mogę wiedzieć, dokąd skierowała kroki włóczęga rozmówiona we swobodzie? Zbrzydło jej pewnie to samotne życie i zatęskniła do tańca i wesołości. Dziw tylko, że wcześniej nie umknęła.

- A więc to wszystko, co masz do powiedzenia, Katarzyno Glover? - spytał Ramorny.

- Wszystko - odparła Katarzyna - co mam do powiedzenia tobie, sir Johnie. A nawet gdyby sam książę

Rothsay mnie pytał, nie umiałabym mu powiedzieć więcej.

- Małe istnieje prawdopodobieństwo, że książę zaszczyci cię ponownie rozmową - rzekł Ramorny. -

Nawet jeśli Szkocji oszczędzona zostanie żałoba spowodowana jego przedwczesną śmiercią.

- Czy stan zdrowia księcia Rothsay jest aż tak poważny? - spytała Katarzyna.

- Jeden Bóg mógłby go uratować - odparł Ramorny wznosząc oczy ku niebu.

- A więc ufajmy, że On się nad nim zlituje, skoro ludzkie środki zawiodły - powiedziała Katarzyna.

- Amen! - dorzucił Ramorny ze śmiertelną powagą, podczas gdy Dwining nadał twarzy bolesciwy

wyraz, chociaż widać było, że z trudem hamuje szyderczy chichot tryumfu.

- I to są ludzie... ludzie z krwi i kości, a nie diabły z piekła rodem! Odwołują się do niebios, wysysając

jednocześnie krew swego nieszczęsnego pana! - wybuchnęła Katarzyna, gdy jej zawiedzeni inkwizytorzy wyszli z komnaty. - Czemu gromy nie biją z jasnego nieba? Och, uderzą niebawem... oby prócz kary przyszedł też ratunek!

Pora obiadu, gdy wszyscy domownicy byli zajęci przygotowywaniem lub spożywaniem posiłku, wydała się Katarzynie najodpowiedniejszą do wyprawy pod szczelinę w murze. Od wybuchu choroby

księcia - w zamku było cicho jak w grobie, ale teraz, gdy Katarzyna czekała upragnionej chwili, zwróciło jej uwagę niezwykle poruszenie. Kratę w bramie bezustannie podnoszono i spuszczano, a skrzypienie kołowrotu mieszało się ze stukiem kopyt, gdy zbrojni pachołkowie to wyjeżdżali, to wracali do warowni na wierzchowcach pokrytych pianą. Zauważyła też, że służba widoczna z okna jest pod bronią. Serce jej zabiło radośnie, gdyż wszystko były to znaki zapowiadające bliską już

pomoc. W końcu nadeszło południe; Katarzyna zaopatrzyła się przezornie w takie jadło, jakie najlepiej

nadawało się do jej sekretnego celu. Przytknąwszy usta do szpary, wyszeptała kilka słów - nie było odpowiedzi. Przemówiła głośniej, znów odpowiedziała jej głucha cisza.

- Usnął - rzekła do siebie z westchnieniem. A potem krzyknęła przeraźliwie słysząc za sobą głos...

- Tak, usnął, ale na wieki.

Obejrzała się. Stał przed nią sir John Ramorny w pełnej zbroi, ale z przyłbicą podniesioną i wyrazem twarzy człowieka, który gotuje się raczej na śmierć niż do boju. Mówił z powagą; było to coś pośredniego między tonem obserwatora interesujących wydarzeń a człowieka, który jest ich współautorem i uczestnikiem.

- Rzekłem ci prawdę, Katarzyno. Umarł... zrobiłaś dla niego wszystko, co było w twojej mocy... teraz już nic nie możesz uczynić.

- Nie wierzę w to... nie wierzę! - wybuchnęła dziewczyna. - Nieba, zmiłujcie się nade mną! Czyż Opatrzność nie istnieje, że dopuściła do zbrodni tak straszliwej?

- Nie wąp w istnienie Opatrzności, Katarzyno, choć pozwoliła, żeby rozpustnik zginął przez własne swoje grzechy. A teraz chodź... chcę ci powiedzieć coś, co dotyczy ciebie. Rzekłem chodź - dodał, gdy

dziewczyna wahała się - chyba że wolisz, bym cię zostawił na łasce bestii Bonthrona i medyka Dwininga.

- Pójdę - odparła Katarzyna. - Nie ośmielisz się mnie skrzywdzić, mój lordzie.

Poprowadził ją na wieżę i rozpoczęli długą wędrówkę w górę - najpierw po schodach, w końcu po drabinach.

Katarzynę opuściła odwaga.

- Nie pójdę dalej - oświadczyła. - Dokąd mnie prowadzisz, sir Johnie Ramorny? Jeśli na śmierć, mogę umrzeć tutaj.

- Na blanki wieży, głupia dziewczyno - rzekł Ramorny otwierając drzwi okute żelazem i prowadzące na sklepiony dach zamczyska. Krzątali się tu mężczyźni ustawiający maszyny do rzucania kamieni, przygotowujący kusze i układający stosy kamieni. Jednakże liczba obrońców nie przekraczała dwudziestu, a Katarzynie wydało się, że widzi na ich twarzach niepewność i zniechęcenie.

- Katarzyno - przemówił Ramorny - muszę być tu, gdzie bezpieczeństwo żąda mej obecności, ale mogę mówić z tobą również tutaj.

- Mów, panie - odparła Katarzyna. - Słucham.

- Posiadłaś krwawy sekret, Katarzyno - ciągnął rycerz. - Czy starczy ci mocy ducha, żeby go nie zdradzić?

- Nie rozumiem, o czym mówisz, sir Johnie.

- Zrozum. Uśmierciłem... zamordowałem, jeśli wolisz, mojego byłego pana, księcia Rothsaya. Bez

trudu udało się zdławić tę iskierkę życia, którą podsyciła twoja dobroć. Ostatnim swym tchnieniem przyzywał ojca. Nie mdlej... opanuj się! Mam ci więcej do powiedzenia. Wiesz o zbrodni, ale nie wiesz, co jej dało asumpt. Spójrz, ta rękawica jest pusta! Straciłem prawą dłoń w jego sprawie. A gdy

nie byłem już zdatny do służby, wygnał mnie jak zdechłego psa... szydził z mojej bolesnej straty, zalecał mi mury klasztorne miast sal biesiadnych, do których przywykłem. Zastanów się nad tym...
okaż mi współczucie i pomóż mi!

- Jakże mogłabym ci pomóc, sir Johnie? - spytała drżącym głosem Katarzyna. - Nie mogę ani powetować twej straty, ani wymazać twej zbrodni.

- Możesz milczeć, Katarzyno, i nie wspomnieć o tym, coś widziała i słyszała tam na rumowisku.

Wiem, że ktokolwiek będzie cię o to pytał, da wiarę twoim słowom. Bo zapewnienia cudzoziemskiej minstrelki nie są dla nikogo warte funta kłaków. Jeśli mi to przyrzekniesz, zaufam ci i otworzę bramę tym, którzy zbliżają się teraz do zamku. Jeśli nie obiecasz milczenia, rozkażę bronić tej twierdzy do ostatniego człowieka, ciebie zaś zrzucę z tych blanków. Słusznie... przyjrzyj im się, nie będzie to miły skok. Długo wspinałaś się tu na górę, ale droga na dół będzie trwała krócej niż westchnienie!
Powiedz,

że się zgadzasz, dziewczyno, bo nie chciałbym cię skrzywdzić, ale determinacja nie pozwala mi się nad tobą litować.

Zdrętwiała ze zgrozy Katarzyna nie mogła dobyć głosu, ale nagłe pojawienie się Dwininga wybawiło ją od konieczności udzielenia odpowiedzi. Przemówił ze zwykłą sobie pokorą i zadającym kłam tej pokorze szyderycznym uśmiechem.

- Niegodna to rzecz przeszkadzać rycerzowi, kiedy zajęty jest rozmową z nadobnym dziewczęciem. Pragnąłbym jednak spytać o pewną mało znaczącą błahostkę.

- Mów, dręczycielu! Lubujesz się w hiobowych wieściach, nawet jeśli dotyczą ciebie... byleby niosły zgubę innym - wybuchnął Ramorny.

- He, he, he! Chciałem tylko spytać, czy wasza miłość podejmie rycerski zamiar bronięcia tego zamku

jako jedyny i... he, he... jednoręki obrońca? Pytanie to o tyle ważne, że ja w dziele obrony nie na

wiele się przydam... chyba że wasza miłość zdoła namówić oblegających, iżby przyjęli sporządzone przeze mnie leki. Co więcej, Bonthron spił się, a przecież on, ty, panie, i ja stanowimy całą załogę gotową stawić opór na tych murach.

- Jakże to? Czyżby tamte psy nikczemne nie chciały walczyć? – spytał Ramorny.

- Nigdy nie zdarzyło mi się widzieć ludzi, którzy objawialiby mniejszy zapal do roboty. Nigdy -

odparł Dwining. - Ale oto nadchodzą dwaj ich godni przedstawiciele. Venit extrema dies*. He, he, he!

Zbliżył się Eviot ze swym nieodłącznym towarzyszem Buncle'em. Na twarzach obu malowała się ponura determinacja ludzi zbuntowanych przeciwko władzy, której dotąd ślepo słuchali.

- Hola, co to? - rzekł Ramorny wychodząc im naprzeciw. - Czemu zeszlście ze swych posterunków?

Eviot, miałeś pilnować barbakanu. Buncle, rozkazałem ci przecież ustawiać kusze.

- Musimy ci coś powiedzieć, sir Johnie of Ramorny - rzekł Eviot. - Nie będziemy się bili.

- Jakże to... moi giermkowie wypowiadają mi posłuszeństwo? - wybuchnął Ramorny.

- Byliśmy twymi giermkami i paziami, mój lordzie, dopókiś zajmował urząd koniuszego następcy tronu. Rozeszła się pogłoska, że księżę nie żyje... chcemy wiedzieć prawdę.

- Jakiż zdrajca ośmiela się rozsiewać takie kłamstwa?- spytał Ramorny.

- Wszyscy, którzy wychodzili z zamku na zwiady, w tym ja, przynoszą tę nowinę. Minstrelka, która wczoraj uciekła, rozpowiedziała w całej okolicy, że księżę Rothsay został zamordowany albo

znajduje się na progu śmierci. Douglas idzie na nas z wielką siłą...

- A wy, tchórze, korzystacie z tej czczej paplaniny, żeby odstąpić swego pana w potrzebie? - ryknął rozsierdzony Ramorny.

- Mój lordzie - rzekł Eviot - zaprowadź nas do księcia. Jeżeli on sam wyda rozkaz bronięcia tych

murów i jeżeli nie będziemy ich bronili do ostatniego tchu, zgodzę się zawisnąć na najwyższej zamkowej wieży. Ale jeśli książę zmarł śmiercią naturalną, wydamy zamek w ręce earla Douglasa, który jest ponoć królewskim namiestnikiem... Jeśli natomiast — co Boże uchroni! — szlachetny książę zginął zamordowany, nie chcemy bronić sprawców tej zbrodni!

- Eviot - warknął Ramorny podnosząc okaleczoną rękę - gdyby ta rękawica nie była pusta, zginąłbyś nie dopowiedziawszy do końca tych zuchwałych słów!

- Jest, jak mówiłem - rzekł z uporem Eviot - a my spełniamy tylko naszą powinność. Długo wykonywałem twe rozkazy, panie, ale teraz przyszedł kres mego posłuszeństwa.

- W takim razie precz stąd i niech was piekło pochłonie! - ryknął rozwścieczony baron. -
Przyprowadzić tu mego wierzchowca!

- Ha, mężny sir John Ramorny szykuje się do ucieczki - odezwał się głos medyka tuż obok Katarzyny.

- Dziewczyno, wprawdzie ogłupiasz się zabobonami, jak większość niewiast, ale mimo to nie brak ci rozumu, mówię więc do ciebie jako do kogoś, kto ma krztynę więcej inteligencji od tych bawołów tłoczących się obok nas na blankach. Powiedz, kim są w chwilach krytycznych ci wyniośli baronowie,

którzy rządzą światem? Niech tylko któryś z nich odniesie ranę, a już znika dzielny wojownik!

Męstwo i odwaga nic dla nich nie znaczą - sprawność i siła znaczą wszystko. Gdyby obdarzyć ich siłą

zwierzęcia - czymże są innym od stada rozjuszonych byków? Zabrać tę siłę - a bohaterski rycerz pełza

w prochu jak ogłuszone ciosem zwierzę. Inaczej zachowuje się mędrzec; dopóki iskierka świadomości

błyska w okaleczanej i zmiażdżonej łupinie, jego duch nie traci siły. Katarzyno, dzisiejszego ranka przygotowywałem to, co miało zadać ci śmierć; teraz rad jestem, że może przeżyjesz i powiesz, jak ów

nędzny medyk, przewrotny pigularz i sprzedawca trucizny umierał u boku mężnego rycerza of Ramorny, barona i w perspektywie earla of Lindores. Niech Bóg zmiłuje się nad jego łotrowską

mością!

- Starcze - rzekła Katarzyna - jeśliś istotnie jest tak blisko zasłużonego wyroku, radziłabym ci zwrócić

myśli ku sprawom innym niż chełpliwe bredzenie czczej filozofii. Poproś, by ci przyprowadzono kapłana...

- A jakże - zaśmiał się Dwining szyderczo - mam się zwrócić do spasionego mnicha, który nie rozumie nawet tej prymitywnej łaciny, którą klepie z pamięci! Zaiste odpowiedni byłby to doradca dla

kogoś, kto studiował w Hiszpanii i Arabii! Nie, Katarzyno, wybiorę sobie spowiednika, którego widok

jest radością dla oczu... ciebie zaszczycę tą funkcją. Spójrz na jaśnie wielmożnego rycerza... pot strumieniami ścieka mu z czoła, wargi drżą w męce; bo jaśnie wielmożny targuje się o życie ze swymi

pachołkami i z braku elokwencji nie potrafi ich ubłagać, żeby mu pozwolili uciec. I spójrz na ponure, zacięte gęby tych zdrajców, którzy miotani lękiem i wstydem - odmawiają swemu panu ostatniej szansy ratunku. I takie kreatury uważały, że górują nad człowiekiem mojego pokroju! Czyż ty, głupia dziewczyno, masz tak niskie mniemanie o swym Stwórcy, że uważasz tych nędzników za Jego dzieło?

- Nie, nie! - zawołała Katarzyna z żarem. - Bóg, którego wielbię, obdarzył tych ludzi przymiotami ducha i serca. Własne przywary i kuszenie szatana uczyniły z nich to, czym są obecnie! O, niech widok ten stanie się dla ciebie nauką, niech zmiękczy twe nieczułe serce! Pycha zatrąła wszystkie dary, którymi cię obdarzył Wszechmocny, i uczyniła z ciebie bezbożnika!

- Bezbożnika, powiadasz? - rzekł Dwining. - Mam ja moje wątpliwości w tym przedmiocie... ale niebawem zostaną one rozproszone. Oto nadchodzi człowiek, który wyśle mnie tam - jak wysłał tysiące przede mną - gdzie wyświetlą się wszystkie tajemnice.

Katarzyna podążyła za wzrokiem medyka i oto na jednej z polan leśnych ujrzała zbrojny hufiec zbliżający się do zamku pełnym galopem. Nie rozpoznała barw rozwianej chorągwi, ale ze słów

padających dokoła zorientowała się, że jest to chorągiew Czarnego Douglasa. Hufiec zatrzymał się na

odległość lotu strzały od murów zamkowych, a wtedy herold z dwoma trębaczami podjechał do mostu

i gdy ucichły dźwięki głośnej fanfary, zażądał, aby otworzono bramy przed Archibaldem earlem of Douglas, lordem namiestnikiem króla, który działa w imieniu monarchy; i rozkazał jednocześnie, żeby wszystkie osoby znajdujące się w zamku złożyły broń, gdyż w przeciwnym przypadku skierowane zostanie przeciwko nim oskarżenie o zdradę stanu.

- Słyszałeś, mój lordzie? - zwrócił się Eviot do Ramorny'ego, który stał z głową spuszczoną, posępny i niezdecydowany. - Czy też muszę...

- Nie waż się, łotrze! - wybuchnął rycerz. - Do końca będziesz wykonywał moje rozkazy. Otworzyć bramy, spuścić most i poddać zamek Douglasowi!

- Oto budujący przykład aktu wolnej woli - zachichotał Dwining. - W równej mierze te zwoje blachy mosiężnej, które ryczały przed chwilą, mogłyby nazwać dźwięki z nich wydostające się własnymi głosami, choć przecież był to potężny dech trębacza.

- Milcz, grzeszny starcze - skarciła go Katarzyna - albo zwróć myśli ku wieczności, u której bram stoisz.

- A co tobie do tego, dziewczyno? - spytał Dwining. - Chcąc nie chcąc, słyszysz co mówię, i powtórzysz to innym, bo taka już jest natura niewieścia. Perth... Ach, cała Szkocja dowie się, kogo straciła wraz ze śmiercią medyka Dwininga!

Szczyk oręza obwieścił, że drużyna Douglasa zsiadła z koni, wkroczyła na dziedziniec i rozbraja teraz

nieliczną załogę. Sam Douglas wszedł z garstką rycerzy na blanki i gestem ręki wskazał im, żeby ujęli Ramorny'ego i Dwininga. Kilku pachołków wyciągnęło z jakiejś wnęki otępiełego trunkiem Bonthrona.

- Czy jedynie ci trzej opiekowali się księciem w czasie jego domniemanej choroby? - spytał Douglas prowadząc dalej śledztwo, które rozpoczął w sieni zamkowej.

- Nikt inny go nie widział, mój lordzie - odparł Eviot - choć kilkakrotnie ofiarowywałem swoje usługi.

- Zaprowadź nas do komnat księcia... jeńcy pójdą z nami. Aha, w zamku powinna się znajdować młoda niewiasta, jeżeli naturalnie mordercy nie uśmiercili jej lub nie ukryli.

- Oto ona, mój lordzie - rzekł Eviot podprowadzając Katarzynę. Jej piękność i widoczne na twarzy wzburzenie poruszyły nawet tego nieczułego człowieka.

- Nie lękaj się nas, panienko - rzekł. - Zasłużyłaś na pochwałę i nagrodę. Powiedz mi teraz, jakbyś mówiła na spowiedzi, prawdę o tym, coś widziała w zamku.

Katarzyna w kilku słowach opowiedziała przerażającą historię.

- Zgadza się ona dokładnie z opowieścią minstrelki. Teraz zaprowadźcie nas do komnaty księcia.

Podeszli pod drzwi pokoju, który nieszczęsny książę Rothsay zamieszkiwał jakoby w chorobie; ale w zamku nie było klucza i Douglas rozkazał wyważyć drzwi. Już od progu zobaczyli wynędzniałe i brudne ciało nieszczęsnego księcia, rzucone jakby w pośpiechu na łóżko. Douglas podszedł i z bliska spojrzał na szczątki młodzieńca, którego namiętności i kaprysy zgotowały mu ten przedwczesny i straszny koniec.

- Miałem z nim swoje porachunki - rzekł chrapliwie - ale taki widok zaciera wszelką pamięć o krzywdzie!

- Hhe, he, he! Urządzilibyśmy wszystko bardziej po myśli waszej miłości czcigodnego lorda - zarechotał Dwining. - Ale czcigodny lord przybył do nas niespodziewanie, a gdzie niecierpliwy i porywczy pan, tam niechlujna służba.

Douglas snadź nie słyszał słów medyka, tak pilnie badał zapadniętą i wynędzniałą twarz i sztywne członki zamordowanego. Katarzyna, z trudem trzymająca się na nogach i bliska omdlenia, usłyszała w końcu, że wolno jej opuścić tę straszną komnatę. Półprzytomna i oślepią łzami, znalazła drogę do

swej dawnej izdebki, gdzie chwyciła ją w ramiona czekająca tu na nią Luiza.

Tymczasem Douglas dalej prowadził badania. W zaciśniętej dłoni księcia znaleziono kosmyk włosów,

w gatunku i kolorze identycznym z włosami Bonthrona. Tak więc można było wysunąć wniosek, że choć głód dokonał dzieła zniszczenia, książę umarł jednak śmiercią gwałtowną. Sekretne schody prowadzące z komnaty do podziemi, klucze wiszące przy pasku Bonthrona, szczelina w murze doprowadzająca powietrze do lochu, nędzny barłóg i łańcuchy - wszystko to potwierdziło zeznania Katarzyny i minstrelki.

- Nie będziemy zwlekali ani chwili - rzekł Douglas do swego bliskiego krewniaka, lorda Balveny, gdy

wrócili z podziemi. - Śmierć mordercom! Powiesić ich na blankach!

- Chyba trzeba ich wpierw, mój lordzie, osądzić - zaprotestował Balveny.

- Po co? - odparł Douglas. - Schwyciłem ich na gorącym uczynku. Moje pełnomocnictwa jako namiestnika królewskiego pozwalają mi na natychmiastowe wykonanie wyroku. Nie, czekaj! Mamy zdaje się w naszej drużynie ludzi z Jedburgha?

- Pod dostatkiem Turnbullów, Rutherfordów, Ainslie'ch i tym podobnych, mój lordzie - odparł Balveny.

- Niech się zbierze ława przysięgłych złożona z tych ludzi. Zacni to Szkoci i wierni ojczyźnie, choć żeby żyć, chwytają się czasem rozmaitych forteli. Ty zajmij się egzekucją morderców, a ja tymczasem odprawię z nimi sąd w wielkiej sali; zobaczymy, kto będzie pierwszy. Zastosujemy wymiar sprawiedliwości, z jakiego słynie miasto Jedburgh* - powiesimy prędko, a sądzić będziemy powoli.

- Czekaj, mój lordzie - rzekł Ramorny. - Bo kto wie, czy nie pożałujesz jeszcze tego pośpiechu. Czy mogę zamienić z tobą kilka słów na osobności?

- O, nie! - odparł Douglas. - Mów, co masz mi do powiedzenia wobec wszystkich tu zebranych.

- Wiedźcie więc - rzekł Ramorny głosem donośnym - że ten tu szlachetny earl odbierał listy od księcia

Albany'ego i ode mnie, przywożone mu przez tchórzliwego dezertera Buncl'a - czemu nie ośmieli się zaprzeczyć - doradzając usunięcie księcia Rothsaya na jakiś czas z dworu królewskiego i trzymanie go

w odosobnieniu zamku Falkland.

- Ale ani słowa nie było w tych listach o wtrąceniu księcia do lochu - odparł Douglas ze srogim uśmiechem na twarzy - morzeniu go głodem i zaduszeniu. Precz z tymi nędznikami, Balveny, ich oddech zatrzuwa powietrze!

Straże zawlokły jeńców na blanki. Ale gdy trwały przygotowania do egzekucji, medyk wyraził gorące życzenie zobaczenia się raz jeszcze z Katarzyną; a że dodał, iż rzecz tyczy dobra jego duszy, dziewczyna zgodziła się pójść na blanki i ujrzeć ponownie widok, przed którym wzdragało się jej serce. Jeden rzut oka ukazał jej Bonthrona w pijackim otępieniu; Ramorny'ego, już bez zbroi, usiłującego na próżno ukryć strach i rozmawiającego z kapłanem; i wreszcie Dwininga, jak zwykle pokornego, skulonego i unizonego. Trzymał w ręce srebrne pióro, którym pisał coś zawzięcie na kawałku pergaminu.

- Katarzyno... he, he, he! - zarechotał. - Chcę z tobą porozmawiać o sprawach wiary.

- Jeśli takie jest twoje życzenie, czemu miałbyś tracić czas ze mną? Porozmawiaj, starcze, z tym zacnym mnichem.

- Zacny mnich jest już... he, he, he - zarechotał Dwining - czcicielem bóstwa, któremu służyłem.

Dlatego wolę ofiarować ołtarz mego bożyszczu tobie, abyś powiększyła grono wiernych jego wyznawców. Na tym kawałku pergaminu znajdziesz wskazówki, jak dostać się do świątyni, w której tylekroć odprawiałem nabożeństwa. Pozostawiam ci wszystkie znajdujące się tam wizerunki bóstwa jako legat... tylko dlatego, że gardzę tobą i nienawidzę cię odrobinę mniej niż wszystkich tych nędznych łajdaków, których zmuszony byłem nazywać moimi bliźnimi. A teraz idź... albo zostań i przekonaj się, czy śmierć szarlatana zada kłam jego życiu!

- Boże uchwaj! - zawołała Katarzyna.

- Nie lękaj się - rzekł Dwining - bo mam już tylko kilka słów do powiedzenia, a tamten czcigodny szlachcic może ich wysłuchać, jeśli ma ochotę.

Lord Balveny podszedł z wyrazem zaciekawienia na twarzy; wydawało mu się bowiem, że jest coś z czarów w tej nieugiętej odwadze człowieka, który nigdy nie posługiwał się mieczem i nie nosił zbroi,

a postać miał chuderlawą i skarłałą.

- Widzicie to niewinne narzędzie? — spytał medyk pokazując im srebrne pióro. - Pomoże mi ono obronić się przed potęgą samego Czarnego Douglasa.

- Nie dawajcie mu inkaustu ani pergaminu! - rzucił prędko lord Balveny. - Gotów jeszcze wypisać zaklęcie i zaczarować nas wszystkich!

- Nie obawiaj się, czcigodny mędrco i mężny lordzie... he, he, he! - rzekł drwiąco Dwining.

Rechocąc po swojemu, odkręcił wierzch srebrnego pióra i wyjął ze środka maleńki, nie większy od grochu, kawałek gąbki czy też podobnej substancji.

Teraz patrzcie na mnie wszyscy - dodał wsuwając ową substancję między wargi. Skutek był natychmiastowy. Dwining leżał przed nimi martwy, pogardliwy uśmiezek zastygł mu na twarzy.

Katarzyna krzyknęła przeraźliwie i uciekła. Lord Balveny stał jak osłupiały; po chwili ocknął się i zawołał:

- To mogą być czary! Powiesić go nad blankami, żyw czy umarły! Jeśli jego obmierzły duch ulotnił się tylko na chwilę, wróci do ciała z przetrąconym kręgosłupem!

Rozkaz został wykonany. Przystąpiono teraz do egzekucji dwóch pozostałych skazańców. Bonthron wisiał, zanim zdążył się zorientować, jaki czeka go los. Ramorny był blady jak śmierć, ale kipiał od tej

samej dumy, która zgotowała mu ruinę; powołując się na swój przywilej rycerski, zażądał śmierci przez ścięcie miast powieszenie.

- Douglas nigdy nie zmienia rozkazów - odparł lord Balveny. — Ale uszanujemy twoje przywileje.

Hej tam, sprowadzić mi z kuchni kucharza z toporem rzeźnickim. - Po chwili zjawił się kucharz.

Czemu dygoczesz, głupcze? rzekł do niego Balveny. Dalej, odrąb mu te złocone ostrogi! Cóż, Johnie Ramorny, nie jesteś już rycerzem, tylko pacholkiem. Założyć mu stryczek! Powieście go obok jego towarzyszy... wyżej niż oni, jeśli to możliwe!

W piętnaście minut później Balveny zameldował Douglasowi, że mordercy zostali straceni.

- W takim razie nie warto prowadzić dalej rozprawy - rzekł earl.

Jak uważacie, czcigodni mężowie na ławie sędziowskiej... czy ludzie ci byli winni, czy nie byli winni

zbrodni stanu?

- Winni! - zakrzyknęli usłużnie sędziowie z budującą zaiste jednomyślnością. - Niepotrzebne nam dalsze dowody!

- Niech zagrają trąby i na koń, jedziemy do Perth tylko z przyboczną drużyną. I nakaz wszystkim milczenie, dopóki nie przedstawię całej sprawy królowi, co uczynić będzie można dopiero po bitwie wyznaczonej w Niedzielę Palmową. Wybierz odpowiednich ludzi i powiedz zarówno tym, którzy zostaną, jak tym, którzy odjadą z nami, że kto piśnie słowo, zginie.

W kilka minut później Douglas siedział już na koniu; towarzyszyła mu mała przyboczna drużyna.

Pchnięto umyślnych posłańców do lady Marjorie, owdowiałej księżnej Rothsay, z listami polecającymi jej, aby podążyła do Perth omijając Falkland, i oddającymi jej w opiekę Katarzynę i minstrelkę, za których bezpieczeństwo Douglas czuł się odpowiedzialny.

Wjechawszy w las, obejrzeni się i zobaczyli trzy ciemne punkty na ścianach starego zamczyska - trzy ciała zbrodniarzy wiszące nad blankami.

- Dłoń została ukarana - rzekł Douglas. - Ale kto oskarży głowę, która obmyśliła zbrodniczy plan?

- Masz na myśli księcia Albany? - spytał Balveny.

- Jego mam na myśli, krewniaku. I gdybym posłuchał nakazu serca, oskarżyłbym go o tę zbrodnię, choć nie mamy dowodów, a tylko podejrzenia. Co więcej, Albany przeciągnął na swą stronę licznych

przyjaciół rodu Stewartów, którzy widząc słabość króla i szaleństwa młodego księcia nie mieli wyboru

i jego musieli uznać za przywódcę. Gdybym więc zerwał przymierze niedawno zawarte z Albanym, doprowadziłoby to nieuniknienie do wojny domowej, co byłoby klęską dla nieszczęsnej Szkocji... tym

straszliwszą, że grozi nam napaść Anglików pod wodzą Percy'ego, któremu pomaga zdradziecki earl of March. Nie, Balveny... musimy zdać się na niebiosa i ufać, że we właściwym czasie ukarzą one Albany'ego i jego ród.

ROZDZIAŁ XXXIII

Już pora jest, już łomot serc,

Miecz ostry w każdej dłoni;

Kto podle zbiegł, kto poniósł śmierć,

Jutrzejszy dzień odsłoni.

Sir Edwald

Musimy teraz przypomnieć czytelnikom, że Szymon Glover i jego córka opuścili dom w pośpiechu tak wielkim, że nie zdążyli zawiadomić Harry'ego Smitha ani o fakcie wyjazdu, ani o niepokojącej jego przyczynie. Przeto gdy wielbiciel stawił się na Curfew Street rankiem w dniu ich wyjazdu, miast serdecznych powitań ze strony zacnego rękawicznika i uśmiechu pół radości, pół wymówki na ustach jego pięknej córki, zawiedziony płatnerz usłyszał zdumiewającą nowinę o wczesnym wyjeździe obojga w towarzystwie obcego i starannie zamaskowanego mężczyzny. Dorota, której zamiłowanie do czarnowidztwa znane jest czytelnikom, dodała, że w jej przekonaniu Glover wraz z córką udali się na Pogórze, dzięki czemu uniknęli odwiedzin kilku wysłanników sądowych, którzy w imieniu komisji królewskiej przeszukali dom, położyli pieczęcie na tych sprzętach, w których mogły znajdować się dokumenty, i pozostawili dla ojca i córki nakaz wzywający ich oboje do stawiennictwa w oznaczonym

dniu i pod karą banicji przed sądem królewskiej komisji. Wszystkie te niepokojące szczegóły Dorota odmalowała w najczarniejszych barwach, na pocieszenie zaś dodała tylko, iż pan jej polecił powtórzyć

płatnerzowi, aby czekał on cierpliwie w Perth na dalsze wiadomości. Pohamowało to Smitha, który w

pierwszym momencie postanowił natychmiast udać się za Szymonem i Katarzyną na Pogórze i dzielić z nimi los wygnańców.

Gdy jednak wspominał swoje liczne spory z członkami klanu Quhele, zwłaszcza zaś niedawną zwałę z Conacharem, doszedł do przekonania, że jego obecność na Pogórze miast wzmóc, mogłaby jedynie zagrozić bezpieczeństwu ich kryjówki. Wiedział doskonale, jak zażyłe stosunki łączą Glovera z wodzem klanu Quhele, i słusznie rozumował, że klan roztoczy nad Szymonem i Katarzyną opiekę; z drugiej zaś strony, rozumiał, że jego męstwo osobiste nie na wiele zda się w sporze z całym plemieniem mściwych górali. Jednakże krew burzyła się w nim na myśl, że Katarzyna znajduje się we władzy Conachara. Bo czyż nie może się zdarzyć, że młody wódz uzależni bezpieczeństwo ojca od przychylności córki? Harry nie wątpił w jej miłość do siebie; ale z drugiej strony, Katarzyna była osobą tak bezinteresowną i tak gorąco kochała ojca, że kto wie, czy jego życie i bezpieczeństwo nie przeważą na szali miłości do kochanka? Dręczony myślami, których nie będziemy opisywać, Harry postanowił jednak, że zostanie w Perth i tłumiąc niepokój zaczeka na przyrzeczone wieści. Wieści przysły w końcu, ale nie rozproszyły jego obaw.

Sir Patrick Charteris nie zapomniał o obietnicy wtajemniczenia Smitha w plany zbiegów. Ponieważ jednak w tumultach wojennych przygotowań nie mógł uczynić tego osobiście, wysłał do Smitha swego agenta, Kitta Henshawa. Ale cny ów przewoźnik, o czym czytelnik pamięta, zdradzał sir Patricka dla Ramorny'ego, który starał się usilnie zataić miejsce pobytu Katarzyny przed każdym, a już zwłaszcza przez jej mężnym i energicznym wielbicielem. Przeto Henshaw oznajmił Harry'emu, że Glover przebywa bezpiecznie na Pogórze, a choć na temat losu Katarzyny był bardziej powściągliwy, dał

jednak do zrozumienia, że córka wraz z ojcem korzysta z opieki klanu Quhele. Na zakończenie ponownie zapewnił Smitha w imieniu sir Patricka, że ojciec i córka miewają się dobrze i że przez wzgląd na ich bezpieczeństwo i własną korzyść Harry powinien siedzieć spokojnie w Perth i czekać na dalszy rozwój wypadków.

Przeto z udręką w sercu Harry wyglądał wieści od zbiegów, całe dni spędzając w kuźni nad koczugą, z której postanowił uczynić najlepiej i najstaranniej wykonane dzieło swych mistrzowskich rąk. Ta praca dawała mu większą satysfakcję niż jakiekolwiek inne zatrudnienie, a ponadto zyskiwał dzięki niej pretekst do zamykania się w kuźni i unikania towarzystwa ludzi, którzy rozpowiadali wciąż nowe wieści wzmagające tylko jego trwogę. Harry postanowił ufać serdecznej przyjaźni Szymona, wierności jego córki i życzliwości burmistrza. Czas jednak płynął wartko i zbliżała się już Niedziela Palmowa, gdy burmistrz, przybywszy do miasta w związku z przygotowaniami do niedalekiej bitwy, postanowił złożyć wizytę Smithowi w zaułku Wynd.

Wszedł do kuźni z wyrazem współczucia na twarzy, co było u niego czymś niezwykłym i natychmiast wzbudziło w Harrym podejrzenia, że burmistrz przynosi złe wieści. Harry tak bardzo się przeraził, że niewiele brakowało, a miał odłożyć młot na ziemię, byłby go wypuścił z ręki.

- Biedny mój płatnerzu - ozwał się sir Patrick - przynoszę ci kiepskie wieści, choć jeszcze

niezupełnie sprawdzone. Wiem jednak, że jeśli okażą się prawdziwe, zniesiesz je dzielnie, jak przystało mężczyźnie.

- W imię Pana Wszechmogącego, mój lordzie... ufam, iż nie przynosisz mi złych nowin o Gloverze i jego córce - wybuchnął Harry.

- Nie o nich samych - odparł sir Patrick. - Nie. Są zdrowi i miewają się dobrze. Dla ciebie jednak moje

wieści nie są zbyt przychylnie. Kitt Henshaw wspominał ci, jak sądzę, że pragnąłem oddać Katarzynę

pod mozną opiekę księżnej Rothsay, która jednak nie zgodziła się przyjąć jej na swój dwór i odesłała dziewczynę do ojca na Pogórze. Teraz usłyszysz najgorsze. Doniesiono ci zapewne, że Gilchrist MacIlan umarł i że władzę po nim objął jego syn Eachin, znany w Perth jako czeladnik starego Glovera

pod imieniem Conachar. Otóż dowiedziałem się od jednego z moich wasali, iż wśród członków klanu Quhele krąży uporczywa pogłoska, że młody wódz stara się nie bez powodzenia o rękę Katarzyny.

Informacji tej udzielono memu wasalowi (zastrzegając wszelako tajemnicę), gdy w związku z przygotowaniem do niedalekiej bitwy przebywał w Breadalbane. Nie jest to wiadomość pewna, ale...

ale, Harry, ma wszelkie pozory prawdopodobieństwa.

- Czy sługa twój, miłościwy lordzie, widział się z Szymonem Gloverem i jego córką? - spytał Harry; oddech miał przyspieszony i kaszlem usiłował pokryć wielkie wzburzenie.

Nie, nie widział, odparł burmistrz. - Pogórzanie wręcz odmówili mu pozwolenia na rozmowę z Gloverem, nie chciał zaś budzić niepotrzebnie ich podejrzeń zbędnymi pytaniami o Katarzynę. Zresztą

nie mówi po celtycku, jego informator zaś słabo władał angielskim, a zatem mogła zajść jakaś pomyłka. Tak czy inaczej, tego rodzaju pogłoska istotnie się rozeszła, więc pomyślałem sobie, że

powinien o niej zawiadomić. W każdym razie zapewniam cię, że ślub w żadnym przypadku nie odbędzie się przed rozstrzygnięciami, które przyniesie Niedziela Palmowa. I radzę ci, płatnerzu, żebyś

nie wszczynał żadnych kroków, dopóki nie dowiemy się czegoś bliższego o sprawie, bo pewność, nawet jeśli bolesna, jest zawsze najlepsza. Idź teraz na ratusz, mój Harry - dodał po chwili milczenia -

żeby porozmawiać o szrankach i innych przygotowaniach do Niedzieli Palmowej. Wszyscy będą ci tam radzi.

- Dziękuję, miłościwy lordzie, ale nie pójdę.

- Hm, widzę, że cię ta sprawa ścięła z nóg. Ale cóż, niewiasty to istne chorągiewki na dachu.
Salomon

i inni dawno się o tym przekonali.

Co powiedziawszy, sir Patrick wyszedł, głęboko przekonany, że doskonale wywiązał się ze swej misji

pocieszyciela.

Ale zgoła inaczej zapatrywał się na tę sprawę zgnębiony zalotnik.

„Burmistrz - powiedział sobie z goryczą - to zacności człowiek. A takie ma dobre mniemanie o swoim

rycerstwie, że kiedy mówi bzdury, biedny człowiek zobowiązany jest je przyjmować jako wielkie mądrości - podobnie jak musi chwalić zwietrzałe piwo, jeśli mu je podadzą w srebrnym pucharze jego

lordowskiej mości! A jak by to wyglądało w innej sytuacji? Powiedzmy, że biegnę w dół urwistego stoku Corrichie Dhu, a zanim dotrę nad brzeg przepaści, spotykam lorda burmistrza, który do mnie woła: «Harry, przed tobą urwisko i przykro mi powiedzieć, ale zaraz stoczysz się w dół przepaści!

Tylko nic się nie martw, bo Bóg da, że trafisz po drodze na jakiś głaz albo krzak, którego się uczepisz.

Ale pomyślałem sobie, że zawsze będzie to dla ciebie pociechą, jeśli cię uprzedzę o najgorszym. Nie wiem, ile setek stóp jest na dno przepaści, przekonasz się jednak, kiedy wylądujesz na jej dnie, a co pewność, to pewność. Ach, słuchaj, może zagrasz ze mną któregoś dnia w kręgle?» I całe to próżne gadanie miast przyjacielskiej próby uratowania biedaka! Jak o tym pomyślę, taka ogarnia mnie wściekłość, że miałbym ochotę chwycić młot i roztrzaskać wszystko dokoła! Ale nie... muszę się pohamować. A jak ta drapieżna pogórzańska kania, która zwie samą siebie sokołem, spróbuje zaatakować moją turkawkę, przekona się snadnie, że mieszczanie z Perth są dobrymi łucznikami".

Był to czwartek przed brzemienną losom Niedzielą Palmową, nazajutrz zaś spodziewano się w Perth wojowników obu stron, którzy przez sobotę mieli odpocząć i przysposobić się do boju. W mieście przebywało już po dwóch wysłanników każdej z wrogich drużyn, którzy zajmowali się

szczególowymi przygotowaniem do walki, toteż Harry'ego Smitha bynajmniej nie zdziwił widok wysokiego i potężnej budowy Pogórzanina, który rozglądał się po jego zaułku z ową pełną niepokoju skwapliwością mieszkańca dzikich stron, oglądającego dziwy w kraju bardziej cywilizowanym. Płatnerz spoglądał na obcego przybysza niechętnym okiem, a to z przyczyny przyrodzonej wrogości do wszystkich Pogórzan; jego niechęć wzrosła, gdy zauważył, że mężczyzna ma na sobie tartan w barwach klanu Quhele. Gałązka dębowa wyhaftowana jedwabiem wskazywała ponadto, że należy on do straży przybocznej Eachina, a więc jest jednym z tych, którzy będą walczyć w szrankach wraz z młodym wodzem.

Poczynwszy te obserwacje, Harry cofnął się do wnętrza kuźni, gdyż widok mężczyzny wzburzył w nim krew; a ponieważ wiedział, że Pogórzanin, jako zaprzysiężony uczestnik solennego boju, nie może wdawać się w pomniejsze swary czy bójki, postanowił unikać wszelkich przyjaznych z nim rozmów. Lecz po kilku minutach drzwi kuźni otworzyły się i olbrzymi Celt wszedł do środka, stąpając dumnym krokiem człowieka świadomego swego dostojęstwa i wyższości nad wszystkimi, których spotyka na drodze. Stał rozglądając się dokoła, jak gdyby oczekiwał, że przyjmą go tu dwornie i będą na niego patrzeć z podziwem. Ale Harry ani myślał schlebiać jego próżności; nie podnosząc głowy, walił młotem w puklerz leżący na kowadle, jak gdyby w kuźni nie było poza nim nikogo.

- Ty jesteś Gow-Chrom?* - spytał Pogórzanin.

- Nazywają mnie tak zuchwalcy, którym całe kości nie są miłe - odparł Harry.

- Bez urazy - rzekł Pogórzanin. - Ale przyszedłem, żeby zakupić zbroję.

- To niech cię gołe łydki z powrotem wyprowadzą za drzwi – zachnął się Harry. - Nie mam zbroi na sprzedaż.

- Gdyby nie to, że za dwa dni jest Niedziela Palmowa - warknął Celt - zmusiłbym cię do zaśpiewania innej śpiewki.

- A ponieważ jest taki dzień, jaki jest - rzekł Harry z tą samą pogardliwością i obojętnością - proszę,

żebyś mi nie zasłaniał światła.

- Niegrzeczny z ciebie człowiek. Ale ja też jestem płatnerzem i wiem dobrze, że kiedy żelazo jest gorące, kowal aż kipi od gniewu.

- Jeśliś jest kowalem, kowalu, wykuj sobie sam zbroję - odciął mu Harry.

- Wykułbym i nie kłopotałbym ciebie tą sprawą. Ale ludzie powiadają, płatnerzu, że gdy wykuwasz miecze i zbroje, gwizdzesz nad nimi i śpiewasz piosenki, które taką nadają im moc, iż ostrza tną stal niczym papier, a kolczugi opierają się najpotężniejszym ciosom kopii.

- Ludzie powiadają, co chcą, a wasz ciemny naród uwierzy we wszystko, czemu prawdziwy chrześcijanin nie da wiary - odparł Smith. Gwizdzę przy pracy pierwszą lepszą melodię, jaka mi przyjdzie do głowy, ale najczęściej „Wysokie drzewa w Houghmanstares”*. Łatwiej mi bić młotem do

wtóru tej melodii.

- Przyjacielu, źle robi ten, kto dźga ostrogami konia, który jest spętany - rzekł wyniośle Pogórzanin. - Nie mogę z tobą walczyć, więc to nie po rycersku, że się ze mnie naigrawasz.

- Na mój młot i kowadło, słusznie mówisz! - powiedział Smith zmieniając ton. - Ale rzeknij prędko, czego chcesz. Bo nie jestem w usposobieniu do igraszek słownych.

- Chcę kupić kolczugę dla mego wodza, Eachina MacIana - odparł Pogórzanin.

- Wspomniałeś, że jesteś płatnerzem, czy tak? Więc chyba się na tym poznasz. - Mówiąc to, wyjął ze skrzyni kolczugę, nad którą ostatnio pracował.

Celt oglądał dzieło płatnerza z zachwytem nie pozbawionym zazdrości i w końcu oświadczył, że tak pięknej kolczugi nie widział jeszcze nigdy w życiu.

- Sto krów i byków, i spore stado owiec nie byłoby wygórowaną zapłatą - rzucił na próbę.

- Całkiem zacna to propozycja - odparł Harry. - Ale żadne złoto nie kupi tej zbroi. Chcę wypróbować miecz mojej roboty na kolczudze mojej roboty. I oddam ją tylko temu, kto zgodzi się stawić mi w niej czoło na ubitej ziemi. Na takich warunkach twój wódz może otrzymać kolczugę.

- Alem się uśmieł, cha, cha, cha! - zawołał Pogórzanin szyderczo. - Czyś ty zmysły postradał, człowieku? Wydaje ci się, że wódcz klanu Quhele będzie się wodził za łby z takim jak ty miejskim rzemieślnikiem? Coś ci powiem, tylko uważaj. Zrobię ci zaszczyt, jakiegoś jeszcze nigdy nie dostąpił.

Będę się z tobą bił o tę kolczugę.

- Wpierw musisz dowieść, żeś jest godzien stanąć ze mną na ubitej ziemi - rzekł Harry z posępnym uśmiechem.

- Co... ja nie miałbym być godzien? Ja, który jestem w przybocznej straży Eachina MacIana?

- Możemy się o tym snadnie przekonać. Powiadasz, żeś jest płatnerz. Umiesz ty rzucać młotem?

- Ha! Spytaj orła, czy przeleci nad szczytem Ferragon!

- Ale zanim pójdziesz ze mną w zawody, spróbujesz się z jednym z członków mojej przybocznej drużyny. Hej, Dunter, do mnie tu! Będziesz bronił honoru Perth! A teraz, obcy przybyszu, wybierz sobie z tych tu młotów taki, jaki ci odpowiada, i dalej do ogrodu!

Pogórzanin, który zwał się Norman-Młotnik, dowiódł swojego prawa do tego epitetu, wybierając największy młot w kuźni, co Harry pokwitował uśmiechem. Dunter, krzepki czeladnik Smitha, rzucił pięknie i daleko; Celt, natężywszy mięśnie w rozpaczliwym wysiłku, cisnął dalej o dwie czy trzy stopy i spojrzał z tryumfem na Harry'ego, który znowu się uśmiechnął.

- No jak, spróbujesz cisnąć dalej? - spytał Norman podając Harry'emu młot.

Och, nie tą dziecinną zabawką - rzekł Harry. - Janniken, przynieś mi Samsona... hej, któryś tam niech mu pomoże, bo Samson jest trochę przyciężki.

Młot zwany Samsonem był o pół raza cięższy od młota, który Pogórzanin wybrał dla jego ogromnej wagi. Norman osłupiał ze zdumienia, ale zdziwił się jeszcze bardziej, gdy Harry zamachnął się od prawego biodra i cisnął młot z taką siłą, że powietrze zafurkotało, a ziemia jęknęła, gdy w końcu narzędzie spadło zarywszy się w piasek na głębokość stopy, o jard za lżejszym młotem Normana.

Pogórzanin, zgnębiony tą klęską, podszedł do miejsca, na którym leżało ogromne narzędzie, podniósł

je, zważył w ręce z wyrazem bezgranicznego zdumienia i obejrzał dokładnie, jak gdyby podejrzewając, że zobaczy coś więcej niż zwykły młot kowalski. W końcu zwrócił go właścicielowi, uśmiechając się smętnie, a gdy Smith spytał go, czy chce poprawić swój rzut, potrząsnął głową.

- Straciłem już zbyt wiele przy tej zabawie - odparł. - Straciłem część mojego imienia. Ale powiedz...

czemu to chcesz walczyć z moim wodzem, który należy do wyższego niż ty stanu?

- A więc słuchaj - rzekł Smith. - Wydajesz się poczciwym człowiekiem, więc ci powiem prawdę. Twój

pan mnie skrzywdził, więc chcę mu dać tę kolczugę pod warunkiem, że przyrzeknie stanąć ze mną na ubitej ziemi.

- Ha. jeżeli cię skrzywdził, musi ci dotrzymać placu - rzekł Norman. - Za skrzywdzenie bliźniego klan

odbiera wodzowi orle pióro z kołpaka. Choćby był pierwszym wśród Pogórczan, a Eachin jest pierwszym, musi walczyć z człowiekiem, któremu wyrządził krzywdę, bo inaczej straci cześć.

- Namówisz go, żeby to uczynił po niedzielnej bitwie? - spytał Harry.

Och, postaram się... jeżeli kruki nie będą mi oskubywały kości. Bo trzeba ci wiedzieć, bracie płatnerzu, że Rysie z klanu Chattan mają pstre pazury.

- Na takich warunkach kolczuga jest własnością twego wodza - rzekł Harry. - Ale jeśli nie zapłaci mi przyobiecanej ceny, wyjawię jego hańbę królowi i panom na dworze.

- Nie lękaj się, bracie. Sam ci go przyprowadzę - obiecał Norman. - Bądź spokojny.

- Wyświadcysz mi uprzejmość - rzekł Harry z uśmiechem. - A żebyś tym lepiej pamiętał o swej obietnicy, dam ci ten mieczyk. Spójrz... jeśli będziesz go dzierzył właściwie i dźgniesz między misiurkę a kołnierz zbroi wroga, nie będzie mu potrzebny chirurg.

Pogórczanin nie szczędził słów wdzięczności.

„Dałem mu najlepszą kolczugę, jaką zrobiłem w życiu - rzekł sobie Harry, żałując już trochę niedawnej hojności - za niezbyt pewną obietnicę umożliwienia mi walki z tym młokosem. Bo kto w

takiej walce zwycięży, ten dostanie Katarzynę... Ale coś mi się widzi, że Conachar będzie próbował wykrętów, chyba że powiedzie mu się nadspodziewanie dobrze w Niedzielę Palmową i że rozsmakuje

się w walce. Tak, w tym jest pewna nadzieja, bo zdarza się całkiem często, że młody chłopak wyrasta

w pierwszym starciu z karła na olbrzyma".

I tak z nikłą nadzieją w sercu, ale z niezłomnym postanowieniem, Harry Smith oczekiwał dnia, w którym rozstrzygną się jego losy. Szczególnie pesymistycznie nastrojał go niezrozumiały brak wiadomości od Glovera i jego córki. „Wstyd im przyznać się do prawdy i dlatego milczą” - mówił sobie w duchu.

W piątek w południe obie drużyny, liczące po trzydziestu wojowników każda, przybyły do wyznaczonych im kwater.

Bogate opactwo Scone podejmowało gościnnie drużynę klanu Quhele, podczas gdy burmistrz gościł ich współzawodników w zamku Kinfauns; traktowano obie strony z najbardziej ceremonialną grzecznością i wszelkimi siłami starano się uniknąć najlżejszych nawet choćby podejrzeń o stronniczość. Jednocześnie Lord Wysoki Komisarz Errol, działający w imieniu klanu Chattan, i młody

earl of Crawford, jako przedstawiciel klanu Quhele, dyskutowali i rozstrzygali zagadnienia etykiety.

Posłańcy krążyli bezustannie pomiędzy jednym earlem a drugim i zanim ustalono ostateczny ceremoniał walki, magnaci odbyli w ciągu trzydziestu godzin aż sześć spotkań.

Tymczasem - w obawie, że ożyją zadawnione spory między obywatelami Perth a ich pogórzańskimi sąsiadami - wzbroniono mieszczanom zbliżać się do kwater góralskich wojowników na odległość bliższą niż pół mili; z drugiej strony, Pogórzanom nie wolno było wchodzić w obręb muru Perth bez specjalnego pozwolenia. Zbrojne straże wprowadzały ów rozkaz w czyn z taką gorliwością, że nawet Szymon Glover, mieszczanin i obywatel Perth, nie mógł się przedostać do miasta, ponieważ przybył z Pogórza wraz z wojownikami Eachina MacIana i miał na sobie tartan w ich barwach. Uniemożliwiło

to staremu Szymonowi odszukanie Harry'ego Smitha i powiadomienie go o wszystkim, co zaszło od ich rozstania; taka rozmowa zmieniłaby zasadniczo końcowy akt niniejszego dramatu.

W sobotę po południu zdarzył się inny fakt, dla miasta tak niemal interesujący jak przygotowania do walki. Do Perth wjechał earl Douglas hufcem zaledwie trzydziestu konnych; była to drużyna mała, lecz składająca się z najznakomitszych w kraju rycerzy. Groźny earl przejechał powoli przez miasto i wyjechał Północną Bramą, a następnie zsiadł z konia pod murami klasztoru Dominikanów i zażądał rozmowy z księciem Albany. Natychmiast zaprowadzono go na pokoje, gdzie czekał już Albany silący

się na ton dworny i pojednawczy, spod którego wyzierała jednak pewna sztuczność i zaniepokojenie.

Po pierwszych ceremonialnych powitaniach earl rzekł z powagą:

- Przynoszę złe wieści, miłościwy księżę. Twój królewski bratanek, księżę Rothsay, zmarł. Obawiam się, że padł ofiarą niegodziwych praktyk.

- Niegodziwych praktyk?... - zawołał Albany zmieszany. - Jakże to? Kto ośmielił się godzić na życie dziedzica szkockiej korony?

- Nie do mnie należy wyjaśniać te wątpliwości - odparł Douglas. - Ale ludzie powiadają, że orzeł zginął od strzały zrobionej z jego własnego skrzydła, a pień dębu rozszczepiono na dwoje klinem z drzewa dębowego.

- Lordzie Douglas, nie lubuję się w rozwiązywaniu zagadek!

- Ani ja ci ich, miłościwy księżę, nie mam zamiaru zadawać - odparł wyniośle Douglas. - W tych tu dokumentach znajdziesz pewne szczegóły, które warte są może przeczytania. Pójdę teraz na pół godziny do ogrodu klasztornego. Potem tu wrócę.

- Nie zamierzasz udać się do króla, mój lordzie? - spytał Albany.

- Nie - odparł Douglas. - Zapewne zgodzisz się ze mną, miłościwy księżę, iż powinniśmy ukryć przed naszym suwerenem tę tragiczną wieść do czasu rozstrzygnięcia jutrzejszej walki.

- Zgadzam się bez zastrzeżeń - odparł Albany. - Jeśli zawiadomimy króla o tej stracie, nie będzie

mógł

przyglądać się jutrzejszym zapasom; a jeśli król nie przybędzie, ci ludzie mogą odmówić udziału w walce. Wtedy cały nasz trud pójdzie na marne. Ale siądź, proszę, mój lordzie, a ja tymczasem przeczytam te smętne wieści o biednym Rothsayu.

Albany zaczął przeglądać dokumenty, niektóre odkładał, zaledwie rzuciwszy na nie okiem, nad innymi zatrzymywał się, jak gdyby zawierały treść niezmiernej wagi. Po piętnastu minutach spojrzął na Douglasa.

- Mój lordzie, wielka to dla mnie pociecha, że w tych żałobnych dokumentach nie dostrzegam nic, co by zapowiadało odnowienie nieporozumień w radzie królewskiej, które to nieporozumienia zdołaliśmy usunąć dzięki solennej ugodzie zawartej przez nas obu. Na podstawie owej ugody mój nieszczęsny bratanek miał być na czas jakiś odseparowany od dworu. Teraz los zrządził, że nie ma go już między żywymi i nasze zamierzenia w tym względzie straciły swą ważność.

- Jeśli według ciebie, miłościwy książe - odparł Douglas - nie ma powodu do zburzenia dobrej zgody,

która z uwagi na bezpieczeństwo Szkocji powinna istnieć między nami, jako dobry syn mej ojczyzny nie będę nazbyt pilnie szukał pretekstów do kłótni z tobą.

- Rozumiem cię, mój lordzie - rzeki Albany skwapliwie. - Nazbyt pochopnie wyciągnąłeś wniosek, iż żywię do ciebie urazę, ponieważ skorzystałeś ze swych uprawnień i ukarałeś tych obmierzłych zbrodniarzy na moim lennym terytorium Falkland. Przeciwnie, lordzie Douglas, jestem ci wdzięczny, żeś to za mnie uczynił. Parlament Szkocki zbada niewątpliwie szczegóły i okoliczności tego świętokradczego czynu. Pamiętasz zapewne, mój lordzie, że nasza ugoda tyczyła jedynie odseparowania na jakiś czas mego niefortunnego bratanka od dworu i trzymania go w odosobnieniu, dopóki po roku czy dwóch nie poprawi się i nie zmądrzeje?

- Taki był z pewnością twój zamiar, miłościwy książe... przynajmniej o tyle, o ile mnie go raczyłeś zakomunikować - odparł Douglas. - Za to mogę ręczyć.

- Ach, więc w takim razie nikt nas nie może winić o to, że trzej nędznicy, powodowani żądzą zemsty, położyli krwawy kres naszym planom?

- Tę kwestię rozstrzygnie Parlament - rzekł Douglas. - Jeśli o mnie idzie, moje sumienie jest czyste.

- A moje mnie rozgrzesza - dodał z powagą Albany. - Jak sądzisz, lordzie Douglas, co należy uczynić,

by zapewnić opiekę i nadzór nad małym Jakubem, obecnym dziedzicem korony?

- Decyzja należy do króla - odparł Douglas, którego zniecierpliwiła już ta rozmowa. - Zgadzam się na

wszystkie proponowane dla niego miejsca rezydencji z wyjątkiem Stirling, Doune i Falkland. Przy

tych słowach wstał i szybkim krokiem wyszedł z komnaty. „Poszedł... - rzekł sobie w myślach

Albany. - Cóż, musi być moim sprzymierzeńcem, ale chciałby zostać mym śmiertelnym wrogiem.

Mniejsza o to... Rothsay śpi snem wiecznym pośród swoich przodków... we właściwym czasie Jakub pójdzie w jego ślady... a wtedy korona będzie nagrodą za wszystkie moje bolesne trudy".

ROZDZIAŁ XXXIV

Wet za wet walczono zaciekle do rana

W dzień świętego Johnstona przy Dominikanach.

WYNTOUS

Nadeszła wreszcie Niedziela Palmowa. Za dawniejszych czasów chrześcijańskich rozgrywanie bitwy

w którymkolwiek dniu Wielkiego Tygodnia byłoby uważane za świętokradztwo zasługujące na karę ekskomuniki; okres Świąt Wielkanocnych zwany był rozejmem bożym. Dzika zaciekłość ostatnich wojen między Szkocją a Anglią zniweczyła ten pradawny religijny obyczaj. Częstokroć jedna z wrogich stron atakowała w dniu najbardziej uroczystego święta - w nadziei, że strona przeciwna zajęta

jest spełnianiem religijnych obowiązków i nie przygotowana do obrony.

W tym jednak przypadku dopełniono uroczyscie wszystkich obrzędów, a strony walczące wzięły w nich udział. Niosąc w rękach gałązki cisu miast gałązek palmowych, obie drużyny pomaszerowały na sumę - jedna do kościoła Dominikanów, druga do klasztoru Kartuzów gdzie z wielką nabożnością, przynajmniej pozorną, wojownicy przygotowywali się do krwawych zapasów dnia. Dołożono naturalnie wszelkich starań, żeby wrogie hufce nie tylko nie zobaczyły się z daleka, ale nawet nie usłyszały swych piszczałek, przypuszczano bowiem, że rzucą się na siebie i zaatakują nie czekając na rozpoczęcie walki w szrankach.

Obywatele Perth wylegli tłumnie na ulice i przyglądali się tej niezwyklej w mieście procesji, a także wypełnili po brzegi oba kościoły, usiłując z zachowania się i wyglądu przeciwników odgadnąć, która ze stron ma większe szansę zwycięstwa.

Ale najbardziej nawet wytrawni sędziowie nie ryzykowali żadnych przepowiedni w tym względzie, chociaż olbrzymi wzrost Torquila i jego ośmiu synów skłaniał pewnych znawców mięśni i ścięgien do

opinii, że klan Quhele zyska przewagę. Opinię niewiast przeważała urodziwa twarz, kształtna postać i

rycerskie obejście Eachina MacIana. Niektórzy mieszczanie odnosili wrażenie, że nie po raz pierwszy

widzą tego młodzieńca; ale tylko jeden człowiek poznał w tym wspaniale przyodzianym młodym wodzu klanu Quhele dawnego skromnego czeladnika Szymona Glovera.

Człowiekiem tym, jak łatwo się domyślić, był Harry Smith, który stał w pierwszych szeregach tłumu przyglądającego się klanowi Quhele. Z mieszanym uczuciem niechęci, zazdrości i jak gdyby podziwu spozierał Harry na dawnego czeladnika Glovera, którego bystre oko i rycerska postawa, szlachetnie sklepione czoło i podbródek, wspaniałe, szerokie bary i kształtne kończyny czyniły zda się - godnym przewodzenia drużynie wojowników wybranych spośród najmężniejszych, by żyć lub oddać życie za honor swego plemienia.

„Po rycersku wygląda w mojej pięknej kolczudze - rzekł sobie w duchu Harry. - Najzacniejszej kolczudze, jaką kiedykolwiek wykułem w kuźni. Ale gdybyśmy się tak mogli znaleźć na jakimś miejscu, gdzie ani cudze oko by nie patrzyło, ani cudza ręka by nie pomogła... klnę się na wszystkie świętości, że kolczuga wróciłaby do prawowitego właściciela! Oddałbym wszystko, co posiadam na tym świecie, za trzy zręczne ciosy w jego pierś, które do szczętu zniszczyłyby moje dzieło! Ale takie szczęście nigdy mnie nie spotka. Jeśli Conachar wyjdzie cało z tej walki, zyska tak wielką sławę rycerską, że pewnie nie zechce się bić z prostym rzemieślnikiem w rodzaju Harry'ego Smitha. Będzie walczył przez zastępcę... może przekaże mnie Normanowi-Młotnikowi, a wtedy tylko tyle, że będę miał przyjemność grzmotnąć w łeb pogórzańskiego łotrzyka. Ach, gdybymż tylko mógł się rozmówić z Szymonem Gloverem! Pójdę do drugiego kościoła, poszukam go... przecież wrócił chyba z Pogórza”.

Gdy Smith powziął to postanowienie, wierni zaczęli opuszczać kościół Dominikanów. Torując sobie drogę przez ciasno zbity tłum, Smith znalazł się w pewnej chwili tak blisko Eachina, że oczy ich spotkały się. Harda, męska twarz Smitha nabrała barwy rozżarzonego żelaza, gładkie zaś oblicze Eachina pokraśniało jaskrawszą czerwiecią gniewu, a oczy rozżarzyły mu się nienawiścią. Ale już po sekundzie gwałtowny rumieniec ustąpił śmiertelnej bladości, a wzrok umknął przed nieprzyjaznym i

mocnym spojrzeniem płatnerza.

- Torquil, który ani na chwilę nie spuszczał swego wychowanka z oczu, spostrzegł wzburzenie Eachina i rozejrzał się niespokojnie, szukając jego przyczyny... Ale Harry oddalił się już i krokiem szybkim zmierzał do klasztoru Kartuzów. Tutaj nabożeństwo też dobiegało końca i ci, którzy tak niedawno dzierżyli palemki dla uczczenia wielkich dni, które przyniosły światu pokój, sunęli teraz ławą na miejsce walki; niektórzy po to, by oddać życie lub zadać śmierć, inni - by przyglądać się śmiertelnej walce z ową dziką rozkoszą, z jaką poganie patrzyli na walki gladiatorów.

Tłum był gęsty, ale ludzie rozstępowali się przed Harrym Smithem, ulubieńcem miasta i obrońcą jego praw, toteż niebawem płatnerz znalazł się bardzo blisko wojowników klanu Chattan.

Na przedzie kolumny maszerowali kobziarze. Następnie szedł chorąży z dobrze znaną chorągwią, na której widniał ryś gotów do skoku, a pod spodem bardzo stosowny napis: „Nie dotykaj rysia gołą ręką”. Dalej szedł wódz z wyciągniętym przed siebie obosiecznym mieczem, niejako broniąc emblematu klanowego. Był człowiekiem lat ponad pięćdziesięciu, ale ani jego twarz, ani postać nie zdradzały ubytku sił czy innych symptomów starości. Ciemnorude, kędzierzawe włosy były przyprószone siwizną, lecz krok wodza i ruchy tak w tańcu, jak na łowach czy w boju miały lekkość i zwinność trzydziestoletniego mężczyzny. W jego szarych oczach lśnił blask męstwa zmieszanego z okrucieństwem; ale oblicze świadczyło o mądrości i doświadczeniu. Wojownicy podążali za nim dwójkami. Na twarzach niektórych malował się niepokój, rankiem bowiem odkryto nieobecność jednego wojownika drużyny; wszyscy prócz męznego wodza, MacGille Chattanacha, uważali, że ze względu na spodziewaną zaciekłość boju jest to strata nader bolesna.

- Ani słowa o tej sprawie Saksonom - powiedział, gdy mu o tym zameldowano. - Kłamliwe języki ludzi z Niziny nie omieszkają powiedzieć, że jeden z naszych wojowników stchórzył, a reszta rada jest

jego ucieczce, bo w ten sposób może żądać odwołania walki. Jestem pewien, że Ferquhard Day odnajdzie się, zanim staniemy w szrankach, a jeśli się nie odnajdzie, dość mam w sobie krzepy, żeby

walczyć z dwoma chłystkami z klanu Quhele.

Drużyna skwitowała mężne słowa wodza poklaskiem, jednakże wszyscy z wyjątkiem MacGilliego, który zachowywał doskonałą obojętność, wypatrywali z niepokojem powrotu uciekiniera.

Ale maszerując ulicami, nie dojrzeli nigdzie Ferquharda Daya, który w odległości wielu mil rozkoszował się darami, jakimi szczęśliwa miłość wynagradza utratę czci.

North Inch jest piękną i płaską równiną leżącą tuż obok miasta i z dawna przeznaczoną na ćwiczenia i popisy wojskowe jego mieszkańców.

Z jednej strony obmywają równinę wzburzone i głębokie wody Tay. Na łąkach wznosiła się w tym dniu potężna palisada zamykająca z trzech stron prostokąt o wymiarach sto pięćdziesiąt jardów na siedemdziesiąt pięć. Z czwartej strony zamykała szranki rzeka Tay. Dokoła palisady zbudowano amfiteatr dla wygody widzów, pozostawiając między amfiteatrem a palisadą miejsce dla zbrojnych straży gminu. Po stronie szranek bliżej miasta stały galerie dla króla i dworu tak bogato zdobione, że miejsce to po dziś dzień zwane jest Złotą Altaną.

Kobziarze, którzy mieli odegrać pieśni wojenne wrogich klanów, milczeli wchodząc na North Inch, taki bowiem był rozkaz. Dwaj starzy wojownicy, dźwigający każdy chorągiew swojego plemienia, zbliżyli się do szranków z przeciwnych stron i zatknęli drzewce w ziemię. Mieli oni być tylko widzami i, podobnie jak kobziarze obu stron, stanęli obok chorągwi swoich klanów.

Tłum powitał obie drużyny tym samym gromkim okrzykiem, jakim witał zwykle trupy komediantów czy minstrelów, którzy dostarczali mu rozrywki. Nie reagując na to powitanie, drużyny zbliżyły się do furt na przeciwległych krańcach szranków, których pilnowały zbrojne straże. Earl Marszałek przy jednej furcie, a Lord Wysoki Komisarz przy drugiej badali dokładnie każdego wojownika, sprawdzając, czy ma przepisowy rynsztunek, a mianowicie stalowy hełm, kolczugę, obosieczny miecz i sztylet. Liczyli każdą drużynę, toteż czytelnik może sobie wyobrazić konsternację tłumu, gdy earl Errol podniósł rękę i zawołał:

- Hola! Walka się nie odbędzie, bo w drużynie klanu Chattan brak jednego wojownika!

- Co z tego? - odkrzyknął młody earl Crawford. - Powinni się byli uważniej liczyć, zanim wyruszali z domu.

Jednakże Earl Marszałek zgodził się z Lordem Wysokim Komisarzem, że bój nie może się rozpocząć, dopóki liczba walczących nie zostanie wyrównana; wśród tłumu dało się zauważyć wyraźne zaniepokojenie na myśl, że po wszystkich tych licznych przygotowaniach widowisko zostanie odwołane.

Perspektywa odłożenia walki uradowała może tylko dwóch ludzi spośród wszystkich obecnych na North Inch; jednym z nich był wódz klanu Quhele, drugim dobrotliwy król Robert. Tymczasem wodzowie klanów, każdy w asyście specjalnego doradcy, spotkali się w pół drogi, by z pomocą Earla

Marszałka, Lorda Wysokiego Komisarza, earla of Crawford i sir Patricka Charterisa powziąć ostateczną decyzję. Wódz klanu Chattan oznajmił, że pragnie, a nawet żąda, aby walka odbyła się bez dalszej zwłoki i mimo braku jednego wojownika w jego drużynie.

- Na to klan Quhele nigdy się nie zgodzi - rzekł z mocą Torquil z Borów Dębowych. - Wiecie dobrze, że nas nie zwyciężycie, i dlatego szukacie wybiegu, by po klęsce móc powiedzieć, że tylko dzięki przewadze liczebnej odnieśliśmy nad wami zwycięstwo. Zaproponuję coś innego. Ferquhard Day był najmłodszym wojownikiem w waszej drużynie, Eachin MacIan jest najmłodszym wśród nas... wykluczmy go z walki, żeby wyrównać brak, który powstał z waszej winy.

- Uważam tę propozycję za niesłuszną i niesprawiedliwą - oburzył się Toshach Beg, doradca MacGillie Chattanacha. - Życie wodza jest dla klanu tym, czym powietrze dla naszych nozdrzy... nie pozwolimy, by nasz wódz narażał się na niebezpieczeństwa, które zostaną oszczędzone wodzowi klanu Quhele.

Torquil zrozumiał, jak poważnie został zagrożony plan wycofania Eachina z walki; i już miał wystąpić

z protestem, gdy nagle przemówił sam młodzieniec. Jego bojaźliwość, musimy pamiętać, nie miała owych cech podłości i samolubstwa, które każą wybrać raczej hańbę niż niebezpieczeństwo.

Przeciwnie, Eachin posiadał odwagę moralną, tylko konstytucjonalnie był słaby i bojaźliwy, toteż wstyd na samą myśl o wycofaniu się z walki zwyciężył w nim strach przed wzięciem w niej udziału.

- Nie chcę słyszeć o żadnych planach nakazujących mi bezczynność w tym chwalebnym dniu - powiedział. - Jeśli jest niedoświadczony jako wojownik, będę miał wokół siebie mężów, którym nie dorównam, ale których mogę naśladować.

„Niech Bóg błogosławi mego szlachetnego synaczka - powiedział sobie w duchu Torquil. - Byłem pewien, że plugawe zakłęcie straci nad nim moc, gdy załopoce chorągiew i zagrają piszczałki wzywające do boju!”

- Posłuchaj, mój lordzie - rzekł Lord Wysoki Komisarz do Earla Marszałka. - Walka musi się rozpocząć niebawem, bo do południa zostało już tylko pół godziny. Niechaj więc wódz klanu Chattan poszuka zastępcy dla uciekiniera, a jeśli go nie znajdzie, niechaj walczą, jako stanęli w tych szrankach.

- Nie oponuję - odparł Marszałek. - Ponieważ jednak jego ziomkowie znajdują się w odległości najmniej pięćdziesięciu mil od miasta, nie sędzę, żeby znalazł chętnego.

- To jego sprawa - odparł Lord Wysoki Komisarz. - Ale jeśli ofiaruje wysoką nagrodę, chyba niejednego

spośród krzepkich yeomanów skorzysta z okazji, żeby rozprostować kości.

Gdy zakomunikowali swoją decyzję Pogórzanom, wódz klanu Chattan rzekł:

- Rozsądziście rzecz bezstronnie i rzetelnie, szlachetni lordowie, więc też zastosuję się do waszej wskazówki. Niech zatem heroldowie obwieszczą, że jeśli ktoś zechce dzielić z klanem Chattan honory

i niebezpieczeństwa tego dnia, otrzyma w nagrodę sztukę złota i prawo walczenia w mych szeregach aż do śmierci.

- Trochę skąpisz swych skarbów, wodzu - rzekł Earl Marszałek. - Sztuka złota jest nędzną zapłatą za udział w boju tak krwawym.

- Jeśli ktoś zechce walczyć dla honoru - odparł MacGillie Chattanach - sztuka złota go zadowoli. Nie chcę usług człowieka, który sięgnie po miecz dla samego jeno złota.

Heroldowie ruszyli w tłum i obeszlili już szranki do połowy, zatrzymując się od czasu do czasu i wykrzykując swoje wezwanie, ale jak dotąd nie było ani jednego zgłoszenia. Niektórzy drwili ze skąpstwa i biedy Pogórczan, inni oburzali się, że tak tanio chcieliby kupić mieszczańską krew. Nie znalazł się ani jeden chętny, dopóki nawoływania heroldów nie zwróciły uwagi Harry'ego Smitha, który stał tuż obok palisady, rozmawiając z rajcą Craigdallie lub raczej słuchając niezbyt uważnie tego, co mówił doń czcigodny starzec.

- Cóż to oni obwieszczają? - zawołał Harry do stojącego nieco dalej karczmarza Griffina.

- Ano hojną ofertę MacGillie Chattanacha - odparł zapytany. - Szczodry ten góral obiecuje sztukę złota każdemu, kto zechce na dzień dzisiejszy przybrać postać Górskiego Rysia i dać się zabić w jego służbie!

- Jakże to? - zakrzyknął Harry z nagłą skwapliwością. - Szukają człowieka, który chciałby walczyć przeciwko drużynie Quhele?

- Nie inaczej, płatnerzu - odparł Griffin. - Ale myślę, że nie znajdą w Perth takiego głupca.

Zaledwie dopowiedział te słowa, Harry Smith przekroczył palisadę i stając w szrankach, zawołał:

- O to jest, heroldzie! Harry Smith, chętny bić się po stronie klanu Chattan.

Okrzyk podziwu zerwał się wśród tłumów, jednakże poważni mieszcianie, nie znajdując żadnego wytłumaczenia tego postępu, uznali, że zamiłowanie do walki uderzyło snadź Harry'emu do głowy.

Burmistrz był wstrząśnięty i oburzony.

- Oszalałeś, człowieku! - wybuchnął. - Nie masz ani miecza, ani kolczugi!

- Istotnie nie mam - odparł Harry - bom kolczugę, własnoręcznie dla siebie sporządzoną, oddał

młodemu wodzowi klanu Quhele, który przekona się niezadługo, jakimi ciosami rozklepuję w kuźni nity. A co do miecza... hm, dopóki nie zdobędę prawdziwszego oręża, musi mi wystarczyć ten chłopięcy sztylecik.

- Na to nigdy nie pozwolę! - zakrzyknął lord Errol. - Słuchaj no, płatnerzu. Weźmiesz moją mediolańską zbroję i mój miecz hiszpański!

- Dziękuję ci z całego serca, miłościwy lordzie, ale ten kołnierz kolczugi, który dopomógł twemu mężnemu przodkowi do zwycięstwa pod Loncarty, zupełnie mi wystarczy. Nie lubię używać miecza i kolczugi, których nie wykułem własnymi rękami, bo nie wiem, ile w nich wytrzymałości i mocy.

Tymczasem w tłumie rozeszła się wieść, która przeniknęła do miasta, że nieustraszony Harry Smith staje do walki bez miecza i zbroi; brzemenna losom chwila była tuż, gdy nagle dał się słyszeć przenikliwy krzyk niewiasty usiłującej przedostać się przez tłum. Gęsta, zbита ciżba rozstąpiła się przed nią i niewiasta dopadła szranków, dysząc ze zmęczenia i uginając się pod ciężarem kolczugi i ogromnego obosiecznego miecza. Tłum rozpoznał bez trudu wdowę po Oliverze Proudfulu, oręż zaś był własnością Harry'ego - ten sam miecz i ta sama kolczuga, które Oliver pożyczył od płatnerza w straszną noc morderstwa i których Harry dotąd nie odebrał z domu wdowy, Harry z wdzięcznością przyjął wypróbowane uzbrojenie, od którego tak wiele mogło zależeć w tej krytycznej chwili, wdowa

zaś drżącymi z pośpiechu rękami pomogła mu je włożyć, po czym odchodząc rzekła:

- Bóg z tobą, opiekunie wdów i sierot, i śmierć każdemu, kto podniesie na ciebie miecz.

Drużyny otrzymały teraz rozkaz obejścia dokoła szranków krokiem marszowym: wojownicy obu nieprzyjacielskich grup maszerowali kolejno, żeby uniknąć spotkania, a mijając Złotą Altanę, składali

głębokie ukłony przed królem.

Dało to widzom sposobność do ponownych obserwacji i porównań. a także asumpt do domysłów, która strona zwycięży. Serce każdego wojownika pałało żądzą zemsty za stuletni śmiertelny spór wraz

ze wszystkimi jego napaściami i odwetami. Rysy mężczyzn stężały w wyrazie niepokromionej dumy, nienawiści i rozpaczliwego wprost postanowienia, że będą walczyć do ostatka.

Podnieceni oczekiwaniem krwawej zabawy, widzowie nagradzali faworytów radosnymi okrzykami. Proponowano i przyjmowano zakłady zarówno o ogólny wynik bitwy, jak i czyny poszczególnych wojowników. Butny, szczery i radosny wyraz twarzy płatnerza czynił go ogólnym faworytem i niektórzy widzowie gotowi byli przyjąć zakład, że ubije trzech przeciwników, zanim sam odda życie. Zaledwie Harry zdążył przywdziać swój rynsztunek, wodzowie rozkazali drużynom ustawić się w szyku bojowym; i wtedy to Harry usłyszał w tłumie, nagle teraz umilkłym, głos Szymona Glovera, wołający rozpaczliwie:

- Harry, Harry, czyś ty zmysły postradał, synu?

„Aha, stary Szymon chce ochronić przyszłego zięcia przed moimi razami” - pomyślał Harry w pierwszej chwili; już w następnej sekundzie zapragnął odwrócić się i porozmawiać z przyjacielem. Ale zaraz potem zrozumiał, że pod żadnym pozorem nie wolno mu opuszczać drużyny, do której się przyłączył, ani choćby na chwilę opóźniać walki, gdyż mogłoby to narazić na szwank jego honor. Przeto zwrócił myśli ku oczekującemu go zadaniu. Obaj wodzowie ustawili swoje drużyny w trzech rzędach po dziesięciu ludzi każdy. Odstępy między poszczególnymi wojownikami były duże, takie, żeby wszyscy mogli swobodnie wywijać mieczami, których klingi miały pięć stóp długości. Drugi i trzeci szereg stanowiły coś w rodzaju siły rezerwowej, na wypadek, gdyby pierwsza dziesiątka poniosła klęskę. Eachin MacIan zajął miejsce na prawym skrzydle drugiego szeregu, pomiędzy dwoma synami Torquila. Czterej ich bracia stanęli na prawym skrzydle pierwszego szeregu, podczas gdy ojciec i dwaj jego synowie osłaniali tyły ukochanego wodza. W ten sposób Eachin znalazł się w samym środku dziesiątki najsilniejszych mężczyzn w swej drużynie, mając czterech obrońców przed sobą, dwóch po bokach i trzech za sobą.

Drużyna Chattan ustawiła się dokładnie w takim samym szyku, z tą tylko różnicą, że wódz zajął

miejsce pośrodku drugiego rzędu. Harry Smith, który widział w nieprzyjacielskiej drużynie tylko jednego wroga, mianowicie nieszczęsnego Eachina MacIana, ustawił się czym prędzej po lewej stronie w pierwszym rzędzie drużyny klanu Chattan. Ale wódz sprzeciwił się temu; przypomniał płatnerzowi, że winien mu jest posłuszeństwo, jako że przyjął od niego zapłatę, i umieścił Harry'ego pośrodku trzeciego rzędu, tuż za sobą, co było zaszczytem, którego płatnerz nie mógł nie przyjąć. Teraz stojąc naprzeciwko siebie, wojownicy dali wyraz swej wrogości i zarazem żądzy walki, wznosząc dziki okrzyk wojenny; jednocześnie potrząsali mieczami i wygrażali sobie wzajemnie, jak gdyby każda ze stron usiłowała zwyciężyć wyobraźnię przeciwnika, zanim zwiąże się z nim w śmiertelnym boju.

Nagle zagrały trąby królewskie i rozległ się przeraźliwy świst piszczałek; wojownicy, ruszywszy naprzód w regularnym szyku, najpierw szli, a potem biegli wyciągniętym kłusem, dopóki nie spotkali się na środku, niczym wartkie wody rzeki zderzając się z gwałtowną falą przyływu.

Przez kilka chwil zdawało się, że wojownicy dwóch pierwszych szeregów, wymachujący wściekle długimi mieczami, związali się ze sobą w oddzielnych pojedynkach, ale niebawem drugie i trzecie szeregi, gnane nienawiścią i chęcią wyróżnienia się, runęły naprzód i teraz pośrodku boiska kotłowała

się zbita masa ciał, nad którą potężne miecze to wystrzeliwały w górę, to opadały w dół jedne wciąż błyszczące, inne unurzane już we krwi. Niektórzy wojownicy, wciśnięci w zbyt wielką ciżbę, nie mogli wywijać długimi mieczami i dobyli sztyletów. Krew lała się obficie, a jęki tych, co padali, łączyły się z wrzaskiem walczących; bo wiadomo, że Pogórzanie, tak ówczesni jak dzisiejsi, odznaczają się potężnymi organami głosu. Nawet ci widzowie, których oczy były nawykłe do krwawych widoków, nie dostrzegali jeszcze przewagi żadnej ze stron. Zwycięstwo zdawało się chylić

raz w tę, raz w tamtą stronę, ale były to tylko krótkie chwile tryumfu. Dziki świst piszczałek zwiększał

przeraźliwą wrzawę i podniecał wściekłość walczących.

Nagle jednak, jak gdyby w porozumieniu, puszczalki obu stron odegrały odwrót; wojownicy rozdzielili

się, zarządzono kilkuminutowy odpoczynek. Widzowie chciwym wzrokiem zaczęli badać rozbity szereg drużyn, ale nadal nie umieli rozstrzygnąć, która ze stron poniosła cięższe straty. Zdawało się, że w szeregach klanu Chattan mniej jest poległych, ale z drugiej strony, zakrwawione koszule wojowników tej drużyny dowodziły większej liczby rannych. Łącznie około dwudziestu mężczyzn leżało na ziemi bez ducha lub dogorywało, a odrąbane ręce i nogi, rozplątane czaszki aż do brody i cięcia przez ramię

aż do środka piersi dowodziły zaciekłości samego boju, potworności oręża używanego w walce i straszliwej siły rąk, które dzierżyły ten oręż. Wódz klanu Chattan dał popis wspaniałej odwagi i był lekko ranny. Eachin spisał się dzielnie, choć trzeba rzec, że cały czas otaczała go straż przyboczna. Postawę miał wojowniczą i śmiałą, w ręku trzymał zakrwawiony miecz; uśmiechnął się, gdy Torquil chwycił go w ramiona i obsypał pochwałami i błogosławieństwami.

Po mniej więcej dziesięciu minutach obaj wodzowie ponownie ustawili swych wojowników w szyku bojowym, acz liczba ich zmniejszyła się o jedną trzecią. Ale przesunęli się teraz bliżej rzeki, gdyż dotychczasowe miejsce zasłane było ciałami zabitych i rannych. Niektórzy ranni dźwigali się jeszcze na łokciach, spoglądali na pole walki i osuwali się znów na ziemię, by umrzeć z upływu krwi buchającej ze straszliwych ran.

Harry Smith pozostał w tej części szranek, w której drużyny rozegrały swoją pierwszą walkę; opierając się na mieczu, stał obok trupa, na którego hełmie przykrywającym głowę, odrzuconą na odległość dziesięciu jardów siłą ciosu płatnerza, widniał liść dębowy, emblemat straży przybocznej Eachina MacIana. Odkąd Harry powalił tego człowieka, nie zadał ani jednego ciosu, zadowolając się parowaniem wielu ciosów wymierzonych w niego i w wodza. Mac Gillie Chattanach zaniepokoił się,

gdy rzuciwszy rozkaz formowania szyku spostrzegł, że jego krzepki rekrut nie kwapi się bynajmniej do szeregów.

- Co z tobą, człowieku? - spytał wódz. - Czyżby w tak potężnym ciele krył się nędzny i tchórzliwy duch? Chodźże, drużyna już walczy.

- Przed chwilą o mało co nie nazwałeś mnie najemnikiem - rzekł Harry. - Jeśli nim jestem, zarobiłem już na moją dniówkę - dodał wskazując na trupa.

- Tych, którzy służą mi nie licząc godzin - odparł wódz - nagradzam ponad umówioną zapłatę.

- Wobec tego będę walczył jako ochotnik i na takim miejscu, jakie uznam za najwłaściwsze - oświadczył Harry.

- Zrób, jak ci rozsądek dyktuje - powiedział MacGillie Chattanach przezornie; rozumiał, że wojownikowi tak cennemu warto poczynić pewne ustępstwa.

- To mnie zadowala - odparł Harry. Wziął na ramię swój ciężki miecz i przyłączywszy się zwawo do walczących, zajął miejsce naprzeciwko wodza klanu Quhele.

Wtedy to na twarzy Eachina po raz pierwszy odmalowało się wahanie. Z dawna przywykł uważać płatnerza za najwytrawniejszego wojownika, jakim poszczycić się mogło miasto Perth i okolica.

Nienawidził go jako rywala, ale jednocześnie pamiętał, z jaką łatwością Harry, choć wtedy bezbronny,

udaremnił jego desperacki i niespodziewany atak; a gdy teraz ujrzał wlepione w siebie oczy płatnerza,

który najwyraźniej gotował się do napaści, poczuł, że opuszcza go męstwo, i zadrżał, co nie uszło uwagi baczego na wszystko Torquila.

Szczęściem dla niego Torquil nie był wprost zdolny pojąć, że któremukolwiek z jego ziomków, a zwłaszcza jego ukochanemu wodzowi i wychowankowi, zabraknąć może fizycznej odwagi. Gdyby mógł i umiał to sobie wyobrazić, w porywie rozpacz i wściekłości zadałby może śmierć Eachinowi, żeby zaoszczędzić hańby. Myśl o tym, że młody wódz jest tchórzem, po prostu nie miała do niego przystępu. Zabobon podsunął mu inne rozwiązanie, to mianowicie, że moce nieczyste rzuciły na Eachina czary. Spytał więc niespokojnie, choć głosem ściszym:

- Czy moce nieczyste znowu cię napadły?

- Tak! O biada mi, biada! - odparł nieszczęsny młodzieniec. - A tam stoi ten, który rzucił zaklęcie.

- Co? - zakrzyknął Torquil. - I nosisz kolczugę jego roboty? Norman, nieszczęsny głupcze, czemuś przyniósł tę przeklętą kolczugę?

- Jeśli moja strzała zabłąkała się w locie, muszę zapłacić własną krwią! - zawołał Norman-Młotnik.

Bądź spokojny, za chwilę zdejmę czary!

- Tak, bądź spokojny - powtórzył Torquil. - Może ten Saksończyk jest czarnoksiężnikiem, ale sam na własne uszy słyszałem, że Eachin zejdzie z placu boju żywy, cały i nie raniony. Może jest też mężnym wojownikiem, ale nie ukrzywdzi mojego wychowanka. Hej, synkowie, otoczcie go... Bas air son Eachin.*

Synowie Torquila odkrzyknęli celtyckie hasło.

Podniesiony na duchu tymi objawami miłości i oddania, Eachin śmiałym głosem rozkazał minstrelom, by dali znak rozpoczęcia boju.

Znowu zabrzmiał dziki hejnał wzywający do ataku; ale obie drużyny zbliżały się teraz do siebie wolniej, jak przeciwnicy, którzy znają już i szanują wzajemnie swoją dzielność. Rwący się do walki Harry Smith szedł kilka kroków przed klanem Chattan i ręką dał znak Eachinowi, że wyzywa go do boju. Ale Norman skoczył naprzód i osłonił swego brata mlecznego; nagle wszyscy znieruchomieli i zdawać się mogło, że obie strony pragnęły wywróżyć z tego pojedynku o losie bitwy. Pogórzanin szedł z podniesionym do ciosu ogromnym mieczem; ale gdy zbliżył się na odległość wyciągniętego ramienia, rzucił długi i nieporęczny oręż, zręcznie uniknął spadającego nań ciosu, wyciągnął sztylet (otrzymany w podarku od Harry'ego) i ciął nim w bok szyi płatnerza, kierując ostrze ku środkowi piersi i jednocześnie wołając potężnym głosem:

- Sam mnie nauczyłeś tego cięcia!

Ale Harry Smith miał na sobie kolczugę własnej roboty, podbitą płytkami hartowanej stali. Gdyby

nie

to, walka z Normanem okazałaby się ostatnią w jego życiu.

- Głupcze! - odparł zadając Normanowi cios rękojęścią miecza tak silny, że olbrzym zatoczył się do tyłu. - Nauczyłeś się ciosu, ale nie umiesz ciosów parować! - Z tymi słowy rozplątał mu czaszkę i przeskoczywszy przez znieruchomiłe ciało, ruszył ku odsłoniętemu teraz Eachinowi.

Ale Torquil znowu zawołał grzmiącym głosem:

- Następny za Eachina! - i dwaj bracia stojący po bokach wodza runęli jednocześnie na Harry'ego i zmusili go do obrony.

- Naprzód, klanie Rysi! - zakrzyknął MacGillie Chattanach. - Obrońcie tego mężnego Saksona! Niech te Górskie Sokoły poczują wasze pazury!

Choć mocno już raniony, wódz pośpieszył Harry'emu na odsiecz i powalił jednego z napastników, podczas gdy Harry rozprawił się z drugim.

- Następny za Eachina! - zakrzyknął jego wierny opiekun.

- Bas air son Eachin! - odpowiedzieli dwaj następni jego synowie i powstrzymali wściekłość bojową

Smitha i tych, którzy przybyli mu na pomoc. Tymczasem Eachin przesunął się na lewe skrzydło i wyszukawszy sobie mniej groźnych przeciwników, ponownym odruchem dzielności zdołał ożywić nadzieje upadającej na duchu drużyny. Dwaj synowie Torquila, którzy osłaniali jego osobę, podzielili

los swych braci, gdyż wódz klanu Chattan skierował na tę część pola bitewnego kilku spośród najdzielniejszych wojowników. Synowie Torquila nie padli daremnie, zostawili bowiem straszne ślady

swych mieczów na ciałach żywych i umarłych. Ale konieczność osłaniania wodza orężem

najdzielniejszych wojowników drużyny odbiła się ujemnie na ogólnym przebiegu bitwy; a tak bardzo przeredziły się szeregi walczących, iż bez trudu można było policzyć, że po stronie klanu Chattan zostało piętnastu wojowników, choć większość ich była ranna, po stronie zaś klanu Ouhele zaledwie

około dziesięciu; z tych czterech stanowili straż przyboczną wodza.

Walczyli jednak dalej, a w miarę jak ubywało im sił, wzrastała ich wściekłość. Harry Smith, wielokrotnie raniony, nadal usiłował przedrzeć się przez pierścień nieugiętych obrońców przedmiotu swej nienawiści. Ale wciąż rozlegał się okrzyk ojca: - Następny za Eachina! - i wciąż jego synowie odpowiadali ochoczo: - Śmierć za Eachina! - a chociaż klan Chattan miał teraz znaczną liczebną przewagę, wynik boju nadal wydawał się niepewny. Zmęczenie zmusiło walczących do ponownej pauzy.

Teraz klan Chattan liczył dwunastu wojowników, lecz trzech spośród nich ledwie stali podpierając się mieczami. W drużynie klanu Quhele pozostało ich tylko pięciu, w tym Torquil i jego najmłodszy syn, obaj lekko ranni. Tylko Eachin, dzięki czujności, z jaką go strzeżono, nie miał na ciele najmniejszego zadrapania.

Niebawem widzowie ujrzeli, jak niedobitki krwawej rzezi zbierają się znów nad samym brzegiem rzeki, by dokończyć walki w miejscu, gdzie trawa była mniej oślizła od krwi, a ziemia nie tak gęsto usiana trupami.

- Na miłość Jezusa Chrystusa... przez pamięć na miłosierdzie, o które, co dzień błagamy w modlitwach - rzekł dobrotliwy król do księcia Albany - niech się skończy ta rzeź. Czemuż miałyby te krwawe strzępy ludzkie dopełnić okrutnego dzieła? Przecież niechybnie ukorzą się zaraz przed nami i przyjmą rozsądne warunki?

- Opanuj się, miłościwy panie - odparł Albany. - Ci ludzie to wieczna groźba dla krajów równinnych.

Obaj wodzowie żyją... jeśli wrócą na Pogórze żywi i cali, nasz ogromny trud pójdzie na marne.

Pamiętaj, przyrzekłeś radzie, że nie rzucisz berła o ziemię i nie przerwiesz walki.

- Obciążasz moje sumienie ciężką zbrodnią, Albany, bo grzeszę nie tylko jako król, który powinien chronić swych poddanych, lecz również jako chrześcijanin, który winien miłować swoich braci w wierze.

- Mylisz się, miłośniwy panie, nie są to bowiem miłujący cię poddani, tylko nieposłuszni buntownicy,

co przyświadczyć może lord Crawford. Trudno ich też traktować jako chrześcijan, bo najmniej w połowie są poganami, o czym najlepiej wie przeor zakonu Dominikanów.

Z piersi króla wyrwało się ciężkie westchnienie.

- Zawsze przeprowadzasz swoją wolę, bracie, i za bardzo przewyższasz mnie rozumem, żebym mógł się z tobą spierać. Mogę tylko odwrócić głowę i zamknąć oczy, ale wiem, że Bóg mnie ukarze już choćby za to, żem był obecny przy tak krwawej rzezi.

- Hej tam, zadać w trąby! - zawołał Albany. - Zesztywnieją od ran, jeśli zwłoka będzie trwała dłużej.

Tymczasem Torquil dodawał otuchy swemu młodemu wodzowi.

- Opieraj się czarom jeszcze trochę dłużej! Nie trap się... wyjdiesz z tej walki bez jednej rany, bez najmniejszego zadrapania! Bądź dobrej myśli, synaczku!

- Jakże mogę być dobrej myśli - rzekł Eachin - skoro moi mężni krewniacy jeden za drugim legli u mych stóp... oddali życie za mnie, którym nie jest wart ich poświęcenia!

- A po cóż się oni rodzili, jeśli nie po to, żeby umrzeć za swego wodza? - spytał Torquil z wielką mocą. - Głowa do góry, chłopcze. Tormot i ja lekko tylko jesteśmy draśnięci, a Górskie Rysie

powłóczą nogami, jakby to były ich ostatnie podrygi przed śmiercią. Jeszcze raz stawimy dzielnie opór, a zwycięstwo będzie twoje, choć może ty jeden pozostaniesz przy życiu. Minstrele, piszczałki!

Kobziarze znowu zadęli w piszczałki; wojownicy ruszyli do boju i natarli na siebie wprawdzie nie z tą

samą co przedtem siłą, ale z nie mniejszą zaciekłością. Przyłączyli się do nich ci, którzy z obowiązku mieli pozostać neutralni. Dwaj wiekowi wojownicy dzierżący sztandary stopniowo przesuwali się z krańców szranków do środka boiska, teraz zaś znaleźli się tuż obok miejsca bezpośrednich działań.

Gdy ujrzeli z bliska skutki straszliwej rzezi, ulegli obaj żądzy pomśzczenia braci lub może pragnieniu,

by lec na polu chwały. Natarli na siebie wściekle kopiami, do których przymocowane były

chorągwie;

po kilku zabójczych pchnięciach zwarli się i wciąż dzierżąc chorągwie, w zapale walki runęli w nurty

Tay, skąd po zakończeniu bitwy wyłowiono ich splecionych w śmiertelnym uścisku. Dwaj kobziarze, którzy w czasie bitwy starali się jak mogli dźwiękiem piszczałek dodać swym braciom otuchy, zobaczyli teraz, że bój dobiega końca, bo walczą już tylko niedobitki. Rzucili na ziemię kobzy, dobyli sztyletów i natarli na siebie, a że obu bardziej zależało na zadaniu śmierci niż obronie własnego życia,

kobziarz klanu Quhele natychmiast padł martwy, kobziarz zaś klanu Chattan - śmiertelnie raniony.

Mimo to sięgnął znów po swój instrument i bojowa pieśń klanu rozbrzmiewała nad polem bitewnym dopóty, dopóki umierającemu minstrelowi starczyło tchu w piersiach.

Tymczasem młody Tormot, którego podobnie jak wszystkich synów Torquil przeznaczył do obrony wodza, został w ostatnim natarciu śmiertelnie raniony przez bezlitosny miecz Harry'ego. Dwaj pozostali wojownicy klanu Quhele też padli i teraz Torquil ze swym wychowankiem i rannym Tormotem, zmuszeni cofnąć się przed ośmioma wojownikami klanu Chattan, dotarli nad sam brzeg rzeki, gdzie zatrzymali się, podczas gdy ich wrogowie ruszyli za nimi z takim pośpiechem, na jaki pozwalały im liczne rany. Zaledwie Torquil dotarł na upatrzone miejsce nad rzeką, młody Tormot osunął się na ziemię i wyzionął ducha. Na ten widok z piersi ojca wyrwało się pierwsze i jedyne westchnienie, na jakie pozwolił sobie w tym strasznym dniu.

- Tormot! - rzekł. - Mój najmłodszy i najukochańszy synaczek! Ale jeśli uratuję Eachina, uratuję moje plemię! Teraz posłuchaj, najdroższy mój wodzu. Uczyniłem dla ciebie wszystko, co człowiek uczynić może, prócz rzeczy ostatniej. Daj, rozluźnię zapięcia tej przeklętej i złowróźbnej kolczugi; zdejmiesz ją i przywdziejesz zbroję Tormota, jest lekka i w sam raz dla ciebie, a tymczasem ja uderzę na tych okaleczających Rysiów i postaram się ich powstrzymać. Ufam, że im poradzę, bo wloką się tutaj, jak gdyby im nogi odmawiały posłuszeństwa. A jeśli, najdroższy mój synaczku, nie zdołam cię uratować,

zobaczysz przynajmniej, jak umiera mężczyzna.

Przy tych słowach Torquil rozluźnił zapinki przy kolczudze młodego wodza w naiwnym przekonaniu że tym samym zerwie sieć strachu, która nieczyste siły omotały jego serce.

- Mój ojcie, o mój najlepszy ojcie! - zaszlochał nieszczęsny młodzieniec. - Zostań ze mną... wiem, że z tobą u boku będę się bił do ostatka!

- To niemożliwe - odparł Torquil. - Muszę ich powstrzymać, dopóki nie włożysz tej kolczugi. Niech ci

Bóg błogosławi, ukochane moje dziecię!

I wymachując ogromnym mieczem, Torquil z Borów Dębowych ruszył naprzód, wykrzykując to samo zawołanie wojenne, które już tylekroć grzmiało nad krwawym polem bitewnym: - Bas air son Eachin!

-Słowa te rozbrzmiewały trzykrotnie z siłą grzmotu pękającego nad ziemią; i za każdym razem

Torquil powalał jednego wojownika klanu Chattan, gdy potykając się szli kolejno ku niemu.

- Dobra robota, sokole... pięknie fruwasz, górski jastrzębiu! - ryczał tłum patrząc na te nadludzkie wysiłki człowieka, który - zda się - jeszcze teraz mógł odmienić losy bitwy. Nagłe tłum umilkł i w

ciszy, która zapadła, rozległ się szcęk stali tak straszliwy, jak gdyby cała walka rozgorzała od nowa w

ciosach mieczów Harry'ego Smitha i Torquila z Borów Dębowych. Cięli, rąbali i razili się z siłą

przerazającą: trudno wprost było uwierzyć, że nie po raz pierwszy tego dnia dobywają mieczów. A

zaciekłość ich była wzajemna, bo Torquil rozpoznał w Harrym owego domniemanego

czarnoksiężnika, który w jego przekonaniu rzucił czary na Eachina, Harry zaś widział przed sobą

olbrzyma, który przez cały czas udaremniał w szrankach jedyny cel płatnerza - pojedynek z Eachinem.

Walka ich była wyrównana, może zresztą dlatego, że Harry odniósł liczniejsze rany niż jego

przeciwnik i walczył mniej ruchliwie.

Tymczasem Eachin, po chaotycznej i daremnej próbie przywdziania kolczugi Tormota, w przypiływie

wstydu i rozpaczycy rzucił się naprzód, by wesprzeć Torquila w straszliwym pojedynku, zanim

nadbiegną inni wojownicy klanu Chattan. Gdy z mocnym postanowieniem, że będzie walczył do ostatka, zbliżył się na odległość pięciu jardów, jego opiekun - padł rażony straszliwym ciosem od obojczyka niemal do serca i szepcząc: - Bas air son Eachin - skonał. Nieszczęsny młodzieniec zobaczył śmierć ostatniego ze swych przyjaciół i jednocześnie ujrzał przed sobą śmiertelnego wroga. To przecież on ścigał go po całym polu bitewnym! A teraz stał przed Eachinem wznosząc olbrzymi miecz, który pokonawszy niezliczone przeszkody wyrąbał sobie drogę do jego życia. Może w chwili tej doszła w młodzieńcu do głosu przyrodzona bojaźliwość; może zorientował się, że nie ma na sobie kolczugi, i zobaczył zbliżającą się gromadę wrogów, okaleczających, to prawda, i z trudem powłóczących nogami, ale żadnych krwi i zemsty. Wystarczy powiedzieć, że w sercu poczuł słabość, w oczach mu pociemniało, w uszach odezwał się szum... wszystkie inne myśli utonęły w przemożnym strachu przed śmiercią; wykonawszy jedno nieudolne pchnięcie, uskoczył do tyłu przed ciosem Harry'ego i zanim płatnerz złożył się do następnego cięcia, skoczył w nurty Tay. Obelżywe wrzaski tłumu ścigały go, gdy płynął ku przeciwległemu brzegowi, choć może zaledwie kilku z tych, którzy ciskali za nim obelgi, zachowałyby się inaczej w podobnych okolicznościach. Harry spoglądał za zbiegiem w osłupieniu, ale nie mógł obserwować jego ucieczki, bo zaledwie minęło podniecenie wywołane walką, ogarnęła go przemożna słabość. Osunął się na trawę i usiłował zatamować krew buchającą z ran.

Zwycięzców nagrodziły gromkie okrzyki tłumu. Książę Albany i inni możni panowie wjechali w szranki, żeby obejrzeć pobojuwisko, a Harry Smith został uhonorowany szczególnym zainteresowaniem.

- Jeśli powiększysz szeregi mej drużyny, zacny człowieku - rzekł Czarny Douglas - zamienię twój fartuch skórzany na pas rycerski, a twoją miejską dzierżawę na włości, które pozwolą ci się utrzymać godnie w stanie szlacheckim.

- Dziękuję ci pokornie, miłościwy lordzie - odparł Smith głosem zgnębionym ałem za dużo już

przelał krwi. A niebiosa pokarały mnie udaremniając mój jedyny cel, dla którego przyłączyłem się do tej walki.

Jakże to, przyjacielu? - zdumiał się Douglas. - Czyż nie walczyłeś w obronie honoru drużyny Chattan i

czyż nie odniosła ona chwalebного zwycięstwa?

- Walczyłem dla własnego miecza* - odparł obojętnie Smith; i odpowiedź ta stała się do dziś używanym w Szkocji porzekadłem.

Zbliżył się teraz dobrotliwy król Robert na spokojnym podjezdku; wjechał w szranki, żeby sprawdzić osobiście, czy ranni otrzymują należytą opiekę.

- Lordzie Douglas - rzekł - dręczysz tego biedaka sprawami ziemskimi, kiedy chyba niewiele mu już pozostało czasu na zajęcie się sprawami duszy. Czy nie ma on przyjaciół, którzy zanieśliby go w odpowiedniejsze miejsce... i zajęli się opatrzaniem jego ran?

- Ma tylu przyjaciół, miłościwy panie, ilu jest zacnych ludzi w Perth - odparł sir Patrick Charteris. - A

ja mam zaszczyt zaliczać się do ich grona.

- Prostak ciągnie do prostaka - rzucił szyderczo wyniosły Douglas, ściągając cugle konia. - Gdyby człowiek ten miał w żyłach choć kroplę szlachetnej krwi, moja obietnica pasowania go na rycerza zawróciłaby go od wrót śmierci.

Nie zwracając uwagi na urągliwe słowa potężnego magnata, rycerz of Kinfauns zsiadł z konia, żeby wziąć Harry'ego w ramiona, gdyż siły opuściły płatnerza i osunął się na ziemię. Uprzedził go jednak Szymon Glover, który wraz z grupą co znaczniejszych mieszczan przedostał się teraz na pobojuwisko.

- Harry, mój ukochany synu! Harry! - wołał starzec. - Co cię skłoniło do udziału w tej strasznej walce?

Och... umiera... nie może już dobrać głosu!

- Mogę jeszcze, ojczy... - wyszeptał Harry. Katarzyna... Słowa uwięzły mu w gardle.

- Katarzyna ma się dobrze, ufam — odparł Szymon. - I będzie twoja, jeśli... jeśli...

- Chciałeś zapewne powiedzieć, starcze, jeśli jest bezpieczna - rzekł Douglas, który czuł się wprawdzie urażony, że Harry nie przyjął proponowanego mu pasa rycerskiego, był jednak zbyt wspaniałomyślny, żeby patrzeć obojętnie na rozgrywającą się przed nim scenę. - Jest bezpieczna, gdyż chronią ją barwy Douglasa. Jest bezpieczna... i będzie bogata. Douglas obdarza bogactwem tych, którzy cenią je sobie wyżej od honoru.

- Za opiekę nad moją córką, miłościwy lordzie, będę ci do końca życia dziękował i będę błogosławił szlachetnego Douglasa. A co do bogactwa, mamy go dosyć. Oby tylko Bóg zachował mego ukochanego syna przy życiu!

- Istne dziwy! - wybuchnął Douglas. - Prostak z gminu nie przyjmuje szlachectwa... mieszczanin gardzi złotem!

- Za twoim pozwoleniem, miłościwy lordzie - ozwał się sir Patrick - ja, który jestem rycerzem i szlachcicem, ośmielę się powiedzieć, że człowiekowi tak mężnemu jak Harry Smith niepotrzebne są zaszczytne tytuły... człowiekowi tak prawemu jak ten szacowny mieszczanin niepotrzebne jest złoto.

- Dobrze czynisz, sir Patricku, że przemawiasz za swoim miastem, a ja nie czuję do ciebie urazy - rzekł Douglas. - Nie zamierzam też narzucać się nikomu z moją hojnością. Ale - dodał zniżając głos i zwracając się szeptem do księcia Albany - miłościwy książę powinien zabrać króla z tego krwawego pobojowiska, bo jeszcze dziś trzeba go będzie zawiadomić o tym, o czym jutro dowie się cała Szkocja.

Spór został zakończony. Ale nawet ja żałuję, że padło tu tylu mężnych Szkotów, których oręż mógłby bronić ojczyzny.

Z trudem udało się wyprowadzić króla Roberta z pobojowiska; łzy płynęły strumieniami po zwiędłych policzkach i białej brodzie dobrotliwego monarchy, gdy zaklinał wszystkich dokoła - panów i kapłanów - żeby zaspokoiono czym prędzej potrzeby ciała i ducha kilku niedobitków i zgotowano godny i chrześcijański pochówek zmarłym.

I tak skończył się słynny bój na North Inch, łąkach podmiejskich Perth. Z sześćdziesięciu czterech nieustraszonych wojowników (licząc w tym dwóch kobziarzy i dwóch chorążych), którzy mężnie szli do walki, zostało przy życiu zaledwie siedmiu; wyniesiono ich z pobojuwiska na noszach, a stan ich niewiele różnił się od stanu zabitych i umierających. Jeden Eachin opuścił pole bitewne nie zraniony; i on jeden zostawił w szrankach swoją cześć i honor.

Należy jeszcze powiedzieć, że prócz zbiegłego wodza ani jeden wojownik klanu Quhele nie uszedł z życiem, a konsekwencją straszliwej klęski było rozwiązanie ich konfederacji. Trudno dociec teraz, z jakich składała się ona klanów, albowiem nigdy już nie zebrały się one pod tym samym sztandarem. Natomiast konfederacja klanu Chattan rozrastała się i przybierała na sile; po dziś dzień najznacniejsze rody na północnym Pogórzu szczycą się, że ich przodkami było plemię Górskich Rysiów.

ROZDZIAŁ XXXV

Gdy król wracał powoli do opactwa Dominikanów, Albany zbliżył się do Douglasa z wyrazem wielkiego pomieszania na twarzy i spytał niepewnym głosem:

- Czy nie zechcesz ty, mój lordzie, któryś był świadkiem owej tragicznej sceny w Falkland, opowiedzieć o niej memu nieszczęsnemu bratu?

- Nigdy, nawet za tron Szkocji! - odparł Douglas. - Prędzej stanąłbym w odległości lotu strzały i uczynił z mej obnażonej piersi cel dla tysiąca angielskich łuczników! Na świętą oblubienicę z rodu Douglasów - nie! Zresztą mógłbym tylko powiedzieć, że widziałem zwłoki tego nieszczęsnego młodzieńca. Jak się stało, że spotkała go ta niewczesna śmierć, miłościwy książę będzie mógł zapewne

lepiej wyjaśnić. Gdyby nie zdrada Marcha i wojna z Anglikami, miałbyś coś do powiedzenia w tym przedmiocie. - Co powiedziawszy earl of Douglas zbliżył się do króla, złożył przed nim ukłon i odjechał.

- Zdrada Marcha... wojna z Anglikami? - wymamrotał Albany. - A jakże, i prywatna, która tobą kieruje,

dumny lordzie... bo choć tak jesteś pewny siebie, nie ośmielasz się odłączyć swoich korzyści od moich. No cóż, skoro zadanie mnie przypadło, jakoś muszę się z niego wywiązać.

Wszedł za monarchą na jego komnaty. Król zajął swoje zwykłe miejsce i spojrzał na brata ze zdumieniem.

- Twarz masz przeraźliwie bladą, drogi Robinie - rzekł król. - Skoro widok krwi takie robi na tobie wrażenie, powinieneś pomyśleć dwa razy, zanim wydasz podobnie okrutne rozkazy. Ale mimo to, Robinie, kocham cię tym serdeczniej, że dobroć twego serca przebija niekiedy nawet przez twój pancerz zatwardziałego polityka.

- Bogu bym dziękował, bracie - odparł Albany łamiącym się głosem - gdyby to krwawe pobojowisko,

któreśmy widzieli, było rzeczą najgorszą, jaką musimy mieć dzisiaj w pamięci. Ale... - dodał i umilkł.

- Co mówisz, bracie? - zawołał król w popłochu. - Jakież nowe nieszczęście chcesz mi wieścić? Rothsay?... Tak, na pewno coś z Rothsayem! Mów! Jakież nowe szaleństwo popełnił? Jaką nową karygodną swawolę?

- Niestety, miłościwy królu i bracie... mój bratanek nie popełni już nigdy szaleństw i swawoli!

- Umarł... nie żyje! - zawołał nieszczęsny ojciec przeraźliwym głosem. - Albany, jako twój brat, błagam cię... Lecz nie... nie jestem już twoim bratem! Jako twój król, złowieszczy i przebiegły człowieku, nakazuję ci powiedzieć mi prawdę!

Albany wyjąkał:

- Nie znam jeszcze wszystkich szczegółów... wiem jednak z całą pewnością, że w dniu wczorajszym znaleziono mego nieszczęsnego bratanka w jego komnacie... nie żył... zmarł nagle... tyle tylko słyszałem.

- O Rothsay! O mój umiłowany Dawidzie! Chwaliłbym Pana, gdyby mi pozwolił umrzeć za ciebie...

o

synu, mój synu!

Tak mówił, dobitnymi słowami Pisma świętego, osierocony ojciec wrywając garściami włosy z siwej

brody i głowy, podczas gdy Albany, nękany wyrzutami sumienia, nie ośmielał się przerwać tego wybuchu straszliwej boleści.

Lecz niemal natychmiast rozpacz króla zmieniła się w straszliwy gniew; było to u łagodnego i dobrotliwego króla czymś tak niezwykłym, że paniczny strach zagłuszył w Albany wyrzuty sumienia.

- To już koniec - zawołał król gromkim głosem - twoich religijnych przypowieśni i maksym! Ale ów ogłupiały ojciec, który oddał syna w twoje ręce, który wydał niewinne jagnię pod topór, jest królem,

o
czym przekonasz się na własnej skórze! Czyż morderca ma stać przed obliczem swego brata...

splamiony krwią bratanka? Nie! Hej tam, strażę, do mnie! MacLouis! Brandanesi! Zdrada! Mord!

Chwyćcie za broń, jeśli miłujecie Stewartów!

Do komnaty wpadł MacLouis z kilkoma ze straży.

- Morderstwo i zdrada! - zawołał do niego nieszczęsny król. - Wierni Brandanesi... wasz szlachetny książę... - w tym miejscu żalność odebrała zbolełemu ojcu mowę i uniemożliwiła mu dopowiedzenie strasznej nowiny do końca. Po chwili podjął łamiącym się głosem: - Topór i pień natychmiast na podwórze! Aresztować... - głos znowu uwiązał mu w krtani.

- Kogo aresztować, miłościwy panie? - spytał MacLouis; widząc wzburzenie i gniew króla, tak zawsze

łagodnego, pomyślał, że pewnie pomieszało mu się w głowie od patrzenia na okropieństwa niedawnej

walki. -Kogo mam aresztować, miłościwy panie? - powtórzył. - W komnacie jest tylko twój królewski

brat, jego miłość książę Albany.

- Słusznie - wyszeptał król, gdyż mściwy gniew zaczął już w nim wygasać. - Słusznie... jest tylko

Albany... tylko syn mych rodziców... tylko mój brat. O Boże Miłosierny! Dopomóż mi ugasić

grzeszną namiętność, która płonie w mojej piersi! Sancta Maria, ora pro nobis!*

MacLouis rzucił zdumione spojrzenie na księcia Albany; brat królewski usiłował pokryć zmieszanie zřęcznie udawanym współczuciem. Wyszeptał do MacLouisa:

- To straszne nieszczęście okazało się ponad jego siły.

- Jakie nieszczęście, miłościwy księżę? - spytał MacLouis. - O niczym nie słyzałem.

- Ach... nie słyzałaś o śmierci mego bratanka, księcia Rothsay?

- Księżę Rothsay nie żyje, mój lordzie Albany? - zakrzyknął wierny słuęa rodu Stewartów ze zgrozą i zdumieniem. - Kiedy... gdzie... na co umarł?

- Dwa dni temu... przyczyna nie jest znana... w Falkland.

MacLouis przez sekundę wpatrywał się w księcia; potem z błyskiem stanowczości w oczach zwrócił się do króla pogrążonego w modlitwie:

- Miłościwy panie! Przed chwilą nie dopowiedziałas jednego słowa... jednego jedyneęo słowa!

Rzeknij je, miłościwy panie, a twoja wola będzie prawem dla Brandanesów!

- Modliłem się, MacLouisie, żeby mi Bóg dał siłę obronić się przed pokusą - rzekł nieszczęsny król - a

ty mi ją znowu podsuwasz? Czy dałabyś szaleńcowi do ręki obnażony miecz? Ale... och! Albany, mój przyjacielu, mój bracie, mój powierniku! Jak mogłeś zdobyć się na rzecz tak okrutną?

Widząc, że król łagodnieje, Albany przemówił z większą niż dotąd pewnością siebie.

- W moim zamku nie ma barier zabezpieczających przeciwko śmierci. Nie zasłużyłem niczym na te nikczemne podejrzenia, które przebijają z twych słów, miłościwy królu i bracie. Przebaczam je, bo zostały wypowiedziane przez osieroczoneęo ojca, który z rozpaczęy odchodzi od zmysłów. Ale gotów jestem przysięę na krzyż i ołtarz... na zbawienie mej duszy... na cienie naszych królewskich rodziców...

- Milcz, Robercie - wybuchnął król - i nie dodawaj krzywoprzysięstwa do zbrodni! Powiedz... czyś uczynił to wszystko, by znaleźć się o krok bliżej berła i korony? Zabierz je... i obyś czuł, jak ja to czuję, że są z rozpalonego żelaza! O Rothsay, synu mój najdroższy, szczęśliwyś jest, że nie zostaniesz królem!

- Miłościwy panie - ozwał się MacLouis - pozwól sobie przypomnieć, że berło i korona Szkocji przejdą z prawa, gdy ty je raczysz złożyć, na księcia Jakuba, który dziedziczy po swym starszym bracie.

- Słusznie, MacLouis - rzekł król skwapliwie - dziedziczy prawa i odziedziczy też, biedny malec, niebezpieczeństwa, które towarzyszyły jego bratu od kolebki aż do grobu! Dziękuję ci, MacLouis. Przypomniałeś mi, że mam jeszcze obowiązki do spełnienia na tym świecie. Natychmiast wezwij swoich Brandanesów pod broń. Przypilnuj, żeby pojechali z nami tylko ludzie wypróbowanej wierności... nikt, kto miewał konszachty z księciem Albany... mam na myśli tego człowieka, który mieni się mym bratem! Każ, żeby natychmiast przygotowano moją lektykę. Udamy się do Dumbarton, MacLouis, albo na wyspę Bute. Urwiste skały, przyływy morza i wierne serca moich Brandanesów obronią dziecko, dopóki nie oddzielimy go morzami od zbrodniczych ambicji jego stryja. Żegnaj, Robercie of Albany... żegnaj na zawsze, okrutny człowieku o sercu z kamienia! Ciesz się taką częścią władzy, jakiej Douglas raczy ci udzielić. Ale nie próbuj stawać przed moim obliczem... i nie wąż się zbliżać do mego jedyne go dziecięcia. Bo jeśli to uczynisz, moja straż zadźga cię sztyletami.

MacLouis, wydaj odpowiednie rozkazy.

Bez dalszych tłumaczeń czy usprawiedliwień książę Albany opuścił komnatę królewską.

To, co nastąpiło później, wyjaśnimy garścią faktów historycznych. Pod presją księcia Albany następny

parlament uwolnił go od winy za śmierć Rothsaya, choć jednocześnie on sam zdradził się ze swym nieczystym sumieniem wystarawszy się o akt pardonu czy też amnestii umarzającej przestępstwo.

Zdruzgotany nieszczęściem stary król zamknął się w odosobnieniu zamku Rothsay na wyspie Bute, by

opłakiwać syna, którego stracił, i z gorączkową czujnością strzec życia tego, który mu pozostał.

Pragnąc zapewnić młodocianemu Jakubowi bezpieczeństwo, posłał go do Francji, gdzie chłopiec miał

kształcić się na dworze monarchy. Ale statek wiozący księcia Szkocji został przechwycony przez

angielską korwetę i chociaż między oboma krajami panował w tym okresie pokój, Henryk IV

bezprawnie wziął młodego królewicza do niewoli. Ten ostatni cios złamał ostatecznie serce

nieszczęśliwemu królowi. Zemsta, acz zdążająca powolnym krokiem, dosięgła zdrady i okrucieństwa

jego brata. Wprawdzie książę Robert of Albany spokojnie zszedł do grobu, przekazawszy regencję,

zdobytą w tak nikczemny sposób, swemu synowi Murdochowi, ale w dziewiętnaście lat po śmierci

starego króla Jakub I wrócił do Szkocji i książę Murdoch of Albany skazany został wraz z synami na

śmierć i stracony za zbrodnie ojca i własne.

ROZDZIAŁ XXXVI

Serce szlachetne i swobodne

Naraża się na zdradę.

Lecz jak się losy nie potoczą,

Jest zawsze z czegoś rade.

Burns

Wrócimy teraz do Pięknego Dziewczęcia z Perth. Earl Douglas zabrał Katarzynę ze straszego zamku

Falkland i oddał pod opiekę swej córki, owdowiałej księżnej Rothsay. Dama ta przebywała chwilowo

w klasztorze zwanym Campsie, którego malownicze ruiny do dziś są widoczne nad brzegiem Tay.

Klasztor stał na szczycie stromej skały schodzącej urwistą ścianą do rzeki, w tym miejscu szczególnie

imponującej z uwagi na wodospad zwany Campsie Linn, to jest szeroki próg bazaltowy, przez który

przelewają się i spadają w dół z ogłuszającym hukiem spiętrzone wody rzeki. Oczarowani zakątkiem

tak romantycznym, mnisi z opactwa Cupar wznieśli budowlę klasztorną poświęconą nieznanemu

świętemu imieniem Hunnand i chętnie udawali się tam, żeby odpocząć lub oddać się religijnym medytacjom. Klasztor rad otworzył swe podwoje przed mozną damą, jako że w okolicy tej zaznaczały

się silne wpływy lorda Drummonda. sprzymierzeńca Douglasów. Tam też dowódca eskorty, która odprowadziła Katarzynę i minstrelkę do Campsie, wręczył księżnej listy ojca. Jakikolwiek miała ona

powody do żalów i skarg na Rothsaya, jego niespodziewana i straszna śmierć wstrząsnęła szlachetną damą, która większą część nocy spędziła na płaczu i modłach.

Nazajutrz rano, to jest w pamiętną Niedzielę Palmową, wezwano na komnaty księżnej Katarzynę i minstrelkę. Obie młode niewiasty wciąż nie mogły przyjść do siebie po strasznych i tak niedawnych przeżyciach; wygląd zaś księżnej Marjorie, podobnie jak jej ojca, budził raczej cześć zmieszaną z lękiem niż uczucie ufności i pewności siebie. Księżna przemawiała jednak dobrotliwie i dowiedziała się od nich wszystkiego, co miały do powiedzenia w związku ze strasznym losem jej zbłąkanego i nierozważnego małżonka. Wyraziła wdzięczność Katarzynie i Luizie, że z narażeniem życia usiłowały ratować Rothsaya od strasznej śmierci. Zaprosiła je do udziału w modlitwach; a gdy przyszła pora obiadu, podała dziewczętom rękę do pocałowania i odprawiła je, zapewniwszy wpierw obie, zwłaszcza zaś Katarzynę, że dopóki żyć będzie, mogą liczyć na jej opiekę, a także na opiekę możnego Douglasa.

Opuściły komnaty owdowiałej księżnej i zasiadły do stołu w towarzystwie jej pań dworskich, których

pogłębiona żalobą sztywna wyniosłość zmroziła pogodę Francuzki i krępowała nawet powściągliwszą

i bardziej zdyscyplinowaną Katarzynę. Nie dziwota więc, że przyjaciółki, bo tak je teraz możemy nazywać, skorzystały z pierwszej sposobności i wymknęły się na przechadzkę do przyklasztornego ogrodu. Mały ten ogród, pełen ozdobnych krzewów i drzew owocowych, rozpościerał się od muru klasztornego aż nad brzeg przepaści, od której oddzielał go tylko parapet kamienny wybudowany na

występie skalnym i tak niski, że oko bez trudu mogło zmierzyć głębokość urwiska i spojrzeć na wzburzone wody, pieniające się, kłębiące i rozbijające o skalisty próg w dole.

Katarzyna i jej towarzyszka przechadzały się wolnym krokiem po ścieżce biegnącej wzdłuż parapetu. Przez jakiś czas zachowywały milczenie. W końcu jednak pogoda i wesołość Luizy wzięły górę nad posępnym smutkiem okoliczności, w jakich się znajdowała.

- Czy straszne zdarzenia w Falkland, piękna Katarzyno, nadal cię przygnębiają? Staraj się o nich zapomnieć, jak ja to czynię. Ciężko iść drogą życia temu, kto nie otrząsa z płaszcza kropel deszczu w miarę, jak spadają.

- O tamtych okropnych chwilach nigdy nie zapomnę - odparła Katarzyna. - Ale teraz trapi mnie niepokój o ojca... i wciąż myślę o tym, że tak wielu dzielnych mężczyzn ginie w tej może chwili... nie dalej niż sześć mil od tego ogrodu.

- Mówisz o walce sześćdziesięciu wojowników, o czym wspominał nam wczoraj koniuszy Douglasa?

Ach, takie widowiska są ucztą dla minstrelów! Ale przeklęte te moje niewieście oczy... nigdy nie mogły ścierpieć widoku krzyżujących się mieczów! Lecz co to? Spójrz, Katarzyno... o tam, tam! Ten pędzący

ku nam posłaniec przynosi zapewne wieści z placu boju!

- Poznaję go chyba - rzekła Katarzyna. - Ale jeśli to on, jakieś szaleńcze zaiste myśli naglą go do tak wielkiego pośpiechu!

Gdy wypowiadała te słowa, biegnący mężczyzna skierował kroki do ogrodu. Mały psiak Luizy wyskoczył mu naprzeciw, szczekając zajadle, ale wrócił natychmiast i skulony ukrył się za swą panią,

skomlać i poszczekując z cicha; bo nawet bezrozumne zwierzę rozpozna człowieka, którego gna szaleńcza energia niepowstrzymanej namiętności, i lęka się wejść mu w drogę. Zbieg wypadł na ścieżkę i pędził przed siebie, nie zwalniając kroku. Głowę miał odkrytą i włosy w nieładzie; bogata opończa, podobnie jak reszta odzienia, była nasiąknięta wodą; stopy widoczne pod strzępami

skórzanych trzewików znaczyły piasek śladami krwi. Twarz mężczyzna miał wynędzniałą, zapadniętą,

oczy błędne.

- Conachar! - wykrzyknęła Katarzyna, gdyż młodzieniec biegł zda się nie widząc, co jest przed nim na

drodze. Tak podobno biegnie zając, kiedy doganiają go psy gończe. Ale na dźwięk swego imienia zatrzymał się.

- Conachar! - powtórzyła Katarzyna. - Lub raczej, Eachinie MacIan... co się stało? Czy klan Quhele poniósł klęskę?

- Nosilem kiedyś imiona, którymi zwraca się do mnie to dziewczę - rzekł młodzieniec po chwili zastanowienia. - Tak, nazywano mnie Conacharem, kiedy byłem szczęśliwy... i nazywano mnie Eachinem, kiedy miałem władzę. Ale teraz nie mam nijakiego imienia... i nie ma takiego klanu, o jakim wspominasz. Ach, głupia z ciebie dziewczyna, że mówisz o czymś, co nie istnieje... do kogoś, kogo nie ma na tej ziemi!

- Nieszczęsny...

- Czemu nieszczęsny, jeśli wolno spytać?! - wybuchnął młodzieniec. - Jeśli jest tchórzem i łotrem, czyż łotrostwo i tchórzostwo nie sprawują władzy nad żywiołami? Przecież skoczyłem do wody, a ona mnie nie pochłonęła... biegłem po ziemi, a ona nie rozstąpiła się pod moimi stopami i nie pożarła mnie. Jakiż śmiertelnik odważyłby się sprzeciwić moim zamierzeniom?

- Biada nam, Luizo, on oszalał - powiedziała Katarzyna do Luizy. - Biegnij, przywołaj pomoc! Mnie z

pewnością nie wyrządzi krzywdy... ale boję się, że zrobi sobie coś złego. Widzisz, jak spogląda w dół

na rzekę?

Luiza oddaliła się spiesznie, żeby wypełnić polecenie; jej odejście sprawiło Conacharowi wyraźną ulgę.

- Katarzyno - zwrócił się do dziewczyny — nie ma jej, więc ci powiem, że cię poznaję... pamiętam, jak bardzo kochasz pokój i jak nienawidzisz wojny. Ale słuchaj... Miast zadać cios nieprzyjacielowi, wyrzekłem się wszystkiego, co drogie jest sercu mężczyzny. Straciłem honor, sławę i przyjaciół...

jakich przyjaciół! - Zakrył oczy dłońmi. - Och, ich miłość była szlachetniejsza od miłości niewiasty!

Czemu miałbym wstydić się łez? Wszyscy znają moją hańbę, wszyscy powinni widzieć mój ból. Tak,

ale kto poczuje w sercu litość na ten widok? Katarzyno, gdy oszalały biegłem doliną, mężczyźni i niewiasty wołali za mną: „Hańba ci!” Żebrak, któremu rzuciłem jałmużnę, żeby kupić sobie choć jedno błogosławieństwo, cisnął ją ze wstrętem o ziemię i przeklął tchórza. W dźwięku dzwonów kościelnych, w ryku zwierząt na polach, w poszumie i jęku wiatru, w huku spienionej wody słyszałem jeden tylko okrzyk: „Hańba nędznikowi!” Wierny mój opiekun i jego ośmiu synów wciąż mnie ścigają... wciąż błagają osłabionymi głosami: „Pomścij nas ojczyznę, jednym ciosem miecza, wszyscy daliśmy życie za ciebie:

Gdy nieszczęsny młodzieniec bredził, w zaroślach dały się słyszeć szmery.

- Jedna została mi droga! - zawołał i skoczył na parapet, oglądając się trwożnie na zarośla, w których przyczaili się dwaj przysłani na pomoc pachołkowie z zamiarem zaskoczenia go i obezwładnienia.

Zaledwie ujrzał postać ludzką wyłaniającą się z osłony krzaków, dzikim gestem wyrzucił w górę ramiona i zakrzyknął: Bas air Eachin!* - skoczył w dół ku spienionym odmętom na dnie przepaści.

Nie trzeba dodawać, że przy takim upadku wszystko, co nie było puchem mleczaka, musiało roztrzaskać się na dnie. Ale rzeka była wezbrana i nie odnaleziono nigdy zwłok nieszczęsnego młodzieńca. Tradycja w wieloraki sposób uzupełnia to zdarzenie. Według jednej legendy młody wódz

klanu Quhele dopłynął bezpiecznie do brzegu znacznie poniżej wodospadu Campsie Linn; a gdy wędrował niepokieszony po pustyni Rannoch, spotkał ojca Klemensa, który wiódł w tych stronach

pustelniczy żywot. Świętobliwy starzec jakoby nawrócił skruszonego Eachina, który dzielił z nim prywatnie i uczestniczył w pobożnych rozmyślaniach, dopóki śmierć nie zabrała ich obu.

Według innej legendy wróżki wyłowiły go z toni i uratowały od śmierci - po to jedynie, żeby do dziś wędrował poprzez ostępy leśne i pustkowia uzbrojony jak Pogórzanin z tamtej odległej epoki, ale z mieczem w lewej dłoni. Owa zjawka ukazuje się zawsze pogrążona w głębokiej bolesti. Niekiedy sprawia takie wrażenie, jak gdyby chciała zaatakować podróżnego, ale pierzcha, gdy jej się odważnie

przeciwstawić. Źródłem tych legend są dwie osobliwości w dziejach Eachina MacIana: jego tchórzostwo i fakt, że zadał sobie śmierć, co samo w sobie jest rzeczą nie spotykaną w życiu pogórzańskiego wodza.

Gdy zapewniwszy Harry'emu troskliwą opiekę w domu na Curfew Street Szymon Glover przybył wieczorem do klasztoru Campsie, zastał Katarzynę obłożnie chorą i w gorączce; w taki oto sposób odbiły się na dziewczęciu straszliwe przeżycia ostatnich dni, zwłaszcza zaś śmierć towarzysza lat dziecinnych, Conachara. Serdeczna miłość i przywiązanie do Katarzyny uczyniły z minstrelki pielęgniarkę tak troskliwą i uważną, iż Szymon Glover oświadczył, że nie będzie to jego winą, jeśli Luiza nigdy już nie weźmie lutni do ręki - chyba że dla własnej przyjemności i rozrywki.

Nieprędko stary Szymon odważył się opowiedzieć córce o ostatnich czynach wojennych płatnerza; ale

rozwodził się szczególnie długo nad wybielającą Harry'ego okolicznością, że wolał odrzucić rycerskie

honory i bogactwo, miast przyjąć wojenną służbę u Douglasa. Katarzyna westchnęła i potrząsnęła smutnie głową na myśl o krwawej Niedzieli Palmowej na łąkach North Inch. Doszła snadź do

wniosku, że ludziom rzadko zdarza się wyprzedzać poglądy czasów, w których żyją, i że w tej epoce krwi i żelaza wybijająca, pełna rozmachu odwaga Harry'ego Smitha cenniejsza jest niż brak odwagi, który doprowadził Conachara do zguby. Jeśli dziewczę miało jeszcze jakieś wątpliwości w tym względzie, rozproszyły je zapewnienia Harry'ego, gdy wróciwszy do zdrowia mógł sam bronić swej

sprawy.

- Powiniennem może rumienić się ze wstydu, Katarzyno, ale czuję wstręt do wszelkiej walki i oręża.

Ta ostatnia bitwa przemieniła się w rzeź, która nasycić by mogła najbardziej krwiożerczego tygrysa.

Dlatego postanowiłem powiesić mój miecz na ścianie i więcej go nie zdejmować - chyba że przeciwko

nieprzyjaciołom Szkocji.

- Jeśli Szkocja będzie w potrzebie, własnoręcznie przypaszę ci miecz - powiedziała Katarzyna.

- Wiesz, co ci powiem? - zwrócił się rozpromieniony Glover do córki. - Ofiarujemy hojne sumy na msze za tych wszystkich, co padli z ręki Harry'ego. W ten sposób nie tylko wykurujemy wszelkie rany duszne, ale zadzierzgniemy znowu przyjaźń z Kościołem.

- Możemy przeznaczyć na ten cel, ojcze, skarby pozostawione przez nędznika Dwininga. Zapisał mi je

w spadku, ale myślę, że nie chciałbyś mieszać pieniędzy zarobionych uczciwą pracą z jego nikczemnymi zyskami.

- Prędzej wpuściłbym do domu czarną śmierć - odparł bez namysłu Glover.

Skarby nikczemnego aptekarza zostały więc podzielone równo między cztery klasztory w Perth. I trzeba powiedzieć, że nikt już nie podawał w wątpliwość prawowierności Szymona Glovera i jego córki.

Harry i Katarzyna pobrali się w cztery miesiące po krwawej walce na North Inch i chyba nigdy cechy płatnerzy i rękawiczników nie tańczyły tak ogniście, jak na weselu najmężniejszego mieszczanina z Pięknym Dziewczęciem z Perth. W dziesięć miesięcy później w dobrze wymoszczonej kolebce leżało wspaniałe niemowlę. Kołysała je Luiza w rytm melodii:

Wierny i chwacki,

W berecie szkockim.

Nazwiska rodziców chrzestnych zapisane w rejestrach brzmią, jak następuje: „Jego Wielmożność

Archibald earl of Douglas, Wielmożny Rycerz sir Patrick Charteris of Kinfauns i Jej Wysokość

Majorie Księżna Wdowa of Rothsay". Pod tą opieką rodzina szybko się rozrasta; nie dziwota więc, że

wiele szacownych rodów szkockich, zwłaszcza zaś w Perthshire, wywodzi z dumą swe pochodzenie od męznego płatnerza Harry'ego Smitha i najpiękniejszej dziewczyny Perth.

OBJAŚNIENIA

ROZDZIAŁ I

Kaledonia - dawna nazwa Szkocji

Montague, Lady Mary Wortley (1689-1762) - pisarka ang., słynna z inteligencji i urody

Nizina (The Lowlands) - nazwa południowej Szkocji

Gray Thomas (1716-1771) - jeden z najwybitniejszych poetów ang. Poezje jego cechuje melancholia

i wykwiłt

Jakub I, drugi syn Roberta III, za panowania którego rozgrywa się akcja powieści, zamordowany został w Perth w 1437 r.

Syn Williama Ruthvena, earla of Gowrie (ok. 1578-1600) został zabity wraz z bratem w tzw. spisku

Gowrie, który miał na celu zamordowanie lub porwanie króla Jakuba VI

ROZDZIAŁ II Dawid II po śmierci królowej Joanny poślubił Katarzynę Logie, kobietę lekkich obyczajów

Glover (ang.) - rękawicznik

Dzień św. Walentego (14 lutego) - w którym wedle starych wierzeń ptaki łączą się w pary. Pradawny

zwyczaj w Anglii i Szkocji nakazywał w tym dniu wybierać sobie ukochanego lub ukochaną na

następny rok. Dziewczyna w ten sposób wybrana nazywała się „Walentyną” i otrzymywała od

wielbiciela prezent, najczęściej parę rękawiczek. Zwyczaj ten przetrwał do dzisiaj, ale ogranicza się do

wysyłania kart pocztowych z humorystyczną lub sentymentalną treścią

Yeoman - w średniowiecznej Anglii i Szkocji chłop niezależny od szlachty

G o w (celt.), S m i t h (ang.) - kowal

m i n s t r e l - średniowieczny wędrowny śpiewak i poeta

Słup Majowy— wysoki słup wznoszony w dniu pierwszego maja i przybierany girlandami kwiatów i zieleni, wokół którego ludność tańczyła i śpiewała pieśni. Starodawny zwyczaj wywodzący się z obrządków rzymskich.

sir Magnus Redman - ówczesny zarządca prowincji Berwick padł w jednej z walk na Pograniczu, w wyniku zdrady szkockiego earla of March, o którym wspomina płatnerz

E a s t Marches - Wschodnie Pogranicze, teren między Szkocją a Anglią

supremacja (z łac.) - przewaga, wyższość. Tu: supremacja Anglii nad Szkocją

ROZDZIAŁ III

Shoegate - ulica Szewska, główna ulica w Perth

t a r t a n - wielobarwna tkanina w kratę. Każdy klan góralski miał swoje barwy i wzór tartanów

i n p r i n c i p i o (łac.) - w zasadzie, w założeniu

— Benedicite (łac.) - błogosławcie; pierwsze słowa modlitwy

Credo (łac.) - dosł.: wierzę; wyznanie wiary

n o b e l - dawna moneta wartości sześciu szylingów i ośmiu pensów

ROZDZIAŁ IV

Kordyban - gatunek skóry kozłowej, tłoczony we wzory (od miasta hiszp. Cordoba)

couteau de chasse (franc.) - nóż myśliwski

immunitet (z łac.) - przywilej nietykalności

majordomus (z łac.) - marszałek dworu, zarządzający służbą

ROZDZIAŁ VI

Seneca Lucius Annaeus (ok. 4 p.n.e. - 65 n.e.) - filozof i działacz polityczny, wychowawca Nerona,

autor listów i esejów o problemach etycznych w duchu stoickim.

św. Kryspin - Rzymianin znakomitego rodu, głosił w IV w. Ewangelię w Soissons we Francji. Aby uniknąć prześladowań, pracował tam jako szewc. Ścięty w rok po przybyciu do Francji, został uznany

za patrona szewców

O, Mac - celtyckie przedrostki przed nazwiskami szkockimi i irlandzkimi

Niewidomy Harry (Harry Blind) - minstrel szkocki z XV.w.; żył na dworze Jakuba IV, pozostawił podobno poemat o Wallasie. W. Scott, mówiąc o nim, popełnia anachronizm

William Wallace (ok. 1270-1305) - popularny narodowy bohater szkocki, wódz powstania przeciwko

Anglii, pochwycony i stracony z rozkazu Edwarda I.

ROZDZIAŁ VII

krwawe serce- znak rozpoznawczy rodu Douglasów

cursus medendi (tac.) - nauka, kurs leczenia

ROZDZIAŁ VIII Dick - zdrobnienie od Ryszard

ROZDZIAŁ IX

Wardlaw Henry (zm. 1440) - biskup i główny doradca Jakuba I po jego powrocie z Anglii.

Założyciel Uniwersytetu Św. Andrzeja, pierwszego w Szkocji, w 1411 r.

św. Dawid - Dawid I (zwany „świętym”, chociaż nigdy nie był kanonizowany) (1080-1153) - król Szkocji

Wojna Sztandaru - tak nazwano walkę, w której Dawid I poniósł druzgocącą klęskę od Anglików pod Cutton Moor

galilea - w katedrze katolickiej mała boczna kapliczka, do której miały prawo wstępu osoby ekskomunikowane, a także przestępcy proszący o azyl

ROZDZIAŁ X

Jan Angielski, zwany Janem Bez Ziemi (1167-1216) - król ang. od 1199 r., brat i następca Ryszarda Lwie Serce; poniósł klęskę w wojnie z Francją

Jan Francuski-Jan II Dobry (1319-1364), król Francji od 1350 r., w początkach wojny stuletniej z Anglią pokonany pod Poitiers, przebywał w niewoli ang.

Jan Baliol (1249-1314) - król szkocki, wystąpił przeciwko Anglii i został pokonany pod Dunbar

Robert Bruce (1274-1329) - król szkocki Robert I, bohater narodowy, uniezależnił Szkocję w r. 1314 od panowania Anglii

hospitium (łac.) - klasztor służący za schronienie dla pielgrzymów i podróżnych

Brandanesi - mieszkańcy wyspy Bute, która była majątkiem rodowym króla. Osobista drużyna królewska składała się z wiernych Brandanesów

R a n d o l p h, Sir Thomas - siostrzeniec i towarzysz Roberta Bruce'a, był po jego śmierci regentem

James of Douglas (ok. 1286-1330) - najwybitniejszy dowódca w czasie wojny Bruce'a o niepodległość

Szkocji

H o t s p u r, Sir Henry de Percy (1364-1403) - wyróżnił się w wojnach przeciw Szkocji. Jego wyczyny posłużyły za wątek do wielu ballad ludowych. Zginął w bitwie pod Berwick

ROZDZIAŁ XI

bella tenebrosa (wł.) - piękna czarnulo

Pandarus - dowódca Likijczyków pod Troją

ROZDZIAŁ XII

D a l i l a - kurtyzana, która wydała Samsona w ręce Filistynów po uprzednim obcięciu mu włosów, w

których tkwiła jego siła. Dalila symbolizuje zgubny wpływ, jaki kobieta może mieć na mężczyznę

ROZDZIAŁ XIII

Żakeria - powstanie chłopskie przeciw szlachcie w półn. Francji w 1358 r. w czasie wojny stuletniej

(od Jacques Bonhomme)

Nazwiska uczestników powstania chłopskiego przeciwko uciskowi społecznemu w Anglii

A m a l e k i c i - semickie plemię koczujące w pustyni pod górą Synaj, w częstej wojnie z Żydami za czasów Saula i Dawida

Mahound i Termagaunt - w wyobrażeniach średniowiecznych bóstwa mahometańskie, występujące w ówczesnych widowiskach na równi z Mahometem

Houghman Stairs— schody wisielców; miejsce, na którym powieszono trzystu Pogórczan

Achithopel- doradca biblijnego króla Dawida, a następnie zbuntowanego Absaloma (234-235)

ROZDZIAŁ XIV

l o l l a r d o w i e (ang. lollards - nucący pieśni pogrzebowe) - sekta religijna z XIV w.; zwolennicy religijnej doktryny Wycliffe'a, głoszącej równość społeczną. Brali udział w powstaniu chłopskim

Wata Tylera w 1381 r.

Wycliffe John (ok. 1320-1384) - teolog ang., reformator Kościoła, występujący przeciw papiestwu, hierarchii kościelnej, odpustom, spowiedzi; poprzednik Husa

ROZDZIAŁ XVI

prywacja(z łac.) - przymusowe obywatelstwo bez czegoś

Koryfeusz- kierownik i przewodnik chóru greckiego. W przenośni: znakomitość, osobistość wybitna

bastonada(z franc.) - kara bicia kijami w plecy i pięty

ROZDZIAŁ XVII

Ustęp ten odnosi się do najbardziej poetyckiej części poematu Niewidomego Harry'ego o Wallasie

a l t e r e g o (łac.) - drugie ja; zastępca

ROZDZIAŁ XX

dominus (łac.) - pan

ROZDZIAŁ XXII

super totam materiam (łac.) - co do całej sprawy Mityczni bohaterowie średniowiecznych eposów

Opiferque per orbem dicor (łac.) - mówią, że służę wszystkim pomocą

Chaucer Geoffrey (1340-1400) - nazwany ojcem poezji ang., najwybitniejszy przedstawiciel literatury

ang. w epoce przedszekspirowskiej

ROZDZIAŁ XXIV

bonus socius (łac.) - dobry sprzymierzeniec, wspólnik

in extremis (łac.) - u kresu życia

G r e v e - plac w Paryżu, na którym odbywały się egzekucje. Od 1806 r. plac Ratuszowy (Hôtel-de-Ville)

ROZDZIAŁ XXV

konwertyta (z łac.) - nowowierca, nawrócony z jednej wiary na drugą

ROZDZIAŁ XXVII

n o n nostrum e s t (łac.) - nie do nas należy, nie nasza sprawa

T y t a n i - synowie Uranosa i Ziemi, olbrzymi pokonani przez Dzeusa, który ich wtrącił do Tartaru, a

dowódcę ich, Atlasa, skazał na dźwiganie nieba

ROZDZIAŁ XXVIII

Requiem aeternam dona (łac.) - daj wieczne odpoczywanie. Początkowe słowa pieśni pogrzebowej

ROZDZIAŁ XXIX

fatum (łac.) - przeznaczenie, los

ROZDZIAŁ XXX

Znaczy to, że w wojnie lepiej trzymać się otwartych przestrzeni niż zamykać w twierdzach

P a r k i - w mitologii grec. trzy boginie (Kloto, Lachesis i Atropos) władające losami ludzkimi.

Przędły nić żywota ludzkiego

ROZDZIAŁ XXXI

M a l c o l m IV (The Maiden) (1141-1165) - król szkocki od 1158 r.

ROZDZIAŁ XXX

D a l w o l s y (Sir Alexander Ramsay of Dalhousie) - patriota szkocki, zagłodzony na śmierć w 1342 r. przez Williama Douglasa w Hennitage Castle

V e n i t extrema d i e s (łac.) - nadszedł ostatni dzień

Prysłowiowa „sprawiedliwość Jedburgha” znaczy, że naprzód wiesza się człowieka, a potem go osądza

ROZDZIAŁ XXXIII

G o w -Chrom (celt.) - Krzywonogi Kowal

ROZDZIAŁ XXXIV

Bas air son Eachin! (celt.) - Śmierć za Eachina!

To znaczy zrobić coś dla własnej przyjemności, nie dla cudzej korzyści

ROZDZIAŁ XXXV

Sancta Maria, ora pro nobis (łac.) - Święta Mario, módl się za nami

ROZDZIAŁ XXXVI

Bas a i r Eachin! (celt.) - Śmierć Eachinowi!